

CZARNA SERIA

KRYMINAL



LEIF GW
PERSSON

NOS PINOKIA



lesiojot

LEIF GW PERSSON

NOS PINOKIA

Przekład Dominika Górecka

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2014

To jest zła bajka dla dużych dzieci. Opisane w niej zdarzenia nigdy nie miałyby miejsca, gdyby nie ostatni car Rosji, Mikołaj II, premier Wielkiej Brytanii sir Winston Churchill, prezydent Rosji Władimir Putin i inspektor kryminalny Evert Bäckström z Komendy Rejonowej Västerort w Sztokholmie.

Ściśle rzecz biorąc, jest to opowieść o skumulowanych efektach poczynań tych czterech mężczyzn na przestrzeni ponad stu lat. Czterech mężczyzn, którzy nigdy się nie spotkali, którzy żyli w różnych światach i z których najstarszy zginął czterdzieści lat przed tym, nim najmłodszy pojawił na świecie.

I jak nieraz bywało, w różnych okolicznościach, ostatnie słowo w tej historii będzie należeć do Everta Bäckströma.

LEIF GW PERSSON

Willa profesorska, Elghammar,
Wiosna 2013

CZEŚĆ I

Najpiękniejszy dzień w życiu inspektora Everta Bäckströma.

1

Był poniedziałek trzeciego czerwca, i choć zaczął się nowy tydzień, a w środku nocy obudził go telefon, inspektor Evert Bäckström już zawsze miał myśleć o tym dniu jako o najpiękniejszym w swoim życiu. Służbowy telefon zadzwonił o piątej rano i nie chciał przestać. W końcu więc Bäckström dał za wygraną i odebrał.

– No, co jest? – odezwał się.

– Mam dla ciebie morderstwo, Bäckström – odpowiedział dyżurny z komendy w Solnie.

– O tej porze? – zdziwił się Bäckström. – Chodzi o króla czy o premiera?

– Lepiej – kolega nie krył zachwytu.

– Słucham.

– Thomas Eriksson.

– Adwokat – zdziwił się Bäckström. Niemożliwe, pomyślał. To brzmi zbyt pięknie, by było prawdziwe.

– Nie inaczej. Przez wzgląd na to, co was łączyło, tobie pierwszemu przekazuję tę radosną wiadomość. Dzwonił Niemi z technicznego, kazał cię obudzić. Przyjmij serdeczne gratulacje, Bäckström. Ode mnie i od reszty kolegów. Koniec końców, twoje na wierzchu.

– Jest pewien, że to morderstwo? I że to Eriksson?

– Na sto procent, Niemi nie ma wątpliwości. Podobno nie wygląda najlepiej, ale to na pewno on.

– Będę musiał jakoś się pogodzić z tą stratą – westchnął Bäckström.

To najpiękniejszy dzień mojego życia, pomyślał, odkładając słuchawkę. Nagle poczuł się całkiem obudzony, umysł miał czysty niczym kryształ; w dzień taki jak ten trzeba wykorzystać każdą chwilę. Nie chciał przepuścić ani jednej sekundy.

Najpierw włożył szlafrok i poszedł do łazienki spuścić ciśnienie. Był to rytuał, którego przestrzegał od wczesnych lat swojego życia przed pójściem spać i zaraz po wstaniu z łóżka, niezależnie od tego, czy miał taką potrzebę, czy nie, i bez względu na to, co w tym czasie robili jego cierpiący na przerost prostaty koledzy.

Niezły strzał, pomyślał zadowolony, trzymając supersalami w prawej dłoni i delektując się uczuciem spadającego ciśnienia płynów ustrojowych w organizmie. Powrót do równowagi, pomyślał, kończąc mocniejszym uściskiem, żeby wycisnąć resztki tego, co mogło się w nim zebrać pomimo bezsennej nocy.

Następnie udał się do kuchni, żeby przygotować śniadanie, w którego skład wchodziły spora piramidka grubych plastrów duńskiego bekonu, cztery obustronnie podsmażone jajka, grzanki posmarowane słonym masłem i grubą warstwą marmolady z truskawek, świeżo wyciskany sok z pomarańczy i duży kubek mocnej kawy z ciepłym mlekiem. Dochodzenia w sprawie morderstwa nie zaczyna się z pustym żołądkiem; był gotów się założyć, że jedną z przyczyn, dla których jego wychudzeni i ograniczeni umysłowo koledzy tak często zawalali swoje sprawy, były jedzone przez nich marchewki i płatki owsiane.

Syty i zadowolony udał się do łazienki, namydlił pod prysznicem i oblał swoje zaokrąglone, harmonijnie ukształtowane ciało strumieniem gorącej wody. Następnie wytarł się do sucha ręcznikiem i ogolił zwykłą brzytwą z dużą ilością piany. Na koniec wyszorował zęby elektryczną szczoteczką i zwieńczył dzieło orzeźwiającym chlustem płynu do płukania ust.

Wreszcie, gdy już skropił się wodą po goleniu i użył

dezodorantu we wszystkich strategicznych punktach ciała – które było jego świątynią – starannie się ubrał. Żółty płócienny garnitur, niebieska płócienna koszula, czarne, włoskie, ręcznie robione buty i wzorzysta jedwabna chusteczka w kieszonce na piersi – stosowny ubiór na ostatnie spotkanie z jego wymarzoną ofiarą zabójstwa. W dzień taki jak ten ważny był każdy szczegół i dlatego zamiast stalowego rolexa założył ten z białego złota, który dostał przed laty od pewnego znajomego w podziękowaniu za drobną przysługę.

Ostatnie spojrzenie w lustro. W lewej kieszeni spodni – złoty klips na banknoty wypełniony odpowiednią ilością gotówki oraz niewielkie etui z krokodylej skóry na karty płatnicze. W prawej – pęk kluczy i komórka. W lewej wewnętrznej kieszeni marynarki – czarny notes z zatkniętym za grzbiet długopisem, i wreszcie jego najlepszy przyjaciel, mały Sigge, czuwający w kaburze przymocowanej nad kostką lewej nogi.

Pokiwał z aprobatą na widok swojego odbicia w lustrze. Ostatnia i najważniejsza rzecz: porządny łyk whisky z kryształowej karafki, którą trzymał na stoliku w przedpokoju. I jeszcze dwie miętówki do ust, gdy tylko zelżał posmak alkoholu, i na wszelki wypadek garść do bocznej kieszeni marynarki.

Gdy wyszedł na ulicę, słońce świeciło z bezchmurnego nieba, i choć był dopiero początek czerwca, termometr wskazywał już dwadzieścia stopni. Pierwszy prawdziwy dzień lata, lepiej by sobie tego nie wymyślił.

Dyżurny w Solnie wysłał oznakowany samochód z dwoma młodszymi funkcjonariuszami, chudymi i przyszczatymi, z których przynajmniej ten siedzący za kierownicą kojarzył podstawowe zasady etykiety. Przytrzymał drzwi i przesunął do przodu swój fotel, żeby Bäckström mógł wygodnie usiąść na tylnym siedzeniu, i to nie po stronie przeznaczonej dla zatrzymanego, nie gniotąc przy tym swoich starannie wyprasowanych spodni.

– Dzień dobry, szefie – przywitał się kierowca. – Zapowiada się ciekawy dzień.

– Będzie się działo – stwierdził jego kolega. – Dobrze widzieć

inspektora.

– Ålstensgatan sto dwadzieścia siedem – uciał Bäckström i żeby uniknąć niepotrzebnych dyskusji, demonstracyjnie wyjął swój czarny notes, w którym wprowadził pierwszą notatkę służbową: „Inspektor Evert Bäckström opuszcza swoje mieszkanie na Kungsholmen 0700 z zamiarem udania się na miejsce przestępstwa”. Nie na wiele się to zdało – jeszcze zanim skręcili w Fridhemsgatan, jego wyraźnie spragnieni kontaktu towarzysze podróży znowu zaczęli swoje.

– Dziwna historia. Dyżurny mówił, że ofiarą jest ten adwokat, Thomas Eriksson. – Kierowca zamilkł, pokiwał głową i spróbował raz jeszcze: – Chyba rzadko się zdarza, żeby ktoś zamordował adwokata.

– Prawie nigdy – zgodził się jego kolega.

– Niestety – odezwał się Bäckström z tylnego siedzenia. – Niestety zdarza się to zdecydowanie zbyt rzadko. – Co za debile, pomyślał. Skąd oni się biorą? Kiedy to się wreszcie skończy? Dlaczego wszyscy się uparli, żeby zostać policjantami?

– Sądzi szef, że był zamieszany w jakieś śmierdzące sprawy? Był adwokatem, miał, że tak powiem, wszystko na tacy. – Skurczybyk obrócił się i mówił to, patrząc na Bäckströma.

– Zamierzałem się właśnie nad tym zastanowić – powiedział Bäckström zmęczonym głosem. – W czasie gdy panowie będą mnie wieść na Ålstensgatan w całkowitej ciszy.

Nareszcie, pomyślał. Po dziesięciu minutach zatrzymali się przed dużą, wykończoną białym kamieniem willą w stylu funkcjonalistycznym, z dostępem do jeziora, osobną sauną, hangarem na łódzie i pomostem schodzącym wprost do jeziora Melar, której wartość przekraczała pewnie łączne wynagrodzenie brutto z całego życia przeciętnego szwedzkiego policjanta.

Niekiepskie miejsce zabójstwa. Ciekawe, na co mu teraz taka chata, pomyślał Bäckström.

Wszystko inne wyglądało tak jak zawsze: niebiesko-biała taśma policyjna otaczająca posesję i spory fragment ulicy po obu stronach domu, dwa radiowozy i autobus z prewencji, do

tego trzy samochody z wydziału kryminalnego i stanowczo zbyt wielu niemających tu nic do roboty kolegów policjantów w towarzystwie tak zwanych postronnych. Kilku dziennikarzy w obstawie fotografów i co najmniej jeden kamerzysta z którejś stacji telewizyjnej, a do tego kilkunastu lokalnych wścibinosów, znacznie lepiej ubranych, niż to zwykle bywa w podobnych okolicznościach. Spośród tych ostatnich zaskakująco wielu miało ze sobą jednego lub więcej psów różnych rozmiarów i maści.

Wszyscy mieli ten sam wyraz twarzy, jakby gdzieś w głębi odczuwali lęk, choć pewnie przede wszystkim jednak ulgę, że jeśli wydarzyło się najgorsze, to nie przytrafiło się im. Co znaczą wszystkie dni wobec tego jednego, pomyślał Bäckström. Co znaczą całe życie w porównaniu z tym jednym dniem, który miał się stać najpiękniejszym dniem w jego życiu?

Następnie wysiadł z samochodu, skinął do swojego przyszatego kierowcy i jego równie przyszatego kompana, pokręcił głową na widok sępów z mediów i obrał kurs na wejście do domu, w którym jeszcze przed kilkoma godzinami mieszkała jego ostatnia ofiara. Nie był to pierwszy tego typu spacer w jego życiu, z pewnością też nie ostatni, tym razem jednak wydał mu się wyjątkowo przyjemny i gdyby był sam, pewnie wbiegłby w podskokach po schodach do domu ofiary.

CZEŚĆ II

Tydzień poprzedzający najpiękniejszy dzień w życiu Everta Bäckströma niczym się nie wyróżniał – ani na korzyść, ani na niekorzyść.

2

Poniedziałek dwudziestego siódmego maja, tydzień przed poniedziałkiem, który miał się stać najpiękniejszym poniedziałkiem jego życia, upłynął jak wszystkie inne poniedziałki, a może nawet odrobinę gorzej niż zwykły poniedziałek, ponieważ zaczął się w sposób, który nie mieścił się w głowie, nawet tak przenikliwej i światłej jak ta należąca do Everta Bäckströma.

Konkretnie rzecz biorąc, chodziło o dwie kompletnie zwariowane sprawy, które z niewiadomych przyczyn wylądowały na jego biurku. Pierwsza z nich dotyczyła zaniechanego królika, który trafił pod opiekę Urzędu Wojewódzkiego w Sztokholmie. Druga – przedstawiciela tak zwanych wyższych sfer mającego związku z dworem królewskim, który, jak wynikało z zeznań anonimowego świadka, został pobity przy użyciu katalogu dzieł sztuki znanej firmy aukcyjnej Sotheby's z Londynu. Jakby tego było mało, do przestępstwa miało dojść na parkingu przed pałacem Drottningholm, zaledwie sto metrów od pokoju, w którym Jego Królewska Wysokość, Karol XVI Gustaw, zwykł udawać się na nocny spoczynek.

Od kilku lat inspektor Evert Bäckström pracował w rejonie Västerort jako szef wydziału do spraw przestępstw z użyciem

przemocy. Rewir był niczego sobie i gdyby tylko znajdował się w Stanach Zjednoczonych, gdzie zwykli ludzie mieli coś do powiedzenia, lokalna społeczność wybrałaby go już do tego czasu na szeryfa. Trzysta pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych łądy i wody pomiędzy wielkimi jeziorami Melar na zachodzie i Saltsjön na wschodzie. Od rogatek na granicy śródmieścia Sztokholmu po Norra Järva, Jakobsberg i najdalszy brzeg Melaru na północy.

On sam myślał o tym terytorium jak o swoim udzielnym księstwie zamieszkanym przez trzysta pięćdziesiąt tysięcy osób. Spośród nich najznamienitszą postacią był Jego Królewska Mość z rodziną, który zajmował pałace w Drottningholm i w Haga. Poza tym tuzin miliarderów i kilkuset takich, którzy warci byli po kilka milionów każdy. Na drugim końcu kilkadziesiąt tysięcy tych, którzy nie mieli co włożyć do garnka i jeśli chcieli przeżyć kolejny dzień, brali zasiłki, żebrali lub popełniali różnego rodzaju przestępstwa. I wszyscy inni, tak zwani zwykli obywatele, którzy najzwyczajniej w świecie robili swoje, zarabiali na utrzymanie i nie robili wokół siebie niepotrzebnego zamieszania. A już na pewno bardzo rzadko powodowali zdarzenia, których opisy trafiałyby na biurko Bäckströma w komendzie w Solnie.

Niestety nie dało się tego powiedzieć o wszystkich mieszkańcach. W ciągu ostatniego roku w rejonie zgłoszono blisko sześćdziesiąt tysięcy przestępstw. Większość z nich stanowiły co prawda drobne kradzieże, akty wandalizmu i wykroczenia narkotykowe, jednak zdarzały się również liczone w tysiącach przestępstwa z użyciem przemocy. Jeśli spojrzeć się ogólnie na rejon Västerort, przestępstwa popełniali przedstawiciele wszystkich klas społecznych. Od garstki bandytów w prążkowanych garniturach, odpowiedzialnych za przekręty gospodarcze na setki milionów koron, do tych wszystkich tysięcy, którzy kradli wszystko jak leci, poczynawszy od połędwicy wołowej i parówek, przez kosmetyki, po piwo i tabletki na ból głowy w lokalnym centrum handlowym.

Większość z nich na szczęście nie trafiała do Bäckströma, którego obchodziły wyłącznie przestępstwa z użyciem

przemocy. Zajmował się nimi od początku swojej kariery w policji i nie miał zamiaru nic w tej kwestii zmieniać aż do momentu, gdy zamknie ten rozdział swojego życia. Morderstwa, pobicia, gwałty, napady i inne bezeceństwa, których dopuszczali się piromani, pedofile, szantażyści, huligani i wszyscy inni popaprańcy, ekshibycjoniści i podglądacze, którzy mieli bardziej skonkretyzowane aspiracje. Tego typu spraw było aż za dużo. Tysiące zgłoszeń rocznie, które trafiały do jego wydziału do spraw przestępstw z użyciem przemocy. Nadawały sens jego pracy policjanta, lecz jeśli miał cokolwiek zdziałać, musiał przede wszystkim umieć oddzielać sprawy ważne od mało istotnych. Niestety, w poniedziałek poprzedzający poniedziałek, który miał się stać najpiękniejszym dniem jego życia, to ostatnie nie do końca mu się udało.

Tydzień jak zwykle zaczął się od porannej narady, na której dokonali przeglądu ludzkich nieszczęść, jakie wydarzyły się w ciągu ubiegłego tygodnia, przygotowali się na nadejście kolejnych i omówili tę czy inną sprawę wystarczająco już przebadaną, by mogli ją zarchiwizować i odłożyć na półkę.

Do dyspozycji miał dwadzieścioro ludzi, z czego jeden był małomówny i w pełni władz umysłowych, a sześcioro innych robiło, co im kazał. Cała reszta była jak wszędzie indziej i gdyby nie ciężka dłoń Bäckströma i jego zdolności przywódcze wsparte umiejętnością odróżniania spraw ważnych od mało istotnych, już pierwszego dnia szlag by wszystko trafił.

Kolejny tydzień, poranna narada, czas już, by inspektor Evert Bäckström wniósł miecz sprawiedliwości, niech się wagą Temidy pobawią urzędaszy z zarządu policji.

3

– Siadajcie – powiedział Bäckström, moszcząc się w swoim krześle przy krótszym boku stołu konferencyjnego. Lenie śmierzące, pomyślał, wodząc wzrokiem po swoich współpracownikach. Poniedziałek rano, puste spojrzenia spod ociężałych powiek, kubki z kawą zamiast długopisów

uniesionych w gotowości nad służbowymi notatnikami. Co się stało z policją? – pomyślał inspektor kryminalny Evert Bäckström. Gdzie się podzieli wszyscy prawdziwi funkcjonariusze, tacy jak ja?

Następnie oddał głos swojemu najbliższemu współpracownikowi, oczywiście kobiecie, komisarz kryminalnej Annice Carlsson, lat trzydzieści siedem. Budzącej postrach postaci, która wyglądała, jakby większość czasu spędzała na siłowni w piwnicach komendy w Solnie. I pewnie również w innych, dużo mroczniejszych piwnicach, o tym jednak wolał nie myśleć.

Carlsson miała pewną niewątpliwą zaletę. Kiedy mówiła, nikt nie śmiał jej przerwać, dlatego też sprawnie przeprowadziła wszystkich przez listę spraw z ubiegłego tygodnia i weekendu. Rozwiązane i nierozwiązane, sukcesy i porażki, nowe dane i donosy, zadania i polecenia, które czekały ich w rozpoczynającym się tygodniu. I naturalnie wszystkie pozostałe prace administracyjne, którymi mieli się zająć.

Poszło jak z płatka. Skończyli po zaledwie godzinie, a komisarz kryminalna Carlsson zakończyła raport, oznajmiając z satysfakcją, że zabójstwo, do którego doszło trzy doby wcześniej, zostało już wyjaśnione, winny się przyznał, a sprawę przekazano do prokuratora.

Zabójcą okazał się pewien wyjątkowo skory do współpracy pijaczyna. W piątek wieczorem pokłócił się ze swoją małżonką o to, który program telewizyjny będą oglądać. Poszedł do kuchni, złapał za nóż i zakończył dyskusję. Następnie zapukał do drzwi sąsiada, by skorzystać z jego telefonu i zadzwonić po karetkę.

Sąsiad nie okazał się już taki pomocny. Nauczony doświadczeniem nie otworzył, tylko od razu zadzwonił na policję. Pierwszy patrol był na miejscu po dziesięciu minutach, ale gdy kolegom z prewencji udało się dostać do mieszkania, na pomoc było już za późno. Mogli tylko zakuć świeżo upieczonego wdowca w kajdanki i zadzwonić po techników i śledczych, by przystąpili do bardziej kameralnej części policyjnej roboty.

Już w czasie pierwszego przesłuchania, które odbyło się następnego dnia, sprawca i jednocześnie mąż ofiary przyznał się do popełnionego czynu. Wprawdzie nie pamiętał, co dokładnie wydarzyło się poprzedniego wieczoru, ale zależało mu, by zrozumieli, że brakuje mu żony. Co prawda była uparta i pamiętliwa i w ogóle trudno było z nią wytrzymać – głównie dlatego, że chłała jak świnia – chciał jednak podkreślić, że mimo wszystko bardzo za nią tęskni.

– Dziękujemy – powiedział Bäckström i pewnie właśnie w tej samej chwili, na fali emocji, popełnił błąd. Zamiast zwyczajnie zakończyć naradę, schronić się w ciszy swojego pokoju i zawnocować przygotować się na lunch, kiwnął przyjaźnie głową do swojej najbliższej współpracownicy i zadał bardzo złe pytanie.

– Aha. Rozumiem, że to już wszystko? Czy masz coś jeszcze, zanim będziemy mogli wreszcie zabrać się do roboty?

– Dwie sprawy – powiedziała Annika Carlsson. – Są co najmniej dziwne.

– Słucham – powiedział Bäckström i kiwnął zachęcająco głową. Przecież nie mógł wiedzieć, co go czeka.

– No dobra – powiedziała Annika Carlsson i z jakiegoś powodu wzruszyła swoimi szerokimi ramionami. – Pierwsza sprawa dotyczy królika. Przynajmniej z początku.

– Królika – powtórzył Bäckström. O czym ona, kurwa, mówi, pomyślał.

– Królika przejętego przez urząd wojewódzki na skutek zaniedbania przez właściciela – wyjaśniła.

– Co to znaczy: zaniedbać królika? Sprawca wsadził go do mikrofalówki? – zdziwił się Bäckström. Czy nie od tego zaczęli seryjni mordercy? – zastanowił się. Od pieczenia królików w mikrofalce i wirowania kotów w suszarce? Robi się coraz ciekawiej, pomyślał, a sądząc po minach pozostałych zebranych, nie on jeden był tego zdania. Nagle wyraźnie się ożywili, nie to co wtedy, kiedy zajmowali się ludzkimi ofiarami i ich cierpieniem.

– Nie – Annika Carlsson pokręciła głową. – Obawiam się, że to znacznie bardziej przykra historia.

– Nasz sprawca to siedemdziesięcioletnia kobieta, Astrid Elisabeth Linderöth, urodzona w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku – zaczęła Annika Carlsson. – Używa imienia Elisabeth. Samotna, bezdzietna, od pięciu lat wdowa, mieszka w mieszkaniu własnościowym w Miasteczku Filmowym w Solnie. Sprawdziłam ją z czystej ciekawości. Zamożna, zdaje się, że otrzymuje całkiem niezłą emeryturę po swoim mężu, wcześniej nie karana. Nic na nią nie mamy. W tej chwili oskarżona o znęcanie się nad zwierzętami i kilka innych wykroczeń, do których doszło w ubiegłym tygodniu. Pewnie właśnie dlatego trafiła do nas.

– Co zrobiła? – zapytał Bäckström.

– Czynny opór i użycie przemocy wobec funkcjonariusza policji, próba pobicia, dwie groźby karalne.

– Chwila – przerwał Bäckström. – Wydawało mi się, że powiedziałaś, że baba ma siedemdziesiąt trzy lata.

– Bo tak powiedziałam – odparła Annika Carlsson. – To starsza pani i właśnie dlatego cała ta historia jest taka przykra. Postaram się ją streścić w kilku zdaniach.

– Zamieniam się w słuch – powiedział Bäckström i umościł się wygodnie w swoim fotelu.

Ponad miesiąc temu Urząd Wojewódzki w Sztokholmie wydał decyzję o przejęciu królika należącego do podejrzaney. Powodem tej decyzji było zgłoszenie na policję złożone przez sąsiadkę starszej pani zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Nie chodziło jednak o znęcanie się nad zwierzęciem w ścisłym tego słowa znaczeniu, a raczej o zaniedbanie i brak należytej opieki. Podobno właścicielka królika wyjechała na kilka dni na urlop, nie zostawiwszy mu nic do jedzenia. Królika widziano również kilkakrotnie na klatce schodowej, po tym jak jego właścicielka zapomniała zamknąć drzwi do mieszkania. Przy jednej z tych okazji ugryzł go jamnik należący do innej sąsiadki z klatki.

– Mam wrażenie, że właścicielka królika może być znacznie starsza, niż to wynika z danych w spisie ludności – powiedziała

Annika Carlsson i z jakiegoś powodu zatoczyła prawym palcem wskazującym kółko na wysokości skroni. – Zgłoszenie przyjęli koledzy z tego nowego wydziału zajmującego się zwierzętami. Działali wyjątkowo szybko, zwłaszcza że pani Linderoth podobno dopuściła się podobnego wykroczenia już w styczniu tego roku. Ta sama zgłaszająca, ta sama decyzja urzędu, choć tym razem chodziło, zdaje się, o chomika syryjskiego.

– Staruszka wskoczyła poziom wyżej – zachichotał Bäckström i rozsiadł się wygodniej w fotelu.

– Poziom wyżej? Nie rozumiem?

– No, przecież królik jest jakieś dwa razy większy od chomika syryjskiego – wyjaśnił. – Kto wie, może następnym razem weźmie się za słonia. Kto wie, kurwa? Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego trafiła do nas.

– W takim razie wytłumaczę – powiedziała Annika Carlsson.

– W ubiegły wtorek, to znaczy dwudziestego pierwszego maja, dwóch naszych kolegów z wydziału do spraw zwierząt w City razem z dwoma pracownikami urzędu wojewódzkiego przystąpiło do egzekucji decyzji o przejęciu królika z mieszkania pani Linderoth. Z początku nie chciała otworzyć drzwi. Po długich namowach uchyliła je w końcu, ale nie zdjęła łańcuszka, za to wycelowwała w nich przez szparę z pistoletu i powiedziała, żeby natychmiast zostawili ją w spokoju. Koledzy wycofali się i zadzwonili po posiłki.

– Siły szybkiego reagowania? – zaciekawiał się Bäckström.

– Niestety muszę cię zawieść. Wysłaliśmy do nich wóz z interwencyjnego. Okazało się, że jeden z naszych kolegów zna panią Linderoth, jego matka od lat się z nią przyjaźni, dzięki czemu po paru minutach negocjacji otworzyła wreszcie drzwi i wpuściła ich do środka. Była zmęczona, ale nie agresywna. Pistolet okazał się zabytkiem z siedemnastego wieku. Koledzy twierdzą, że był nienaładowany i przez ostatnie dwieście lat nie padł z niego żaden strzał.

– Aha – powiedział Bäckström.

– To jeszcze nie koniec. – Annika Carlsson pokręciła głową.

– Domyślam się – powiedział Bäckström.

– Potem przez chwilę było spokojnie, dopóki pani weterynarz

z urzędu wojewódzkiego nie spróbowała włożyć królika do klatki. Pani Linderoth wpadła do pokoju z dzbankiem herbaty w rękę i zaczęła jej nim wygrażać. Została rozbrojona i posadzona na kanapie, a koledzy z City i ta dwójka z urzędu wynieśli królika z mieszkania. Nasi koledzy jeszcze zostali, żeby z nią porozmawiać. Z raportu wynika, że kiedy w końcu wyszli z mieszkania, była spokojna i opanowana.

– Cieszę się – powiedział Bäckström. – Proste pytanie. Skąd się wzięły te wszystkie zgłoszenia?

– Od kolegów z City – wyjaśniła Carlsson. – Następnego dnia złożyli zawiadomienia o wykroczeniach w imieniu własnym oraz tej dwójki z urzędu: czynny opór, przemoc wobec funkcjonariusza, groźby karalne, usiłowanie pobicia. Jeśli dobrze liczę, łącznie dwanaście różnych wykroczeń.

– Nieźle – powiedział Bäckström. – Baba stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego. Trzeba ją jak najszybciej odizolować od reszty społeczeństwa.

– Domyślam się, co chcesz przez to powiedzieć, i nie mam z tym problemu. Martwi mnie tylko to zgłoszenie dotyczące gróźb karalnych, które otrzymaliśmy w czwartek wieczorem. Złożono je bezpośrednio u nas. Zgłaszający pojawił się u nas w komendzie. Rozmawiał z kolegą, który miał wtedy dyżur.

– Niech zgadnę. Koledzy z wydziału do spraw królików i chomików chcieli uzupełnić zeznania?

– Nie – Annika Carlsson pokręciła głową. – Zgłaszającą jest sąsiadka pani Linderoth. Mieszka w tym samym budynku, tyle tylko, że na czwartym piętrze. Pani Linderoth mieszka na samej górze, na siódmym piętrze. Tak na marginesie, to ta sama sąsiadka, która złożyła zawiadomienie o zaniedbywaniu zwierząt przez Linderoth, zarówno królika, jak i chomika. Skarżyła się też na nią kilkakrotnie zarządowi wspólnoty mieszkaniowej, ale to już inna historia.

– Kto to jest?

– Samotna kobieta, czterdzieści pięć lat. Pracuje na pół etatu jako sekretarka w firmie informatycznej w Kiście. U nas nienotowana. Zaangażowana społecznie, między innymi jest rzecznikiem organizacji o nazwie Liga Obrony Braci

Mniejszych. To chyba jakiś bardziej radykalny odłam Przyjaciół Zwierząt, w którego zarządzie zresztą też siedziała.

– Domyślam się. Jak się nazywa?

– Fridensdal, Frida Fridensdal, Fridensdal przez „s”, no wiesz, Dolina Spokoju. Nazwisko ma przybrane, urodziła się jako Anna Fredrika Wahlgren.

– Ja pierdołę – powiedział Bäckström i poczuł, jak mu rośnie ciśnienie. – Ja pierdołę, Annika, przecież sama słyszysz. Frida Fridensdal przez „s” i Liga Obrony Braci Mniejszych. Przecież to jakaś nawiedzona baba. Co znaczy „bracia mniejsi”? Martwi się losem pcheł i karaluchów?

– Doskonale cię rozumiem. Dlatego właśnie przesłuchałam ją osobiście. I to już w piątek, u niej w pracy, bo nie zgodziła się przyjechać na komendę, jeśli jesteś ciekaw. Powiedziała mi, że nie może zostać u siebie w mieszkaniu, bo boi się o swoje życie. Przeprowadziła się do przyjaciółki, ale nie chce powiedzieć, jak się nazywa i gdzie mieszka. Nie ma odwagi. Nie wierzy, że policja ją ochroni. Przyjaciółka zresztą też w to nie wierzy. Twierdzi, że miała męża policjanta, który ją bił i gwałcił.

– Okej, mam obraz sytuacji – westchnął Bäckström.

– Nie wydaje mi się, żeby to wszystko zmyśliła. Być może trochę przesadza, nie byłaby pierwsza, ale naprawdę się boi. Co tu dużo mówić, trzęsie się ze strachu, a te groźby, o których opowiada, rzeczywiście nie brzmią najlepiej. Ciężkie groźby karalne, co do tego nie ma wątpliwości.

– No to co się stało? – powiedział Bäckström. Nie mogę się doczekać, pomyślał. Cokolwiek by mówić o koleżance Carlsson, na pewno niełatwo ją było przestraszyć.

– Zaraz do tego dojdę, choć wydaje mi się, że tu chodzi o coś innego.

– To znaczy?

– Bardzo trudno powiązać groźby, o których opowiada, z osobą starszej pani Linderoth. To naprawdę wyjątkowo miła starsza pani. Nic się nie zgadza, a Fridensdal upiera się, że to stara Linderoth jej grozi.

– Okej – powiedział Bäckström. – Słucham.

– W czwartek po południu Frida Fridensdal wyszła z biura w Kiście tuż przed piątą, udała się na parking podziemny, wsiadła do samochodu i pojechała prosto do Solna Centrum, żeby zrobić zakupy na weekend. Kiedy skończyła, pojechała do swojego mieszkania w Miasteczku Filmowym, żeby coś zjeść, pooglądać telewizję, a potem położyć się spać. Wróciła do domu jakieś piętnaście po szóstej. Zrobiła kolację, zjadła, pogadała przez telefon z koleżanką. Oglądała wiadomości w telewizji, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Z tego, co pamięta, było wpół do ósmej wieczorem.

– Zamknęła za sobą drzwi? – zapytał Bäckström, bo już wiedział, co zaraz usłyszy.

– Tak, były zamknięte. Zanim otworzyła, spojrzała przez wizjer, ponieważ nikogo się nie spodziewała, a z natury jest raczej ostrożna. W drzwiach stał mężczyzna w niebieskiej kurtce z dużym bukietem kwiatów w ręku. Pomyślała, że to kurier z poczty kwiatowej. Dlatego otworzyła.

Że też nigdy się nie nauczą, pomyślał Bäckström.

– Potem wszystko dzieje się bardzo szybko. Mężczyzna wchodzi bez pytania do mieszkania. Odkłada kwiaty na stolik w przedpokoju. Patrzy na nią, kładzie palec na ustach, jakby chciał ją uciszyć, ale nic nie mówi. Wskazuje na kanapę w salonie, Frida Fridensdal siada. Czuje kompletną pustkę w środku, jest przerażona. Nawet nie próbuje krzyknąć. Nie może złapać powietrza, nie ma odwagi na niego spojrzeć. Milczy jak zakłeta.

– No to z czym przyszedł?

– Z początku nic nie mówi, tylko stoi bez ruchu. Gdy w końcu się odzywa, ma głęboki, niemal przyjazny głos, jakby chciał ją do czegoś przekonać. Telewizor jest włączony, chwilami ledwo go słyszy. Chodzi o trzy sprawy. Po pierwsze, nigdy się nie spotkali. Po drugie, nie będzie z nikim rozmawiać na temat Elisabeth, a jeśli ktoś ją spyta, będzie o niej mówić w samych superlatywach, zwłaszcza o tym, jak Elisabeth kocha zwierzęta i jak wspaniale się nimi zajmuje. Po trzecie, on za chwilę

wyjdzie. Od momentu, kiedy usłyszy dźwięk zatraskujących się drzwi, ma siedzieć na kanapie jeszcze przez piętnaście minut. I nikomu ani słowa o tym, co się wydarzyło.

– Elisabeth? Nazywa panią Linderoth „Elisabeth”? Jest tego pewna?

– Całkowicie. – Inspektor kryminalna Annika Carlsson skinęła znacząco głową.

– Mówi coś jeszcze?

– Niestety tak. Zaraz po tym wstępie wyjmuje scyzoryk albo sztylet. Zgodnie z tym, co mówi Frida Fridensdal, nagle w jego rękę pojawia się nóż. Prostuje prawą rękę, w której trzyma coś, co wygląda na scyzoryk albo sztylet. Na dłoniach ma czarne rękawiczki. Kobieta dopiero wtedy je zauważa, i jak sama mówi, nagle przechodzi jej przez myśl, że zaraz ją zabije, a jak nie zabije, to przynajmniej zgwałci.

– Ale on tego nie robi.

– Nie, tylko się uśmiecha. Patrzy na nią i mówi, że jeśli nie posłucha jego dobrej rady, zrobi tak, że zmieści jej się w cipie cały sklep zoologiczny. Jednocześnie unosi nóż, i biorąc pod uwagę jego słowa, raczej nie można mieć wątpliwości co do jego intencji. Potem wychodzi. Po drodze zabiera ze sobą kwiaty. Zamyka drzwi, znika, rozplywa się w powietrzu. Żadnych świadków. Nikt niczego nie widział, nikt niczego nie słyszał.

– Nie wymyśliła sobie tego?

– Nie. Gdybyś ją widział, od razu byś jej uwierzył.

– Co potem?

– Siedzi na kanapie, trzęsie się ze strachu. Gdy dochodzi do siebie, dzwoni do przyjaciółki, tej samej, z którą rozmawiała około siódmej. Jak wynika z listy połączeń w jej telefonie, jest wtedy dwadzieścia jeden po ósmej wieczorem. Przyjaciółka przyjeżdża, zabiera ją z mieszkania, a potem jadą razem na policję złożyć zeznanie. Zeznanie zostaje przyjęte piętnaście po dziewiątej.

– Rozmawiałaś z jej przyjaciółką?

– Nie, poszkodowana nie chce zdradzić jej nazwiska. Przyjaciółka brała udział w przesłuchaniu jako świadek i osoba

towarzysząca. Przedstawiła się jako Lisbeth Johansson, podała nawet numer PESEL i numer telefonu komórkowego, niestety żaden z nich nie jest prawdziwy. To ta od męża policjanta, który ją bił i gwałcił. Naturalnie zapytałam Fridę Fridensdal, dlaczego zachowują się w ten sposób. Twierdzi, że to dlatego, że nie mają zaufania do policji.

– Udało jej się stworzyć portret pamięciowy? – zapytał. Nie chcą powiedzieć, jak się nazywają ani gdzie mieszkają, ale chronić to je, cholera, trzeba, pomyślał. Pindy.

– Owszem, i to całkiem niezły. Niestety pasuje do zbyt wielu osób udzielających się w tej branży. Sprawca był ubrany w ciemne spodnie i niebieską kurtkę średniej długości z kapturem z jakiegoś przypominającego nylon materiału. Żadnych wzorów ani naszywek, tego jest pewna. Na rękach czarne rękawiczki, na nogach – nie pamięta. Gdyby miała zgadywać, powiedziałaaby, że to były takie zwykłe buty sportowe, trampki. Białe tenisówki, jak mówi. Wzrost około metra dziewięćdziesięciu. Mocno zbudowany, wysportowany, wyglądał na silnego. Twarz szczupła, pociągła, ostre rysy, krótkie, ciemne włosy, ciemne głęboko osadzone oczy, spiczasty i lekko skrzywiony nos, wydłużony podbródek, trzydniowy zarost, mówił po szwedzku bez akcentu, nie czuć było od niego ani tytoniem, ani potem, ani wodą po goleniu. Między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia.

Mówiąc to, Annika Carlsson wodziła końcem długopisu po swoich notatkach.

– To chyba wszystko. Pomyślałam, że dam jej do obejrzenia kilka zdjęć. To znaczy, jeśli zgodzi się na kolejne przesłuchanie. Zaraz po spotkaniu prześlę wam mailem treść zgłoszenia i przesłuchania.

– Doskonale – powiedział Bäckström i na wszelki wypadek uniósł dłoń, żeby zapobiec dalszym pytaniom. – Jeśli się nią zajmiesz, ja zajmę się tym, co podrzucili nam koledzy z City. A ta druga sprawa? Powiedziałaś, że masz dwie sprawy. Czego dotyczy ta druga? – Lepiej mieć to z głowy, pomyślał.

– Racja – powiedziała Annika Carlsson i z jakiegoś powodu ściągnęła wargi. – Lepiej będzie, jeśli o wszystkim opowie

Jenny. To ona się tym zajmowała.

Jenny, pomyślał Bäckström. Jenny Rogersson, jego najnowsza i najmłodsza pracownica, którą osobiście rekrutował. Jenny z długimi blond włosami, równymi, białymi zębami i głębokim dekoltem. Jenny, jego jedyna ucieczka z tego domu wariatów, w którym miał spędzić kolejne dni swojego życia. Jenny, radość dla jego oczu, balsam dla jego duszy, skrzydła dla jego myśli, droga ucieczki do innego, lepszego świata, nawet w taki poniedziałek jak ten.

6

– Dziękuję, Annika – powiedziała Jenny Rogersson, pochylając się nad stertą kartek, które leżały przed nią na stole.

– Słucham – powiedział krótko Bäckström. To ja tutaj udzielam głosu, pomyślał.

– Dziękuję, szefie – powiedziała Rogersson. – No tak, jeśli mam zacząć od zgłoszenia, to przyszło w zeszły poniedziałek, dwudziestego maja, po południu – mówiła dalej Jenny. – Ktoś zostawił je tu, w recepcji, nie wiemy jednak kto, bo było trochę zamieszania, kolejka do wydziału paszportowego i tak dalej. Zgłoszenie jest anonimowe. W zasadzie to list skierowany do komendy w Solnie, na górze jest napisane, cytuję: „Wydział Kryminalny, Komenda Policji w Solnie”. Zaraz pod tym nagłówkiem, cytuję dalej: „Zgłoszenie pobicia na parkingu przed pałacem Drottningholm w niedzielę dziewiętnastego maja tuż po jedenastej wieczorem”. Koniec cytatu. Do wspomnianego wydarzenia miało dojść w wieczór przed złożeniem zgłoszenia. To chyba tyle na ten temat. – Komisarz kryminalna Jenny Rogersson skinęła głową na potwierdzenie swoich słów.

– Co jest w tym zgłoszeniu? – zapytał Bäckström.

– To długa historia, zajmuje prawie dwie strony. Zgłoszenie napisano na komputerze, wydruk jest wyraźny, zdania złożone poprawnie, bez literówek, może nieco chaotycznie, a tekst kończy się informacją, że zgłaszająca chce pozostać anonimowa i że ręczy honorem za prawdziwość swoich słów.

– Skąd wiesz, że to kobieta? – zapytał Bäckström. Słodki

Jezu, ale cycki, pomyślał i założył nogę na nogę, na wypadek gdyby zbudziło się jego supersalami. I jeszcze ta czarna obcisła koszulka, która spinała wszystko razem.

– Tak czuję. Według mnie da się to wyczytać między wierszami. Na przykład w którymś miejscu wspomina swojego zmarłego męża. Starsza, wykształcona kobieta, wdowa, która w dodatku mieszka w pobliżu pałacu. Jestem tego niemal pewna i jeśli szef sobie tego życzy, mogę naturalnie podać więcej przykładów – powiedziała Jenny Rogersson i uśmiechnęła się szeroko do Bäckströma.

– Opowiedz, co się tam wydarzyło – odparł Bäckström. O Boże, pomyślał jednocześnie, ponieważ supersalami najwyraźniej zwęszyło, co się święci, i zamierzało sobie zrobić namiot cyrkowy z jego starannie skrojonych spodni.

– Pisz, że była akurat, jak co wieczór, na spacerze z psem. Szła w kierunku południowo-wschodnim przez ten fragment parku, który znajduje się tuż za parkanem ogrodów pałacowych, i gdy zbliżyła się do parkingu, usłyszała podniesione męskie głosy. W północnej części parkingu, czyli bliżej kortów tenisowych, kłóciło się dwóch mężczyzn. Jeden z nich był bardzo zdenerwowany i wydzierał się na tego drugiego.

– Słucham dalej – powiedział Bäckström. Na wszelki wypadek przesunął krzesło do przodu i oparł się o krawędź stołu, żeby schować pod blatem swoje supersalami.

– Obok nich stał zaparkowany samochód, ale informatorka nie rozpoznała marki. Pamięta tylko, że był czarny i na pewno drogi, mercedes, bmw albo coś w tym stylu. Stał pusty, a w pobliżu nie było żadnych innych samochodów. Gdy doszły ją odgłosy kłótni, zatrzymała się, i – jeśli dobrze zrozumiałam – stanęła przy ogrodzeniu kortów w odległości jakichś trzydziestu metrów od miejsca, w którym znajdowali się mężczyźni. Nie chciała, żeby ją zauważyli.

– Okej, okej – powiedział Bäckström, próbując oderwać wzrok od zagłębienia między piersiami Jenny Rogersson. Było to tym trudniejsze, że siedziała zwrócona w jego stronę, a odległość między nimi niebezpiecznie się skurczyła.

– Popraw mnie, jeśli się mylę – dodał po chwili. – Dwóch mężczyzn kłóci się ze sobą, z czego jeden jest wyjątkowo agresywny i głośno przeklina. Świadek razem z psem chowa się za parkanem, żeby jej nie zauważyli.

– W zasadzie jest sama – odpowiedziała Rogersson. – Jej pies nie żyje, zdechł ubiegłej jesieni. To był pudel królewski. Nazywał się Perła. Napisała o tym w swoim zgłoszeniu.

– Zaczekaj – wtrącił Bäckström. – Chwila. Chcesz powiedzieć, że paniusia spaceruje po parku przed pałacem Drottningholm w środku nocy, ciągnąc za sobą zdechłego kundla?

– Rozumiem, dlaczego mogłeś tak pomyśleć – powiedziała Rogersson, na wszelki wypadek obdarzając go jeszcze jednym uśmiechem. – Z tego, co zrozumiałam, nasza informatorka przez piętnaście lat chodziła z Perłą na wieczorny spacer zawsze tą samą trasą. Od domu, w którym mieszkała, w kierunku południowym, południowo-wschodnim, wokół parkingu przed teatrem Drottningholm i z powrotem. Z czasem to się stało jej rytuałem, który pielęgnowała nawet po śmierci Perły. Oczywiście już sama.

– Dalej nie rozumiem. Czy Perła to on? Znaczy samiec?

– Prawda, jakie to słodkie? – Jenny Rogersson uśmiechnęła się szeroko, a jej pełne, czerwone usta odsłoniły rząd białych zębów. – To pieśczośliwe imię, wiesz...

– Aha – powiedział Bäckström. – Czy moglibyśmy jednak...

– Przepraszam, że przerywam, ale czy moglibyśmy mimo wszystko się dowiedzieć, co tak naprawdę się stało? – zapytała Annika Carlsson lodowatym głosem, mrużąc przy tym oczy, które z jakiegoś powodu wbiła w Bogu ducha winnego Bäckströma.

– Przepraszam, pewnie za dużo naraz – powiedziała Jenny Rogersson, choć nie wyglądała, jakby było jej przykro. – Powiem raz jeszcze, w skrócie: mężczyzna, to znaczy sprawca, jest bardzo zdenerwowany, krzyczy i wyzywa drugiego mężczyznę, to znaczy ofiarę, wymachując przy tym czymś, co ma w dłoni, a co nasza świadek określiła jako grubą rurę. Nagle uderza go prosto w twarz, tak że ten przewraca się na ziemię.

Zaczyna go kopać i okładać tą rurą, ofiara pełza na czworakach po parkingu, ale sprawca nie przestaje. Potem próbuje włożyć mu to coś między nogi i wymierza mu końcowego kopniaka w tyłek. Po wszystkim odchodzi, wsiada do samochodu i odjeżdża z piskiem opon. Ofiara podnosi się z ziemi i ucieka.

– Widziała tablicę rejestracyjną? – zapytała krótko Annika Carlsson.

– Nie, nie zdążyła. Choć jest niemal pewna, że na końcu była dziewiątka i że również druga cyfra od końca to była dziewiątka. Tak więc dwie dziewiątki na końcu, duży, czarny samochód, który wyglądał na drogi. Co do tego nie ma wątpliwości.

– A ta rura? To narzędzie. Dobrze zrozumiałam, że została na parkingu?

– Właśnie. – Rogersson przytaknęła zadowolona. – Co ciekawe, okazało się, że to wcale nie była rura.

– Nie? – zapytała Annika Carlsson, wyraźnie zniecierpliwiona.

– Nie, to był katalog dzieł sztuki, który napastnik zrolował, pewnie stąd to skojarzenie. Katalog słynnego brytyjskiego domu aukcyjnego, który zajmuje się handlem sztuką. Znalazłam go w Google’u, nazywa się Sotheby’s, ma siedzibę w Londynie. Sprzedają drogie obrazy, meble, dywany i antyki, a w tym katalogu są zdjęcia przedmiotów, które sprzedano na aukcji w Londynie na początku maja. Czternaście dni później nasz sprawca używa katalogu do pobicia swojej ofiary. Mam go tu ze sobą – powiedziała Jenny Rogersson, unosząc przezroczystą koszulkę z katalogiem w zielonej oprawie i napisem „Sotheby’s” na okładce. – Nasza anonimowa świadek dołączyła go do zeznania. Znalazła go na parkingu i od razu się domyśliła, że właśnie to widziała. Katalog wraz ze zgłoszeniem przyszły w takiej zwykłej grubej kopercie, jaką można kupić na pocście. Na katalogu są ślady krwi. Zarówno rozbryzgi, jak i plamy. Biorąc pod uwagę to, co opowiedziała świadek, musi to być krew ofiary.

– Skąd wiesz, że to krew? – Annika Carlsson nie zamierzała dać za wygraną.

Nie lubią się, siostrzyczki, pomyślał Bäckström.

– Poprosiłam kolegę Hernandeza z technicznego o sprawdzenie. Plamy określono jako powstałe od krwi. Dodatkowo wysłał próbkę do CLK, żeby zbadali DNA.

– Sądziś, że nasza ofiara może być w bazie? – zapytał Bäckström. Ciekawe, z jakiego powodu. Przecież to proste, pomyślał. Jakiś cwel spuścił lanie drugiemu cwelowi. Zwykła awantura o jakiś zabytkowy wibrator należący do jeszcze innego cwela. Komu innemu przyszłoby do głowy wymachiwać katalogiem aukcyjnym?

– Nie, nie ma go – powiedziała Rogersson. – Właśnie to jest takie niesamowite w tym zgłoszeniu. Nasza informatorka rozpoznała ofiarę. To jej sąsiad. Zna go od wielu lat, więc jest pewna. Podobno mieszkają zaledwie kilka przecznic od siebie. Sprawdziłam go. Niekarany. Wygląda na to, że to ktoś z wyższych sfer. Może nawet znajomy króla. Nigdy nie wiadomo.

– Opowiedz – powiedział Bäckström. Jego przyjaciel supersalami najwyraźniej nieco się uspokoił. Pewnie stracił koncentrację przez tego zdechłego kundla albo dwóch analnych akrobatów.

– Nazywa się Hans Ulrik von Comer, baron, ze szlachty, sześćdziesiąt trzy lata. Żonaty, dwójka dorosłych dzieci, córki, obie zamężne. Wynajmuje dom, który jest własnością dworu królewskiego, zaledwie kilkaset metrów od zamku. Najwyraźniej ma powiązania z dworem, jest kimś w rodzaju doradcy, doktor historii sztuki, zdaje się, że pomaga królowi w opiece nad zbiorami dzieł sztuki i antyków. Poza tym jest właścicielem firmy, która handluje sztuką, robi wyceny, pomaga ludziom w kupowaniu i sprzedawaniu dzieł sztuki i tak dalej.

– Zgłosił to zdarzenie na policję? – zapytał Bäckström, choć już znał odpowiedź. Żonaty, dwie córki, po co niepotrzebnie niepokoić żonę? Nieźle, pomyślał.

– Nie, właśnie to jest w tym takie dziwne – powiedziała Rogersson. – Nie znalazłam jego zgłoszenia. Zadzwoiłam do niego i powiedziałam, że dostaliśmy anonimowe zgłoszenie,

z którego wynika, że został pobity, i zapytałam, czy może to jakoś skomentować. Wszystkiemu zaprzeczył. Twierdzi, że nie był nawet w mieście w tym czasie. Wydawał się zdenerwowany.

– *Surprise, surprise* – powiedział Bäckström, spoglądając demonstracyjnie na zegarek. – Okej – dodał po chwili. – Moim zdaniem możemy ze spokojem zamknąć temat. Oznacz zgłoszenie jako „niekaralne”, żeby niepotrzebnie nie zaśmiecać statystyk. Mogę potem postawić parafkę. Koniec narady. Jeśli komuś z was coś jeszcze leży na sercu, do lunchu jestem u siebie. Potem mam niestety spotkanie w komendzie wojewódzkiej, musicie jakoś dać sobie radę beze mnie.

7

Za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju wcisnął najpierw przycisk „nie przeszkadzać”. Następnie wziął trzy głębokie oddechy i otworzył górną szufladę biurka, wyjął piersiówkę i nalał sobie porządny kieliszek, a gdy jego ulubiona rosyjska wódka zaprowadziła spokój w jego niewielkim żołądku, dołożył jeszcze dwie miętówki. Dopiero potem przystąpił do podsumowania przedpołudnia.

Wszystko zaczęło się od tego, że jakaś stara baba zapomniała nakarmić królika. Nagle zrobiło się z tego dwanaście zgłoszeń dotyczących łamania prawa przez starszą, dziecienniałą kobietę i jedyne, co mógł zrobić w tej sytuacji, to odrzucić je wszystkie po kolei, żeby nie zaśmiecały niepotrzebnie statystyk jego wydziału.

Niestety wyglądało na to, że starsza pani jakimś cudem najęła wyjątkowo nieprzyjemnego typu, którego nie miał zamiaru wysłać tam, gdzie chcieli go wysłać jego szaleni koledzy z wydziału do spraw królików i chomików w City. Jak to możliwe, żeby ktoś taki jak ona znał kogoś takiego jak on, zastanowił się. To się nie składa, przecież nawet nie miała dzieci. Co tu jeszcze mamy, pomyślał, westchnął głęboko i na wszelki wypadek wziął jeszcze jeden łyk, choć zwykle unikał podobnych aktów rozpusty przed południem.

Dwóch cweli z wyższych sfer, którzy urządzili sobie galę

damskiego boksu przed zamkiem Jego Królewskiej Mości. Nieznany sprawca użył katalogu dzieł sztuki, a jego ofiara, błękitnokrwisty idiota, wszystkiemu zaprzeczyła. Co im przeszkadzało wziąć kij bejsbolowy albo zwykłą siekierę, pomyślał Bäckström i westchnął, gdy nagle ktoś zastukał do jego drzwi pomimo palącej się czerwonej lampki.

Tylko jedna osoba w tym budynku ma to gdzieś, pomyślał. Oczyszczył biurko i zamknął szufladę sekundę przed tym, jak Annika Carlsson wkroczyła do jego pokoju.

– Czuj się jak u siebie – powiedział Bäckström, nie podnosząc wzroku znad kartek.

– Dziękuję – powiedziała Annika Carlsson, kładąc na biurku wypchaną zgłoszeniami foliową koszulkę. Usiadła, nie czekając na zaproszenie. – Zebrane w całość wypociny policyjnego wydziału do spraw zwierząt – wyjaśniła. – Obiecałeś, że to zamkniesz.

– Głównie ze względu na ciebie – powiedział Bäckström.

– W takim razie pozwól, że coś ci powiem – powiedziała, odchylając się na krześle.

Annika Carlsson rozmawiała z kolegami z prewencji w Solnie, dzięki którym pani Linderoth w końcu otworzyła drzwi tym z wydziału do spraw zwierząt i pracownikom urzędu wojewódzkiego. Podobno sąsiadka pani Linderoth była bardzo zdenerwowana tym, w jaki sposób potraktowano panią Linderoth. Jej zdaniem doszło tu do nadużycia prawa.

– Z tego, co mówi Axelsson – to ten, którego mama przyjaźni się z panią Linderoth – ani koledzy z wydziału do spraw zwierząt, ani te baby z urzędu wojewódzkiego nie mieli na sobie mundurów ani żadnych widocznych służbowych odznaczeń, które pozwoliłyby się domyślić, jakie instytucje reprezentują. Zdaniem sąsiadki pani Linderoth najpierw dzwoniли do drzwi, potem zaczęli w nie walić, a w końcu jeden z nich zaczął krzyczeć przez otwór na listy, żeby otworzyła. Po chwili rzeczywiście lekko uchylila drzwi, zostawiła jednak łańcuszek i wysunęła przez szparę stary pistolet, i wtedy nasi koledzy najwyraźniej stracili rezon i zbiegli na schody.

– A ta cała Linderoth ma w drzwiach taką dziurkę do

patrzenia? – To musi być wódka, pomyślał Bäckström.

Annika Carlsson nagle poweselała.

– Nareszcie, Bäckström – powiedziała. – Teraz cię poznaję. Nie, nie ma, kazała ją zatkać. Z zewnątrz wygląda, jakby tam była, ale nic przez nią nie widać, dlatego nie mogła widzieć legitymacji policyjnych, a o wizycie policjantów nie została uprzedzona.

– Na ile wiarygodna jest ta sąsiadka?

– Mieszka na tym samym piętrze co Linderoth, ma drzwi dokładnie naprzeciwko. Kiedy nasi koledzy zaczęli się dobijać do drzwi, stanęła z okiem przyklejonym do wizjera. W którymś momencie zaczęła ich nawet nagrywać na telefon komórkowy. Obraz nie jest najlepszej jakości, za to dźwięk – znakomity. Odtworzyła mi całe nagranie z telefonu i muszę przyznać, że kolegów mamy energicznych. Ona również nie wiedziała, co się dzieje, podobno chciała nawet dzwonić na telefon alarmowy. Myślała, że to złodzieje napadający na starszki. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn, a ostatnio czytała w „Solna-Nytt”, że zwykle działają w takich właśnie mieszanych grupach.

– Rozmawiałaś z nią?

– A jak, kurwa, myślisz? Przeprowadziłam przesłuchanie przez telefon, jak będzie trzeba, mogę ją tu ściągnąć.

Teraz znów jest sobą, pomyślał Bäckström. Szczera, pełna inicjatywy, panująca nad emocjami.

– Ciekawe – powiedział Bäckström. Lepiej siedź cicho, pomyślał.

– Prawda? Zakładam, że coś z tym zrobisz – pokazała palcem na plik zgłoszeń i zerwała się nagle z krzesła. – Jeszcze coś. Ta twoja ostatnia zdobycz, ta mała Rogersson, to chyba nie był najlepszy wybór. To podobno córka twojego starego kumpla?

– Nie rozumiem? – Siedź cicho, pomyślał.

– Dziewczyna ma mleko pod nosem. Przecież to jeszcze dziecko, Bäckström. Pomimo tych balonów, na których widok ślinisz się ty i reszta kolegów z wydziału. – Annika Carlsson zatoczyła dłońmi koła na wysokości biustu, żeby pokazać, co ma na myśli.

– Nie róbmy z tego zagadnienia. – Bäckström wzruszył

ramionami. – Lepiej mieć mleko pod nosem niż gdzie indziej – wyjaśnił z miną niewiniątka. Tu cię mam, pomyślał.

– Co chcesz przez to, kurwa, powiedzieć? Co znaczy „gdzie indziej”?

– No na przykład w ustach. Wyobraź sobie, że coś mówisz i nagle mleko zaczyna ci się wylewać z buzi. To musi być bardzo nieprzyjemne – powiedział Bäckström. – A myślałaś, że o czym mówię?

Sama chciałaś, pindo, pomyślał Bäckström, dyskretnie kładąc prawą dłoń na przycisku uruchamiającym alarm, który miał zamontowany pod blatem. Na wszelki wypadek, pomyślał.

– Uważaj, Bäckström – powiedziała Annika Carlsson i spojrzała na niego, mrużąc oczy.

– Dobra – odpowiedział. – Cieszę się, że wpadłaś. Miłego dnia, Annika. Wpadaj, kiedy chcesz.

Szaleją za tobą, pomyślał, gdy wyszła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Nawet Carlsson, choć taka z niej poliamorystka.

Niecałą minutę później ponownie rozległo się pukanie, tym razem bardziej dyskretne. Ledwo zdążył zamknąć szufladę i wyjąć kluczyk.

– Wejść – ryknął, bo sądząc po dźwięku, nie mogła to być Annika Carlsson, która postanowiła złożyć mu kolejną niezapowiedzianą wizytę.

Gorzej, pomyślał, kiedy zobaczył, kto wchodzi do pokoju. Komisarz kryminalna Rosita Andersson-Trygg, u której żaden rok z pięćdziesięciu, które przeżyła na tym świecie, nie przeszedł bez śladu, wydziałowa chmura gradowa; całe szczęście akurat miał w ręku telefon.

– Wybacz, Rosita – powiedział, zatrzymując ją w progu machnięciem ręki. – Przełożmy to na jutro. Mam ważny telefon – dodał, zakrywając dłonią słuchawkę.

– Jutro? Możesz rano? To dosyć pilne. – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Jasne – rzucił i zamachał ręką, tym razem bardziej wymownie, przykładając telefon do ucha.

Muszę założyć zamek w tych cholernych drzwiach, pomyślał, gdy wyszła. Z braku lepszego pomysłu zapalił czerwoną lampkę

nad drzwiami i na wszelki wypadek przystawił do drzwi krzesło, blokując oparciem klamkę. Dopiero wtedy wrócił na miejsce, usiadł i otworzył szufladę.

Czas na jednego głębszego, postanowił. Na dworze padał deszcz. Smutny, wiosenny deszcz dzwoniący o więzienne szyby jego biura. Co za życie, pomyślał i westchnął głęboko.

8

W poniedziałek wieczorem dwudziestego siódmego maja Bäckström wygłosił przemówienie dla emerytów w Solnie o tym, jak najskuteczniej chronić się przed rosnącą przestępczością. Zaskoczył tym swoich kolegów z komendy, zwykle bowiem unikał tego typu wystąpień, a co więcej znany był z tego, że emerytów nie cierpiał z tych samych powodów, co dzieci. Byli marudni, niesłowni i trudno się było z nimi dogadać, a co gorsza domagali się zbyt wiele uwagi od ciężko pracujących i w pełni normalnych ludzi. Poza tym źle pachnieli. Emeryci i dzieci stanowili zbędne obciążenie dla społeczeństwa. Rozumieli to wszyscy myślący ludzie, a już zwłaszcza Bäckström. Tym razem jednak zrobił wyjątek.

Miesiąc wcześniej zadzwonił do niego jeden z jego licznych znajomych spoza policji. Budowlaniec i właściciel wielu nieruchomości na terenie gminy, któremu Bäckström miał już okazję pomagać w kilku różnych sprawach z obopólną korzyścią i naturalnie przy zachowaniu absolutnej dyskrecji.

– Chciałbym cię zaprosić na kolację, Bäckström – zagaił rozmowę przez telefon znajomy. – Mam dla ciebie pewną propozycję, myślę, że może cię zainteresować.

– Doskonale – powiedział Bäckström, bo cenił sobie płynność finansową.

Po kilku dniach spotkali się w ustronnej sali w jednej z lepszych knajp w City, żeby coś zjeść, napić się i porozmawiać o interesach.

Znajomy potrzebował pomocy przy swoim najnowszym projekcie skierowanym do seniorów. Osiedle mieszkaniowe z setką ekskluzywnych mieszkań, położone nad wodą w pobliżu

Karlbergskanalen, wyjątkowo bezpieczne, prawdziwe schronienie przed światem przestępczym. Przyszli mieszkańcy nie byli przeciętnymi emerytami. Najlepiej pewnie pasowałyby do nich określenie zamożni seniorzy, większość czasu bowiem spędzali na żeglowaniu i grze w golfa, degustacjach win, koncertach, dalekich podróżach i długich lunchach na toskańskiej prowincji w otoczeniu dzieci i wnuków.

Bäckström miał wątpliwości, ponieważ opis ten w ogóle nie pasował do jego osobistego poglądu na temat powiększającej się wciąż grupy starych i nikomu niepotrzebnych obywateli, którzy stanowili jedynie zbędny balast dla reszty społeczeństwa. Co znaczy: zamożni seniorzy? W jego oczach byli tylko stetryczakami starcami o krzywych zębach i z aparatami słuchowymi w uszach, sunący w oparach uryny za swoimi balkonikami. Wiecznie niezadowoleni, wyciągający rękę po pieniądze i fundusze na kolejną operację stawu biodrowego i z pamięcią przypominającą dziurawy, drewniany płot. Zresztą zwykle i tak okazywało się, że zostawili portfel w domu. Trzeba być ślepym i niespełna rozumu, żeby wybrać sobie kogoś takiego na ofiarę.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz, Bäckström – powiedział jego znajomy, nalewając Bäckströmowi kolejny kieliszek rosyjskiej wódki.

– Słucham. – Bäckström skinął głową i wlał w siebie pół kieliszka.

– To nie są zwykli emeryci – powtórzył jego gospodarz. – Mówimy o stu tysiącach obywateli, którzy kontrolują ponad połowę produktu krajowego brutto i którzy znaczną część czasu spędzają na zamartwianiu się o własne bezpieczeństwo. Pobicia, napady, kradzieże czy nawet lekkie zadrapania lakieru na karoserii ich mercedesów. Zważywszy na twój niezaprzeczalny wkład w zwalczanie przestępczości, figurujesz na pierwszym miejscu listy osób, które chcieliby poprosić o radę. Liczą na ciebie, Bäckström – zapewnił jego znajomy i żeby nie było wątpliwości, uniósł kieliszek z osiemnastoletnią whisky. – Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś popularny. Chodzi tylko o to, żebyś ich trochę nastraszył, a potem wytłumaczył,

jak ważne jest bezpieczne mieszkanie. Tą częścią zajmę się ja. Dostaniesz gotowy tekst, możesz go wykorzystać. Zapewniam cię, Bäckström, że tylko samobójca próbowałby się włamać do tej twierdzy.

– Słyszę – powiedział Bäckström. – Słyszę, słyszę – powtórzył na wszelki wypadek.

Był jednak pewien haczyk, i to wcale nie taki mały. Zgodnie z zasadami, jakie obowiązywały Bäckströma, za tego rodzaju współpracę nie mógł pobierać wynagrodzenia, a ponieważ większość dnia poświęcał pracy w policji, bardzo dbał o każdą minutę wolnego czasu, która mu pozostawała. W zamian za jego poświęcenie pracodawca mógł mu zaoferować jedynie kilka godzin wolnego. Ciekawe, kiedy niby miały znaleźć czas na tę prelekcję.

– Przechlapane, Bäckström – stwierdził jego znajomy i mrugnął okiem. – Nie chciałbym cię nadmiernie obciążać. Zrobimy, jak zawsze, kwestie praktyczne zostaw mnie. Chodzi tylko o krótkie wprowadzenie – piętnaście, dwadzieścia minut – które napisze dla ciebie nasz dział prasowy, potem kolejne piętnaście minut na pytania. Co ty na to?

– Dobra – odpowiedział, bo oczami wyobraźni widział już leżącą przed nim brązową kopertę.

– W takim razie ustalone – stwierdził znajomy. – Po prelekcji zapraszam cię na porządną kolację.

Uścisnęli sobie dłonie i wzniesli toast za wspólne interesy, a miesiąc później spotkali się znowu.

9

Spotkanie odbyło się w biurze sprzedaży, które mieściło się po sąsiedzku ze Stadionem Narodowym w Solnie. Już w wejściu do wyłożonego marmurem foyer poczuł słodki zapach pieniędzy. Liczące około setki osób audytorium wyglądało dokładnie tak, jak opisał je jego zleceniodawca. Kobiety miały na sobie kaszmirowe swetry, naszyjniki z pereł i kolorowe francuskie jedwabne szale, a ich mężowie niebieskie marynarki, kolorowe spodnie i buty ze skórzanymi

frędzelkami. Całusy na powitanie, śmichy-chichy, nosowa wymowa typowa dla wyższych sfer, kieliszki szampana w dłoniach. Biały obrus na ogromnym stole z tyłu sygnalizował, że przewidziany jest ciąg dalszy i że po zakończeniu występu Bäckströma podawane będą homary, ikra sielawy i pasztet z gęsich wątróbek. Kiedy już dzięki niemu zobaczą prawdę i światło, a przede wszystkim zrozumieją, jak ważne jest bezpieczne mieszkanie, i zarezerwują jeden z nowych apartamentów, które na nich czekały.

To nie są zwykli emeryci, pomyślał Bäckström, wodząc wzrokiem po zebranych, wśród których tylko dwie osoby się wyróżniały. Lokalne legendy, dobrze znane w komendzie, w której pracował, można powiedzieć: starzy znajomi. Pojawili się przy okazji dochodzenia w sprawie morderstwa, którym zajmował się kilka lat wcześniej. Mario Ojciec Chrzestny i Rolle Superman Stålhammar.

Ten sam Mario Ojciec Chrzestny Grimaldi, do którego, jak plotkowano w komendzie, należało pół gminy, choć regularnie wykazywał straty, i który był numerem jeden na liście życzeń funkcjonariuszy z policji skarbowej. Płonne nadzieje, bo Ojciec Chrzestny Grimaldi w ciągu swojego długiego życia nie dorobił się nawet mandatu za złe parkowanie, w związku z czym już wiele lat temu przestano się nim interesować. W dodatku, jak wynikało z licznych zaświadczeń lekarskich, cierpiał na alzheimera i nie dało się go przesłuchać. Biorąc pod uwagę jego znikome dochody, jego obecność na spotkaniu wydawała się zgoła zagadkowa.

Pomimo złego stanu zdrowia i marnej sytuacji finansowej wyglądał zaskakująco dobrze. Opalony, dystyngowany, w czarnym garniturze, białej płóciennej koszuli i bez jednego frędzla na błyszczących czarnych butach, wyglądał jak prawdziwy szef mafii.

– Znam cię – powiedział Ojciec Chrzestny i położył wypięęgnowany palec wskazujący na piersi prelegenta. – Czekaj, czekaj, nie mów – dodał, odsłaniając w uśmiechu zęby białe jak umywalka w mieszkaniu Bäckströma, a potem zamachał mu przed nosem palcem. – Już wiem! Beck,

inspektor Beck, prawda? Inspektor Evert Beck. Wiedziałem! Oglądam twój program w telewizji.

Lepiej uważaj, dowcipnisiu, pomyślał Bäckström i obdarzył go szerokim, radosnym uśmiechem à la Clint Eastwood.

– Dobrze cię widzieć, Beck – dodał po chwili Ojciec Chrzestny. – Może będziemy sąsiadami? Podobno na parterze jest jakaś kawalerka za całkiem znośną cenę, więc gdybyś...

– Bäckström jest tutaj, żeby wygłosić wykład – przerwał Rolle Stålhammar, niegdyś śledczy wydziału kryminalnego w Sztokholmie. Kilkakrotny szwedzki medalista w boksie wagi ciężkiej, poważany z powodu tężyzny fizycznej, której doświadczyło na własnej skórze tysiące bandziorów wrzuconych przez Rollego do aresztu przez czterdzieści lat jego pracy w policji. Rolle Superman Stålhammar cieszył się dobrą opinią po obu stronach barykady.

Od kilku lat był na emeryturze. Urodzony i wychowany w Solnie, kolega z dzieciństwa Maria Grimaldiego, który przyjechał do Szwecji ze swoimi rodzicami wraz z pierwszą falą imigracji w latach pięćdziesiątych, i od tego czasu jego wierny towarzysz. Poza tym stały gość na torze wyścigów konnych w Solvalli, a ponieważ, jak głosiły plotki, nie miał grosza przy duszy, jedynym powodem jego obecności w tym miejscu mogło być to, że jego najlepszy kumpel wreszcie zdecydował się go zatrudnić w charakterze osobistego lokaja. Na lokaja jednak nie wyglądał: nosił dzinsy, flanelową koszulę w kratę i zniszczoną skórzaną kurtkę, które odróżniały go od reszty towarzystwa.

– Dobrze wyglądasz, Rolle – powiedział Bäckström, uśmiechając się wesoło. – Odstawiłeś wódkę?

– Już dawno tak dobrze się nie czułem – stwierdził Stålhammar, a gdy spojrział na Bäckströma, jego oczy zrobiły się wąskie jak otwory strzelnicze. – Dzięki, że pytasz, daj znać, gdybyś miał ochotę na trzy rundki. Obiecuję, że nie będziesz długo cierpieć.

Normalnie wariat, pomyślał Bäckström i tylko pokiwał w zamyśleniu głową, bo nie miał zamiaru pozwolić, żeby zaprawione w boksie dłonie Rollego odebrały mu czekającą na

niego brązową kopertę.

Nadszedł czas, by rozpocząć. Odpowiedzialny za relacje z prasą przedstawiciel spółki przedstawił wieczornego prelegenta, publiczność przywitała go długimi oklaskami, nie przekraczając jednak norm przyjętych dla wyższych sfer.

Bäckström wywiązał się ze swojego zadania pod każdym względem. Najpierw ich nastraszył, opowiadając kilka mrozących krew w żyłach anegdot, które przytoczył z własnego, bogatego doświadczenia zdobytego na pierwszej linii policyjnego frontu. Następnie uspokoił ich informacjami zaczerpniętymi z tego samego źródła, dzieląc się przy okazji swoimi poglądami na temat tego, jak powinien działać skuteczny system zwalczania przestępczości. Na koniec podkreślił, jak ważne jest to, by przedstawiciele społecznej elity – którzy dysponowali odpowiednimi środkami i których wielu siedziało w tej sali – mogli sami zadbać o własne bezpieczeństwo. W tym kontekście zaznaczył również, jak istotne jest bezpieczne miejsce zamieszkania.

– Z przestępcami nie ma dyskusji – zakończył Bäckström i posłał publiczności pełnego Clinta. – Dać takim palec, to wezmą całą rękę, co tu dużo mówić – stwierdził, a końcowe brawa wydały mu się nieco zbyt gromkie jak na obowiązujące tu normy.

Na koniec były pytania od publiczności, z którymi poradził sobie pierwszorzędnie, a gdy schodził ze sceny, poklepywano go po plecach, ściskano dłonie i dziękowano. Nawet jego starzy znajomi, Ojciec Chrzestny Grimaldi i Superman Rolle, wyrazili swoje uznanie. Mario pojawił się w towarzystwie pewnej damy, która dostałaby pozytywną ocenę od jego supersalami, gdyby tylko dane im się było spotkać trzydzieści lat wcześniej. Atrakcyjna blondynka, wyższa o dziesięć centymetrów od Maria, sądząc po wyglądzie, znacznie młodsza od swojego kawalera, i również pod każdym innym względem podobna do kobiet, które wiązały się z mężczyznami po sześćdziesiątce, do których najwyraźniej należała Szwecja.

– Pozwól, że ci przedstawię moją ukochaną, Martin – powiedział Mario i błysnął zębami w pełnym uśmiechu.

– Pyttan cię uwielbia. Nie opuści żadnego programu z twoim udziałem.

– Pan inspektor nie myślał kiedyś, żeby zostać politykiem?
– spytała i zamachała szczupłą, opaloną prawą dłonią obwieszoną brylantami wielkości orzechów laskowych.

– Nie – odpowiedział. – Już teraz mam kupę roboty. – A więc to tak, pomyślał i spojrzął na tulącego się do Pyttan naciągacza kobiet. To ona gra tu pierwsze skrzypce. Będę musiał dać cynk kolegom.

– Wielka szkoda – stwierdziła Pyttan. – Jestem przekonana, że inspektor byłby wybitnym ministrem sprawiedliwości. Bóg mi świadkiem, że w tych czasach matka Szwecja może potrzebować każdej pomocnej dłoni, którą możemy do niej wyciągnąć. Proszę obiecać, że jeszcze się pan nad tym zastanowi – dodała i poklepała go po ramieniu.

– Obiecuję – zapewnił. Następna, pomyślał. To się nigdy nie skończy.

– Jesteś stworzony do polityki, Bäckström – wtórował Rolle Stålhammar, puszczając do niego oko, i podrapał się prawym palcem wskazującym po nosie. – Wystarczy cię posłuchać przez kilka minut, żeby zrozumieć, że naprawdę masz talent. Daj tylko znać, obiecuję, że na ciebie zagłosuję. Mój głos już masz. I jeszcze Pyttan. Razem dwa, jeśli dobrze liczę.

Psychol, szkoda z takim gadać, pomyślał Bäckström. Skinął głową do Maria i Rollego, musnął wyciągniętą w jego stronę kruchą dłoń Pyttan. W drodze do wyjścia podziękował prowadzącemu, który zapraszał go do bufetu. Miał ważne sprawy na głowie, które wymagały jego obecności w komendzie w Solnie. Kiedy wyszedł na ulicę, czekała już na niego wielka czarna limuzyna.

– Zapraszam pana inspektora – powiedział szofer i otworzył przed nim tylne drzwi.

– Wielki sukces, Bäckström – stwierdził jego zleceniodawca, gdy usiedli przy tym samym stoliku, przy którym siedzieli miesiąc wcześniej. – Przed chwilą rozmawiałem z jednym z moich współpracowników, nie mógł się ciebie nachwalić. No, ale czego innego można się było spodziewać – dodał, wznosząc

toast.

– Dziękuję – powiedział Bäckström, unosząc kieliszek, wziął do ręki grubą brązową kopertę, dyskretnie wsuniętą pod jego talerz, i przełożył ją w bezpieczniejsze miejsce, do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Tak się właśnie zastanawiam – powiedział, bo przypomnieli mu się Mario i Rolle.

– Zamieniam się w słuch.

– Spotkałem tam mojego starego znajomego, Maria Grimaldiego, który najwyraźniej jest zainteresowany twoimi bezpiecznymi mieszkaniami.

– Ojciec Chrzestny – odpowiedział jego gospodarz z lekkim uśmiechem. – Rozumiem, co masz na myśli. W waszych rejestrach można pewnie o nim przeczytać, że jest splukany i nie ma z nim kontaktu.

– Mniej więcej – przyznał Bäckström. – A jak jest naprawdę?

– Całkiem na odwrót – odpowiedział, obracając w palcach kieliszek. – Przez te wszystkie lata wyświadczył mi niejedną przysługę. Wiesz, z rodzaju tych, których się nie odrzuca.

– Mario był w towarzystwie mojego dawnego kolegi, Rollego Stålhammara, którego wszędzie ze sobą zabiera. Co o nim wiesz?

– Nigdy o nim nie słyszałem – odpowiedział znajomy.

– Mówisz, że to były policjant? Mario zna wszystkich, załóż się, że twoich kolegów również.

– Nieważne – powiedział Bäckström, wzruszając ramionami. Ciekawe, kim byli wszyscy pozostali.

Gdy po kilku godzinach Bäckström kładł się spać, otworzył brązową kopertę i przeliczył zawartość. Kogo, kurwa, stać na to, żeby zostać ministrem sprawiedliwości, pomyślał, pokręcił głową i wsunął kopertę pod poduszkę. Po chwili zasnął. Spał głęboko, zbudziły go dopiero krople deszczu uderzające o parapet za oknem sypialni.

Felicia Pettersson miała dwadzieścia osiem lat, od pięciu była policjantką i pewnie dalej pracowałyby w prewencji, gdyby nie

to, że kilka miesięcy wcześniej podczas meczu hokeja zerwała więzadła. Kontuzja okazała się poważna i trudno ją było pogodzić z dotychczasową pracą. W związku z tym na ponad miesiąc trafiła do recepcji komendy i właśnie tam zobaczył ją Bäckström. Był piątek przed południem, a jemu dopisywał humor, ponieważ właśnie wybierał się na Kungsholmen na ważne spotkanie w porze lunchu.

– A ty co tu, kurwa, robisz? – zdziwił się i już po tygodniu Felicię przesunięto do jego wydziału do spraw przestępstw z użyciem przemocy.

Bäckström miał słabość do Felicii, choć pewnie nie powinien, biorąc pod uwagę jej pochodzenie i to, co mówili o nim złośliwi w policji. Felicia urodziła się w Brazylii, wychowała w domu dziecka w São Paulo i została adoptowana przez szwedzkie małżeństwo policjantów mieszkających na wyspach jeziora Melar na obrzeżach Sztokholmu.

Kilka lat wcześniej, kiedy odbywała praktyki na wydziale kryminalnym w Solnie, pomagała Bäckströmowi w dochodzeniu w sprawie podwójnego zabójstwa i zdobyła jego sympatię, ponieważ w odróżnieniu od swoich ograniczonych kolegów rozumiała, co Bäckström ma na myśli, i zawsze robiła, co do niej należało. Nawet jeśli Bäckström był zdania, że prawdziwy policjant z definicji jest mężczyzną, a prawdziwa kobieta może oddać się znacznie bardziej subtelnym czynnościom – na czym dokładnie miałyby one polegać, wolał jednak zachować dla siebie.

Po poniedziałkowej naradzie bezpośrednia przełożona Felicii, Annika Carlsson, postanowiła, że razem przeprowadzą kolejne przesłuchanie Fridy Fridensdal i sprawdzą, czy uda jej się wskazać mężczyznę, który wtargnął do jej mieszkania i jej groził.

W związku z tym Felicia Pettersson spędziła resztę dnia na typowaniu sprawców na podstawie opisu poszkodowanej. Nie było to zbyt porywające zadanie i gdy skończyła, miała w swoim komputerze ponad setkę zdjęć zrobionych na terenie Sztokholmu i okolic przedstawiających mężczyzn, którzy według danych policji byli w stanie wyrządzić swojej ofierze to,

co uczynił sprawca, którego szukali.

W tym samym czasie Annika Carlsson rozmawiała z wyjątkowo oporną Fridą Fridensdal, którą udało się przekonać do współpracy dopiero po długich namowach.

Zgodziła się na spotkanie następnego dnia o dziewiątej rano, pod warunkiem że policjantki przyjadą do jej biura i że nie zajmie to więcej niż pół godziny.

11

– Co o tym sądzisz? – zapytała Felicia, gdy wsiadły do samochodu we wtorek rano.

– Źle z nią – odpowiedziała Annika Carlsson. – Naprawdę źle, miejmy nadzieję, że się uda. Trudno, musimy jakoś dać sobie radę – powiedziała, skinęła głową do młodszej koleżanki i z uśmiechem szturchnęła ją lekko w ramię.

– Może ja będę jej pokazywała zdjęcia, a ty będziesz patrzyła, jak reaguje? – zaproponowała Felicia.

– Też o tym pomyślałam – powiedziała Annika. Jeśli ma się szczęście, można to dostrzec w ich oczach, jeszcze zanim zaczną kręcić głową, pomyślała.

Kwadrans później weszły do firmy, w której pracowała Frida Fridensdal, i Annika Carlsson, która była tu już wcześniej, zauważyła, że tym razem obok recepcjonistki stał ochroniarz z Securitas, który na ich widok skinął głową i uśmiechnął się.

– Jesteśmy z policji – powiedziała Annika Carlsson, wyjmując legitymację. – Mamy się spotkać z Fridą.

– Już na was czeka – recepcjonistka skinęła głową z uśmiechem. – Korytarzem w lewo, trzecie drzwi – dodała, pokazując. – Na miejscu czeka kawa i woda.

– Dziękujemy – powiedziała Annika.

Żadna z nich nie chciała kawy ani wody, a już tym bardziej poszkodowana. Na pytanie Anniki pokręciła tylko głową.

– Nie, chcę to mieć jak najszybciej z głowy – stwierdziła.

– Okej – odpowiedziała Annika i poklepała ją lekko po ramieniu. – Załatwione – dodała.

Usiadły przy stole konferencyjnym. Felicia przed laptopem,

tuż obok niej poszkodowana – tak blisko, że czuła jej oddech i bijący od niej strach. Annika Carlsson zajęła miejsce z boku, żeby widzieć wyraz twarzy Fridy podczas przeglądania zdjęć.

Jak mogłabym cię opisać? – zastanowiła się Felicia, podnosząc ekran i włączając komputer. W średnim wieku, szczupła, przeciętna, zarówno pod względem urody, jak i stroju. Choć akurat teraz w jakiś sposób wymyka się przeciętności, pomyślała. Teraz widzę kobietę na granicy załamania.

– Okej – powiedziała Felicia. – Jedziemy. Przyjrzyj się uważnie. Bez nerwów, wystarczy, że pokiwasz głową, i przejdziemy dalej. Jeśli kogoś rozpoznasz albo będziesz się chciała lepiej przyjrzeć, wystarczy, że powiesz.

– Okej – powiedziała Frida, wciskając kostki prawej dłoni w usta.

Na pierwsze zdjęcia reagowała tylko krótkimi przeczącymi ruchami głowy, ale w miarę jak ukazywały się kolejne, coraz trudniej było jej na nie patrzeć.

Niby jak, do cholery, ma wytrzymać sto dwadzieścia zdjęć, pomyślała Annika Carlsson i w tej samej chwili zobaczyła w oczach Fridy to, na co czekała. Sekundę później również to usłyszała.

– To on – krzyknęła Frida Fridensdal, chowając twarz w dłoniach. – Boże, wyłącz to. Wyłącz to, natychmiast! – krzyknęła, zerwała się z krzesła, obróciła plecami do ekranu i rozplakała. Dygotała na całym ciele.

Numer 25, pomyślała Annika Carlsson, a że nie była nowa w swoim fachu, nie potrzebowała komputera Felicii, by wiedzieć, kim jest mężczyzna na zdjęciu. Angel Garcia Gomez, najgorszy los, jaki można było wyciągnąć w tej loterii.

Felicia również go rozpoznała. Co prawda nigdy go nie spotkała, ale zapadł jej w pamięć poprzedniego dnia, kiedy przygotowywała zdjęcia. Angel Garcia Gomez, pomyślała. Dziecko imigrantów. Matka pochodziła z Chile, przyjechała do Szwecji jako uchodźczyni polityczna na początku lat siedemdziesiątych, ojciec nieznanym. Angel Garcia Gomez miał trzydzieści pięć lat. W swoim środowisku znany był raczej jako El Loco, Szaleniec.

Ciekawe, dlaczego go tak nazywają, pomyślała, zapisując jego zdjęcie na dysku. W policyjnych kartotekach nie znalazła na jego temat żadnej wzmianki. Przystojny, uśmiechnął się nawet do aparatu, kiedy robili mu zdjęcie. W porównaniu z resztą towarzystwa nie był nawet specjalnie obciążony formalnymi zarzutami. Niemal wszystkie oskarżenia, jakie mu stawiano, ostatecznie oddalano.

Potrzebowały sterty chusteczek do nosa i pół godziny czułych gestów i uspokajającej rozmowy, żeby pokrzywdzona doszła do siebie. Chwilę potem zrozumiały, że śledztwo właśnie dobiegło końca.

Frida Fridensdal wzięła kilka głębszych oddechów. Następnie spojrzała Annice Carlsson prosto w oczy i skinęła głową, jakby chciała zaznaczyć, że mówi serio.

– Chcę wycofać swoje zgłoszenie. Nie chcę z tym mieć nic wspólnego. Chcę mieć spokój.

– Nie bój się – powiedziała Annika Carlsson. Ukucnęła przed nią, złapała ją za ręce, ścisnęła. Jakby miała przed sobą dziecko.

– Mam was gdzieś. Chcę mieć spokój. Nie mam zamiaru w tym uczestniczyć ani sekundę dłużej. Rozmawiałam już z moim adwokatem. Mówi, że nie możecie mnie zmusić do zeznań.

Potem znów się rozpląkała. Zrezygnowana, zapłakana, kręciła głową jak ktoś, kto już podjął decyzję.

12

Podczas gdy Carlsson i Pettersson były zajęte pocieszaniem poszkodowanej, Bäckström właśnie dotarł do biura po ośmiu godzinach spokojnego snu i zjedzeniu pożywnego śniadania. Nawet kierowca taksówki, którą pojechał do pracy, zachowywał się jak człowiek. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Dopiero kiedy zatrzymał się przed komendą w Solnie, a Bäckström zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu gotówki, zapytał:

– Inspektor Bäckström, prawda? To pan zabił tych

cholernych Irańczyków, prawda?

– A pan to kto? – zapytał Bäckström. Sądząc po akcencie i wyglądzie, wypisz, wymaluj Arab, pomyślał. Jeśli coś knuje, zaraz dostanie do powąchania małego Siggego.

– Jestem z Iraku. Ten kurs ma pan gratis – odpowiedział kierowca z szerokim uśmiechem, pozdrowił go zaciśniętą pięścią i odjechał.

Wtorek to już nie poniedziałek, pomyślał Bäckström, siadając za biurkiem z kubkiem świeżej kawy w rękę, i zapalił czerwoną lampkę nad drzwiami. Miał coś do załatwienia i musiał się pospieszyć, jeśli nie chciał się spóźnić na lunch.

Wybrał numer szefa wydziału do spraw zwierząt, inspektora Lovego Lindströma. Sądząc po imieniu i zakresie obowiązków, ciota jak wszyscy inni, niezależnie od płci, ośmieszający policję i jej świętą misję.

– Bäckström – powiedział, co wystarczało za powitanie komuś, kto był najbardziej znanym i szanowanym policjantem w kraju.

– Dobrze cię słyszeć, Bäckström – ucieszył się Lindström.

– Domyślam się, dlaczego dzwonisz. W czym możemy ci pomóc? Trafiała już do nas ta przykra sprawa.

– Czy ja wiem? – powiedział Bäckström. – Pytanie raczej, w czym ja mogę pomóc tobie.

– Nie rozumiem?

– Krótka piłka – powiedział Bäckström. Chyba nagle posmutniał, pomyślał.

Najpierw opisał sprawcę, starsza, samotna kobieta, zagubiona staruszka chwiejąca się nad grobem, a potem przeszedł do relacji z zatrzymania, które przeprowadzili dwaj koledzy Lindströma wspólnie z dwiema pracownicami urzędu wojewódzkiego.

– Czworo młodych osób, co najmniej dwukrotnie od niej młodszych, z krzykiem dobija się do jej drzwi. Żadne z nich nie ma na sobie munduru, wszyscy w cywilnych ubraniach, nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, żeby pokazać legitymację. Być może to nie takie dziwne, że bierze ich za gang napadający na staruszki i próbujący się włamać do jej

mieszkania. Właśnie tak rozumie to, co się dzieje.

– Czekaj, czekaj. Przecież pokazali legitymacje. Nie wierzę, żeby było inaczej.

– Tak mówisz – powiedział Bäckström. – Ale skąd to wiesz?

– Zaczekasz chwilę? – odpowiedział stłumionym głosem Lindström, wyraźnie spięty.

– Jasne – odpowiedział Bäckström. Robi się coraz lepiej, pomyślał.

– Przepraszam, że musiałeś czekać – odezwał się Lindström po pięciu minutach. – Przed chwilą rozmawiałem z moimi kolegami, obaj zapewniają, że się wylegitymowali. Jeśli pani Linderoth twierdzi coś innego, to obawiam się, że kłamie.

– Tak? – powiedział Bäckström. – No to powiedz, jak niby to zrobili?

– Kolega Borgström, Thomas Borgström, wyciągnął legitymację i przytrzymał ją przed wizjerem, i jednocześnie głośno i wyraźnie wyjaśnił, że są z policji i po co przyszli. Drugi kolega, który również dla nas pracuje, Bodström, Claes Bodström, to potwierdza.

– Przed wizjerem? Borgström przytrzymał legitymację przed wizjerem w drzwiach pani Linderoth? I kolega Bodström potwierdza, że tak właśnie było?

– No tak, wiesz, mają teraz takie we wszystkich nowych budynkach. Ten, w którym ona mieszka ma zaledwie kilka lat.

– No to obawiam się, że mamy problem – powiedział Bäckström.

– Problem? Nie rozumiem?

– Pani Linderoth nie ma w drzwiach wizjera. W każdym razie działającego. Wszyscy jej sąsiedzi mają, ale ona nie. Gdy zarząd spółdzielni chciał go jej założyć, sprzeciwiła się, ale ponieważ jej nie posłuchali i mimo wszystko go zamontowali, kazała go zakleić. Bała się, że będzie można zajrzeć do jej mieszkania. Tak jak mówiłem, zaczyna tracić kontakt z rzeczywistością, często tak bywa ze starszymi ludźmi.

– Ciekawe. Byłeś tam?

– Niestety to prawda – stwierdził Bäckström bez wchodzenia w szczegóły. – Zresztą mamy świadka. Sąsiadkę, która mieszka

na tym samym piętrze i widziała całe to tak zwane zatrzymanie i z jakiegoś powodu dała ten sam opis co staruszka Linderoth.

– Cóż, słowo przeciwko słowu. To chcesz powiedzieć.

– Przykro mi – powiedział Bäckström. – Tym razem to nie takie proste. Nawet bez postępowania przeciwko twoim podwładnym w związku z niedopełnieniem przez nich obowiązków muszę stwierdzić, że tym razem jest znacznie gorzej. Tak naprawdę to bardzo źle, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Wspominałem już, że dzwonię z komórki? Niezła zabawka, ma kamerę, mikrofon i dyktafon. – To ci ćwieka zabiłem, ty cioto, pomyślał.

– Słyszę, co mówisz, ale...

– Mam dwie propozycje – przerwał Bäckström. Zanim naprawdę zrobisz w spodnie, pomyślał.

– Słucham, słucham cię przez cały czas.

– Najprościej byłoby pewnie, gdybym ściągnął tu twoich kolegów i te dwie z urzędu wojewódzkiego na przesłuchanie.

– No tak, ale to chyba nie jest konieczne?

– Miejmy nadzieję, że nie. Ponieważ i tak miałem zamiar to zamknąć i jeśli jesteś ciekaw, dotyczy to wszystkich: twoich kolegów, pracowników urzędu wojewódzkiego, naszego świadka, jak również starszej pani Linderoth.

Tacy to od razu się łamią, pomyślał Bäckström, gdy skończył rozmowę. Dokładnie w chwili, gdy włożył rękę do kieszeni, żeby wyjąć klucz, otworzyć szufladę i wlać w siebie kilka zasłużonych kropli, ktoś zapukał do drzwi. Zabrzmiało to raczej jak walenie pięścią. Całe szczęście, że nie zdążył jeszcze zamontować zamka, bo wtedy na pewno wyważyłaby drzwi kopniakiem.

– Siadaj, proszę, Anniko – powiedział Bäckström, wskazując krzesło dla gości.

– Cholera jasna – powiedziała Annika Carlsson, rozkładając ręce. – Cholera jasna.

– Opowiadaj – zachęcił ją Bäckström, choć już się domyślił, co się stało z Fridą Fridensdal i zgłoszeniem, które z pewnością doprowadziłoby do wyroku skazującego za stosowanie gróźb karalnych, gdyby tylko poszkodowana dała radę dotrzeć do sprawy sądowej.

– Nasza poszkodowana jest kompletnie załamana – westchnęła Annika Carlsson i wzruszyła bezradnie ramionami. – Zdażyła go wskazać, ale potem wszystko się spieprzyło.

– Kto to był? – zapytał Bäckström.

– Angel Garcia Gomez.

No to ładnie, pomyślał Bäckström, ciekawe, jak ma teraz powiązać tego szaleńca z osobą pani Linderoth.

– Podobno powiedział na nią Elizabeth.

– Jest pewna?

– Na sto procent. Gdybyś widział, jak zareagowała, kiedy zobaczyła jego zdjęcie. Nie miałbyś żadnych wątpliwości.

Angel Garcia Gomez, pomyślał Bäckström. Takich nie zaprasza się do domu na herbatę.

– Ale się wycofała?

– Całkowicie, zresztą przed chwilą dzwonił jej adwokat i zażądał natychmiastowego umorzenia śledztwa.

– Pff – parsknął Bäckström. – Nie on o tym decyduje.

– Co robimy?

– Trzeba się dowiedzieć, co takiego łączy naszą staruszkę z Garcją Gomezem.

– Niczego takiego nie znalazłam – westchnęła Annika Carlsson. – Nic z tego nie rozumiem.

– Na tym właśnie polega urok tej roboty – powiedział Bäckström w zamyśleniu.

– Najprościej byłoby ją o to spytać, to znaczy panią Linderoth.

– E tam! – powiedział Bäckström i pokręcił głową.

– Najpierw mimo wszystko spróbujemy się czegoś dowiedzieć. A potem ewentualnie możemy z nią porozmawiać. Gadałaś z Axelssonem? Zdaje się, że to jego matka знаła tę staruszkę?

– Tak, przed chwilą. Nie ma pojęcia. Zaskoczyło go tak samo jak ciebie i mnie.

– Dziwne – powiedział Bäckström. W głowie się, kurwa, nie

mieści, pomyślał.

– Okej. A jak ci idzie z tymi zgłoszeniami? – zapytała Annika Carlsson i pokazała głową na plastikową koszulkę leżącą na biurku Bäckströma.

– Załatwione – powiedział Bäckström. – Zwykle nieporozumienie. Takie rzeczy się zdarzają. A ty co myślałaś?

– Nie jesteś taki zły, Bäckström – powiedziała Annika Carlsson, uśmiechnęła się pod nosem i wstała.

Szaleją za tobą, pomyślał Bäckström, gdy zniknęła za drzwiami. Czas już na lunch, pomyślał. Gdyby tylko ci wszyscy idioci przestali co chwila pukać do jego drzwi.

– Wejść! – ryknął.

14

Chociaż zjadł pożywny lunch, ukoił pragnienie i wyrównał poziom cukru we krwi, Bäckström czuł się tak przybity, że nie był w stanie wyjść z pracy i udać się do domu, by zafundować sobie parogodzinną życiodajną drzemkę.

Marność nad marnościami, pomyślał, gdy wrócił do biura i do tych wszystkich, którzy uwieszeni na klamce jego drzwi szukali rady i wsparcia. Wyglądało na to, że nawet przestępcy stracili werwę i nie dawali im okazji do wykazania się w dziedzinie walki z przestępczością, dziesiątkując swoje własne zastępy. Niedługo minie pół roku, od kiedy dostał do prowadzenia prawdziwą sprawę zabójstwa, a teraz co? Stara wariatka, która zapomniała nakarmić królika, i jakiś analny akrobata, który próbował zathuc na śmierć innego cyrkowca katalogiem dzieł sztuki. Poza tym padało trzeci dzień z rzędu, a w dodatku najwyraźniej zapomniał wyłączyć telefon.

– Bäckström – powiedział do słuchawki. Matka Szwecja stoi nad grobem, pomyślał.

– Cześć, szefie, mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedziała Felicia Pettersson. – Ma szef pięć minut?

– Jasne – powiedział Bäckström. – Pod warunkiem, że przyniesiesz podwójne latte. – W tym kolorze co ty, pomyślał.

– Yes, boss. *Coming right up* – powiedziała Felicia.

Że też jej się chce, pomyślał. Może Brazylijki mają to we krwi. Felicia nie przyszła z niczym konkretnym. W każdym razie z niczym, co wiązałoby się z zakresem jej obowiązków. Przyszła, żeby mu podziękować.

– Rozmawiałam z Anniką – powiedziała Felicia. – Podobno szef oddalił zgłoszenia przeciwko tej biednej pani Linderoth.

– Nie ma za co – powiedział Bäckström. Całkiem ładna, pomyślał. Choć może trochę za bardzo opalona.

– Przez tę historię z panią Linderoth przypomniał mi się mój dziadek. On też kocha zwierzęta, choć ostatnio nie jest z nim najlepiej. Ma szef pięć minut?

– Jasne – powiedział Bäckström. Ciekawe, co staruch zrobił? Pewnie niechcący spuścił swojego szczeniaka w kiblu, pomyślał. Albo próbował się nim podetrzeć. Otwierało się tu bardzo wiele ciekawych możliwości i Bäckström od razu poczuł się trochę lepiej.

Od kilku lat dziadek Felicii mieszkał w domu starców na jednej z wysp jeziora Melar. Odwiedzała go kilka razy w tygodniu; niestety przez ostatni rok wyraźnie podupadł na duchu.

– Pewnie nie ma lekko – westchnął Bäckström. *Surprise, surprise*, pomyślał.

– Ale od kilku miesięcy jest jak inny człowiek. Wesoły, pełen energii. Tak jak kiedyś. Teraz już nawet pamięta, jak się nazywam.

– Cieszę się – powiedział Bäckström. – Jak to się stało? – Co mam, kurwa, powiedzieć, pomyślał.

– Wszystko się zmieniło od czasu, kiedy do ich domu przydzielono psa opiekuna.

– Psa opiekuna? – O czym ona, kurwa, mówi, pomyślał, a przed jego oczami ukazał się obraz wielkiego bernardyna merdającego wesoło ogonem, z beczułką koniaku zawieszoną na szyi.

Kilka miesięcy wcześniej personel domu opieki kupił swoim podopiecznym psa opiekuna. Wielkie psisko z miękkim futrem biegało po oddziale, a pensjonariusze klepali je po grzbiecie i drapali pod pyskiem.

– Coś niesamowitego – powiedziała Felicia Pettersson.

– Kiedy byłam tam w niedzielę, wskoczył do łóżka dziadka i jak gdyby nigdy nic położył się obok, a dziadek leżał i go głaskał. Gdyby tylko szef widział minę dziadka. Cieszył się jak dziecko. Piękny widok.

Dobry Boże, pomyślał Bäckström. Próbuje mnie uśmiercić tak młodo, pomyślał. Od dawna wiedział, że gdy nadejdzie czas, sam rozwiąże problem i utnie sobie ostatnią pogawędkę z małym Siggem, bo nie pozwoli, żeby jakiś kundel wycierał się w jego jedwabną piżamę i lizał go po twarzy, kiedy będzie leżeć przykuty do łóżka.

– Brzmi fantastycznie – powiedział Bäckström. Co mam, kurwa, powiedzieć, pomyślał.

– Wtedy przysłała mi na myśl starsza pani Linderoth – powiedziała Felicia. – Sprawdziliśmy ją, jest pod opieką specjalistycznej kliniki dla pacjentów z demencją i z wczesnymi objawami alzheimera. Klinika mieści się w Solnie i wygląda na to, że jest prowadzona przez prywatną firmę, ale nie mają w niej zwierząt. Zadzwoiłam tam, żeby o to zapytać. I wtedy właśnie pomyślałam, że mogłabym im podsunąć pomysł, żeby kilka kupili. Może psa albo kota, kilka królików na pewno też by się sprawdziło. Z uwagi na starszą panią Linderoth i resztę staruszków. Wtedy nie musiałyby się już o nie troszczyć sama.

Co się, kurwa, dzieje, pomyślał Bäckström. Wydawało mi się, że pracuję w komendzie, a nie że przypadkiem zawędrowałem do weterynarza. Laleczka jest chyba szurnięta, pomyślał.

– Wiesz co, Felicia? – powiedział Bäckström. Uśmiechnął się wesoło i na wszelki wypadek spojrzął na zegarek. – Fantastyczny pomysł. Naprawdę.

– Dziękuję, szefie – powiedziała Felicia. – Dziękuję, wiedziałam, że szef mnie zrozumie.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, Bäckström zerwał się z biurka, zarzucił płaszcz i wybiegł z pokoju. Najwyraźniej w ostatniej chwili, bo Rosita Andersson-Trygg już była w drodze do jego pokoju.

– Bäckström, muszę z tobą porozmawiać! Obiecałeś.

– Jutro – zawołał. – Musimy to przełożyć na jutro – dodał, kręcąc głową i wymachując ręką.

Wyszedł na ulicę i w ostatniej chwili udało mu się złapać odjeżdżającą taksówkę.

– Dokąd chce pan jechać? – zapytał kierowca, włączając taksometr.

– Nieważne, niech pan jedzie – powiedział Bäckström wyraźnie zniechęcony. Co się dzieje z matką Szwecją, pomyślał. Dokąd to wszystko zmierza?

15

Przez niemal całą środę dwudziestego dziewiątego maja inspektorowi kryminalnemu Evertowi Bäckströmowi udało się trzymać z dala od pracy. Był to efekt dobrze przygotowanego planu działań, jako że już poprzedniego wieczoru ustawił na komórce komunikat „pracuję w domu” do godziny jedenastej przed południem, a następnie „konferencja w komendzie głównej” od pierwszej po południu. W zasadzie wystarczyło, że na chwilę wejdzie do biura, potem mógł spokojnie obrócić się na pięcie i wrócić do domu, żeby jeszcze poleżeć w łóżku, zjeść lunch i uciąć sobie poobiednią drzemkę. Tak by to właśnie wyglądało, gdyby nie Rosita Andersson-Trygg, która najwyraźniej warowała pod jego drzwiami przez całe przedpołudnie, a potem, gdy tylko otworzył drzwi do gabinetu, bez pardonu wepchnęła się do środka.

Teraz siedziała na krześle dla gości. Załzawione oczy, chuda, smutna, nieciekawa.

– Słucham, Rosita – powiedział, skinąwszy zachęcająco w jej stronę. – Rozumiem, że coś ci leży na wątrobie.

Komisarz kryminalna Rosita Andersson-Trygg przyszła, żeby wyrazić swoje niezadowolenie ze sposobu, w jaki Bäckström organizował pracę wydziału, i na wszelki wypadek przyniosła kartkę z notatkami, żeby nie zapomnieć, co chce powiedzieć.

Po pierwsze nie podobał jej się pogardliwy ton, w jakim wypowiadał się na temat kolegów z wydziału do spraw zwierząt i ich ważnej misji. Według niej było to bardzo widoczne podczas poniedziałkowej narady. Dlatego zdecydowała się przedstawić mu swój punkt widzenia. Policja poświęcała

stanowczo zbyt dużo uwagi ludziom i ich rzekomym problemom, co odciągało uwagę od niewinnych zwierząt, które zarówno indywidualnie, jak i zbiorowo doświadczały niewyobrażalnych cierpień.

– Słucham, słucham – powiedział Bäckström. – Mów dalej.
– Pokiwał zachęcająco głową. Uśmiechnął się przyjaźnie i ośmielił ją gestem prawej dłoni. Autorska strategia rozpraszająca, bułka z masłem, pomyślał.

Rosita Andersson-Trygg z początku nie mogła ukryć zdziwienia, potem jednak wzięła głęboki wdech i spróbowała raz jeszcze.

Kroki, które podjęli koledzy z wydziału do spraw zwierząt na podstawie decyzji podjętej przez urząd wojewódzki, były, w jej ocenie, dalece uzasadnione. Pani Linderoth była ewidentnie niezdolna do opieki nad zwierzętami. W odróżnieniu od niego zapoznała się z materiałami, które stanowiły podstawę decyzji wydanej przez urząd, i starannie przeczytała wszystkie sześć zgłoszeń, które Frida Fridensdal złożyła na policji i w urzędzie w ciągu ostatniego roku. Między innymi znalazła się tam rozdzierająca serce historia królika, który o mało co nie został rozszarpany przez jamnika mieszkającego w tym samym budynku. Na szczęście właścicielka psa w ostatniej chwili zdążyła go powstrzymać.

– No tak, masz rację – powiedział Bäckström i pokręcił zasmucony głową. – Rzeczywiście, to coś okropnego.

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego...

– W pełni się z tobą zgadzam – przerwał Bäckström i energicznie skinął głową. – Chcesz powiedzieć, że jamnik Fridensdal o mało co nie rozszarpał tego króliczka?

– Nie, tego nie powiedziałam. Fridensdal nie ma jamnika. To dlatego odeszła z Przyjaciół Zwierząt. W ten sposób wyraziła swój sprzeciw wobec ich niemal patologicznego zainteresowania kotami, psami, końmi i wszystkimi innymi futrzanymi czworonogami, które służą tylko zaspokajaniu egoistycznych potrzeb. To dlatego razem z kilkorgiem innych członków założyła Ligę Obrony Braci Mniejszych.

– A to dobrze – powiedział Bäckström i odetchnął z ulgą.

– To dobrze. Przez chwilę wydawało mi się, że to był jamnik Fridensdal.

– Nie rozumiem...

– Całkowicie się z nią zgadzam – przyznał Bäckström.
– Dorastałem w otoczeniu psów i kotów, ale od kiedy wyprowadziłem się z domu i mogę sam decydować, wybieram całkiem inne zwierzęta.

– Jakie na przykład? – Rosita Andersson-Trygg spojrzała na niego podejrzliwie.

– Niech pomyślę – Bäckström zawiesił głos. – Sporo się tego nazbierało przez te wszystkie lata. Miałem na przykład złotą rybkę o imieniu Egon. Niezły był z niej urwis. Kapitalny pływak. Teraz mam papugę, nazywa się Izaak. Potrafimy ze sobą przegadać cały dzień. O tak, przez mój dom przewinęło się wielu małych przyjaciół. Właśnie, mam też patyczaka.

– Patyczaka?

– Owszem, to są bardzo ciekawe stworzenia. Nazwałem go Patyk. Tak – powiedział Bäckström. – Patyk. Wiesz co? Jestem pewien, że rozumie, kiedy do niego mówię. Wyraźnie się rozpromienia, kiedy mówię do niego po imieniu. Stawiam go sobie na stole podczas śniadania. Mieszka w takim szklanym akwarium, no wiesz. I tak mieszkamy sobie w trójkę, Izaak, Patyk i ja.

Przez pierwszą minutę siedziała cicho. Potem zamachała szybko rękoma przed oczami. Odchrząknęła kilka razy, jakby chciała nabrać powietrza.

– Słyszę, co mówisz, Bäckström. Nie twierdzę, że łiesz mi prosto w oczy, ale nie pasuje mi to do twoich wypowiedzi z przedwczoraj.

– Nie rozumiem? – zapytał Bäckström z niewinną miną.

– Jeśli dobrze pamiętam, na ostatnim zebraniu w poniedziałek nazwałeś naszą informatorkę, Fridę Fridensdal, wiedźmą.

– To zwykłe nieporozumienie – powiedział Bäckström z urażoną miną. – Źle to wszystko zrozumiałem. Liga Obrony Braci Mniejszych. Myślałem, że porzuciła opiekę nad zwierzętami, żeby się zajmować jakimiś bachorami. Że to dlatego odeszła z Przyjaciół Zwierząt. Nie przez to chore

cackanie się z psami i kotami.

– Jakimi bachorami?

– No wiesz, takimi szczeniakami, co malują sprejem po wagonach i wyrrywają nóżki świerszczowi Hipolitowi. Wiesz, o czym mówię?

Najwyraźniej nie do końca. Jej twarz stężała i gdyby jeszcze trochę zaczekał, stałby się świadkiem cudu. Byłby pierwszym człowiekiem w historii, który zobaczyłby, jak jego rozmówcy ze zdziwienia oczy wyskakują z orbit.

– Wiesz co – powiedział Bäckström, unosząc prawą rękę w przyjaznym geście, żeby ją powstrzymać, zanim się pozbiera.

– Znasz Cajsę, prawda? Naszą panią komendant. Cajsę od szczura?

– Tak, jesteśmy w tym samym stowarzyszeniu Policjantki dla Zwierzaków.

– Tak właśnie myślałem. Zawsze byłem jej wielkim sympatykiem. Dzień, w którym objęła stanowisko szefowej wydziału opieki nad zwierzętami, uważam za kluczowy w historii szwedzkiej policji.

– Ach tak! Co do tego jesteśmy więc zgodni.

– Naturalnie. Co więcej podzielam zainteresowania naszej drogiej komendant wojewódzkiej. Ty z pewnością też. Pewnie wiesz, jak bardzo kocha szczury?

Rosita Andersson-Trygg pokiwała głową.

– To tak jak ja – powiedział, odchylił się na krześle i uniósł rękę, jakby chciał objąć nimi cały świat.

– Zawsze kochałem szczury – mówił dalej. – Szczury i myszy. Duże szczury, małe szczury, japońskie szczury łyse, takie bez sierści, na pewno o nich słyszałaś. Nie mówiąc już o myszach, myszach leśnych, ryjówkowatych, japońskich i oczywiście zwykłych myszach domowych. – Bäckström opuścił rękę i uśmiechnął się. A nawet o szczurach golonych, pomyślał. Delikatesy na miarę ambrozji, o których ani ty, ani twoja koleżanka Cajska nie macie bladego pojęcia, pomyślał. – Tak to właśnie jest – mówił dalej, akcentując każdą sylabę, klepiąc się dłońmi po kolanach i kołysząc głową w niemalże religijnym uniesieniu. – Skoro już tu jesteś, chciałbym cię zapytać o coś,

nad czym zastanawiałem się od dłuższego czasu. Jak pewnie wiesz, są plany stworzenia tu, w Västerort, stanowiska policjanta rejonowego do spraw zwierząt. Do zakresu jego obowiązków będzie należała współpraca z kolegami z City. I wiesz co, Rosita, wydaje mi się, że byłabyś idealna na to stanowisko.

– Cieszę się, że tak uważasz, Bäckström. Prawdę mówiąc, zamierzałam się o nie ubiegać.

– W takim razie zaraz porozmawiam z naszą komendant. Masz to u mnie.

– Dziękuję, Bäckström. Dziękuję. Jestem ci winna przeprosiny. Najwyraźniej źle zrozumiałam...

– Daj spokój – przerwał Bäckström. – Anna Holt jest specyficzna, ale wiem, że mnie słucha. Niedawno mówiła mi, że rozważa kupienie kota. Jej chłop pracuje w wydziale kryminalnym komendy głównej, więc pewnie często siedzi sama w domu. Domyślałam się, że potrzebuje towarzystwa.

– I co jej doradziłeś?

– Naturalnie jej odradziłem. Przecież wiesz, co koty robią ze szczurami i myszami?

– Dziękuję, Bäckström, naprawdę dziękuję. – Rosita Andersson-Trygg skinęła głową i spojrzała na niego zażawionymi oczami.

Gdy tylko jego wydziałowa wariatka wyszła z pokoju, zadzwonił do swojej najwyższej przełożonej, Anny Holt, i poprosił ją o spotkanie, natychmiast.

– O co chodzi? – zapytała Anna Holt.

– To nie jest rozmowa na telefon – powiedział Bäckström.

– Powiem tylko, że od tego zależy, czy w ogóle będę w stanie normalnie kierować swoim zespołem.

– Okej. Za pięć minut. Będziesz mieć dziesięć minut.

– Chodzi o to stanowisko rejonowego funkcjonariusza do spraw zwierząt – powiedział Bäckström już w drzwiach do gabinetu komendant Anny Holt, bo nie chciał tracić niepotrzebnie czasu przed zbliżającym się lunchem.

– Wiem, dramat – przyznała Anna Holt, a jej mina świadczyła o tym, że mówi szczerze. – Podoba mi się ten

pomysł tak samo jak tobie, ale najwyraźniej został przedstawiony na poziomie wojewódzkim przez samą górę i całkowicie niezależnie od tego, co...

– Co powiesz na koleżankę Andersson-Trygg? – przerwał Bäckström.

– Chcesz się jej pozbyć – stwierdziła Holt z uśmiechem.

– Tak – przyznał Bäckström.

– Załatwione – powiedziała Anna Holt. – Przyznam, że też o tym pomyślałam. Nie taki potwór z ciebie, Bäckström.

16

W czwartek trzydziestego maja przestało wreszcie padać. Zza chmur wyjrzało niepewnie blade słońce wiszące na bezkresnym niebie. Gdzieś tam w górze rozciągało się ogromne miasto, zgodnie z tym, czego Bäckström się nauczył, gdy był jeszcze małym chłopcem i biegał do szkoły niedzielnej. Nie było go oczywiście widać. Było za wysoko. Tak przynajmniej mówiła katechetka.

Dzień zaczął się w sposób najgorszy z możliwych – ledwo usiadł za biurkiem, zadzwonił telefon – ale gdy usłyszał, kto dzwoni, od razu poczuł się lepiej. Dużo lepiej, i być może należało to potraktować jako znak, że nawet tak fatalny tydzień miał się już powoli ku końcowi. Dzwoniła jego najświeższa zdobycz, komisarz Jenny Rogersson, żeby prosić przełożonego o wsparcie w sprawie domniemanego pobicia na parkingu przed pałacem Drottningholm.

– Chyba potrzebuję rady – powiedziała Jenny Rogersson. – Gdyby szef mógł mi poświęcić pięć minut, byłabym naprawdę wdzięczna – zakończyła.

– Jasne, Jenny – powiedział Bäckström. – Wiesz przecież, że moje drzwi zawsze stoją dla ciebie otworem. Nie tylko drzwi, pomyślał, odkładając słuchawkę, i na wszelki wypadek sprawdził, czy nie zapomniał zapiąć rozporaka.

Jakiś miesiąc wcześniej Bäckström odebrał telefon od swojego dawnego adwersarza i przyjaciela w jednej osobie, komisarza kryminalnego Jana Rogerssona z komisji do spraw

zabójstw komendy głównej policji, który na dobrą sprawę dzwonił w imieniu swojej córki. Doszły go bowiem słuchy, że w wydziale Bäckströma zwolnił się etat.

– Gdzie ona teraz pracuje? – zapytał Bäckström wymijająco, bo nie miał zamiaru zatrudnić żadnego z licznych dzieci Rogerssona, których miał pewnie z pół tuzina, urodzonych przez odpowiednią liczbę przygłupich matek, i jak wynikało z rejestru, z których przynajmniej połowa trafiła do policji. Orłami nie byli i wyglądali paskudnie. Pewnie wdali się w ojca, pomyślał Bäckström.

– Siedzi w wydziale do spraw zapobiegania przestępstwom na Södermalmie – powiedział Rogersson – razem z tymi lalusiami w odprasowanych mundurach i ma już szczerze dosyć wszystkich emerytów i bachorów, z którymi musi się cackać całymi dniami.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste – powiedział Bäckström. – Wiesz, jak to jest, kiedy chce się kogoś zatrudnić. To nie to, co kiedyś, kiedy wystarczyło...

– Do diabła, Bäckström – przerwał Rogersson. – Rozmawiasz ze mną. Z Roggem, twoim najlepszym przyjacielem, bądźmy szczerzy, twoim jedynym przyjacielem, jedynym kumplem od czasów szkoły policyjnej.

– Dobra, dobra. Słyszę, co mówisz – powiedział Bäckström. Co znaczy najlepszym przyjacielem? Prawdziwy facet radzi sobie sam, po co mu przyjaciele? Szczególnie w świecie, w którym człowiek człowiekowi wilkiem, pomyślał.

– W porządku – powiedział Rogersson.

– Dobra, obiecuję, że z nią pogadam – powiedział Bäckström. Skurczybyk nigdy się nie poddaje, pomyślał.

– *Just fix it* – powiedział Rogersson, po czym najzwyczajniej w świecie się rozłączył.

Tydzień później spotkał się z nią po raz pierwszy. Przyszła do jego gabinetu, rozświetliła cały pokój swoim uśmiechem, wyciągnęła dłoń i przedstawiła się.

– Jenny Rogersson. Cieszę się, że mogę wreszcie poznać najlepszego kumpla taty.

– Siadaj, siadaj, Jenny – powiedział, wskazując na krzesło dla

gości. Nikt mi nie wmówi, że jesteś spokrewniona z tym padalcem, pomyślał Bäckström. To musi być ukryta kamera, ktoś tu sobie ze mnie robi jaja.

Teraz znów tu siedziała, w spódniczce do połowy uda, lekko pochylona do przodu, długie falujące blond włosy, czerwone usta, białe zęby i głęboki dołek pomiędzy obfitymi piersiami. Tyle piękna w zasięgu ręki – wystarczyłoby się pochylić do przodu i wziąć ją w ramiona, pomyślał.

– W czym mogę ci pomóc, Jenny? – zapytał. Odchylił się na krzesło, obdarzając ją swoim promiennym Clintem. Na początek tylko połówką, żeby nie zrobiła szpagatu.

Jenny przyszła zasięgnąć rady w sprawie pobicia przed pałacem Drottningholm. Dochodzenie najwyraźniej utknęło w martwym punkcie. Anonimowy informator, ofiara, która kategorycznie zaprzeczała całemu wydarzeniu, i jeszcze CLK¹, z którym Jenny rozmawiała poprzedniego dnia i które twierdzi, że analizy DNA będą gotowe nie szybciej niż za miesiąc.

– Tylko nie wiem, do czego mi będą wtedy potrzebne – powiedziała Jenny i westchnęła zrezygnowana. – Skoro nawet pokrzywdzona nie chce ze mną rozmawiać.

– Zamknij to – powiedział Bäckström. Zrób coś sensownego ze swoim życiem, pomyślał.

– Tak właśnie pomyślałam. Pomyślałam, żeby wysłać całą dokumentację do wiadomości Säpo.

– Säpo? – zdziwił się Bäckström. – Po co?

– Wydali specjalne zalecenie dotyczące Västerort. Säpo chce mieć kopię do wiadomości na temat wszystkiego, co wydarzyło się w okolicy i co może mieć coś wspólnego z dworem, królem i jego rodziną. Chodzi chyba o standardowe względy bezpieczeństwa. Zarówno pałac Drottningholm, jak i Haga znajdują się na naszym terenie i jeśli dobrze rozumiem zalecenia, Säpo chce wiedzieć o wszystkim, co ma geograficzny lub jakikolwiek inny związek z głową państwa i rodziną królewską. Wystarczy, że ktoś ukradnie rower sprzed pałacu Drottningholm.

– Pewnie nie mają nic lepszego do roboty – stwierdził

¹ Centralne Laboratorium Kryminalistyczne (przyp. tłum.).

Bäckström i westchnął głęboko. Pieprzeni pantoflarze, pomyślał. No może z wyjątkiem króla, bo wyglądało na to, że był równym facetem. Jemu nic nie można było zarzucić. Normalny koleś, sądząc po tym, co czytał w gazetach w ciągu ostatniego roku.

– Okej – powiedziała Jenny i znów się uśmiechnęła. – Fajnie, że się zgadzamy.

Gdybyś tylko wiedziała, pomyślał Bäckström.

– Czy mogę jeszcze w czymś ci pomóc? – zapytał Bäckström i ciężko, po męsku pokiwał głową.

– Chciałam o coś zapytać, z czystej ciekawości. Tylko niech szef obieca, że to zostanie między nami.

– Słucham – powiedział Bäckström. Pochylił się, oparł łokciami o biurko i złożył dłonie w piramidkę.

– Chodzi o Ankan, koleżankę Annikę Carlsson – powiedziała Jenny Rogersson i również się pochyliła, ścisząc głos. – Czy ona jest, no wiesz, jak to mówią... – Jenny porozumiewawczo wygięła lewą dłoń.

– Podrywała cię? – zapytał Bäckström. Lesba kołuje coraz niżej, pomyślał.

– Tak mi się wydaje – uśmiechnęła się Jenny. – Nie żebym się gniewała, ale osobiście czuję się hetero, nawet bardzo hetero.

– Cieszę się – uśmiechnął się Bäckström. Tym razem obdarzył ją pełnym Clintem, bo wyraźnie było widać, że nadchodzi czas, by wyjąć supersalami.

17

Dopiero w piątek poczuł powiew wolności, z początku delikatny, ale w miarę upływu dnia coraz silniejszy. Jak zwykle spędził ten dzień na konferencji. Ustawiczny rozwój i praca nad sobą były kluczowe dla każdego świadomego i skutecznego policjanta działającego w służbie społeczeństwu. Nigdy nie przepuścił okazji, żeby przypomnieć o tym swoim podwładnym.

Również członkowie organizacji, do której należał, byli

zgodni co do tego, że szkolenia stanowiły kluczowy element systemu walki z przestępczością. Konferencje i seminaria były bez wątpienia najszybciej rozwijającą się działalnością policji. Głód wiedzy w środowisku wydawał się niemal nie do zaspokojenia, a Bäckström stanowił w tej kwestii wzór dla pozostałych.

Był również wyjątkowo wybredny w kwestii doboru kursów i konferencji, w których miałby wziąć udział. Wybór nie był łatwy, zważywszy na różnorodność oferty, która zdawała się niemal nieograniczona, bo obejmowała wyjątkowo rozległy zakres zagadnień i specjalizacji. Zwykle brał udział w piątkowych konferencjach, które odbywały się poza budynkiem policji, w miejscach, których scenografia nie ograniczała swobody wypowiedzi i myśli. Najchętniej wybierał te, które odbywały się w odległości spaceru od jego mieszkania na Kungsholmen.

Unikał konferencji, które zaczynały się zbyt wcześnie albo kończyły zbyt późno, ponieważ mogło to negatywnie wpłynąć na jego zdolność do przyswajania wiedzy, jak również utrudniać mu – już po wszystkim, w samotności – ocenę jakości wydarzenia, w którym brał udział. Szczególnie ważne było, by na koniec wszyscy uczestnicy mieli możliwość spotkania się i przetrwania tego, co zostało powiedziane w pierwszej części dnia. Praca w grupach, a już zwłaszcza polegająca na rozwiązywaniu i referowaniu wyników zadań pisemnych, napawała go natomiast wstrętem i w jego opinii wpływała negatywnie na kreatywność uczestników.

Jeśli wziąć to wszystko pod uwagę, dzisiejsza konferencja zapowiadała się wyjątkowo obiecująco. Duży hotel na terenie City, w odległości paru minut spaceru od jego mieszkania – w promieniach słońca – na początek kawa, o dziewiątej rano zbiórka, a na koniec dyskusja, która zgodnie z planem miała się skończyć już o trzeciej po południu, żeby przyjezdni mogli bez problemu wrócić do swoich bliskich przed północą.

Interesujący był również sam temat konferencji – „Prawda, kłamstwo i język ciała” – zorganizowanej z myślą o śledczych pracujących w wydziałach kryminalnych policji, a zwłaszcza

o tych, którzy prowadzili przesłuchania w sprawach przestępstw z użyciem przemocy.

Idealnie, pomyślał Bäckström z zadowoleniem, gdy już kwadrans po dziewiątej wszedł do foyer wielkiej sali konferencyjnej, żeby rozpocząć proces podnoszenia kwalifikacji zawodowych od filiżanki mocnej kawy i drożdżówki.

Wykład wprowadzający wygłosił profesor psychologii sądowej, organizator konferencji i autor pracy o tym samym tytule.

Już w pierwszych słowach profesor przeszedł do meritum swojej pracy. Twierdził, że chcąc odróżnić prawdę od kłamstwa, należy się skupić bardziej na języku ciała niż na komunikatach werbalnych. Z pomocą komputera, PowerPointa, licznych wykresów, grafik, krótkich animacji i niekończącego się potoku słów prelegent przez ponad godzinę tłumaczył, co ma na myśli.

Osoby, które całkowicie unikały kontaktu wzrokowego i siedziały ze spuszczoną głową, były tak samo podejrzane jak te, które patrzyły prowadzącemu przesłuchanie prosto w oczy, przytakiwały i uśmiechały się przyjaźnie – i to niezależnie od tego, czy siedziały nieruchomo, czy nieustannie wierciły się w miejscu.

Błądzący wzrok i stopy uderzające rytmicznie w podłogę też się sprawdzają, pomyślał Bäckström i rozsiadł się wygodniej na krześle.

Po słowie wstępu profesor rozkręcił się na dobre, na początku omówił zachowanie podejrzanych dręczonych zwykłymi tikami i spazmami, pod koniec zajął się takimi, którzy wykazywali objawy katatonii, ale większość czasu poświęcił wszelkim sygnałom ciała leżącym pomiędzy tymi biegunami. Pochrząkiwania i pomruki, dłubanie w uchu, pocieranie czoła, drapanie się po głowie.

Nawet osoba całkowicie sparaliżowana nie zdałaby u profesora testu na wiarygodność. Wystarczyło lekkie drgnięcie powieki, by pojawiły się uzasadnione podejrzenia, a rozszerzona źrenica całkowicie przekreślała wiarygodność przesłuchiwanego.

Istniały również ciekawe związki między przekazem werbal-

nym pochodzącym od przesłuchiwanego a językiem jego ciała. Jeśli ktoś zaczynał niemal każdą wypowiedź od „szczerze mówiąc”, „z ręką na sercu” i „mówiąc między nami”, pociągając się przy tym za płatek ucha lub pocierając palcem wskazującym nos, bez wątpienia kłamał. Wedle opinii profesora tego typu „zachowania kombinowane” były równoznaczne z przyznaniem się.

Jeśli wierzyć w to, co mówisz, pomyślał Bäckström. Prelegent sprawiał bowiem dalece podejrzane wrażenie. Nędzny jegomość ubrany w pogniecione dżinsy i niedopasowaną marynarkę, zajęty głównie poprawianiem grubych okularów na nosie, jeśli akurat nie pociągał za ucho ani nie pocierał grzbietu nosa palcem wskazującym.

Co za męczący, mrukliwy lalusz, pomyślał Bäckström. Gdybyś trafił do mnie na przesłuchanie, najpierw natarłbym ci gębę szarym mydłem, a dopiero potem wrzucił do aresztu.

Po wykładzie nastąpiła pięciominutowa przerwa na rozprostowanie kości przed częścią przeznaczoną na pytania słuchaczy, gdy jednak wrócili po zwyczajowych dwudziestu minutach, zapadła wielka cisza.

– Nie ma pytań? – powtórzył prelegent po raz trzeci, wodząc wzrokiem po zebranych. – Na liście uczestników widziałem nazwiska najznamienitszych śledczych w kraju. Jest z nami między innymi inspektor Evert Bäckström. – Profesor skinął przyjaźnie do Bäckströma siedzącego w ostatnim rzędzie.

Ciekawe, kim są pozostali, zastanowił się Bäckström, ale tylko skinął głową. Co z tym lunchem, kurwa, pomyślał. Nie tylko on, sądząc po minach kolegów.

– Ciekaw jestem, jakie są pańskie doświadczenia w sferze odróżniania prawdy od kłamstwa za pomocą analizy mowy ciała.

– Przyznam, że to skomplikowany temat – Bäckström pokiwał ciężko głową. – Co do tego się z panem zgadzam. Choć przez lata mojej pracy udało mi się zaobserwować pewne prawidłowości. Sygnały świadczące o tym, że przesłuchiwany kłamie. – Bäckström znów kiwnął głową. Tym razem jeszcze ciężej, żeby podkreślić wagę swoich słów.

– Może moglibyśmy liczyć na parę wskazówek od pana

inspektora?

– Zaobserwowałem pewną bardzo wyraźną reakcję ciała. Ewidentny sygnał, że przesłuchiwany kłamie w żywe oczy.

– Brzmi naprawdę interesująco – powiedział profesor, wpatrując się łapczywie w Bäckströma. – Czy byłaby taka możliwość, żeby...

– Naturalnie – przerwał Bäckström, unosząc dłoń. – Ale pod warunkiem, że nie wydestanie się to poza ściany tej sali...

Profesor przytaknął żarliwie, a sądząc po pełnej napięcia ciszy panującej na sali – nie był osamotniony.

– Nos – powiedział Bäckström i żeby nie było wątpliwości, pokazał na swój własny. – Kiedy kłamią, rośnie im nos.

– Nos? Tak jak u Pinokia? To przecież jemu rósł nos, kiedy kłamał.

– Dokładnie – odpowiedział Bäckström z naciskiem. – Nie ma wątpliwości. Tak naprawdę to jedyny pewny znak. Prawda, że pan również o tym myślał?

– Przepraszam, ale...

– Kiedy kłamią, rośnie im nos – przerwał Bäckström. – Widziałem to wiele razy, na własne oczy. Pamiętam zwłaszcza jedno przesłuchanie, gościa, który zabił ukochaną żonę i zakopał jej ciało w starym gnojowniku. Pewnie chciał zaoszczędzić na pochówku. W każdym razie kłamał tak okrutnie, że cieszyłem się, że nie jest przeziębiony, bo wtedy potrzebowałby prześcieradła, by się wysmarkać.

– Żartuje pan sobie ze mnie, Bäckström – powiedział profesor z rozzaloną miną. – Prawda, że pan sobie żartuje?

– Skądże znowu – powiedział Bäckström i pokręcił głową. – Proszę spojrzeć na mój nos, jeśli mi pan nie wierzy. Nie powiększył się nawet o milimetr od chwili, gdy zadał mi pan pytanie.

A masz, ty uczona cioto, pomyślał Bäckström, gdy wyszedł na ulicę, obierając kurs na miejsce posiłku. Pinokio, a więc tak się nazywał ten mały huncwot, któremu rósł nos, gdy kłamał. Czyli że Piotruś Pan to był ten drugi pajac. Ten ze skrzydłami, pomyślał.

Popołudnie spędził jak zwykle: najpierw pożywny lunch, a następnie wizyta u polskiej masażystki, Panny Piątek, na którą trafił przez przypadek kilka miesięcy temu. Budynek, w którym prowadziła swoją niepozorną działalność, znajdował się w tym samym kwartale, w którym mieszkał Bäckström, i gdy kilka razy w ciągu jednego tygodnia zupełnie przypadkiem zauważył rudego mięśniaka otwierającego drzwi do jej lokalu, szybko się zorientował, jak się sprawy mają.

Bäckström był ostrożny z natury, sprawdził więc zawczasu, co trzeba. Od kiedy hordy nawiedzonych polityków wespół z zastępami wieźm w spodniach i spódnicach zozydżyły jedyną prawdziwą miłość, która istniała na tym złym świecie i której wyznawcy od zawsze rozliczali się uczciwie w pieniądzu, był zmuszony zasięgać języka u dawnego kolegi ze stołecznego wydziału do spraw prostytutki. W firmie nazywano go Brudnym Pelle i Bäckström miał pewność, że należycie sprawdzi, czy jego przyszła masażystka nie znajduje się na policyjnej liście prostytutek. I czy jej lokal nie widnieje na liście podejrzanym lub obserwowanych adresów.

Brudny Pelle dał mu zielone światło. W swoich teczkach nie znalazł niczego na jej temat, ale obiecał, że natychmiast się odezwie, gdyby pojawiły się jakieś niepokojące informacje. Bäckström podziękował za przysługę, a butelka malt whisky była już w drodze.

Teraz mógł zadzwonić i umówić się na wizytę. Ból w plecach i stawach nie oszczędza nawet prezesów, takich jak on, stwierdził, a że ma zapchany kalendarz, byłoby dobrze, gdyby umówili się w piątek wieczorem, tuż przed zamknięciem, jeśli można? Ależ oczywiście, że można, zapewniła masażystka i prezes Beckman został wpisany do terminarza na sam koniec dnia, jako ostatni klient.

Panna Piątek miała tak naprawdę na imię Ludmiła, ciało w kształcie klepsydry i naturalnie rude włosy, o czym Bäckström przekonał się już na trzeciej wizycie. Z jej strony była to niewątpliwie miłość od pierwszego wejrzenia, choć

robiła wszystko, żeby nie dać tego po sobie poznać.

W czasie pierwszej wizyty Bäckström, w samym tylko ręczniku zawiniętym wokół bioder, zaczął sesję od położenia się na brzuchu, po czym Miła Ludmiła zajęła się rozmasowywaniem jego stężonych mięśni i obolałych stawów. Ugniatała i uciskała tak długo, aż cała sztywność przelała się z mięśni na supersalami, a Bäckström wygiął się w kształt ekierki, żeby po chwili obrócić się i zdjąć ręcznik, który teraz wyglądał już jak namiot.

– Ojej – zawołała zaskoczona Ludmiła i zrobiła wielkie oczy na widok efektów masażu pleców, które niespodziewanie pojawiły się z przodu.

– Cóż – powiedział Bäckström, obdarzając ją pół-Clintem.

– Chyba masz jeszcze trochę roboty.

Miłość od pierwszego wejrzenia, pomyślał Bäckström, wciągając spodnie po skończonym zabiegu. A wszystko zaczęło się od zwyczajnej ręcznej roboty, a nawet oburęcznej roboty, która została profesjonalnie doprowadzona do końca.

Tydzień później Panna Piątek uściskała go na powitanie i ucałowała w policzek już w progu drzwi, a sesję zakończyła, robiąc mu pierwszorzędną laskę, za co nie omieszkał jej się odwdziaczyć już w kolejny piątek. Najpierw dał jej spróbować kilku łyków ambrozji, potem ustalił, że jest naturalnie ruda i że jest kobietą, a na koniec pozwolił jej na chwilę dotrzeć supersalami.

Jak licealiści, pomyślał Bäckström, kiedy po raz trzeci w ciągu trzech tygodni wkładał spodnie w tym samym lokalu. Osobista Panna Piątek, z którą od kilku miesięcy wspólnie kończył każdy kolejny tydzień ciężkiej pracy w służbie sprawiedliwości.

Niewątpliwie był to tydzień wypełniony ciężką pracą, ale w końcu nadeszła sobota i dla samotnego wojownika, za jakiego uważał się Bäckström, nastała pora, by schować miecz do pochwy i delektować się zasłużonym odpoczynkiem. Był to

również dobry moment na ustalenie koligacji rodzinnych Jenny, by w przyszłości uniknąć przykrych niespodzianek o charakterze rodzicielskim. Jeśli miałyby kiedyś dosiąść jego supersalami, zamierzał zawczasu się upewnić, czy jej tak zwany ojciec, komisarz kryminalny Jan Rogersson, nie czai się gdzieś za rogiem, robiąc za przyzwoitkę.

Już na samą myśl o tym w jego głowie rodziły się potworne obrazy. Choć była dopiero jedenasta przed południem, musiał je doraźnie uśmierzyć łykiem dobrotliwego płynu, zanim zebrał siły, żeby zadzwonić do Rogerssona i zaproponować wspólną kolację.

– Stawiam pierwsze piwo, następne stawiasz ty – dodał Bäckström, żeby ten pasożyt Rogersson nie ubzdurał sobie czegoś w swojej małej główce.

Rogersson uznał to za doskonały pomysł i zaproponował, żeby spotkali się w jego ulubionej knajpie na Söder. Prowadziło ją dwóch Serbów, Marko i Janko. Serwowali doskonale mięso prosto z grilla w przyzwoitej cenie, a że wiedzieli, czym zajmuje się Rogersson, on i jego goście mogli liczyć na to, że jedno czy dwa piwa nie znajdą się na rachunku.

– Równe chłopaki – stwierdził Rogersson. – Zamawiasz sześćdziesiątkę, dostajesz osiemdziesiątkę. W środku same sympatyczne gęby, zawsze jakieś babeczki, ani śladu tych fagasów od kultury – a nawet gdyby któryś z nich przypadkiem tam zabłądził, Janko od razu wywaliłby go na zbity pysk.

Siedzieli tam już od pół godziny. Kończyli drugie darmowe piwo z dodatkiem czegoś mocniejszego, ponieważ właściciel o mało co nie spadł z krzesła, gdy zrozumiał, że jego skromne progi odwiedził człowiek legenda, Evert Bäckström.

– Zdrowie, Bäckström – powiedział Rogersson. – Co słyhać u mojej córeczki Jenny?

– W porządku – powiedział Bäckström. – Myślę, że coś z tego będzie – dodał z wahaniem. Choć nie to, co ci się wydaje, pomyślał.

– Córeczka tatusia – ucieszył się Rogersson. – Córeczka tatusia – powtórzył, uniósł kufel i wziął dwa głębokie łyki.

– Może i tak, choć bardzo podobni to wy do siebie nie

jesteście. – Moczymorda powinien kupić sobie lustro, pomyślał Bäckström.

– Głowę ma po tatusiu. – Rogersson popukał palcem wskazującym w prawą skroń, żeby wyjaśnić, co ma na myśli. – Ta dziewczyna jest jak ty i ja, Bäckström. Ma łeb stworzony do tej roboty. Wiesz, że przybrała moje nazwisko, kiedy zdawała do szkoły policyjnej?

– Coś mi chyba mówiłeś. – Bäckström pokiwał głową.

– Wygląd, musisz wiedzieć, ma po mamusi, są jak dwie krople wody. Ma na imię Gun, miła dziewczyna, jest fryzjerką w Jönköping. Lokalna. Czterdzieści pięć wiosen, choć nikt jej nie wierzy. Wygląda najwyżej na trzydzieści. Może niezbyt lotna, ale na pewno najfajniejsza dziewczucha, jaką kiedykolwiek miałem. Tak to już jest z tymi trochę nieogarniętymi laskami. Nadrabiają w łóżku, że tak powiem. Dalej jest niezła, jeśli jesteś ciekaw. Kilka miesięcy temu przejeżdżałem przez Jönköping i zrobiliśmy sobie małą reprzykę. – Rogersson pokiwał zadowolony głową.

– Mówisz – powiedział Bäckström. Jest lepiej, niż myślałem. Kto wie, może będzie z tego jakiś trójzącik, pomyślał.

– Jak się poznaliście?

– Byłem akurat w okolicy – uśmiechnął się Rogersson. – To było jeszcze w latach osiemdziesiątych, w tym samym czasie, kiedy nasz wciąż nieznan sprawca zdjął z drzwi tabliczkę z nazwiskiem Palmego. Pracowałem wtedy na zlecenie wydziału narkotykowego komendy głównej w stolicy – mieli potworne braki kadrowe, jak się pewnie domyślasz. No i zdarzyło się morderstwo w Jönköping. Zasztyletowano jakiegoś pracownika stacji benzynowej. Zwyczajny napad, ale wszystko wymknęło się spod kontroli. Gliny zainteresowały się jednym z byłych facetów Gunsan. Niezłe było z niej wtedy ziółko. Zresztą z taką buzią...

– I co, to był on? Ten jej chłopak? – Niegrzeczna, jest dobrze, pomyślał. Pewnie jakiś farciarz z sąsiedztwa przyprawił jej brzuch, a Rogersson musiał wziąć na siebie tego konsekwencje.

– Nie – powiedział Rogersson i pokręcił głową. – Jakiś inny lokalny zdolniacha. Nie znała go. Rozwiązaliśmy to w ciągu

tygodnia. Tak więc z Gun to była krótka przygoda, jak widzisz. Właśnie skończyła osiemnastkę – westchnął Rogersson. – To były czasy, Bäckström. Nigdy nie planowaliśmy się wiązać na dłużej. Zresztą miałem swoje życie w Sztokholmie. Pracę i narzeczoną. Pierwszy dzieciak miał już dwa lata, a kolejny był w drodze.

Wyobrażam sobie, pomyślał Bäckström, i tylko pokiwał głową.

– Mimo to utrzymywaliśmy kontakt z Jenny. Z czasem też z Gun. Niczego im nie brakowało. Gun zawsze się powodziło, prowadzi dwa salony kosmetyczne. Zarabia więcej kasy niż ty i ja.

Hola, pomyślał Bäckström. Mów za siebie.

– Zdrowie Jenny – powiedział Rogersson, unosząc kieliszek. – I cześć jej matce.

– Zdrowie – powiedział Bäckström. Brzmi to wszystko bardzo obiecująco, pomyślał. Matka i córka. Ładny trójzącik.

Zmienili temat i zajęli się jedzeniem, a potem przenieśli się do baru, gdzie jak zwykle pozwolili sobie na większą swobodę, jak to mają w zwyczaju prawdziwi funkcjonariusze policji. Było na tyle przyjemnie, że gdy Bäckström wreszcie odzyskał przytomność w swoim łóżku z Hästens, wiele szczegółów tego wieczoru okrywała mgła zapomnienia. Przeleżał tak praktycznie cały dzień i dopiero wieczorem zdołał się zebrać i pójść do swojego ulubionego baru na wczesną niedzielną kolację.

Zrobiła się z tego prawdziwa domowa niedziela, bo gdy tylko wrócił do domu, od razu zasiadł przed swoim tajnym komputerem, którego adresu IP nie dało się z nim skojarzyć, by zadbać o swój fanklub w sieci. W przebraniu „Czerwonego Kapturek” i „Ciekawskiej Blondynki”, które łączyło to, że najwyraźniej bezpośrednio doświadczyły zbawiennego działania jego supersalami, jak również ambrozji. Macie, dziewczynki, pomyślał Bäckström, zamykając komputer, gdy już „Czerwony Kapturek” w zaufaniu opowiedział pozostałym fankom, jakim arsenałem dysponuje ich idol.

Położył się wyjątkowo wcześnie, wypił kilka kieliszków

whisky, żeby godnie powitać nadchodzący poniedziałek, a potem zasnął. Spał snem sprawiedliwego całe pięć godzin, po których upływie jego telefon zaanonsował nadejście nowego dnia. Był trzeci czerwca, poniedziałek, który miał się stać najlepszym dniem w jego życiu. Czas cudów najwyraźniej jeszcze się nie skończył.

CZEŚĆ III

Dochodzenie w sprawie morderstwa adwokata Thomasa Erikssona. Faza pierwsza.

20

Gdy Bäckström wszedł do mieszkania swojej ostatniej ofiary, na miejscu czekała już na niego Annika Carlsson. Podała mu ochraniacze na obuwiu i gumowe rękawiczki, pokazując jednocześnie głową na wysokie schody, prowadzące na górę.

– Pierwsze piętro – wyjaśniła. – To musiało się stać właśnie tam. Ciało znaleziono w holu na górze. Jest tam duży pokój, jakieś pięćdziesiąt–sześćdziesiąt metrów kwadratowych, którego zapewne używał jako gabinetu do pracy i pokoju dziennego. Na zewnątrz jest duży taras.

– Ciało wciąż tam leży? – przerwał Bäckström.

– Oczywiście. Pomyślałam, że będziesz chciał je zobaczyć na miejscu. Lekarz sądowy wyszedł jakiś kwadrans temu. Niemi i Hernandez są na górze, ale na parterze już skończyli, więc można spokojnie wchodzić.

– I co powiedział wujek doktor?

– Morderstwo – odpowiedziała Carlsson. – Uderzenie tępym przedmiotem w głowę, do tego nie trzeba być nawet lekarzem. Potylicca zmiażdżona, czaszka jest całkiem płaska. Fatalnie to wygląda.

Bäckström pokiwał głową, usiadł na krześle i z pewnym wysiłkiem nałożył ochraniacze na buty, po czym wstał i naciągnął na dłonie rękawiczki.

– Nie mogę się doczekać – stwierdził.

– Jeszcze jedno – powiedziała Annika Carlsson, ścisząc głos.
– Słucham – powiedział Bäckström. Ciekawe, co tym razem wymyśliła, pomyślał.

– Eriksson ma na górze komputer – powiedziała, pokazując głową na pierwsze piętro. – Stoi na jego biurku. Przed chwilą byłam na górze i Niemi powiedział, że ktoś go włączył, ale nie wprowadził kodu dostępu.

– I?

– Zaproponowałam, żeby skopiował twardy dysk, ale...

– W czym problem? – przerwał Bäckström.

– Ma naklejkę, należy do kancelarii adwokackiej Eriksson i Partnerzy, więc Niemi wołał o to najpierw zapytać prokuratora.

– Cienias – parsknął Bäckström.

– No więc ja to zrobiłam – uśmiechnęła się szelmowsko i podała mu małą czerwoną pamięć przenośną.

– Co na to Niemi?

– Nic – Annika Carlsson uśmiechnęła się. – Akurat wyszli z Hernandezem na kawę.

– Dobrze zrobili – stwierdził Bäckström i włożył pamięć do kieszeni. Najpiękniejszy dzień w moim życiu, pomyślał. Wszystko dzieje się samo, nic nie jest w stanie mnie zatrzymać.

Bäckström zatrzymał się na ostatnim stopniu i spojrzał na hol na piętrze, który od teraz był dla niego miejscem zbrodni. Pośrodku pomieszczenia stało wielkie, stare biurko w typie angielskim z błyszczącego drewna egzotycznego nieznanego Bäckströmowi pochodzenia i z blatem pokrytym zieloną skórą. Obok dopasowany stylistycznie fotel. Drewniany, z siedziskiem i oparciem obszytymi zieloną skórą w tym samym odcieniu co ta na biurku.

Na podłodze między schodami a biurkiem leżało ciało ofiary. Spoczywała na plecach, równoległe do biurka, z rękoma wzdłuż boków. Ubrana w czarne skórzane kapcie, luźne szare spodnie i zapiętą na ostatni guzik białą płócienną koszulę z podwiniętymi rękawami. Wygodny i luźny strój, w sam raz na spotkanie z Ponurym Żniwiarzem. Jak na razie wszystko zgadzało się z tym, co mówiła Annika Carlsson. Twarz

zmarłego zalana była krwią. Rozmazane zacieki z krwi, która spłynęła od nasady włosów aż do wysokości brody i dalej po szyi, w kierunku klatki piersiowej i jego białej koszuli. Spłaszczonym tyłem głowa przylegała do podłogi.

– No cóż – powiedział Bäckström i skinął do Niemiego, który stał za biurkiem, zajęty zabezpieczaniem odcisków na czarnej obudowie telefonu komórkowego. – Co myślisz, Peter? Nieszczęśliwy wypadek czy zwykłe samobójstwo?

– Cóż – powiedział Peter Niemi i uśmiechnął się pod nosem. – O to nie musisz się martwić. Zdaniem lekarza sądowego, który był tu dosłownie przed chwilą, mamy tu podręcznikowy przykład śmiertelnego uderzenia ciężkim przedmiotem. W tym przypadku w głowę i kark ofiary. Denat otrzymał trzy lub cztery ciosy w potylicę, ma też przetrącony kark.

– A narzędzie zbrodni?

– W domu nic nie znaleźliśmy, choć nie brakuje tu pogrzebaczy ani świeczników. Jak dla mnie to mogła być zwykła stalowa rura albo mniejszy kij bejsbolowy. Coś okrągłego w przekroju, twardego i podłużnego, chwytneho i umożliwiającego wykonanie silnego uderzenia. Ale już młotek, siekiera i inne ostro zakończone narzędzia odpadają.

– Czy leżał w tej pozycji, gdy go znaleźliście? Na plecach? – Bäckström pokazał głową na zwłoki.

– Nie. Leżał na brzuchu z prawą ręką pod klatką piersiową, a lewą wygiętą nad głową. Zasadniczo jednak głowę miał w tym samym miejscu, a ciało leżało tak jak teraz, równoległe do biurka. Kolega z prewencji, który przyjechał tu jako pierwszy, zrobił mu zdjęcie komórką, a drugi stwierdził zgon. Podobno zanim trafił do policji, pracował w pogotowiu ratunkowym. Gdy godzinę później weszliśmy tu z Hernandezem, leżał tak, jak go znaleźli. Obróciliśmy go w obecności lekarza sądowego. To wtedy znaleźliśmy komórkę – powiedział Niemi, pokazując na czarny telefon. – Leżała pod ciałem, ale nie trzymał jej w ręku. Pewnie upuścił ją, zaliczając nokaut.

– Dziwne – powiedział Bäckström. Dziwne, pomyślał.

– Co masz na myśli?

– Nie ma śladów krwi – powiedział Bäckström, pokazując

dłonią na podłogę wokół ciała i zerkając na sufit powyżej.
– Skoro uderzenie było tak silne, krew powinna być wszędzie, jak po wybuchu. Podłoga i sufit powinny być zbryzgane krwią, a ja widzę tylko jedną czerwoną plamę w miejscu, gdzie ma teraz głowę.

– Nie tylko ciebie to zastanawia – stwierdził Niemi.
– Hernandez i ja też mamy z tym kłopot – dodał, pokazując głową w kierunku ubranego na biało kolegi, który zajęty był przesuwaniem potężnej kanapy stojącej pod ścianą w drugim końcu pokoju.

– Może zatłukli go gdzieś indziej, roztrzaskali mu czaszkę, a potem przenieśli ciało i położyli je tutaj.

– Też tak z początku pomyśleliśmy – Niemi skinął głową.
– Problem w tym, że w domu nie znaleźliśmy miejsca, w którym mogłoby się to wydarzyć. Nic też nie świadczy o tym, że ciało było przenoszone. Żadnych śladów, żadnych kropli krwi po drodze, świadczących o tym, że ktoś go niósł. Jest jeszcze inna możliwość: ktoś założył mu na głowę worek i dopiero potem mu ją rozwalił, tak że krew została w środku. Wychodząc, zabrał ze sobą worek.

– Trochę to naciągane – stwierdził Bäckström.

– Wyjaśni się – dodał Niemi i wzruszył ramionami.

– Dziwne – powiedział Bäckström. Dziwne, pomyślał.

– Niestety nie tylko to jest dziwne w tej sprawie – stwierdził Peter Niemi z krzywym uśmiechem.

– No to słucham. – Bäckström pokiwał głową na zachętę.

– W suficie nad biurkiem tkwi kula. – Niemi pokazał palcem na biały sufit.

– Mówisz – powiedział Bäckström i zadarł głowę, żeby lepiej widzieć.

– Sądząc po kształcie otworu wlotowego, została wystrzelona prosto w sufit. Utkwiła w tynku na głębokości kilku centymetrów. Namierzyłem ją, widać ją dobrze, kiedy się poświeci latarką, ale jeszcze jej nie wyjąłem.

– Bingo! Znalazłem kulę numer dwa! – zawołał Hernandez.
– Utknęła w kanapie.

Hernandez pokazał na otwór w oparciu kanapy, z którego

wychodziła gąbka.

– To mi wygląda na gangsterskie porachunki – powiedział Bäckström z przejęciem. Robi się coraz ciekawiej, pomyślał.

– Najlepsze zachowałem na koniec – powiedział Niemi z niewinną miną.

– Co? To może być jeszcze lepiej? – To chyba niemożliwe, pomyślał Bäckström.

– Na tarasie leży jeszcze jedno ciało – powiedział Niemi i pokazał ręką na podwójne szklane drzwi prowadzące na drewniany taras, za którym w tle majaczyły błyszczące w słońcu wody jeziora Melar.

– Jeszcze jeden umarłak? – zdziwił się Bäckström. – Żarty sobie robisz?

– Nie. – Peter Niemi pokręcił głową. – Nie żyje, na mur-beton.

– On też został zamordowany? – Bäckström spojrział wyczekująco na Niemiego.

– Na bank. – Niemi skinął głową.

– Na sto procent – zapewnił Hernandez. – Temu akurat ktoś poderznął gardło.

To niewątpliwie najlepszy dzień mojego życia, pomyślał Evert Bäckström, kiedy kwadrans później opuszczał mieszkanie ofiary, kierując się ku czekającej już na niego taksówce.

21

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy inspektor kryminalny Evert Bäckström opuszczał miejsce zdarzenia przy Ålstensgatan w Brommie, żeby pojechać do komendy w Solnie i przygotować się do narady swojego zespołu dochodzeniowego, zastępczyni prokuratora generalnego Lisa Lamm odebrała telefon od swojego przełożonego, który przydzielił ją do postępowania przygotowawczego w sprawie zabójstwa, dokonanego prawdopodobnie w ciągu ostatniej doby.

– Ofiara to, że tak powiem, nie byle kto – powiedział prokurator generalny i odchrząknął. – Chodzi o adwokata Thomasa Erikssona, który prawdopodobnie został zamordowany w swoim mieszkaniu w Brommie w niedzielę

wieczorem lub w nocy z niedzieli na poniedziałek. Ofiara jest postacią dosyć rozpoznawalną, jak pewnie wiesz – stwierdził prokurator generalny i znów odchrząknął.

– Thomas Eriksson? Ten, którego popołudniówki nazywały pupilką muzulułumańskiej mafii? – zdziwiła się Lisa Lamm.

– Ten sam – powiedział prokurator. – Sama rozumiesz, że nie wiadomo, jak to się skończy. Dlatego jeśli masz jakieś wątpliwości, lepiej powiedz to teraz. Mogę jeszcze przydzielić do tej sprawy kogoś innego. – Prokurator odchrząknął po raz trzeci.

– Nie. Chętnie się tym zajmę.

– Doskonale. Gdyby pojawiły się jakieś problemy, raportuj bezpośrednio do mnie. Chciałbym też, żebyś informowała mnie na bieżąco o postępach w śledztwie.

– Oczywiście.

Adwokat Thomas Eriksson, o kurwa, pomyślała, odkładając słuchawkę.

Rejon Västerort, pomyślała Lisa Lamm. Zdaje się, że pracuje tam ktoś, kogo znam i lubię. Potem zadzwoniła do swojego starego znajomego inspektora Toivonena, który był szefem wydziału kryminalnego dla rejonu Västerort.

– Co za zbieg okoliczności – ucieszył się Toivonen. – Właśnie o tobie myślałem. Zorganizowałem ci zespół dochodzeniowy, dostaniesz wszystko zgodnie z instrukcją komendy głównej odnośnie do postępowania w sprawach zabójstw, choć nie było łatwo, zważywszy na wnioski urlopowe, z którymi ustawili się już do mnie wszyscy po kolei. Pierwsza narada ma się odbyć za trzy godziny. O dwunastej tutaj, w Solnie. Załatwiłem ci przepustkę – czeka na ciebie w recepcji.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że to ty prowadzisz śledztwo?

– Niestety muszę cię zawieść. Tym razem postanowiliśmy wytoczyć naprawdę ciężką artylerię.

– To znaczy?

– Nasz niezastąpiony Evert Bäckström. Czas już, żeby pani prokurator spotkała człowieka, mężczyznę, legendę, chociaż powiem szczerze, że co do tego pierwszego zawsze miałem wątpliwości.

– Jaki on jest?

– Może być gorąco – roześmiał się Toivonen. – Jeśli zalezie ci za skórę, po prostu daj mi znać, obiecuję, że przemówię mu do rozumu. Mam w tym wprawę.

Evert Bäckström. Lepiej od razu wziąć byka za rogi, pomyślała Lisa Lamm i wybrała numer komendant rejonowej Anny Holt i bezpośredniej przełożonej Bäckströma.

– Spodziewałam się, że zadzwonisz. Chyba nawet wiem, o czym chcesz rozmawiać – powiedziała Anna Holt, gdy tylko Lisa Lamm zdążyła się przedstawić. – Proponuję, żebyśmy się spotkały u mnie kwadrans przed spotkaniem z Bäckströmem i resztą zespołu.

– Za piętnaście dwunasta u ciebie, doskonale – powiedziała Lisa Lamm.

– Świetnie – odpowiedziała Holt. – Dziękuję, że zadzwoniłaś. – I odłożyła słuchawkę.

Będzie się działo, pomyślała Lisa Lamm i pokręciła głową.

22

– Usiądź proszę, Liso – powiedziała Holt, wskazując z uśmiechem na jedno z trzech krzeseł po drugiej stronie jej ogromnego biurka.

– Dziękuję – powiedziała Lisa Lamm, zajmując miejsce.

– Popraw mnie, jeśli się mylę – dodała, otwierając jedną z licznych teczek leżących na biurku – ale wydaje mi się, że chcesz porozmawiać o moim podwładnym Evercie Bäckströmie, który aktualnie prowadzi twoje śledztwo i którego – co pewnie cię zainteresuje – osobiście przydzieliłam do tego zadania. Bäckström pracuje u mnie od czterech lat i kieruje wydziałem do spraw zabójstw, który zajmuje się tym morderstwem. Nie widziałam powodu, żeby cokolwiek tu zmieniać.

– Jak mu szło do tej pory? – zapytała Lisa Lamm i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– W ciągu tych lat, które u mnie przepracował, prowadził postępowania przygotowawcze w dwunastu sprawach,

z których jednaście rozwiązał. Ostatnią zaledwie tydzień temu, więc nie masz się czego obawiać.

– Tak, słyszałam, że potrafi być naprawdę skuteczny. Martwi mnie tylko, że miał powiązania z naszą ofiarą, to może mieć wpływ na przebieg śledztwa. Przecież to Thomas Eriksson bronił Omara Parisafara oskarżonego o usiłowanie zabójstwa Bäckströma w jego własnym mieszkaniu przy współudziale swojego starszego brata Samira i tego obskurnego typu, którego nazwiska zawsze zapominam.

– Gasan Talib – wtrąciła Holt. – Masz na myśli Gasana Taliba, kuzyna braci Parisafarów i ich klanowej torpedy, jeśli trzymać się nomenklatury popołudniówek.

– Dokładnie. Jeśli się nie mylę, to było jakoś na początku lata... cztery lata temu.

– Dwudziestego dziewiątego maja. Proces odbył się we wrześniu tego samego roku, oskarżono tylko Omara Parisafara. Jak pewnie wiesz, jego starszy brat Samir zginął, próbując uciec ze szpitala Karolinska, gdzie dochodził do siebie po kontuzji, której nabawił się podczas usiłowania zabójstwa Bäckströma. Stracił równowagę i wypadł z szóstego piętra, gdy usiłował się spuścić z okna po przemyconej na teren szpitala linie. Było to tydzień po napadzie na Bäckströma. Tego samego dnia, gdy Samir próbował uciec, na stole operacyjnym zmarł Gasan Talib, wskutek obrażeń czaszki, których doznał, atakując Bäckströma. Jedynym z tego towarzystwa, któremu udało się wyjść cało, był ich brat Omar, który zawiózł pozostałych do mieszkania Bäckströma na Kungsholmen. Nie wszedł na górę – nasi ludzie zdjęli go siedzącego w samochodzie przed klatką Bäckströma, mniej więcej w tej samej chwili, gdy w mieszkaniu doszło do strzelaniny. Obserwowaliśmy ich i wiemy, że koledzy, którzy dokonali zatrzymania, weszli do środka już po kilku minutach od momentu zdarzenia. Talib leżał już wtedy nieprzytomny na podłodze w salonie. Kiedy wycelował broń w Bäckströma, ten go postrzelił i Talib upadł, uderzając głową o blat stolika. Potem Bäckström postrzelił jeszcze Samira w piszczel, pod kolanem, gdy ten zaatakował go nożem. W tej teczce masz wszystkie szczegóły. Łącznie z materiałami

z dochodzeń przeprowadzonych przez wydział spraw wewnętrznych. Bäckström został oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Działał według podręcznika.

– Tak, słyszałam o tym – powiedziała Lisa Lamm i odsunęła od siebie teczkę, którą położyła przed nią Holt. – Martwi mnie raczej to, co się wydarzyło przy okazji procesu. Według Omara przyszli do Bäckströma, żeby dać mu pieniądze, a nie żeby go zabić. Zgodnie z jego zeznaniem Bäckström brał łapówki, widniał na liście płac braci Parisafarów.

– Sąd odrzucił tę wersję, bo uznał ją za mało wiarygodną – stwierdziła Holt. – W mieszkaniu nie znaleziono żadnych pieniędzy, choć służby dotarły na miejsce niemal w chwili zdarzenia.

– Wiesz – powiedziała Lisa Lamm – to prawda, że sąd nie dał wiary Omarowi, ale jednocześnie oczyścił go z zarzutu współudziału w usiłowaniu zabójstwa. Według sądu nie można wykluczyć, że Omar wierzył w swoją wersję wydarzeń. W to, że przyjechali do Bäckströma, żeby go przekupić. Że byli tam, żeby zapłacić Bäckströmowi, a nie żeby go zamordować. Skazano go za drobniejsze przestępstwa, łącznie na osiemnaście miesięcy więzienia. Z czego większość za posiadanie heroiny, gdy zdjęliście go na ulicy. Wszystkie poważniejsze zarzuty wobec niego zostały oddalone. Gdyby skazano go za to, co mu zarzucano, groziłoby mu dożywocie.

– Cóż – powiedziała Holt. – W treści wyroku, w części dotyczącej usiłowania zabójstwa, sąd stwierdził, że nie sposób udowodnić ponad wszelką wątpliwość, iż wiedział o ich zamiarze zabicia Bäckströma. No, ale wiadomo, Thomas Eriksson zrobił dobrą robotę. Wyrobił sobie markę, broniąc takich jak Omar i jego koledzy. Dziwna postać. Potrafił podważyć wszystko, co mówił poszkodowany. Byłam na sali i przysłuchiwałam się rozprawie.

– Z tego, co mi wiadomo, rozprawa była dosyć chaotyczna. Ja na niej nie byłam, ale...

– Za to ja tak, jak już mówiłam – przerwała Holt – i myślę, że Bäckströmowi niepotrzebnie się oberwało. A oberwało się nieźle. Do tego miał na karku dochodzenie wewnętrzne, po

którym zresztą oczyszczono go ze wszystkich zarzutów. Weszłam do mieszkania Bäckströma godzinę po zdarzeniu. Technicy wszystko dokładnie przeczesałi i jakoś trudno mi uwierzyć, by zdołał ukryć dwieście tysięcy w gotówce, jak twierdzili adwokat Eriksson i jego klient.

– Rzeczywiście, raczej nie miał powodów, żeby lubić Erikssona – uśmiechnęła się Lisa Lamm.

– Nie on jeden. Gdyby było inaczej, trudno by ci było uzbierać zespół dochodzeniowy. Prawie wszyscy koledzy, z którymi o tym pogadasz, powiedzą ci, że Thomas Eriksson był jeszcze większym draniem niż ci, których bronił.

– Lepiej bym tego nie ujęła – powiedziała Lisa Lamm.

– To oczywiście tylko jedna strona medalu. Druga jest taka, że Bäckström to dla ciebie rozwiązanie. Nie ma wątpliwości, że przestępcze działania ofiary doprowadziły do jej śmierci i że Bäckström już wkrótce to udowodni. Potraktuje to jako gangsterskie porachunki. Na pewno nie pozwoli, żeby sprawa powędrowała na półkę.

– Co nie zmienia istoty problemu.

– Nie. Problemy to się zaczną, jeśli spróbujesz wymienić Bäckströma na jakiegoś innego prowadzącego. Zastanów się, Liso. Bäckström to chodząca legenda, nasi ludzie cię zjedzą, jeśli go odsuniesz. Nie mówiąc już o zwykłych obywatelach. Nasz lokalny Clint Eastwood – zakończyła Holt z łagodnym uśmiechem.

– No to nie ma wyboru. – Lisa Lamm skinęła głową. – Wiesz co? – Uśmiechnęła się do Holt.

– Nie.

– Nie mogę się już doczekać, kiedy zacznę z nim pracować. Człowiek, mężczyzna, legenda.

– Powodzenia – powiedziała Holt i uśmiechnęła się krzywo.

23

Na pierwsze spotkanie zespołu dochodzeniowego inspektor kryminalny Evert Bäckström wszedł punkt dwunasta. Zasiadł u szczytu stołu w dużej sali konferencyjnej, przywitał się ze

wszystkimi i oddał głos swojej zastępczyni Annice Carlsson.

– Proszę, Annika – powiedział, odchylił się na krzesło, splótł dłonie na brzuchu i uśmiechając się szeroko, powiódł wzrokiem po zebranych. Znowu te same tępe gęby, choć przecież miał to być najpiękniejszy dzień w moim życiu, pomyślał Bäckström. Jedynym światelkiem samotnie migoczącym w otaczających go ciemnościach była mała Jenny, która dziś, zamiast czarnej, miała na sobie czerwoną koszulkę.

– Dziękuję – powiedziała Annika Carlsson i skinęła głową. – Zabójstwo, sprawca nieznany, na razie wiemy, co następuje. Nasza ofiara to adwokat Thomas Eriksson, lat czterdzieści osiem, samotny, bezdzietny, domyślam się, że wszyscy go dobrze znacie. Został zamordowany w swoim domu na Ålstensgatan sto dwadzieścia siedem w Brommie. Prawdopodobnie wczoraj wieczorem – jak wynika ze wstępnych oględzin przeprowadzonych przez lekarza sądowego, przyczyną śmierci było najpewniej mocne uderzenie w głowę. Motyw nieznany, w każdym razie nic nie przemawia za tym, by było to włamanie, które wymknęło się spod kontroli. Na pytanie, kto za tym stoi, trzeba dopiero znaleźć odpowiedź. Po to tu jesteśmy, na wypadek gdyby ktoś miał wątpliwości. – Annika Carlsson oderwała wzrok od papierów i potoczyła wzrokiem po zebranych. – O szczegółach opowie wam Peter – powiedziała, i w tej samej chwili Anna Holt otworzyła drzwi i weszła do sali w towarzystwie prowadzącej postępowanie przygotowawcze Lisy Lamm.

– Nie będę wam przeszkadzać – powiedziała Holt. – Chciałam wam tylko przedstawić prowadzącą wasze postępowanie, ma na imię Lisa, prokurator Lisa Lamm, oficjalnie mówiąc, ja muszę lecieć dalej. Liczę na to, że to rozwiążecie.

Ładna dziewczyna, pomyślała Annika Carlsson. Drobną, krótko ściętą blondynką, ubraną w spódniczkę, bluzkę i marynarkę w odcieniach bieli i błękitu. Najwyżej czterdzieści lat, podobno niezamężna i bezdzietna, wesołe spojrzenie. Może coś z tego będzie, pomyślała.

– Witaj, Liso – powiedziała Annika Carlsson, skinęła głową

i uśmiechnęła się. – Usiądź i czuj się jak u siebie – dodała, pokazując wolne krzesło na drugim końcu stołu.

– Dziękuję – powiedziała Lisa Lamm i usiadła.
– Przepraszam za spóźnienie. Nie przeszkadzajcie sobie.
– Uśmiechnęła się i skinęła głową do zebranych.
– Kontynuujcie, proszę...

– Dobra – uciął Bäckström. – Witaj w zespole. – Dziesięć minut z głowy, bo zapomniała nastawić budzika, pomyślał. A Annika Carlsson, nasza wydziałowa Safona, już ma na nią oko. Mała Owieczka musi uważać, żeby nie wpaść w jej szpony.

– Peter Niemi kieruje wydziałem techniki kryminalnej w Solnie – powiedział Bäckström i pokazał dłonią na właśnie zapowiedzianego kolegę. – Powiedz nam co, gdzie i jak.

– Jasne – powiedział Niemi. – Będzie tu wiele znaków zapytania, bo nad sprawą pracujemy z kolegą Hernandezem dopiero od ośmiu godzin. W obecnej chwili sytuacja wygląda następująco. Czas popełnienia zbrodni wyjściowo ustaliliśmy na wczoraj za piętnaście dziesiąta. Miejscem zabójstwa był najprawdopodobniej hol na piętrze domu ofiary przy Ålstensgatan. Przyczyna śmierci, jak wynika ze wstępnej oceny lekarza sądowego, to uderzenie ciężkim przedmiotem w głowę i kark, które natychmiast pozbawiło ofiarę przytomności i spowodowało zgon w ciągu mniej więcej minuty.

– Skąd takie przypuszczenie? – zapytał Bäckström i poprawił się na krześle.

Zdaniem Petera Niemiego było ku temu kilka powodów, ale gdyby miał je omówić po kolei i zacząć od momentu popełnienia przestępstwa, wybrałby cztery główne.

Ich ofiara najwyraźniej bardzo dbała o własne bezpieczeństwo. W domu były zamontowane czujniki ruchu, kamery i alarm napadowy, a dodatkowo alarm obwodowy zapewniający ochronę całego budynku, razem ze wszystkimi oknami i drzwiami.

– Tutaj jest wejście do budynku – wyjaśnił Niemi. Wystukał coś na klawiaturze swojego komputera i wyświetlił zdjęcie zewnętrznych drzwi domu ofiary. – Nie znaleźliśmy śladów włamania, a system alarmowy był włączony przez całą niedzielę

aż do ósmej pięćdziesiąt osiem, kiedy ktoś – najprawdopodobniej sam Eriksson – wyłączył go i wpuścił do środka jednego lub więcej gości. – Za dwie dziesiąta – powtórzył Niemi. – Wtedy przyjmuje gości, więc na ten moment ustalamy pierwszy punkt na osi czasu.

O godzinie dziewiątej czterdzieści z telefonu komórkowego ofiary ktoś próbuje się połączyć z numerem alarmowym. Połączenie zostaje przerwane po mniej więcej minucie, dzwoniący nic nie mówi.

– W centrum kryzysowym niewiele sobie robią z takich telefonów, a to dlatego, że ponad połowa wszystkich rozmów przychodzących to pomyłki, a kolejne dwadzieścia procent to głuche telefony, czyli sytuacje, w których nie udaje się nawiązać kontaktu z dzwoniącym. Reagują tylko wtedy, gdy mają uzasadnione podejrzenie, że dzwoniący znajduje się w sytuacji zagrożenia, ale z pewnych powodów nie może się odezwać. Tym razem jednak tego nie zrobili. Wiele jednak wskazuje na to, że Eriksson rzeczywiście dzwonił po pomoc, ale został zabity, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Za dwadzieścia dziesiąta, czterdzieści dwie minuty po tym, jak wpuścił do środka jednego, dwóch lub więcej gości – podsumował Niemi.

O godzinie szóstej rano, jakieś osiem godzin później, na miejscu zbrodni pojawił się lekarz sądowy w celu dokonania wstępnych oględzin ciała. Na twarzy i szyi ofiary widoczne były zaawansowane oznaki zgonu. Uwzględniwszy temperaturę panującą w domu, lekarz stwierdził, że śmierć musiała nastąpić co najmniej sześć godzin wcześniej, niedługo przed północą, w niedzielę wieczorem.

– Kiedy był na miejscu, nie wiedzieliśmy jeszcze o telefonie alarmowym Erikssona za dwadzieścia dziesiąta, dlatego zadzwoniłem do niego godzinę temu, żeby mu o tym powiedzieć – wyjaśnił Niemi. – Bez wahania to kupił. To znaczy, że Eriksson został zamordowany właśnie wtedy.

– Za dwadzieścia dziesiąta w niedzielę wieczorem – podsumował Bäckström. Niemi nie jest taki głupi, nawet jeśli jest przynajmniej w połowie Finem, pomyślał. – Masz coś jeszcze? – zapytał Bäckström.

– Tak. Tego wieczoru odnotowaliśmy stosunkowo dużo połączeń z numerem alarmowym. Między godziną piętnaście po dziesiątej a pięć po jedenastej trzech sąsiadów Erikssona zgłaszało, że jego pies biega po tarasie i ujada jak szalony. Eriksson miał psa. Rottweilera, prawdziwą bestię, jeśli ktoś z was byłby ciekaw.

– Co z tym zrobili? – zapytał Bäckström, choć znał już odpowiedź.

– Nic – odpowiedział Niemi. – Nie było wolnych radiowozów. Potem się uspokaja aż do drugiej w nocy, kiedy kundel dostaje szału. Ujada i wyje, i wtedy chcący zachować anonimowość sąsiad numer cztery dzwoni i wyjaśnia kolegom z centrali, kto mieszka pod tym adresem. Dopiero wtedy wysyłamy radiowóz – jest na miejscu po dwunastu minutach. Koledzy dzwonią do drzwi, nikt nie otwiera, ale drzwi są otwarte, więc wchodzą do środka i w zasadzie od razu znajdują Erikssona w holu na piętrze, tak jak tu widzicie – powiedział Niemi, wyświetlając zdjęcie przedstawiające zakrwawioną ofiarę leżącą na brzuchu przed biurkiem. – Potem wszystko toczy się jak zwykle. Z Hernandezem jesteśmy na miejscu jakąś godzinę później, o trzeciej trzydziści. I tyle. Jeśli chcecie o coś zapytać, pytajcie – dodał Niemi, zamykając zdjęcie przedstawiające ofiarę.

– Ja mam pytanie. – Komisarz kryminalna Rosita Andersson-Trygg zamachała ręką. – To, co mówisz, wydaje mi się bardzo, bardzo dziwne. To prawdziwa zagadka.

Kto by chciał cię pytać o zdanie, pomyślał Bäckström.

– Pytaj – powiedział Bäckström chłodno. – Co masz na myśli, Rosita?

– Chodzi mi o zachowanie psa – odpowiedziała. – Dlaczego ten pies nie szczeka?

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale z tego, co zrozumiałem, pies szczeka jak oszalały przez pół nocy. – Baba chyba upadła na głowę. Czas już na poważną rozmowę z Holt, niech dotrzyma słowa i ją stąd releguje.

– Tu się nie zgodzę – zaprotestowała. – Pies siedzi cicho przez całe trzy godziny, od jedenastej do drugiej w nocy, a to nie jest typowe zachowanie rottweilera, którego pan został

zamordowany.

– Wiesz co, Rosita – Bäckström uśmiechnął się łagodnie – chciałbym, żebyś dokładnie się temu przyjrzała, obiecuję, że jeszcze do tego wrócimy. Cieszę się, że mamy w zespole eksperta. Niemi – dodał po chwili. – Miejsce zdarzenia. Co o nim wiemy?

– Prawdopodobnie było to to samo miejsce, w którym znaleźli ofiarę. W pobliżu jego biurka na piętrze. Mamy oczywiście trochę wątpliwości, ale zaczekamy z tym do czasu, gdy wypowie się lekarz sądowy.

– Kiedy możemy się spodziewać jego stanowiska? – zapytała Annika Carlsson.

– Obiecał, że dziś wieczorem zrobi obdukcję, więc pewnie jutro możemy liczyć na wstępny opis – powiedział Niemi. – Na końcową opinię będziemy pewnie musieli poczekać jeszcze jakiś tydzień.

– Jakoś to przeżyjemy – powiedział Bäckström dobrotliwie. – Może moglibyśmy podsumować tę część, Peter. Co wiemy na temat przyczyny śmierci?

Również tutaj pojawiały się pewne wątpliwości, z powodu których na ostateczną odpowiedź należało poczekać do czasu, kiedy wypowie się lekarz sądowy.

– Uderzenie tępym przedmiotem w głowę, tak przynajmniej wydaje mi się teraz – powiedział Niemi. – Większość znaków za tym przemawia.

– Dobra – powiedział Bäckström. – Podsumowując, mamy tu do czynienia z morderstwem, do którego dochodzi mniej więcej za piętnaście dziesiąta wczoraj wieczorem, na piętrze domu ofiary. Ofiara ginie od silnego uderzenia w głowę. Czy mogłabyś, Anniko, dopilnować, żeby koledzy robiący obchód okolicy dostali tę informację? Oczywiście niech nie rozprowadzają tego od razu na prawo i na lewo.

– Oczywiście – powiedziała Annika Carlsson. – Dopilnuję, żeby...

– Nie zapomnij im powiedzieć, żeby zapytali o psa, to znaczy dlaczego siedział cicho przez trzy godziny, jeśli rzeczywiście tak było, mógł przecież cicho jęczeć – wtrąciła Andersson-Trygg.

– Jasne – powiedziała Annika Carlsson i westchnęła.
– Słyszałam, co mówiłaś, Rosita.
– Doskonale – powiedział Bäckström pojednawczo.
– W takim razie proponuję pięć minut przerwy na rozprostowanie nóg, a potem Peter opowie nam o drugim trupie, tym znalezionym na tarasie. – Niech się teraz zastanawia, psia terrorystka, pomyślał Bäckström. Sądząc po wyrazie twarzy pozostałych zebranych, nie tylko jej dało to do myślenia.

24

To musi być nowy rekord szybkości powrotu z pięciominutowej przerwy na fajka, pomyślał Bäckström, kiedy jako ostatni usiadł na swoim miejscu po dokładnie pięciu minutach.

– Aha – powiedział i uśmiechnął się wesoło. – Czas na ofiarę numer dwa, Peter.

– Tak – powiedział Peter Niemi. – Obawiam się, że to niezbyt przyjemny widok.

Następnie wyświetlił zdjęcie ukazujące martwego rottweilera leżącego na tarasie na piętrze, dziesięć metrów od miejsca, w którym prawdopodobnie został zamordowany jego właściciel.

– Ktoś chyba poderznął mu gardło – stwierdził Niemi i pokazał na otwartą ranę w podgardlu i plamę krwi rozlanej po jasnej drewnianej podłodze tarasu.

– Kiedy to się stało? – zapytał Bäckström.

– Jak wynika ze zgłoszeń na numer alarmowy, około drugiej w nocy...

– Cztery godziny po tym, jak jego pan kopnął w kalendarz, dziwne – stwierdził Bäckström.

– Fakt – zgodził się Niemi. – Ta sprawa nie wydaje się taka prosta. Wysłaliśmy zwłoki psa do weterynarza sądowego. W jego pysku znaleźliśmy fragmenty włókien. Nici i większy, poszarpany kawałek jakiegoś materiału, który, jak się domyślam, pochodzi z pary dżinsowych spodni.

– Pewnie ugryzł naszego tajemniczego sprawcę w nogę – powiedział Bäckström, zaparł się łokciami o blat biurka i ułożył dłonie w piramidkę. – Masz nam coś jeszcze do opowiedzenia?

Zdaniem Niemiego zostały im same znaki zapytania. Adwokat, którego czaszkę zmiażdżono ciężkim przedmiotem, jego pies, któremu cztery godziny później poderżnięto gardło, i na dokładkę dwa strzały na piętrze.

Niemi wyświetlił nowe zdjęcia, na których widać było ślady po kulach w suficie nad biurkiem i w oparciu kanapy. Na koniec pokazał jeszcze zbliżenie dwóch splaszczonych naboji, które położył na białej kartce papieru na biurku ofiary, żeby zrobić możliwie najlepsze zdjęcie.

– A oto naboje – stwierdził Niemi. – Wydaje mi się, że pochodzą z tej samej broni. W każdym razie są tego samego kalibru – dwadzieścia dwa – i tego samego typu. Naboje bezłuskowe. Nie znaleźliśmy łusek, co może sugerować, że użyto rewolweru. Strzelała zapewne sama ofiara, bo na jej prawej dłoni i prawym rękawie koszuli znaleźliśmy ślady prochu. Poza tym ma licencję na rewolwer kalibru dwadzieścia dwa. Stosowany w polowaniach na lisy i do uśmiercania złapanej w pułapkę zwierzyny. Licencja obejmowała łącznie sześć sztuk broni myśliwskiej. Dwa sztucery, trzy strzelby i wspomniany przed chwilą rewolwer. W piwnicy denata odkryliśmy sejf na broń, ale jest zamknięty, więc z tym musimy poczekać.

– Nie znaleźliście rewolweru – zauważył Bäckström.

– Jeszcze nie – Niemi pokręcił głową. – Dopiero zaczęliśmy szukać, pewnie zajmie nam to cały tydzień. To wielka chałupa. Parter ma prawie dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych, piętro – sto pięćdziesiąt plus stumetrowy taras. W piwnicy znajduje się ogromny garaż, poza tym jest siłownia, sauna, pokój do gry w bilard, piwniczka z winem, pralnia i pomieszczenie gospodarcze. W zasadzie ledwo zaczęliśmy.

Nie znaleźli ani ciężkiego przedmiotu, ani rewolweru, za to, jak stwierdził Niemi, sporo innych rzeczy. W górnej szufladzie biurka leżała gruba brązowa koperta, w której znajdowało się

dziewięćset sześćdziesiąt dwa tysiące koron w banknotach tysiackoronowych podzielone na dziesięć plików ściągniętych gumką. Na biurku leżała staromodna, pognieciona chusteczka ze śladami krwi i smarków. Stały tam również: opróżniona do połowy kryształowa karafka z whisky i kieliszek z resztką trunku na dnie. Niemi nie zdążył się jeszcze nad tym głębiej zastanowić. Co innego przyciągnęło jego uwagę.

– Jest jeszcze jeden kieliszek – powiedział Niemi i pokazał kolejne zdjęcie. – Stoi na stoliku przed kanapą, w której oparciu znaleźliśmy kulę. Kieliszek na stoliku znajduje się na linii łączącej kulę tkwiącą w oparciu kanapy z karafką i kieliszkiem stojącymi na biurku, jakiś metr przed kanapą. Jeśli zatem założymy, że osoba pijąca z tego kieliszka siedzi w sposób, jakiego można się spodziewać w takich sytuacjach, powinna zostać trafiona w korpus lub w głowę, co jednak się nie stało, sądząc po śladach...

– Może ten, kto siedział na kanapie, nie siedział tam aż tak długo – podsunęła Annika Carlsson. – Może zdążył już wstać.

– Nie, jestem niemal pewien, że on... albo ona... siedziała na kanapie, ale że kula jej nie dosięgła. Sądzę tak na podstawie analizy śladów, które zabezpieczyliśmy na tej poduszce – powiedział Niemi i pokazał nowe zdjęcie, zbliżenie poduszki. – Zwróćcie uwagę na tę ciemną plamkę na poduszce, mniej więcej w miejscu, w którym osoba siedząca na kanapie powinna mieć pośladki – mówił dalej Niemi i pokazał na zdjęcie poduszki.

– Komuś puściły zwieracze, gdy koło ucha świsnęła mu kula – stwierdził Bäckström. Co to się dzisiaj dzieje z gangsterami, pomyślał. Sikają w majtki tylko dlatego, że strzela do nich jakiś adwokacina. On sam od razu wyciągnąłby małego Siggego i załatwił sprawę podwójną salwą.

– Ślady kału i moczu – stwierdził Niemi, kiwając głową. – Nie pierwszy raz coś takiego widzę. – Niemi uśmiechnął się przyjaźnie i zamknął zdjęcie. – Jakies pytania?

– Może później, kiedy już będziemy coś więcej wiedzieć – powiedział Bäckström, żeby uniknąć niepotrzebnych dyskusji.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, Annika, mamy na głowie nieco pilniejsze sprawy – dodał i z jakiegoś powodu spojrzął na Lisę Lamm, prokurator prowadzącą postępowanie przygotowawcze.

– Przeszukanie mieszkania Erikssona nie powinno stanowić problemu – powiedziała Annika i pokręciła głową. – Jego komputer też nie, biorąc pod uwagę, że znajdował się w jego mieszkaniu i był włączony. Pozostaje jeszcze kancelaria adwokacka, z którą, jak się pewnie domyślacie, sprawa może być bardziej skomplikowana. Na razie kazałam zabezpieczyć gabinet Erikssona. Za dwie godziny spotkam się z jego partnerami, żeby ustalić, co dalej.

Niech mnie diabli, pomyślał Bäckström.

– Ktoś ma jakieś pytania? – powiedział i westchnął.

Potem wszystko potoczyło się jak zawsze – pytania, spekulacje i typowa czcza gadanina – aż poczuł, że ma dosyć, uniósł prawą dłoń i zakończył inauguracyjne spotkanie swojego zespołu.

– Koniec gadania – powiedział Bäckström. – Do roboty. Trzeba dorwać tego drania. Podyskutujemy sobie, jak już będzie siedzieć w pierdłu.

25

Muszę coś zjeść, pomyślał Bäckström. Porządny lunch, duża lufa i co najmniej jedno duże i bardzo zimne piwo. Muszę też mieć chwilę, żeby zebrać myśli. Nie ma co czekać, stwierdził, zwłaszcza że minęło właśnie wpół do trzeciej po południu i poziom cukru w jego krwi spadł do poziomu jego włoskich ręcznie sztych butów.

Annika Carlsson, jego najbardziej zaufany pracownik, siedziała za biurkiem w ich gabinecie, dając popis swojej umiejętności jednoczesnego konsumowania sałatki z plastikowego pojemnika i pisanania na komputerze.

– Prowadzący chce się wymknąć na lunch – stwierdziła z uśmiechem.

– Pomyślałem, że zrobię sobie spacer – odpowiedział Bäckström. – Muszę trochę ochłonąć i na spokojnie się

zastanowić.

– Ty na spacer? Teraz naprawdę zaczynam się martwić. Dobrze się czujesz?

– Wszystko w porządku – Bäckström pokręcił głową.
– Potrzebuję tylko chwili spokoju, żeby zebrać myśli.

Pierwszy prawdziwy dzień lata, pomyślał Bäckström, kiedy wyszedł na ulicę, po czym zawrócił do swojego pokoju po okulary słoneczne. Szpiegowskie okulary, które zwykł wyjmować, gdy tylko nadchodziło lato, a promienie słońca odślaniały tak dużą powierzchnię kobiecego ciała, że było to warte zachodu. Szpiegowskie okulary w stalowych oprawkach, dzięki którym nie dało się go pomylić z jednym z tych degeneratów, którzy o tej porze roku kręcili się po okolicy, śliniąc się na widok potencjalnych bohaterek swoich chorych fantazji.

Czego nie można było powiedzieć o Evercie Bäckströmie, który w żółtym płóciennym garniturze i ciemnych okularach, wolny od wszelkich podejrzeń o hołdowanie niskim instynktom, w największym spokoju szedł powoli ulicą prowadzącą od strony komendy, przeciął Solna Centrum i minął stadion Råsunda, żeby pół godziny później wejść do jednej ze swoich ulubionych knajp w Miasteczku Filmowym.

Po drodze było tyle do oglądania, że nawet przez chwilę nie myślał o dochodzeniu. Wszystko ma swój czas, pomyślał. Z zewnątrz był ucieleśnieniem skrytych marzeń każdej kobiety, niebieskim ptakiem i celebrytą znanym z telewizyjnych programów kryminalnych i mającym swój własny fanklub w sieci. Miał też jednak swoje drugie oblicze. Był obserwatorem, unosił się ponad masą tych wszystkich drobnych przestępstw, w których przez większość życia grzęzli jego ograniczeni umysłowo koledzy. Wszystko ma swój czas, niezły z ciebie filozof, Bäckström, pomyślał, siadając przy swoim ulubionym stoliku, a właściciel knajpy bez zwłoki postawił przed nim stosownej wielkości kufel zimnego piwa.

– Inspektor Bäckström – powiedział. – Co pan powie na porządną grillowaną wołowinę z sosem bearneskim i smażone ziemniaki? Bez sałatki.

– Brzmi fantastycznie – powiedział Bäckström. – Plus to, co zawsze: mała szklanka i do tego spora butelka wody.

– Naturalnie – odpowiedział z zapalem jego gospodarz.

Jedząc, czuł, jak wraca mu życie. Znów był sobą. Pod koniec narady, kiedy jego współpracownicy gorączkowo przerzucali się pomysłami kłębiącymi się w ich ciasnych czaszkach, poczuł, że potrzebuje odosobnienia i czasu na refleksję. Podobne uczucie nachodziło go, kiedy jego supersalami dostało to, co mu się należało, a on marzył już tylko o chwili spokoju, a nie żeby jakaś obca baba lepiła się do niego w jego olbrzymim łóżku z Hästens.

Wraca życie, pomyślał Bäckström, uniósł kieliszek i wlał w siebie resztkę trunku.

Na kawę przysiadł się do niego sam właściciel. Był wiernym kibicem AIK, podobnie jak Bäckström w chwili, gdy przekraczał próg jego restauracji. Najwyraźniej dotarły do niego plotki, że legendarny funkcjonariusz policji w Solnie prowadzi sprawę zabójstwa jednego z najzagorzalszych wrogów klubu.

– Wiesz pewnie, że ten skurczybyk siedział w zarządzie Djurgården? Motyw zabójstwa, sam rozumiesz.

– Wiem – powiedział Bäckström. – Wiem, choć osobiście potraktowałbym to jako okoliczności łagodzące.

Następnie pojechał taksówką z powrotem do komendy, zatrzymał się po drodze i kupił miętówki, żeby nie prowokować niepotrzebnych plotek. Ledwie zdążył położyć na biurku swoje zmęczone stopy, gdy nagle rozległo się pukanie. Zza drzwi wyłoniła się mała Jenny w króciutkim, czerwonym topie. Chciała porozmawiać na osobności.

– Ma szef pięć minut?

– Jasne, siadaj – powiedział Bäckström i pokazał ręką na krzesło.

Znów czuję, że żyję, pomyślał i przez krótką sekundę zastanawiał się nawet, czy nie założyć z powrotem okularów słonecznych.

– W czym mogę ci pomóc, Jenny? – zapytał Bäckström, zakładając nogę na nogę, na wypadek gdyby jego supersalami się poruszyło.

– Mam pewien pomysł, który chciałabym z szefem skonsultować – powiedziała Jenny. Uśmiechnęła się, pochyliła i podała mu kartkę.

– Aha – powiedział Bäckström, wziął kartkę do ręki i zaczął czytać. Trzy rzędy okrągłych liter, pisanych odręcznie w stylu charakterystycznym dla dziewcząt w wieku szkolnym – dokładnie tak, jak miał nadzieję. Supersalami najwyraźniej się obudziło.

– No, niech szef przeczyta. – Jenny pokazała na kartkę i pokiwała energicznie głową.

– „Niedziela dziewiętnastego maja. Szlachcic pobity katalogiem aukcyjnym. Wtorek dwudziestego pierwszego maja. Zaniebdany królik odebrany właścicielowi przez policję. Niedziela drugiego czerwca. Zabójstwo adwokata” – przeczytał na głos z rosnącym zdziwieniem. Co to, kurwa, jest, pomyślał.

– Czy szef myśli o tym samym co ja? – zapytała Jenny i pochyliła się jeszcze trochę do przodu. Bardziej niż lekko podekscytowana.

– Nie jestem pewien – odparł Bäckström i pokręcił głową.
– Mów, chętnie posłucham.

– Kiedy siedziałam na naradzie, coś mi przyszło do głowy. Pomyślałam, rany, jak często zdarzają się tego typu sprawy? Przypomniały mi się trzy złote zasady, które obowiązują przy dochodzeniu w sprawie zabójstwa: po pierwsze, że trzeba lubić, co się ma, po drugie, że nie należy niepotrzebnie komplikować, a po trzecie... i właśnie to przyszło mi do głowy na spotkaniu... że nie wolno wierzyć w przypadki.

– Aha – powiedział Bäckström. – Wybacz, ale...

– Jak często zdarza się, żeby takie trzy sprawy pojawiły się w ciągu zaledwie tygodnia? Do tego w tym samym rejonie? Chodzi mi o to, że taki zbieg okoliczności jest statystycznie niemożliwy. Sprawdziłam to nawet w sieci. Czy wie szef, kiedy

ostatnio w naszym kraju ktoś zabił adwokata?

– Nie. Zdaje się, że nie zdarza się to codziennie, niestety.

– Od ostatniego razu minęło ponad pięćdziesiąt lat. W Norrland, przy okazji jakiegoś procesu sądowego. Jedna ze stron zastrzeliła adwokata drugiej strony. Adwokaci są chyba jednymi z najrzadszych ofiar zabójstw w Szwecji... i jeszcze ten królik... nigdy w życiu nie słyszałam o podobnej sprawie... i jeszcze to pobicie katalogiem aukcyjnym.

– Słucham – powiedział Bäckström. O czym ona, kurwa, mówi, pomyślał.

– Całe życie prowadził szef dochodzenia w sprawie przestępstw z użyciem przemocy – powiedziała Jenny. – Kiedy ostatnio słyszał szef o tym, żeby jakiegoś szlachcica pobito katalogiem aukcyjnym? W dodatku przed pałacem zamieszkanym przez rodzinę królewską?

– Nigdy – przyznał Bäckström i pokręcił głową. – Możliwe, że to pierwszy taki przypadek w historii szwedzkiej kryminalistyki.

– Dokładnie – powiedziała Jenny. – Tak właśnie myślałam.

– Słyszę, co mówisz, Jenny, wciąż jednak nie rozumiem...

– To nie może być przypadek – przerwała Jenny i spojrzała na niego z powagą.

– Nie może?

– Nie. – Jenny skinęła głową. – To nie może być przypadek. Musi istnieć jakiś związek między tymi trzema sprawami. Nie widzę innej możliwości. Jedna z nich musi prowadzić do drugiej, a druga – do trzeciej. Kiedy znajdziemy to powiązanie, znajdziemy też wyjaśnienie zagadki, kto zamordował Erikssona, i pozostałych spraw, z królikiem i z katalogiem.

– Mówisz – zastanowił się Bäckström. – Mówisz – powtórzył, ponieważ był myślami gdzie indziej. Cokolwiek by mówić o Rogerssonie, pomyślał Bäckström, to dobry policjant, ma łeb na karku. Niemożliwe, żeby był ojcem tej małej detektyw. Nie z taką gębą. Zresztą głowy ani cycków też po nim nie odziedziczyła.

– Wiedziałam, że szef mnie zrozumie. Dlatego właśnie pomyślałam, że przyjdę z tym bezpośrednio do szefa.

– Dobrze zrobiłaś. Bardzo dobrze – dodał na wszelki wypadek. – Pozwól tylko, że się upewnię, czy dobrze zrozumiałem.

– Mogę notować? – zapytała, pochyliła się do przodu i wzięła kartkę, którą wcześniej mu podała.

– Jasne. Chcesz powiedzieć, że najpierw nieznanymi sprawcami obija katalogiem aukcyjnym jakiegoś dobrze urodzonego dzentelmena, wskutek czego dwa dni później policja odbiera królika cierpiącej na demencję staruszce, co w ostatecznym rozrachunku prowadzi do tego, że nieznanymi sprawcami lub sprawcy dwa tygodnie później mordują adwokata Erikssona.

– No tak, mniej więcej. Wiem, że to brzmi na maksa dziwnie, ale mogę się założyć, że te sprawy się ze sobą wiążą. To jest właśnie sytuacja, kiedy nie można wierzyć w zbiegi okoliczności.

– Ciekawe – powiedział Bäckström. – Rzeczywiście, warto się nad tym zastanowić. – Mała Jenny musi być świetna w łóżku, pomyślał. Przy niej Panna Piątek to normalnie noblistka, siedem punktów w stylu na pieska.

– Wiedziałam, że szef zrozumie, co...

– Dobra, już dobra. Wiesz co, Jenny...

– Słucham, szefie.

– Raportuj bezpośrednio do mnie, nikomu ani słowa.

– Dziękuję, szefie. Obiecuję, że szefa nie zawiodę.

– Świetnie – odpowiedział i uśmiechnął się zadowolony. Nie chce patrzeć, jak Annika własnoręcznie zaciągnie cię do recepcji i każe ci odbierać pocztę, pomyślał.

27

Obchód rejonu rozpoczął się już o siódmej rano. Trwał cały dzień, choć zwykle najlepiej było go przeprowadzać rano i wieczorem. W mieście najlepiej wypadały poranki i wieczory. Wszyscy byli wtedy w domu. Nie trzeba być policjantem, żeby to rozumieć.

Okolica, w której mieszkał adwokat Thomas Eriksson, okazała się jednak bardzo wygodna dla funkcjonariuszy

podchodzących poważnie do tematu obchodu. Większość sąsiadów ofiary była bowiem właścicielami psów, co oznaczało, że spędzali znacznie więcej czasu na dworze niż ci, którzy psa nie mieli, a co więcej chodzili w nietypowe miejsca i robili to w nietypowych godzinach, dlatego dla prowadzących dochodzenie byli szczególnie wartościowi. Tym bardziej że dotyczyło ono ich sąsiada, adwokata Thomasa Erikssona.

W takim terenie można zedrzeć podeszwy, pomyślał komisarz kryminalny Jan Stigson, lat trzydzieści dwa, syn mleczarza z Dalarny, któremu wciąż zdarzało się myśleć w ten sposób, choć minęło już ponad dziesięć lat, od kiedy wyjechał do stolicy, żeby zostać policjantem.

Pracował w wydziale Bäckströma od czterech lat i przez ten czas brał udział w wielu tego typu obchodach. Teraz znów był w terenie. Wraz z czterema młodszymi kolegami z rejonowego wydziału prewencji chodzili od drzwi do drzwi i kiedy stanęli w progu drugiej tego dnia willi, los się do nich uśmiechnął, choć było dopiero wpół do dziewiątej rano. Piękna pogoda, pierwszy prawdziwy dzień lata, idealna aura na obchód, pomyślał Stigson.

Otworzyła mu sympatyczna kobieta w średnim wieku, za którą stał czarny labrador, merdając ogonem. Mieszkała w tym domu przez ostatnie dwadzieścia lat razem ze swoim mężem. Dzieci już dawno się wyprowadziły. Jej mąż wyjechał do Hiszpanii grać w golfa i od kilku dni to ona wyprowadzała ich psa na wieczorny spacer. Zwykle jednak to jej mąż chodził wieczorami, a ona wyprowadzała psa rano.

– Mamy z mężem zupełnie inny rytm dnia – wyjaśniła. – Ja wstaję skoro świt i kładę się zwykle koło dziesiątej, ale mąż przeciwnie. Może siedzieć przez pół nocy, a rano ledwo da się z nim rozmawiać. Proszę wejść, porozmawiamy na spokojnie. Byłam już z Nallem na porannej przechadzce i akurat zamierzałam się napić kawy. Może pan komisarz też się napije?

– Chętnie – odpowiedział Stigson. Miła, pomyślał. Musiała być na nogach już od pewnego czasu, skoro zdążyła odczytać jego stopień na legitymacji policyjnej.

Spędzili w jej kuchni blisko godzinę i w tym w czasie

opowiedziała o spostrzeżeniach, które poczyniła poprzedniego wieczoru, kiedy była na spacerze ze swoim labradorem Nallem. Zawsze chodziła tą samą trasą. Najpierw kilka przecznic przed siebie, potem w prawo i z powrotem do domu.

– Innymi słowy, robię kółko wokół kwartału – wyjaśniła i zakreśliła trasę palcem na mapie, którą miał ze sobą Stigson. – W sumie to najwyżej dwa kilometry, ale z takim towarzyszem przechadzka zajmuje około godziny. Zawsze jest coś do powąchania, jacyś koledzy, z którymi trzeba się pobawić, właściciele i właścicielki, z którymi trzeba zamienić kilka słów – stwierdziła jego świadek i uśmiechnęła się do Stigsona.

– Czy mogłaby pani podać ich nazwiska i przykładowe godziny, jeśli to możliwe? Jak pewnie pani rozumie, próbujemy dotrzeć do wszystkich, którzy byli w okolicy wczorajszego wieczoru. To, co pani powie, zostanie oczywiście między nami.

Oczywiście, nie ma problemu. Po drodze spotkała tych samych sąsiadów i właścicieli psów co zawsze. Podała mu kilka nazwisk, wszystko wyglądało jak zawsze. Nie zauważyła niczego dziwnego, a już na pewno żadnych nieznanomych twarzy. No może tylko jedną osobę, której nie znała z nazwiska ani z wyglądu. Kiedy mijiała dom Erikssona, jakieś sto metrów dalej zauważyła mężczyznę, który stał po drugiej stronie ulicy i ładował kartony do bagażnika samochodu, a gdy wkładała klucz do zamka w drzwiach, usłyszała warkot silnika i odgłos odjeżdżającego samochodu.

– To był ten sam samochód – powiedziała. – Jestem tego pewna.

– Czy pamięta pani, która była wtedy godzina? – Bingo, pomyślał Stigson.

– Pamiętam, że wyszłam z domu jakoś za dziesięć dziesiątą. Oglądałam program w telewizji, taką operę mydlaną, jak to mówią, która skończyła się za piętnaście dziesiątą. Potem poszłam na spacer, mogło być wtedy około wpół do dziesiątej. Pamiętam, że kiedy włączyłam telewizor, dopiero się zaczęły wieczorne wiadomości na TV4. Zaczynają się o dziesiątej, ale wcześniej wytarłam jeszcze łapy Nallemu i nalałam mu wody do miski, i posprzątałam trochę w kuchni.

– Ten mężczyzna, który ładował kartony do bagażnika – czy mogłaby go pani opisać? – Przechodzimy do rzeczy, pomyślał Stigson.

– Nie – pokręciła głową, nagle spoważniała. – Słyszałam w porannych wiadomościach, co się stało, rozumiem, dlaczego pan pyta. Kiedy przechodziłam obok niego, stał pochylony nad bagażnikiem, nie widziałam jego twarzy. Nie wydaje mi się jednak, żeby czymś się wyróżniał, wyglądał jak większość mieszkających tu ludzi. W średnim wieku, elegancko ubrany, miał chyba na sobie marynarkę albo taką elegancką kurtkę, niebieską albo czarną, i ciemne spodnie, i może jeszcze...

– Tak? – powiedział Stigson i uśmiechnął się zachęcająco.

– Pomyślałam, że jest silny, dobrze zbudowany, sprawiał wrażenie wysportowanego. Widziałam przecież, jak podnosi karton i wkłada go do bagażnika. Co prawda nie wiem, co było w środku, to znaczy, ile ważył, ale to był taki duży biały karton przewodzkowy, a on zrobił to bez najmniejszego wysiłku.

– Jak pani myśli, ile mógł mieć wzrostu?

– Na pewno powyżej przeciętnej. Gdybym miała zgadywać, pewnie bliżej metra dziewięćdziesięciu niż metra osiemdziesięciu. To był duży mężczyzna. Mój mąż też jest wysoki, ma metr osiemdziesiąt sześć, chociaż wciąż upiera się, że metr osiemdziesiąt dziewięć, co było prawdą, kiedy się poznaliśmy, ale zapomina, że od tego czasu minęło już prawie czterdzieści lat.

– Powiedziała pani: w średnim wieku – drążył Stigson.

– Czterdzieści pięć, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt...

– Na pewno nie sześćdziesiąt – pokręciła zdecydowanie głową. – Pięćdziesiąt, najwyżej pięćdziesiąt, tak myślę. Było coś takiego w jego ruchach. Miały w sobie lekkość, którą traci się z wiekiem, i to niezależnie od tego, jak często się biega na siłownię – był wysportowany, jak już wspominałam.

– Czy coś jeszcze zwróciło pani uwagę?

– Samochód. To był srebrny mercedes, większy model, taki sportowy, nie dostawczy. Włamywacz raczej nie jeździłby takim po okolicy.

– Srebrny mercedes. Jest pani pewna?

– Tak, jestem pewna. My też mamy z mężem mercedesy. Ja mam mniejszego, a on większego, żeby mógł w nim wozić kije do golfa, ale ten był znacznie większy od samochodu mojego męża, na pewno też droższy niż nasze oba razem wzięte.

– Czy zwróciła pani uwagę na coś jeszcze? Numer rejestracyjny? Miał jakieś naklejki albo emblematy?

– Nie. Nawet nie spojrzałam na tablicę rejestracyjną. Żadnych naklejek też nie zauważyłam. To nie był jakiś wyjątkowy samochód, nie przyglądałam mu się. Teraz jednak rozumiem, dlaczego pan pyta. To straszne, co się stało. Ostatnia rzecz, jakiej moglibyśmy się spodziewać w tej okolicy. Nigdy nie mieliśmy tu zbyt wielu włamań. Kiedyś, zresztą zupełnie przypadkiem, zorientowaliśmy się, że zniknęła nasza łódka. Cumujemy zwykle na przystani obok domu Erikssona. Ale to było chyba z dziesięć lat temu.

– Mam nadzieję, że ją państwo odzyskali.

– O tak, i to bardzo szybko. Okazało się, że pożyczył ją bez pytania nasz najmłodszy syn, wypłynął z kolegami i trafili na mieliznę, a potem bał się przyznać przed mamą i tatą... W końcu jednak się wydało.

– Od tego czasu już nie rozrabia? – powiedział Stigson z uśmiechem.

– Jest żonaty, ma dwójkę dzieci, pracuje jako prawnik w banku SEB, więc mam nadzieję, że nie – odpowiedziała z uśmiechem.

Dziesięć minut później Stigson podziękował za wizytę i na pożegnanie zostawił swoją wizytówkę. Na wypadek gdyby jeszcze coś sobie przypomniała. Nieważne co, on zawsze odbierze.

Tak blisko, tak blisko, choć z bliska zająca nie ustrzelisz, pomyślał, wychodząc na ulicę i kierując się pod następny adres ze swojej listy.

W poniedziałek po południu – mniej więcej w tym samym czasie, gdy Jenny Rogersson wykladała swoje teorie przed

coraz bardziej zdziwionym Evertem Bäckströmem – Lisa Lamm i Annika Carlsson spotkały się ze współpracownikami Thomasa Erikssona w kancelarii adwokackiej Eriksson i Partnerzy na Karlavägen w Sztokholmie.

Przed wyjazdem Lisa Lamm weszła na stronę kancelarii, żeby się przygotować. Spotkanie nie zapowiadało się ani na lekkie, ani na łatwe czy przyjemne, a w najgorszym razie mogło się zakończyć typową prawniczą awanturą, wołała więc dowiedzieć się wszystkiego, co się da, na temat swojego przeciwnika.

Kancelaria adwokacka Eriksson i Partnerzy została założona piętnaście lat temu przez Thomasa Erikssona. Specjalizowała się w sprawach dotyczących użycia przemocy oraz w prawie rodzinnym i jeszcze niecałą dobę temu zatrudniała szesnaście osób; pięciu partnerów o równych udziałach, z których każdy był adwokatem, pięciu asystentów adwokata, księgowego odpowiedzialnego za rachunkowość, sprawy kadrowe i administrowanie kancelarią, a także dwie asystentki i trzy sekretarki. Biorąc pod uwagę wielkość zespołu i zakres usług, nie należeli do brązowej czołówki, ale i tak byli znacznie więksi, niż początkowo sądziła Lisa Lamm. Na sali sądowej Thomas Eriksson sprawiał wrażenie samotnego wilka. Nigdy by nie pomyślała, że jest założycielem firmy o tych rozmiarach.

Powiedz mi, z kim przestajesz, a powiem ci, kim jesteś, a zważywszy na opinię, jaką cieszył się Eriksson, czterech adwokatów i pięciu asystentów było nie lada wyzwaniem, pomyślała Lisa Lamm i pokręciła zmartwiona głową, wyłączając komputer.

Najwyraźniej również Annika Carlsson zdawała sobie sprawę z czekających je trudności, bo jeszcze zanim wyjechały z parkingu podziemnego komendy, zapytała: – Przeszukanie w kancelarii adwokackiej nie będzie proste, co? – choć zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie.

– No nie – zgodziła się Lisa Lamm, z trudem opanowując emocje.

– Poproszę o skróconą wersję – powiedziała Annika Carlsson z uśmiechem.

– Okej. Po pierwsze, to sprawa wyjątkowo delikatna,

zważywszy na specyfikę pracy adwokatów. Chodzi o to, żeby nie zaszkodzić interesom klientów i nie naruszyć zasad poufności, które są tu bardziej restrykcyjne niż w jakiegokolwiek innej branży. – Lisa Lamm wzruszyła ramionami.

– A po drugie?

– Po drugie, Thomas Eriksson jest ofiarą, nie podejrzanym, a po trzecie... został zamordowany w swoim mieszkaniu, a nie w biurze. Trochę tego jest – westchnęła Lisa Lamm.

– Zapominasz o najważniejszym – zauważyła Annika Carlsson.

– O czym? – zdziwiła się Lisa Lamm, choć знаła już odpowiedź.

– Eriksson był gangsterem – odpowiedziała wprost Annika Carlsson, wzruszając szerokimi ramionami. – Pomyślałam o jego kolegach z pracy. Kto chciałby pracować z gangsterem? Inni gangsterzy.

– Też o tym pomyślałam. I też mnie to martwi.

– A mnie nie – Annika Carlsson pokręciła głową. – Jeśli zaczną się stawiać, po prostu wykręcę im ręce.

– Dziękuję, naprawdę, planowałam jednak działać w nieco inny sposób – odpowiedziała Lisa Lamm.

– Nie ma za co – powiedziała Annika Carlsson. – Daj znać, kiedy zmienisz zdanie. – Na pewno się dogadamy, pomyślała.

29

Nadja Högberg miała pięćdziesiąt dwa lata. Jeszcze dwadzieścia lat wcześniej nazywała się Nadieżda Iwanowa, urodzona w niewielkiej wiosce niedaleko Leningradu, obecnie Sankt Petersburga. Nadieżda była zdolną dziewczynką, dlatego kuzyn jej ojca, rzecznik lokalnego komitetu partii, postarał się, by jak najszybciej trafiła do odpowiednich szkół, żeby w przyszłości służyć potężnemu Krajowi Rad w najlepszy możliwy sposób.

Nadieżda go nie zawiodła. W wieku dwudziestu sześciu lat obroniła doktorat z matematyki stosowanej na Uniwersytecie Leningradzkim. Dzięki najwyższym ocenom od razu dostała

zatrudnienie jako analityk ryzyka w regionalnej instytucji zajmującej się energetyką jądrową. Zaledwie trzy lata przed „wyzwoleniem spod komunistycznego jarzma”, jak niebawem jej mentor, były rzecznik partii, miał opisać to, co wydarzyło się pod koniec lat osiemdziesiątych.

Również on doradził jej następny krok. Skoro nie chciała skorzystać z jego propozycji i rozpocząć pracy w prywatnym koncernie rolniczym, którego był teraz dyrektorem, to z jej wiedzą powinna szukać szczęścia poza granicami nowej Rosji do czasu, kiedy jej pracodawca przejrzy na oczy i dostosuje się do warunków obowiązujących w każdym działającym biznesie, niezależnie od branży. I zrozumie, że wysoko wykwalifikowany specjalista taki jak ona, fizyk jądrowy i doktor nauk matematycznych, musi zarabiać o wiele więcej niż zwykły lekarz, nauczyciel czy policjant.

Wkrótce zresztą miało się okazać, że nie tylko tego nie rozumiał jej pracodawca. Pierwszy raz poprosiła o pozwolenie wyjazdu z kraju latem 1991 roku, dwa lata po „wyzwoleniu”. Pracowała wówczas w elektrowni jądrowej na Litwie, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od wybrzeży Morza Bałtyckiego. Na swój wniosek nigdy nie dostała odpowiedzi. Tydzień później jej szef wezwał ją i poinformował, że została przeniesiona do elektrowni położonej tysiąc kilometrów na północ, w okolice Murmańska. Kilku milczących mężczyzn pomogło jej spakować rzeczy osobiste, których zresztą nie miała zbyt wiele. Zawieźli ją do jej nowego miejsca pracy, a w ciągu dwóch dni podróży nie odezwali się do niej ani słowem.

Dwa lata później nie prosiła już o pozwolenie. Z pomocą „kontaktów” przedostała się przez granicę do Finlandii. Na miejscu spotkała kolejne „kontakty”, dzięki którym już następnego dnia, jesienią 1993 roku, obudziła się w domu na wsi gdzieś w Szwecji.

Jeszcze nigdy nikt tak troskliwie nie opiekował się Nadją. Pierwsze sześć tygodni spędziła głównie na prowadzeniu rozmów ze swoimi gospodarzami. Oni zadawali jej pytania, a ona odpowiadała. Rozmowy miały niezobowiązujący charakter i toczyły się w spokojnym rytmie. Po roku mówiła już

płynnie po szwedzku, dostała szwedzkie obywatelstwo, własne mieszkanie w Sztokholmie i nową pracę, a jej nowy pracodawca z uśmiechem wyjaśnił jej, że pod groźbą odpowiedzialności karnej nie wolno jej nikomu i pod żadnym pozorem wspomnieć choć słowem, gdzie pracuje.

Po dwóch latach rozstali się w najlepszej zgodzie. Choć pracowała krótko, dostała wysoką odprawę, polecono ją także na nowe stanowisko. Przez ostatnie piętnaście lat pracowała w różnych wydziałach policji w Sztokholmie. Od czterech lat ponownie w wydziale kierowanym przez Everta Bäckströma – jako pracownik cywilny, analityk w Wydziale do spraw Zabójstw Policji w Västerort. Od dawna była też najbardziej zaufanym człowiekiem Bäckströma, choć prędzej odgryzłby sobie język, niż się do tego przyznał.

Od niedawna jej życie porządkowało nowe dochodzenie w sprawie zabójstwa. Jej rola w postępowaniu była od początku ustalona. Nadja odpowiadała za wewnętrzne śledztwo, a na szczycie listy jej priorytetów było jak najszybsze opracowanie materiałów na temat ofiary i bezzwłoczne pozyskanie informacji o tym, co takiego robiła w ciągu ostatniej doby życia, zanim spotkała swojego oprawcę.

Najpierw rozdzieliła zadania pomiędzy swoich czterech współpracowników. Następnie sama zajęła się komputerem ofiary i jego zawartością. Dla porządku sprawdziła jeszcze, czy zawartość twardego dysku zgadza się z tym, co znajdowało się na USB, które przekazał jej Bäckström. Następnie włożyła USB do szafy Bäckströma, do której tylko on i ona mieli klucze. Na wszelki wypadek, pomyślała, bo zdarzało się już, że prokurator w ostatniej chwili – gdy robiło się gorąco – nabierał wątpliwości.

Pierwsze, co udało jej się ustalić, to że komputer nie należał do kancelarii adwokackiej Eriksson i Partnerzy, jak sugerowałyby naklejka na obudowie, lecz do spółki, której właścicielem okazał się adwokat Thomas Eriksson, a która zajmowała się różnorakimi operacjami finansowymi. Jej kapitał zakładowy wynosił niecałe siedem milionów, roczny przychód, pochodzący głównie z obrotu papierami

wartościowymi – około dziesięciu, a jedynym poważniejszym środkiem trwałym był dom na Ålstensgatan 127, będący własnością spółki i wynajmowany adwokatowi Thomasowi Erikssonowi na biuro i mieszkanie za kwotę czynszu identyczną z tą, którą urząd podatkowy zaakceptował ostatnim razem, gdy próbowali ją negocjować.

Wartość rynkowa spółki wynosiła dwadzieścia pięć milionów, do tego pożyczka na piętnaście, kapitał własny – siedem, tytuł własności domu i miesięczny czynsz w wysokości trzydziestu tysięcy. Jak na razie nic, w co można by wbić zęby, pomyślała Nadja i zajęła się przeglądaniem zawartości twardego dysku.

Niewielką część stanowiły różne enigmatyczne zapiski, którymi Nadja, biorąc pod uwagę zakres swoich obowiązków, z oczywistych względów postanowiła się nie zajmować. Charakter pozostałej treści nie pozostawiał wątpliwości.

Faceci, pomyślała Nadja, westchnęła i pokręciła głową. Jedynym pocieszeniem było to, że właśnie znalazła coś, co powinno przynajmniej ucieszyć jej szefa Everta Bäckströma. Następnie wyłączyła komputer ofiary i włączyła swój, żeby zająć się kolejnym punktem z długiej listy spraw, które zarówno ona, jak i jej współpracownicy powinni wiedzieć na temat życia Thomasa Erikssona.

30

W piątek trzydziestego pierwszego maja, dwa dni przed zabójstwem adwokata Thomasa Erikssona, Jenny Rogersson zrobiła to, co kazał jej przełożony Evert Bäckström i zakończyła dochodzenie w sprawie domniemanego pobicia Hansa Ulrika von Comera na parkingu przed pałacem Drottningholm, do którego miało dojść dwanaście dni wcześniej.

Następnie zapakowała wszystko do koperty kurierskiej – decyzję umarzającą podpisaną przez Bäckströma, jej własne dochodzenie w sprawie, oryginał anonimowego zgłoszenia i poplamiony krwią katalog aukcyjny – w celu poddania dalszej analizie przez biuro ochrony przy Säpo zlokalizowane w olbrzymim gmachu policji na Kungsholmen. Zaadresowała

przesyłkę „Do wiadomości biura ochrony”, zgodnie z zaleceniami obowiązującymi od niedawna policję w regionie Västerort. W poniedziałek rano trzeciego czerwca gruba koperta leżała na biurku inspektora kryminalnego Dana Anderssona w stosie korespondencji przychodzącej.

Dan Andersson miał czterdzieści pięć lat i o trzy lata młodszą żonę zatrudnioną jako pracownik cywilny w charakterze śledczej w Komendzie Wojewódzkiej w Sztokholmie. Mieli trójkę dzieci, samych chłopców w wieku szkolnym, a cała rodzina Anderssonów mieszkała w willi na jednej z wysp archipelagu jeziora Melar kilkadziesiąt kilometrów od Sztokholmu. Zdecydowana większość ich sąsiadów pracowała w policji, szkolnictwie, pogotowiu ratunkowym lub służbie zdrowia i w tym kontekście, w czysto socjologicznym ujęciu, Dan Andersson był typowym policjantem w średnim wieku na tak zwanym średnim szczeblu zawodowym, zatrudnionym w Sztokholmie.

Cechami, które najbardziej cenili sobie jego przełożeni, a koledzy komentowali nie zawsze pozytywnie, były lojalność, obowiązkowość i małomówność połączone z zapałem do pracy i talentem. Przede wszystkim jednak małomówność.

Dan Andersson był policjantem od blisko dwudziestu pięciu lat, w Sztokholmie pracował od początku, a od ośmiu lat był szefem biura ochrony przy Säpo zajmującym się analizami ryzyka. Zespołu, który miał za zadanie chronić rodzinę królewską, rząd i wszystkie inne wysoko postawione osoby, które z uwagi na różne okoliczności przynajmniej tymczasowo mogły tego potrzebować. Przez kolegów nazywani byli zwykle „ochraniarzami”, choć tak naprawdę większość z nich miała za zadanie ubiec strzał napastnika lub w najgorszym wypadku zasłonić własnym ciałem osobę ochranianą przed kulą.

W poniedziałek trzeciego czerwca Dan Andersson wszedł do biura dopiero po lunchu, bo całe przedpołudnie wypełniły mu spotkania. Kiedy zauważył grubą kopertę wysłaną do niego z komendy policji w Västerort, z początku pomyślał, że poprosi sekretarkę, by się nią zajęła, nawet nie sprawdzając, czy sprawa jest pilna.

Ponieważ jednak był, jaki był, zrobił dokładnie na odwrót. Uśmiechnął się pod nosem na widok decyzji umarzającej podpisanej przez Bäckströma, przeczytał anonimowe zgłoszenie, westchnął pierwszy raz, przewertował katalog aukcyjny, nie wkładając gumowych rękawiczek, a na koniec przeczytał notatki z dochodzenia sporządzone przez komisarz kryminalną Jenny Rogersson. Czytając je, westchnął jeszcze kilka razy.

Jenny Rogersson, pomyślał Dan Andersson. Pewnie któreś z tych nieszczęśliwie poczętych, głupkowatych dzieciaków Jana Rogerssona, które za wszelką cenę chciało pójść w ślady tatusia i najwyraźniej pracowało akurat u Everta Bäckströma. Córka tego samego Jana Rogerssona z wydziału kryminalnego, który w instytucji liczącej dwadzieścia tysięcy policjantów był podobno jedynym przyjacielem Bäckströma. Ciekawy zbieg okoliczności, pomyślał Dan Andersson i westchnął ostatni raz, zanim zajął się upychaniem do aktówki sterty kartek, których potrzebował na następną naradę.

Tygodnie poprzedzające Święto Narodowe Szwecji były dla inspektora Anderssona i jego najbliższych ludzi wyjątkowo pracowite. W samo święto, szóstego czerwca, niemal wszystkie objęte ochroną najważniejsze osoby z dworu królewskiego i rządu brały udział w publicznych uroczystościach, a sama data była dla ich komórki momentem krytycznym, zarówno z praktycznego, jak i teoretycznego punktu widzenia. Doskonała okazja do zapewnienia bezpieczeństwa podczas wydarzeń budujących poczucie wspólnoty wśród wszystkich mieszkańców Szwecji. Dla każdego, niezależnie od wyznawanych przekonań, dzień ten był nasycony symboliką.

– Daj znać, gdybym mogła ci w czymś pomóc – powiedziała jego sekretarka, gdy wychodził z biura.

– Koledzy z Solny przysłali kopertę zawierającą trochę różnych informacji na temat niejakiego barona von Comera, który podobno dostał w zęby przed pałacem Drottningholm dwa tygodnie temu. Rzekomo ma jakieś niejasne powiązania z dworem, byłoby dobrze to sprawdzić. Koperta leży na stercie na moim biurku – powiedział Dan Andersson i skinął do niej

z uśmiechem.

– Zaraz się tym zajmę.

– Nie ma pośpiechu. To jakaś bzdura – dodał.

Zaledwie tydzień później zachodził w głowę, co by było, gdyby w tamtej chwili nie powiedział tego, co powiedział, i jakie miałyby to konsekwencje dla rozwoju wydarzeń.

31

Lisa Lamm rozpoczęła spotkanie z kancelarią adwokacką Eriksson i Partnerzy dokładnie tak, jak to zapowiedziała Annice Carlsson.

Na początek wyraziła swoje współczucie i ubolewanie z powodu straty, jakiej doświadczyli. Następnie przeszła do kwestii natury praktycznej, które, niestety, wiązały się z tego rodzaju wydarzeniami i z którymi, jak miała nadzieję, uda im się uporać drogą wzajemnej współpracy w możliwie jak najkrótszym czasie, nie zakłócając przy tym prac kancelarii.

Już po pięciu minutach sprawy potoczyły się dokładnie tak, jak się tego obawiała. Początkowo gorąca dyskusja wokół różnych zawiłości prawnych zamieniła się w klasyczną wymianę ciosów. Obejmowała ona cztery kluczowe zagadnienia, w których przedstawiciele kancelarii mieli dokładnie przeciwne zdanie niż prokurator.

Cztery kwestie: komputer i telefon komórkowy, które znajdowały się w mieszkaniu Erikssona, należały do kancelarii adwokackiej i dlatego nie mogły się stać przedmiotem czynności, jakie prokurator najwyraźniej zamierzała przeprowadzić. Podobnie rzecz się miała z przeszukaniem gabinetu Erikssona, na którym rękę położył prokurator. Nie wspominając już o pozostałych pomieszczeniach w kancelarii, o które prokurator mogłaby chcieć poszerzyć zakres działań tak swoich, jak i policji.

– To chyba oczywiste – stwierdził jej elegancko ubrany przeciwnik. – W tym wypadku nie istnieją żadne przesłanki do konfiskaty ani przeszukania. Wystarczy umieć czytać prawo procesowe. Rozdział dwadzieścia siedem i dwadzieścia osiem,

a zwłaszcza dwadzieścia osiem jeden, jako że w przedmiotowej sytuacji brak jest uzasadnionych podejrzeń. Pragnę przypomnieć, że znajdujemy się w kancelarii adwokackiej, a nie w jakiejś dziupli narkotykowej. Chyba że pani prokurator ma co do tego wątpliwości – dodał z pogardliwym uśmiechem i poprawił sobie nogawkę lekkim ruchem lewej ręki.

Następny po Lisie Lamm głos zabrał adwokat Peter Danielsson, dziesięć lat młodszy od Thomasa Erikssona, który jako pierwszy został jego partnerem i który teraz – o czym można było wnioskować z mowy ciała, jego słów i pełnego aprobaty zachowania kolegów – został następcą Erikssona.

Lisa Lamm знаła go z dawnych czasów. W ciągu ostatnich dwóch lat spotkali się kilkakrotnie na sali sądowej. Wiedziała, że ciężko pracował, żeby zasłużyć sobie na taką opinię, jaką cieszył się jego dawny szef, i że – biorąc pod uwagę osoby, które reprezentował – wychodziło mu to naprawdę nieźle.

– Nie mogę się zgodzić z tym stanowiskiem – powiedziała Lisa Lamm.

– Właśnie tego się obawialiśmy – stwierdził adwokat Danielsson.

– Proszę dać mi skończyć – przerwała Lisa Lamm, przewertowała dokumenty i w jednej chwili stała się zdolną córeczką tatusia, jaką jej ojciec, radca prawny, zawsze chciał z niej zrobić. – Jeśli chodzi o komputer zabezpieczony na miejscu zabójstwa, sprawa jest bardzo prosta. Urządzenie jest prywatną własnością Erikssona, chociaż naklejka na obudowie sugeruje coś innego. Korzystał z niego tuż przed śmiercią. Natomiast co do zawartości, to wydaje mi się, że nie miała ona nic wspólnego z działalnością państwa kancelarii.

– Czy mogłaby się pani wyrażać odrobinę jaśniej?

– Nie – powiedziała Lisa Lamm i pokręciła zdecydowanie głową. – Nie zrobiłabym tego, nawet gdybym mogła. To samo zresztą dotyczy komórki, i to pomimo że abonament jest na firmę. Rozmowy, które przez nią prowadził, mają duże znaczenie dla śledztwa.

– I pewnie też się nie dowiemy, co jest podstawą tych przypuszczeń?

– Od mojej decyzji zawsze może się pan odwołać. – Lisa Lamm wzruszyła ramionami.

– Już się robi – powiedział adwokat, unosząc się z krzesła.

– Jeszcze nie skończyłam – powiedziała Lisa Lamm. – Moje postanowienie dotyczy komputera i komórki Erikssona. Z przeszukaniem gabinetu chciałabym poczekać, aż wypowie się sąd, do tego czasu obowiązuje oczywiście zabezpieczenie miejsca przestępstwa, chociaż domyślałam się, że zaraz przedstawicie panowie swoje ewentualne uwagi.

– Może być pani tego pewna – rzucił mecenas, podnosząc się z miejsca.

– Jeśli chodzi o ewentualne poszerzenie zakresu przeszukania państwa biura, dam znać, jeśli okaże się to konieczne. Czy masz coś do dodania, Annika? – zapytała Lisa Lamm i spojrzała na Annikę Carlsson, która do tej pory nie odezwała się ani słowem.

– Tak – powiedziała Annika Carlsson i powiodła wzrokiem po zebranych. – Będziemy oczywiście musieli przesłuchać wszystkich pracowników firmy.

Jej krótkie skinienie głową na zakończenie nie pozostawiało wątpliwości, że mówi serio. Zdążyła też już zdecydować, w które miejsce wymierzy pierwszy cios. W sali siedziało dziewięć z piętnastu osób zatrudnionych w kancelarii. Jedna była na zwolnieniu lekarskim, a pozostałych pięć przebywało na salach sądowych lub było zajętych innymi sprawami poza biurem.

Jedna z obecnych osób wydawała się bardziej zatroskana od pozostałych. Co więcej, była najmłodsza i najładniejsza ze wszystkich. To ciebie posuwał, pomyślała Annika Carlsson.

32

Po rozmowie z Jenny Bäckström postanowił, że sprawdzi, co porabiają jego ludzie, i oceni postępy w pracy, ale ponieważ dawały o sobie znać zarówno lunch, jak i nocna pobudka, pomyślał, że lepiej będzie, jeśli wróci do domu, do swojego łóżka z Hästens, po drodze ponownie odwiedzając miejsce

zdarzenia, by załatwić to i owo.

Najpierw wyjął swoją firmową aktówkę, którą dostał w spadku po swoim dawnym szefie wydziału kryminalnego w Sztokholmie, inspektorze Fylkingu, który zyskał w policji status legendy. Poważany, uwielbiany, wśród swoich współpracowników znany jako inspektor Zapity Łeb. Gruba, wykonana z brązowej skóry – i jak głosiła jedna z legend policyjnych, inspektor Zapity Łeb wyniósł w niej dwanaście litrów wódki przy okazji nalotu na nielegalną bimbrownię na Starym Mieście. Pojemna i przydatna, gdyby wpadł na coś godnego uwagi. Następnie włożył do niej swojego laptopa i trochę różnych papierów dotyczących nowej sprawy, na wypadek gdyby któryś z jego wścibskich kolegów zastanawiał się, do czego mu potrzebna.

Wychodząc z biura, zatrzymał się w drzwiach do pokoju, w którym jego zespół zajęty był rozmowami przez telefon, czytaniem dokumentów albo klikaniem w klawiatury komputerów, i klasnął w dłonie, żeby zwrócić ich uwagę. Czy wydarzyło się coś, co wymagało jego natychmiastowej reakcji? Sądząc po przeczącym kiwaniu głowami i pomrukach – nic.

– Okej – powiedział Bäckström. – Zróbcie coś z tym. Ja jadę na miejsce zdarzenia, chcę się spokojnie rozejrzeć. Widzimy się jutro rano.

– Mogę szefa podrzucić – zaproponowała Felicia Pettersson, która miała zmienić Stigsona i zająć się popołudniową częścią obchodu.

33

Niedzielny wieczór na początku czerwca, pogoda niespecjalna, roboty niewiele, dlatego już przed północą Ara Dosti zastanawiał się, czy nie zakończyć nocnej zmiany i nie wrócić do siebie do Kisty, żeby się przespać. Chwilę później dostał kurs do Nyköping, sto kilometrów na południe od Sztokholmu, i kiedy wrócił, było już wpół do drugiej w nocy.

Przejadę się ostatni raz po klubach w centrum, postanowił Ara. Kiedy mijał Stureplan, zatrzymał go mężczyzna, który

kazał się odwieźć do domu na Alviksvägen w Brommie. Dobry klient, co prawda pijany w typowy dla Szwedów sposób, choć akurat ten wyjątkowo nie dopytywał go, jak czuje się w nowym kraju i skąd tak naprawdę pochodzi.

Ciekawe, co niby miałby na to odpowiedzieć? Urodził się w obozie dla uchodźców w Smalandii, całe życie spędził w Szwecji i nigdy nie odwiedził ojczyzny swoich rodziców, Iranu. Tym razem jednak było inaczej, klient przez całą drogę zachowywał się przyzwoicie, a na koniec nie poskąpił napiwku. Zgodnie z wydrukiem z taksometru, gdy dotarli na Alviksvägen w Brommie, było dziesięć po drugiej w nocy.

Ara Dosti wykręcił przed domem, klient wysiadł, a taksówkarz ruszył w stronę skrzyżowania z Ålstensgatan, by skręcić w lewo i dotrzeć najkrótszą drogą do swojego łóżka, które czekało na niego w mieszkaniu w Kiście. I mało brakowało, by tam nie dojechał, bo w tej samej chwili rozpoznał wielki dom nad wodą, a jego myśli nagle odpłynęły w inną stronę.

Przywiózł tu klienta zaledwie pół roku temu. Innego Szweda, który również wracał z klubu i do tego był tak pijany, że zasnął na tylnym siedzeniu. Gdy Ara się zatrzymał, Szwed ocknął się, wytoczył na ulicę, wyłowił z tylnej kieszeni okazały plik banknotów i podał mu jeden – tysiąckoronowy. Kiedy Ara próbował mu wytłumaczyć, że nie ma mu jak wydać, pokręcił tylko głową i powiedział, że reszty nie trzeba.

Ara próbował oponować, bo było to stanowczo za dużo – licznik pokazał nieco ponad sto koron – ale jego klient nic sobie z tego nie robił. Zamachał tylko na odczepnego rękoma i ruszył, zataczając się, przez trawnik w kierunku wejścia do domu. A potem nagle obrócił się z szerokim uśmiechem.

– Nie dziękuj. Podziękuj swoim byłym rodakom z Iranu – i dopiero kiedy to powiedział, Ara go rozpoznał, bo wcześniej podwoził go już do siedziby Sądu Okręgowego w Sztokholmie. To był ten znany adwokat, którego widział w telewizji i o którym czytał w gazetach.

To o nim myślał Ara, skręcając w Ålstensgatan w chwili, gdy mogło się to bardzo źle skończyć. Myślał o mężczyźnie, który

o nic nie pytając, dał mu prawie tysiąc koron napiwku, i który najwyraźniej założył, że Ara pochodzi z Iranu.

Nagle z ciemności pomiędzy dwoma zaparkowanymi samochodami prosto na ulicę wyszedł jakiś mężczyzna i Ara musiał niemal stanąć na hamulcu, żeby go nie przejechać. Dziwny człowiek, błyskawicznie zmierzył go przenikliwym spojrzeniem zmrużonych oczu i skierował się w stronę zaparkowanego pod prąd samochodu. Wyraźnie utykał na prawą nogę i choć było ciemno, Ara zobaczył wystarczająco dużo, by odpuścić sobie dyskusje na ulicy czy chociaż pokazać mu środkowy palec w tylnym lusterku.

Ara rozpoczął pracę około drugiej po południu w poniedziałek trzeciego czerwca od przeczytania wiadomości z centrali w Sztokholmie. W związku z zabójstwem, do którego doszło na Ålstensgatan 127, policja w Solnie prosiła o kontakt wszystkich kierowców, którzy w niedzielę oraz w nocy z niedzieli na poniedziałek realizowali kursy w rejonie Alviksvägen – Ålstensgatan lub widzieli coś, co mogłoby mieć znaczenie dla prowadzonego przez policję śledztwa.

Morderstwo, pomyślał Ara. Mam nadzieję, że to nie ten, co dał mi tysiąka, ten adwokat, pomyślał. Następnie wyjął telefon komórkowy i wybrał numer policji.

34

Niestety wszystko wskazywało na to, że zginął klient, który dał mu kiedyś banknot tysiąckoronowy. Ara zrozumiał to już, gdy siedział w samochodzie i słuchał wiadomości w drodze do komendy w Solnie, gdzie najwyraźniej chcieli go przesłuchać.

Ciekawe, ile mi za to zapłacą, pomyślał Ara. Jeśli dochodzi do morderstwa kogoś, kto daje banknot tysiąckoronowy, jak ten adwokat, to chyba wynagrodzenie dla tego, kto pomaga policji w znalezieniu zabójcy, musi być naprawdę wysokie.

Komisarz kryminalny Lars Alm miał sześćdziesiąt cztery lata i dziewięć miesięcy i z utęsknieniem wyczekiwał wakacji. Za trzy miesiące miał przejść na emeryturę. W ciągu tego czasu zamierzał wykorzystać należny mu urlop i wszystkie

nadgodziny, które pracowicie zbierał, żeby przez ostatni miesiąc spokojnie porządkować swoje biurko.

Niestety wszystko ułożyło się dokładnie na odwrót i istniało ryzyko, że spędzi w pracy co najmniej pół wakacji, zajmując się sprawą zabójstwa adwokata, którego ani on, ani jego koledzy nie darzyli choćby odrobiną sympatii. Na chorobowe nie mógł się jednak udać, zważywszy na to, jak bardzo uszczupli to jego pensję.

Do tego ten tłuścioch, Bäckström, pomyślał Alm z jakiegoś powodu, przeglądając sprawozdanie autorstwa młodszego kolegi, który przyjął zgłoszenie. Najwyraźniej jeden z tych przyjezdnych kierowców taksówek zadzwonił na ich telefon alarmowy i przekazał swoje obserwacje, które zdaniem Anniki Carlsson były na tyle ważne, że wymagały natychmiastowego ściągnięcia go do komendy i przesłuchania. Punktualny jest, skurczybyk, pomyślał Alm. Westchnął i podniósł słuchawkę.

– Alm – powiedział.

– Masz gościa, czeka na ciebie w recepcji – powiedział głos na końcu linii. – Możesz po niego przyjść?

A jaki mam, kurwa, wybór, pomyślał Alm i westchnął po raz drugi.

Zero kawy, zero wody czy pogaduszek, bo jeszcze będziesz mi tu siedzieć przez pół nocy, pomyślał Alm pięć minut później, kiedy znaleźli się już po dwóch stronach biurka.

– Czy mógłby mi pan pokazać swoje prawo jazdy i wydruk z kasy fiskalnej, o który prosiła moja koleżanka? – powiedział Alm, włączając komputer. Kurwa, ale upał, pomyślał.

– Proszę – powiedział Ara. – Tu jest jeszcze moja wizytówka, gdyby chciał pan do mnie zadzwonić. – Wypalony, pomyślał.

– Skąd pan jest, panie Dosti? – zapytał Alm, oglądając uważnie prawo jazdy.

– Z Gnosjö w Smalandii – odpowiedział Ara Dosti. – Od piętnastu lat mieszkam w Sztokholmie. Adres domowy jest na wizytówce – dodał i pokazał głową na wizytówkę, którą przed chwilą podał Almowi.

– Nie o to mi chodziło – powiedział Alm. – Pytałem, skąd pan pochodzi – wyjaśnił.

– Ze Szwecji – powiedział Ara Dosti, udając zdziwienie.
– Smalandia jest w Szwecji, myślałem, że pan wie. Urodziłem się i wychowałem w Smalandii. Chodziłem tam do szkoły, a w wieku osiemnastu lat przeprowadziłem się z ojcem, matką, dwoma starszymi braćmi, młodszym bratem i moimi dwiema starszymi siostrami do Sztokholmu. Łącznie osiem osób, prawdziwa wędrówka ludów – stwierdził Ara Dosti i uśmiechnął się przyjaźnie do Alma.

– Dobra, niech panu będzie – westchnął Alm. – Gdyby mógł pan teraz swoimi słowami opowiedzieć, co zauważył dziś około drugiej w nocy po tym, jak odwiózł pan swojego klienta na Alviksvagen w Brommie. – Kolejny, który przyszedł tu tylko po to, żeby sobie z nas robić jaja, pomyślał.

Na całą historię Ara potrzebował zaledwie pięciu minut. Opowiedział o tym, jak wysadził klienta przed jego domem, dziesięć po drugiej, zawrócił, pojechał z powrotem i na skrzyżowaniu z Ålstensgatan – jakąś minutę później – o mało co nie potracił mężczyzny, który wyszedł prosto na ulicę na wysokości domu, w którym zginął adwokat. Opisał również mężczyznę i samochód, do którego wsiadł.

– Był w moim wieku – powiedział Ara. – Może kilka lat starszy, jakieś trzydzieści pięć lat, ale za to znacznie ode mnie wyższy. Jakieś metr dziewięćdziesiąt. Niebieskie dżinsy, ciemna kurtka, ogolony. Utykał na prawą nogę, tak mi się zdaje. W każdym razie złapał się za prawe udo prawą ręką, kiedy o mało co nie wpadł mi na maskę. Nieprzyjemny typ. Naprawdę nieprzyjemny.

– Nieprzyjemny?

– Raczej nie zatrzymałby pan samochodu, żeby z nim dyskutować – wyjaśnił Ara.

– Nie rozpoznał go pan przypadkiem? Może skądś go pan zna?

– Nie. Niby dlaczego miałbym go rozpoznać?

– Przecież jeździ pan taksówką. Był imigrantem czy Szwedem? Na pewno coś pan zauważył.

– Nie. Wyglądał normalnie. Wie pan co? Może mógłby mi pan pokazać kilka zdjęć, które gliny w telewizji pokazują takim

jak ja, to sprawdzę, czy nie rozpoznaję któregoś z nich? Dobra?

– Może pan opisać samochód, do którego wsiadł? – Ja tu zadaję pytania, pomyślał Alm.

– Srebrny merc, sportowy... niski, szeroki, drogi, jeden z najnowszych modeli...

– Jest pan tego pewien? Może zauważył pan rejestrację? No wie pan, w tylnym lusterku.

– Nie.

– Przecież musiał pan coś zauważyć. Wszystko inne jakoś udało się panu zauważyć.

– Ktoś, kto siedział za kierownicą, włączył mi długie światła prosto w plecy, gdy tylko go minąłem.

– Czyli było ich dwóch. Ktoś już siedział w samochodzie?

– Okej – powiedział Ara Dosti. – Powtórzę od początku. Kiedy odjeżdżałem, ten, którego o mało co nie potrąciłem, wchodził już na chodnik. Ten w samochodzie zaparkowanym po złej stronie ulicy włączył mi długie światła prosto w plecy, gdy tylko go minąłem. Nie mam pojęcia, jak wyglądał. Pojechałem prosto do domu, pędziłem na wariata. A pan co by zrobił na moim miejscu?

– Aha – powiedział Alm. – Chciałby pan coś jeszcze dodać?

– Ale co?

– W takim razie kończymy przesłuchanie – powiedział Alm, spoglądając na zegarek. – Zanim pan wyjdzie, chciałbym prosić o podpisanie zobowiązania do zachowania tajemnicy. Nie wolno panu nikomu powiedzieć tego, co powiedział pan tutaj. Złamanie tego zakazu będzie równoznaczne z popełnieniem wykroczenia. Ma pan jakieś pytania?

– Kiedy obejrzymy zdjęcie?

– Jeszcze do tego wrócimy – powiedział Alm. – Potrzeba chwili, żeby je przyszykować, sam pan rozumie. Ja lub któryś z moich kolegów odezwiemy się do pana we właściwym czasie. Coś jeszcze?

– Dostanę jakieś wynagrodzenie?

– Nie – powiedział Alm i pokręcił zaskoczony głową. – Nie rozumiem? Przecież już sam udział w rozwiązaniu sprawy zabójstwa powinien być dla pana satysfakcjonujący. Poza tym

to obowiązek obywatelski. Dotyczy nas wszystkich. Również mnie i moich kolegów.

– Już teraz straciłem kilka godzin. Powinienem być w pracy. A do tego jeszcze rozmowy przez telefon i jazda tutaj, żeby z panem pogadać. Panu płacą za to, że pan tu siedzi. Mnie nie.

– Bardzo jesteśmy panu wdzięczni – powiedział Alm. Skinął głową, uśmiechnął się i wstał. Spróbuj teraz coś powiedzieć, pomyślał.

– W takim razie mam jeszcze jedno pytanie – powiedział Ara.

– Tak?

– Jak się zostaje policjantem? To musi być strasznie trudne.

Alm skinął tylko potakująco głową. Uważaj, gnojku, pomyślał.

Następnie Alm odprowadził Arę Dostiego do recepcji. Głównie po to, żeby się upewnić, że wyjdzie z budynku.

– Odezwiemy się w sprawie zdjęć – powiedział Alm na odchodnym.

Ara nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami i wyszedł na ulicę.

Chyba o czymś zapomniałem, pomyślał komisarz kryminalny Alm, wsiadając z powrotem do windy. Trudno, pewnie zaraz mi się przypomni.

Resztę dnia Alm spędził na spisywaniu przesłuchania Ary Dostiego. Na koniec poprosił jedną ze swoich młodszych koleżanek, która zajmowała się dochodzeniem wewnętrznym, żeby na podstawie zeznań Dostiego dobrała kilka fotografii przestępców, które mogliby mu pokazać.

– Może dasz też radę zestawić jego opis z jakimiś znanymi nam przestępcami, którzy są właścicielami srebrnego merca albo po prostu takim jeżdżą – podsunął Alm.

– Coś jeszcze? – zapytała młodsza koleżanka. Rozumiem już, dlaczego wszyscy nazywają cię Zakuty Łeb, pomyślała.

– Dopilnuj, żeby podpisał zakaz ujawniania poufnych informacji – powiedział Alm, któremu kwadrans wcześniej przypomniawszy się, o czym zapomniał.

Gdy tylko Ara wsiadł do samochodu, zadzwonił do swojego kumpla, który podobnie jak on jeździł taksówką. Był Kurdem,

miał na imię Kemal, a historia jego życia była bardzo podobna do historii Ary. Dobry, biały chłopak, jak by to powiedział Svenne Banan. Przed paroma miesiącami Kemal był świadkiem napadu na konwój. Zrobił kilka niezłych zdjęć komórką, zadzwonił do redakcji popołudniówki, dostał dwadzieścia tysięcy za fatygę i od tego czasu przy każdej okazji opowiadał wszystkim, że policja była ostatnim adresem, pod który warto byłoby się w tej sytuacji udać.

Głupi jesteście, pomyślał Ara, i miał na myśli samego siebie.

35

Żeby zaoszczędzić na czasie, przesłuchania kolegów Erikssona rozpoczęły się w siedzibie kancelarii. Propozycja wyszła od adwokata Danielssona, Lisa Lamm nie miała żadnych uwag. Annika Carlsson zadzwoniła do czterech śledczych z komendy w Solnie, a Danielsson zorganizował niewielką salkę konferencyjną i trzy puste pokoje, w których mogli prowadzić przesłuchania.

Gdy tylko zjawili się koledzy, Annika Carlsson wzięła ich na bok, żeby omówić strategię. Mieli przesłuchać wszystkich pracowników kancelarii, według instrukcji, najlepiej pojedynczo. Na początek chciała, żeby zapytali o to, jak trafili do kancelarii adwokackiej i o ich stosunki z adwokatem Erikssonem – prywatne i służbowe – jak również o to, co robili w dzień zabójstwa Erikssona. Oczywiście również o to, kiedy ostatnio widzieli się z ofiarą i o czym wtedy rozmawiali. Dopiero potem mogli przejść do rozmowy na temat niezadowolonych klientów, partnerów biznesowych i wszystkich pozostałych, którzy z przyczyn zawodowych lub dowolnych innych mogliby nastawać na życie ofiary. Poza tym zależało jej na tym, by przesłuchać pracowników kancelarii w określonej kolejności.

– Zaczynajcie od współników i ich asystentów, pozostałych zostawcie na koniec. Na początek chciałabym, żebyście przesłuchali Danielssona – powiedziała Annika Carlsson.
– Wygląda na to, że to nowy kogucik w kurniku. Nie musicie

być jakoś szczególnie uprzejmi, lepiej też, żeby przesłuchanie prowadziły dwie osoby. Z pozostałymi powinniście sobie poradzić w pojedynkę i byłoby dobrze, gdybyście zdążyli przesłuchać wszystkich jeszcze dzisiaj. Tych, którzy dziś są nieobecni, i ewentualne dogrywki zaliczymy najszybciej, jak się da. Jakież pytania?

Nikt nie miał żadnych pytań. Skończyli po trzech godzinach, a pierwszy raport Annika Carlsson dostała przez telefon od komisarza kryminalnego Johana Eka.

– Wydruki dostaniesz najpóźniej jutro przed południem – zaczął Ek – ale w największym skrócie wygląda to tak. Jeśli masz siłę słuchać...

– Słucham – powiedziała Annika Carlsson.

– Wygląda na to, że Eriksson był równym gościem – stwierdził Ek. – Nikt nie powiedział o nim złego słowa. Wszyscy w kancelarii są głęboko poruszeni, a jedna z tak zwanych praktykantek adwokackich, jeśli dobrze rozumiem, takich sekretarek z wykształceniem prawniczym, jak na mój gust wydaje się nawet trochę zbyt przygnębiona.

– Isabella Norén – stwierdziła Annika Carlsson. – Pewnie sypiała ze swoim byłym szefem. Lub przynajmniej miała taką ambicję.

– Widzę, że myślimy podobnie. Co z nią zrobimy?

– Dajmy jej dobę, żeby doszła do siebie, a potem zaprosimy ją na bardziej konkretną rozmowę – zaproponowała Annika Carlsson. – Wydaje mi się, że mogę zagrać siostrzaną duszę.

– Zgoda – powiedział Ek.

– Masz coś jeszcze?

– Nic nadzwyczajnego – stwierdził Ek. – Wszyscy mieli alibi na cały weekend. Ostatni z ofiarą rozmawiał adwokat Danielsson, który dzwonił do niego około dwunastej w niedzielę, żeby omówić sprawy, które czekały ich w nadchodzącym tygodniu, a które łączyło to, że nie miały nic wspólnego ze śmiercią Erikssona. Rzecz jasna, są objęte tajemnicą zawodową. Co oczywiście mu odpowiada.

– Wyobrażam sobie – powiedziała Annika Carlsson.

– Według niego zabójstwo Erikssona jest ciosem

wymierzonym w państwo prawa, co być może tłumaczy, dlaczego zarówno klienci, jak i kontrahenci Erikssona byli z niego tak zadowoleni. Z jednym wyjątkiem, co prawie siłą musieliśmy wydobyć z pana adwokata.

– Kto to jest?

– Fredrik Åkare, z domu Åkerström. Były prezes HA w Solnie. Aktualnie członek honorowy tej organizacji zrzeszającej podstarzałych entuzjastów motocykli. Rozpoznawalny, bo jeździ bez kasku z rozwianym włosom – ma zaświadczenie od lekarza, że ma problemy z łupieżem i nie powinien nosić kasku – zakończył Ek, który cenił sobie tego rodzaju smaczki z życia przesłuchiwanym.

– Wiem, o kim mówisz – powiedziała Annika Carlsson. – A więc Fredrik Åkare wyraził swoje niezadowolenie. Nie wiedziałam nawet, że był klientem Erikssona. Nie sądziłam, że Eriksson prowadził sprawy motocyklistów.

– Wręcz przeciwnie – powiedział Ek. – Eriksson był przedstawicielem strony skarżącej, reprezentował rodzinę Parisafarów, kiedy Åkarego i kilku jego kolegów oskarżono o zabójstwo najmłodszego z braci Parisafarów, Nasira Parisafara. Jak pewnie wiesz, z początku było ich trzech. Najstarszy, Samir, zginął, po tym, jak próbował uciec przez okno swojego pokoju w szpitalu Karolinska, gdzie leżał po tym, jak kolega Bäckström postrzelił go w nogę. Omar żyje i ma się dobrze, najwyraźniej przejął interes po Samirze. Był jeszcze najmłodszy, Nasir, który został zamordowany w tym samym czasie po nieudanym napadzie na bank. To było kilka lat temu. Jeśli chcesz, mogę ci przesłać mailem zapis postępowania przygotowawczego i treść wyroku.

– Mam je – powiedziała Annika Carlsson. – Pamiętam tę sprawę. Zdaje się, że Åkare i jego kumple zostali oczyszczeni z zarzutów? W zasadzie od razu i ze wszystkich, co do jednego, jeśli się nie mylę.

– To prawda. Chociaż Eriksson napracował się bardziej od prokuratora, żeby ich zapuszkować. W każdym razie zdaje się, że Åkare zbytnio się z nim nie zaprzyjaźnił. Zaraz po procesie wysłał do Erikssona, na adres kancelarii, pocztówkę, na której

napisał, że teraz, kiedy zwyciężyła sprawiedliwość, Eriksson powinien przyjść z przeprosinami do ich klubu w Solnie. Jeśli chce spać spokojnie, powinien prosić jego i jego kolegów o wybaczenie.

– I co, posłuchał?

– Nie – powiedział Ek. – Danielsson twierdzi, że zadzwonił do Åkarego i mu nagadał. Próba zastraszenia adwokata, groźby karalne i takie tam.

– Hm – powiedziała Annika Carlsson. Muszę odgrzebać akta tej sprawy, pomyślała.

Nie zrobiła tego jednak, bo zaledwie pięć minut później miała już na głowie inne, znacznie ważniejsze sprawy, choć właściwie powinna wrócić do domu, żeby się przespać.

36

Kiedy Bäckström zadzwonił do drzwi domu na Ålstensgatan, otworzył mu Hernandez.

– Witam szefa – powiedział Hernandez. – Przed chwilą dzwoniła Nadja, wspominała, że szef wpadnie, żeby sprawdzić, czy szefa nie potrzebujemy.

– Gdzie jest Niemi? – zapytał Bäckström.

– Pojechał do domu się przespać – uśmiechnął się Hernandez. – Starość nie radość.

– Chciałbym się rozejrzeć na piętrze – powiedział Bäckström i pokazał głową na schody.

– Spoko – powiedział Hernandez. – Już tam skończyliśmy. Teraz sprawdzamy piwnice. Musieliśmy ściągnąć kilku kolegów z komendy wojewódzkiej. To wielka chałupa, pewnie spędzimy tu cały tydzień. Niech szef da znać, gdyby trzeba było w czymś pomóc.

Ciekawe w czym, pomyślał Bäckström i pokiwał głową na odczepnego.

Przed biurkiem wciąż widać było wielką plamę zakrzepłej krwi. Wyrazna, niemal idealnie okrągła, o średnicy około trzydziestu centymetrów, w miejscu, w którym znajdowała się głowa ofiary, i kiedy przyklęknął, żeby jej się przyjrzeć z bliska,

zauważył nawet odcisk nosa i czoła Erikssona. Za to żadnych rozbryzgów, nawet najmniejszej kropli, a przecież Eriksson musiał uderzyć nosem prosto w podłogę, zanim sprawca roztrzaskał mu głowę. Nic tu się nie zgadza, pomyślał Bäckström, podnosząc się z miejsca.

Piętro domu Erikssona było najwyraźniej przestrzenią do jego prywatnego użytku. Szeroki hol pełnił funkcję zarówno gabinetu, jak i salonu. Pośrodku stało biurko, dwie sofy w przeciwnych rogach pokoju, wzdłuż ścian regały na książki, które zasługiwały na lepsze miejsce niż grób gangstera adwokata. Niestety Niemi i Hernandez zdążyli zrobić zdjęcia przed przyjściem Bäckströma.

Z korytarza na lewo wchodziło się do sypialni i do łazienki większej od salonu Bäckströma w jego przytulnym mieszkaniu na Kungsholmen. Po prawej był pokój telewizyjny i muzyczny, potem pokój, który wyglądał na gościnny, i kolejna łazienka z osobną toaletą. Schludnie, czysto, białe ściany, błyszcząca drewniana podłoga, marmury i mozaiki. Nawet nie miał siły myśleć, ile to wszystko kosztowało. Dziwny jest ten świat, pomyślał Bäckström i westchnął głęboko rozżalony. Jedynym pocieszeniem w tych okolicznościach była myśl, że adwokat smażył już swój przestępczy tyłek na ruszcie Naszego Pana gdzieś głęboko pod powierzchnią tego, co kiedyś było jego ziemskim mieszkaniem.

Na piętrze znalazł duży wózek barowy, na którym stało co najmniej sto butelek. Whisky, gin, wódka, koniak, do tego likiery, wina, szampan, których należało unikać, chyba że było się kobietą, pedalem albo – jak Eriksson – adwokatem. W większości trunki ze średniej półki, pomyślał Bäckström. Uwagę znawcy takiego jak on zwróciła jedynie szkatułka z ciemnego drewna, z połyskującymi metalowymi klamrami. Mogła bez problemu pomieścić litr whisky najlepszego sortu. Bäckström zważył szkatułkę w dłoni, zanim zdjął wieczko, ale zamiast kryształowej karafki, którą miał nadzieję znaleźć w środku, zobaczył emaliowaną figurkę niewielkich rozmiarów przedstawiającą chłopca w czerwonej spiczastej czapce, żółtej kurtce i zielonych spodniach, niewiele większego niż ćwiartka

z monopolowego i przypominającego zwykłego krasnala.

Na wszelki wypadek wyjął go jednak ze szkatułki i potrząsnął nim ostrożnie z nadzieją, że usłyszy charakterystyczne chlupotanie. Z doświadczenia wiedział, że tak zwani ludzie z wyższych sfer często chowali spirytus w najdziwniejszych miejscach, na przykład w okładkach książek, lornetkach albo nawet laskach spacerowych. Sam takiej używał, prowadząc przeszukania niemal trzydzieści lat temu, w czasie swoich pierwszych lat pracy na wydziale kryminalnym w Sztokholmie. Teraz stała w stojaku na parasole w przedpokoju jego mieszkania na Kungsholmen. Miła pamiątka ze starych, dobrych czasów, kiedy jeszcze był młodym policjantem.

Tym razem jednak nie dopisało mu szczęście. Z wnętrza emaliowanego krasnala nie doszedł go nawet najmniejszy chlupot, choć obracał nim na wszystkie strony. Na spodzie pudełka znalazł ręcznie wypisaną karteczkę: „Emaliowana pozytywka przedstawiająca chłopca. Prawdopodobnie niemieckiej produkcji, początek dwudziestego wieku. Wartość około 3000 koron”.

Ciekawe, co stara pozytywka robi wśród tych butelek, pomyślał Bäckström, pokręcił ze zdziwieniem głową i odstawił czarną szkatułkę na miejsce. Może lubił słuchać muzyki, kiedy pił? Dziwny typ, pomyślał, bo sam lubił pić w samotności i najlepiej w całkowitej ciszy.

Następnie zadzwonił po taksówkę. Czekając w holu na parterze, postanowił, że musi się pozbyć swojej teczki, żeby uniknąć niepotrzebnych plotek. Po co w ogóle zabierał ją ze sobą tam, gdzie te dwa szajbusy, Niemi i Hernandez, robili zdjęcia wszystkiemu dookoła, już w zarodku niszcząc wszelkie przejawy prywatnej inicjatywy. Prościej byłoby już poprosić tego chilijskiego tancerza tanga, żeby przejechał przez firmę i zostawił to w jego pokoju.

Kiepska sprawa, pomyślał Bäckström i zatrzymał się przed stolikiem, który stał tuż przy drzwiach wyjściowych. Stał na nim chiński wazon, który wyglądałby świetnie na stoliku u niego w mieszkaniu i z pewnością zmieściłby się do jego przestronnej teczki. W najgorszym razie razem z całym

bukietem zwędzonych tulipanów, które pracująca z pewnością na czarno sprzątaczką włożyła do niego przed tygodniem. Co za czasy, pomyślał Bäckström, zerknął na teczkę, którą trzymał pod lewym ramieniem, i podniósł ostrożnie wazon. Od razu zauważył, że coś się nie zgadza. Odstawił go z powrotem na stolik, wyjął kwiaty i w środku zobaczył połyskujący przedmiot wyglądający jak śnięty karp na dnie urny.

Cholera, pomyślał inspektor kryminalny Evert Bäckström, bo właśnie stracił okazję zdobycia chińskiego wazonu, który mógłby zabrać ze sobą do domu, gdy już się wszystko uspokoi.

37

Zaledwie godzinę po rozmowie ze znajomym Ara spotkał się z reporterem, który dał jego znajomemu dwadzieścia tysięcy za kilka zwykłych zdjęć z jakiegoś napadu na konwój. Spotkali się w mieście, na bocznej uliczce na Söder, namierzając się za pomocą telefonów komórkowych, i wsiedli do samochodu reportera, żeby omówić to, co mieli do omówienia.

– Twój kolega powiedział mi, że masz dla mnie coś ciekawego na temat zejścia adwokata Erikssona – zaczął nowy znajomy Arego.

– Kwestia ceny – powiedział Ara i wzruszył ramionami, nauczony niedawnymi doświadczeniami.

– Z tym nie będzie żadnego problemu – powiedział reporter i uśmiechnął się. – Opowiadaj.

– Okej – powiedział Ara. – Wydaje mi się, że widziałem tego, kto to zrobił. Nie w chwili morderstwa, ale zaraz potem, gdy uciekał z miejsca przestępstwa. Poza tym widziałem samochód, którym odjechał razem ze swoim kumplem.

– Rozpoznałeś go?

– Jak już powiedziałem, nie chcę teraz wchodzić w szczegóły. Wszystko zależy od tego, ile mi zapłacisz. Oto co mogę ci dać: po pierwsze mogę udowodnić, że tam byłem. Mogę ci pokazać kopię firmowego paragonu z dokładną datą, adresem i całą resztą. Po drugie mogę wskazać sprawcę, jeśli zobaczę go na zdjęciu. Nie wiem, kto to był. Po trzecie mogę ci opisać

samochód, którym odjechał on i jego kumpel. Nie numer rejestracji, bo tego nie zauważyłem, ale namierzenie tego auta nie powinno być trudne. To nie było zwykłe volvo, że tak powiem.

– Czekał – przerwał reporter. – Przecież gliny już cię przesłuchiwały. Na pewno widziałeś całą masę zdjęć.

– Nie – powiedział Ara i wzruszył ramionami.

– Sorry, ale to mi się wydaje cholernie dziwne. Na pewno dali ci do obejrzenia masę zdjęć.

– Nie – powiedział Ara. – Gadałem z jakimś zmęczonym życiem urzędasem, powiedział, że jeszcze do tego wrócimy. Wystarczy mi jedno dobre zdjęcie. – Ara znów wzruszył ramionami.

– Okej, okej – zgodził się reporter. – Mówisz, że możesz mi opisać samochód, a jak dostaniesz dobre zdjęcie, wskazać sprawcę.

– Tak – Ara skinął głową. – To tylko kwestia ceny, tak jak mówiłem.

– Skąd możesz być taki pewien, że to właśnie sprawcę widziałeś?

– Gdybyś go widział, nie zadawałbyś tylu pytań. Tak jak mówiłem, wszystko jest kwestią ceny.

– Pięć kawałków – przerwał mu reporter.

– Słucham?

– Pięć kawałków, dostaniesz pięć tysięcy do ręki, jeśli powiesz mi, co się wydarzyło, obejrzysz zdjęcia i opiszesz mi ten samochód. Niczego nie musisz się obawiać, bo powołamy się na anonimowego informatora.

– Pięć tysięcy? Zapomnij – powiedział Ara i pokręcił głową.

Na tym skończyli. Na odchodnym reporter obiecał, że odezwie się po rozmowie z szefem, pod warunkiem jednak, że Ara nie będzie rozmawiać z nikim innym. Następnie podali sobie ręce na pożegnanie i obiecali, że będą w kontakcie. Kiepski dzień, choć zaczął się tak obiecująco, pomyślał Ara, kiedy usiadł za kierownicą i nacisnął przycisk „wolny”.

Kiepski dzień, a zanosilo się, że będzie jeszcze gorzej. Już w trakcie pierwszego kursu po spotkaniu z dziennikarzem

zadzwoiła komórka, i chociaż wiozł klienta, a numer telefonu był zastrzeżony, odebrał. Dzwoniła młodsza policjantka, która najwyraźniej przejęła sprawę po Almie. Miała miły głos, chciała mu pokazać zdjęcia i byłoby najlepiej, gdyby stawił się w komendzie w Solnie możliwie jak najszybciej.

Ara wyjaśnił, że nie ma czasu. Musi pracować, żeby zarobić na życie. Jeśli wynagrodzą mu stracony czas, to może wpadnie. Zresztą byłoby lepiej, gdyby zadzwonili jutro, kiedy miał wolne przedpołudnie. Najlepiej, gdyby przyjechali ze zdjęciami do niego do domu, żeby nie musiał jechać do komendy. Potem się rozłączył i najzwyczajniej w świecie wyłączył komórkę.

Tak łatwo jednak nie dali za wygraną. Kiedy włączył telefon po kilku godzinach, miał dwie nowe wiadomości w poczcie głosowej. Pierwsza od policjantki, z którą już rozmawiał. Miała głos równie miły jak poprzednio. Druga od jej kolegi, który nie był już tak uprzejmy i który chciał się z nim natychmiast spotkać w celu uzupełnienia zeznania. Ara westchnął głęboko i pomyślał, że najwyższa pora coś zjeść i na spokojnie przemyśleć całą sytuację. Pojechał do swojej ulubionej knajpy, zamówił kebaba, napój dietetyczny i filizankę mięty, żeby mu się lepiej myślało.

Fajna laska, pomyślał Ara, kiedy odgryzł pierwszy kęs kebaba. Nigdy wcześniej jej tu nie widział. Ni stąd, ni zowąd stanęła w drzwiach. Mocne nogi, szerokie ramiona, jak u faceta. Krótkie ciemne włosy, mokasyny, džinsy i skórzana kurtka. Przebiegła wzrokiem po siedzących w lokalu.

Fajna laska, pomyślał Ara, problem w tym, że miała ten sam wyraz oczu co facet, którego prawie potrafił poprzedniej nocy. I że jej wzrok zatrzymał się akurat na nim.

Dwadzieścia minut później siedział w pokoju w komendzie w Solnie. Jego taksówka została przed barem w mieście, a zanim zajął miejsce na tylnym siedzeniu radiowozu, który zawiózł go na przesłuchanie, dwóch funkcjonariuszy opróżniło mu kieszenie. Potem ta sama kobieta, która wcześniej pojawiła się w drzwiach, wzięła go pod ramię i skinęła głową.

– Okej, Ara – powiedziała Annika Carlsson. – Prokurator zdecydował się zabrać cię na przesłuchanie bez uprzedniego

zawiadomienia, bo najwyraźniej pogrywasz sobie ze mną i moimi kolegami. Słuchaj teraz uważnie. Żadnych wygłupów, masz być grzeczny i uczynny – jeśli ty pomożesz mnie, ja pomogę tobie.

– Spoko – Ara skinął głową. Jaki mam wybór, pomyślał.

38

Efekty obchodu przeszły najśmielsze oczekiwania, nawet w takiej okolicy jak ta. Gdy Felicia Pettersson przejmowała materiały od swojego kolegi Jana Stigsona, usiedli najpierw w radiowozie zaparkowanym przed domem ofiary, żeby chwilę porozmawiać.

– Jak ci poszło? – zapytała Felicia Pettersson.

– Jak po maśle – stwierdził Stigson. – Mieliliśmy naprawdę szczęście, co tu dużo mówić.

Po pierwsze udało im się porozmawiać z niemal wszystkimi mieszkańcami. Rozpoczęli pracę około siódmej rano. Zastukali do drzwi blisko stu domów wokół domu ofiary i kiedy Felicia zmieniała ich dziesięć godzin później, z początkowej listy zostało już tylko kilka adresów.

Po drugie rozmawiali z sąsiadami, którzy dzwonili na telefon alarmowy tamtego wieczoru i w nocy z powodu ujadającego psa. Z trójką dzwoniących między piętnaście po dziesiątej a pięć po jedenastej wieczorem, których przekierowano do dyżurnego, ponieważ policja miała inne, ważniejsze sprawy na głowie, i z czwartym, który zadzwonił tuż po drugiej w nocy i w końcu sprawił, że dziesięć minut później na miejscu zjawił się patrol policyjny.

– Mieliliśmy pecha – stwierdził Stigson z krzywym uśmiechem. – Dzwoniła Nadja, mówiła o tym taksówkarzu, który najwyraźniej o mało co nie wjechał w jednego ze sprawców zaledwie kilka minut przed tym, jak na miejsce przyjechał pierwszy patrol. I o tej biednej psinie, której ktoś podobno poderżnął gardło.

– Czasem ma się pod górkę. Coś jeszcze?

– Dziwna sprawa z tym kundlem. Między dziesiątą

a jedenastą szczeka w zasadzie bez przerwy. Potem jest cicho przez prawie trzy godziny, po czym znów coś w niego wstępuje i przez pięć minut szczeka jak oszalała. Wtedy ktoś najwyraźniej podrzyna mu gardło. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, potwierdzają, że pies był cicho przez trzy godziny. Trochę to dziwne moim zdaniem.

– Coś jeszcze?

Może jeszcze dwie sprawy, zdaniem Stigsona. Rozmawiali z jeszcze jednym świadkiem, kolejnym właścicielem psa. Podzielił się z nimi interesującymi spostrzeżeniami, które niestety komplikują obraz sytuacji. Około wpół do dziesiątej wieczorem świadek na spacerze z psem przechodził przed domem adwokata i zauważył mężczyznę, który siedział na schodach domu Erikssona. Drzwi do domu stały otwarte na oścież.

– Na schodach przed domem siedział starszy, siwowłosa mężczyzna. Świadek zeznał, że w pierwszej chwili chciał go spytać, czy wszystko w porządku. Ponieważ jednak mężczyzna nie wyglądał, jakby potrzebował pomocy, świadek tego nie zrobił. Pomyślał, że mężczyzna po prostu wyszedł, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Starszy siwowłosa mężczyzna?

– No właśnie – Stigson pokiwał głową. – Co prawda świadek trochę się spieszył, chciało mu się siku, o czym powiedział poza protokołem, więc nie przyglądał się dokładnie. Starszy siwowłosa mężczyzna, elegancki, w jasnym letnim garniturze. To znaczy tak go zapamiętał. Dlatego też nie zwrócił uwagi na jego młodszego, dobrze zbudowanego pomocnika, którego inna świadek widziała pakującego kartony do srebrnego mercedesa.

– Starszy siwowłosa mężczyzna? Ile mógł mieć lat? Sześćdziesiąt? Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt? Sto?

– Między siedemdziesiąt a osiemdziesiąt, jeśli wierzyć świadkowi. – Stigson się skrzywił. – Tyle z niego wycisnęliśmy. Jakies siedemdziesiąt pięć lat, więc na pewno starszy mężczyzna. Świadek jest po sześćdziesiątce, więc powinien umieć dobrze szacować wiek.

Ma siedemdziesiąt pięć lat, siedzi na schodach, drzwi są

otwarte na oścież, pomyślała Felicia Pettersson. Nie wygląda na kogoś, kto mógł spłoszyć czaszkę adwokatowi Erikssonowi. Raczej na kogoś, kto widział coś strasznego, pomyślała.

– Samochód – powiedziała Felicia. – Srebrny mercedes. Mówi o nim dwoje świadków. Kobieta i taksówkarz. Czy ten świadek widział...

– Nie widział ani samochodu, ani białych kartonów – przerwał Stigson. – To, że nie zauważył srebrnego mercedesa, nie wydaje się takie dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, kto tu mieszka – te wszystkie mercedesy, bmw i lexusy... *you name it*.

– No tak – powiedziała Felicia. Zwykły samochód, nic takiego, pomyślała.

– Zostawmy na razie samochód. Chciałam cię zapytać o coś innego – powiedziała Felicia i na wszelki wypadek zajrzała do swoich notatek.

– Chyba się domyślam, o co – powiedział Stigson i uśmiechnął się. – *Shoot!* Słucham.

– Połączenie na telefon alarmowy, które przychodzi z numeru Erikssona za dwadzieścia dziesiąta – ta godzina jest akurat pewna, bo mamy ją w wykazie połączeń numeru SOS...

– Świadkowie natomiast twierdzą, że widzieli mężczyzn przed domem ofiary między dziewiątą trzydzieści a tuż przed dziesiątą – przerwał Stigson, bo pomyślał o tym samym już rano, kiedy rozmawiał ze swoim pierwszym świadkiem.

– Mógłbym to próbować tłumaczyć na różne sposoby.

– Ja też – zgodziła się Felicia – najbardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że Eriksson próbował zadzwonić na telefon alarmowy, gdy zaczęło się robić gorąco, i że właśnie wtedy został zabity, a sprawca po chwili opuścił miejsce zdarzenia...

– Zabierając ze sobą różne drobiazgi, które spakował do białych kartonów, co by oznaczało, że nasz świadek pomyliła się o jakiś kwadrans. Swoich spostrzeżeń dokonałaby więc nie o dziewiątej trzydzieści, lecz około dziewiątej czterdzieści pięć. Nie pierwszy raz ktoś myli się o kwadrans. Jest jednak jeszcze inna możliwość.

– Jaka?

– Jeden z nich wychodzi z domu i zabiera łup, a drugi zostaje i zabija Erikssona. Lub też najpierw wynoszą łup, a potem wracają do domu i uśmiercają adwokata.

– A ten starszy mężczyzna, który siedział na schodach? Pasuje ci do tej historii?

– Nie – odpowiedział Stigson z uśmiechem. – Nie bardzo, mam nadzieję, że tę kwestię rozwiąże dla nas Bäckström.

– Czy powinnam jeszcze o czymś wiedzieć? – zapytała Felicia.

– Zdaje się, że Eriksson nie był idealnym sąsiadem. Nie przypominam sobie, żebym wcześniej słyszał tyle złego o kimś, kto właśnie został zamordowany. W każdym razie nie od sąsiadów. Głośne imprezy w środku tygodnia, dziwni goście, którzy zjawiali się o dowolnej porze dnia i nocy, zastawione miejsca parkingowe i trzaskanie drzwiami samochodów. Eriksson też zdaje się nie był wzorem ogłady. Ten jego kundel był postrachem całego sąsiedztwa.

– No ale to raczej nie powód, żeby rozwalić mu głowę.

– Pewnie nie. Zresztą gdyby zrobił to któryś z nich, to raczej i tak by nam o tym nie powiedział.

39

Annika Carlsson postanowiła, że osobiście pokaże zdjęcia Arze Dostiemu, choć nie należało to do jej obowiązków, tym bardziej że pracowała już czternaście godzin bez przerwy. Wcześniej jednak weszła do łazienki, obmyła twarz zimną wodą, żeby odświeżyć się po wielu godzinach spędzonych za biurkiem, zrobiła kilka głębokich wdechów i poszła po swojego laptopa, na którym miała blisko dwieście zdjęć przygotowanych dla niej przez Nadję.

Teraz już serio, żadnych krzywych akcji, bo inaczej osobiście zaciągnę cię do aresztu, pomyślała, kiedy otworzyła drzwi do pokoju przesłuchań, gdzie czekał już na nią Ara.

– Cieszę się, że zdecydowałeś się nam pomóc, Ara – powiedziała. – Obiecuję, że nie zajmie to więcej, niż to absolutnie konieczne, i że dostaniesz stosowną rekompensatę

za stracony czas. A jeśli wskażesz właściwą osobę, postaram się dla ciebie o nagrodę w ramach podziękowania za pomoc.

– Spoko – pokiwał głową Ara. Fajna laska, pomyślał. Gdyby nie te ciemne, świdrujące go na wylot oczy.

Następnie obejrzeni razem fotografie. Zdjęcia łącznie stu siedemdziesięciu pięciu osób, które trafiły do kartotek policyjnych. Na trzech z nich był ten sam mężczyzna, Fredrik Åkare, który miał rzekomo grozić adwokatowi Erikssonowi. Zostały zrobione w ciągu ostatniego roku, w różnych okolicznościach. Kolejne trzydzieści to policyjne zdjęcia szpiegowskie przedstawiające kumpli Åkarego z Hells Angels, partnerów biznesowych, kumpli po fachu, ogólnie rzecz biorąc.

Również Omar Parisafar i jego otoczenie, nazywane Bractwem Parisafarów – The Parisafar Brotherhood – zwrócili uwagę śledczych. Eriksson był co prawda od lat rzecznikiem i zaufanym mężem rodziny Parisafarów, ale takie rzeczy potrafiły się szybko zmieniać. Wiedzieli o tym wszyscy prawdziwi policjanci.

Zostało jeszcze jakichś stu przestępców, których wygląd pasował do opisu przedstawionego przez Arę Dostiego i świadka Jana Stigsona – sąsiadkę, która przesłała informację policji – i którzy, jeśli sądzić po wcześniejszych dokonaniach, byłiby w stanie podjąć wszelkie działania konieczne do uśmiercenia Erikssona.

Spędzili nad zdjęciami prawie trzy godziny. Ara Dosti zatrzymał się przy blisko dwudziestu z nich. Na pierwszym był współpracownik rodziny Parisafarów, rówieśnik Ary.

– Halo – powiedział Ara i pokazał na zdjęcie, które wyświetliło się na komputerze Anniki. – Przecież to Omar Ben Kader. Chodziliśmy razem do gimnazjum w Gnosjö. Fajny chłopak, przyjechał tu z Maroka. Był przewodniczącym samorządu uczniowskiego. Miał najlepsze stopnie w szkole. Co on tu robi?

– Nie mam pojęcia – powiedziała Annika i pokręciła głową. Ja tu zadaję pytania, pomyślała.

– Dziwne – zdziwił się Ara. – Wiem tylko, że zdał na sztokholmską politechnikę. Mówił, że zostanie chemikiem.

– To nie jego o mały włos byś potrafił? – Chemikiem? Pewnie jeszcze zanim zaczął się obracać w złych kręgach, pomyślała Annika Carlsson.

– Nie – powiedział Ara. – Gdyby to był on, na pewno bym go poznał. Omar był naprawdę w porządku. Byliśmy kumplami na śmierć i życie.

– Wierzę ci – powiedziała Annika i uśmiechnęła się, chociaż żadna z osób na zdjęciach nie trafiła do bazy przez przypadek, a już na pewno nie ta. Na śmierć i życie. Nawet nie wiesz, jak bardzo masz rację, pomyślała.

Wśród kolejnych dwudziestu osób, które rozpoznał Ara, a czasem nawet znał z imienia i nazwiska, nie było już kolegów ze szkoły, byli za to klienci, których wioził taksówką i którzy byli powszechnie znani jego kolegom po fachu. Niektórych widział w mieście albo w klubach wokół Stureplan, a najlepiej zapamiętał Fredrika Åkarego, którego rozpoznał na wszystkich trzech zdjęciach.

– To przecież Fredrik Åkare. Prezes HA. Nieprzyjemny koleś, lepiej mu nie podskakiwać. Osobiście nie miałem z nim nigdy problemu. Zawsze daje dobre napiwki.

– Kiedy go spotkałeś?

– Wiołem go kilka razy, głównie do klubów. Ci kolesie często chodzą do Reisen na Starym Mieście, podobno mają tam zjazdy z kumplami z HA z innych krajów. Wpadają często do tego amerykańskiego grilla na Söder, gdzie podają wielkie steki. Raz wiołem go do ich klubu w Solnie. Tego przy lotnisku w Brommie.

– Nie wpadł ci nigdy na maskę?

– Wówczas już bym tu nie siedział – odpowiedział Ara z przejęciem. – Ten człowiek musi być niebezpieczny, kiedy się wścieknie. Dwa metry wzrostu i sto kilo żywej wagi. Pewnie po pięćdziesiątce, ale na pewno lepiej z nim nie zadzierać.

Godzinę później skończyli i Ara podpisał zakaz ujawniania poufnych informacji, o którym starszy i dużo bardziej zmęczony kolega policjantki najwyraźniej zapomniał. Następnie dostał do pokwitowania rachunek na pięćset koron, które wyjęła z kasetki, i dobrą radę na odchodne.

– Pamiętaj, Ara – powiedziała Annika Carlsson. – Nie chcę cię straszyć, ale ci, co zabili Erikssona, to nie są przyjemni kolesie. Dlatego lepiej, żebyś się nikomu nie zwierzał z tego, co mi tu powiedziałaś. Nikomu z rodziny, żadnym kolegom, a już na pewno nie dziennikarzom. Zrozumiano?

– Spoko – zgodził się Ara. – Czytałem trochę w necie o tym Erikssonie. Jeśli wierzyć temu, co piszą, musiał być prawą ręką mafii.

– Moja wizytówka – powiedziała Annika Carlsson, podając mu kartonik ze swoim nazwiskiem. – Gdyby coś się stało, zadzwoń do mnie na komórkę, niezależnie od pory dnia i nocy, pomogę ci. Jeśli zdarzy się coś nagłego, dzwoń na numer alarmowy. Masz tu bezpośredni numer, zapisałam ci go na wizytówce. Zgoda?

– No ba – powiedział Ara. – Bez dwóch zdań. Masz moje słowo.

– Słyszemy się jutro – powiedziała Annika Carlsson.

– Obawiam się, że będziesz musiał obejrzeć więcej zdjęć.

– Drugie tyle – powiedział Ara z uśmiechem. Zaczyna mówić jak człowiek, pomyślał. Chociaż na razie dała mu tylko pietruszkę, bez łososia.

– Zrobię, co w mojej mocy. Co teraz planujesz? Będziesz pracować czy pojedziesz do domu się przespać?

– Pojadę do domu się przespać. To był ciężki dzień.

– W porządku. Zadzwoń do mnie jutro, kiedy tylko się obudzisz.

– *Promise* – powiedział Ara.

40

Gdy tylko Ara wsiadł do samochodu, żeby wrócić do swojego mieszkania w Kiście, włączył telefon. Na poczcie głosowej miał nagrane trzy wiadomości od dziennikarza, z którym spotkał się zaledwie kilka godzin wcześniej. Widocznie rozmawiał już ze swoim szefem i dzwonił, żeby złożyć Arze nową propozycję w zamian za opis mężczyzny i samochodu, który widział, pod warunkiem że obejrzy zdjęcia przygotowane dla niego przez

redakcję. Dziesięć tysięcy koron za fatygę przy zachowaniu anonimowości. Gdyby zechciał się ujawnić i udzielić wywiadu ze zdjęciem i pod własnym nazwiskiem, redakcja widziała możliwość korzystniejszego wynagrodzenia. Przynajmniej dwukrotnie większego, a gdyby jeszcze mógł wskazać mężczyznę, którego o mały włos by potrafił, mógł się spodziewać, że kwota zostanie dodatkowo podwojona.

I co ja teraz, kurwa, zrobię? Pięćdziesiąt kafli prosto do ręki, pomyślał Ara. Dwa miesiące w Tajlandii lub Dubaju, do czasu gdy gliny zrobią swoje, wszystko się uspokoi i będę mógł wrócić do domu.

Gdy wszedł do swojego niewielkiego mieszkania w Kiście, pomyślał, że robi sobie filiżankę herbaty, a potem się prześpi. Było coś w tej jego nowej znajomej z policji, co zrobiło na nim wrażenie. Wyglądała na taką, co wie, o czym mówi, i do tego mówi to, co myśli. Pięćdziesiąt tysięcy albo pięćset koron, pomyślał Ara i uśmiechnął się krzywo. Potem wziął do ręki czajnik i gdy nalewał gotującą się wodę do dużego kubka, ktoś zadzwonił do drzwi.

Cholera, o co chodzi, pomyślał Ara. Włożył rękę do kieszeni, wyjął wizytówkę Anniki Carlsson, wybrał dopisany ręcznie numer telefonu na komórce i dopiero potem zakradł się do drzwi wejściowych i wyrzwał przez wizjer.

Nowy znajomy z największej popołudniówki nie wyglądał na takiego, co łatwo daje za wygraną. Wpuścił go do mieszkania, żeby jego sąsiedzi nie zaczęli się zastanawiać, dlaczego przyjmuje gości w środku nocy, i żeby mu wyjaśnić raz na zawsze, że nie chce mieć nic wspólnego z nim ani z kimkolwiek z jego gazety, a już na pewno nie za pięć ani dziesięć tysięcy koron.

Nie wyszło mu to najlepiej, choć zaczął od zakazu ujawniania informacji, który podpisał w komendzie.

– Zawsze tak mówią – powiedział jego gość i wzruszył pogardliwie ramionami. – W najgorszym razie wlepią ci grzywnę, redakcja zapłaci. Gdyby robili ci problemy, załatwimy ci adwokata.

– Przykro mi – powiedział Ara – ale nie jestem zainteresowany.

– Okej – odpowiedział reporter. – Zrobimy tak. Pozostaniesz anonimowy, masz na to moje słowo, bo nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby wystawić kogoś z moich informatorów. Opowiesz mi o tym kolesiu, którego widziałeś, i o jego samochodzie. Dostaniesz dziesięć tysięcy do ręki. Teraz. Po drodze widziałem bankomat.

– Nie jestem zainteresowany – powtórzył Ara.

– Gdyby udało ci się wskazać go na którymś ze zdjęć, które przyniosłem ze sobą, dam ci pięćdziesiąt tysięcy za fatygę i dalej pozostaniesz anonimowy. To zajmie najwyżej pięć minut, obiecuję. Potem nie będę cię już więcej nachodzić.

– Okej – powiedział Ara. Pięćdziesiąt tysięcy, pomyślał.

Reporter z największej popołudniówki miał ze sobą jakieś dwadzieścia fotografii przedstawiających kilka osób, zrobionych najwyraźniej przy okazji zbierania materiałów do reportaży. Sześć osób w porównaniu z prawie dwustoma, które pokazała mu policja. Rozłożył je na stole, żeby Ara mógł na nie patrzeć jednocześnie. Wystarczył rzut oka, by poznać mężczyznę, którego Ara o mało co nie potracił samochodem niecałą dobę wcześniej.

Spoglądał prosto w obiektyw. W jego oczach Ara rozpoznał to, co zobaczył na ulicy przed domem, w którym zamordowano adwokata. Znów na niego patrzył, drugi raz w ciągu tej samej doby, a w jego oczach było coś, co sprawiło, że Ara nagle zrozumiał, przed czym ostrzegła go Annika Carlsson.

– Nie – powiedział Ara i pokręcił głową. – Przykro mi, ale żadnego z nich nie rozpoznaję.

– Okej – powiedział reporter i poklepał go po ramieniu. – Jesteśmy w kontakcie. Daj znać, gdybyś mimo wszystko zmienił zdanie.

Następnie wyszedł i wreszcie zostawił go w spokoju.

Z miejsca zdarzenia Bäckström pojechał prosto do swojej ulubionej knajpy, żeby zjeść zasłużoną kolację. Gdy tylko wszedł do środka, przywitała go jego ulubiona fińska kelnerka,

która właśnie wróciła z urlopu w Tajlandii. Bäckström usiadł przy barze, żeby w spokoju przejrzeć kartę dań i schłodzić się zimnym piwem. W lokalu było niewielu gości, nikogo znajomego, co mu zresztą całkiem odpowiadało, bo musiał trochę odpocząć i planował zamienić kilka słów z Finką. Biuściasta blondynka, którą znał już od wielu lat i która sprzątała jego mieszkanie, na koniec zaliczając porządny zestaw ćwiczeń na jego łóżku z Hästens. Pewnie dzięki temu tak dobrze się trzyma, choć niedługo przekroczy czterdziestkę, pomyślał Bäckström.

– No i jak było w tej Tajlandii? – zapytał Bäckström i wziął duży łyk piwa.

Fantastycznie, stwierdziła. Trzeciego dnia jej ukochany mąż zasnął na słońcu, dostał udaru i trafił do szpitala w Bangkoku. Spędził tam ponad tydzień, a ona w tym czasie mogła się w spokoju relaksować.

Potem wrócili do domu. Koszt pobytu w szpitalu pokrył ubezpieczyciel, więc nawet o to nie musieli się martwić.

– Szczęście, cholera, że nie umarł – powiedział Bäckström z przejęciem.

– Nie obawiaj się – odpowiedziała z uśmiechem Finka. – Nie musisz się jeszcze uganiać za wdowami. Co zjesz?

Bäckström po chwili zastanowienia zdecydował się na lekką kolację, bo następnego dnia planował wczesną pobudkę. Smalandzka kiełbasa, buraczki i gotowane ziemniaki z pietruszką. Dwa duże piwa i dwa sznapsy na dobre trawienie. Na koniec wypił filiżankę kawy i mały koniak, zapłacił i poszedł do domu.

– Zadzwon, gdybyś chciał, żeby ci posprzątać. Pewnie się trochę nazbierało podczas mojej nieobecności – powiedziała z uśmiechem i wymownie pokazała głową na rozporek Bäckströma, a potem podeszła i przytuliła go na pożegnanie.

Normalnie szaleją na twoim punkcie, co chwila kolejna, powiedział sobie Bäckström, wychodząc na ulicę.

Nareszcie w domu, pomyślał Bäckström, kiedy przekroczył próg, i pięć minut później miał już na sobie ulubiony jedwabny japoński szlafrok. Zmieszał wódkę z tonikiem, zasiadł na

wielkiej czarnej skórzanej kanapie przed telewizorem, położył stopy na antycznym chińskim stoliku i rozejrzał się z rozrzewnieniem po pokoju.

Ładnie mieszkaśz, pomyślał zadowolony. Jedyłą rzeczą, która mu tu nie pasowała, była duża złocona klatka dla ptaków stojąca na stole przy oknie. Najwyższy czas sprzedać to badziewie na jakiejś aukcji w internecie, pomyślał, bo już wkrótce miały minąć trzy tygodnie, od kiedy jej lokator trafił do szpitala dla zwierząt, skąd – jak policjant miał nadzieję – już nie wróci. Nikt po nim nie będzie płakać, a już na pewno nie Bäckström. Zupełnie inaczej niż w przypadku Egon, jego ukochanej złotej rybki, która odeszła dziesięć lat temu, kiedy to mający jej doglądać kolega Jan Rogersson zawiódł go srodze, gdy Bäckström był na dochodzeniu w sprawie zabójstwa w południowej Szwecji.

Nigdy za to nie miał patyczaka. Było to zamierzone kłamstwo, którym chciał zbić z tropu niespełna rozumu koleżankę Rositę Andersson-Trygg i jak najszybciej uciąć od początku bezsensowną dyskusję.

Miał tylko złotą rybkę o imieniu Egon i papugę, którą nazwał Izaak, nic więcej. Psy i koty, które rzekomo miał w dzieciństwie, też wymyślił. Co prawda jego również niespełna rozumu matka miała w domu mnóstwo roślin doniczkowych, którymi czule się opiekowała, podlewała je, ścierała z nich kurz i bez przerwy z nimi gadała, ale w okresie dorastania nigdy nie przebywał w otoczeniu organizmów o wyższym stopniu świadomości. I jeszcze wiecznie pijany ojciec, który dodatkowo ułatwiał sprawę, bo czuł głęboki wstręt do ludzi, roślin i zwierząt i nigdy nie miał problemu z wyborem pomiędzy litrową butelką i swoim pierworodnym i jedynym synem Evertem.

Tak w skrócie wyglądało jego dzieciństwo. Szczęśliwe dzieciństwo, bo dawno się skończyło, a on stał się samotny i silny, gdy tylko wyrósł na tyle, by móc się samemu bronić. Pokiwał w zamyśleniu głową. Wciąż jednak brakowało mu Egon, choć od jego śmierci minęło już dziesięć lat. Egon, pomyślał i uniósł kieliszek do cichego toastu na cześć *absent*

friends.

Bäckström dostał Egona wraz z akwariem w prezencie od pewnej kobiety, którą poderwał w sieci. Odpowiedział na ogłoszenie, którego najciekawszym fragmentem był dopisek: „lubię mundury”.

Początkowo wszystko się między nimi doskonale układało. Zresztą zgodnie z tym, co sama o sobie napisała – wydawała się kobietą wolną i otwartą na różne doświadczenia. Przynajmniej z początku, bo już po kilku tygodniach zaczęła się zachowywać jak wszystkie inne zręczliwe baby, które przewinęły się przez jego życie. Odprawił ją z kwitkiem, zostawiając sobie Egona, do którego w tym krótkim czasie zdążył się przywiązać.

Wracał do domu po długim i ciężkim dniu w pracy, zasiadał w kanapie i sącząc drinka, czuł, jak spokój rozlewa się po jego ciele, kiedy patrzy na Egona pływającego tam i z powrotem, w górę i w dół po swoim małym świecie, nieświadomego całego zła, które czai się tuż za rogiem domu jego właściciela.

Egon był darem od życia, jedynym przyjacielem, pomyślał Bäckström, napełniając prawie już pusty kieliszek. Za to Izaak był zwykłym opierzonym chuliganem ze skrzydłami i krzywym dziobem. Efektem wyjątkowo nieprzemyślanego zakupu, którego dokonał dwa miesiące temu, kiedy mijał sklep zoologiczny w drodze do pracy. W oknie wystawowym siedziała papuga o miłym dla oka, żółto-niebieskim upierzeniu, co mu się z oczywistych ideologicznie powodów spodobało, i kiedy Bäckström zatrzymał się, żeby lepiej jej się przyjrzeć, ptak przekrzywił głowę i powiedział do niego coś, czego policjant niestety nie usłyszał.

Pewnie to taka, którą można nauczyć mówić, pomyślał Bäckström. Następnie wszedł do sklepu, opisał ze szczegółami swoje potrzeby sprzedawczyni, wysłuchał zwyczajowych formułek dotyczących warunków zwrotu i po piętnastu minutach było po wszystkim. Stał się właścicielem papugi, klatkę dostał gratis, a kłopoty miały się dopiero zacząć. Niedługo drań i tak odleci na dobre, pomyślał zadowolony i włączył telewizor, żeby obejrzyć ostatnie wiadomości w programie czwartym.

Po dziesięciu minutach wyłączył telewizor, potrząsnął swoją zmęczoną głową i stwierdził, że musi pociągnąć naprawdę porządny łyk rumu, żeby do reszty nie stracić wiary w ludzkość. W mediach mówiono jedynie o brutalnym zabójstwie adwokata Thomasa Erikssona. Najwyraźniej opłakiwała go cała ludzkość. Jedna ze stacji przeprowadziła nawet rozmowę z wyjątkowo chudą i głupią kobieciną, która – sądząc po napisach – była rzeczniczką izby adwokackiej. Nie tylko straciła bliskiego przyjaciela, lecz także wyjątkowo kompetentnego kolegę. Zabójstwo Erikssona było ciosem wymierzonym w państwo prawa. Przemoc i groźby wobec adwokatów stawały się coraz poważniejszym problemem, który wymagał natychmiastowych działań ze strony ustawodawców.

Co się, kurwa, dzieje ze starą matką Szwecją, pomyślał Bäckström. W taki radosny dzień jak ten, kiedy każdy związany z ustawodawstwem człowiek ma powód do świętowania. Następnie podniósł się z pewnym trudem, wszedł do łazienki, umył zęby, włożył swoją świeżo wyprasowaną jedwabną piżamę i położył się do łóżka.

Już zasypiał, gdy nagle dotarła do niego prawda, która rozjaśniła tajemnicę dziwnej plamy krwi i sposobu, w jaki nieznany wciąż jeszcze sprawca pozbawił życia adwokata Thomasa Erikssona. Godne zakończenie życia takiego dupka jak Eriksson, pomyślał Bäckström. Trudno byłoby się tego domyślić na podstawie wspomnień po zmarłym, niemniej była to piękna chwila najlepszego dnia w jego życiu, pomyślał. Nie mógł wiedzieć, że już niedługo stanie się ono jeszcze piękniejsze.

42

Gdy Ara Dosti obudził się we wtorek rano, nie musiał dzwonić do Anniki Carlsson. To ona zadzwoniła do niego.

– Wyskakuj z łóżka, Ara. Chciałabym ci pokazać kilka zdjęć – powiedziała.

Godzinę później siedział w komendzie w Solnie. Annika Carlsson włożyła mu do ręki kolejne pięćset koron z kasy

i poleciała, żeby się dobrze spisał. Następnie przekazała go innemu policjantowi.

– To mój kolega, Johan Ek. Przygotował dla ciebie kilka zdjęć.

Dziwny typ, pomyślał Ara. Jeszcze nigdy nie spotkał policjanta, który by wyglądał i zachowywał się w ten sposób. Niski i otyły, miłe spojrzenie zza grubych rogowych oprawek, przyjazny uśmiech nie schodził mu z twarzy. Miękkie, uprzejme gesty i ruchy ciała, którymi podkreślał swoje słowa.

– Cieszę się, że cię widzę, Ara – powiedział Ek, podając mu pulchną dłoń. Uścisk ręki był miękki i zarazem silny, świadczył o zaufaniu i wyłącznie dobrych zamiarach. – Siadaj, siadaj – dodał, pokazując lewą ręką i jednocześnie prawą przysuwając krzesło, które ustawił przed ekranem komputera.

Pewnie to jeden z tych ze służby cywilnej, pomyślał Ara. Ani trochę nie przypomina tych wszystkich gliniarzy, których do tej pory spotkał. A kiedy kwadrans później, drugi raz w ciągu ośmiu godzin, zobaczył mężczyznę, którego o mało co nie potrafił, tym razem bez wahania pokręcił głową na znak, żeby przeszli do kolejnego zdjęcia.

Nie za kolejne pięćset koron. Nie żeby świadczyć przeciwko niemu, jeśli jest taki, na jakiego wygląda, pomyślał Ara.

Skończyli po dwóch godzinach i choć Ara pokręcił głową na wszystkie sto zdjęć, które dostał do obejrzenia, jego rozmówca wydawał się równie zadowolony jak na początku.

– Przykro mi – powiedział Ara. – Nie rozpoznaję żadnego z nich. Nic nie zaskoczyło, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Rozumiem, Ara, rozumiem – Ek pokiwał głową. – Prawda, że powiedziałaś, że rozpoznałbyś go, gdybyś go znów zobaczył?

– No tak – Ara skinął głową. – Jestem o tym... tak mi się wydaje.

– Oczywiście może tak być, że nie mamy jego zdjęcia – powiedział Ek, pochylił się do przodu i poklepał go przyjaźnie po ramieniu. – To się zdarza. Nawet dosyć często. Gdybyś tylko wiedział, jak często.

Gdyby tylko nie był taki uprzejmy, pomyślał Ara i przytaknął. Pewnie właśnie dlatego poczuł wyrzuty sumienia

i zaproponował to, co zaproponował.

– Może moglibyśmy zrobić taki portret pamięciowy?
– zapytał Ara. – Taki, co je pokazują w telewizji.

– Cieszę się, że to powiedziałaś, Ara – powiedział Ek.
– Właśnie chciałem ci to zaproponować. Usiądziemy tu sobie na spokojnie, ty i ja, i narysujemy jego portret.

– Tak – powiedział Ara. – Chętnie. Problem tylko w tym, że za pół godziny zaczynam robotę. Mógłbym jednak jutro przed południem. Mam wtedy wolne.

– Doskonale, doskonale – powiedział Johan Ek i zrobił minę, jakby właśnie wygrał w zdrapkę. – Zdzwonimy się jutro rano.

43

We wtorek o dwunastej odbyła się druga narada zespołu dochodzeniowego. Bäckström przywitał wszystkich i gdy tylko uciął szelest kartek i skrzypienie krzesel, oddał głos Peterowi Niemiemu.

Na początek Niemi powiedział, że na pisemną opinię lekarza sądowego będą niestety musieli poczekać jeszcze jeden dzień. W czasie obdukcji lekarz stwierdził szereg niezgodności, które wymagały kolejnych badań i namysłu. Ale nic na tyle poważnego, by kazało mu zmienić wstępną opinię, mianowicie, że adwokat Eriksson zmarł wskutek uderzenia tępym przedmiotem w głowę i szyję.

– Mogę jedynie dodać, że mamy wynik badania krwi – stwierdził Niemi. – Ofiara zdaje się sporo wypić. Nie była kompletnie pijana, ale też nie była trzeźwa, bo miała ponad promil alkoholu we krwi.

– No proszę – powiedział Bäckström i pokręcił zmartwiony głową. – A co z tym jego kundlem? – Pewnie też był napruty, pomyślał.

W przypadku psa ofiary wszystko było jasne. Nie mieli też wątpliwości, że pies należał do Erikssona. Z chipa, który znajdował się pod skórą psa, dowiedzieli się również, jak miał na imię.

– Nazywał się Justice, co po angielsku znaczy sprawiedliwość

– powiedział Niemi z krzywym uśmiechem. – Rottweiler, sześćoletni samiec. Rano dostałem protokół z weterynarii sądowej. Cięcie po linii prostej w poprzek gardła, wzdłuż górnej krawędzi obroży, którą pies miał na szyi. Wskutek rozcięcia tętnicy szyjnej pies wykrwawił się w ciągu zaledwie minuty. Większość przemawia za tym, że sprawca usiadł na nim okrakiem i przytrzymał go za obrożę, gdy podcinał mu gardło, a głębokość rany świadczy o tym, że był praworęczny. Przeciągnął nożem od lewej do prawej strony, ale zanim to zrobił, najwyraźniej uderzył psa w plecy. Kilkakrotnie i dosyć mocno. Liczne pęknięcia w okolicach pięt, złamana kość podudzia. Weterynarz, który robił obdukcję, twierdzi, że to powinno mu być sparaliżować tylne nogi. Co być może tłumaczy, jak sprawcy udało się usiąść psu na grzbiecie, gdy podrzynał mu gardło. To było duże zwierzę, ważyło ponad pięćdziesiąt kilo.

– To okropne, że można wyrządzić coś takiego niewinnemu zwierzęciu – przerwała wzburzona Rosita Andersson-Trygg. – Co za potwór mógł to zrobić? Dlaczego nie ma o tym ani słowa we wstępnym raporcie? Przecież to jest znęcanie się nad zwierzętami.

– Rzeczywiście straszne – zgodził się Bäckström. – Wiemy coś na temat noża? – dodał, żeby jak najszybciej ją uciszyć. Muszę jak najszybciej pogadać z Holt, ta baba jest szalona, pomyślał.

– Niewiele – Niemi pokręcił głową. – Sądząc po powierzchni cięcia, był ostry, nawet bardzo ostry. Poza tym wydaje mi się, że to nóż obosieczny, a ostrze miało jakieś trzy centymetry szerokości i dziesięć centymetrów długości.

– Dlaczego tak sądzisz? – zdziwiła się Annika Carlsson. – Potrafisz to stwierdzić na podstawie tej rany? Zrozumiałam, że było tylko jedno cięcie od lewej do prawej.

– Kurs dla zaawansowanych – Niemi uśmiechnął się pod nosem. – Nie po ranie to widzę, skoro już pytasz. Sprawca wytarł nóż o sierść psa. Na prawym boku, wzdłuż przedniej łapy, w górę i w dół od stawu kolanowego, potem jeszcze raz w kierunku zadu. Pies zapewne już wtedy nie żył, a leżał na

lewym boku. Dokładnie tak, jak go znaleźliśmy. Sądząc po śladach krwi na sierści psa, ostrze noża miało długość około dziesięciu centymetrów i szerokość około trzech. A co się tyczy dwustronnego ostrza, jeśli jeszcze jesteś ciekawa, świadczy o nim to, że podczas wycierania o sierść nóż ścinał ją w obu kierunkach ruchu.

– Ciekawe – zauważył Bäckström. – Ciekawe – powtórzył. Koleś nie może być zwykłym Finem, pomyślał. Pewnie został adoptowany. Tylko jakim cudem te fińskie wieśniaki mogły adoptować szwedzkie dzieci?

– To mógł być nóż sprężynowy albo sztylet – powiedziała Annika Carlsson. – Przesłępcy często takich używają, zazwyczaj są obustronne.

– Nie, nie wydaje mi się. – Niemi pokręcił głową i na wszelki wypadek podrapał się po brodzie, podkreślając głębokie zamyślenie. – Moim zdaniem ostrze jest trochę za szerokie, żeby to było to. Dwusieczny, krótkie i szerokie ostrze. Nie wygląda mi to na typowy sztylet ani scyzoryk. Poza tym sprawca sam się nie zaciął, co jak dla mnie oznacza, że nóż jest wyposażony w jelec albo przynajmniej szeroką i wygodną rękojeść.

– A narzędzie, którym rozwalili głowę adwokatowi? – powiedział Bäckström. – Co o tym sądzisz? – Scyzoryk albo sztylet, pomyślał. Gdzieś już to słyszałem. Chrzanić to, jakoś to będzie, pomyślał.

– Coś długiego, okrągłego i twardego. Prawdopodobnie takim narzędziem rozbił głowę naszej ofierze.

No proszę, pomyślał Bäckström, kiwając głową.

– Masz coś jeszcze? – zapytał.

Znaleziono liczne ślady, które zabezpieczono i od razu przesłano do CLK do analizy. Odciski butów, palców, włosy, fragmenty tkaniny i wszystko inne, co zawsze się znajdowało, jeśli do morderstwa doszło w pomieszczeniu. Ślady dające nadzieję na ciąg dalszy, choć zwykle i tak okazywało się, że nie miały nic wspólnego ze sprawą.

I jeszcze trzy rzeczy, które wydawały się bardziej interesujące.

Staromodna chusteczka do nosa ze śladami krwi i smarków,

niebieska poduszka, która – sądząc po zapachu – mogła zawierać ślady kału albo moczu, i najlepsze ze wszystkiego: ślad krwi, który zabezpieczono na drzwiach na taras.

– Znajduje się na krawędzi drzwi – wyjaśnił Niemi. – Podłużna plama krwi, niewielka, ale wystarczająco duża, żebyśmy mogli pobrać próbkę, dlatego liczymy na wyniki testu DNA. Znajduje się jakieś dziesięć centymetrów poniżej klamki, a ponieważ czytałem zapis przesłuchania taksówkarza, wydaje mi się, że może to być krew kogoś, kogo pies ugryzł w prawą nogę. Sądząc po lokalizacji plamy krwi – około metra nad podłogą – musiał mieć rozerwaną nogawkę i pogryzione udo.

– Chyba mówisz o naszym sprawcy – powiedziała Annika Carlsson, i było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Jeśli mamy go w bazie, to jesteśmy w domu – powiedział Stigson, z trudem kryjąc zachwyt, bo planował wziąć w weekend wolne, zanim Toivonen nie postawił wszystkiego do góry nogami.

– Nie uprzedzajmy faktów – powiedział Niemi. – Wszystko się okaże. Hernandez już wczoraj wysłał do Linköping próbkę, z adnotacją, że zlecenie jest priorytetowe. Miejmy nadzieję, że w ciągu kilku dni będziemy mieć odpowiedź.

– To wszystko? – zapytał Bäckström, odchylając się na krześle z niewinną miną.

– Może jeszcze jedno – odpowiedział Niemi, uśmiechnął się i skinął głową. – Korzystając z okazji, chcielibyśmy z Hernandezem podziękować naszemu drogiemu prowadzącemu za to, że wczoraj wieczorem, w czasie ponownej wizyty na miejscu zdarzenia, znalazł rewolwer, którego dotychczas nie mogliśmy zlokalizować. Leżał w wazonie na stoliku stojącym w korytarzu na parterze i jedyne, co mamy na naszą obronę, to że na pewno byśmy go znaleźli, gdybyśmy już przeszukali to miejsce. I jeszcze to, że ten, kto go tam schował, z powrotem włożył do wazonu kwiaty, przez co nie znaleźliśmy pistoletu od razu.

– Nie ma za co – powiedział Bäckström z uśmiechem, widząc ich zdziwione i pełne uznania miny.

– Sądząc po numerze rejestracji, należy do Erikssona, miał

na niego licencję. W bębenku jest sześć naboí. Dwa zostały wystrzelone, a ich kaliber zgadza się z tymi, które znaleźliśmy w suficie i kanapie na piętrze. Pozwoliłem sobie je porównać przed wysłaniem do CLK. Pocisk, który tkwił w oparciu kanapy, jest w bardzo dobrym stanie i moim skromnym zdaniem nie ma wątpliwości, że został wystrzelony z broni Erikssona.

– Doskonale – powiedział Bäckström. – Macie pięć minut na rozprostowanie kości, a potem wracamy do najważniejszych kwestii.

44

Choć szansę na rozprostowanie kości dostali wszyscy, część zespołu pozostała w sali, a na przerwę wyszło tylko kilkoro najbardziej nałogowych palaczy, którzy potrzebowali nieco więcej czasu niż marne pięć minut. Bäckström wiedział z doświadczenia, co to oznacza. Zwęszyli sprawcę i teraz im się spieszyło – rozumiał to każdy poważny śledczy – w tym wypadku chodziło akurat o to, że dwóch różnych świadków w dwóch różnych momentach zauważyło srebrnego mercedesa w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca zdarzenia.

– Okej – powiedział Bäckström. – Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale nasz pierwszy świadek, sąsiadka, widziała wspomniany pojazd około wpół do dziesiątej wieczorem, co by się zgadzało z czasem zgonu. Jej spostrzeżenia potwierdzają dodatkowo zeznania tego drugiego sąsiada, który mniej więcej o tej samej porze widział owego siwego dżentelmena siedzącego na schodach przed głównym wejściem do domu. Nawet jeśli nie zauważył srebrnego mercedesa, białych kartonów ani tego młodszego wysportowanego, zakładam, że nasz zabójca był już wtedy na wylocie. Dobrze zrozumiałem?

Bäckström skinął zachęcająco w stronę Stigsona, a ten przytaknął.

– Tak. Poza tym nie powinniśmy zapominać o tym, że zeznania sąsiadki i taksówkarza dotyczące tego wytrenowanego mężczyzny mogą się odnosić do tej samej osoby – stwierdził

Stigson. – Tego siwego wujaszka też kupuję, nawet jeśli widział go tylko jeden świadek. No wiecie... komu przyszłoby do głowy wymyślić siwego starca opuszczającego miejsce zabójstwa?

– Komuś na pewno – Bäckström wzruszył ramionami.
– Dojdziemy do tego. Wróćmy jeszcze do tego taksówkarza. Co o nim wiemy?

– Annika przesłuchiwała go wczoraj, a ja dzisiaj rano – odezwał się komisarz kryminalny Johan Ek, wertując notatki.

– I co o nim myślicie?

– Czas, który podał, zdaje się zgadzać, jeśli wziąć pod uwagę paragony z taksówki. Jakies jednaście po drugiej w nocy, trudno sobie życzyć większej dokładności. To wtedy o mało co nie wjeżdża w tego gościa, który przechodzi przez ulicę na wysokości domu Erikssona. Zgadzam się ze Stigsonem. To rzeczywiście mógł być ten wysportowany mężczyzna, którego nasza świadek zauważyła około wpół do dziesiątej wieczorem.

– Oglądał jakieś zdjęcia? – zapytał Bäckström, rzucając spojrzenie w kierunku Alma, który z niewiadomych przyczyn zdecydował się usiąść możliwie najdalej od prowadzącego dochodzenie.

– Blisko trzysta, jak do tej pory – stwierdził Ek. – Nikogo jednak nie wskazał.

– Kryje kogoś? – zapytał Bäckström.

– Nie sądzę – Ek pokręcił głową. – Porządny chłopiec, niekarany. Wydaje mi się, że chce pomóc.

– No proszę – stwierdził Bäckström. – Daj mu jeszcze więcej zdjęć. Prędzej czy później zaskoczy. Teraz chciałbym, żebyśmy...

– Coś mi przyszło do głowy – przerwała Rosita Andersson-Trygg i zamachała w powietrzu notesem, żeby zwrócili na nią uwagę.

O Boże, pomyślał Bäckström.

– Słucham – powiedział.

Rosita Andersson-Trygg pomyślała o tym biednym rottweilerze, który został zabity w sposób najbardziej bestialski z możliwych. Jeśli miała być szczerą, miała wrażenie, że jako jedyna z zespołu dochodzeniowego poświęcała mu jakąkolwiek

uwagę. Być może to również tłumaczyło, dlaczego żaden z ich świadków nie rozpoznał tego, kogo szukali, choć jak do tej pory pokazali im jakieś trzysta zdjęć. Poszukiwany był niezwykle brutalnym dręczycielem zwierząt i na pewno nie był początkujący w swoim fachu. Jednocześnie praktyka pokazywała, że niezależnie od stopnia okrucieństwa, jakie człowiek wyrządzał zwierzętom, kary były niewspółmiernie łagodne, i dlatego istniało poważne ryzyko, że zdjęć osoby, której szukali, w ogóle nie było w policyjnych kartotekach.

– No dobra – powiedział Bäckström. – To co robimy?

– Powinniśmy nawiązać kontakt z kolegami z wydziału do spraw zwierząt. Opracowali własną bazę dręczycieli zwierząt i wydaje mi się, że tam go znajdziemy.

– Doskonale – powiedział Bäckström. – Fantastycznie – dodał na wszelki wypadek, biorąc poprawkę na to, do kogo mówi. – Zajmij się tym, Rosita. Powiedz, żeby przygotowali zdjęcia potencjalnych sprawców, którzy byliby zdolni podeznać psu gardło. Byłoby świetnie, gdyby mogli też opracować profil psychologiczny. Porozmawiaj z zespołem profilerów z wydziału kryminalnego. Na pewno ci pomogą. To musi być niezwykle brutalny typ.

– Już to zrobiłam...

– O, to doskonale – przerwał Bäckström. – To twoje zadanie specjalne. Zostaw wszystko inne i raportuj bezpośrednio do mnie, jak tylko coś znajdziesz. – Wreszcie pozbyłem się baby, pomyślał. – Najważniejszy w tej chwili jest jednak mercedes – dodał Bäckström. – Zależy mi też na zidentyfikowaniu osób, które widzieli nasi świadkowie. Nadja, przygotuj zdjęcia, a Ek przyporządkuje im numery identyfikacyjne. Przejdźcie się z nimi po okolicy. Nie mamy nic do stracenia, bo zdaje się, że ta wiadomość i tak już trafiła do sieci. Lepiej, żebyśmy zrobili to porządnie. Przecież musi się dać znaleźć ten wóz.

To nie będzie takie proste, stwierdziła Nadja, która już zaczęła go szukać w bazach danych. W promieniu stu kilometrów od miejsca zbrodni – a więc w odległości, jaką można było pokonać samochodem w cztery godziny, by wrócić na miejsce, jeśli podczas pierwszej wizyty czegoś się

zapomniało – mieszkały trzy miliony ludzi i blisko dwa miliony samochodów, z czego blisko trzydzieści tysięcy marki Mercedes.

Z tego powodu ustaliła dodatkowe warunki brzegowe, których można było użyć jako kryteriów wyszukiwania w rejestrze pojazdów, i tym samym zmniejszyć liczbę potencjalnych samochodów.

– Srebrne coupé, droższa wersja, model z ostatnich pięciu lat – podsumowała Nadja. – W promieniu naszych stu kilometrów mamy w sumie jakieś czterysta takich pojazdów. Ponad połowa z nich to samochody będące własnością wypożyczalni, auta leasingowe i służbowe. Niecała połowa należy do osób prywatnych. Sześć z nich jest zarejestrowanych na właścicieli, którzy mieszkają w obrębie kilometra od mieszkania naszej ofiary.

– Dobra – powiedział Bäckström. – Idź na skrót, gdzie się da. Powiedz, gdybyś potrzebowała więcej ludzi.

– Już to zrobiłam – powiedziała Nadja. – Rozmawiałam już na ten temat z Anniką.

– Okej – powiedział Bäckström. – W takim razie kończymy i bierzemy się do roboty. Widzimy się jutro o tej samej porze w tym samym miejscu. Poza tym chciałbym, żebyście się nad czymś zastanowili. I jutro dali mi odpowiedź.

Bäckström teatralnie wstrzymał oddech, udając, że wczytuje się w dokumenty.

– Adwokat Eriksson zostaje zamordowany mniej więcej za piętnaście dziesiąta wieczorem. Wytlumaczcie mi, prostemu oficerowi policji, jak to możliwe, że sprawca wraca na miejsce po ponad czterech godzinach, żeby poderżnąć gardło psu i jeszcze zmiażdżyć czaszkę komuś, kto od dawna nie żyje? Co ich tak wkurzyło, że zdecydowali się na takie ryzyko?

Sami tego chcieli, pomyślał Bäckström. Wszystkim opadły szczęki, jedynie Peter Niemi i Chico Hernandez siedzieli jakby nigdy nic. Pokiwali twierdząco głowami, ale żaden z nich nie powiedział.

Poszukiwania srebrnego mercedesa Nadja zleciła swoim współpracownikom. Po powiększeniu zespołu było ich pięcioro, wszystkim dała dokładne wskazówki. Rutynowa robota, pomyślała Nadja, a jeśli mimo wszystko pojawią się jakieś komplikacje, zawsze mogą się do niej zwrócić. Miała na głowie inne sprawy. Zagadnienia, których nie dało się wyjaśnić za pomocą podręcznika i kilku kliknięć myszką, pytania o to, co robiła ich ofiara w ciągu ostatniej doby swojego życia. Kwestie, które wymagały więcej spekulatywnego myślenia, a które mogły być poruszane podczas procesu sądowego.

Jak wynikało z rejestru systemu alarmowego w domu Erikssona, adwokat obudził się przed wpół do dziesiątej rano. W każdym razie właśnie wtedy wyłączył alarm i otworzył drzwi wyjściowe, żeby minutę później znów włączyć system alarmowy. Pewnie wypuścił psa do ogrodu i wyjął gazetę ze skrzynki, pomyślała Nadja i zapisała swoje uwagi na osi czasu w komputerze.

Potem prawdopodobnie przeczytał gazetę i zjadł śniadanie, pomyślała, ponieważ tuż przed godziną za dwadzieścia jedenasta alarm został wyłączony z panelu przy drzwiach wejściowych, które ponownie otwarto, a niecałą minutę później znowu zamknięto, po czym alarm ponownie włączono. Pewnie wpuścił psa, pomyślała Nadja. Pies biega po ogrodzie, a on je śniadanie i czyta gazetę.

Sądząc po resztkach stojących w zlewie, Eriksson rozpoczął dzień od jajek z bekonem, chleba, kawy i Fernet-Branca. Do tego czytał „Svenska Dagbladet” i próbował, choć bez powodzenia, rozwiązać niedzielne sudoku. Raczej nie był wybitnym matematykiem, pomyślała Nadja, pokręciła z politowaniem głową i zajęła się przeglądaniem listy połączeń z telefonu Erikssona na swoim komputerze. Jego telefon stacjonarny milczał przez cały dzień, natomiast na komórce zapisane zostały trzy połączenia przychodzące i dwa wychodzące.

Pierwsza rozmowa była krótka, trwała zaledwie dwie minuty,

połączenie przychodzące z telefonu na kartę nieznanego użytkownika. Połączenie przyszło trzynaste po dwunastej i zakończyło się piętnaste po dwunastej. Nie wiedziała jeszcze, kto dzwonił, jednak wyglądało to na typową rozmowę, w której dzwoniący chciał potwierdzić coś, o czym już rozmawiali. Tak w każdym razie pomyślała Nadja i zaznaczyła połączenie na swojej osi czasu.

Z kolejną rozmową sprawa była prostsza. Połączenie przychodzące z komórki należącej do kolegi ofiary, adwokata Petera Danielssona, o godzinie wpół do drugiej po południu. Najwyraźniej mieli sporo do omówienia, bo rozmowa trwała ponad pół godziny i skończyła się dopiero siedem minut po drugiej.

Nadja otworzyła plik z pierwszym przesłuchaniem adwokata Danielssona i odszukała jego zeznanie, w którym podał, że dzwonił do Erikssona około południa. Westchnęła i zrobiła kolejną notatkę na liście wątpliwości i sprzeczności, które na wszelki wypadek wolała sprawdzić raz jeszcze, choć z doświadczenia wiedziała, że w dziewięciu na dziesięć przypadków były to zwyczajne ludzkie omyłki, niemające nic wspólnego ze sprawą. Pamięć bywa zawodna, pomyślała Nadja i wróciła do listy połączeń telefonicznych.

Ostatnie połączenie przyszło z centrali kancelarii adwokackiej Eriksson i Partnerzy za dwadzieścia trzecia po południu. Rozmowa trwała dziewięć minut i większość przemawiała za tym, że tym razem nie dzwonił Danielsson, ponieważ połączenie z jego komórki, zakończone pół godziny wcześniej, zostało wysłane z masztu w pobliżu domu letniskowego Danielssona na Rådmanö pod Norrtälje, a kancelaria adwokacka miała swoje biuro na Östermalmie w Sztokholmie.

Rozmawiał z kimś z biura, pomyślała Nadja. Domyślała się, kto to mógł być. Trzy minuty po tej rozmowie Thomas Eriksson wykonał pierwsze połączenie wychodzące ze swojej komórki. Zadzwoił na inny telefon komórkowy, którego właścicielką była młoda kobieta zatrudniona w kancelarii adwokackiej jako sekretarka z wykształceniem prawniczym, i sądząc po lokalizacji telefonu, musiało być tak, że najpierw to ona zadzwoniła

do niego z kancelarii, a po trzech minutach on oddzwonił na jej komórkę. Być może dlatego, że coś ich łączy, pomyślała Nadja, bo dobrze znała schemat podobnych rozmów.

Isabella Norén, lat dwadzieścia cztery, zatrudniona w kancelarii adwokackiej od trzech lat, pomyślała Nadja, wstukując jej numer identyfikacyjny na klawiaturze, i od razu znalazła zapis przesłuchania, które kolega Johan Ek przeprowadził z nią późnym popołudniem w poniedziałek, niecałą dobę wcześniej. Jak podała Norén, ostatni raz rozmawiała z Erikssonem w porze lunchu w piątek przed zabójstwem. Wówczas to zajrzał do jej pokoju i zapytał, czy mogłaby przygotować materiały na rozprawę sądową, która miała się odbyć w kolejnym tygodniu. Rozmowa była krótka, zwyczajna, nic szczególnego, na koniec życzyli sobie udanego weekendu.

Tylko że to nieprawda, pomyślała Nadja i dodała kolejną pozycję na liście spraw, które wymagały dodatkowego wyjaśnienia.

Została jeszcze ostatnia rozmowa. Połączenie z numerem alarmowym za dwadzieścia dziesiąta wieczorem, które zostało przerwane, zanim osoba dzwoniąca zdążyła cokolwiek powiedzieć. To wtedy umarł, pomyślała Nadja. Wstaje z łóżka tuż przed wpół do dziesiątej rano i po dwunastu godzinach zostaje zabity. Pozostaje się dowiedzieć, co takiego robił między za dwadzieścia jedenasta rano, kiedy to wpuścił swojego psa, a trzynaście po dwunastej, kiedy to odebrał pierwszy telefon.

Najpierw daje psu jeść. Potem pewnie bierze kąpiel, pomyślała Nadja, bo miała wrażenie, że tego typu mężczyźni woleli kąpiel od prysznica, a już zwłaszcza w niedzielę rano, kiedy mogli dysponować swoim czasem. Jakieś pół godziny w wannie, nie więcej, ponieważ uruchamia komputer i loguje się piętnaście po jedenastej, i spędza tak w zasadzie całe popołudnie aż do godziny dziewiątej wieczorem, kiedy to wpuszcza swoich gości.

Z krótkimi przerwami na ponowne wypuszczenie psa – piętnaście po szóstej i za piętnaście siódma włącza i wyłącza alarm, otwiera i zamyka drzwi wejściowe – i kolejny posiłek,

który prawdopodobnie zjadł przed komputerem. Okruszki chleba na biurku, talerzyk z kilkoma pestkami oliwek, kawałek sera, dwa niezjedzone plasterki salami i pusta butelka po piwie. Ponad dziewięć godzin przed komputerem. Przez cały czas jest w sieci, a treść stron, które ogląda, zaskakuje nawet tak doświadczoną osobę jak ona.

46

We wtorek komisarz kryminalny Jan Stigson wraz z kolegami z komendy dokończyli obchód okolicy, podczas którego pokazali mieszkańcom zdjęcia srebrnego mercedesa. Na niewiele się to zdało. Wieczorem udało im się znaleźć kolejnego świadka, który mógł uzupełnić informacje na temat białych kartonów, na które zwróciła uwagę sąsiadka Stigsona.

Ów sąsiad widział, jak w czwartek lub piątek wieczorem, dwa lub trzy dni przed zabójstwem, adwokat Eriksson wyładował dwa białe kartony z tylnego siedzenia swojego czarnego audi, a następnie wniósł je do siebie do domu. Co prawda nie był pewien, czy był to czwartek, czy piątek, ale przynajmniej z pełnym przekonaniem twierdził, że nie mógł to być inny dzień w tygodniu poprzedzającym dzień śmierci Erikssona. W pierwszej połowie tygodnia był bowiem w podróży służbowej i wrócił do Sztokholmu dopiero w środę późnym wieczorem, na dowód czego był nawet uprzejmy pokazać Stigsonowi i jego kolegom swój kalendarz.

Podobnie rzecz miała się z końcówką tygodnia. Wcześniej rano w sobotę pojechał do swojego domu na wieś na Värmdö, żeby pograć w golfa i spotkać się z przyjaciółmi. Wrócił dopiero w poniedziałek rano i udał się od razu do swojego biura w centrum Sztokholmu.

Zostały więc czwartek i piątek wieczorem, bo w te dni zwykle jeździł do biura już o siódmej rano, żeby uniknąć najgorszych korków – dużo wcześniej, niż tacy jak Eriksson otworzyli choć jedno oko po szaleństwach poprzedniego dnia – a w najlepszym razie wracał do domu dopiero około szóstej, na kolację z żoną.

Kolega Stigsona podziękował mu za pomoc, a na koniec

dostał jeszcze kilka słów na drogę.

– Podobno nie powinno się mówić źle o zmarłych...

– Podobno – odpowiedział kolega Stigsona, przytakując energicznie głową na zachętę, bo wiedział, że zaraz usłyszy poufną informację.

– Ja jestem bardziej staroświecki – zaczął świadek – i być może dlatego jestem zdania, że każdy człowiek powinien być oceniany po tym, co zrobił za życia. Jeśli wierzyć w to, co piszą gazety, Eriksson był zwykłym gangsterem. No, być może z wyjątkiem ostatniej doby, kiedy sam został zabity. Trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek, o którym piszą w gazetach.

– Tak?

– Nie mnie oceniać, jak wielkim był sukinsynem. Nie wszystko, co piszą w gazetach, jest prawdą, ale jaki Eriksson był dla najbliższego otoczenia, mogę zaświadczyć, ponieważ był moim sąsiadem od wielu lat.

– Jaki był?

– Typowy mały sukinsyn – stwierdził sąsiad Erikssona i pokiwał z przekonaniem głową.

– Może mógłby pan podać jakiś przykład?

– Nie – odpowiedział sąsiad i pokręcił zdecydowanie głową.

– Tu niestety muszę pana zawieść. Plotkowanie zostawiam innym. Musi mi pan uwierzyć na słowo.

47

Po wtorkowej naradzie Peter Niemi wszedł do gabinetu Bäckströma, pokazał głową na krzesło przy jego biurku i zapytał, czy może usiąść.

– Jasne – powiedział Bäckström i również skinął głową. Dać takiemu leśnemu dziadowi palec, to spróbuje ci odgryźć całą rękę, pomyślał.

– W pełni się z tobą zgadzam, Bäckström – powiedział Niemi.

– Nawet śladu plam krwi, choć jeśli weźmie się pod uwagę stopień uszkodzenia jego czaszki, krew powinna się była rozlać na kilka metrów. Jedyne wyjaśnienie jest takie, że nie żył już od kilku godzin, kiedy nasz sprawca zaatakował go po raz drugi.

Jak wiadomo, zakrzepła krew nie pozostawia plam. Zamierzam to przypomnieć naszym droгим kolegom i koleżankom w pouczającym mailu.

– To dlatego dzwoniłeś dziś rano do doktora? – zapytał Bäckström z uśmiechem. Nawet taki fiński wieśniak jak Niemi zasługuje na drugą szansę, pomyślał.

– Po części – przyznał Niemi – i w tej kwestii całkowicie się zgodziliśmy, jeśli chcesz wiedzieć.

– Po części?

– Chodzi o tę plamę krwi, w której leżał, a dokładniej: w której miał zanurzoną twarz. Świadczy o obfitym krwawieniu z nosa i z ust. Cały czas mnie to frapowało, bo ta plama oznaczała, że jeszcze za życia otrzymał naprawdę silny cios z przodu. Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że ten cios był bezpośrednią przyczyną zgonu.

– Słyszę, co mówisz – powiedział Bäckström. – I jestem tego samego zdania. W czym więc problem? O co chodzi lekarzowi sądowemu?

– O liczne obrażenia powstałe zarówno przed śmiercią, jak i po niej. Ujmując rzecz krótko, potrzebuje jeszcze trochę czasu na przyjrzenie się uszkodzeniom ciała i oszacowanie, które rany powstały w którym momencie.

– Cholerni naukowcy – powiedział Bäckström. – Aż tak trudno zrozumieć, że koleś zszedł, bo ktoś rozwalił mu czaszkę? Kogo obchodzą takie szczegóły.

– Każdemu według jego wiedzy i umiejętności – powiedział Niemi. – Moim zdaniem to dlatego nie widzi powodu, by zmieniać swoją wstępną opinię, że Eriksson zmarł wskutek uderzenia w głowę i kark.

– Czasem trzeba się umieć cieszyć z małych rzeczy – skrzywił się Bäckström.

48

We wtorek po południu sąd okręgowy w Sztokholmie przychylił się do wniosku prokurator o przeszukanie siedziby kancelarii adwokackiej Eriksson i Partnerzy na Karlavägen

w Sztokholmie. Po krótkiej naradzie kancelaria postanowiła nie zaskarżać decyzji. „Chcemy mieć was wreszcie z głowy”, stwierdził adwokat Danielsson w imieniu swoim i kolegów, gdy rozmawiał z Lisą Lamm przez telefon. Około czwartej po południu dwóch śledczych w towarzystwie przedstawiciela kancelarii adwokackiej rozpoczęło przeszukiwanie gabinetu ofiary. Wszystko odbyło się zgodnie z postanowieniem prokuratora i decyzją sądu.

W komputerze adwokata Erikssona, jego szafie, szufladach i na półkach na książki policja znalazła kilkaset stron dokumentów, do których w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach można było dotrzeć, nie przeszukując siedziby kancelarii: materiały z postępowań przygotowawczych policji, wyroki sądowe, decyzje i postanowienia, protokoły, które w większości były jawne. Obraz jego osoby wyłaniający się z analizy materiałów znalezionych w jego gabinecie był jednoznaczny. Zapracowany adwokat zajmujący się sprawami zabójstw, który większość czasu w biurze spędzał na pracy.

Poza tym nic. W jego kalendarzu zapisane były godziny odwiedzin na policji, gdzie siedział na przesłuchaniach ze swoimi klientami, wizyt w więzieniu i rozpraw sądowych. Najwyraźniej jako podstawa do faktur za świadczone usługi. Pojedyncze lunche i kolacje, ale po pierwsze nie było ich szczególnie dużo, a po drugie przy wielu brakowało komentarza, gdzie się odbyły i z kim się spotykał.

Przeszukanie przeprowadzono pod kierunkiem komisarza kryminalnego Bładha, który wśród kolegów znany był jako osoba wyjątkowo skrupulatna. Również w tym przypadku udowodnił, że zasługuje na taką opinię. Już o ósmej wieczorem zadzwonił do Nadji Högberg i zdał wstępną relację z osiągnięć własnych i kolegów.

– Prawie sama makulatura – podsumował Bładh.

– Aha – odpowiedziała Nadja. Czego innego mogłaby się spodziewać. – Sprawdziliście, czy ktoś korzystał z jego komputera od jego wyjścia z pracy w piątek? – dodała.

– Tak – odpowiedział Bładh. – Możesz być spokojna. Nic nie zostało skasowane, dodane ani zmienione. Pewnie dlatego, że

o tym, co się stało, dowiedzieli się dopiero, gdy zjawiliśmy się w jego biurze i zabezpieczyliśmy jego pokój. Znaleźliśmy tylko trzy rzeczy o bardziej prywatnym charakterze. Po pierwsze jego kalendarz. Po drugie dwie teczki, w których zdaje się gromadził wszystkie listy i maile, których nadawcy grozili mu lub wyrażali swoje głębokie niezadowolenie. Mam wrażenie, że chciał mieć nad tym jakąś kontrolę.

– Znalazłeś jakieś pogrożki? – zapytała Nadja, bo przypomniał jej się dom ofiary. Wszystkie te alarmy, kamery i czujniki ruchu ostatecznie na nic się nie zdały, skoro własnoręcznie je wyłączył, bo miał zaufanie do tego, kogo wpuścił, a kto za chwilę miał odebrać mu życie.

– Jeśli dobrze policzyłem, jedenaście. Ich autorzy na różne sposoby grożą mu śmiercią. Niezbyt to zresztą ekscytujące. Ci ludzie mają dziwną skłonność do wyklejania znaczkami całych kopert, a na końcu każdego zdania muszą postawić kilka wykrzykników.

– A ta trzecia rzecz? – powiedziała Nadja. – Co to jest?

– Zdaje się, że miał sporo prywatnych zleceń na boku – powiedział Bładh. – Dokumenty zbierał w osobnej tezcze. Nie jakoś bardzo dużo, ale uzbierało się tego około stu stron. Chwilami trudno się połapać, pomyślałem więc, że wezmę tę teczkę ze sobą.

– W porządku – powiedziała Nadja. – Zadzwoń do mnie, gdybyś znalazł coś na tyle ważnego, żeby mnie budzić. Coś jeszcze?

– Kwestia zabezpieczenia jego gabinetu – powiedział Bładh. – Ten cały Danielsson nie odstępuje mnie na krok, aż mam ochotę posiedzieć tam jeszcze jeden dzień, na co chyba dostałbym zgodę od naszego prokuratora.

– Wiadomo – powiedziała Nadja z głębokim zrozumieniem, które mogło płynąć jedynie z doświadczeń młodości spędzonej w dawnym Związku Radzieckim. – Pozdrów go ode mnie i powiedz, że jeśli nie będzie nas słuchał, możemy tam spędzić jeszcze dużo czasu.

Rosita Andersson-Trygg rozpoczęła drugą część dnia od telefonu do kolegów z wydziału ochrony zwierząt w City, żeby poprosić ich o pomoc w wyborze zdjęć notorycznych dręczycieli zwierząt, którzy jak do tej pory uniknęli trafienia do policyjnych kartotek. Jak się wkrótce okazało, nie było to takie proste.

Dopiero za piątym razem udało jej się porozmawiać z sekretarką, pracowniczką cywilną, która jako jedyna była obecna w biurze. Reszta pracowników przebywała w terenie. Na wtorek zaplanowano interwencję przeciwko nieuczciwemu hodowcy kur spod Nynäshamn, która w najlepszym razie miała się zakończyć dopiero późnym wieczorem. Środa nie wyglądała lepiej – planowano wizytę u hodowcy świń w Rimbo, który, jak wynikało z licznych zgłoszeń, narażał życie i zdrowie zwierząt przewożonych do rzeźni w okresie przedświątecznym. W czwartek wypadła Święto Narodowe, a więc dzień wolny od pracy, a w piątek cały zespół postanowił wziąć dzień wolny, żeby choć częściowo zrekompensować sobie nadgodziny, które zbierały się wiosną.

– Proponuję, żeby zadzwoniła pani w poniedziałek
– stwierdziła recepcjonistka.

– Problem w tym, że siedzę nad sprawą zabójstwa – nalegała Rosita Andersson-Trygg. Może powinnam była zacząć od tego biednego psa Erikssona, pomyślała.

– Chodzi o tego adwokata? Tego, któremu zamordowano psa, choć to jego właściciel miał zginąć? – zapytała recepcjonistka, najwyraźniej lepiej poinformowana, niż powinna.

– Otóż to – powiedziała Rosita Andersson-Trygg z przejęciem. – Okropna historia. Dlatego pomyślałam, że jeśli ktoś może mi pomóc, to właśnie wy. Czy nie mogłaby pani poprosić swojego szefa, żeby...

– Niestety – przerwała recepcjonistka. – Rozumiem, co pani czuje, jednak nasz wydział prowadzi tysiące spraw rocznie, musimy więc podejmować je po kolei. Proszę jednak zadzwonić w poniedziałek.

I co ja teraz zrobię, zastanowiła się Rosita Andersson-Trygg, kiedy odłożyła słuchawkę. Najpierw poczuła bezradność, ale potem postanowiła skorzystać z rady Everta Bäckströma i spróbować stworzyć profil zabójcy psa. W związku z tym znów podniosła słuchawkę i zadzwoniła do zespołu profilerów z komendy głównej policji.

Tym razem poszło jej znacznie szybciej. Już za pierwszym razem przełączono ją do centrali, gdzie dowiedziała się, że cała szóstka profilerów współpracujących z komendą główną przebywała na tygodniowym kursie i miała wrócić dopiero w poniedziałek dziesiątego czerwca.

Czas zbierać się do domu, postanowiła Rosita Andersson-Trygg. Po drodze musiała jeszcze kupić ziarno dla ptaków i nowy filtr do akwarium.

50

Okolo czwartej we wtorek po południu Annika Carlsson postanowiła, że pojedzie do domu się przespać. W ciągu ostatniej półtorej doby spała sześć godzin, a pozostałe trzydzieści poświęciła na dochodzenie w sprawie zabójstwa adwokata Erikssona. Czas już doładować baterie i rezerwowy agregat przed kolejnym dniem, pomyślała. Niestety w tej samej chwili do pokoju weszła Nadja, by pokazać jej zapis przesłuchania Isabelli Norén i efekty własnej analizy połączeń telefonicznych.

– Możliwe, że o tym zapomniała w ogólnym zamieszaniu, jakie z pewnością powstało w kancelarii, kiedy dowiedzieli się, co się stało z Erikssonem – powiedziała Nadja i wzruszyła ramionami. – Wygląda jednak na to, że to z nią jako ostatnią rozmawiał przez komórkę. Nie wiemy przecież, kto zadzwonił na numer alarmowy. W końcu nic nie powiedział.

– Zgadzam się z tobą – Annika skinęła głową.

– Wydaje mi się, że mogli mieć romans – powiedziała Nadja Hogberg.

– Mnie też się tak wydaje – stwierdziła Annika Carlsson.

– Najlepiej będzie, jeśli od razu ją tu zaprosimy

i przesłuchamy.

Isabella Norén była jednak innego zdania. Przez telefon miała spokojny i opanowany głos, nie słyhać w nim było smutku ani tęsknoty, którym dała wyraz poprzedniego dnia.

Po pierwsze miała dużo pracy, zwłaszcza teraz, po tym, co się stało, i nie spodziewała się, by udało jej się wyrwać wcześniej niż za kilka godzin. Potem musiała coś zjeść i chwilę się przespać, dlatego też wolałaby się spotkać następnego dnia. Annika Carlsson postanowiła, że będzie cierpliwa, wyraziła zrozumienie, ale jednocześnie podkreśliła, że czas gra w tej sytuacji kluczową rolę. Chodzi o to, by jak najszybciej wyjaśnić sprawę zabójstwa ich szefa.

– Nie rozumiem, przecież już z wami rozmawiałam – zaprotestowała Isabella Norén. – Z jednym z waszych kolegów. Nazywał się chyba Ek. Johan Ek.

– Wiem – powiedziała Annika. – Jednak od tego czasu pojawiły się nowe okoliczności, o których chciałabym z panią porozmawiać.

– Nie chce mi chyba pani powiedzieć, że jestem podejrzana?

– Nie, w żadnym wypadku – zapewniła Annika. – Chciałabym przesłuchać panią w celu zebrania informacji, jestem pewna, że może nam pani pomóc. Sobie również – dodała. – Może o ósmej? Za cztery godziny u mnie w komendzie w Solnie? Da pani radę? Wiem, że to późno, ale mogę po panią wysłać kierowcę.

– Okej – powiedziała Isabella Norén. – Dziękuję, ale przyjadę swoim samochodem.

– W porządku – powiedziała Annika. – Proszę się zgłosić w recepcji, zjedź po panią.

Gdy skończyła rozmowę, wyłączyła komputer, wyszła z biura, pojechała do domu, już w progu zaczęła zdejmować ubrania i pięć minut później głęboko spała. Za pięć ósma wkroczyła do holu głównego komendy w Solnie. Trzy godziny snu, prysznic, czyste ubrania, czuła się jak nowo narodzona. Isabella Norén już na nią czekała. Zupełnie inna Isabella niż ta, którą widziała poprzedniego dnia. Chłodna, opanowana, starannie ubrana, całkiem inne spojrzenie. Ani śladu wczorajszych łez. Tylko

uśmiech i uważne spojrzenie.

Wie, o czym chcę z nią rozmawiać, pomyślała Annika Carlsson.

– Czytałam zapis z przesłuchania, które przeprowadził z panią mój kolega, ale chciałabym dla porządku zacząć od tego samego co on – powiedziała Annika.

– Chodzi pani o to, jak trafiłam do kancelarii? – zapytała Isabella Norén.

– Właśnie, w wielkim skrócie – powiedziała Annika z uśmiechem.

– Proszę bardzo – powiedziała Isabella i również się uśmiechnęła. – W wieku osiemnastu lat zdałam maturę w klasie o profilu ekonomicznym. Przez rok pracowałam jako *au pair* w Wielkiej Brytanii u przyjaciół moich rodziców i po powrocie przez rok chodziłam na kurs dla sekretarek, który później uzupełniłam o studia pozwalające pracować na posadzie asystentki adwokata. Zrobiłam też kilka kursów z ekonomii na uniwersytecie. Trzy lata temu dostałam pracę u Thomasa, co nie było trudne. Odpowiedziałam na ogłoszenie o pracę dla wykwalifikowanego asystenta w kancelarii. To wszystko.

– Co teraz pani planuje? – Annika się uśmiechnęła. Trzeba ją trochę zmiękczyć, pomyślała.

– Złożyłam papiery na wydział prawa na uniwersytecie. Jeśli się nie dostanę, będę dalej pracować w kancelarii. Pomimo tego, co się stało.

Annika pokiwała głową. Następnie wyciągnęła rękę i wyłączyła dyktafon.

– Będzie lepiej, jak go wyłączę – powiedziała. – Chciałabym panią zapytać o coś, co spokojnie może zostać między nami.

– Chyba domyślam się, o co chodzi – powiedziała Isabella Norén. – Chce się pani zapytać, od jak dawna spotykałam się z szefem?

– Tak, a ponieważ nie wydaje mi się, żeby była pani zamieszana w tę sprawę, wszystko zostanie w tym pokoju – powiedziała Annika i kiwnęła głową. Gdyby usłyszeli to Bäckström i reszta, dostaliby udaru, pomyślała.

– No dobrze – powiedziała Isabella i również skinęła głową.
I opowiedziała wszystko po kolei.

Thomas Eriksson spodobał jej się już na pierwszym spotkaniu. Energiczny, zabawny, żywiołowy, zaangażowany w sprawy i ludzi, którymi się zajmował. Do tego doskonały prawnik, bardzo doświadczony i zawsze przygotowany.

– Thomas w niczym nie przypominał tego gangstera, o którym piszą gazety. Nietrudno się było w nim zakochać, choć był ode mnie dwa razy starszy.

– Wasz pierwszy raz – powiedziała Annika i kiwnęła przyjaźnie głową.

– Chodzi pani o to, kiedy poszliśmy ze sobą do łóżka?

– Tak.

Do pierwszego razu doszło po roku. W pracy zbytnio się nie afiszowali i zachowywali całkowitą dyskrecję, choć zawsze, gdy tylko zostawali sami, czuli olbrzymie emocjonalne napięcie. Pierwszy raz to zresztą kwestia definicji, stwierdziła Isabella.

– Przygotowywałam materiał do procesu toczącego się przed Sądem Najwyższym. Pracowałam wówczas w kancelarii zaledwie od dwóch miesięcy. Pod względem dowodowym była to skomplikowana sprawa zabójstwa, w sądzie wojewódzkim klient został skazany na dożywocie. Wtedy też zmienił adwokata, na Thomasa, który złożył apelację i doprowadził do jego uwolnienia. Siedziałam w swoim pokoju, zajęta czytaniem dokumentów, gdy nagle wpadł Thomas, wymachując w powietrzu wyrokiem, który właśnie dostaliśmy. Cieszył się jak dziecko, które dostało wymarzoną grę pod choinkę. Najpierw mnie uściskał, a potem pocałował prosto w usta. Potem przytrzymał mnie na odległość ramion, poklepał po głowie i nazwał córeczką tatusia. Trudno było mu się oprzeć, kiedy był w tym nastroju. Dojrzały mężczyzna i jednocześnie wesoły chłopiec.

Nie przypomina to Bäckströma, pomyślała Annika Carlsson. Ani trochę.

– Bardzo dobrze to rozumiem – powiedziała Annika. – Ale pierwszy raz na serio. Kiedy to było?

– Pierwszy raz na serio – powtórzyła Isabella, pocierając

dłonią kącik oka. – To było rok później. Towarzyszyłam Thomasowi podczas procesu w Malmö. Miałam mu pomóc w noszeniu teczek, poza tym lubił towarzystwo. Teraz myślę jednak, że oboje czuliśmy, że coś się wydarzy. To wisiało w powietrzu, że tak powiem.

Proces przebiegł pomyślnie. Wieczorem zjedli kolację w świetnej restauracji. Sporo wypili, być może trochę za dużo, ale nie na tyle, żeby nie mieć sił na to, o czym oboje przez cały czas myśleli. Wrócili do hotelu i usiedli w barze na ostatni kieliszek.

– To ja przejęłam inicjatywę – powiedziała Isabella i skinęła automatycznie głową. – Spojrzałam na niego pytająco, o tak. Od razu wstał i poszliśmy na górę. Do mojego pokoju, jeśli chcesz wiedzieć.

– Jaki był? – zapytała Annika Carlsson. Ciekawe, co to ma wspólnego ze sprawą, pomyślała, zadając pytanie.

– Mój najlepszy pierwszy raz – powiedziała Isabella. – Choć miałam wtedy dwadzieścia dwa lata, a Thomas czterdzieści sześć.

– A potem? Co było potem?

Nie była to miłość na całe życie, zresztą wiedziała to od samego początku. Trudno to było nawet nazwać związkciem. Spotykali się potajemnie i była przekonana, że nie wiedział o tym żaden z jej kolegów. Żadne z nich nie chciało tego zmieniać. Zamierzali kontynuować swój romans, dopóki oboje będą mieli na to ochotę, ale ani o jeden dzień dłużej. W ciągu tych dwóch lat spotkali się może ze dwadzieścia razy, z tego samego powodu, co za pierwszym razem, i jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, z czasem widywali się coraz rzadziej. Ostatnio byli ze sobą ponad dwa miesiące przed jego śmiercią.

– To było bardzo ładne i trochę smutne – stwierdziła Isabella. – Nigdy się nie kłóciliśmy, a pod koniec częściej się przytulaliśmy niż... to drugie. Dobrze się czuliśmy w swoim towarzystwie. Nawet wtedy, kiedy wymykaliśmy się na piwo i przez godzinę szukaliśmy miejsca, w którym nie spotkamy nikogo znajomego. W końcu znało go sporo osób.

Ładne i trochę smutne, pomyślała Annika Carlsson.

Najwyższa pora przejść do rzeczy.

– Rozmawiała z nim pani w niedzielę po południu – stwierdziła Annika. – W niedzielę wieczorem zadzwoniła pani do niego z pracy, rozmawialiście. Była za dwadzieścia trzecia, rozmawialiście dziewięć minut. Czy może mi pani powiedzieć, czego dotyczyła wasza rozmowa?

– Pracy. Akurat przygotowywałam dla niego materiały do rozprawy sądowej na czwartek. No ale się na niej nie zjawi. Chciałam, żeby mi pomógł w kilku kwestiach. Czysto prawnicze zagadnienia. Nic więcej. Gdy odłożyłam słuchawkę, zadzwonił do mnie na komórkę i powiedział, że straszna ze mnie nudziara. Miał nadzieję, że dzwonię, żeby zaproponować mu randkę. Pierwszą tego lata.

– Co pani na to odpowiedziała?

– Że już jestem umówiona. Co zresztą było prawdą, bo wieczorem miałam pójść na kolację z koleżanką ze szkoły. Tyle że nie powiedziałam mu, że chodzi o koleżankę.

– I jak to przyjął?

– Nie był zazdrosny – powiedziała Isabella. – Thomas w ogóle nie był zazdrosny, zresztą nie wierzę, żeby spotykał się tylko ze mną. Powiedział, że mi wybaczają, bo sam jest już umówiony na wieczór.

– Nie wydawał się zaniepokojony? To znaczy przed tym wieczornym spotkaniem?

– Ani trochę – Isabella pokręciła zdecydowanie głową. – Głos miał taki jak zwykle. No może taki, jak po kilku kieliszkach wina do lunchu. Tu mogłabym jeszcze powiedzieć, że sporo pił. Nigdy nie przychodził pijany do pracy, ale lubił otworzyć butelkę na koniec dnia. Albo nawet dwie butelki.

– A to spotkanie, o którym wspomniał? Nie powiedział, z kim się spotyka?

– Nie. – Isabella zdecydowanie pokręciła głową. – Nie pytałam go o to.

– Nie wydawał się zaniepokojony?

– Nie. – Znowu zdecydowanie, przeczące ruchy głową. – Jego głos brzmiał tak jak zwykle.

Ładne i trochę smutne, jego głos brzmiał tak jak zwykle,

pomyślała Annika Carlsson. Potem znów włączyła dyktafon i przeszła do pytań najlepiej pasujących do kontekstu rozmowy. Czy wiedziała, żeby ktoś mu groził? Co o tym wszystkim sądziła?

– Miał wielu dosyć nieprzyjemnych klientów – stwierdziła Isabella. – Dawał sobie z nimi świetnie radę, jeśli chce pani wiedzieć, co myślę. Rozmawialiśmy o tym, a on zawsze dawał mi wskazówki. Takie, które mogą mi się przydać, gdy sama będę adwokatem. Mówił, że swoją pracę trzeba wykonywać dobrze, kierować się przede wszystkim dobrem klientów i że trzeba ich szanować, nie tracąc przy tym dystansu. Nigdy nie obiecywać im niczego, co z prawnego punktu widzenia nie jest możliwe. I wiele podobnych wskazówek.

– Działo?

– Tak, wydaje mi się, że wszyscy klienci bardzo go szanowali.

– A inni? Przeciwnicy, krewni ofiar w procesach, w których bronił sprawców?

– Dużo tego było – powiedziała Isabella. – Maile, telefony, zwykle listy. Część z nich była nawet zabawna. Niektóre czytał mi na głos, kiedy mieliśmy przerwę na kawę w pracy. Czy się bał? Nie, raczej go to bawiło. Thomas był szanowany, nie bał się. Nie mówił nic o strachu. Czy to właśnie podejrzewacie? Że zabił go ktoś taki?

– A co pani myśli? – odpowiedziała pytaniem Annika.

– Tak – powiedziała Isabella. – Kto inny mógłby to zrobić?

Skończyły po pół godzinie. Annika Carlsson odprowadziła Isabellę do wyjścia. Dała jej swoją wizytówkę i powiedziała, żeby dzwoniła. Gdyby coś jej się przypomniało, gdyby coś się stało lub gdyby zwyczajnie chciała porozmawiać.

– Dziękuję – powiedziała Isabella. – Jesteś bardzo miła.

– Umieć być twarda, jeśli trzeba – powiedziała Annika, uśmiechnęła się szeroko i poklepała ją po ramieniu. – Uważaj na siebie, Isabella. Zadzwonź do mnie, gdyby coś się działo. Gdyby coś ci się przypomniało albo gdybyś chciała o coś zapytać.

Ładne i trochę smutne, nie był ani trochę zazdrosny i kto inny mógłby to zrobić, pomyślała, gdy wróciła do swojego pokoju.

Zabójstwo adwokata Thomasa Erikssona było wiadomością numer jeden we wszystkich mediach już od ponad doby. W poniedziałek, po pierwszej naradzie zespołu dochodzeniowego, Anna Holt zdecydowała się uspokoić pierwszą falę pogłosek, organizując krótką konferencję prasową, podczas której zamierzała udzielić odpowiedzi przynajmniej na pięć pytań. Policja w Västerort rozpoczęła dochodzenie w sprawie zabójstwa, główny oskarżyciel Lisa Lamm została wyznaczona do prowadzenia postępowania przygotowawczego, a inspektor Evert Bäckström do kierowania śledztwem z ramienia policji. Podała również numer telefonu i adres mailowy, pod którym obywatele, członkowie społeczeństwa – tego wielkiego detektywa – mogli się dzielić swoimi spostrzeżeniami i zostawiać wiadomości, które pomogłyby policji w pracy. We wtorek o godzinie trzeciej po południu, po drugiej naradzie zespołu dochodzeniowego, również planowano zwołać konferencję prasową w komendzie w Solnie.

To tak, jakby chcieć zatrzymać tsunami gołymi rękoma, pomyślała Holt, gdy w końcu wyłączyła dzwoniący bez przerwy telefon.

Pięć minut po tym, jak Bäckström stawiał się w pracy we wtorek rano, do drzwi zapukała jego przełożona, komendant wojewódzka Anna Holt, z prośbą o krótką rozmowę.

– Oczywiście – powiedział Bäckström i pokazał głową na krzesło. Ktoś mi tu robi krecią robotę, pomyślał Bäckström, który dobrze wiedział, że ich gabinety dzieli przynajmniej trzy minuty drogi.

– Konferencja prasowa – oznajmiła Holt, jeszcze zanim usiadła. – Powinnam o czymś wiedzieć? O postępach w śledztwie, rzecz jasna.

– Nic poza tym, że chętnie zrezygnuję z udziału na rzecz kogoś, kto tego bardziej potrzebuje – odpowiedział Bäckström. – Może Annika? Prawdziwa z niej dyplomatka.

– Słusznie – zgodziła się Holt. – Właśnie chciałam poprosić Lisę, Annikę i naszą rzeczniczkę prasową, żeby się zajęły kwestiami praktycznymi. Chciałam cię tylko spytać, czy mam coś przekazać w twoim imieniu?

– Nie – zdziwił się Bäckström. – Tym sępom? Niby co?

– Nic się nie zmieniłeś, Bäckström. – Holt uśmiechnęła się pod nosem i skinęła do niego. – Prawdziwa ostoja w tych niepewnych czasach. Czy mogę zakładać, że zatrzymanie sprawy jest tylko kwestią czasu?

– Tak – powiedział Bäckström. – Nie widzę powodu, żeby miało być inaczej, ale na razie niech to zostanie między nami. – Pokiwał głową w zamyśleniu i splótł dłonie na kolanach, zawieszając wzrok na lampie pod sufitem swojego gabinetu. Kolejna, pomyślał. Z tą akurat było na tyle kiepsko, że nie trzeba było używać palców, by policzyć jej zębra. – Adwokat Eriksson uniknął ziemskiej sprawiedliwości, ale niebiańska go dosięgła – stwierdził Bäckström. – Prostemu śludze, jakim jestem, pozostają już tylko przyziemne kwestie techniczne – dodał i westchnął głęboko.

– Nie mogę się doczekać – powiedziała Holt, wstając. W najlepszym przypadku jest zwyczajnie szalony, pomyślała.

Wbrew pobożnym życzeniom Bäckströma konferencję prasową zorganizowano błyskawicznie. Zarezerwowano największą w komendzie salę konferencyjną, która i tak – w momencie gdy do środka weszła rzeczniczka policji w towarzystwie prowadzącej postępowanie przygotowawcze Lisy Lamm i zastępczyni prowadzącego śledztwo Anniki Carlsson – była przepełniona. Atmosfera była gęsta od pytań, które zawisły w powietrzu w oczekiwaniu na chwilę, gdy panie zasiądą u szczytu długiego stołu na końcu sali.

Rzeczniczka rozpoczęła od powitania wszystkich, wyjaśniła, że ona i jej koledzy będą odpowiadać na pytania po kolei, a następnie oddała głos prowadzącej postępowanie przygotowawcze prokurator Lisie Lamm. Lisa Lamm podziękowała i na początek od razu zastrzegła, że niestety nie ma nic nowego do przekazania.

Dochodzenie znajdowało się wciąż na wstępnym etapie.

Policja pracowała, szeroko analizując sytuację i biorąc pod uwagę różne możliwości, zabezpieczono ślady na miejscu zdarzenia, które zostały wysłane do CLK w Linköping do analizy. W jej opinii pierwsze podejrzenia wydawały się uzasadnione. W oparciu o wstępną opinię lekarza sądowego kwalifikacja sprawy została zmieniona z podejrzenia o zabójstwo na zabójstwo – niestety nie mogła podać więcej szczegółów. Nie w tej chwili, z uwagi na dobro śledztwa. Następnie skinęła do rzeczniczki prasowej, która rozpoczęła część przeznaczoną na zadawanie pytań.

Annika Carlsson nie odezwała się przez cały ten czas ani słowem. Siedziała pochylona, podpierając się łokciami o stół, z dłońmi splecionymi pod brodą. Z kamienną twarzą przyglądała się, mrużąc oczy, stłamszonym w sali przedstawicielom czwartej władzy. Być może właśnie dlatego jako pierwsza dostała pytanie od reportera z największego kanału informacyjnego w telewizji.

Na temat śmierci Erikssona krążyły różne, często sprzeczne informacje. Podobno został zastrzelony, pchnięty nożem, uduszony, pobity na śmierć, względnie padł ofiarą kombinacji tych działań. Jak mogła to skomentować?

– Eriksson zmarł wskutek bezpośredniego działania osoby trzeciej, nic więcej nie mogę powiedzieć – powiedziała Annika Carlsson, wbijając wzrok w pytającego.

– Kiedy dokładnie zmarł? – odezwał się głos z publiczności, i w tym momencie nastąpiło odgwizdanie początku meczu wolnoamerykanki.

– Gdy na miejsce przyjechał pierwszy patrol kwadrans po drugiej w nocy z niedzieli na poniedziałek, leżał martwy w swoim mieszkaniu. Zginął w czasie pomiędzy niedzielnym popołudniem a momentem, gdy znaleziono go martwego – stwierdziła Annika Carlsson. – Dokładnej godziny nie mogę jednak podać. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Czy policja podąża konkretnym tropem? – zapytał jeden z łącznie trzech dziennikarzy reprezentujących największą popołudniówkę.

– Nie – odpowiedziała Annika Carlsson. – Niczego nie

wykluczamy. Analizujemy bardzo różne możliwości.

– W sieci pojawia się wiele komentarzy sugerujących, że chodzi o gangsterskie porachunki. Zmarły wsławił się jako adwokat najgroźniejszych przestępców ze świata zorganizowanej przestępczości, więc najrozsądniejszym wyjaśnieniem wydaje się przypuszczenie, że zamordowała go konkurencja jego klientów.

– Bez komentarza – odpowiedziała Annika i pokręciła głową.

– Przyzna pani jednak – nie odpuszczał reporter – że wiele przemawia za tym, iż tak naprawdę chodzi o porachunki w świecie zorganizowanej przestępczości. Według źródeł w policji, cytowanych już przez media tradycyjne i internetowe, sprawa dotyczy kilku osób, które przyjechały na miejsce bardzo drogim srebrnym mercedesem, i adwokata, który, jak podają te same źródła w policji, zginął od kilku strzałów z pistoletu lub broni automatycznej. Charakterystyczne cechy tego rodzaju zabójstw. Czy mogłaby to pani skomentować?

– Nie. Nie interesują mnie spekulacje. Prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa.

Przez następne piętnaście minut na temat gangsterskich porachunków wypowiadała się Lisa Lamm, a Annika odchyliła się na krzesle i lodowatym wzrokiem wpatrywała się w zebranych. Adwokat zamordowany przez gangsterską konkurencję jego klientów? A może raczej przez klienta, który się na nim zawiódł? Lub przez kogoś, kto padł ofiarą kogoś z jego podłych klientów? Lub kogoś z rodziny ofiar? Bez komentarza, odpowiedziała Lisa Lamm któryś już raz z rzędu i zakończyła spotkanie.

Durnie, pomyślała Annika Carlsson, wstała szybko z krzesła i jako pierwsza wyszła z sali.

52

Po drugiej naradzie zespołu dochodzeniowego Bäckström czasowo przekazał ster Annice Carlsson. On sam musiał udać się na zaplanowane od dawna spotkanie w komendzie głównej, ale gdyby się paliło, zawsze mogli zadzwonić do niego na

komórkę, zresztą jutro i tak będzie w pracy, jak zwykle.

– No to do zobaczenia – powiedziała Annika Carlsson i skinęła z uśmiechem. Ciekawe, czy sam wierzy w to, co mówi, pomyślała, gdy zniknął za drzwiami.

Bäckström spędził popołudnie zgodnie z planem. Najpierw pojechał taksówką do miasta i wpadł do niepozornego baru na Kungsholmen. Co prawda znajdował się zaledwie kilka przecznic od siedziby głównej policji przy Kronobergsparken, ale i tak wystarczająco daleko, co można było stwierdzić po cenach, adresowanych do innej klienteli niż ta będąca na listach płac policji. Zjadł porządny lunch, zamówił koniak z kawą i czekał spokojnie, aż zadzwoni jego fińska kelnerka, gdy tylko skończy sprzątać jego mieszkanie na Inedalsgatan.

Bäckström był hojnym pracodawcą, przeznaczył pełen kwadrans pomiędzy lunchem a poobiednią drzemką na stosowne wynagrodzenie jej wysiłku. Gdy już znaleźli się w jego szerokim łóżku z Hästens, potrzebował zaledwie pięciu minut, żeby jego Białe Tornado z Finlandii wydało z siebie gromki okrzyk, a on odpalił swoje supersalami.

– *Vojne, vojne*, Bäckström – powiedziała Finka, spoglądając na niego zażawionymi oczami, na co mruknął tylko i skinął krótko głową, żeby w jej małej głowie nie zaczęły świecić jakieś dziwne pomysły i nie próbowała się do niego przytulać ani lizać go po twarzy.

Potem jak zawsze udała się do swojej regularnej pracy w barze, by zarobić na trochę powszedniego chleba dla siebie i swojego zapitego fińskiego nieudacznika, którego miała za męża.

Nareszcie sam, pomyślał Bäckström, kiedy pięć minut później usłyszał, jak opiekunka jego domu cicho zamknęła za sobą drzwi do mieszkania. Jeszcze dziesięć minut wzmacniającej drzemki, której tak bardzo potrzebował. Usadowił się wygodnie, napiął się kilka razy i porządnym pierdnięciem spuścił z brzucha ciśnienie po wyśmienitych gołąbkach w sosie śmietanowym z borówkami, które zjadł na lunch. Szaleją za tobą, pomyślał Bäckström i po minucie spał już głęboko.

Gdy obudził się po trzech godzinach, czuł się tak dobrze, jak na to zasługiwał, a jedynym, co mu pozostawało tego dnia do zrobienia, był zestaw rutynowych czynności. Odświeżający prysznic i z powrotem na siodło, a że zrobiła się już siódma, pomyślał, że zje późny obiad w swojej lokalnej knajpie i może poświęci z godzinę na zastanowienie się nad swoją aktualną sprawą, chociaż praktycznie rzecz biorąc, sprowadzała się ona do tego, że ktoś za pomocą ciężkiego przedmiotu splaszczyl głowę pewnemu adwokatowi, który w przeszłości aż nazbyt często zakłócał Bäckströmowi święty spokój.

Jakoś to będzie, pomyślał Bäckström, bo wszystkie dni miał tak poukładane, że nawet nie musiał o tym myśleć. Zresztą nie tylko dni. W zasadzie wszystko, czego się dotknął, już od jakiegoś czasu szło jak po maśle. Pomijając oczywiście kwestie czysto administracyjne, które rozwiązał zaraz po wyjściu spod prysznica, po czym włożył szlafrok i przyrządził odświeżającego drinka z trzech części wódki, jednej części soku grejpfrutowego i dużej ilości lodu.

Najpierw skontrolował efekty fińskich porządków, żeby sprawdzić, czy może znajdzie coś, o czym można byłoby pogawędzić podczas wieczornej wizyty w barze na małe co nieco. Kobieta bez skazy, pomyślał Bäckström pięć minut później. Przytulne mieszkanko całe jaśniało i połyskiwało, lista zakupów została zakreślona od początku do końca, lodówka i spiżarka były pełne jego ulubionych smakołyków. Był nawet sprowadzony na zamówienie papier toaletowy, który znalazł w sieci – bardzo gruby, miękki i zadrukowany podobiznami szwedzkich polityków.

Bilans wydatków też się zgadza, pomyślał Bäckström po sprawnej weryfikacji paragonów wetkniętych do staromodnego szklanego słoika, w którym trzymał pieniądze na codzienne domowe wydatki. Nie zapominajmy, że to Finka, pewnie jest zbyt pokrecona, żeby próbować coś kombinować, pomyślał Bäckström.

Last but not least. Wypolerowała nawet wielką połączoną klatkę, do której, jak miał nadzieję, Izaak już nigdy nie wróci, nastał więc najwyższy czas, żeby wystawić ją na sprzedaż

w internecie i w końcu zatrzeć wszelkie ślady po tym małym chuliganie. A zaczęło się tak obiecująco, że już nawet zaczął sądzić, iż znalazł towarzysza, który będzie mu równie bliski jak niegdyś jego ukochana złota rybka.

Nie ma na co czekać, pomyślał Bäckström, włączył komputer i wrzucił ostatnie mieszkanie Izaaka na internetową aukcję. Za długo już stała przy oknie w jego salonie, niczym wyrzut sumienia, i zawsze gdy na nią patrzył, przypominała mu o jednym z najbardziej traumatycznych przeżyć w jego dorosłym życiu. Dużo straszniejszym niż pojedynek na śmierć i życie z dwoma najgorszymi bandziorami w historii szwedzkiej przestępczości.

Mam tę przeklętą klatkę z głowy, pomyślał Bäckström i na wszelki wypadek zaznaczył jeszcze okienko „okazja” przy swoim ogłoszeniu, zanim wyłączył komputer i pograżył się w ponurych rozmyśleniach. A zaczęło się tak obiecująco, pomyślał i pociągnął głęboki łyk z kieliszka.

W pierwszym okresie tresury Izaak był nawet nieco bardziej skory do współpracy, niż zapewniała sprzedawczyni ze sklepu zoologicznego. Co więcej, dysponował imponującą skalą głosu, rechoczącym i zarazem szorstkim tembrem, tnącym ciszę niczym nóż, tak że nawet głuchy mógłby go usłyszeć. Już po tygodniu nauczył się mówić „Bäckström” i „superglina”, nadszedł więc czas na poważniejsze zadania.

Ponieważ Bäckström dysponował ewidentnym talentem pedagogicznym, niezbędnym w kierowaniu pracami policji, zaczął łagodnie, na początek wybierając najprostsze słowa takie jak „ciota” i „lesba”, a dopiero potem przeszedł do „parówiarz”, „pizda”, „analny akrobata” i „rura”. Niestety cała para poszła w gwizdek, bo Izaakowi wszystko się pomieszało. A kulminacja problemów nastąpiła akurat w momencie, gdy Annika Carlsson postanowiła złożyć Bäckströmowi niezapowiedzianą wizytę. Najzwyczajniej w świecie zadzwoniła do drzwi wejściowych, a on – myśląc, że to kolejny akwizytor – był na tyle nieostrożny, że jej otworzył.

– *Surprise, surprise*, Bäckström – powiedziała Annika Carlsson i uśmiechnęła się, mrużąc oczy do niezbyt

zadowolonego gospodarza. – Może napijemy się piwka?

Bäckström kiwnął w odpowiedzi głową, bo nie zamierzał zamykać jej drzwi przed nosem, gdyż w najgorszym wypadku mógłby się po tym znaleźć na oddziale intensywnej terapii bez szans nawet na jakąkolwiek transplantację narządów na rzecz tych, którzy przynajmniej mieli nadzieję na przeżycie.

– Cieszę się, że cię widzę, Annika – powiedział, siłąc się na uśmiech. Jaki mam, kurwa, wybór, pomyślał i wpuścił ją do środka.

Potem wyszedł do kuchni, żeby przynieść szklanki, kilka butelek zimnego czeskiego piwa i litr swojej ulubionej rosyjskiej wódki, tak na wszelki wypadek, a kiedy wszedł do salonu, Annika włożyła już rękę do klatki, żeby podrapać Izaaka pod główką.

Może nie będzie tak źle, pomyślał Bäckström, który sam o mało co nie stracił palca, kiedy próbował zrobić to samo. Tym razem jednak było inaczej. Izaak pogruchał zadowolony i przekrzywił główkę.

– Jaki słodki – powiedziała. – Jak się nazywa?

– Izaak – powiedział Bäckström, nie wdając się w szczegółowe wyjaśnienia, bo wszyscy, którzy mieli oczy z przodu głowy, musieli wiedzieć, o co chodzi.

– Śliczne imię. Jak na nie wpadłeś?

– Mój kolega ze szkoły miał tak na imię – skłamał Bäckström. Annika nie jest przecież głupia, pomyślał. Chyba musi być ślepa.

– To taka, co umie mówić, prawda? – zapytała, siadając obok niego na kanapie, stanowczo za blisko, a następnie wyciągnęła swoje umięśnione, opalone prawe ramię i chwyciła butelkę piwa.

– No tak, gada, co mu ślina na język przyniesie – przyznał Bäckström, starając się możliwie dyskretnie odsunąć w przeciwną stronę narożnik kanapy. Ciekawe, czy się obrazi, jeśli usiądę w fotelu, pomyślał.

– No to każ mu coś powiedzieć – poprosiła Annika.

– Dobra – powiedział Bäckström. – Mądra papużka, mądra papużka – powiedział, mając w pamięci słowa ekspedientki, że

wytresowana papuga potrzebuje kilku słów wstępu, żeby mówić właściwe rzeczy we właściwej kolejności, a nie tylko gadać bez ładu i składu.

Najpierw „mądra papużka, mądra papużka”, potem „Bäckström”, na co Izaak miał odpowiedzieć „Bäckström superglina”, co w ciągu ostatniego tygodnia zawsze mu się udawało. Ale nie tym razem. Nagle jakby się zaciął. Przekrzywił główkę i zabrał się do obierania orzeszka ziemnego, który najwyraźniej znalazł wśród resztek na podłodze.

– Może się wstydzi. Chyba interesuje go wyłącznie jedzenie, jaki pan, taki kram – stwierdziła Annika Carlsson, wzięła duży łyk piwa, ścisnęła Bäckströma za kolano swoją wolną lewą ręką i spojrzała na niego, a jej oczy zwęziły się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy przekroczyła próg jego mieszkania, które aż do tej chwili było jego twierdzą.

I co teraz? Aż tak trudno powiedzieć „Bäckström superglina”? – pomyślał Bäckström i w tej samej chwili Izaak wreszcie przemówił.

– Bäckström ciota, Bäckström ciota – zarechotał Izaak, a Annika spojrzała na niego wymownie.

– No proszę – powiedziała, odstawiła kufel i usiadła okrakiem na Bäckströmie, jednym ruchem zdejmując przez głowę swoją czarną koszulkę.

– Krzywodziób kłamie – zaprotestował Bäckström, choć było już za późno, bo Carlsson niemal powyrywała guziki z jego drogiej lnianej koszuli.

– No to masz okazję to udowodnić – stwierdziła, zmieniając uchwyt i wyciągając przyrodzenie z jego spodni.

Powinienem był spróbować zamknąć jej drzwi przed nosem, pomyślał Bäckström, gdy miesiąc później, siedząc na tej samej kanapie, musiał się pokrząć zawartością kieliszka, by gwałtowne wspomnienia nie powaliły go na ziemię. Groźna kobieta, prawdziwa kryminalistka, zupełnie bez zahamowań, a biorąc pod uwagę to, co potem się stało, miesiąc na oddziale intensywnej terapii byłby jak wakacje pod palmą, pomyślał.

Przemoc seksualna najgrubszego kalibru, pomyślał Bäckström, stojąc w łazience i myjąc zęby miesiąc i kilka

godzin później. Paskudny występ, którego wspomnienie wciąż dawało się zagłuszyć jedynie łykiem wzmacniającego trunku i po którym rana goiła się bardzo powoli. Co więcej, musiała go zaplanować z góry, a w każdym razie wiele na to wskazywało. Kajdanki na przykład musiała przynieść ze sobą, i gdyby istniała jakaś sprawiedliwość na tym świecie, koleżanka Annika Carlsson dzieliłaby już celę z byłym rektorem Wyższej Szkoły Policyjnej na oddziale dla przestępców seksualnych w więzieniu Norrtälje.

Co by szkodziło pieprzyć się zwyczajnie, po ludzku, westchnął Bäckström, gdy po ciężkim dniu zajął dogodną pozycję na przyjęcie Piaskowego Dziadka, by wreszcie odzyskać chociaż namiastkę świętego spokoju.

53

Siedzenie przed ekranem komputera i przeczące kręcenie głową na wszystkie zdjęcia, które pokazywała mu policja, było proste, ale w środę rano Ara Dosti zrozumiał powagę sytuacji. Przed południem spędził trzy godziny w towarzystwie wyjątkowo sympatycznego komisarza kryminalnego Eka, pomagając w opracowaniu portretu pamięciowego mężczyzny, którego szukała policja, i tak się przy tym rozpędził, że zapomniał o podstawowych środkach ostrożności i zamiast mieć się na baczności, postanowił sprawdzić, na ile potrafi odtworzyć obraz z pamięci.

Kiedy jeszcze chodził do szkoły w Smalandii, najbardziej interesowały go zajęcia artystyczne, był najlepszy w klasie z rysunku, a kiedy pod koniec liceum przeprowadził się do Sztokholmu, przez chwilę nawet zastanawiał się, czy nie potraktować tego poważnie i nie zdawać na Akademię Sztuk Pięknych. Trafił jednak do firmy informatycznej i kurierskiej jako pomocnik w niepełnym wymiarze godzin i po dziesięciu latach pracy ciągle zarabiał w ten sposób na życie. Praca w niepełnym wymiarze, czasem jakieś zlecenia na boku, a od pięciu lat dorabiał jako taksówkarz. Tak mijał dzień za dniem, płynęły kolejne miesiące i lata, a jego artystyczne plany od

dawna leżały na półce. Odżyły tego popołudnia, kiedy trafił pod skrzydła niezmiernie uprzejmego policjanta, wirtuoza w dziedzinie opracowywania portretów pamięciowych.

Siedzieli obok siebie przed ekranem komputera, a Ek z pomocą opisu Ary, ołówka i zwykłej kartki papieru zrobił syntetyczny szkic twarzy osoby, którą widział Ara. Następnie włączył komputer i wspólnie poukładali wszystkie elementy na właściwych miejscach. Kształt twarzy, uszu, nosa, oczu i ust. Odległość między poszczególnymi częściami twarzy, od linii włosów po brodę i szyję. Kiedy skończyli po dwóch godzinach, portret pamięciowy był niemal identyczny ze zdjęciem, na którego widok poprzedniego dnia pokręcił tylko głową.

– To on – powiedział Ara. Ciekawe, co taki artysta robi w policji, pomyślał.

– W skali od jednego do dziesięciu, gdzie dziesięć oznacza całkowite podobieństwo, ile byś dał, patrząc na ten rysunek? – zapytał Ek.

– Dziesięć – odpowiedział z przekonaniem Ara. – To mogłoby być jego zdjęcie paszportowe.

– Dziesięć – powtórzył Ek. Z wyraźnym uśmiechem, lecz może z mniejszym przekonaniem.

– No dobra – powiedział Ara. – Powiedzmy, że dziewięć, na wszelki wypadek. To był podły typ, nie wyglądał miło. Trochę trudno odtworzyć ten wyraz twarzy. Zresztą nie chodzi tak na co dzień po ulicy.

– Mam nadzieję – powiedział Ek z uśmiechem. – Mówiłeś chyba, że był wysoki? Metr dziewięćdziesiąt, prawda? Ty masz na oko jakieś metr siedemdziesiąt dwa – stwierdził Ek.

– Tak – powiedział Ara, z trudem kryjąc zdziwienie. – Skąd wiesz?

– Ja mam metr siedemdziesiąt pięć – powiedział Ek i znów się uśmiechnął. – Poza tym, jeśli mam być szczery, sprawdziłem twoje dane w naszej bazie paszportów.

– Tak, rzeczywiście pomyślałem, że jest ode mnie dużo wyższy – powiedział Ara.

Następnie Ek przeprosił na chwilę, potrzebował kwadransa, żeby jeszcze raz przejrzeć rejestr kartoteki. Gdy wrócił po

czternastu minutach, miał ze sobą kilka zdjęć tego samego mężczyzny, na którego widok Ara pokręcił głową. Nie tylko zwykłe zdjęcie paszportowe, ale również zdjęcia, które musiały zostać zrobione, kiedy go obserwowali. Kiedy wysiada z samochodu, wchodzi do klatki, a nawet kilka, kiedy ćwiczy na siłowni.

– Tak – powiedział Ara. – To rzeczywiście może być on. Chyba nawet go rozpoznałem. Musiałem go wczoraj nie zauważyć. – I co teraz, kurwa, pomyślał. Jeśli glinom przyjdzie do głowy, żeby pokazać go w telewizji, nie dostanę nawet korony od tego dziennikarza.

– To się czasem zdarza – powiedział Ek i poklepał go po ramieniu. – Wierz mi, nawet dosyć często. Czasem potrzeba chwili, żeby sobie przypomnieć – dodał, ponieważ nie chciał dać po sobie poznać, że podejrzewa, jak było naprawdę. – Na ile jesteś pewien? Jeśli użyjemy tej samej skali od jednego do dziesięciu, gdzie dziesięć oznacza, że jesteś całkowicie pewien – dodał.

– Nie wiem – powiedział Ara i wzruszył niepewnie ramionami. – Może siedem, albo nawet sześć.

– Może siedem, albo nawet sześć – powtórzył Ek. – Chociaż za rysunek, który razem opracowaliśmy, dałbyś dziewięć, albo nawet dziesięć.

– No tak – powiedział Ara. – Rozumiem, o co panu chodzi, ale problem w tym, że wielu z nich wygląda podobnie, że tak powiem. Wszystko nagle się komplikuje, kiedy trzeba wskazać kogoś z nich. Poza tym ten koleś wydaje się całkiem fajny. Mam pytanie. Kto to jest?

– Niestety nie mogę powiedzieć – odparł Ek. – Ale zgadzam się z tobą. To nie jest miły człowiek, dlatego lepiej, żeby wszystko zostało między nami – dodał i pokiwał głową. Po raz pierwszy bez śladu uśmiechu na twarzy.

– Spoko – powiedział Ara, choć nagle poczuł, że wcale nie jest spokojny.

– Gdyby coś cię zaniepokoiło, zadzwoń pod numer, który dała ci moja koleżanka – powiedział Ek i spojrzał na niego z powagą.

– Spoko – powiedział Ara i uśmiechnął się. – Nie będę się wychylać, obiecuję.

Co ty wyprawiasz, pomyślał Ara Dosti, gdy kwadrans później opuszczał komendę policji. Przez ostatnie trzy doby pracował niemal bez przerwy na rzecz policji, za co na otarcie łez dostał dwa banknoty po pięćset koron, a na dokładkę jakiegoś szaleńca, który zabiłby go bez wahania przy pierwszej lepszej okazji. Czas stąd spadać, pomyślał. Do Dubaju albo Tajlandii lub w jakieś inne miejsce, gdzie będzie mógł spokojnie zaczekać, aż wszystko się uspokoi.

Następnie zadzwonił do reportera z popołudniówki. Zapropował, żeby spotkali się jak najszybciej w tym samym miejscu, w którym spotkali się dwa dni temu. Powiedział też, żeby wziął zdjęcia, które pokazał mu, kiedy przyszedł do niego do mieszkania.

– Wiem, kto to jest – powiedział Ara. – Jestem pewien.

– Doskonale – odpowiedział reporter. – Daj mi kwadrans, widzimy się na miejscu.

– Jeszcze jedno – powiedział Ara. – Chcę pięćdziesiąt tysięcy. Bez negocjacji. W gotówce, w pięćsetkach.

– W takim razie potrzebuję co najmniej dwóch godzin – powiedział reporter. – Może mógłbym wypisać ci czek? Jest tak samo bezpieczny jak gotówka. Poza tym muszę sprawdzić tę historię. Wskażesz go i dostaniesz połowę kasy. Potem to sprawdzę, a kiedy się upewnię, że wszystko gra, dostaniesz drugą połowę.

– Gotówka – powtórzył Ara. – Za dwie godziny. Pół teraz, pół potem – zgoda, ale w gotówce.

– Obiecuję – odpowiedział reporter.

O dłuższych kursach nie było teraz mowy. Nie kiedy miał zaplanowane spotkanie. Wyłączył taksometr i pojechał coś zjeść tam, gdzie zawsze. Czuł, jak całe jego ciało ogarnia niepokój, przez co na umówionym miejscu spotkania na Söder był już pół godziny przed czasem. Siedział w samochodzie, bijąc się z myślami. Żadna z nich nie była zbyt przekonująca i przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie machnąć na wszystko ręką i nie odjechać.

Weź się w garść, pomyślał Ara. Za dzień lub dwa będziesz siedział na plaży po drugiej stronie kuli ziemskiej i gapił się na laski. Raczej Tajlandia, pomyślał. Więcej dziewczyn, lepsze plaże. Słabsza kontrola wobec takich jak on, którzy szukają spokojnego miejsca na przeczekanie, aż wszystko wróci do normy i znów będzie można żyć jak dawniej.

54

W środę piątego czerwca o godzinie dwunastej w południe odbyła się trzecia narada zespołu dochodzeniowego i Bäckström poczuł, że wreszcie zaczyna panować nad sytuacją. Pora zrzucić z siebie część nadludzko ciężkich obowiązków i wrócić do normalności.

Obchód okolicy dobiegł końca. Poszedł lepiej niż zwykle i dał efekt w postaci jednego podejrzanego pojazdu i dwóch lub nawet trzech osób, co do których istniały uzasadnione podejrzenia, że mogły mieć coś wspólnego z zabójstwem. Weryfikowalne informacje, które dawały nadzieję, że uda im się znaleźć zarówno samochód, jak i osoby, których szukali.

Telefon zaufania dla anonimowych informatorów również zdawał się spełniać swoje zadanie, a początkowy zalew wiadomości zmalał do normalnego, mierzalnego potoku komunikatów, które można było rejestrować na bieżąco, bez konieczności odciągania ludzi od bardziej pożytecznych działań. Systematyzowanie, sortowanie i rejestracja napływających informacji były dużo łatwiejsze niż zwykle. Znaczna większość wiadomości dotyczyła bliskich kontaktów Erikssona z przestępczością zorganizowaną, dzięki czemu opracowano listę około stu przestępców, których – zgodnie z relacjami dwukrotnie większej liczby informatorów – łączyło to, że wszyscy wyprawili Erikssona na tamten świat. Poza tym było jak zwykle. Życzliwe sugestie, aby zwrócić uwagę na to i na tamto, do tego masa absurdalnych porad od zwykłych wrózek i wróżbitów.

Sprawnie toczyła się również praca dochodzeniowa na pozostałych polach, zarówno charakterystyka ofiary i jej

najbliższego otoczenia, bieżąca analiza pospolitych przestępstw, jak i kontrola połączeń telefonicznych w czasie poprzedzającym morderstwo. Pozostałe czynności miały zająć więcej czasu. Lekarz sądowy odezwał się znów, żeby przekazać, że potrzebuje jeszcze kilku dni na uzyskanie dodatkowej opinii swojego kolegi, światowego specjalisty w zakresie skomplikowanych uszkodzeń ciała powstających wskutek silnych uderzeń tępym przedmiotem. Pocieszeniem mogło być to, że nie widział powodu, żeby „na dzień dzisiejszy zmieniać swoją wstępną opinię”.

W CLK było jak zawsze. Wysłali blisko sto różnych śladów do analizy. Odpowiedź miała przyjść najpóźniej za miesiąc, jednak na temat tych, które uznano za najważniejsze, laboratorium miało się wypowiedzieć już na początku przyszłego tygodnia. Przeszukanie mieszkania ofiary również się przeciągało – jak twierdził Niemi, potrzebowali czasu jeszcze przynajmniej do weekendu, zanim będą mogli przekazać miejsce zdarzenia koledze Erikssona, adwokatowi Danielssonowi, który, jak wynikało z testamentu, miał się zająć jego spuścizną.

Niezależnie od wszystkiego Bäckström był zadowolony. Sprawa się toczy, pomyślał, najważniejsze były teraz odpowiednie jedzenie, picie i wypoczynek, by dobrze się przygotować na gwałtowne pojawienie się rozwiązania całej sprawy.

– Okej – powiedział Bäckström i dla lepszego efektu przekartkował stos leżących przed nim kartek. – Jak ci idzie ze srebrnym mercedesem, Nadja?

Zdaniem Nadji wszystko szło zgodnie z planem. Po dwóch dniach ona i jej ludzie mogli już ograniczyć do połowy wyjściową liczbę około czterystu pojazdów, chociaż działali bardzo ostrożnie.

– W przypadku najmniejszych wątpliwości odkładamy temat na później, gdy będziemy się nim mogli zająć dokładniej. Na razie dokonaliśmy bardzo ogólnej weryfikacji, więc daj nam jeszcze tydzień – powiedziała Nadja. – Choć przy odrobinie szczęścia skończymy za kilka godzin – dodała, rozkładając dłonie w wymownym geście.

– W porządku – powiedział Bäckström, bo nie miał zamiaru wchodzić w szczegóły, zwłaszcza jeśli chodziło o zakres obowiązków Nadji. – A jak wam idzie z tym kolesiem, którego o mało co nie skosił nasz taksówkarz? – dodał i skinął głową na Eka.

– Sporządziliśmy razem portret pamięciowy – powiedział Ek. – Jeśli jesteście ciekawi, dlaczego jeszcze go nie widzieliście, to powiem od razu, że mam co do niego pewne wątpliwości. Nasz świadek daje mu co prawda szóstkę albo siódmkę w skali od jednego do dziesięciu, a w dodatku portret dosyć dokładnie przypomina jedną z osób, których zdjęciami dysponujemy. Niestety właśnie tu pojawia się problem.

– Co znaczy „problem”? – Nie cierpię problemów, pomyślał Bäckström.

– Cóż, człowiek, do którego najlepiej pasuje ten portret pamięciowy, nie może być tym, którego szukamy – stwierdził Ek. – Ma alibi na czas, kiedy Eriksson został zamordowany. Mimo to gdybyśmy opublikowali portret pamięciowy, jestem pewien, że większość informatorów wskazałaby właśnie tę osobę. Jeśli dobrze zrozumiałem, moment popełnienia zabójstwa mamy ustalony.

– Alibi – parsknął Bäckström. – Zawsze je mają. Rozmawiałeś z nim?

– Nie, skąd – powiedział Ek, wyraźnie wystraszony. – Rozmawiałem z kolegami z wywiadu kryminalnego, oczywiście w największym zaufaniu, i z naszymi kolegami w Sztokholmie, którzy pracują nad projektem Nova gromadzącym informacje o najgroźniejszych przestępstwach. Wygląda na to, że komenda wojewódzka obserwuje jego i jego kumpli już od jakiegoś czasu.

– Chcesz powiedzieć, że alibi dają mu koledzy z komendy wojewódzkiej?

– Dwóch z nich – powiedział Ek z łagodnym uśmiechem. – I jeszcze jakieś kilka tysięcy osób. Być może nie są to przeciętni obywatele, ale jest ich przynajmniej kilka tysięcy.

– Kilka tysięcy? Brał udział w jakimś programie kulturalnym nadawanym na żywo?

– Wręcz przeciwnie – powiedział Ek z tym samym łagodnym uśmiechem. – Brał udział w turnieju sportów walki w Globen. O godzinie dziesiątej wyszedł na ring i w ciągu najbliższych dziesięciu minut był zajęty miażdżeniem swojego przeciwnika. Gdy publiczność nagrodziła go już brawami, wrócił do szatni na zmianę bandaży – było to około dziesiątej trzydzieści. Dlatego wydaje mi się, że powinniśmy poczekać z opublikowaniem naszego portretu pamiątkowego.

– Słyszę, co mówisz – westchnął Bäckström, któremu wystarczyło krótkie spojrzenie po zebranych, by zliczyć wszystkie potakujące głowy. – Okej, czy ktoś z was ma jakąś dobrą odpowiedź na moje wcześniejsze pytanie? Jak to możliwe, że najpierw ktoś zabija pana adwokata Erikssona około dziewiątej czterdzieści pięć wieczorem, a jakieś cztery godziny później wyżywa się nad jego zwłokami i podrzyna gardło jego psu? – Tym razem znacznie mniej przytakujących, pomyślał Bäckström. – Okej – dodał. – W takim razie proponuję, żebyśmy trochę pofantazjowali. Powiedzcie mi, co takiego wydarzyło się tego wieczoru, kiedy adwokat Eriksson pożegnał się z ziemskim padołem. Co powiesz, Peter? – zapytał Bäckström i pokazał na Niemiego, żeby uprzedzić Alma i Andersson-Trygg, i wszystkich innych upośledzonych umysłowo biorących udział w śledztwie.

– Puścić wodze wyobraźni wokół tamtych wydarzeń – odpowiedział Peter Niemi z łagodnym uśmiechem. – Dla mnie bajka.

– Skoro tak – powiedział Bäckström zachęcająco. – Opowiedz nam.

– Około dziewiątej wieczorem odwiedza go co najmniej dwóch znajomych. Są umówieni, a zważywszy na czas i miejsce spotkania, myślę, że goście są dla ofiary ważnymi osobami. Nie podejrzewam, żeby Eriksson był z tych, co wpuszczają do mieszkania każdego w niedzielę wieczorem. To osoby, do których ma zaufanie i które są dla niego ważne.

– Całkowicie się z tobą zgadzam, Peter – zachęcił go Bäckström, który w oczekiwaniu na porządny lunch postanowił wysłuchać Niemiego dla zaostrenia apetytu.

– Potem coś się dzieje. Po jakiejś pół godzinie sprawy wymykają się spod kontroli. Nie wydaje mi się, żeby to było z góry zaplanowane, choć oczywiście nie podoba mi się, że nie znaleźliśmy tego tępego przedmiotu. Zwyczajnie zniknął bez śladu. Eriksson próbuje zadzwonić po pomoc, wyjmuje swój rewolwer i oddaje przynajmniej jeden strzał w stronę jednego ze swoich gości siedzącego na kanapie kilka metrów dalej. Wydaje mi się, że strzał w sufit pada w momencie, gdy gość numer dwa zabiera mu broń. To wtedy Eriksson zostaje zabity. W jakiej dokładnie kolejności dochodzi do wykonania połączenia telefonicznego, strzelaniny i uderzenia tępym przedmiotem, tego jeszcze nie wiem, ale mówimy tu o kilku minutach w okolicach dziewiątej czterdzieści pięć. Połączenie z numerem alarmowym przychodzi za dwadzieścia dziesiąta.

– Jest tu pewien haczyk – wtrąciła Annika Carlsson. – Po pierwsze świadek, która widziała, jak jakiś osilek wkłada kartony do bagażnika srebrnego mercedesa, po drugie inny świadek, który widzi starszego mężczyznę siedzącego na schodach prowadzących do domu Erikssona. Według nich dzieje się to piętnaście minut wcześniej, czyli około wpół do dziesiątej wieczorem. Nie podoba mi się to.

– Mnie też nie – przyznał Niemi. – Rozumiem, co masz na myśli. Najpierw kłótnia, ginie Eriksson, potem zbierają swoje rzeczy i opuszczają miejsce zdarzenia. To by była naturalna kolejność, jeśli można tak powiedzieć.

– Najprostsze wytłumaczenie byłoby oczywiście takie, że nasi świadkowie pomylili się co do godziny – wtrącił Stigson. – Przecież to się zdarza. Kiedy mówią „wpół do dziesiątej”, może to równie dobrze oznaczać „za piętnaście dziesiąta”. Atmosfera się zagęszcza, gdy goście zabierają swoje rzeczy i kierują się do wyjścia. Zaczynają się kłócić, Eriksson wyjmuje rewolwer i próbuje zadzwonić po pomoc, ale zostaje zabity, a sprawcy zabierają ze sobą to, po co przyjechali, i odjeżdżają. To chyba brzmi logicznie?

– Brzmi logicznie – przyznał Niemi. – Pomysł, żeby ktoś z jego gości miał zostać w domu, w czasie gdy pozostali dwaj albo trzej odjeżdżają, wydaje się ryzykowny i naciągany. To

właśnie wtedy, tuż przed dziesiątą, pies Erikssona dostaje szalu po raz pierwszy, i jak twierdzą świadkowie, uspokaja się dopiero po dłuższej chwili. Nie znaleźliśmy też żadnych śladów wskazujących na to, że ktoś przebywał w domu aż do godziny drugiej w nocy. Nic nie świadczy o tym, by dom został przeszukany, został nawet milion koron w gotówce, chociaż wystarczyło wyciągnąć kilka szuflad, żeby znaleźć kopertę z pieniędzmi.

– A pies Erikssona, który szczeka na tarasie? – dopytywała Felicia Pettersson. – I co z tymi strzałami? Czy ktoś przechodzący koło domu mógł je usłyszeć?

– Nie – powiedział Peter Niemi. – Sprawdziliśmy to z Hernandezem, strzeliliśmy na próbę. To kaliber dwadzieścia dwa, nie robi wielkiego hałasu. W gabinecie Erikssona na pierwszym piętrze nie ma okien wychodzących na ulicę, więc żadne odgłosy stamtąd nie dochodzą.

– A co potem? To przecież bardzo dziwne – stwierdziła Annika Carlsson. – Dlaczego mieliby ryzykować, wracając na miejsce zbrodni po czterech godzinach? I w dodatku znęcać się nad kimś, kto już nie żyje, i poderżnąć gardło psu szczekającemu na tarasie. Dla mnie to samobójczy pomysł.

– Może czegoś zapomnieli – odezwał się Hernandez. – Czegoś, co było na tyle ważne, że warto było zaryzykować i wrócić. A gdy drugie podejście mimo wszystko nie przyniosło efektu, on lub oni wpadli w szal i skatowali psa i jego martwego pana. Co o tym myślicie?

Niektórzy nieśmiało pokiwali głową, kilkoro wydało z siebie niepewne pomruki, a Rosita Andersson-Trygg podniosła rękę.

– Tak, Rosita – powiedział Bäckström. – Proszę cię bardzo.

– Moim zdaniem nie powinniśmy się za bardzo przywiązywać do tego punktu czasowego – zaczęła Andersson-Trygg. – Ludzie, którzy dręczą zwierzęta, potrafią być naprawdę irracjonalni, kierują się impulsem i zupełnie innymi motywami niż zwykłe jednostki. Jeśli chcesz znać moje zdanie, Bäckström, równie dobrze może być tak, że nasz sprawca od początku chciał zabić psa Erikssona, jednak w związku z zamieszaniem towarzyszącym morderstwu jego pana nie zdążył tego zrobić.

Opuścił miejsce zdarzenia, odczekał gdzieś w pobliżu i kiedy sytuacja się uspokoiła, wrócił, żeby dokończyć to, co zamierzał zrobić od samego początku. Zabić niewinne zwierzę.

Ta baba jest mistrzynią, nawet jak na standardy szwedzkiej policji, pomyślał Bäckström. Nawet Alm nie wymyśliłby czegoś takiego.

– Ciekawe – Bäckström pokiwał głową. – Musimy się nad tym wszystkim zastanowić. Przyjmujcie szeroką perspektywę i myślcie elastycznie. Widzimy się jutro, o tej samej godzinie w tym samym miejscu. – Po wystąpieniu tej Andersson-Trygg zaczyna mnie ssać w żołądku, pomyślał. Czas już na porządną lunch i wzmacniającą drzemkę.

55

Reporter z największej popołudniówki okazał się wyjątkowo słowny. Przyjechał na miejsce punktualnie co do minuty, zaparkował przed taksówką Ary, usiadł obok niego na miejscu pasażera i rozpoczął negocjacje od wyjęcia zwoju banknotów pięćsetkoronowych.

– Mam tu kasę – powiedział i pokazał pieniądze Arze, po czym schował plik banknotów do wewnętrznej kieszeni. – Tutaj mam zdjęcia, które widziałeś ostatnim razem – dodał i podał Arze koszulkę foliową ze zdjęciami.

– Okej – powiedział Ara. Wziął je do ręki i szybko znalazł zdjęcie mężczyzny, którego widział. – To ten – powiedział i położył palec wskazujący na jego czole.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. To on. Możesz być spokojny.

– Czegoś tu nie rozumiem – dopytywał reporter. – Dlaczego nie powiedziałeś tego, kiedy widzieliśmy się ostatnio?

– Nie było warunków do prowadzenia interesów – powiedział Ara i pokręcił głową. – Nie ten czas, nie to miejsce, poza tym nie miałeś ze sobą gotówki. Zwyczajnie nie miałem ochoty. Sprawdźcie koleś z tego zdjęcia, to zrozumiesz, o co mi chodzi.

– I nie gadałeś z nikim innym od tego czasu? – zapytał

reporter.

– Nie – odpowiedział Ara. – Pomyślałem, że dam ci jeszcze jedną szansę. Poza tym to nie w moim stylu.

– No, ale z policją na pewno gadałeś – nie odpuszczał reporter. – Wydaje mi się, że wspominałeś coś o tym ostatnim razem. Na pewno pokazywali ci zdjęcie tego koleśia.

– Fakt – odparł Ara. – Widziałem kilka jego zdjęć. Byłem u nich cztery razy, jeśli chcesz wiedzieć. Równie dobrze mogłem się przeprowadzić do komendy w Solnie. Czy go wskazałem? Odpowiedź brzmi: nie. Dlaczego tego nie zrobiłem? Nie mieli kasy – powiedział Ara z uśmiechem. – Nie mam ochoty zeznawać, jak już mówiłem. Pomogłem im tylko w stworzeniu portretu pamięciowego.

– W pełni cię rozumiem – zgodził się reporter i również się uśmiechnął. – Ostatnie pytanie. Jak wyszedł ten portret pamięciowy?

– Tak sobie – powiedział Ara i wzruszył ramionami. – Twoje zdjęcie jest znacznie lepsze, nie mam wątpliwości, że to ten koleś, którego widziałem.

– W porządku – powiedział reporter. – Połowa teraz, tak jak ustaliliśmy – powiedział reporter i podał mu plik banknotów.

– Ja też chciałem o coś zapytać – powiedział Ara, włożył pieniądze do kieszeni bez przeliczania i pokazał głową mężczyzną na zdjęciu. – Co to za koleś? Powinienem wyjechać z kraju?

– Na pewno nie powinienes o nim za dużo gadać – stwierdził reporter – a już na pewno z nikim poza mną. Jeśli tylko będziesz o tym pamiętał, możesz spać spokojnie.

– Kto to jest? – powtórzył Ara i znów pokazał na zdjęcie mężczyzny. – Nazywa się jakoś?

– To szalenciec – reporter wzruszył ramionami. – Teraz nie ma już takiego znaczenia, jak się nazywa. Jeśli będziesz trzymał język za zębami, nie zaczniesz się wychylać i będziesz rozmawiał tylko ze mną, będzie dobrze. Nie ma szans, żeby się dowiedział, jak na niego wpadliśmy.

Na koniec reporter obiecał jeszcze, że się odezwie, gdy już sprawdzi, co ma do sprawdzenia, tak jak zawsze to robi, zanim

cokolwiek opublikuje na łamach gazety. Ara spędził resztę popołudnia za kierownicą, a potem przekazał samochód koledze, który miał nocną zmianę. Następnie wrócił metrem do Kisty, zrobił zakupy i na piechotę wrócił do budynku, w którym mieszkał.

Teraz wystarczy siedzieć cicho, pomyślał Ara, a najciszej siedziało się w jego mieszkaniu, które wynajmował z drugiej ręki i w którym nawet nie był zameldowany. Pochylił się, wstukał kod do klatki i w tej samej chwili ktoś zaszedł go od tyłu i poklepał po ramieniu.

Cholera jasna, pomyślał Ara i obrócił się, z braku lepszego pomysłu zasłaniając pierś pudłem z zakupami.

– Ara, Ara Dosti, kopę lat – odezwał się mężczyzna, który tak go wystraszył, choć uśmiechał się od ucha do ucha. Ara od razu go rozpoznał.

– Omar – powiedział Ara, z trudem kryjąc zdziwienie i ulgę.
– Nieźle mnie wystraszyłeś.

– *Long time, no see* – odpowiedział Omar. Uśmiechnął się szeroko i mocno go uściśnął. – Będzie z dziesięć lat, co?

– Całe wieki – zgodził się Ara, choć widział zdjęcie swojego dawnego szkolnego kolegi zaledwie dwa dni temu w komendzie w Solnie.

56

Po naradzie i pożywnym lunchu Bäckström wrócił do pracy, zamknął za sobą drzwi i zaczął myśleć nad odpowiednią wymówką, żeby pojechać do domu i uciąć sobie zasłużoną drzemkę. Czuł się wyczerpany, brakowało mu pomysłów, miał wzdęcia, a kiedy próbował zapanować na tym ostatnim, sytuacja nagle wymknęła się spod kontroli. Chcąc sobie ulżyć, puścił porządnego bąka, który niestety okazał się znacznie bardziej mokry i zawiesisty, niż się spodziewał. Co gorsza tego dnia miał na sobie kredowobiały płócienny garnitur, musiał więc działać szybko.

Najpierw zabarykadował drzwi krzesłem dla gości, a następnie spuścił żaluzje i ściągnął spodnie, żeby z bliska

ocenić skalę zniszczeń. Niedobrze, bardzo niedobrze, pomyślał Bäckström, widząc ciemną plamę na jasnym płótnie, z którego uszyto jego perfekcyjnie skrojone spodnie. Nawet nie mógł wymknąć się w tym stanie do toalety.

Ponieważ nie miał w pokoju wody ani papierowych ręczników, musiał poświęcić sporą porcję swojej wyśmienitej rosyjskiej wódki i jedwabną chusteczkę, którą włożył do kieszonki marynarki, kiedy rano wyjeżdżał z domu. Na szczęście w swoim pojemnym biurku miał flakonik męskich perfum, którymi mógł zakamuflować zapachy, jakie zafundował mu mały skrytobójca.

Dziesięć minut później mógł z powrotem włożyć spodnie i otworzyć okno do wietrzenia, następnie zadzwonił po taksówkę, sprawdził, czy wszystko wróciło do normy, po czym wyszedł z biura. W dramatycznej sytuacji nie można panikować i działać pochopnie, pomyślał Bäckström, dyskretnie przemykając przed drzwiami pokoju narad, gdzie siedziała większość jego zespołu dochodzeniowego, a ponieważ trzymał przy uchu telefon, skinął tylko w ich stronę głową i poszedł dalej.

Jadąc taksówką do domu, próbował zapanować nad swoimi zrewoltowanymi wnętrzościami, podczas gdy kierowca – który, jak można było sądzić po kolorze skóry i znajomości miasta, dopiero co przyleciał z Mogadiszu – próbował odnaleźć drogę na Kungsholmen i Inedalsgatan, gdzie mieszkał Bäckström. Kiedy wreszcie zamknął za sobą drzwi mieszkania, było już wpół do czwartej po południu.

Kiedy znalazł się w bezpiecznym miejscu, mógł wreszcie na spokojnie zająć się opanowywaniem skutków nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, którego padł ofiarą. Najpierw zdjął z siebie wszystkie ubrania i wrzucił je do kosza na pranie, następnie wziął prysznic, włożył szlafrok i nalał sobie duży kieliszek Fernet-Branca, żeby uspokoić żołądek, i dopiero potem usiadł do komputera, żeby sprawdzić, czy dostał jakiegokolwiek godne uwagi oferty dotyczące Izaaka. A konkretnie ostatniego mieszkania Izaaka.

Oczywiście niczego nie dostał. Jakby ktokolwiek miał coś

napisać w taki dzień, pomyślał Bäckström i łypnął wściekły na złotą klatkę, która stała przy oknie i tylko niepotrzebnie zajmowała miejsce, ponieważ ten, który w niej niegdyś siedział, był już, jak miał nadzieję, w drodze na cmentarz dla zwierząt. Chociaż Izaak spędził z nim zaledwie sześć tygodni, od końca marca do początku maja, stał się źródłem ogromnego życiowego zawodu dla Bäckströma. Ogromnego zawodu – bo tak należało to nazwać, nawet ostrożnie dobierając słowa.

Izaak okazał się nie tylko mało pojętny, lecz także wyjątkowo niechlujny. Jadł bez przerwy, jak mały koń, a do tego srał jak słoń. Po każdym posiłku rozrzucał wokół siebie resztki ziarenek, orzechów, łupinek, ptasich smakołyków i oczywiście własnych odchodów. Większość lądowała na podłodze wokół jego klatki i nawet fińska sprzątaczką i zarazem ulubiona kelnerka Bäckströma, jego osobiste Białe Tornado, skarżyła się na Izaaka i w pewnej chwili zasugerowała, żeby Bäckström pozbył się drania.

– Co proponujesz? – zapytał Bäckström, bo sam też już się nad tym zastanawiał, miał nawet pomysł, żeby spuścić papugę w klozecie, choć Izaak był raczej okazałych rozmiarów i istniało ryzyko, że utknie gdzieś po drodze. W najgorszym razie zahaczy o coś swoim śmiertcionym krzywym dziobem i doprowadzi do zalania domu, w którym mieszkał Bäckström.

Finka zaproponowała, że ukreśli Izaakowi łeb, ale Bäckström w porę się opanował, podziękował jej za propozycję, po czym udał się do sklepu zoologicznego, żeby na poważnie porozmawiać z nieuczciwą sprzedawczynią, która wpędziła go w te wszystkie kłopoty. Zaproponował nawet, że odsprzeda jej Izaaka za dużo niższą cenę. Niestety bez powodzenia, ceny na wtórnym rynku handlu papugami przejawiały bowiem tendencję spadkową.

– Latem zwykle się rusza – stwierdziła sprzedawczyni i wzruszyła bezradnie ramionami. – Kiedy ludzie wyjeżdżają z dziećmi na wakacje, zaczyna się handel nawet kompletnie zużytymi, wymęczonymi egzemplarzami – wyjaśniła.

Latem, pomyślał Bäckström i pokręcił głową. Do lata to ja już pewnie będę martwy, pomyślał. Izaak był bowiem nie tylko

strasznym flejtuchem, lecz także krzykaczem, i już po tygodniu kompletnie zaburzył Bäckströmowi rytm snu, choć policjant robił wszystko zgodnie z zaleceniami eksperta od papug. Gasił światło i przykrywał klatkę grubym kocem, żeby nawet mały Izaak zrozumiał, że jest noc, że już czas na spotkanie z upierzonym kuzynem Piaskowego Dziadka i, co najważniejsze, czas zamknąć dziób aż do następnego ranka, gdy zdejmie koc na znak, że zaczął się nowy dzień.

Na papugę to jednak nie działało, bo o dowolnej porze, a najchętniej w środku nocy potrafiła obudzić Bäckströma swoim skrzeczącym głosem, który niczym nóż przeszywał nocną ciszę i spokój jego duszy. I co teraz, kurwa, myślał Bäckström, który pod koniec ich wspólnego życia spędzał większość czasu na rozmyślaniach o tym, jak najskuteczniej pozbyć się dręczyciela.

Wystawienie go na sprzedaż na internetowej aukcji za koronę było wykluczone, po tym jak Annika Carlsson odwiedziła Bäckströma w jego mieszkaniu i o mały włos nie zamęczyła na śmierć jego i jego supersalami. Nie tylko flejtuch i krzykacz, lecz także wyjątkowo przebiegły oszczerca. W sam raz dla zawistnego nowego właściciela lub właścicielki, którzy z pewnością od razu, gdy tylko papuga otworzy dziób, zorientują się, gdzie wcześniej mieszkała. Na samą myśl o fali pomówień, która musiałaby towarzyszyć przeprowadzce Izaaka do nowego właściciela, Bäckström oblał się zimnym potem. To samo zagrożenie czyhało na niego, gdyby zdecydował się uspić ptaka u weterynarza i musiał spędzić z nim ostatnie chwile w poczekalni wśród innych właścicieli i właścicielek, słuchając razem z nimi ostatnich słów Izaaka.

Odstrzelenie mu łba za pomocą starego dobrego Siggego też nie wchodziło w rachubę. Nie u niego w domu, biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się ostatnim razem, gdy warstwa prochu strzelniczego pokryła jego mieszkanie. A pomysł Finki, żeby zwyczajnie skrócić mu kark, był tak naprawdę jeszcze gorszy. To po prostu niebezpieczne, pomyślał Bäckström, który o mało nie stracił palca, próbując włożyć Izaakowi orzeszek do klatki i podrapać go pod brodą pierwszego dnia ich znajomości.

Bäckström spędził cały tydzień na mrocznych rozważaniach, gdy pewnego dnia jego sąsiad, mały Edvin, rozwiązał problem za niego, choć miał zaledwie dziesięć lat i przypominał węża okularnika.

57

Po krzepiącej poobiedniej drzemce Bäckström poczuł się znacznie lepiej i wybrał się na kolację w towarzystwie znajomego reportera z dużej popołudniówki. Od konferencji prasowej minęła ponad doba, nastał więc najwyższy czas dowiedzieć się, jakimi informacjami dysponuje trzecia władza.

Spotkali się jak zwykle w knajpie na Östermalmie, w której nawet ktoś tak znany jak Bäckström mógł się czuć swobodnie, i gdy tylko wypili aperitif, znajomy Bäckströma przeszedł do rzeczy.

– Jak wam idzie? – zapytał, unosząc szklankę z whisky z lodem. – Znaleźliście już tego srebrnego mercedesa?

– Moi ludzie nad tym pracują – oświadczył Bäckström, skosztował rosyjskiej wódki i popił kilkoma łykami zimnego czeskiego piwa.

– A wasz świadek? Wskazał tego człowieka na zdjęciach?

– Nie wiem, o kim mówisz. Pokazywaliśmy zdjęcia bardzo wielu osobom. – Musiał gadać z tym taksówkarzem, pomyślał.

– Miałem na myśli tego świadka, który widział, jak sprawca wskakuje do mercedesa i odjeżdża spod domu Erikssona w Brommie – wyjaśnił reporter.

– Dalej nie wiem, o kim mówisz – nie odpuszczał Bäckström.

– Kilkoro świadków widziało samochód i tych, co w nim odjeżdżali. Powiedz raczej, z kim ty rozmawiałeś. Może będę mógł ci pomóc. – Sam się prosiłeś, pomyślał Bäckström.

Jego gospodarz tylko mruknął pod nosem i zamachał w kierunku kelnera.

– Na co masz ochotę? – zapytał. – Pomyślałem, że zamówię faszzerowanego kurczaka. Co ty na to?

– Na mnie nie patrz – powiedział Bäckström, wzruszając ramionami. – Wolę siekaną wołowinę z warzywami, jeszcze

jedno czeskie piwo i kolejną wódkę – dodał i skinął głową do kelnera.

Następną godzinę spędzili, jedząc, pijąc i rozmawiając na różne tematy, i dopiero gdy na stole pojawiła się kawa z koniakiem, wrócili do sedna sprawy.

– Co powiesz na to, żebyśmy trochę pohandlowali? Oczywiście w temacie tego adwokata, Erikssona – zaproponował reporter.

– Ty pierwszy – powiedział Bäckström. – Chętnie usłyszę twoją ofertę.

– Mam nazwisko sprawcy, tego, co wskoczył do srebrnego mercedesa. Około drugiej rano, gdy tylko wybiegł z domu Erikssona. A ty co masz dla mnie?

No tak, nasz mały taksówkarz, pomyślał Bäckström. Wybrał pieniądze zamiast moich przygłupich kolegów, pomyślał.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedział Bäckström. – Twój informator wskazał nie tego kolesia. Więc jeśli nie chcesz wyrzucać kasy w błoto na procesy i inne głupoty, lepiej nie wychodź z takim newsem.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał reporter. – Sugerujesz, że jesteśmy na złym tropie? Skąd wiesz?

– Bo to nie jest on – odpowiedział Bäckström, który domyślał się, na kogo ich świadek postanowił nie wskazywać. A domyślał się, od kiedy zobaczył portret pamięciowy, który ten sam taksówkarz pomógł sporządzić komisarzowi kryminalnemu Ekowi.

– Skąd wiesz? – powtórzył reporter. – Skąd wiesz, że mówimy o tym samym kolesiu?

– Ja mówię o Angelu Garcii Gomezie – powiedział Bäckström i wzruszył ramionami. – No, ale dobra. Jeśli masz jakieś inne informacje, chętnie się z tobą wymienię.

Sądząc po jego minie, to nie ma, pomyślał Bäckström.

– Skąd wiesz, że to nie on?

– Bo ma alibi na czas morderstwa i tym razem to nie jego kumple z kółka motocyklowego dla panów w średnim wieku.

– Śledziliście go – powiedział reporter i zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Pozostawiam to bez komentarza, rzecz jasna. Ma alibi. Kropka.

– Że też nigdy nie można mieć wszystkiego – westchnął jego gospodarz.

Godzinę później, kiedy już wypili kolejny koniak i ostatnie wieczorne piwo na cześć nadchodzącego lata, Bäckström i jego gospodarz rozstali się w największej przyjaźni, mimo że nie ubili interesu.

– Dziękuję ci, Bäckström, dzięki za informację i jeszcze większe dzięki za ostrzeżenie – powiedział reporter, choć sam nie uszczknął nawet niewielkiego jabłka z rogu obfitości Bäckströma, lecz jedynie dobrą radę, żeby nie wtrącać się w nie swoje sprawy. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– To, co zwykle – Bäckström wzruszył ramionami. Ziarnko do ziarnka, pomyślał.

58

Po spotkaniu ze znajomym reprezentującym trzecią władzę Bäckström pojechał prosto do domu, żeby się przespać. Nawet nie wypił strzeziennego, tylko od razu położył się na swoim szerokim łóżku z Hästens, splótł dłonie na brzuchu i w oczekiwaniu na Piaskowego Dziadka myślał o małym Edvinie, który pomógł mu się pozbyć jego prześladowcy, Izaaka.

Edvin był niski i chudy. Cienki jak nić dentystyczna i krótszy niż ta, której Bäckström używał każdego ranka i wieczora, polerując swoje perły w koronie, którymi ze względu na dojrzały wiek zastąpił stare uzębienie. Mały Edvin nosił okrągłe rogowe okulary ze szklami grubymi jak denka butelek i był chodzącą encyklopedią. Mały, przemądrzały mól książkowy, który wprowadził się do budynku przed kilkoma laty razem z mamą i tatą. Jediną jego zaletą było dobre, nieco staroświeckie wychowanie i fakt, że był jedynym dzieckiem w rodzinie i w ogóle w całym budynku, w którym mieszkał Bäckström.

Poza tym Edvin przydawał się do pomocy w drobniejszych

sprawach, takich jak kupowanie gazet, napojów i różnych innych wiktuałów z delikatesów w galerii handlowej na Sankt Eriksgatan. Nieważne, że musiało jeszcze upłynąć kilka lat, zanim Bäckström będzie mógł wysłać chłopaka do monopolowego z nieco poważniejszą misją. Przyjdzie na to czas, zresztą Bäckström zdążył się już do niego przywiązać. Prawda była taka, że w chwilach nostalgicznej zadumy zwykł myśleć o małym Edvinie z równą tkliwością co o swoim przedwcześnie zmarłym przyjacielu Egonie.

Evert, Egon, a teraz mały Edvin – Bäckström myślał czasem o sobie i o swoich bliskich, co było naturalne u dobrego chrześcijanina.

To, że Edvin miał na imię Edvin, było trochę dziwne, ponieważ jego matka miała na imię Dusanka, a ojciec – Slobodan i oboje byli imigrantami z byłej Jugosławii. Poza tym że nie mieli szczęścia urodzić się w Szwecji, nie mieli żadnych specjalnych ułomności. Rodzice Edvina prowadzili salon gier przy Odenplan, a jego ojciec Slobodan już na początku znajomości pomagał Bäckströmowi w zabezpieczeniu dodatkowych przychodów za pomocą szczęśliwych kuponów i zwycięskich sesji pokerowych na tajemniczych portalach zagranicznych. Krótko mówiąc, okazał się zarówno dyskretnym, jak i kreatywnym współpracownikiem Bäckströma przy rozbudowywaniu sieci jego powiązań biznesowych.

Choć wiadomo. Były też problemy, zwłaszcza na początku znajomości z Edvinem. Gdy tylko mały Edvin wpadał na Bäckströma, natychmiast mu salutował i robił to uparcie do czasu, kiedy Bäckström zażądał, żeby przestał się wygłupiać. Tak bowiem zachowywały się tylko półgłówki z prewencji i inne kreatury niższej rangi. Wśród śledczych obowiązywała inna etykieta, a w przypadku małego Edvina wystarczyło, żeby zwracał się do Bäckströma według jego stopnia i mówił do niego inspektorze. Jednak prawdziwym przełomem w ich znajomości był moment, kiedy to mały Edvin podsunął mu pomysł, jak w dyskretny i skuteczny sposób pozbyć się raz na zawsze Izaaka.

Wczesnym rankiem pewnego dnia powszedniego, kiedy to Izaak ukazał swoje prawdziwe oblicze, Bäckström i Edvin jechali razem windą na piętro, na którym obaj mieszkali. Edvin powiedział mu, że od jakiegoś czasu jest członkiem stowarzyszenia o nazwie Przyrodnicy w Akcji. Już pierwszego dnia wybrano go do kierowania sekcją zajmującą się obserwacją ptaków pojawiających się na terenie kraju.

– Przyrodnicy w Akcji – powtórzył Bäckström. To teraz już się nie ogląda babek w internecie? Chłopak ma przecież dziesięć lat, pomyślał.

– Co z kolei skłoniło mnie do rozmyślań o papudze pana inspektora – wyjaśnił Edvin.

– A o czym konkretnie myślałeś? – zaniepokoił się Bäckström.

– Pan inspektor powinien uważać, żeby ptak nie wyleciał przez okno – powiedział okularnik. – Powinien latać tylko po mieszkaniu.

– A to dlaczego? – zapytał Bäckström. Niegłupi pomysł, pomyślał. Wystarczy otworzyć okno, wygonić drania i czekać, aż zamarznie.

– Z uwagi na inne ptaki mieszkające na zewnątrz, które z pewnością od razu by się na niego rzuciły – wyjaśnił okularnik. – To by się mogło źle skończyć.

– Źle skończyć? Co masz na myśli?

– Na naszym podwórku są sroki, wrony i mewy, jak również całkiem sporo ptaków drapieżnych, mimo że mieszkamy w centrum miasta. Kilka dni temu widziałem krogulca, który porwał srokę, chociaż to akurat zbyt duża zdobycz jak na takiego niewielkiego ptaka.

Ciekawe, pomyślał Bäckström, ale tylko pokiwał głową. Ciekawe, pomyślał.

Już następnego dnia rano do mieszkania Bäckströma zawitały pierwsze promienie wiosennego słońca – wyraźniejszego znaku od Pana nie mógł oczekiwać. Przed wyjściem do pracy Bäckström otworzył klatkę Izaaka, otworzył na oścież drzwi balkonowe i na wszelki wypadek położył dużą garść orzeszków ziemnych na stoliku stojącym na balkonie. Po lunchu wrócił do domu pełen nadziei.

Niestety już w drzwiach stracił ją całkowicie. Izaak wrócił do klatki, nie omieszkał równo obsrać wszystkiego po drodze i oczywiście przywitał swojego ciężko doświadczonego życiem właściciela charczącym, skrzekliwym i donośnym głosem, który przeszywał zarówno żołądek, jak i nogi.

Nie dość tego – pod nieobecność Bäckströma zostawił wyraźne ślady swojej obecności na podwórzu. Dwie martwe sroki z krwawymi śladami w okolicach klatki piersiowej pochodzącymi bez wątpienia od uderzeń krzywego dzioba, a także dwukrotnie większa wrona, która najwyraźniej uszła z życiem, ale kulała po podwórku z odgryzionym kawałkiem nogi, ciągnąc po ziemi skrzydło. Poza tym otrzymał anonimowy list od jednego z sąsiadów, który nie przebierając w słowach, upominał go, by lepiej pilnował podopiecznego. Według nadawcy Izaak zaczął dzień od masakry wśród regularnych użytkowników karmnika, który wspólnota postawiła na podwórzu.

Gdzie się, kurwa, podział ten krogulec, pomyślał Bäckström. Ale co tam, teraz już się nie poddam, pomyślał. Przez cały tydzień dzień w dzień powtarzał procedurę, wyrzucał do kosza szybko rosnącą stertę nieprzeczytanych anonimów i jednocześnie udoskonalał taktykę – w ukryciu czekał, aż Izaak wyleci z mieszkania, a następnie podbiegał do drzwi balkonowych i szybko je zamykał, żeby uniemożliwić mu powrót w ciągu dnia.

Przez kilka pierwszych dni taktyka nie przynosiła zadowalających rezultatów. Wraz z zachodem słońca Izaak wracał na parapet okna sypialni Bäckströma, wydawał z siebie swoje przeraźliwe dźwięki i w dodatku usiłował jeszcze zrobić dziurę w szybie swoim krzywym dziobem. W środku nocy Bäckström w końcu dawał za wygraną, otwierał drzwi balkonowe i wpuszczał go do mieszkania, które przedstawiało sobą żalosne wspomnienie jego dawnego domu.

Tak mijał dzień za dniem, aż do dnia siódmego, kiedy to wreszcie został wysłuchany, a gdy tak rozmyślał, w końcu zasnął. Od czternastu dni był znów – jeśli Pan rzeczywiście wysłuchał jego modlitw – wolnym człowiekiem i kiedy zasypiał

tuż przed północą, dzień przed Świętem Narodowym Szwecji, wiedział, że obudzi się już w lepszym świecie, w którym nie będzie miejsca dla zajmującego jego mieszkanie dręczyciela Izaaka.

59

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Bäckström siedział w knajpie w towarzystwie swojego osobistego reportera, Ara i Omar postanowili, że uczczą spotkanie po latach porządnym obiadem w libańskiej restauracji w galerii handlowej w Kiście. Omar zamawiał jedzenie i picie, a Ara otworzył swoje serce i opowiedział o problemach, które trapiły go przez ostatnie dni. Spędzili wyjątkowo miły wieczór po latach niewidzenia się. Było tak przyjemne, że Ara niemal zapomniał zapytać Omara, jak to się stało, że policja miała jego zdjęcie, które w dodatku postanowiła pokazać jego dawnemu szkolnemu koledze przy okazji dochodzenia w sprawie zabójstwa.

– Przykra sprawa – przyznał Omar i pokręcił ze zrozumieniem głową. – Rozumiem, że masz stracha. To dlatego o mało co nie wyskoczyłeś z portek, gdy za tobą stanąłem przy wejściu do domu?

– A jak myślisz? – powiedział Ara.

– W takim razie dobrze trafiłeś – powiedział Omar i poklepał go po ramieniu. – Ten koleś, którego rozpoznałeś, mógłbyś mi go opisać?

– Mógłbym – Ara skinął głową. – Takich się nie zapomina.

– W porządku – powiedział Omar i wyjął z kieszeni kurtki mały czarny notes. – Ten dziennikarz nie powiedział ci, jak się nazywa?

– Nie – Ara pokręcił głową. – Nie, powiedział tylko, żebym na siebie uważał i się nie wychylał. Pomyślałem, żeby wyjechać z kraju. Do Tajlandii albo do Dubaju – dodał Ara. – Zaczekam, aż się trochę uspokoi.

– Słusznie – przyznał Omar. – Choć na początek powinniśmy się dowiedzieć, kto to jest.

Oczywiście pomyśl, żeby przeczekać, aż sprawy się ułożą, był

doskonały, stwierdził Omar. Popierał go w zupełności, ale zanim Ara wyjedzie z kraju, należało się jeszcze zająć paroma kwestiami praktycznymi. Kilka spraw, które obiecał za niego rozwiązać.

– Możesz być spokojny – zapewnił Omar i znów poklepał go po ramieniu. – Obiecuję, że to załatwię. Potem będziesz mógł jechać na wakacje. Bo przecież nie uciekasz. Ucieczka niczego nie rozwiązuje.

– Mówisz, że możesz to dla mnie załatwić? Myślałem, że studiowałeś inżynierię? Ciekawe, czego naprawdę uczą na tej politechnice.

– Możesz być spokojny – powtórzył Omar i uśmiechnął się.
– Wiedza daje siłę. Rozumiesz, prawda?

Ara pokiwał tylko głową. Wiedza daje siłę, pomyślał. Czy to dlatego gliny mają twoje zdjęcia w swoich teczkach?
– zastanowił się.

60

Bäckström spędził większą część Świąta Narodowego w łóżku na Kungsholmen. Pierwszą czynnością, jaką zrobił rano, było wysłanie maila do swojej najbliższej współpracowniczki, Anniki Carlsson, w którym przekazał jej prowadzenie narady zespołu dochodzeniowego, ku czemu istniały trzy powody.

Po pierwsze potrzebował dystansu i samotności, żeby móc się na spokojnie zastanowić nad sprawą. Poza tym dochodzenie szybko zbliżało się do końca, teraz należało już tylko poukładać resztę elementów układanki na właściwych miejscach. Miał zamiar do tego wrócić podczas piątkowej narady. Po trzecie wreszcie – zakładał, że to zostanie między nimi – jego żołądek dręczyło „jakiś cholerstwo”, a że nie chciał narażać zdrowia współpracowników, już tylko z tego powodu wolał zostać w domu. Gdyby jednak w czasie spotkania wydarzyło się coś istotnego, zakładał, że Annika natychmiast się do niego odezwie.

Ciekawe, co by to miało być, pomyślał Bäckström, pokręcił głową i nalał sobie duży kieliszek Fernetu z butelki stojącej na

nocnym stoliku, a następnie oddał się wspomnieniom ostatnich chwil poprzedzających moment, gdy drogi życiowe jego i Izaaka się rozeszły. Miał nadzieję, że już na zawsze...

Dzień przed tym, jak Izaak go opuścił, Bäckström podjął wreszcie decyzję, co powinien zrobić, i w drodze do domu zatrzymał się w Solna Centrum, żeby kupić dużą rolkę folii i gumowy wąż dostatecznie długi, by sięgnął od zaworu gazu znajdującego się w kuchni do klatki Izaaka.

W domu uraczył się najpierw kieliszkiem wódki, po czym przeszedł do kwestii czysto praktycznych, jednak w chwili, gdy zaczął owijać taśmą klatkę, w której siedział Izaak, cały plan wziął w łeb. Ptak ostrym dziobem zaczął rozdzierać folię, którą Bäckström nadaremnie starał się umieścić z powrotem na miejscu, i w tej sytuacji podłączenie gazu było nie do pomyślenia: Izaak najwyraźniej postanowił zabrać swojego właściciela w ostatnią podróż.

W końcu Bäckström dał za wygraną. Usiadł na kanapie z trzecim już kieliszkiem wódki i łypał tylko z ukosa w kierunku klatki Izaaka, zastanawiając się nad innymi rozwiązaniami.

Skoro nie gaz, to może chociaż prąd, pomyślał Bäckström, który z natury był pragmatyczny, jednak zasadniczym problemem był brak podstawowych umiejętności w tym zakresie – nie dałby rady zrobić wszystkiego samodzielnie. Musiałby zatrudnić do współpracy jakiegoś elektryka, co z kolei było wykluczone. Dlaczego tak trudno zamordować papugę, pomyślał i westchnął głęboko.

Izaak najwyraźniej stracił zainteresowanie sytuacją i zajął się obieraniem orzeszka. Z braku innych pomysłów Bäckström otworzył drzwi balkonowe i wypuścił go na podwórze. Zastanawiał się przez chwilę, a potem zszedł do swojego ulubionego lokalnego baru, gdzie zjadł porządną kolację, kontynuując rozważania. Siedział tak przez kilka godzin, pogrążony w mrocznych myślach, i kiedy wreszcie wrócił do domu, na dworze było już ciemno.

Zamknął za sobą drzwi, przeszedł na palcach przez wygaszone mieszkanie i wyjrzał ostrożnie przez okno balkonowe, gdzie o tej porze Izaak zwykle siedział już na

parapecie i namolnie pukał w szybę, żeby go wpuścić.

Tym razem jednak było inaczej. Izaaka nie było jak okiem sięgnąć i Bäckström poczuł nagle, jak wraca mu nadzieja. Może wpadł na sowę, pomyślał Bäckström, ponieważ mały Edvin tydzień temu oświecił go, że Izaak nie jest bezpieczny nawet w nocy. W samym środku miasta, gdzie mieszkał Bäckström, mieszkały również sowy, takie polujące nocą. Bezszelestne i śmiertelnie precyzyjne, nawet wtedy, gdy dookoła było ciemno jak w lochu.

Gdy Bäckström zasypiał, był w dobrym nastroju. Wreszcie ktoś tam na górze wysłuchał jego próśb. Dopiero z nadejściem kolejnego dnia jego marzenia prysły jak bańka mydlana. Sądząc po dochodzących go dźwiękach, Izaak siedział po drugiej stronie okna i ostrzył dziób o szybę.

Już nie żyjesz, pomyślał Bäckström i sięgnął po Siggego, którego trzymał pod materacem, odbezpieczył, a następnie z pewnym wysiłkiem podniósł się z łóżka i poczłapał do okna, podciągnął żaluzje, żeby dobrze widzieć rabusia. Kiedy wychylił się, żeby złapać za sznurek żaluzji, coś nagle uderzyło w szybę, aż zatrzęsło się całe okno.

Co się, kurwa, dzieje, pomyślał Bäckström. Podciągnął żaluzje, otworzył okno i wyjrzał na wyłożone asfaltem podwórze.

Pośrodku podwórza leżał Izaak. Najwyraźniej spotkał nowego kolegę nieco cięższej wagi niż zwykli czarno-biali znajomi. Dwa razy większy, brunatny, z jeszcze bardziej wykrzywionym dziobem niż dziób Izaaka. Siedział na nim i dziobał go w pierś. Z tego wszystkiego przez przypadek Bäckström najwyraźniej nacisnął spust małego Siggego.

Cholera jasna, pomyślał. Zamknął okno i spuścił żaluzję. Łuska spadła na podłogę w jego sypialni, co było szczęściem w nieszczęściu, bo Bäckströmowi nawet przez myśl by nie przeszło, żeby w środku nocy szukać jej po całym podwórzu.

Wymknął się do przedpokoju, stanął pod drzwiami i nasłuchiwał. Wygląda spokojnie, pomyślał, poczłapał z powrotem do sypialni, rozchylił żaluzje i wyjrzał na zewnątrz. Izaak leżał tam, gdzie poprzednio, na plecach, z nóżkami

zadartymi do góry. Brunatny złoczyńca najwyraźniej opuścił miejsce zdarzenia.

Nareszcie, pomyślał Bäckström. Drań musi już być martwy, pomyślał i wrócił do swojego mięciutkiego łóżka z Hästens.

Obudził się dopiero po kilku godzinach, gdy do jego uszu doszedł natrętny dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych.

Edvin, pomyślał Bäckström, kiedy wyrzął przez wizjer. Wyglądał na zmartwionego. Dokładnie tak, jak powinien wyglądać dziesięciolatek, który musi przekazać informację o śmierci Izaaka członkowi jego najbliższej rodziny.

– Czy coś się stało? – zapytał Bäckström.

– Tylko niech pan inspektor nie mówi, że pana nie ostrzegąłem – powiedział Edvin, kiwając smutno głową.

– Zaatakował go krogulec, tak jak uprzedzałem tydzień temu.

– Izaak nie żyje? – Bäckström złapał się za czoło.

– Całe szczęście nie – powiedział Edvin. – Niewykluczone, że z tego wyjdzie. Nie traćmy nadziei, inspektorze.

O czym, kurwa, mówi ta mała żmija? – pomyślał Bäckström. Mam liczyć na to, że z tego wyjdzie?

Godzinę wcześniej, gdy mały Edvin zszedł na podwórze po swój jeszcze mniejszy rower górski, żeby pojechać do szkoły, na podwórzu znalazł nieprzytomnego Izaaka. W pierwszej chwili pomyślał, że ptak nie żyje, ale kiedy zobaczył, że wciąż oddycha i usłyszał jego bijące serduszko, szybko schował go pod kurtkę i pobiegł do domu, skąd razem z mamą pojechali taksówką do weterynarza.

– Nie chcieliśmy niepotrzebnie martwić pana inspektora – wyjaśnił Edvin.

– I co mówią lekarze? – wyjaśnił Bäckström.

– Nie traćmy nadziei, inspektorze – powiedział Edvin i poklepał go pocieszająco po rękę. – Nadzieja umiera ostatnia.

Póki życie trwa, jest nadzieja, a jak można było wnosić z pierwszych rachunków, Izaak najwyraźniej zamierzał nękać go do samego końca. Zaraz minie czternaście dni na oddziale intensywnej terapii dla papug, a naokoło ludzie padają jak muchy, pomyślał Bäckström. Co się dzieje ze Szwecją, pomyślał, kiwając z niezadowoleniem głową.

Na początku czwartkowego zebrania zespołu dochodzeniowego Annika Carlsson poinformowała wszystkich, że chwilowo zastępuje ich szefa, ale że Bäckström zapewne wróci do pracy następnego dnia. Na temat powodów nieobecności Bäckströma nie zamierzała się wypowiadać i dlatego przekazała głos Nadji.

– Coś nowego w temacie mercedesa?

– Powoli, ale do przodu – odpowiedziała Nadja. – Zostało mi jeszcze jakieś sto pojazdów do sprawdzenia. Nie wydaje mi się, żebyśmy coś przeoczyli.

– Jak myślisz, kiedy skończycie?

– Trudno powiedzieć – Nadja pokręciła głową. – Potrzebujemy jeszcze co najmniej tygodnia. Poza tym obawiam się, że zbliżamy się do punktu, kiedy będziemy zmuszeni porozmawiać z częścią właścicieli, zanim ich skreślimy z listy podejrzanych. W każdym razie posuwamy się do przodu.

– W porządku – stwierdziła Annika Carlsson. – Masz coś jeszcze?

Jeszcze jedno, stwierdziła Nadja Högberg, która postanowiła skorzystać z okazji, żeby pod nieobecność Bäckströma opowiedzieć o tym, co takiego znaleźli w komputerze ofiary. Nie chciała przedłużać i jednocześnie miała na względzie krążącą od lat po policyjnych korytarzach plotkę o tym, że to Bäckström odpowiadał za tak zwany seksualny wątek w dochodzeniu w sprawie Palmego i podobno wciąż żył w przekonaniu, że to tutaj należało szukać prawdy o zabójstwie premiera.

– W dniu, w którym zginął, Eriksson zdaje się spędził ponad dziewięć godzin, przeglądając w sieci strony pornograficzne – powiedziała Nadja. – Strony, które odwiedzał, są specyficzne, zwłaszcza w tych okolicznościach. Dużo przemocy seksualnej, seks ze zwierzętami, seks z karłami i cała masa innych aberracji, o które wstyd byłoby pytać nawet wujka Ollego.

– Wujka Ollego? – zdziwił się komisarz Jan Stigson, który

w telewizji oglądał tylko kanały sportowe.

– Tego psychologa, który prowadzi program z poradami na temat seksu na Kanal 5 – odpowiedziała Nadja. – Nazywa się Olle. Ten, co wygląda jak ciotka Malena, tylko jest grubszy – wyjaśniła.

– Aha – powiedział Stigson. – Rozumiem.

– Może powinieneś spróbować, Jan – powiedziała Annika i uśmiechnęła się krzywo. – Obejrzyj sobie program wujka Ollego, może uda ci się wyciągnąć jakieś wnioski. Co ty na to, Nadja? Mamy nowy wątek w śledztwie czy to po prostu normalne męskie zabawy?

– Cóż – powiedziała Nadja. – Nie wydaje mi się. Myślę, że potrzebował tego do pracy. Przynajmniej jeśli wierzyć jego koledze, adwokatowi Danielssonowi. Bladh pytał go o to podczas przesłuchania. Prześle wam dziś mailem jego zapis.

– Eriksson surfował w sieci po stronach pornograficznych z powodów zawodowych. Mów, bo zaraz umrę z ciekawości – powiedziała Annika Carlsson.

Zdaniem adwokata Danielssona jego kolega Thomas Eriksson zaczął współpracę z nowym klientem zaledwie kilka dni przed śmiercią. Ów klient był znanym biznesmenem i przedsiębiorcą oskarżonym o napastowanie swojej dwukrotnie młodszej dziewczyny – miał się włamać do jej komputera i wysyłać jej znaczne ilości pornografii z sieci.

– Na jej komputer, jej stronę, jej konto na Facebooku, wszędzie – podsumowała Nadja i pokręciła głową. – Nic jednak nie wskazuje na to, by jego przedstawiciel, adwokat Eriksson, dzielił specyficzne zainteresowania swojego klienta. Wygląda raczej na to, że przeglądał po kolei adresy z listy znajdującej się w materiałach z postępowania przygotowawczego przeciwko jego klientowi. Sprawdziliśmy jego twardy dysk, nie ma na nim śladów wcześniejszych odwiedzin stron pornograficznych. Nie ma też oprogramowania, które automatycznie usuwa odwiedzane adresy. Moim zdaniem możemy o tym zapomnieć. Cała ta aktywność musi być związana z pracą. Nawet jeśli brzmi to dziwnie.

– Znalazłaś coś jeszcze? – zapytała Annika.

– Różne zagadkowe wpisy dotyczące finansów – powiedziała Nadja. – A także ślady na twardym dysku po podobnych materiałach, które najwyraźniej szybko wykasował. Jak się wydaje, Eriksson był ostrożny w tych sprawach, ale obiecuję, że jeszcze do tego wrócę, gdy tylko znajdę coś, co warto byłoby przedyskutować. Nie liczcie jednak na zbyt wiele. Wydaje się, że przechowywanie tajemnic pan adwokat Eriksson wolał powierzać własnej głowie. – Pewnie wysłał to z mlekiem matki, pomyślała.

Potem przysłała kolej na Petera Niemiego, ale on też nie miał zbyt wiele do dodania w kwestiach technicznych dotyczących dochodzenia. Szacował, że przeszukanie mieszkania ofiary zakończy się na początku przyszłego tygodnia i że wtedy zaczną też napływać pierwsze odpowiedzi z CLK dotyczące śladów DNA, włókien i odcisków, które zabezpieczono na miejscu. Nie znaleźli narzędzia zbrodni. To akurat nieco go martwiło.

– W klasycznych przypadkach ciężkie, tępo zakończone przedmioty niemal zawsze znajdujemy na miejscu zdarzenia i w dziewięciu na dziesięć przypadków jest to mieszkanie ofiary albo sprawcy. Zazwyczaj takie zabójstwa nie są planowane i gdy zaczyna się robić gorąco, niemal zawsze sięga się po coś, co akurat jest pod ręką. Młotek, pogrzechacz, kawałek rury, patelnię, świecznik. Wszystko, co jest dostatecznie twarde i poręczne, by można było uderzyć tym kogoś w głowę.

– Ale nie tym razem – stwierdziła Annika Carlsson.

– Ale nie tym razem – przyznał Peter Niemi. – Nie podoba mi się to. Jestem niemal pewien, że sprawca zawnazszy zdecydował, że pójdzie i zatłucze Erikssona, i zrobi to porządnie. Narzędzie miał ze sobą i gdybym miał zgadywać, to myślę, że mogło to być coś drewnianego, może kij bejsbolowy albo zwykła pałka. Raczej wykonane z drewna niż z metalu, zważywszy na charakter uszkodzeń głowy.

– Choć kiedy tam się zjawia, Eriksson już nie żyje – zauważyła Felicia Pettersson.

– Właśnie – przyznał Niemi. – Nie żyje od kilku godzin, co do tego nie ma wątpliwości, i sprawca z pewnością od razu to zauważył, co jednak nie przeszkadza mu roztrzaskać

Erikssonowi czaszki, i to już naprawdę mi się nie podoba.

– Co przez to rozumiesz? – zapytała Annika.

– Po co miałyby to robić, skoro zabił go już kilka godzin wcześniej? Do tego czasu powinien się chyba uspokoić? Po co w ogóle miałyby wracać?

– Żeby poszukać czegoś, o czym zapomniał za pierwszym razem. Bo zorientował się, że Eriksson go oszukał – zaproponowała Annika. – I wściekł się do tego stopnia, że zaczął się wyżywać na trupie.

– Bardzo możliwe – powiedział Peter Niemi i rozłożył ręce w wymownym geście. – I dużo mniej wydumane od tego, co mi się uroiło, a co wszystko komplikuje.

– Wyjaśnij – powiedziała Annika Carlsson z uśmiechem. Dobry jest, pomyślała.

– Ze kiedy się zjawił u pana adwokata, żeby spuścić mu lanie, nie miał pojęcia, że ktoś już go zabił. Był jednak tak wściekły, że zaatakował trupa.

– Zgadzam się – powiedziała Annika Carlsson i uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – To rzeczywiście wygląda na mocno naciągane. Nasza ofiara musiałaby mieć w przedpokoju maszynę do wydawania numerków, żeby ogarnąć kolejkę wszystkich gości, którzy pojawili się z zamiarem zabicia gospodarza w zwyczajne niedzielne popołudnie.

– Owszem – przyznał Niemi i uśmiechnął się pod nosem. – Trochę to wszystko naciągane.

– Zobaczymy – powiedziała Annika i wzruszyła ramionami.

– Nie masz dla nas czegoś bardziej optymistycznego?

– No, mam. Analizy balistyczne są gotowe – powiedział Niemi. – Obie kule, które znaleźliśmy, wystrzelono z broni należącej do Erikssona. Choć na dobrą sprawę wiedzieliśmy to od początku.

– Czyli że nie jest to przełom w śledztwie – stwierdziła Annika Carlsson.

– Nie. Raczej nie – Niemi pokręcił głową. – Tylko kolejne informacje, które powodują coraz większe zamieszanie. Choć jestem tego zdania co ty. W którymś momencie wszystko się wyjaśni.

– Ktoś ma coś jeszcze? – Annika Carlsson powiodła wzrokiem po zebranych, ale w odpowiedzi pokręcili tylko głowami, dlatego postanowiła, że czas najwyższy postawić kropkę. – Okej – powiedziała Annika Carlsson i wstała z krzesła. – Widzimy się jutro, piątek godzina dziesiąta, szef obiecał, że też się pojawi.

Gdy Annika Carlsson wróciła do swojego biurka, zadzwoniła do Bäckströma na komórkę, żeby zdać raport z tego, jak poszło na spotkaniu z zespołem dochodzeniowym.

– Jakoś idzie, ale nie mam dla ciebie żadnych nowości – stwierdziła.

– Jakoś mnie to nie dziwi – odpowiedział Bäckström.

– Już za tobą tęsknimy. Jak twój brzuszeczek? Może wpadnę do ciebie z rosółem i wodą mineralną?

– Miło z twojej strony, Annika, ale nie, dziękuję za rosół. Za wodę mineralną też.

– Szkoda – powiedziała Annika. – Obiecuj, że zadzwonisz, jeśli zmienisz zdanie.

Bäckström niczego nie obiecał. Za to od razu zakończył rozmowę i wyłączył komórkę.

Niebezpieczna baba, pomyślał Bäckström i pokręcił głową. Na wszelki wypadek poszedł jeszcze sprawdzić, czy założył łańcuch na drzwiach wejściowych do mieszkania. Ciekawe, jak coś takiego miałyby powstrzymać kogoś takiego jak Ankan Carlsson, pomyślał, a ciarki przebiegły mu po plecach.

62

Po rozmowie z Anniką Carlsson Bäckström postanowił, że na wszelki wypadek opuści mieszkanie do czasu, kiedy pojawi się ślusarz i zabezpieczy wejście do jego domu, który miał być mu twierdzą.

Zjadł późne, porządne śniadanie i wyszedł na spacer po mieście. Świeciło słońce, niebo było niebieskie, a w cieniu temperatura sięgała dwudziestu stopni – właśnie tego prawdziwy Szwed miał prawo domagać się w dzień taki jak ten. Bäckström przeszedł się wzdłuż Norr Mälarstrand, aż dotarł do

strategicznie zlokalizowanego ogródka kawiarni, w której zamówił wódkę z tonikiem i gdzie siedział przez kolejne dwie godziny, przyglądając się zza swoich ciemnych, szpiegowskich okularów przechodzącym panienkom i w myślach planował przebieg jutrzejszej wizyty u Panny Piątek.

Szczęściarz z ciebie, Bäckström, pomyślał. Lowelas i niebieski ptak. Kobiety szaleją na twoim punkcie. Supersalami jest w świetnej formie przed jutrzejszym dniem, a adwokat Eriksson dostał wreszcie to, na co zasługiwał. Poza tym nadszedł czas, żeby jechać do domu na popołudniową drzemkę i przygotować się na to, co cię czeka wieczorem. Zerknął na zegarek i dokończył czwartą wódkę z tonikiem, prosząc kelnerkę, żeby zamówiła mu taksówkę. Oczywiście w odpowiedzi obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.

Wieczorem, kiedy siedział przed komputerem, pielęgnując relacje z członkiniami swojego pokaznego i stale powiększającego się internetowego fanklubu, zadzwonił telefon. Nie główna komórka, ale druga, której używał wyłącznie na potrzeby swoich zewnętrznych kontaktów. To konkretne połączenie pochodziło z telefonu osoby najwartościowszej spośród nich wszystkich – mianowicie jego dawnego znajomego i towarzysza broni Gustafa Gustafssona Henninga. Był on uznanym pośrednikiem w handlu dziełami sztuki, znanym z programu telewizyjnego o antykach. Znajomi nazywali go GeGurra.

GeGurra na początek przeprosił, że tak długo się nie odzywał. Spędził kilka tygodni za granicą w związku z różnymi sprawami o charakterze biznesowym i dopiero co wrócił na łono ukochanej ojczyzny i do jej królewskiej stolicy.

– Święto Narodowe – stwierdził GeGurra z emfazą. – Każdy prawdziwy Szwed powinien je obchodzić w Szwecji. Nie wyobrażam sobie, jak mogłoby być inaczej. To obowiązek. Spędziłem dzień u znajomego przedsiębiorcy, który ma domek w skierach. Śledź, sznaps oraz Evert Taube i Jussi Björling na wysłużonym gramofonie. Zachował nawet swoją starą latrynę na wypadek, gdyby komuś przyszła do głowy taka fantazja. – Święto Narodowe obchodzi się w Szwecji. To obowiązek

każdego prawdziwego Szweda – powtórzył GeGurra.

Najwyraźniej dotyczy to również Cyganów, pomyślał Bäckström, który przed wieloma laty osobiście pomógł GeGurrze pozbyć się ostatnich śladów jego romskiego pochodzenia i szalonej młodości, gdy jeszcze jako Juha Valentin Andersson Snygg miał swoją własną kartotekę w archiwach wydziału kryminalnego sztokholmskiej policji.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał Bäckström uradowany, gdyż brązowa koperta, którą dał mu jego zaprzyjaźniony budowlaniec, znacznie już pocieniała w ciągu zaledwie kilku dni.

– Po pierwsze pomyślałem, żeby cię zaprosić na dobrą kolację – powiedział GeGurra. – Jutro wieczorem, naturalnie jeśli masz czas. Poza tym mam dla ciebie pewną propozycję.

– Doskonale – zgodził się Bäckström, który oczyma wyobraźni widział już przed sobą staroświecką kopertę od GeGurry. O grubości, o jakiej chciwy budowlaniec nigdy nie mógłby nawet pomarzyć. – Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał Bäckström.

– Tym razem wydaje mi się, że korzyść może być obopólna. Możemy pomóc sobie nawzajem – powiedział GeGurra. – Wolałbym jednak, żebyśmy porozmawiali o tym jutro. Co byś powiedział na Operakällaren jutro o ósmej wieczorem?

– Świetnie – powiedział Bäckström. Co znaczy „obopólne korzyści”, pomyślał, gdy zakończyli rozmowę. Niby w czym miałyby mi pomóc GeGurra?

63

W odróżnieniu od Bäckströma Dan Andersson spędził Święto Narodowe w swoim biurze w siedzibie głównej Säpo w wielkim budynku na Kungsholmen. Siedział tam od wczesnego ranka i naliczył łącznie około trzydziestu objętych ochroną osób, za które był tego dnia odpowiedzialny. Na szczycie listy jak zwykle figurowały osoby króla, królowej, księżnej koronnej i jeszcze czterech innych członków rodziny królewskiej.

Podobnie jak wiele razy wcześniej, również i tym razem wyglądało na to, że niepotrzebnie się martwił. Z upływem dnia mógł po kolei skreślać kolejne osoby ze swojej listy, a samą parę królewską odhaczył już około drugiej po południu. Opuścili obchody w Skansenie i udali się na późny lunch w stosunkowo bezpiecznych murach Zamku Królewskiego.

Około piątej po południu obchody w zasadzie dobiegły końca. Ponieważ nie wydarzyło się nic szczególnego, postanowił, że wróci do domu, przebiegnie zwyczajową rundkę, zażyje sauny i zakończy dzień późną kolacją w towarzystwie ukochanej małżonki. Tak się jednak nie stało. Zamiast tego został w pracy jeszcze kilka godzin, ponieważ otrzymał odpowiedź na pytanie, które zadał pionowi wywiadowczemu w związku z informacją od Jenny Rogersson na temat barona Hansa Ulrika von Comera, który najwyraźniej dostał lanie od nieznanego sprawcy na parkingu przed zamkiem Drottningholm siedemnaście dni temu.

Dno i siedem metrów mułu, pomyślał Dan Andersson, choć prawie nigdy nie myślał w ten sposób. Potem wysłał mail do swojego najwyższego przełożonego, nadkomisarz Lisy Mattei, w którym poprosił ją o spotkanie następnego dnia.

Dostał odpowiedź na komórkę już po pięciu minutach, kiedy wsiadał do windy, żeby zjechać na parking podziemny, wsiąść do samochodu i pojechać do domu w archipelagu wysp Melar. „14.00. Pzdr, LM”, i wszystko jasne, pomyślał Dan Andersson, potwierdzając, że otrzymał wiadomość. Lisa Mattei była w pracy bez przerwy, niezależnie od tego, gdzie się akurat znajdowała.

64

Gdy Ara i Omar rozstawali się w środę późnym wieczorem, Omar odprowadził go do domu i na odchodne jeszcze go uściskał, mówiąc, żeby zachował spokój. Dał mu również numer telefonu, na który mógł zadzwonić, gdyby coś się wydarzyło. Zaproponował też, żeby spotkali się nazajutrz, a on w tym czasie załatwi, co trzeba, dla przyjaciela z dawnych lat.

– Co ty na to? Wpadnę około ósmej, może zjemy razem śniadanie?

– Dobra – odpowiedział Ara. – Jutro akurat mam wolne.

Przed zaśnięciem Ara włączył komórkę i odsłuchał wiadomości, które dostał wcześniej wieczorem. Wszystkie trzy od reportera z gazety, którego głos za każdym kolejnym nieudanym podejściem brzmiał coraz groźniej.

Pierwszą wiadomość nagrał tuż przed jedenastą wieczorem. Reporter prosił, żeby Ara jak najszybciej do niego oddzwonił, ponieważ „pojawiły się pewne problemy w związku z ich wcześniejszą rozmową” i im szybciej uda im się je rozwiązać, tym lepiej dla niego i dla Ary.

Gdy nagrywał pierwszą wiadomość, wydawał się bardziej zestresowany niż wściekły, ale pół godziny później, kiedy zadzwonił po raz kolejny, był już naprawdę zły i bardziej niż trochę wstawiony. Tak jak wszyscy Szwedzi, którzy podlewali swoje emocje alkoholem niezależnie od tego, czy byli zadowoleni, smutni czy wściekli. Coś mu nie pasowało w informacji otrzymanej od Ary i dlatego – mając na uwadze przekazaną kasę – było absolutnie konieczne, żeby się natychmiast spotkali, w każdym razie on będzie dostępny przez całą noc.

Trzecią wiadomość nagrał tuż po północy i raczej trudno było mieć wątpliwości w kwestii tego, co chciał przekazać.

– No dobra, Ara. Nie wiem, co ty, kurwa, odpierdalasz, ale jeśli chciałeś naciągnąć mnie i całą gazetę, to sobie zapamiętaj. Zapomnij o kasie. Zapomnij, chłopie. To już historia, chyba że możesz nam to wszystko bardzo ładnie wytłumaczyć. A jeśli nie możesz, chcemy dostać z powrotem dwadzieścia pięć tysięcy, które już dostałeś. Inaczej pożałujesz, zobaczysz. Tak będzie lepiej dla ciebie, Ara. Zadzwoń do mnie, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość.

Co znaczy naciągnąć gazetę? – zastanowił się Ara i na wszelki wypadek znów wyłączył telefon. Mimo to zasnął dopiero po kilku godzinach. Głównie wiercił się w pościeli, nasłuchując najmniejszych odgłosów dochodzących z klatki schodowej i przedpokoju swojego mieszkania. Kiedy w końcu zasnął,

zaczęły mu się śnić koszmary i w środku nocy nagle usiadł na łóżku zlany potem i całkiem rozbudzony, ponieważ wydawało mu się, że ktoś próbuje się do niego włamać. Zakradł się do kuchni, złapał za największy nóż, jaki udało mu się znaleźć, a potem na palcach zakradł się do drzwi wejściowych i wyjrzał przez wizjer.

Na klatce schodowej było pusto i cicho. Mimo to stał tak jeszcze przez kilka minut, nasłuchując i zerkając przez judasza na wszelki wypadek, i zanim z powrotem się położył, sprawdził raz jeszcze zamek i łańcuch w drzwiach. Choć dostał numer komórki do obojga gliniarzy, redakcji popołudniówki i do swojego dawnego kumpla ze szkoły, na które mógł zadzwonić, gdyby poczuł choćby najmniejszy niepokój. Kurwa, człowieku, przestań panikować, pomyślał sam do siebie Ara, gdy poczuł, że w końcu ogarnia go sen.

Krótko po ósmej zjawił się Omar. Tryskał humorem, przyniósł śniadanie i pół tuzina zdjęć, które rozłożył między nimi na stole.

– Spójrz na tych koleśków – powiedział z uśmiechem.
– Rozpoznajesz któregoś z nich?

Fakt, wiedza to władza, pomyślał Ara i skinął głową, bo od razu rozpoznał obu mężczyzn na zdjęciu. Pierwszego, którego o mało co nie potrafił kilka dni temu, i tego drugiego, bo wielokrotnie woził go taksówką. Wiedza to bez wątpienia władza, a w przypadku Omara było to o tyle jasne, że on zawsze wiedział wszystko i wiedział to najlepiej, pomyślał Ara.

– Rozpoznajesz któregoś z nich? – powtórzył Omar.
– Tego – powiedział Ara i wziął do ręki zdjęcie mężczyzny o wąskich oczach. – To on o mało co nie wpadł mi na maskę. Kto to jest? Jak się nazywa?

– To jeden szalony Chilijczyk. Przyjechał tu ze swoją matką jeszcze jako mały chłopak. Angel Garcia Gomez, jest kompletnie pokrecony. Kumple mówią na niego pieszczotliwie Wariat, El Loco po hiszpańsku. Ma mocną pozycję w Hells Angels.

– Fajny chłopak – westchnął Ara.

– A ten? – powiedział Omar i pokazał na zdjęcie drugiego

mężczyzny leżące przed nimi na kuchennym stole.

– Wiem, kto to jest, bo go wozilem taksówką – powiedział Ara. – Fredrik Åkare.

– Były rzecznik HA w Solnie. Najlepszy kumpel Garcii Gomeza. Są jak bliźnięta syjamskie. Wszędzie chodzą razem. Jak dla mnie jest bardzo prawdopodobne, że to on kierował tamtym mercedesem, którego widziałeś. I to on oślepił cię od tyłu długimi światłami.

Robi się coraz ciekawiej, pomyślał Ara i jedynie pokiwał głową.

– Głowa do góry, Ara – powiedział Omar, szeroko się uśmiechając, i poklepał go po ramieniu. – Omar się wszystkim zajmie. Przyjaciele Omara są zawsze bezpieczni, a tym bardziej najlepszy kumpel Omara ze szkoły.

– Co robimy? – zapytał Ara. My, pomyślał. Nie ja. Co robimy?

– Wszystko załatwione. Po pierwsze postarałem się o nową metę dla ciebie. Zatrzymasz się tam do czasu, gdy będziesz mógł stąd wyjechać. Spakuj najważniejsze rzeczy, odwozę cię. Po drugie zadzwoń do pracy i weź zwolnienie chorobowe. Gdybyś potrzebował zaświadczenia lekarskiego, daj znać.

– Co z tym dziennikarzem? Bez przerwy do mnie wydzwania.

– Kasę od niego oczywiście zachowaj. Ty już swoje zrobiłeś, a jeśli on tego nie łapie, to już nie twój problem, ale jego. Daj sobie z nim spokój – powiedział Omar, włożył rękę do kieszeni i podał mu telefon. – Nowa komórka, nowe życie, nie ma się czego bać. Zgoda?

A mam jakiś wybór? – pomyślał Ara i tylko pokiwał głową.

65

Ponieważ był piątek, Bäckström postanowił, że przesunie naradę zespołu dochodzeniowego na dziesiątą rano i chociaż przyszedł do pracy na pół godziny przed umówioną godziną, żeby mieć czas na zebranie myśli, ledwo usiadł za biurkiem, a już ktoś zapukał do jego drzwi. Do środka weszła Jenny Rogersson, z kołyszającymi się piersiami i wypiekami na twarzy,

w koszulce w tym samym kolorze, i jeśli to możliwe, jeszcze bardziej podekscytowana niż wtedy, gdy spotkali się pierwszy raz cztery dni temu.

– Usiądź, Jenny – powiedział. – W czym mogę ci pomóc?
– Ciekawe, co by się stało, gdyby wzięła głębszy oddech i trochę bardziej pochyliła się do przodu, pomyślał.

– Jestem pewna, że mamy przełom w śledztwie, szefie – powiedziała Jenny, pochyliła się i poprawiła bluzkę, jednocześnie kładąc na jego biurku plastikową koszulkę z dokumentami. – Zrobiłam rano zestawienie, gdyby szef chciał omówić to na naradzie. Sama nie wierzę, że to może być prawda – dodała.

– Lepiej przejdź do rzeczy, Jenny – powiedział Bäckström, uraczył ją pół-Clintem, odchylił się w fotelu i oparł stopy na biurku, krzyżując na wszelki wypadek nogi.

– Odezwał się nasz świadek.

– Który? – zapytał Bäckström. Mieli ich już jakąś setkę, z czego może chociaż kilkoro miało szanse nie okazać się kompletnymi mitomanami.

– Nasza anonimowa świadek. Kobieta z Drottningholm, która widziała, jak ten szlachcic został pobity katalogiem aukcyjnym. Napisała list, przyszedł dzisiaj rano. Rozpoznała sprawcę na zdjęciu w gazecie. Jest przekonana, że to on.

– I kto to jest? – zapytał Bäckström, choć domyślał się, jaka będzie odpowiedź.

– Adwokat Thomas Eriksson. Nasza ofiara zabójstwa – powiedziała Jenny Rogersson. – Sprawdziłam numery rejestracyjne jego auta. Te dziewiątki na końcu, o których ta kobieta wspominała. Zgadza się, na sto procent – powiedziała Jenny, na wszelki wypadek stukając w plastikową koszulkę z dokumentami, którą przed nim położyła.

– Dziewiątki na końcu? – O czym ona, kurwa, mówi, pomyślał.

– Tablica rejestracyjna na samochodzie sprawcy – wyjaśniła.
– Jak pewnie szef pamięta, nasza świadek napisała – to znaczy nasza anonimowa świadek, kiedy odezwała się po raz pierwszy – że choć nie pamięta numeru rejestracji, jest niemal pewna, że na końcu była jedna lub dwie dziewiątki.

– A więc sprawdziłaś numery wozu Erikssona? – zapytał Bäckström.

– *Sure, boss* – powiedziała Jenny Rogersson, uśmiechnęła się i wzięła z powrotem kartki, które mu podała. – Dostaliśmy te dane już w poniedziałek. Jego samochody stały w garażu domu, w którym został zamordowany. Wygląda na to, że Eriksson dysponował dwoma autami. Zielonym angielskim jeepem range roverem, którego był właścicielem, oraz czarnym audi A8 należącym do jego kancelarii, którego numer rejestracyjny to XPW 299. Prawda, że mam rację?

– Na to wygląda – powiedział Bäckström. – Choć trudno mi uwierzyć, że ta ciota od antyków zamordowała Erikssona. – Co najwyżej siedział na kanapie i zrobił w gacie, pomyślał.

– Tak – powiedziała Jenny, potakując gorączkowo. – To się nie zgadza. Co prawda nigdy go nie spotkałam osobiście, rozmawialiśmy tylko przez telefon, ale on mi nie pasuje. Brzmi jak taki, co zadziera nosa. Wydaje mi się więc, że co do tego się pomyliliśmy. Jeśli szef sobie życzy, mogę wyjaśnić, w jaki sposób udało nam się ustalić związek pomiędzy Erikssonem i tym von Comerem.

– Jak chcesz – powiedział Bäckström. Jacy my i jaki związek, pomyślał.

– Z początku pomyślałam, że to ta starsza pani z królikami, ta Astrid Elisabeth Linderoth. Wtedy było dla mnie jasne, że istnieje związek między zabójstwem Erikssona i tym, że najwyraźniej to on poturbował tego szlachcica na parkingu, ale potem przyszło mi do głowy, że przecież ona też jest ofiarą, w końcu zabrano jej królika.

– Chwila – przerwał Bäckström. – Przecież to ta Fridensdal postarała się o to, żeby go jej zabrano. Chcesz powiedzieć, że za wszystkim stoi Fridensdal? – Robi się coraz lepiej, pomyślał.

– Nie – powiedziała Jenny i pokręciła zdecydowanie głową. – Fridensdal też mi nie pasuje. Zresztą jej też groził ten okropny typ, przeciw któremu nie chciała zeznawać. Musi być ktoś jeszcze, jakiś nieznan sprawca, którego jak dotąd nie namierzyliśmy, a który stoi za zabójstwem Erikssona, pobiciem na parkingu, zabraniami staruszki królika i groźbami wobec tej

przyjaciółki zwierząt, Fridensdal, która na nią naskarżyła. Jeśli uda nam się znaleźć tę osobę, jestem przekonana, że wszystkie elementy układanki trafią na swoje miejsce.

Bäckström pokiwał głową. Najpierw dwóch pedałów bije się na parkingu, potem jakiejś starej wariatce odbierają królika wskutek donosu sąsiadki, której z kolei wygraża prawdziwy zbój, a na koniec zostaje zamordowany adwokat, na którego zwłokach ktoś na wszelki wypadek jeszcze się wyżywa. Za tym wszystkim stoi najwyraźniej ten sam nieznany sprawca. Z taką główką Jenny zasługuje na jedenaście punktów na dziesięciopunktowej skali bara-bara, pomyślał.

– Co teraz robimy, szefie?

– Myślę, że zrobimy tak – odpowiedział Bäckström i na wszelki wypadek zdjął nogi z biurka, zanim supersalami nie zaczęło się prężyć na dobre. – Na razie to, co powiedziałaś, zostanie między nami. Nikomu z pozostałych ani słowa.

– W porządku – zgodziła się Jenny.

– Doskonale, no to na razie tyle – powiedział Bäckström. Nie będę musiał patrzeć, jak Ankan targa cię za uszy, pomyślał.

– Ostatnie pytanie, szefie – powiedziała Jenny.

– Słucham – odpowiedział Bäckström.

– Co robimy z Säpo? Powinniśmy ich chyba o tym powiadomić? Zgodnie z ich instrukcją jesteśmy do tego zobowiązani.

– Oczywiście – powiedział i pokiwał ciężko głową.

– Naturalnie musimy poinformować Säpo. To by dopiero było. Najlepiej od razu prześlij im swoje zestawienie. – Niech pantoflarze mają o czym myśleć przez weekend. Mogą z tego fagasa od antyków zrobić nowego Haijby’ego, pomyślał.

– Nie ma sprawy, mam już gotową notatkę – powiedziała Jenny, skinęła głową i zamachała w powietrzu papierami, które trzymała w ręku. – Zrobię to od razu.

– Świetnie – odpowiedział. – A teraz wybac. Muszę się przygotować przed następnym spotkaniem.

Jedenaście punktów to za mało, pomyślał, gdy już zamknęła za sobą drzwi. Jenny zasługuje na dwanaście, drugiej takiej głowy ze świecą szukać.

Dan Andersson był człowiekiem skrupulatnym. Kiedy poprzedniego dnia poprosił Lisę Mattei o spotkanie, przesłał jej również mailem krótką notatkę. Ponieważ miał umiejętność ograniczania swoich wypowiedzi do najważniejszych informacji, potrzebował niecałych dwóch stron na przekazanie swojej przełożonej wszystkiego, co najistotniejsze. Sprawa nie była najwyższej rangi, notatkę wysyłał wyłącznie do jej informacji, na wszelki wypadek, gdyby sprawy potoczyły się jednak w nieprzewidzianym i niekorzystnym kierunku.

Na początek opisał w skrócie osobę, której sprawa dotyczyła. Baron, lat sześćdziesiąt trzy, historyk sztuki z doktoratem. Żonaty od ponad trzydziestu lat z tą samą kobietą, ojciec dwóch dorosłych córek, obu zamężnych. I co było w tych okolicznościach najważniejsze – nie należał do najbliższego otoczenia pary królewskiej, choć znał oboje osobiście i często spotykał ich prywatnie. Od dwudziestu lat wraz z żoną wynajmował willę, która znajdowała się jakieś dwieście metrów od pałacu Drottningholm i należała do firmy zarządzającej dworskimi nieruchomościami, a powodem, dla którego znaleźli się w tak ekskluzywnym towarzystwie, było to, że jego żona pochodziła z bardzo znamienitej rodziny.

Pomimo szlacheckiego pochodzenia Hans Ulrik von Comer nie posiadał żadnego znaczącego majątku ani nieruchomości, co było powodem zmartwienia dla jego przyszłego teścia, kiedy von Comer poprosił go o rękę jego najmłodszej córki. Po chwili wahania dał jednak za wygraną. Miał cztery córki i jednego syna, który był uprawniony do dziedziczenia wielkiego majątku znajdującego się w rękach rodziny od jakichś trzystu lat. Sprawą najwyższej wagi było dla niego przetrwanie rodu, podtrzymanie dziedzictwa przez najstarszego syna i zachowanie ziemi, którą posiadali.

Tak było od ponad trzystu lat i mieli nadzieję, że będzie tak również w najbliższym czasie, pomimo wszystkich niepokojących znaków, które do nich docierały. Dziesięć lat

temu teść von Comera zmarł w godnym pozazdroszczenia wieku dziewięćdziesięciu lat, ale ponieważ jego syn kierował się w życiu zasadami od lat przyświecającymi całej rodzinie, swoją ziemską wędrówkę zakończył w pogodnym nastroju. Jego najstarsze dziecko, jedyny syn, był kolegą z dzieciństwa i bliskim przyjacielem Jego Królewskiej Wysokości. Na tyle bliskim, żeby móc liczyć z jego strony na drobny podarunek w postaci położonego nieopodal pałacu Drottningholm mieszkania dla swojej najmłodszej siostry i szwagra, który nie miał w życiu tyle szczęścia co oni.

Po tej krótkiej charakterystyce osoby, której sprawa dotyczyła, Dan Andersson przeszedł do dwóch wydarzeń, które martwiły go do tego stopnia, że widział powód, żeby opowiedzieć o nich swojej przełożonej. Najpierw incydent na parkingu przed Slottsteater w niedzielę wieczorem dziesiętnastego maja, o którym komenda w Solnie poinformowała Säpo. Opis zdarzenia Dan Andersson zawarł w piętnastu wierszach i choć podzielał zdanie koleżanki Rogersson, że baron – choć może mało godny zaufania – został wystawiony na akt poważnego naruszenia nietykalności osobistej czy wręcz pobicia, czuł się w obowiązku podzielić tą wiedzą z Lisą Mattei. Całą sprawę przesądzała inna obserwacja, którą przekazał mu ich pion wywiadowczy w związku z jego prośbą o udostępnienie wyników kontroli osobistej von Comera.

W piątek trzydziestego pierwszego maja król i królowa wydali kolację w pałacu Drotthingholm dla około pięćdziesięciorga gości, z czego większość stanowili ich przyjaciele, i choć nie było to bardzo duże zgromadzenie, wielu z nich było na tyle ważnych, że spokoju tego wieczoru musiało strzec łącznie ośmiu ochroniarzy. Bawili się lepiej, niż funkcjonariusze Säpo pierwotnie zakładali. Przyjęcie skończyło się grubo po północy, a około dziesiątej wieczorem dyżurny sekcji ochrony dostał polecenie zmiany dwojga ochroniarzy, którzy byli na służbie od rana i którzy następnego dnia też mieli pracować na porannej zmianie.

Z powodów, których próżno było szukać w raporcie, jaki

wyłądował na biurku Dana Anderssona, dwoje kolegów odesłanych do domu na spoczynek postanowiło zakończyć wieczór przejażdżką po kwartale zabudowy otaczającej zamek. Pewnie po to, by raz jeszcze rozejrzeć się w terenie, skoro i tak mieli po drodze, pomyślał Dan Andersson, który cenił sobie tego rodzaju drobne inicjatywy.

Kiedy mijali dom, w którym mieszkał baron von Comer, poczynili obserwację, na podstawie której jeszcze tego samego wieczoru opracowali raport.

Barona von Comera odwiedziło dwóch mężczyzn, z którymi tacy jak on raczej nie powinni mieć nic wspólnego. Baron i jego dwóch gości stali w ogrodzie przed uchylonymi drzwiami von Comera. Zanim się rozstali, podał im obu rękę, choć ze zdjęć zrobionych przez ochroniarzy równie dobrze mogło wynikać, że to goście, a nie von Comer wyszli z inicjatywą i pierwsi wyciągnęli dłonie na pożegnanie.

Jedną z dwojga ochroniarzy, niedawno zatrudnioną w wydziale, była trzydziestoletnia komisarz kryminalna. Nazywała się Sandra Kovac i przez dziesięć lat w policji pracowała wyłącznie jako śledcza. Po ukończeniu szkoły policyjnej od razu rekrutowała się do oddziałów Säpo i kilka lat później przeszła wraz ze swoim szefem do pionu dochodzeniowego wydziału kryminalnego komendy głównej. Pracowała tam w zespole, który miał za zadanie obserwować około stu najbardziej wyrafinowanych przedstawicieli przestępczości zorganizowanej w kraju.

Wśród kolegów Sandra Kovac cieszyła się wyjątkowo dobrą opinią. Posiadała wszystkie cechy, które charakteryzowały śledczego pierwszej klasy – miała doskonałe rozpoznanie środowiska przestępczego i nie przebierała w środkach. Od razu też rozpoznała obu gości von Comera.

– Cholera jasna. Podjedź bliżej i zatrzymaj samochód, żebym mogła zrobić kilka zdjęć – powiedziała Kovac, sięgając po aparat, który leżał przed nią na podłodze przed fotelem pasażera.

– Nie wiedziałem, że robisz dla portali plotkarskich – westchnął jej starszy kolega, który już od wielu godzin myślał

tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się we własnym łóżku. Ponieważ jednak Kovac była, kim była, zrobił, co kazała. Wjechał na wolne miejsce parkingowe i zgasił światła, zajmując bezpieczną pozycję w odległości stu metrów dalej.

– Ten w niebieskiej marynarce to baron Hans Ulrik von Comer – powiedziała. – Jeśli mi nie wierzysz, możesz zajrzeć do dowolnego ze szmatławców, o których wspomniałeś. To chyba jeden z największych darmozjadów w tym kraju. Szczerzy zęby na lewo i prawo, gdzie tylko dają darmowe żarcie i picie. Zresztą chrzanić go – dodała, robiąc pierwsze zdjęcia. – Chodzi mi o tę dwójkę.

– Kto to jest? – zapytał jej kolega. – Oczywiście nie mam pojęcia, ale sądząc po ich wyglądzie, raczej nie mieszkają w okolicy. Nie wyglądają też na tak zwanych kolegów króla, o których rozpisują się brukowce.

– HA – powiedziała Kovac. – Cały i Połówka na motocyklu. Ten wielki w skórzanej kurtce, ten z kitką, to Fredrik Åkare, a ten drugi, o połowę niższy, który waży jedyne dziewięćdziesiąt kilo, to jego najlepszy kumpel. Nazywa się Angel Garcia Gomez. Bardziej znany jako Wariat, El Loco. To pieszczotliwe określenie, jeśli chcesz wiedzieć.

– Rozumiem. W takim razie chciałem cię o coś prosić.

– O co? – zapytała Kovac, obróciła obiektyw i zrobiła kilka ostatnich zdjęć, po czym odłożyła aparat na podłogę.

– Napisałabyś raport? Chciałbym już jechać do domu się przespać.

– Spoko – powiedziała Kovac i wyjęła komórkę. – Zacznę pisać już teraz, a ty jedź za nimi, chcę wiedzieć, dokąd pójdą.

– Czytałem w sieci, że HA planuje jakiś zlot w Skanii w najbliższy weekend. Może więc tam...

– Nie sądzę – przerwała Sandra Kovac. – Raczej pojedą przez most i dalej do domu, do swojego klubiku koło lotniska Bromma.

– Miałaś rację – stwierdził kolega Kovac piętnaście minut później, gdy Åkare i Garcia Gomez otworzyli furtkę w wysokim, zwieńczonym drutem kolczastym ogrodzeniu, które otaczało ich lokal klubowy w Ulvsundzie, a następnie zniknęli z kadru

i z pola widzenia koleżance Kovac.

– Oczywiście, że miałam rację, mam też niezłe zdjęcia – stwierdziła Sandra Kovac, która zasłużyła na swoją opinię.

„Prywatne kontakty barona Hansa Ulrika von Comera mogą więc budzić pewne wątpliwości” – napisał inspektor Dan Andersson w podsumowaniu notatki, którą przesłał do swojej przełożonej. Na poparcie zawartych w niej informacji dołączył zdjęcia zrobione przez koleżankę Kovac, jak również raport, który spisała jeszcze tego samego wieczoru.

Następnego dnia przed południem – cztery godziny przed planowanym spotkaniem inspektora Dana Anderssona z nadinspektorem Lisą Mattei – funkcjonariusze policji z Solny odezwali się ponownie i Dan Andersson musiał odwołać lunch, ponieważ informacje, które zamierzał przekazać swojej szefowej, właśnie nabrały statusu priorytetowych dla bezpieczeństwa publicznego, co z kolei powodowało, że wymagały znacznie szerszego wyjaśnienia.

Robi się coraz gorzej, pomyślał Dan Andersson i westchnął, choć wiedział, że zwykle niepotrzebnie się martwił.

67

Piątkową naradę zespołu dochodzeniowego Bäckström rozpoczął tak, jak to miał w zwyczaju. Ta sama mowa ciała, te same myśli i słowa. Usiadł przy krótszym boku długiego stołu, poprawił się na krześle, pochylił do przodu, zaparł łokciami o blat, z dłońmi pod brodą, i zmierzył wzrokiem zebranych. Po takim wstępie nie było wątpliwości, co dalej nastąpi.

Dzień po Święcie Narodowym jego zespół był wyraźnie odchudzony, najpewniej wszyscy myśleli jedynie o tym, jak wyrwać dodatkowy dzień wolny i urządzić sobie weekend od środy do poniedziałku. Lenie śmierzące, cały tydzień w plecy, pomyślał Bäckström, ponieważ jednak wśród nieobecnych znaleźli się zarówno Alm, jak i Andersson-Trygg, postanowił nie robić z tego zagadnienia.

– Okej – zaczął. – Czy wydarzyło się coś nowego?

– Owszem – powiedział Peter Niemi. – Wyobraźcie sobie, że

dostaliśmy odpowiedź z CLK. Przyszła godzinę temu. Dotyczy DNA z próbki krwi, którą zabezpieczyliśmy na drzwiach na taras.

– Garcia Gomez – powiedział Bäckström, bo miał przed oczami jego portret pamięciowy.

– We własnej osobie – przytaknął Niemi. – Wynik wskazuje jednoznacznie na Angela Garcie Gomeza, a prawdopodobieństwo, że mógłby to być ktoś inny, jest mniejsze niż jeden do liczby mieszkańców całej planety. Co zresztą nie powinno nas dziwić, jeśli weźmiemy pod uwagę portret pamięciowy i zeznania taksówkarza dotyczące utykającego mężczyzny.

– Okej – powiedział Bäckström. – W takim razie powiedzcie mi, jak jego krew znalazła się na drzwiach tarasu Erikssona.

– Rysuje mi się następujący scenariusz – zaczął Niemi. – Garcia Gomez i jego kierowca, pewnie któryś z zaprzyjaźnionych z nim motocyklistów, obstawiałbym Fredrika Åkarego... No więc Garcia Gomez wraz z kierowcą zjawiają się u Erikssona około drugiej w nocy. Co najmniej jeden z nich – Garcia Gomez – wchodzi do domu. Drzwi zewnętrzne są otwarte, Eriksson już nie żyje. Garcia Gomez się wścieka. Dlaczego – nie wiem. W każdym razie roztrzaskuje Erikssonowi czaszkę. Pies, który siedzi na tarasie, wpada w szal i Garcia Gomez wychodzi, żeby go uciszyć. Tłucze go po plecach tym samym narzędziem, którego użył, miażdżąc głowę Erikssonowi, a na koniec podrzyna zwierzęciu gardło. Przy tej okazji pies gryzie go w udo. Po wszystkim Gomez natychmiast wychodzi z domu. Nic nie wskazuje na to, żeby czegoś szukał w mieszkaniu.

– Pozostaje to, co zawsze – powiedział Bäckström, odchylił się na krześle i złożył ręce w piramidkę. – Jak myślicie, jak będzie się wykręcać?

– Jego krew znalazła się tam podczas wcześniejszej wizyty u Erikssona – odezwała się Felicia Pettersson. – Co oczywiście jest kłamstwem, ale trudno to udowodnić, ponieważ próbka DNA nie jest datowana.

– No nie jest – przyznała Annika Carlsson. – Kto wie, może

to nawet my zostawiliśmy ślad jego DNA na miejscu przestępstwa. Gorsze rzeczy słyszałam od jemu podobnych.

– No tak – Bäckström wzruszył ramionami. – Największy problem jest jednak w tym, że Garcia Gomez... z bardzo dużym prawdopodobieństwem... ma alibi na czas popełnienia przestępstwa. Obrażenia, które może mieć na ciele, jeśli będziemy mieć szansę je obejrzeć, mogły się pojawić w związku z turniejem, w którym brał udział, podczas gdy ktoś inny znęcał się nad naszą biedną ofiarą.

– Ale po turnieju ran gryzionych raczej nie ma – zaprotestował Stigson, bo zdarzało mu się oglądać sporty w telewizji. – Po turnieju sztuk walki, rzecz jasna. Założmy, że udałoby się jakimś trafem dopasować kształt uzębienia tego kundla do kształtu rany na udzie Garcii Gomeza.

– I tak ma alibi na czas popełnienia przestępstwa – przerwał Bäckström. – Poza tym nawet gdyby się przyznał, że był w domu Erikssona, tłumaczyłby, że tylko się bronił przed szalonym psem, który nagle na niego skoczył. Znęcanie się nad zwierzętami w tym wypadku nie wystarczy. Dajcie mi coś lepszego – dodał i łypnął na Stigsona.

– Jak chcesz, mogę go dla ciebie zatrzymać – powiedziała Lisa Lamm i kiwnęła przyjaźnie do Bäckströma. – Choćby po to, żeby zaczął się wykręcać, używając tych argumentów, które podaliście. Słyszałam już wiele podobnych.

Całkiem ładna, pomyślał Bäckström. I wcale nie głupia, zwłaszcza że było to pierwsze, co powiedziała od czasu, gdy dołączyła do ich narad.

– Bardzo dziękuję – powiedział Bäckström. – Byłoby jednak lepiej, gdybyśmy jeszcze poczekali z dzień albo dwa. Chciałbym mieć na niego coś więcej, zanim go wsadzimy do aresztu.

– Zajmę się tym – powiedziała Nadja.

– Czasem nie warto się spieszyć – powiedział Bäckström i westchnął na wszelki wypadek. Ktoś taki jak Garcia Gomez raczej nam nie ucieknie. – Przygotujcie wszystko, co na niego mamy, żebyśmy mieli o czym gadać, kiedy wsadzimy go do pierdła. Wiecie, czy ma srebrnego mercedesa?

– *Niet* – odpowiedziała Nadja z uśmiechem. – To znaczy

„nie” po rosyjsku, gdybyście nie wiedzieli. Już to sprawdziliśmy. Ani on, ani jego dobry przyjaciel Fredrik Åkare, a stwierdziliśmy to, zestawiając listę potencjalnych sprawców z listą samochodów. Jak pewnie pamiętacie, Åkare pojawił się w dochodzeniu już podczas naszych rozmów z kolegami z kancelarii Erikssona, dlatego na wszelki wypadek zajęliśmy się wszystkimi z jego otoczenia i przy tej okazji wypłynęło nazwisko Angela Garcii Gomeza. Co się tyczy samochodu, mamy jeszcze niecałą setkę do sprawdzenia i zrobimy to już ręcznie. Poza tym zajęliśmy się finansami Erikssona. Za to jest odpowiedzialny kolega Bladh.

– Coś jeszcze? – zapytał Bäckström.

– Sprawa jest w toku – odpowiedziała Annika Carlsson.

– Moim zdaniem Fredrik Åkare i Garcia Gomez wiedzą, jak się sprawy mają. Pomimo tak zwanego alibi Garcii Gomeza.

– Tym bardziej powinniśmy znaleźć coś, czym moglibyśmy mu dowalić – powiedział Bäckström, który zaczynał już błądzić myślami gdzie indziej. Tęsknił za swoimi piątkowymi rytuałami, za dobrym lunchem, za Panną Piątek, wzmacniającą drzemką, po której planował wieczór w towarzystwie GeGurry. Za godnym końcem tygodnia wypełnionego ciężką policyjną pracą, za lepszym światem po prostu.

– Co z weekendem? – zapytała Annika Carlsson.

– Jak to co? Ja pracuję. – No i po co pytałaś, pomyślał.

– Chodziło mi o to, czy się spotykamy.

– Następną narada w poniedziałek. W razie czego zawsze możemy się przecież dzwonić.

– Może być poniedziałek o dziewiątej? – zapytała Annika.

– Jasne – Bäckström wzruszył ramionami. – Nie będę was przecież wyciągać z łóżka w środku nocy. Chciałbym jednak, żebyśmy jedną sprawę załatwili tu i teraz. Chodzi o tego świadka, taksówkarza. Przywieźcie go tu, pokażcie zdjęcia i dopilnujcie, żeby wreszcie wskazał Garcie Gomeza.

– Myślisz, że to zrobi? – zapytała Annika Carlsson.

– Rozmawialiśmy z nim już cztery razy.

– W takim razie zróbcie coś, żeby zmienił zdanie – powiedział Bäckström. – To nie powinno być takie trudne,

skoro już dał nam dokładny opis do portretu pamięciowego. Przecież to oczywiste, że widział Garcíę Gomeza. Rzecz w tym, że nie ma odwagi się do tego przyznać.

– Może mogłabym w czymś jeszcze pomóc? – zapytała Lisa Lamm.

– Zadzwoń do tego lekarza sądowego i zapytaj, co on, kurwa, odstawia – powiedział Bäckström.

– Już to zrobiłam – odpowiedziała Lisa Lamm. – Razem ze swoim kolegą ciągle się zastanawiają. Nie zmienia jednak swojej wyjściowej opinii, przynajmniej na razie. Eriksson zmarł wskutek działania osoby trzeciej i wskutek uderzenia ciężkim przedmiotem w głowę i kark. Ponieważ uszkodzenia mają skomplikowaną postać, a do niektórych obrażeń doszło kilka godzin po śmierci, poprosił kolegę o opinię. To tyle w dużym skrócie. Obiecał nam, że przedstawi ostateczny opis po weekendzie. W tej kwestii nie mamy więc żadnych nowości.

– No dobra – powiedział Bäckström, przesuwając wzrokiem po zebranych. – Na co czekacie? Do roboty. – Lenie śmierzące, pomyślał.

68

W czasie gdy Bäckström prowadził naradę swojego zespołu dochodzeniowego, Dan Andersson pochłonięty był swoimi sprawami. Najpierw skrócił nazbyt rozbudowaną informację autorstwa Jenny Rogersson do półstronicowej syntetycznej notatki. Następnie zamyślił się, porównując portret pamięciowy ich potencjalnego sprawcy ze zdjęciami, które z ukrycia zrobiła koleżanka Kovac. Choć nie był entuzjastą portretów pamięciowych, zaskoczyło go uderzające podobieństwo, zadzwonił więc do Kovac na komórkę i zapytał, czy mogłaby do niego wpaść. Najlepiej od razu.

– Jestem w drodze do komendy. Musimy się z kolegą zamienić samochodami, mogę u ciebie być za pół godziny – powiedziała Kovac.

Czekając na Kovac, zadzwonił do Jenny Rogersson, żeby spytać, czy pojawiło się coś nowego podczas ostatniej narady

zespołu dochodzeniowego.

– Rano dostaliśmy odpowiedź z CLK – powiedziała Rogersson. – Dotyczy próbki DNA pobranej z krwi pozostawionej na drzwiach werandy Erikssona przez osobę, którą mamy w kartotekach. Nazywa się Angel Garcia Gomez i jego DNA pozwala go powiązać przynajmniej z mieszkaniem Erikssona. Prześlę ci to, co na niego mamy. Możesz to dostać w ciągu godziny.

– Miło z twojej strony – powiedział Dan Andersson. – Chętnie przeczytam.

– No a poza tym same problemy, jak zawsze.

– Słucham – odpowiedział Dan Andersson.

Kwadrans później skończył rozmowę z Rogersson i gdy zabrał się do spisywania tego, co powiedziała, do jego drzwi zapukała Kovac. Dwie minuty później zbierała się już do wyjścia, a w międzyczasie rzuciła tylko krótkie spojrzenie na portret pamięciowy, który podał jej Dan Andersson.

– Przecież to jest Garcia Gomez – stwierdziła. – W czym problem?

– W tym, co zawsze – powiedział Dan Andersson i wzruszył ramionami.

– Aha – powiedziała Kovac. – No nic, na pewno wszystko się wyjaśni.

– Miejmy nadzieję – uśmiechnął się Dan Andersson.

– Dzięki, że zerknęłaś.

– Nie ma za co – powiedziała Kovac. – Miłego weekendu.

Opracowana przez Dana Anderssona ostatnia wersja jego notatki zawierała cztery punkty i miał nadzieję, że zdąży je przedstawić Lisie Mattei, zanim pojawią się nowe okoliczności, które spowodują, że znowu będzie musiał wszystko przepisywać.

W niedzielę dziewiętnastego maja adwokat Thomas Eriksson naruszył godność osobistą – lub też pobił – barona Hansa Ulrika von Comera. Dwanaście dni później, około godziny dziesiątej wieczorem w piątek trzydziestego pierwszego maja, Hans Ulrik von Comer spotkał się z Garcia Gomezem i Fredrikiem Åkarem u siebie w domu nieopodal pałacu

Drottningholm. Jeszcze dwa dni później Eriksson został zamordowany w swoim domu w Brommie. Garcia Gomez był widziany na miejscu zbrodni zaledwie kilka godzin po dokonaniu zabójstwa. Świadczyły o tym zeznania świadka i ślady DNA. To, że prokurator wolała zaczekać z wydaniem decyzji o zatrzymaniu, wynikało z procedur dochodzenia, a pytanie, które się przy okazji wylaniało, wymagało od Dana Anderssona decyzji lub przynajmniej odpowiedzi, która nie leżała w jego kompetencjach.

Następnie przesłał mailem swoją notatkę i poprosił o jeszcze jeden kwadrans jej drogiego czasu. Odpowiedź przyszła po minucie: „Możesz wpaść teraz. Pozdr LM” – i po pięciu minutach siedział już na krześle dla gości przed szerokim biurkiem Lisy Mattei.

69

Po skończonej naradzie Bäckström zaszył się w swoim pokoju. Zbliżała się dwunasta – najwyższy czas, żeby pokończył bieżące sprawy i przeniósł się z komendy w jakieś bardziej cywilizowane otoczenie.

Na początek przełożył z miejsca na miejsce sterty papierów na swoim biurku. Następnie rozrzucił plik najświeższych dokumentów na biurku przed swoim fotelem. Pokiwał zadowolony głową. Nawet dywersanci, których zarząd policji z pewnością ulokował gdzieś w pobliżu jego gabinetu, powinni odnieść wrażenie, że przy tym biurku siedzi wyjątkowo zajęty człowiek, pomyślał Bäckström, i w tym momencie dobiegło go charakterystyczne pukanie do drzwi, które mogło oznaczać tylko jedno.

– Siadaj, proszę, Annika – powiedział Bäckström, udając, że jest pochłonięty czytaniem dokumentów, choć jego koleżanka zdążyła już zająć miejsce na krześle dla gości. – W czym mogę ci pomóc? – dodał, odsunął na bok kartki i skinął uprzejmie głową.

– Nasz świadek, ten taksówkarz – powiedziała Annika Carlsson.

– Co z nim? – zapytał Bäckström.

– Szukamy go od dwóch dni. Nie odezwał się, choć obiecał Ekowi, że stawi się na kolejne przesłuchanie. Mam złe przeczucia, cholernie złe przeczucia.

– Po kolei – zaproponował Bäckström.

Od dwóch dni Ek i pozostali odpowiedzialni za prowadzenie przesłuchań członkowie zespołu próbowali się skontaktować z Arą Dostim. Dzwonili do niego co najmniej kilkanaście razy i za każdym razem nagrywali mu się na pocztę, ale bez odzewu. Zadzwonili do jego pracy, gdzie powiedziano im, że jest na zwolnieniu lekarskim, ale obiecał, że odezwie się po weekendzie, kiedy poczuje się trochę lepiej. Zgodnie z tym, co powiedział pracodawcy, nabawił się ostrego przeziębienia i z troski o zdrowie swoje i klientów postanowił przez kilka dni zostać w domu.

– No to w czym problem? – Bäckström wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że żyje. Wczoraj w każdym razie żył. – Coś jest na rzeczy, biorąc pod uwagę tych wszystkich idiotów, którzy kręcili się wokół, pociągając nosami i narażając moje zdrowie, pomyślał.

– Problem w tym, że moim zdaniem dał nogę – powiedziała Annika Carlsson i spojrzała przeciągle na Bäckströma.

– Lub zwyczajnie wyłączył telefon.

– Poprosiłam Stigsona i jego kolegę, żeby pojechali do jego mieszkania w Kiście. Byli tam wczoraj wieczorem, nikogo nie zastali. Podobnie dziś rano. Ani śladu Ary Dostiego. W mieszkaniu jest cicho, światło jest zgaszone.

– Co nie znaczy, że nie kuruje się u mamusi albo swojej dziewczyny – nie odpuszczał Bäckström.

– Nie sądzę. Z jego matką już rozmawialiśmy, nie słyszeli się prawie od miesiąca. Nawet nie zapytała, czy powinna się martwić. Zdaje się, że nie ma dziewczyny. Stigson rozmawiał z jednym z jego sąsiadów, podobno widział go wczoraj rano. Wsiadł do samochodu z jakimś mężczyzną w podobnym wieku, którego sąsiad nie rozpoznał. Potem odjechali. Nasz taksówkarz miał ze sobą dwie walizki, które wrzucił do bagażnika samochodu. Nie wyglądał na chorego. W każdym razie nie zdaniem sąsiada. Numeru rejestracyjnego tego auta

nie mamy.

– Być może rozmawiał z jakąś gazetą, dostał parę tysięcy za fatygę, kupił *last minute* i pojechał do ciepłych krajów do czasu, aż się uspokoi – podsunął Bäckström. – To by tłumaczyło, skąd jego znajomy dziennikarz śledczy miał informację, że Angela Garcíę Gomeza widziano na miejscu zdarzenia. – Na szczęście raczej nie wiedział wiele więcej, pomyślał Bäckström.

– Nie wierzę – powiedziała Annika Carlsson. – Przecież sprawa zabójstwa Erikssona jest na pierwszych stronach gazet już od tygodnia, gdyby którykolwiek z tych pismaków wiedział o Gomezie, zaraz by to opublikował.

– Możliwe – powiedział Bäckström. – Bardzo możliwe. A może jeszcze nie zdążyli zweryfikować tej informacji. Albo sprawdzili ją i znaleźli to samo alibi co my. Czyli że Garcia Gomez w niedzielę wieczorem brał udział w turnieju sztuk walki. Wiesz, nabrali wody w usta.

– Może, Bäckström. Problem w tym, że widzę jeszcze jedną możliwość, która nie wydaje się zachwycająca.

– To znaczy?

– Rozmawiałam z Taxi Stockholm i z właścicielem firmy, w której pracuje Ara. Do Taxi Stockholm dzwoniłam wczoraj. Według operatorki już dwa dni wcześniej, we wtorek, zadzwonił do niej ktoś z naszych i pytał o nazwisko taksówkarza, który jechał konkretną taksówką z niedzieli na poniedziałek. Traf chciał, że numer tamtej taksówki zgadzał się z numerem samochodu prowadzonego przez naszego świadka.

– I co odpowiedziała? – Niedobrze, pomyślał.

– Przekierowała go do firmy, do której należy samochód. Przed chwilą z nimi rozmawiałam. Rzeczywiście ktoś dzwonił do nich w środę rano.

– I co mówią?

– To samo, z tą tylko różnicą, że podali temu rzekomemu policjantowi nazwisko i adres świadka.

– A ten policjant jakoś się nazywa? – zapytał Bäckström.

– Nie – odpowiedziała Annika Carlsson. – W każdym razie nikt go nie pamięta. Nasza informatorka w Taxi Stockholm jest przekonana, że się nie przedstawił. Podobno mówił w taki

sposób, w jaki często mówią nasi ludzie.

– Okej. A może po prostu wyprzedził nas któryś z naszych kolegów? Falstart na pierwszej fali emocji po nadejściu radosnej nowiny o przedwczesnej śmierci adwokata?

– Nie. Pytałam wszystkich, kręcą tylko głowami. Zresztą po co mieliby to robić. Przecież ten świadek sam się do nas zgłosił już w poniedziałek po południu. Co oznacza, że szuka go ktoś inny, i tym razem wydaje mi się, że nie jest to zwykły dziennikarz, który węszy i podaje się za policjanta. Tym razem może być znacznie gorzej.

– Garcia Gomez, Åkare? – podsunął Bäckström.

– No tak – powiedziała Annika. – Pewnie właśnie oni. Jeśli ten, który siedział w mercedesie, kiedy nasz świadek o mało co nie wjechał w Garcie Gomeza, zdążył włączyć długie światła i wycelować reflektory w bagażnik, na pewno zdążył też spisać numer jego taksówki. Albo numer na dachu. Na pewno był podświetlony, bo taksówka była wolna i gotowa do przyjęcia kolejnego zlecenia.

– Na pewno – powiedział Bäckström. Niedobrze, naprawdę niedobrze, pomyślał. Tylko co to ma wspólnego ze mną, zaraz i tak zacznym ucztę i weekend. Niech tylko ta baba przestanie gadać.

– Co robimy? – zapytała Annika Carlsson.

– To, co zawsze – powiedział Bäckström. – Trzeba pogadać z prokuratorem, żeby wydał nakaz przesłuchania tego świadka. Znajdźcie go jakoś, złapcie sukinsyna najszybciej, jak się da. Trzeba go doprowadzić na przesłuchanie bez wcześniejszego wezwania, a im szybciej, tym lepiej. Powiedz śledczym, żeby sprawdzili adresy, pod jakimi bywa, i mieli oko na naszych dwóch podejrzanych i ich kumpli. Żeby nie przytrafiło mu się coś gorszego niż zwykle przeziębienie. Jeśli zacznie się robić gorąco, zatrzymamy zarówno Åkarego, jak i Garcie Gomeza.

– Właśnie to chciałam zaproponować – stwierdziła Annika Carlsson z wyraźną ulgą.

– A teraz wybacź, muszę biec na spotkanie w komendzie głównej – powiedział Bäckström, zerkając na zegarek, i pokręcił zmartwiony swoją okrągłą głową.

Ciekawe, jak się z taką żyje, pomyślał inspektor kryminalny Dan Andersson, a ta, o której pomyślał, siedziała zaledwie dwa metry od niego, po drugiej stronie wielkiego biurka. Gdyby Lisa Mattei minęła go na ulicy, pewnie by się za nią nie odwrócił, jednak w miejscu, gdzie aktualnie się znajdował, wydawała się bardziej wyrazista niż jakakolwiek inna kobieta, którą kiedykolwiek dane mu było spotkać.

Jasna blondynka, szczupła, wysportowana, perfekcyjnie ubrana, w trudnym do określenia wieku między trzydziestką a czterdziestką. I te jej błękitne oczy, zazwyczaj pełne zainteresowania, nieraz dociekliwe, tak świdrujące, że od razu odnosiło się wrażenie, że wie o tobie wszystko od chwili, gdy tylko na ciebie spojrzy, a jeśli zdecyduje się opuścić wzrok, to tylko z własnej woli.

– Dziękuję za materiał, który mi przesłałeś – powiedziała Lisa Mattei. – Przeczytałam to, co napisałeś, z dużym zainteresowaniem. Zwłaszcza ostatnią wersję.

Pewnie w ciągu tych dwóch minut, które zajęło mi przejście z mojego pokoju do twojego, pomyślał Dan Andersson, ale ponieważ była, kim była, pokiwał tylko głową.

– Z większością przestępstw jest tak, że są to zjawiska marginalne, w znaczeniu ludzkim i moralnym. Łamiemy zasady, naciągamy granice, żeby osiągnąć jakieś korzyści, i zwykle chodzi nam o pieniądze, seks albo władzę. W tym wypadku jednak wydaje mi się, że sprawa jest bardziej skomplikowana – stwierdziła Lisa Mattei i uśmiechnęła się do niego. – Wydaje mi się, że przyszedłeś tutaj głównie po to, żeby ulżyć własnemu cierpieniu. Choć oczywiście wiem, że twoje pobudki są całkiem dobre i ludzkie.

– Szefowa wybaczy, ale nie do końca rozumiem – powiedział Dan Andersson. O czym ona mówi, pomyślał.

– Generalnie mamy tu prawdopodobny związek między osobą von Comera i dwiema innymi osobami, co do których zachodzi uzasadnione podejrzenie, że są zamieszane

w zabójstwo znanego adwokata. Kwestię tak zwanego alibi Garcii Gomeza na razie pomijam. Ani on, ani ten Fredrik Åkerström nie należą do najsympatyczniejszych, a ryzyko popełnienia przez nich kolejnego przestępstwa z pewnością oceniasz – podobnie zresztą jak ja – jako bardzo wysokie. Tym jednak, co pewnie martwi cię najbardziej, jest fakt, że koledzy z Solny nie widzą powiązania między von Comerem a tamtymi dwoma, a ponieważ jesteś porządnym, uczciwym policjantem starej daty, chcesz im pomóc rozwiązać sprawę zabójstwa i jednocześnie sprawić, żeby takie nieszczęścia nie wydarzyły się w przyszłości. Dlatego chcesz, żebym wyraziła zgodę na przekazanie ludziom z komendy w Solnie tego, co już wiemy, i do tego miejsca doskonale rozumiem twój sposób rozumowania. To podejście ludzkie, empatyczne i całkowicie poprawne z zawodowego punktu widzenia. Nie chodzi o to, że przekazanie im informacji byłoby złamaniem naszych reguł postępowania. Problem widzę w czym innym.

– W tym, że nie mamy pewności, czy von Comer jest zamieszany w zabójstwo Erikssona – powiedział Dan Andersson. – Co do tego zresztą całkowicie się z szefową zgadzam.

– A do tego sprawa zabójstwa adwokata wcale nie wylądowała u nas. Niezależnie od wszystkiego zastanówmy się, jakie będą koszty, jeśli nagniemy nasze zasady i powiemy kolegom z Solny o kontaktach von Comera z Åkarem i Garcia Gomezem, a potem okaże się, że nie mieliśmy racji – powiedziała Mattei z tym samym przyjaznym uśmiechem.

– Ryzyko przecieku do mediów jest w tym wypadku pewnie znacznie większe niż zwykle – powiedział Dan Andersson.

– Biorąc pod uwagę, że dochodzenie prowadzi Evert Bäckström, minie najwyżej kilka godzin i będziemy mogli przeczytać w popołudniówkach, że policja zatrzymała, cytat, „najlepszego kumpla króla”, koniec cytatu, bo ten, cytat, „zamordował najbardziej znanego w kraju adwokata przestępczego półświatka”, koniec cytatu. Chyba że będzie to nasze stare dobre „Svenska Dagbladet”, wtedy możemy się spodziewać łagodniejszego tonu. „Bliski znajomy króla

podejrzany o udział w zabójstwie znanego adwokata” – powiedziała Lisa Mattei, na znak cytatu zginając w powietrzu wskazujące i środkowe palce obu rąk.

– Byłoby to *worst case scenario*, rozumiem dokładnie, co szefowa ma na myśli – powiedział Dan Andersson. Trochę zbyt surowa jak na mój gust, choć się uśmiecha i jest naprawdę ładna, pomyślał Dan Andersson. Jak można okłamać kogoś takiego jak Lisa Mattei, kogoś, kto już od samego początku siedzi w twojej głowie.

– Niestety może być jeszcze gorzej – powiedziała Mattei i pokręciła głową. – Gdyby się okazało, że masz rację, to znaczy, że von Comer jest zamieszany w zabójstwo Erikssona, a my pomożemy im rozwiązać tę sprawę, będziemy pewnie zmuszeni zasugerować naszym rządowym mocodawcom, że czas zacząć się zastanawiać nad zmianą konstytucji i zniesieniem monarchii. Biorąc pod uwagę to, czym się na co dzień zajmujemy, nie byłoby to pewnie najszcześniejsze rozwiązanie.

– Rzeczywiście – przyznał Dan Andersson. Lepiej takiej nie podskakiwać, nawet jeśli jest taka ładna.

– No to co robimy, Dan? – zapytała Mattei i spojrzała na niego z ciekawością.

– Jeśli mógłbym coś zaproponować, to może zrobimy to, co zwykle – powiedział Dan Andersson. To jej się spodobało, widać po błysku w oczach, pomyślał.

– W takim razie się zgadzamy – stwierdziła Lisa Mattei. – Zrobimy to, co zwykle, i dla twojej wiadomości, wyłącznie dla twojej wiadomości: już się zajęłam tym, co najważniejsze.

Po piątkowej naradzie zespołu dochodzeniowego komisarzy kryminalni Jan Stigson i Felicia Pettersson pojechali przyłożyć uszy do szyny, czyli zamienić parę słów ze swoimi informatorami w terenie. Wszyscy byli zaskakująco zgodni. Na mieście mówiło się, że to ludzie z Hells Angels w Solnie pomogli Thomasowi Erikssonowi rozstać się ze światem. Odplacili pięknym za nadobne i tyle, a biorąc pod uwagę, na

kogo trafiło, strata nie była aż tak wielka. Podobnych zeznań było wiele, jednak nikt nie był w stanie przedstawić żadnych twardych dowodów i jedynym plusem tych rozmów było zachowanie nietkniętego budżetu przeznaczonego na opłacanie informatorów.

– To Åkare i jego kumple. Wszyscy to wiedzą...

– To kolesie z HA za tym stoją. Åkare i ten szalony Chilijczyk, który urządził walki psów w Rinkeby...

– To Bogdan i Janko posłali do piachu Erikssona. Ale to Åkare zlecił robotę...

– Stare sprawy z czasów tego konwoju w Brommie sprzed kilku lat. To robota HA. Słyszałem, że za kierownicą siedział Grislund i że przytulili to i owo, gdy stamtąd zmykali...

– Kto tym kierował, nie wiem, ale to sprawka Åkarego, to widać. Zawziął się na Erikssona już kilka lat temu...

I tak dalej, i tak dalej.

– Gdyby zrobić głosowanie, byłoby już po sprawie – westchnął Stigson z tylnego siedzenia samochodu, bo tego dnia rozmawiał już z pięcioma osobami.

– Co robimy? – zapytała Felicia. – Kończymy na dziś?

– Muszę skoczyć do monopolowego – powiedział Stigson.

– Okej – uśmiechnęła się Felicia. – Ja nie piję, więc wracam do pracy i spiszę raport.

– Świetnie, uczciwy *deal* – zgodził się Stigson. Miła dziewczyna, pomyślał.

Kwadrans później Stigson stał już w kolejce w monopolowym w Solna Centrum. Nic wielkiego, sześć puszek piwa i ćwiartka whisky – było co świętować i taka ilość wydawała się uzasadniona. Gdyby jednak na świecie istniała jakaś sprawiedliwość, on i jego dziewczyna siedzieliby teraz w samolocie do Hiszpanii w drodze na zaplanowane od dawna wakacje. Gdyby babcia miała wąsy, a ich wciąż nieznany sprawca nie zabił adwokata Erikssona. A tak jego druga połowa poleciała do Hiszpanii ze swoją przyjaciółką. Poprzedni wieczór upłynął im na kłótni. Od słowa do słowa, i się zaczęło.

Chrześcienie się wszyscy, pomyślał Stigson, a pomyślał tak kolejno o Erikssonie, który mógł wybrać lepszy moment do

nagłego zejścia, o Toivonenie, który wydał polecenie pionowi śledczemu i jednocześnie był jego bezpośrednim przełożonym, oraz o grubasku Bäckströmie, zupełnie niebywałym typie, który pewnie siedział sobie w knajpie od kilku godzin i mizdrzył się do krótkich spódniczek, podczas gdy on i pozostali wypruwali sobie żyły.

– Co tam, chłopcze? Wyglądasz na zmartwionego – odezwał się ktoś za jego plecami, kładąc jednocześnie olbrzymią dłoń na ramieniu Stigsona.

W kolejce za nim stał Rolle Stålhammar. Były kolega, chodząca legenda wśród policjantów i złodziei.

– Superman – powiedział Stigson. – Co słyhać? Dobrze cię widzieć.

Okolo siedemdziesięciu lat, dwa metry wzrostu, sto dwadzieścia kilo mięśni i kości, kruczoczarne włosy, pomyślał Stigson. Ale włosy to chyba musi farbować, dodał w duchu.

– Jak to w piątek w monopolowym – Rolle Stålhammar wzruszył ramionami. – Można tu spotkać zarówno byłych policjantów, jak i takich jak ty, którzy ciągle jeszcze biegają jak koty z pęcherzem. Jak wam idzie z Erikssonem?

– Jeśli masz chwilę, możemy o tym pogadać przy piwie – zaproponował Stigson. Jeśli ktoś coś słyszał, to na pewno Rolle, pomyślał.

Dziesięć minut później siedzieli w chińskiej restauracji w Solna Centrum. To samo piwo co w monopolowym naprzeciwno, ale pusto i cicho, co przesądziło o wyborze miejsca, ponieważ mieli zamiar porozmawiać w zaufaniu.

– Pamiętam moje ostatnie dochodzenie w sprawie morderstwa dokonanego przez nieznanego sprawcę, po którym dałem sobie z tym wszystkim spokój – powiedział Rolle, wlewając w siebie duże piwo i małą whisky, gdy tylko usiadł za stołem. – Gejowskie zabójstwo, na Söder, jakieś dziesięć lat temu. Przykra sprawa. – Stålhammar wzdrygnął się i uśmiechnął krzywo. Skinął głową i uniósł kieliszek.

– Zdrowie – powiedział Stigson, który też już dostał swoją whisky, choć nawet nie zauważył, kiedy to się stało.

– Nigdy do niczego w tej sprawie nie doszliśmy – stwierdził

Rolle Stålhammar. Westchnął i popił whisky kilkoma głębszymi łykami z kufla. – Ciekawe, jak niby, kurwa, mielibyśmy to zrobić, mając za prowadzącego tego tłusciocha Everta Bäckströma.

– No tak, ale tu, w Solnie, idzie mu całkiem nieźle. Naprawdę – powiedział Stigson. – Od kiedy tu jest, nie spalił chyba żadnego dochodzenia. – Koniec końców jest moim szefem, pomyślał.

– Dobra, dobra. Pamiętam, jak wsadził mnie do aresztu, bo ubzdurał sobie, że zabiłem Kallego Danielssona, mojego najlepszego kumpla. Koleś ma nierówno pod sufitem.

– No tak, ale w końcu wszystko się ułożyło. Przecież to Bäckström rozwiązał tę sprawę – powiedział Stigson.

– No cóż, to prawda. Chcę tylko powiedzieć, że trzeba uważać, przydzielając kogoś takiego jak Evert Bäckström do tego typu zabójstwa. Wiesz chyba, jakie ma zdanie o gejach? Albo – nie przymierzając – o Erikssonie. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale to chyba Eriksson bronił tego małego ujeżdzacza wielbłądów Omara Parisafara, oskarżonego o usiłowanie zabójstwa Bäckströma. Pamiętasz, co się mówiło w czasie rozprawy, że Evert brał łapówki od starszego brata Omara, Samira. Bäckström o takich rzeczach nie zapomina. Co się, kurwa, stało ze starym dobrym paragrafem o wyłączeniu urzędnika z czynności?

– A ty co myślisz? Kto sprzątnął Erikssona? – zapytał Stigson, chcąc zmienić temat.

– Jak pogadasz z naszymi lokalnymi zbójami, wszyscy wydają się w tej kwestii zgodni – odpowiedział Rolle Stålhammar, jednocześnie z uśmiechem unosząc swój pusty kufel po piwie w kierunku kelnerki. – Jak dla mnie to czeze gadanie.

– To znaczy?

– Że zrobili to Fredrik i Angel – wyjaśnił Rolle Stålhammar.

– Zresztą wiesz równie dobrze jak ja, że Garcia Gomez walczył w Globen w czasie, gdy Eriksson został zamordowany.

– Pozwól, że zapytam z czystej ciekawości. Skąd to wiesz?

– Policjantem jest się do końca – powiedział Stålhammar,

wzruszając wymownie ramionami. – Już nie pamiętam, który z twoich kolegów mi o tym powiedział – dodał, unosząc świeżo napełniony kieliszek. – Kurwa, od tego gadania zaschło mi w gardle.

– Zdrowie – powiedział Stigson. Policjantem jest się do końca, proste, pomyślał.

– Nie – powiedział Rolle Stålhammar z naciskiem, odstawiając kufel. – Chcesz wiedzieć, co myślę? Możesz zapomnieć o Åkarem, o Garcii Gomezie i wszystkich ich kumplach. Nie żeby im chęci brakowało. Nie o to chodzi.

– A o co?

– Nie wierzę, żeby pojechali do Erikssona i zabili go w jego własnym domu. Zapomnij – powiedział Rolle, kiwając głową.

– Przecież to twierdza. Te kamery, alarmy. Åkare nie jest głupi. Gdyby chciał sprzątnąć Erikssona, zrobiłby to wiele lat temu.

– Z tego, co wiemy, Åkare nie ma alibi na czas zabójstwa – powiedział Stigson. Dobrze, że Bäckström cię nie słyszy, pomyślał.

– Jeśli nie był na gali, żeby obejrzeć walkę z Garcia Gomezem, pewnie był u swojej dziewczyny – powiedział Rolle i wzruszył ramionami. – Ma słabość do kobitek, stary Åkare. Podobno one do niego też.

– Komenda wojewódzka rzekomo to sprawdziła. Nie był u żadnej ze swoich dziewczyn. Przynajmniej nie tego wieczoru – wtrącił Stigson.

– Niby skąd to wiedzą – parsknął Rolle. – Z tego, co słyszałem, ma już nową. Dunkę, którą poznał przez swoich duńskich kolegów. Nic nowego.

– Jak ma na imię? Ta jego nowa panna? Ta Dunka?

– Nie mam pojęcia – Rolle pokręcił głową. – Wiesz, Janne, dżentelmen nie mówi o takich sprawach. Nie mówi się o kobietach, z którymi się sypia.

– Okej. Zostawmy ją. Kto to zrobił? – zapytał Stigson.

– Złe pytanie – odpowiedział Rolle. – Kto tego nie zrobił? Kto nie miał powodu, żeby zabić tego drania Erikssona? Tych, którzy mieli powód, było na pęczki. Sąsiedzi, dawne kobiety, dawni koledzy, klienci, ofiary przestępstw, plus kilkuset

zbojów, z którymi przestawał. Eriksson był gangsterem. Gangsterem z dyplomem prawnika.

– Zamówić ci coś jeszcze, Rolle? – spytał Stigson i pokazał głową na pusty kufel w ręku Stålhammara.

– Nie trzeba – Rolle pokręcił głową. – Czas zwijać żagle. Zresztą jestem umówiony na kolację ze starym kumplem. A ty coś chcesz? Na strzemiennego. Jeśli planowałeś wracać do domu.

– Nie – powiedział Stigson. – Wystarczy piwo. Zresztą chciałem już zapłacić.

– Nie ma mowy – powiedział Rolle. – Knajpa stawia – dodał i skinął w kierunku kelnerki, która uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Stawia? Dlaczego?

– Byłem tu przedwczoraj po meczu. Tym, w którym czarni roznieśli biało-niebieskich. Paru chłopcom z Göteborga pomyliła się droga powrotna do domu i zaczęli się kłócić z obsługą, gdy wszedłem, żeby wypić ostatnie piwko przed snem.

– Ach tak – powiedział Stigson i pokiwał głową, wpatrując się w legendarnego funkcjonariusza siedzącego po drugiej stronie stolika. Musi być już po siedemdziesiątce, pomyślał.

– No więc wyrzuciłem ich na zbity pysk – stwierdził Rolle. – Właściciel dał mi za każdego po piwku. Przez cały tydzień. Nie jestem jak Bäckström, jeśli o tym myślisz. Żadnych łapówek ani rabatów dla glin. Za to nie mam problemu z przyjmowaniem zapłaty za dobrze wykonaną robotę.

– W takim razie dziękuję – powiedział Stigson. Rzeczywiście, trochę się różnicie, pomyślał Stigson. O tym, że znaleźli krew Garcii Gomeza na drzwiach na taras Erikssona, opowie mu już ktoś inny. Policjantem jest się do końca, pomyślał.

Nareszcie piątek!

Na początek pożywny lunch w spokojnej atmosferze w jednej z jego ulubionych knajp – Tapas na Fleminggatan, zaledwie

kilka przecznic od następnego punktu programu.

Bäckström zamówił zestaw najróżniejszych smakołyków – szynki, kielbaski, mięsne pulpeciki, skorupiaki, sery, omleczki i różne faszerywane przysmaki – które popił hiszpańskim piwem i kilkoma kieliszkami czegoś mocniejszego, choć właściciel, którego znał ze swoich poprzednich wizyt, próbował mu wcisnąć kieliszek wytrawnej wiśniówki.

– Nie piję takich rzeczy – powiedział Bäckström i pokręcił swoją okrągłą głową. – Ale jak chcesz, możesz mi postawić jeszcze jedną wódkę.

– Pan inspektor naprawdę powinien spróbować naszej wytrawnej wiśniówki – powiedział właściciel i pokręcił zmartwiony głową. – Wśród moich krajanów jest uznawana za tradycyjny dodatek do tapas.

– Na tym polega różnica między udawanym a prawdziwym Hiszpanem – roześmiał się Bäckström. Facet wygląda jak zmokły pies andaluzyjski, co by ci szkodziło wrócić do domu, pomyślał. Zawsze możesz wracać do domu.

Gdy zjadł, znów wyjrzało słońce, więc przeniósł się na zewnątrz, wypił kawę do hiszpańskiej brandy, zaostrzając sobie apetyt przed zbliżającą się wizytą u Panny Piątek.

Poszedł do niej spacerem i gdy już się położył na obitej skórą ławce do masażu, pomyślał, że wprowadzi drobną poprawkę i zmieni kolejność procedur towarzyszących ich spotkaniu. To pewnie przez te przyprawy i pikantne sosy, pomyślał Bäckström, decydując się, że zaczną od małego rodeo, a skończą na masażu rozluźniającym mięśnie i stawy. Gdy już dojeżdżali do mety, Panna Piątek zaczęła coś bełkotać niezrozumiale, mrużąc powieki, aż w końcu wywróciła oczami i krzyknęła na całe gardło. Również i tym razem po polsku, i niby jak on, prawdziwy Szwed, miałby z tego cokolwiek zrozumieć.

Na dobrą sprawę powinna mi płacić za te wszystkie dźwięki, których muszę wysłuchiwać, pomyślał, chowając portfel do kieszeni, i wyszedł na ulicę, żeby pójść do domu i wdroyć trzeci punkt swojego napiętego programu.

Obudził się po trzech godzinach. Rzeński jak skowronek z umysłem czystym jak kryształ. Następną godzinę spędził pod prysznicem, wysmarował swoje ciało olejkami zapachowymi, a na koniec z największą troską przyodział je w ubrania.

Sprawdził efekt końcowy w lustrze wiszącym w przedpokoju, skinął zadowolony głową, zadzwonił po taksówkę, wypił strzemiennego – a już nie musiał się martwić o miętówki – i pojechał do restauracji na kolację ze swoim dawnym znajomym GeGurra. Punkt ósma wszedł do foyer Operakällaren, najbardziej szwedzkiej ze szwedzkich restauracji.

Bez szaleństw, pomyślał Bäckström. Zjemy sobie normalny trzydaniowy obiad. A koledzy niech sobie dalej siedzą przed telewizorami na kartonach po pizzy w towarzystwie swoich zrzedzających bab i głupich bachorów, zajadając chrupki serowe i zalewając się piwem.

CZĘŚĆ IV

Prawdziwa historia nosa Pinokia.

Część 1.

73

GeGurra czekał już na niego przy stoliku. Elegancki jak zawsze – błyszczące czarne buty, w których można było się przejrzeć, granatowy garnitur, jasna kremowa koszula zapięta na ostatni guzik. Może na powitanie lata, które wreszcie przyszło po długiej zimie i chłodnej wiośnie. Perfekcyjny w każdym calu, niczym hiszpański szlachcic z innego świata, od podeszew butów po opaloną na brązowo twarz o ostrych rysach i gęste, siwe włosy wieńczące jego postać.

Miał też ze sobą swoją wysłużoną aktówkę z jasnej skóry. Co prawda dosyć cienką i zniszczoną, ale zawsze była to jakaś oznaka, że nadchodzi czas owocnych interesów, o czym Bäckström wiedział z doświadczenia. Wiedział też i to, że jeśli sprawa była dostatecznie pilna i dogadali się już w kwestiach praktycznych, z cienkiej teczki GeGurry wysuwała się całkiem spora brązowa koperta.

Choć sam prezentował się wyjątkowo elegancko, Bäckström poczuł lekkie ukłucie zazdrości na widok GeGurry. Ani trochę nie przypomina zwykłego Cygana, pomyślał. Kto by mógł podejrzewać, że dorastał w cygańskim wozie razem z tymi wszystkimi cyrkowcami ze swojej wielkiej rodziny, z którymi w beztróskich latach pięćdziesiątych krążyli od kraju do kraju, napadając na emerytów, kradnąc kury i cynowe naczynia.

– Cieszę się, że cię widzę, Bäckström, naprawdę się cieszę
– powtórzył GeGurra, biorąc jego prawą dłoń w swoje ręce.

– Mnie również miło cię widzieć – skrzywił się Bäckström. Będę potem musiał policzyć palce, pomyślał.

Na początku spotkania GeGurra pozwolił sobie zaserwować Bäckströmowi niespodziankę. Zamiast w głównej sali restauracyjnej skierować się do tego samego ustronnego stolika co zawsze, wsiedli do windy, pojechali na pierwsze piętro i przeszli przez cały budynek opery. Na końcu korytarza GeGurra zatrzymał się i wbił kod do ciężkich dębowych drzwi, które natychmiast otworzyły się z dyskretnym kliknięciem.

W końcu od ich ostatniego spotkania upłynęło już trochę czasu, a mając na względzie wszystkie ważne sprawy, o których planowali rozmawiać, GeGurra wołał mieć pewność, że będą mogli zjeść i wypić w spokoju.

– To prywatna restauracja, która jest częścią Operakällaren – wyjaśnił GeGurra i zamaszystym gestem zaprosił go do środka. – Kart klubowych wydano niewiele, a wieczorem będziemy tu tylko ty i ja.

Raczej nie wpadnę tu na Annikę, Toivonena ani na żadnego innego spośród moich wynędzniałych kolegów, pomyślał Bäckström, zajmując miejsce przy oknie, za stolikiem dla dwóch osób nakrytym białym obrusem, z brązowymi serwetkami, srebrnymi sztucami i krystalicznie lśniąącym szkłem. Nawet Cajsy od szczura, wielkiej pani komendant wojewódzkiej, nie wpuszczono by do tego królestwa, pomyślał.

Obsługa wydawała się dobrze przygotowana. Bez zbędnych pytań podano im to, co zwykle. Czeskie piwo z rosyjską wódką godną prawdziwego inspektora i duże dry martini z oliwkami na spodeczku dla tego dużo bardziej wymagającego towarzysza.

– Twoje zdrowie, Bäckström – powiedział GeGurra, unosząc kieliszek. – Coś mi podpowiada, że to będzie wyjątkowo przyjemny wieczór.

– I twoje – odpowiedział Bäckström. Skinął, odchylił głowę i jednym haustem opróżnił pół kieliszka.

– Wszystko już zamówiłem, o nic się nie martw – powiedział GeGurra, odstawiając swój kieliszek, w którym zaledwie umoczył usta. – Na początek skromny szwedzki stół na powitanie szwedzkiego lata: śledź, ikra z sielawy, łosoś,

wędzony węgorz, sałatka z krewetek, masło, ser, chleb, świeże ziemniaczki dopiero co wykopane ze szwedzkiej ziemi. Wiesz, klasyka. Co prawda poleciłem zamienić szwedzki pasztet z wątróbki na francuskie *foie gras*, ale nie będziesz zawiedziony. Dostaniemy też grillowany filet cielęcy, a jeśli chodzi o deser, zaproponowałbym tort bezowy, za którym wiem, że przepadasz.

– Nie najgorzej – zgodził się Bäckström. Bez zbędnej ekstrawagancji. Nie w tych ciężkich czasach, gdy pół Europy przymiera głodem, pomyślał.

– Pozwolisz, że o coś cię zapytam – powiedział GeGurra, odchylił się na krześle, uśmiechnął i obrócił kieliszek w swoich wypielęgnowanych dłoniach. – Tak jak ci mówiłem przez telefon, przez jakiś czas byłem za granicą w interesach, ale kiedy sprawdziłem w sieci, co się dzieje w kraju, zobaczyłem, że adwokat Eriksson został zamordowany i że najwyraźniej ty, drogi bracie, prowadzisz śledztwo i przystąpiłeś do niego w sposób, który jest twoim znakiem rozpoznawczym w policji.

– Tak – Bäckström kiwnął głową. – Zgadza się.

– Skoro tak, wydaje mi się, że tym razem to ja mógłbym ci pomóc, bracie, dokładając swoją cegiełkę do wielkiej konstrukcji policyjnego śledztwa.

– Dobra – powiedział Bäckström. Koleś gada, jakby ktoś mu wsadził różę w tyłek, pomyślał.

74

Mała cegiełka do wielkiej śledczej konstrukcji, Bäckström nie zdążył nawet odchylić się na krześle, żeby wysłuchać GeGurry, gdy kierownik sali przytomnie napełnił mu kieliszek. Porusza się bezszelestnie, pomyślał Bäckström. Pojawia się, nalewa i znika, bez jednego słowa, nawet nie trzeba się wysilać i brać do ręki pustej butelki, żeby zwrócić jego uwagę.

W piątek siedemnastego maja, jakieś dwa tygodnie przed śmiercią, adwokat Thomas Eriksson zadzwonił do GeGurry z prośbą o spotkanie i pomoc w wycenie niewielkiego zbioru dzieł sztuki, który miał za zadanie sprzedać w imieniu jednego

ze swoich klientów. Ponieważ wieczorem GeGurra wyjeżdżał do Londynu, spotkali się w jego biurze na Starym Mieście jeszcze tego samego popołudnia.

– To jemu bardziej zależało – wyjaśnił GeGurra. – Sam miałem wystarczająco dużo na głowie przed wyjazdem, ale kiedy usłyszał, że nie będzie mnie przez najbliższe trzy tygodnie, uparł się, żebyśmy się od razu spotkali. Nalegał, więc się zgodziłem. Przyszedł do mnie do biura po południu.

– Znaliście się – powiedział Bäckström i zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Nie osobiście – GeGurra pokręcił głową. – Spotkałem go na procesie kilka lat temu. Zostałem wezwany w charakterze rzeczoznawcy. Przez prokuratora, jeśli jesteś ciekaw. Chodziło wtedy o grubego przekręt na rynku dzieł sztuki, a Eriksson bronił głównego oskarżonego. Fałszowany Matisse i Chagall, litografie, niezła afery – westchnął GeGurra i pokręcił zmartwioną głową.

– A więc poprosił cię o pomoc w wycenie.

– Niewielka kolekcja, jakieś dwadzieścia obiektów, głównie obrazy. Sztuka rosyjska, przedmioty z końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku. Łącznie piętnaście różnych obrazów, tak zwane malarstwo ikonowe.

– Malarstwo ikonowe – powtórzył Bäckström.

– Albo ikony, tak też się mówi. Rozumiem, że znane jest ci to pojęcie?

– Naturalnie – powiedział Bäckström, bo jako dziecko uczęszczał do szkoły niedzielnej. – To te chrześcijańskie obrazy świętych? Aniołowie, prorocy i inne święte postacie z naszej historii biblijnej?

– W Kościele prawosławnym – uzupełnił GeGurra i skinął głową. – Ujmując rzecz obrazowo, można powiedzieć, że to ilustracje do Biblii i innych tekstów religijnych, ale również medium przekazujące i wyrażające treści religijne, najczęściej w formie, jak mówisz, portretów osób, które odegrały ważną rolę w historii chrześcijaństwa.

– Tak, wiem, o czym mówisz – skłamał Bäckström, kiwając pobożnie głową i na wszelki wypadek przesuwając palcem po

grzbiecie nosa.

– Tradycja malowania ikon sięga szóstego wieku naszej ery. Przez tysiąc pięćset kolejnych lat ludzie malują ich dziesiątki milionów – mówił dalej GeGurra. – Można je znaleźć właściwie w każdym chrześcijańskim domu, po kilka sztuk, oczywiście tam, gdzie zasoby ekonomiczne pozwalają na zakup ikony na własność.

– Drogie zabawki – zgodził się Bäckström, racząc się łykiem wyśmienitej wódki. – Zwłaszcza rosyjskie ikony, jeśli dobrze zrozumiałem.

– Nie, w żadnym wypadku – powiedział GeGurra i pokręcił głową. – Powiedziałbym raczej, że była to sztuka religijna powszechnego użytku, zwykle średniej albo wręcz kiepskiej jakości. Jest tego tyle, że trudno zliczyć, a dochodzą jeszcze współczesne kopie, których jest bez liku. Średniej jakości rosyjską ikonę kupisz już za jakiś tysiąc koron, a jeśli wejdiesz do zwykłego sklepu ze starociami w Petersburgu, znajdziesz ich tam stosy.

– W takim razie dlaczego Eriksson chciał, żebyś je wycenił? – zapytał Bäckström. – Z tego, co słyszę, nawet nie były warte, żeby dźwigać je do ciebie do biura.

– Wcale nie musiał tego robić – powiedział GeGurra z lekkim uśmiechem. – Miał ze sobą zdjęcia i chciał, żebym je obejrzał. Zrobiono je przy okazji ostatniej wyceny, w zupełności mi wystarczyły. Przyznam, że nie była to zła kolekcja. Wartość poszczególnych prac znacznie przewyższała średnią dla zwykłych ikon, nawet teraz, gdy rosyjski rynek sztuki wystrzelił pionowo w górę.

– O jakiej kwocie mówimy? – zapytał Bäckström.

– Łącznie było tam piętnaście ikon, w większości portrety świętych. Wartość czternastu z nich ocenilem między pięćdziesiąt a dwieście tysięcy koron. Za sztukę, co jak na ikony jest naprawdę niezłą kwotą, średnio wychodziło jakieś sto tysięcy za obraz.

– A ta piętnasta? – zapytał Bäckström, który z jakiegoś powodu poczuł, jak zbiera mu się ślina w ustach.

– Ta akurat warta była tyle, co wszystkie pozostałe razem

wzięte, choć w zasadzie nie była to nawet ikona, tylko raczej żart artysty ze swojego teścia. Jej twórcą jest Aleksander Wersjagin, urodzony w tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym. Był młodym radykałem, może powinienem powiedzieć: awanturnikiem, który ani trochę nie interesował się malarstwem religijnym. Był pejzażystą, tworzył pod koniec dziewiętnastego wieku, zmarł w sylwestra tysiąc dziewięćsetnego roku. Dopiero co skończył dwadzieścia pięć lat.

– Na co zmarł? – zaciekał się Bäckström.

– Na rosyjską chorobę narodową, zapił się na śmierć – wyjaśnił GeGurra z łagodnym uśmiechem.

– Przykra sprawa – przyznał Bäckström. – Z tego, co mówisz, chłopak nieźle się zapowiadał.

– Pomimo swojego młodego wieku Wersjagin był wyjątkowo utalentowanym malarzem. Jego płótna takie jak pejzaże osiągają dziś na rynku ceny od pięciu do dwudziestu milionów. Niestety nie zostawił ich po sobie wiele. Znamy zaledwie dwadzieścia malowideł jego autorstwa. Może dlatego, że była z niego prawdziwa kanalia. Wersjagin chlał jak świnia i nienawidził swojego teścia. Teść był bogatym człowiekiem niemieckiego pochodzenia działającym w branży handlu morskiego w Petersburgu. Poza tym był dobrym i pobożnym człowiekiem, który po długim namyśle porzucił swoją luterańską wiarę i przeszedł na prawosławie. Teść Wersjagina utrzymywał jego i jego rodzinę, płacił za mieszkanie, jedzenie i ubrania oraz za wszystko, czego potrzebowali. Wersjagin przez większość czasu pił, urządzał awantury na mieście, zdradzał swoją młodą żonę, zaniedbywał małe dzieci, a w przerwach machnął czasem doskonały obraz.

– Los jest niewdzięczny – stwierdził Bäckström, nabożnie wzdychając.

– Tak, a w tym wypadku wypowiedział się w formie ikony przedstawiającej świętego Teodora, równie grubego co enigmatycznego prałata Kościoła greckokatolickiego z szesnastego wieku usuniętego ze wspólnoty z powodu relacji, jakie łączyły go z nierządnicami, i różnych machlojek

czynionych w imię Pana. Ikona Wersjagina przedstawiająca świętego Teodora była wybitnym dziełem sztuki, również w warstwie czysto technicznej. Namalowana na kilkusetletniej drewnianej desce metodą laserunkową znaną z czasów renesansu była prezentem od artysty dla jego teścia na jego sześćdziesiąte urodziny. Jedyne problem z tym prezentem był taki, że czysto fizyczne podobieństwo postaci świętego Teodora do teścia artysty było aż nadto widoczne. Teść Wersjagina również był korpulentnym mężczyzną. Co więcej, święty Teodor z jakiegoś powodu włożył swoją prawą dłoń do koszyka na datki, co raczej nie jest typowym motywem w tego rodzaju malarstwie. Pewnie już wiesz, jak teść miał na imię.

– No tak – powiedział Bäckström. – I pewnie odkryłeś, że te dzieła sztuki, które adwokat dał ci do wyceny, były kradzione. – Znany obrońca mafii robił też w przemyśle, pomyślał Bäckström, który oczyma wyobraźni widział już nagłówki gazet po tym, jak spotka się ze swoim znajomym reporterem.

– Nie – odpowiedział GeGurra i pokręcił głową. – Przykro mi, ale akurat w tej kwestii jestem zdania, że było zupełnie inaczej. Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę, jest jeszcze lepiej.

– Nie zapytałeś Erikssona, kim jest ten klient?

– Naturalnie, że zapytałem – odpowiedział GeGurra, ściszył głos i pochylił się nieco. – Eriksson był co prawda zimny jak głaz i śliski jak węgorz, tym razem jednak mu uwierzyłem.

– Co powiedział? – zapytał Bäckström i odchylił się na krześle.

– Powiedział, że jego klient bardzo dba o zachowanie anonimowości, a on sam, jako jego adwokat i opiekun, jest zobowiązany do milczenia. Nie ujawnił nawet litery z imienia swojego zleceniodawcy.

– I co, kupiłeś to? – zapytał Bäckström.

– Bez zastrzeżeń – stwierdził GeGurra. – Po części dlatego, że w podobnych sytuacjach sprzedawca najczęściej woli pozostać anonimowy. Jeśli tylko sprawa nie dotyczy spadku i tym podobnych, powodem sprzedaży jest najczęściej to, że sprzedający potrzebuje gotówki, ponieważ wpadł w tarapaty finansowe, a tym raczej nikt nie chce się chwalić.

– Hm – Bäckström pokiwał ciężko głową. Nie dziwię się, pomyślał. Wystarczy, że jest się splukanym, po co jeszcze o tym gadać?

– Eriksson zapewnił mnie jednak, że nie muszę się o nic martwić. Znał swojego klienta od lat i miał pewność co do pochodzenia kolekcji. Była w rodzinie od trzech pokoleń, odkąd przekazano im ją jako podarunek jakieś sto lat temu.

– Rozumiem, że domyślasz się, kim był klient Erikssona.

– Jak najbardziej – powiedział GeGurra i uśmiechnął się zadowolony. – Mam swoje podejrzenia. Zresztą stanowią one zasadniczy powód, dla którego chcę z tobą porozmawiać.

– Kto to jest? – zapytał Bäckström, pochylając się nad stołem.

– Zaraz do tego dojdę – powiedział GeGurra i jednocześnie lekko zgiął palec wskazujący lewej ręki, sygnalizując, że chciałby, żeby mu dolano do kieliszka.

Bäckström skinął głową. To prawda, GeGurra nie jest pierwszym lepszym Cyganem, pomyślał. Jest zimny jak ryba, śliski jak węgorz i ostry jak brzytwa. Z podkradaniem kur skończył już pół wieku temu, a dziś tacy jak Eriksson byli przy nim zupełnymi amatorami.

– Wiedziałem, że niektóre spośród tych ikon zostały ostatnio sprzedane na aukcjach sztuki w Szwecji i za granicą – powiedział GeGurra, sącząc powoli wino. – Powiedziałem to zresztą Erikssonowi i dopiero wtedy odsłonił rąbka tajemnicy.

Odsłonił rąbka? Skąd oni to biorą? Co to w ogóle za język, pomyślał Bäckström, który odsłaniał tylko to, co zwykli, porządni obywatele, ale nigdy żadnego rąbka, jeśli dobrze pamiętał. Jeszcze czego, pomyślał.

– Eriksson nie miał uwag. Wszystko potwierdził. W ciągu ostatniego roku doprowadził do sprzedaży pierwszych ośmiu z pierwotnie dwudziestu obiektów. Cztery ikony, z czego jedna autorstwa Wersjagina, przedstawiająca świętego Teodora. Obraz poszedł pod młotek na aukcji rosyjskiej sztuki w Sotheby's w Londynie ponad miesiąc temu, do tego zastawa stołowa i dwa zestawy srebrnych sztućców. I stara złota zapalniczka do cygar. Zaistniały też pewne okoliczności

towarzyszące tym transakcjom, które spowodowały, że tak bardzo zależało mu na spotkaniu ze mną.

– Słucham – powiedział Bäckström i pokiwał zachęcająco głową, ponieważ znowu miał pełen kieliszek i mógł spróbować się dostosować do tempa picia GeGurra.

– Kwestiami technicznymi związanymi ze sprzedażą zajmował się rzeczoznawca, któremu pierwotnie zaufała Eriksson i który był też odpowiedzialny za przechowanie prac, ale z różnych powodów, o których zresztą nie chciał mówić, potrzebował *second opinion* na temat wartości tych przedmiotów. Tak naprawdę obawiał się, że zostanie oszukany. Albo już czuł, jak rosną mu osłe uszy.

– I co mu powiedziałaś? – zapytał Bäckström.

– Chciałem go uspokoić. Przy okazji pogratulowałem mu sprzedaży ikony Wersjagina. Wyjaśniłem, że uzyskał niezłą cenę, nawet jak na rozbuchany rynek sztuki rosyjskiej. Że nie codziennie dostaje się pół miliona koron za stuletnią ikonę, która została namalowana po to, żeby komuś dokopać. Zwykle bluźnierstwo, na które ówczesna publiczność zareagowała wyjątkowo negatywnie. Gdyby to był pejzaż tego samego artysty, z pewnością kosztowałby kilka ładnych milionów więcej.

– Co na to Eriksson? – zapytał Bäckström.

– Próbował to ukryć – powiedział GeGurra – ale nie miałem wątpliwości, że kompletnie go to zaskoczyło. Oczywiście negatywnie. Wyglądał, jakby w wycenie, którą dostał, zabrakło mu jednego zera.

– A ekspert, którego zatrudnił – powiedział Bäckström. – Nazywa się jakoś?

– Tak – GeGurra pokiwał z zadowoleniem głową. – Już wtedy wiedziałem, o kogo chodzi, a nawet gdybym nie wiedział, to i tak łatwo się było domyślić. Szczególnie jak się ma takie kontakty w branży jak ja. Powiedzmy, że będzie to moja mała cegiełka do twojej z pewnością ogromnej budowli, i jeśli jesteś ciekaw, jak się nazywa...

– Baron Hans Ulrik von Comer – przerwał Bäckström.

– Twoje zdrowie, Bäckström – powiedział GeGurra, unosząc

kieliszek. – Nie mam zamiaru ci kadzić, ale twój doskonały ogład sytuacji nie jest dla mnie zaskoczeniem.

– Dziękuję za te miłe słowa – odpowiedział Bäckström, który właśnie zabierał się za trzecią kolejkę i był w znakomitym humorze. – To ja powinienem ci podziękować, bo właśnie potwierdziłeś moje przypuszczenia, które snułem od dłuższego czasu – dodał i sprawdził ostrożnie długość swojego zaokrąglonego nosa. W tej kwestii nie ma powodu do obaw, pomyślał. – Poza tym dałeś mi dwie cegielki, nie jedną – dodał Bäckström.

– Dwie? Teraz naprawdę się zaciekawiłem – powiedział GeGurra.

– Niestety, na razie nie mogę nic więcej wyjawić – powiedział Bäckström. – Z uwagi na dobro śledztwa, jak sam rozumiesz – dodał, ponieważ miał już pewność, jak to się stało, że adwokat Eriksson spuścił lanie baronowi von Comerowi na parkingu przed pałacem Drottningholm dwa dni po spotkaniu z GeGurra i dlaczego użył do tego celu katalogu aukcyjnego. W równym stopniu był też pewny zawartości białych kartonów, które Eriksson wniósł do swojego domu kilka dni przed tym, zanim został zamordowany, a które jego zabójcy zabrali ze sobą, opuszczając miejsce zbrodni.

– A przy okazji, co pan inspektor powiedziałby na małą przekąskę? – zapytał GeGurra, który zdawał się w wyśmienitym humorze. – Powinniśmy wrzucić coś na ruszt, zanim wrócimy do interesów. Być może się powtarzam, ale coś mi mówi, że to będzie wspaniały wieczór, choć jeszcze nie zdążyliśmy zamienić słowa na temat propozycji handlowej, którą planowałem ci złożyć.

– Dobry pomysł – powiedział Bäckström. A ty w tym czasie opowiesz mi, kto twoim zdaniem był właścicielem kolekcji dzieł sztuki, którą miał sprzedać Eriksson, pomyślał.

Śledź, łosoś i młode szwedzkie ziemniaczki, wędzony węgorz i sałatka z krewetek, ikra sielawy, sery, chleb i piwo, a także

kolejne ćwiartki, które Bäckström przestał już nawet liczyć.

Jak zawsze po jedzeniu zapadł w stan głębokiego wyciszenia i niemal filozoficznego zamyślenia, a przez jego głowę przelatywały myśli na wszystkie możliwe tematy. Na przykład o tych gnuśnych Francuzach, którzy bez przerwy użalają się nad swoją słabnącą gospodarką. A jednocześnie są na tyle bezczelni, żeby oczekiwać od zapobiegliwych i uczciwych Szwedów, że spłacą długi, w które sami wpadli. Na co te ślimakojady w beretach narzekały, skoro mogły bez ograniczeń jeść pasztet z gęsich wątróbek, którego on sam z rzadka mógł ledwie spróbować.

Lub o tajemniczym baronie von Comerze, którego najwyraźniej coś łączyło z ofiarą zabójstwa, choć Bäckström był gotów założyć się o rachunek za kolację, że taki pedał jak on nie byłby w stanie zabić Erikssona w sposób, w jaki zrobił to poszukiwany przez niego sprawca. Najwyżej zesłał się ze strachu na kanapę, kiedy szalony adwokat, który do tej pory dopuścił się pobicia katalogiem aukcyjnym, zrobił długi krok naprzód na swojej przestępczej drodze, chwycił za pistolet i zaczął do niego strzelać.

To się da sprawdzić, pomyślał Bäckström, a kto miałby to zrobić lepiej niż gospodarz wieczoru, który siedział naprzeciwko niego przy suto zastawionym stole. Najwyższa pora zająć się porządną policyjną robotą, pomyślał. Wychylił ostatni kieliszek, popił kilkoma łykami piwa, splótł dłonie na brzuchu i odchylił się na krześle, żeby mieć lepszy ogląd sytuacji.

– Ten von Comer – powiedział Bäckström. – Co to za postać? Opowiedz mi o nim.

Sądząc z opisu GeGurry, von Comer nie należał do jego najbliższych przyjaciół. W każdym razie na pewno nie zatrudniłby go jako pośrednika nawet w transakcjach mniejszych od tej, którą zajmował się Eriksson. Zdaniem GeGurry na sztuce znał się niewiele lepiej niż amator entuzjasta. Miał jedynie pewną wiedzę na temat szwedzkiego malarstwa dziewiętnastego i dwudziestego wieku, a także mebli i przedmiotów codziennego użytku. Poza tym nie był zbyt

sympatyczny. Wyniosły, ograniczony i co gorsza również gadatliwy. Naturalnie biedny jak mysz kościelna.

– Żadnych pieniędzy, majątku, posiadłości – podsumował GeGurra. – Kolejny splukany szlachcic, który zadziera nosa i gada od rzeczy.

– Oszust? – zdziwił się Bäckström. – Myślisz, że mógłby próbować oszukać kogoś takiego jak Eriksson?

– O, jestem przekonany, że to zrobił – powiedział GeGurra.

– Widziałem to w oczach Erikssona, kiedy mu powiedziałem, za ile została sprzedana ikona Wersjagina.

– O jakiej sumie mówimy? – zapytał Bäckström i upił łyk piwa.

– Milion – powiedział Ge Gurra. – Oszukał go na milion. Mniej więcej – powtórzył i przetarł płócienną serwetką swoje cienkie wargi.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał Bäckström, bo z jakiegoś powodu nagle przypomniła mu się koperta zawierająca właśnie taką kwotę, którą jego kolega Niemi znalazł w biurku Erikssona. Czy to możliwe, że jego stary znajomy GeGurra właśnie dołożył trzecią cegłę do jego rozrastającej się konstrukcji?

– Te trzy wcześniejsze ikony, które sprzedał – powiedział GeGurra. – Sprawdziłem, ile za nie dostał. Pierwsza poszła w domu aukcyjnym w Uppsali zeszłej jesieni za ponad sto tysięcy koron. Druga u Bukowskiego w Sztokholmie tuż przed świętami za siedemdziesiąt tysięcy. Trzecia na początku roku na aukcji poświęconej sztuce rosyjskiej, która odbyła się w Helsinkach. Osiągnęła cenę niemal stu pięćdziesięciu tysięcy szwedzkich koron, co daje nam średnią cenę wszystkich trzech obiektów na poziomie około stu tysięcy koron po odjęciu prowizji organizatora aukcji. W tej kategorii cenowej mieści się też standardowa prowizja na poziomie dwudziestu procent, jednak bez podatku, jeśli chcesz wiedzieć.

– A święty Teodor?

– Poszedł za sto czterdzieści pięć tysięcy pięćset angielskich funtów, co daje około miliona czterystu tysięcy szwedzkich koron zgodnie z obowiązującym kursem. Po odjęciu prowizji,

podatku i innych kosztów związanych ze sprzedażą schodzimy do kwoty około miliona dwustu tysięcy szwedzkich koron. Jeśli założymy, że von Comer zapomniał o tym subtelny detal z funtami i po prostu wystawił Erikssonowi rachunek za transakcję na kwotę stu pięćdziesięciu tysięcy szwedzkich koron, powstaje niezaksiegowana różnica w wysokości niecałego miliona – podsumował GeGurra.

Informacja prosto ze źródła, pomyślał Bäckström i tylko skinął głową.

– Teraz pewnie zastanawiasz się, bracie, w jaki to prosty i praktyczny sposób rozwiązuje się w tej dziedzinie kwestie czysto księgowo – powiedział GeGurra.

– Dawaj – powiedział Bäckström, poprawiając się na krześle. Robi się coraz ciekawiej, pomyślał.

– Gdyby mi przyszło do głowy zrobić coś takiego, chociaż jestem od tego daleki, załatwiłbym to tak, żeby Anglik przesłał mi rachunek mailem. Łatwiej byłoby mi go obrobić bezpośrednio na moim komputerze, nawet z moimi ograniczonymi umiejętnościami w zakresie współczesnych technologii komputerowych, i zamienić funty na korony, a potem wydrukować kopię i wręczyć adwokatowi Erikssonowi. Oczywiście nigdy bym tego nie zrobił – stwierdził GeGurra z wymownym wzruszeniem swoich elegancko odzianych ramion.

– A więc tak można zarobić milion – powiedział Bäckström.

– No tak, albo dziewięćset sześćdziesiąt dwa tysiące koron, jeśli dobrze pamiętam – powiedział GeGurra. – Plus minus kilka stów.

– Skąd to wiesz? – zapytał Bäckström. O czym on, kurwa, mówi, pomyślał.

– Ponieważ licytowałem ikonę Wersjagina, mam dostęp do tych samych materiałów co sprzedający – powiedział GeGurra i skinął głową. – Reszta to zwykła matematyka.

– To ty kupiłeś obraz ze świętym Teodorem? Dlaczego?

– Pomyślałem, że ci o tym opowiem, kiedy już będziemy się delectować grillowanym filetem cielęcym – powiedział GeGurra. – I przy tej okazji chciałem zapytać, czy nie dasz się

namówić na kieliszek albo dwa wyjątkowego domowego wina z oferty tutejszej restauracji. Jest to wyborne czerwone wino oparte na klasycznej francuskiej mieszance szczepów Cabernet Sauvignon, Merlot i Cabernet Franc. Choć te akurat winogrona dojrzwały w Toskanii, a nie w Bordeaux – powiedział GeGurra.

– Dla mnie piwo i wódka – uprzedził Bäckström. Wina nie tknę, choćbyś nie wiem jak zachwalał, pomyślał.

– Pewnie masz rację – zgodził się GeGurra. – Lepiej nie mieszać soku z winogron ze słodem.

– Zleceniodawca Erikssona, który jest właścicielem tej kolekcji sztuki – przypomniał Bäckström.

– Jeszcze do tego dojdziemy – powiedział GeGurra i skinął przyjaźnie głową. – Po kolei. Jeśli miałbym coś ci doradzić, to sugerowałbym, żebyś, czekając na jedzenie, zamówił jeszcze jedną wódkę. Tak na wszelki wypadek, żebyś nie spadł z krzesła, kiedy ci powiem, kogo podejrzewam.

76

Grillowany filec cielęcy, zapiekanka z warzyw korzennych, polędwica wołowa pod sosem z czerwonego wina, a nad tym wszystkim Bäckström. Popijając wódkę i piwo, rozmyślał o brązowej kopercie. Miał nadzieję, że jego znajomy niebawem do niej przejdzie. Jakoś szczególnie mu się nie spieszyło. Miał co jeść i pić, a na kwestie finansowe przyjdzie jeszcze czas.

Najwyraźniej jego towarzysz w końcu się zmobilizował. Najpierw dyskretnie odchrząknął, wzmocnił się odrobiną czerwonego włoskiego wina, a potem przeciągnął serwetką po swoich wąskich wargach i skinął głową na znak, że nadeszła pora.

– Czy znane jest ci pojęcie proveniencji? – zapytał GeGurra i odchrząknął raz jeszcze.

– Tak jakby – powiedział Bäckström i wzruszył ramionami. – Chętnie posłucham – dodał na wszelki wypadek, bo nie miał bladego pojęcia, o jakiej prowincji mówi GeGurra.

– W tym kontekście, to znaczy kiedy mówimy o dziełach

sztuki, można powiedzieć, że proveniencja to historia danego dzieła. Historia artysty i zdarzenia towarzyszące powstaniu dzieła. Warto też wiedzieć – zwłaszcza jeśli mówimy o cenie, jaką może osiągnąć dzieło – kim był jego właściciel. Zarówno pierwszy, jak i wszyscy kolejni. To może się wydawać bez znaczenia, ale zdarza się i tak, że jeśli właściciel jest osobą bardzo znaną, jego nazwisko może mieć większy wpływ na wartość dzieła niż jego walory artystyczne.

– Naturalnie, naturalnie – zgodził się Bäckström, który dostawał anonimowe zapytania w sieci dotyczące sprzedaży małego Siggego za cenę znacznie przekraczającą tę, którą jego pracodawca, komenda główna policji, za broń zapłacił. Przejdź do rzeczy, ty ospały skurczybyku, pomyślał i jednocześnie sprawdził, czy mały Sigge leży bezpiecznie przytulony do jego lewej kostki. Spokojnie, stary, pomyślał i na wszelki wypadek pogłaskał kaburę, bo przecież nigdy nie przyszłoby mu do głowy sprzedać swojego jedyne kumpla.

– Najlepszym tego przykładem z naszego szwedzkiego podwórka była przed kilku laty sprzedaż przedmiotów po światowej sławy szwedzkim reżyserze Ingmarze Bergmanie – powiedział GeGurra i wzdrygnął się, biorąc jednocześnie łyk czerwonego wina.

– Tego, co zrobił ten film o Fanny i Alexandrze? – zapytał Bäckström, bo pewnego późnego wieczoru, zupełnie przez pomyłkę, zdołał obejrzeć fragment tego filmu, zanim zrozumiał, że nie była to ekranizacja *Pamiętników Fanny Hill*, jego ulubionej pozycji z czasów dzieciństwa.

– Otóż to – potwierdził GeGurra z zapalem. – Właśnie o nim mówię. Rzeczy, które trafiły na aukcję, to był dramat. Stare wysiedziane kanapy, porysowane komody z Ikei, które ten skąpiec ze Smalandii wcisnął połowie ludzkości, powyginane druczane regały na książki, powgniatane miedziane naczynia, zniszczone skóry i poobijane filiżanki do kawy z Rörstrand. Mógłbym tak wymieniać w nieskończoność. Gdybyś chciał to oddać w sklepie charytatywnym, z pewnością pokazaliby ci drzwi.

– Przecież wszyscy wiedzą, jak tacy żyją – przytaknął

Bäckström. – Raz robiłem przeszukanie u jednego znanego aktora – gdyby to była zwykła dziupla narkotykowa, opieka społeczna zaraz zajęłaby lokal. – Nawet Cygan nie chciałby tam mieszkać, dodał w duchu.

– Ale nie tym razem – westchnął GeGurra, który najwyraźniej nie słuchał swojego gościa. – Starocie, złom i zwyczajne śmieci, za które tym razem płacono miliony. Opowiadałem ci już o kapciach, które dostał od Harriet Andersson, wiesz, tej znanej aktorki, przy okazji kręcenia jakiegoś filmu w szkiecach w latach pięćdziesiątych?

– Nie – odpowiedział Bäckström i pokręcił głową, ponieważ filmy ze szkieców, które oglądał, z pewnością nie były reżyserowane przez Ingmara Bergmana. Na szczęście, pomyślał, bo przypomniało mu się to, co przez przypadek widział.

– Straszna historia. Podobno przez cały czas padało, a w domu, w którym kręcili, ciągnęło od podłogi, więc aktorka poszła do sąsiada, jakiegoś rybaka, zwykłego biedaka, w którego domu były tylko fusy po kawie, rybie łuski i wymięte egzemplarze tygodnika „Säningsmannen”, i kupiła od niego stare kapcie z foczej skóry, żeby Bergmanowi nie marzły stopy. Wiesz, za ile poszły? U Bukowskiego?

– Nie – Bäckström pokręcił głową. Skąd mam niby, kurwa, wiedzieć, pomyślał.

– Osiemdziesiąt tysięcy koron – jęknął GeGurra. – Osiemdziesiąt tysięcy koron – powtórzył. – Za parę wymiętych i nasączonych potem kawałków skóry.

– Nie najgorzej – zgodził się Bäckström.

– No to teraz wyobraź sobie, co by było, gdyby dostał te kapcie od Greta Garbo? Wyobrażasz sobie, ile by za to chciały jego chciwe dzieciaki?

– Pewnie jeszcze więcej – wydukał Bäckström, choć jak przez mgłę pamiętał Garbo. Czy to nie była ta ciemnowłosa pańcia, co wyjechała do Hollywood? – zastanowił się.

– Co najmniej milion – westchnął GeGurra i pokręcił zasmucony głową.

– Pozwól, że cię zapytam – powiedział Bäckström.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – Gdzie się podziła brązowa koperta, pomyślał.

– Żebyś zrozumiał zasadniczą kwestię – powiedział GeGurra z naciskiem. – Jak proveniencja może wpłynąć na cenę.

– To zrozumiałem – powiedział Bäckström. – Zastanawiam się tylko, kim jest ten poprzedni właściciel, o którym mówiłeś?

– Jeszcze do tego dojdę – powiedział GeGurra. – Jeśli jesteś ciekaw, na trop naprowadził mnie jeden z tych przedmiotów, które adwokat Eriksson miał za zadanie sprzedać.

– Co to było? – zapytał Bäckström. Pewnie portret tego grubego mnicha, którego przyłapano z łapą w słoiku z dżemem Naszego Pana, pomyślał.

– Zastawa stołowa z motywami myśliwskimi używana na statkach morskich – powiedział GeGurra i pokiwał głową.

– Co takiego? – zdziwił się Bäckström.

77

Zastawa stołowa z motywami myśliwskimi używana na statkach morskich naprowadziła GeGurrę na trop. Kompletny serwis dla dwunastu osób, który składał się łącznie ze stu czterdziestu ośmiu części i został wyprodukowany w carskiej fabryce porcelany w Petersburgu zimą 1908 roku. Z najwyższej jakości białej porcelany, zdobiony malowanymi ręcznie motywami przedstawiającymi występujące w rejonie Bałtyku ptaki morskie, na które często polowano. Ozdoba stołu witająca każdego myśliwego wracającego z polowania i zarazem prezent ślubny od rosyjskiej księżnej Marii Pawłownej dla jej przyszłego małżonka, szwedzkiego księcia Wilhelma. Wyjątkowo trafiony podarunek dla pana młodego, który nie tylko był szwedzkim księciem pełnej krwi, lecz także zapalonym myśliwym, oficerem floty królewskiej i amatorem wędkarstwa muchowego.

– Wspaniałe wesele, wierz mi – powiedział GeGurra. – Szwedzki książę, z dynastii Bernadotte'ów, który wiąże się węzłem Hymena z księżną, z domu Romanow. Maria Pawłowna była kuzynką ostatniego cara Rosji, Mikołaja II.

Czyli bliską krewną ojczulka wszystkich Rosjan, jak w tych czasach nazywano cara. Wyobrażasz sobie, Bäckström – mówił dalej GeGurra. – Szwedzki ksiązę żeni się z rosyjską księżniczką. Kobieta z Rosji, która była naszym odwiecznym wrogiem. W czasie dwustuletniej historii swojego rodu Bernadotte'owie nie mieli nawet cienia szansy na takie małżeństwo. Pobrali się trzeciego maja tysiąc dziewięćset ósmego roku w pałacu carskim w Petersburgu. Uroczystości trwały cały tydzień. Co pewnie nie dziwi, biorąc pod uwagę, że z Petersburga do Ockelbo jest kawał drogi – stwierdził GeGurra, kiwając głową z ponurym wyrazem twarzy, po czym posilił się porządnym łykiem czerwonego wina.

Potem nie było już tak różowo. Dwudziestoczteroletni ksiązę był nieśmiałym i wrażliwym młodym człowiekiem, nieco zagubionym i wystraszonego pomimo błękitnej krwi i złotych galonów, a jego osiemnastoletnia żona była prawdziwą łobuziarą, która jeździła konno, paliła papierosy i zabawiała się, zjeżdżając na srebrnej tacy ze schodów wielkiej willi w królewskim Djurgården, gdzie mieszkali.

Nigdy też nie mieli normalnego pożycia małżeńskiego. Rok po ślubie urodził im się co prawda syn, ale zasadniczo żyli oddzielnie i już w tysiąc dziewięćset czternastym roku doszło do rozwodu.

– Był to poza tym pierwszy raz w historii rodziny, kiedy ktoś z Bernadotte'ów się rozwiódł – powiedział GeGurra z zatroskaną miną, jakby był reporterem z dworu królewskiego.

– I co było potem? – zaciekał się Bäckström. W tej historii na pewno jest gdzieś król, ucieszył się w myślach.

Żyli osobno, w innych światach. Maria Pawłowna wróciła do Rosji, podczas pierwszej wojny światowej pracowała dla Czerwonego Krzyża i latem 1917 roku wyszła ponownie za mąż. W związku z rewolucją kilka miesięcy później uciekła do Paryża i w ten sposób jako jedna z niewielu z rodziny uniknęła śmierci z rąk bolszewików.

– Nigdy nie wróciła do Rosji – powiedział GeGurra. – Najpierw mieszkała w Paryżu, a potem przez jakiś czas w Nowym Jorku. W połowie lat trzydziestych, po rozwodzie

z drugim mężem, powróciła na krótko do Szwecji. Podczas drugiej wojny światowej mieszkała w Ameryce Południowej, w Buenos Aires w Argentynie, jeśli dobrze pamiętam. Pod koniec życia, a zmarła w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, przeprowadziła się z powrotem do Europy. Ostatnie lata spędziła w Konstancji, przy granicy szwajcarskiej, u boku swojego syna Lennarta i jego rodziny. Syna, którego miała z księciem Wilhelmem. Na pewno o nim słyszałeś? To on mieszkał na Mainau, wiesz, w tym zamku z ogólnodostępnymi ogrodami. Przez wiele lat był jednym z najczęściej wspominanych w mediach członków rodziny Bernadotte'ów.

– Naturalnie – powiedział Bäckström. Wziął porządny łyk i spodem dłoni strzepnął wiszące mu pod brodą krople napoju. Kto by nie pamiętał małego Lennarta? Jak można dać księciu na imię Lennart? – pomyślał.

– Całe życie w skrócie – westchnął GeGurra. – Bogate życie – dodał.

– Bogate? Co masz na myśli? – zapytał Bäckström, który cenił konkretne wartości i wszystko, co dawało się policzyć. Najlepiej z uwzględnieniem soczystej prowizji.

– Kiedy przyjechała do Szwecji, miała osiemnaście lat. Mimo młodego wieku była jedną z najbogatszych kobiet świata. Maria była kuzynką rosyjskiego cara, który w tym czasie był niewątpliwie najbogatszym człowiekiem na świecie. Ona sama była znacznie bogatsza niż cały szwedzki dom królewski i cała rodzina królewska razem wzięte. Gdy wychodziła za mąż za Wilhelma, rosyjski car postanowił obdarować ją rocznymi apanażami na kwotę trzech i pół miliona koron. W tych czasach odpowiadało to łącznemu rocznemu wynagrodzeniu dziesięciu tysięcy szwedzkich robotników, a przeliczone na dzisiejsze pieniądze dałoby to jakieś cztery miliardy. Rocznie. Maria Pawłowna była bajecznie bogata. W porównaniu z nią jej mąż był biedakiem.

– Ale i tak dała mu chyba jakąś kasę? – zaproponował Bäckström. – Jak chociażby ten serwis myśliwski. Musiał być trochę wart.

– Istotnie – powiedział GeGurra. – Zresztą to niejedyna

rzecz, jaką mu dała w czasie swojego pobytu w Szwecji. W zasadzie wszyscy z jej otoczenia dostali drogie prezenty, a gdy sprowadzała się tutaj, przywiozła ze sobą mnóstwo przedmiotów domowego użytku, drogocennych dzieł sztuki i antyków. Kiedy wróciła do Rosji, prawie wszystko zostawiła. Najwyraźniej się tym nie przejmowała, a większość przedmiotów z pewnością przechował jej pierwszy mąż, książe Wilhelm.

– A jemu jak poszło? – zapytał Bäckström. Nieźle się zapowiada, pomyślał. Cztery miliardy rocznie. Bergman może sobie włożyć swoje stare kapcie w pupę, pomyślał.

– Książe Wilhelm miał duszę artysty – powiedział GeGurra. – Pisał książki, wiele książek, o wszystkim, od poezji miłosnej i tekstów naukowych, również z zakresu żeglarstwa, po notatki z podróży. Do tego uwielbiał kręcić filmy. Nagrywał filmy z całego świata, większość oczywiście ze Szwecji, ale nakręcił też filmy w Afryce, Azji i Ameryce Środkowej. Przez ostatnie trzydzieści lat życia mieszkał w swoim majątku Stenhammar w Södermanlandzie. Zmarł w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym i wydaje mi się, że był wtedy bardzo samotnym człowiekiem, choć obracał się w towarzystwie niemal wszystkich liczących się w jego czasach szwedzkich intelektualistów – malarzy, pisarzy, muzyków. Oczywiście jako mecenas i wielbiciel sztuki, ale głównie jako ich kolega. Był jednym z nich, i pod tym względem był podobny do wielu swoich krewnych z dynastii Bernadotte’ów. Najbardziej znanym z nich był książe Eugen, malarz, na pewno o nim słyszałeś.

– Słyszałem nazwisko – skłamał Bäckström. – Wrócmy jednak do księcia Willego... tego, co się ożenił z tą bogatą Rosjanką....

– Tak?

– Nie miał żadnych więcej dziewczyn, żadnych kolejnych dzieciaków? – zapytał Bäckström, nie mogąc przestać myśleć o tej z pewnością niezmiernie wartościowej zastawie stołowej dekorowanej motywami polowań.

– Nie – odpowiedział GeGurra i pokręcił głową. – Pod koniec

lat dwudziestych spotkał co prawda nową kobietę, Francuzkę, ale był to nieformalny związek, a ona zmarła w tragicznych okolicznościach w pięćdziesiątym drugim. Wypadek samochodowy pod Stjärnhov w Södermanlandzie, kiedy byli w drodze do jego ukochanego Stenhammar. Bardzo smutna historia. Za kierownicą siedział książę, nigdy się z tym nie pogodził.

– Wyobrażam sobie – powiedział Bäckström. – Pewnie był pijany.

– Jechali w zamieci śnieżnej – powiedział GeGurra z nutą żalu w głosie, jak gdyby sam należał do rodziny. – Książę nie nadużywał alkoholu – dodał.

– Pomyślałem o tej zastawie – drażył Bäckström. Wszystko inne już słyszałem, pomyślał.

– Wiem, co myślisz – powiedział GeGurra. – Nie ma wątpliwości, że należała do księcia Wilhelma, więc do tego momentu jej pochodzenie jest oczywiste. Co do dziewiętnastu spośród dwudziestu przedmiotów, które adwokat Eriksson miał za zadanie sprzedać w imieniu swojego tajemniczego klienta, istnieje pewność, a mówiąc ostrożniej, przynajmniej bardzo wysokie prawdopodobieństwo, że pochodzą z posagu Marii Pawłownej, który przywiozła ze sobą do Szwecji. W zasadzie były to prezenty dla jej męża oraz przedmioty, które należały do niej, a które zostawiła, wracając do Rosji. Prześledziłem ich historię i wszystko przemawia za tym, że były w posiadaniu księcia Wilhelma od czasu separacji.

– Dziewiętnaście z dwudziestu – powiedział Bäckström z nutką niepokoju w głosie.

– Właśnie – powiedział GeGurra z naciskiem. – Co do jednego z tych przedmiotów jestem przekonany, że nie należał ani do Marii Pawłownej, ani do jej ówczesnego męża księcia Wilhelma.

– Skąd to wiesz? I w czym jest problem? – powiedział Bäckström.

– Między innymi do tego potrzebuję twojej pomocy, drogi bracie – powiedział GeGurra. – Jakiegokolwiek pomocy, której twój wybitny śledczy umysł mógłby mi udzielić. Przydzielenie

ci sprawy zabójstwa adwokata Erikssona jawi mi się jako znak od Pana. Sądzę, że może to mieć zasadnicze znaczenie dla nas obu.

78

W kwestii dziewiętnastu spośród dwudziestu przedmiotów GeGurra nie miał wątpliwości, kto był ich pierwszym właścicielem i co się z nimi później działo: najpierw Maria Pawłowna, potem jej ówczesny mąż książę Wilhelm. Nie pasował tu tylko młody awanturnik Wersjagin i jego „ikona” – albo raczej kpina – przedstawiająca świętego Teodora, którego namalował, żeby zadrwić ze swojego teścia. Nie była to właściwie ikona, raczej czyste przeciwieństwo dzieła, jakie mógł stworzyć zwykły malarz ikon, chwalcący Pana i niosący chrześcijańskie przesłanie poprzez sztukę.

W szerszym kontekście fakt, że obraz Wersjagina był pod każdym względem przeciwieństwem ikony i że był drwiną wymierzoną w teścia artysty, w osobę, która utrzymywała zarówno jego, jak i jego rodzinę, miał drugorzędne znaczenie. Istotne było to, że powstało dzieło godzące w instytucję Kościoła i państwa. Było to bluźnierstwo, akt wymierzony przeciwko Bogu i carowi.

Skandal wybuchł latem 1899 roku podczas przyjęcia urodzinowego teścia, który natychmiast kazał zwrócić prezent swojemu zięciowi. Załamana, młoda żona artysty zabrała dzieci i przeprowadziła się do rodziców, a Wersjagin opuścił Rosję, żeby tydzień później zjawić się u swoich radykalnie nastawionych do rzeczywistości kolegów po fachu żyjących na wygnaniu w Berlinie i ukrywających się przed tajną policją carską.

Z tułaczki po Francji, Niemczech i Polsce do Petersburga wrócił dopiero jesienią. Małżonka przekonała go w końcu, żeby wrócił do domu, do niej i trójki dzieci. Zdążyła mu już wybaczyć. Teść nie zdążył – kilka miesięcy później Wersjagin już nie żył.

W sylwestra 1899 roku Wersjagin zapił się na śmierć,

świętując wejście w nowy wiek na Akademii Sztuk Pięknych w carskiej stolicy, a o tym, co wydarzyło się w ciągu poprzedniego roku, już wtedy zostało sporo napisane. Prywatne listy wymieniane przez członków rodziny, przyjaciół i wrogów, artykuły w prasie, a z czasem również referaty z zakresu historii sztuki na temat skandalicznego obrazu Wersjagina.

Miesiąc przed śmiercią Wersjagin sprzedał swój portret świętego Teodora. Potajemnie, za skandalicznie niską cenę, jednemu z konkurentów swojego teścia – Anglikowi reprezentującemu brytyjskie przedsiębiorstwo prowadzące interesy w carskiej Rosji, który zdecydował się opuścić kraj, gdy w 1905 roku w Petersburgu wybuchły pierwsze zamieszki, i wrócił do domu, by zająć stanowisko w centrali przedsiębiorstwa w Plymouth.

Ikone autorstwa Wersjagina w jej nowej ojczyźnie publiczność po raz pierwszy zobaczyła jesienią 1920 roku, przy okazji wystawy w Tate Gallery w Londynie, zorganizowanej wokół tematu politycznej roli sztuki w rewolucyjnej Rosji. Wzbudziła ogromne zainteresowanie. Brytyjskie gazety rozpisywały się na temat skandalu, jaki obraz wywołał dwadzieścia lat wcześniej, a na łamach „Timesa” ukazał się dłuższy wywiad z właścicielem dzieła. Był to wtedy już emerytowany dyrektor przedsiębiorstwa żeglugi morskiej sir Albert Stanhope, który z różnych powodów wolał opowiadać o Wersjaginie jako o autorze malarstwa krajobrazowego niż o młodym awanturniku, który zyskał międzynarodowy rozgłos, oczerniając swojego teścia. Nieważne, że teść był Niemcem i był równie gruby, jak jego grecki imiennik – wojna się skończyła i sir Albert skłonny był oddzielić tę kwestię grubą kreską.

– *The war is over and it's time to let bygones be bygones. And let's not forget that Alexander Vershagin was a first class landscape artist.*

– Jeśli chodzi o historię portretu świętego Teodora, to znamy ją bardzo dobrze od momentu wystawienia dzieła w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym do czasów drugiej wojny światowej – stwierdził GeGurra. – Kupił go Stanhope

i pozostał jego właścicielem do swojej śmierci w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim. Gdy obraz wywieziono z Rosji w tysiąc dziewięćset piątym, Maria Pawłowna miała zaledwie piętnaście lat. Było absolutnie wykluczone, żeby mógł go dotknąć którykolwiek z Romanowów, choćby szczypcami.

– I co dalej? – nie odpuszczał Bäckström. – Co się z nim stało po śmierci tego armatora?

– Został sprzedany na aukcji przez jego spadkobierców. W domu aukcyjnym Christie's w Londynie jesienią czterdziestego czwartego. Tym razem poszedł za sto dwadzieścia funtów, co było w tamtych czasach przyzwoitą sumą, zważywszy na szalejącą w Europie wojnę. Ale, rzecz jasna, jest to zaledwie ułamek ceny wylicytowanej w Sotheby's kilka miesięcy temu.

– A więc trop urywa się w czasie drugiej wojny światowej, jesienią czterdziestego czwartego – stwierdził Bäckström, drapiąc się po okrągłym podbródku.

– Tak, potem obraz nie pojawia się ani na wystawach, ani na aukcjach.

– Ale co się z nim stało? Kto go kupił? – Bäckström skinął zachęcająco głową w kierunku swojego towarzysza.

– Nie mam pojęcia – przyznał GeGurra. – Jak się pewnie domyślasz, razem z moimi współpracownikami robiliśmy w tej kwestii wszystko, co tylko mogliśmy. Mój znajomy w Anglii przejrzał księgi Christie's z jesiennej aukcji w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym. Nabywca zapłacił za obraz gotówką. Nigdzie nie ma jego nazwiska. Zachowała się jednak notatka, z której wynika, że chciał pozostać anonimowy.

– Gotówką? Podejrzane – powiedział Bäckström. Cholernie podejrzane, pomyślał.

– Cóż – GeGurra wzruszył ramionami. – Nie była to jakaś niebotyczna suma, a wielu kupujących woli przeprowadzać transakcje w ten sposób. Również wielu moich kolegów handlujących sztuką.

– Potem obraz pojawia się dopiero po siedemdziesięciu latach. Tutaj, w Szwecji, u adwokata Erikssona, który miał za zadanie sprzedać go w imieniu nieznanego klienta.

– Rzeczywiście można to tak podsumować.

– I nie wiesz, gdzie się przez ten czas znajdował. Chyba wszystko wskazuje na to, że należał do jakiegoś Szweda? Jak inaczej miałby tutaj trafić?

– Ja też tak uważam – powiedział GeGurra. – Dlatego gdybyś mógł mi pomóc wyjaśnić ten drobny detal, byłbym ci bardzo wdzięczny.

– Nasz baron sprzedaje go wiosną na zlecenie adwokata. Czy sprzedawał coś jeszcze na tej aukcji? – Mały arystokrata jest umoczony po uszy w całą tę historię, pomyślał.

– Do sprzedania na aukcji były trzy przedmioty z kolekcji, o której wycenę poprosił Eriksson – powiedział GeGurra. – Ikona, o której wspominałem, i zastawa stołowa z motywami myśliwskimi, która, jak widzę, zrobiła na tobie wrażenie. Trzecim przedmiotem była złota zapalniczka, sądząc po stemplu, wyprodukowana w Petersburgu na początku dwudziestego wieku. Nie ma na niej żadnych inskrypcji, które mogłyby prowadzić do księcia Wilhelma. Jestem jednak przekonany, że książę Wilhelm ją również dostał od Marii Pawłownej. Co więcej, wykonał ją jeden z najbardziej znanych w historii jubilerów, który działał właśnie w tym czasie w Petersburgu. Nazywał się Carl Fabergé i dostarczał wyroby jubilerskie na carski dwór. Na pewno o nim słyszałeś.

– I ile wtedy kosztowała ta zapalniczka? – zapytał Bäckström.

– Nie pamiętam dokładnie, ale zdaje się, że na aukcji poszła za jakieś sto tysięcy. Bez szaleństw, mniej więcej za taką sumę została kupiona, jeśli uwzględnić zmianę wartości pieniądza. Jest wiele zapalniczek z tamtego okresu. Były niemal obowiązkowym elementem wyposażenia gabinetu każdego zamożniejszego pana domu. Z tą tylko różnicą, że ta kosztowała więcej niż inne – powiedział GeGurra i wzruszył ramionami.

– Co się stało z tą zastawą? – zapytał Bäckström. – Tą z motywami myśliwskimi, ile za nią dostał?

– Zastawa... – powtórzył GeGurra, kręcąc głową. – To bardzo przykra historia, prawdziwy dramat.

– Opowiadaj – powiedział Bäckström.

Zdaniem GeGurry, gdy zastawę wystawiono na aukcji niemal sto lat po tym, jak wyszła z carskiej fabryki porcelany w Petersburgu, była w opłakanym stanie. Gdyby było inaczej, z pewnością osiągnęłaby cenę ponad dziesięciu milionów szwedzkich koron. Rzemiosło najlepszego sortu, z nie lada metryczką. Podarunek od rosyjskiej wielkiej księżnej dla szwedzkiego księcia. Dynastia Romanowów i Bernadotte'ów na jednym talerzu. Niestety w chwili sprzedaży była już tylko smutnym wspomnieniem serwisu z motywami myśliwskimi, który przed laty liczył sto czterdzieści osiem części.

– Niezły podarunek dla młodego księcia, który właśnie został porucznikiem szwedzkiej królewskiej marynarki wojennej i kapitanem łodzi torpedowej „Castor” – stwierdził GeGurra, który najwyraźniej uwielbiał romantyczne detale. – Z całego kompletu pozostało jedynie trzydzieści dziewięć elementów, wszystkie obtłuczone i porysowane – mówił dalej. – Głębokie talerze, sosjerki i talerzyki przemieszane bez ładu i składu. Ich zarysowania nie wskazywały na żaden konkretny powód uszkodzeń. Bardzo przykra historia – stwierdził GeGurra, wzdychając tak głęboko, jakby chodziło o śmierć bliskiej osoby.

– Może zabierał je ze sobą na podkład? Na ten torpedowiec, którym pływał tam i z powrotem. Mógł go złapać jakiś sztorm i wtedy, no wiesz... – podsunął Bäckström, próbując pomóc w uporządkowaniu tej historii. I mając nadzieję, że właścicielem zastawy okaże się król.

– Szczerze mówiąc, trudno mi w to uwierzyć. Po pierwsze nie sądzę, żeby było na nie miejsce na okręcie, a po drugie Wilhelm żywo interesował się sztuką. Poza tym w tych sprawach był bardzo rozważnym i przewidującym człowiekiem. Dlatego nie sądzę, żeby w ogóle wpadł na taki pomysł.

– Słyszę, co mówisz – powiedział Bäckström. – Dlaczego jej nie kupiłeś?

– Nie byłem zainteresowany, a już na pewno nie za pół miliona – powiedział GeGurra. – Jestem pewien, że dostała się

w ręce jakichś rosyjskich oligarchów, którzy nie muszą się martwić tym, co ile kosztuje.

– Za to kupiłeś ikonę?

– Tak – przyznał GeGurra. – Co mi bardzo pomogło, kiedy jakieś dwa tygodnie później zjawił się Eriksson, żeby pokazać mi zdjęcia. Zapytałem go, kogo zatrudnił do oszacowania wartości tych przedmiotów, choć miałem już w tej kwestii określone przypuszczenia.

– Skoro jednak uważałeś, że nie była jedną z rzeczy, które Wille dostał od tej Rosjanieczki, nie rozumiem, dlaczego mimo wszystko ją kupiłeś?

– Bracie, pewnie się orientujesz, że żyję z handlu sztuką – powiedział GeGurra z pojednawczym uśmiechem. – Miałem potencjalnego klienta. Mój dawny znajomy wyraził zainteresowanie tym malowidłem. Był do tego stopnia zainteresowany, że to on skontaktował się ze mną, a nie ja z nim. Ciągłe się waha, choć na brak gotówki raczej nie narzeka, dlatego ikona ciągle leży u mnie. Na wypadek gdybyś był zainteresowany, możesz liczyć na naprawdę dobrą cenę, po znajomości. Co powiesz na deser? Tort bezowy Oskara II? A do tego może dasz się namówić na porto? Świetnie pasuje do słodkości.

– Może być koniak – powiedział Bäckström. Za kogo on mnie ma? Porto piją tylko baby. I takie babochłopy jak GeGurra, pomyślał.

– A czy wiedziałeś, że król Oskar II, na którego cześć został nazwany ten tort, był dziadkiem ze strony ojca księcia Wilhelma? To właśnie on skontaktował się z rosyjskim carem Mikołajem II i zaproponował mu, żeby jego wnuk ożenił się z Marią Pawłówną. Miał to być sposób na wzmocnienie więzi pomiędzy dawnymi wrogami Szwecją i Rosją. Na zerwanie z naszą smutną historią. Świat jest mały, mój przyjacielu. Świat jest mały.

Co to ma wspólnego z moim tortem bezowym, pomyślał Bäckström, ale tylko uśmiechnął się pod nosem. GeGurra nie ma sobie równych. Mało kto potrafi tyle mówić o sprawach niemających nic wspólnego z tematem, pomyślał.

– Ile są warte te zbiory, o których wspominałeś? To znaczy łącznie? – zapytał Bäckström, jak przystało na kogoś, kogo zawsze interesuje sedno sprawy.

– Piętnaście ikon, dwa komplety srebrnych sztućców, zapalniczka, zastawa stołowa, łącznie dziewiętnaście przedmiotów, a jeśli sprzedać jeszcze pozostałe malowidła, można by dostać jakieś cztery miliony z górką – powiedział GeGurra.

– Sporo kasy – stwierdził Bäckström.

– To prawda – przyznał GeGurra. – Co do ostatniego przedmiotu z kompletu śmiem twierdzić, że nie jest godny najmniejszego zainteresowania.

– Co to jest? – zapytał Bäckström. Dwudziesty przedmiot z kolekcji, pomyślał.

– Zamierzałem właśnie do tego przejść, ale jeśli pozwolisz, bracie, chciałbym najpierw pójść do toalety, żeby przemyć ręce przed deserem – powiedział GeGurra i na wszelki wypadek zamachał w powietrzu długimi palcami. – Potem na spokojnie ci wyjaśnię, dlaczego cię tu zaprosiłem, bracie.

Czas najwyższy, pomyślał Bäckström i skinął głową. Czas najwyższy na dużą, brązową kopertę, pomyślał.

Musi bardzo dbać o higienę osobistą, pomyślał Bäckström, gdy jego towarzysz wrócił po dziesięciu minutach. Kto sika dłużej niż minutę? Wystarczy odpowiednie ciśnienie, sam zresztą załatwiał tę sprawę codziennie rano i wieczorem niezależnie od tego, czy potrzebował, czy nie. Na szczęście nie musiał czekać w zupełnej samotności, bo dostał porządną dolewkę koniaku. Niestety GeGurra, wychodząc do toalety, zabrał ze sobą teczkę, Bäckström nie miał więc możliwości spędzenia tego czasu na jej gruntownym przeszukaniu.

– Domyślam się, że znasz historię o nosie Pinokia, Bäckström – powiedział GeGurra. – Tej drewnianej kukielki, której nos wydłużał się, kiedy kłamała.

– Znam, znam, ale w mojej pracy takie historie się nie zdarzają – powiedział Bäckström. – Gdyby ludziom, z którymi pracuję, rosły z takiego powodu nosy, nie miałbym w biurze wolnego miejsca. Zresztą nie tylko im. Przestępcom, tak zwanym ofiarom i moim tak zwanym kolegom i koleżankom.

Wszyscy oni bez przerwy kłamią, a mimo to ich nosy nie wydłużają się nawet o milimetr – stwierdził Bäckström i pokiwał z przejęciem głową.

– Jest aż tak źle? – zapytał GeGurra i uśmiechnął się łagodnie.

– Gorzej, jeśli chcesz wiedzieć – powiedział Bäckström, którego ogarniała złość na myśl o wszystkich kłamstwach i sprzeniewierzeniach otaczających uczciwego człowieka, który najzwyczajniej w świecie próbował robić, co do niego należało.

– Ten Pinokio z bajki – mówił dalej GeGurra i zabrzmiało to, jakby myślał na głos. – „Pinokio” oznacza „sęk sosny”, wiedziałeś? Wszyscy znamy z dzieciństwa włoską bajkę o biednym majstrze Dżepetto, co z drewna sosny struga pajacyka, któremu daje na imię Pinokio i który nagle ożywa, a jego nos rośnie, gdy kłamie. A gdy w końcu przestaje kłamać, zmienia się w prawdziwego chłopca.

– Tak, tak – przytaknął Bäckström. – W moim zawodzie byłoby to wyjątkowo praktyczne. Niestety nie wierzyłem w tę bajkę nawet w czasach, kiedy ganiałem w krótkich spodenkach...

– Autorem tej opowieści jest pewien Włoch, Carlo Lorenzini. Był pisarzem, dziennikarzem i lokalnym politykiem, mieszkał we Florencji, a historię Pinokia opublikował pod pseudonimem Carlo Collodi. Pierwsze części opowieści ukazywały się odcinkami w gazecie dziecięcej od tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku, a ostatni rozdział opowieści o Pinokiu, w którym kukielka przestaje kłamać i zamienia się w prawdziwego chłopca, opublikowany został w tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim. Łącznie jakieś czterdzieści odcinków. Collodi zmarł w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym. Opowieść o Pinokiu została bardzo szybko przetłumaczona...

– Ja to wszystko wiem – przerwał Bäckström. Znowu się zaczyna, pomyślał.

– Aha...

– Ja to wszystko wiem – powtórzył Bäckström. Co mam zrobić, żeby drań wreszcie skończył, pomyślał.

– Na pewno jednak nie słyszałeś prawdziwej historii o nosie Pinokia... – powiedział GeGurra i ściszył głos, pochylając się do przodu.

– Prawdziwej historii? – Upił się czy co? – pomyślał Bäckström. Przecież tylko zamoczył usta w tym swoim czerwonym winie.

– Prawdziwej historii nosa Pinokia, która mogła odmienić losy ludzkości, gdyby tylko skończyła się inaczej. Prawda, że tej nigdy nie słyszałeś?

O czym ten skurczybyk gada, pomyślał Bäckström. Prawdziwej historii nosa Pinokia?

80

– Prawdziwa historia nosa Pinokia, która mogła odmienić los całej ludzkości, gdyby tylko skończyła się inaczej. Tej na pewno nigdy nie słyszałeś – powiedział GeGurra, obracając kieliszek z porto w swoich smukłych palcach. – Mogę ci ją opowiedzieć, oczywiście pod warunkiem, że to, co usłyszysz, zostanie między nami.

– O to możesz być spokojny – zapewnił Bäckström i wziął głęboki łyk koniaku, bo z miny GeGurry wywnioskował, że zajmie mu to dłuższą chwilę.

Prawdziwa historia nosa Pinokia rozegrała się w Petersburgu, na dworze ostatniego cesarza Rosji, Mikołaja II, między jesienią 1907 a latem 1908 roku. Jak w każdej dobrze napisanej opowieści również w niej wyraźnie rysują się dwie główne postacie. Wszystkie pozostałe są drugoplanowe, a to, co najważniejsze, rozgrywa się między dwiema głównymi.

Pierwsza z nich to młoda Włoszka, Anna Maria Francesca di Biondi, która w chwili gdy zaczyna się nasza opowieść, ma dwadzieścia cztery lata. Anna Maria urodziła się i dorastała we Florencji, gdzie spędziła młodość z przerwami na krótsze podróże zagraniczne do Francji, Grecji, Austrii, Szwajcarii, Niemiec, Polski i carskiej Rosji. Co daje jakieś dwadzieścia wyjazdów w ciągu tyluż lat życia, nic wyjątkowego dla kobiety o takim zapleczu i koneksjach rodzinnych. W wyobraźni bez przerwy podróżuje. Anna Maria Francesca jest wyjątkowo utalentowaną kobietą, a w myślach może podróżować, dokąd chce, robić, co chce i z kim chce.

Rzeczywistość, w której żyje, narzuca jej jednak sztywne ramy. Anna Maria Francesca di Biondi jest córką włoskiego markiza, którego życiem kierują te same zasady co jej, wynikające z tradycji, pochodzenia i krwi płynącej w żyłach uprzywilejowanych rodów. Jej ojciec jest człowiekiem uczonym, językoznawcą z tytułem profesora na uniwersytecie we Florencji, ale pod względem zamożności nie należy do czołówki, i to właśnie uwarunkowania ekonomiczne bardziej niż chęci zmuszają go do tego, by wspomagać rodzinny budżet pensją wykładowcy akademickiego. Gdyby mógł wybierać, z pewnością wybrałby życie, o jakim marzy. Wybrałby spokój biblioteki ponad towarzystwo kolegów i studentów. Jednak w ostatecznym rozrachunku nie przeszkadza mu to nadmiernie, ponieważ otaczająca go rzeczywistość, niezależnie od tego, jaką formę przyjmuje, i tak nigdy nie dorówna jego marzeniom, i chyba nie muszę dodawać, że Anna Maria Francesca jest tą, którą kocha najbardziej spośród sześciorga swoich dzieci.

Matka Anny Marii jest kobietą dobrą i wykształconą, która dzieli swój czas pomiędzy opiekę nad domem rodzinnym i działalność społecznikowską w lokalnej wspólnotce kościelnej we Florencji. Nie będziemy o niej dłużej mówić, co nie ma nic wspólnego z jej osobą, lecz wynika wyłącznie z faktu, że nie odgrywa ona żadnej roli w prawdziwej historii nosa Pinokia. Bardziej interesująca jest jej matka, babka Anny Marii Franceski. Z pochodzenia Rosjanka, mieszkała razem z Anną Marią przez całe jej dzieciństwo, dzięki czemu Anna Maria mówi płynnie po rosyjsku.

Babcia Anny Marii była córką rosyjskiego szlachcica i generała, który sto lat wcześniej walczył z Napoleonem. Generał przegonił francuskiego najeźdźcę ze świętej ziemi rosyjskiej, ścigał go z Moskwy aż do Europy, zabił tysiące jego żołnierzy podczas przeprawy przez rzekę Berezynę, wygrał z nim wszystkie potyczki i bitwy na terenie Polski i Austrii. Gdy uzurpator został pokonany, generał pozostał w nowej, wyswobodzonej spod francuskiego jarzma Europie. Najpierw jako ambasador cara w Austro-Węgrzech, a pod koniec życia

jako jego wysłannik do Stolicy Apostolskiej w Rzymie. General mieszka we Włoszech aż do swojej śmierci, a gdy po trzydziestu latach służby poza granicami jego ciało wraca z Watykanu do Petersburga, żegnany jest ze wszystkimi honorami i w obecności samego cara.

We Włoszech zostaje jedna z jego wielu córek, która wychodzi za mąż za włoskiego księcia. Dwadzieścia lat później jedna z jej córek wyjdzie za mąż za światłego florentyńczyka noszącego tytuł markiza. Markiz również jest bardzo dobrym człowiekiem, a jedynym, co jego żona mogłaby mu ewentualnie zarzucić, jest to, że spędza większość czasu na rozmyślaniach, zamiast stawiać czoło rzeczywistości i wyzwaniom, jakie niesie ze sobą życie prawdziwego mężczyzny będącego głową rodziny.

Latem 1907 roku rodzinę di Biondi w jej posiadłości we Florencji odwiedza daleki krewny babki Anny Marii, zresztą to właśnie do niej przyjeżdża z wizytą. Oczywiście jeśli wierzyć listom, które przed przyjazdem napisał do pana domu i markiza w jednej osobie. Nazywa się księżę Siergiej, jest członkiem dynastii Romanowów, dalekim krewnym cara i podobnie jak wszyscy inni członkowie tego rodu jest bajecznie bogaty. Poza tym kiepski z niego Rosjanin. Kiepski w tym sensie, że woli żyć w Europie, pozostawiając zarządcom opiekę nad majątkami ziemskimi w ojczystej Rosji. Ciągną się one od Karelii na północy do Baku nad Morzem Kaspijskim na południu.

Tego lata przybywa do Włoch w ramach jednej ze swoich licznych podróży. Nie pamięta już nawet, który to już raz z rzędu przywiodły go tu sztuka, muzyka i kultura. Gwoli ścisłości – również kobiety i jedzenie, przede wszystkim jednak kobiety. Gdy po raz pierwszy widzi Annę Marię, ztraca się w niej bez reszty.

Księżę Siergiej był od Anny Marii blisko trzydzieści lat starszy, a jego pałac w Petersburgu dzieliło od Florencji dwa i pół tysiąca kilometrów. Z jej spojrzenia wynioskował jednak, że nie będzie to zasadniczą przeszkodą. Za to jego przyszły teść nie potrafił sobie nawet wyobrazić, żeby ukochana córka miała go zostawić dla jakiegoś Rosjanina w jego wieku i na domiar

złego wyjechać z nim za granicę. Życ w innym świecie i innym życiem niż to, o którym sam w głębi duszy marzył.

Dla księcia Siergieja nieświadomy niczego przyszły teść stanowił po prostu czynnik ludzki, z którym zazwyczaj dawał sobie radę. To było jego drugie oblicze. Książę Siergiej był bowiem człowiekiem o wielu obliczach. Człowiekiem żywiącym prawdziwą miłość do sztuki, kultury, muzyki, jedzenia, a szczególnie do kobiet, lecz jednocześnie pragmatycznym. Zrezygnowawszy z dalszej podróży, postanowił spędzić we Florencji całe lato na adorowaniu Anny Marii i snuciu planów na przyszłość. Jakiś miesiąc później przedstawia markizowi konkretną propozycję, którą ten ostatecznie akceptuje, a nawet aprobuje. Całkowicie nieświadomy, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi.

Najukochańsza babcia zdecydowanie wyraża wolę, by przed śmiercią jeszcze raz odwiedzić Rosję – kraj, z którym czuje się najmocniej związana. Pomysł jest jej, a że jest już w podeszłym wieku, nie może się obejść bez towarzystwa bliskich i młodszych krewnych, spośród których najchętniej widziałaby u swojego boku Annę Marię. Anna Maria z chęcią przystaje na tę propozycję i jednocześnie wyraża podobną co jej ukochana babka wolę poznania swoich rosyjskich korzeni. Pozostają kwestie praktyczne, które książę Siergiej drobiazgowo rozpracowuje zgodnie z wytycznymi markiza. Czy mogłby postąpić inaczej i przeciwstawić się tym najbardziej oczywistym przejawom troski – wynikłym z tradycji i więzów rodzinnych – swojego drogiego włoskiego krewnego?

Zatrudnia damę do towarzystwa dla babci, przyzwoitkę dla Anny Marii Franceski i pokojówkę dla każdej z nich. Udział pozostałych osób towarzyszących wyprawie jest sprawą oczywistą ze względu na jego pozycję społeczną i na charakter sprawy. Dołączają więc adiutant Siergieja, jego osobisty sekretarz, trzech lokai, dwóch ochroniarzy i pół tuzina przybocznych, którzy piorą jego ubrania i noszą jego ciężkie bagaże. Naturalnie jedzie również sam książę Siergiej.

Pod koniec sierpnia ruszają z Florencji pociągiem. Na podróż do Petersburga przeznaczają aż trzy tygodnie, żeby się nie

spieszyć i mieć możliwość zatrzymania się po drodze, gdy najdzie ich ochota. Do dyspozycji mają trzy wagony: jeden dla babki, Anny Marii Franceski, księcia Siergieja i jego straży przybocznej, jeden dla reszty personelu i jeden na wszystkie bagaże. Anna Maria Francesca zabiera ze sobą dziesięć kufrów wypełnionych rzeczami osobistymi, o siedem więcej, niż pierwotnie planowała, a to głównie dzięki Siergiejowi, który przez cały poprzedni tydzień wędrował razem z nią po wszystkich butikach Florencji i kupował wszystko, co tylko mogłoby się jej przydać podczas podróży.

Tempo opowieści nadaje książkę Siergiej – pod względem dramaturgicznym i narracyjnym jest osobą, którą najczęściej nazywa się inicjatorem, a powód takiego stanu rzeczy nie ma nic wspólnego z prawdziwą historią nosa Pinokia. Kieruje się czysto osobistymi pobudkami, a człowiekowi jego pokroju trudno byłoby sobie wyobrazić, by te pobudki mogły być bardziej szlachetne. Te wątki opowieści, które dotyczą jego miłości do Anny Marii, kończą się szczęśliwie dla wszystkich, którzy biorą w niej udział: dla Anny Marii Franceski i dla niego, dla babci i dla matki Anny Marii, dla jej pięciorga rodzeństwa i jej ukochanego ojca.

Przede wszystkim dla jej ukochanego ojca. Co prawda minie blisko rok, zanim Maria wróci do Florencji, czyli kilka miesięcy więcej, niż Siergiej początkowo planował, gdy ojciec błogosławił ich przed podróżą. O tym, że w drodze powrotnej do Florencji zdarzy im się potajemnie wziąć ślub, dowie się z telegramu, który dotrze do niego zaledwie tydzień przed ich powrotem, a po kolejnym miesiącu zorientuje się, że Maria spodziewa się dziecka. Kiedy jednak wysiadają z pociągu, przyjmuje ich z otwartymi ramionami.

Zresztą czy mógłby postąpić inaczej? Jego córka jest piękniejsza niż zwykle, a w jej spojrzeniu widzi radość życia, które teraz jest bliższe jej marzeniom niż zaledwie rok wcześniej.

Anna Maria Francesca di Biondi jest wyjątkowo piękną młodą kobietą. Dużo piękniejszą niż wszystkie kobiety, które książkę Siergiej spotkał w swoim życiu. Jest niezwykle

utalentowana, zna kilka języków, a do tego jest nadzwyczaj muzykalna. Ma piękny głos, pełny i dźwięczny mezzosopran, którym bez żadnego wysiłku przebiega całą skalę. Gra na różnych instrumentach, a jeśli potrzeba, bez najmniejszego trudu akompaniuje sobie na pianinie, gitarze i mandolinie.

Ponieważ Siergiej obiecał, że przedstawi ją dworzanom carskiego dworu, postanowiła zabrać ze sobą prezenty dla carskich dzieci. Wachlarze z najcieńszego papieru ryżowego, chustki na głowę z przedniego włoskiego jedwabiu, wielobarwne balowe maski weneckie, podarunki dla czterech córek Olgi, Tatiany, Marii i Anastazji.

Dla ich młodszego brata Aleksego, przyszłego cara, wówczas zaledwie trzyletniego, przywiozła podarunek wyjątkowy. Łącznie czterdzieści numerów florenckiego tygodnika „Giornale di Bambini” wydawanego w latach 1881–1883. Na jego łamach opublikowano bogato ilustrowaną opowieść o Pinokiu, małym chłopcu, któremu rósł nos, gdy kłamał. Tę bajkę Anna Maria nosiła głęboko w sercu od czasu, gdy sama była w wieku Aleksego. W myślach czytała mu na głos tę historię na długo przed tym, zanim pociąg zatrzymał się na stacji w Petersburgu.

Aleksy, przyszły car, druga najważniejsza postać w prawdziwej historii o nosie Pinokia.

81

Co za okropny gaduła, pomyślał Bäckström o swoim gospodarzu GeGurrze, który najwidoczniej dał się ponieść własnemu monologowi.

W porównaniu z tym człowiekiem pierwszy lepszy polski domokrażca jest zwyczajnym autykiem, pomyślał Bäckström. Określenia tego nauczył się na jednej z licznych konferencji policyjnych, na które zwykle chadzał pod koniec tygodnia. Czasem sam go używał podczas przesłuchania, komentując zachowanie podejrzanych, którzy uparcie milczeli. Kilka razy nawet zadziało, gdy przesłuchiwanym zaczęli się zastanawiać, czy przypadkiem nie zostali przez śledczego obrażeni, i z tego

tylko powodu postanowili mówić. Niestety w przypadku GeGurry ta metoda nie mogła się okazać skuteczna – nic nie zatrzymałoby tego potoku słów.

Ostatni kwadrans przesiedział więc, słuchając jednym uchem opowieści GeGurry, jednocześnie pilnując stanu swojego kieliszka i próbując skoncentrować się na brązowej kopercie, która w mniej lub bardziej zawołowany sposób została mu obiecana. Na dobrą sprawę powinien podziękować za kolację, wstać i wyjść. Siedział jednak bezwolnie jak na grzbiecie ślimaka sunącego powoli ku celowi ich podróży. Bäckström wyraźnie czuł się ofiarą swojej nadmiernej tolerancji i skłonności do udzielania pomocy wszystkim, którzy jej potrzebowali, i z wolna rodziła się w nim irytacja na myśl o tym, jak GeGurra go wykorzystuje.

– Chciałbyś o coś zapytać? – powiedział GeGurra, mierząc go spojrzeniem nieco zbyt badawczym jak na gust Bäckströma.

– Być może o to, kiedy zamierzasz przejść do rzeczy – odpowiedział Bäckström. – Co prawda nie mam jakichś szczególnych planów na resztę wieczoru, ale...

– Zaraz do tego dojdę, mój drogi przyjacielu – przerwał GeGurra i poklepał go przyjaźnie po ramieniu. – Zaraz dotrzemy do sedna sprawy i dlatego to takie istotne, żebyś słuchał uważnie, bo właśnie w tym momencie wszystkie fragmenty zaczynają układać się w całość.

82

Anna Maria i jej babka zostały zakwaterowane w pałacu księcia Siergieja nad rzeką Newą w Petersburgu. Pięć minut jazdy konno od Pałacu Aleksandryjskiego, gdzie car i jego rodzina spędzają o tej porze roku większość swojego czasu. Można powiedzieć, że w ciągu tych dziesięciu miesięcy, kiedy tam przebywają, niczego im nie brakuje. Dwieście pokoi i około setki służących, sześciopokojowy apartament do dyspozycji Anny Marii Franceski i jej przyzwoitki położony w bezpośrednim sąsiedztwie części pałacu zamieszkiwanej przez księcia Siergieja. Wystarczająco duży, a nawet o jeden

pokój za duży w stosunku do jej potrzeb, ponieważ od pewnego czasu spędza noce w sypialni Siergieja.

Babcia Anny Marii mieszka w drugim końcu budynku wraz ze swoimi przybocznymi i gdyby tatuś markiz miał tego wszystkiego świadomość, z pewnością zdziwiłby się i zaniepokoił. Skąd jednak miałyby o tym wiedzieć, skoro znajduje się na drugim końcu Europy, a w listach, które jego córka i jej babcia przysyłają kilka razy w tygodniu, nie ma ani słowa o tego rodzaju bląhostkach.

Ich listy dotyczą kwestii dalece wykraczających poza codzienne, przyziemne sprawy. Piszą przede wszystkim o tym, jak dobrze zostały przyjęte, o gościnności, jaka je spotyka, i o tym, że Maria Francesca już po dwóch tygodniach zostaje przedstawiona osobom z najbliższego otoczenia cara. W większości relacjonują historie z dworu carskiego. Piszą też o tym, jak Anna Maria przygotowuje się do kilkudniowego pobytu w Pałacu Aleksandryjskim w charakterze guwernantki czterech córek cara.

Jednak nie tylko guwernantki. Anna Maria uczy je również muzyki, języka i opowiada historie z dalekich Włoch, które szczególnie jesienią, kiedy ciemność i chłód spowijają Petersburg, rozbudzają dziecięce fantazje. Wspólnie snują marzenia o życiu weselszym, cieplejszym i jaśniejszym niż to spędzane w domu podczas nadchodzącej długiej rosyjskiej zimy.

Jakże jest piękna ich ukochana Anna Maria Francesca, z ciemnymi, lekko kręconymi włosami, żywym spojrzeniem i szerokim uśmiechem. Bawi się z nimi, dowodzi, w ruch idą wachlarze, jedwabne apaszki i przywiezione przez nią weneckie maski. Wszystkie kochają Annę Marię Francescę, począwszy od najstarszej siostry Olgi, która ma dwanaście lat, aż do małej Anastazji, która właśnie skończyła sześć. Po tygodniu zaskakuje je wszystkie nieoczekiwana wizyta.

W progu drzwi staje nagle ich młodszy brat Aleksy w towarzystwie dwóch dorosłych, milczących mężczyzn w strojach kozackich. Trzyletni chłopczyk ma na sobie marynarskie ubranko, z długimi nogawkami. Jeden z kozaków

dzierży w wielkiej dłoni małą bałajkę, a chłopiec uśmiecha się pogodnie do swoich siostr. Gestem dłoni każe im wyjść z pokoju, żeby mógł zostać sam na sam z ich włoską opiekunką.

Nie wygląda na szczupłego, choć twarz ma pociągłą, myśli Anna Maria Francesca zaskoczona i unosząc się nad klawiatury fortepianu z opuszczoną głową, nisko kłania się przyszłemu carowi.

Dopiero późnym wieczorem poznaje tajemnicę, o której nie mówi się poza rodziną.

– Ma hemofilię – wyjaśnia Siergiej. – Odziedziczył ją po matce. Nie jest gruby, to tylko ubrania. Chodzi zakutany od stóp do głów.

Żeby go chronić, wszystkie jego ubrania podszyto grubą warstwą filcu. W jego przypadku choćby najmniejsze krwawienie grozi śmiercią, ponieważ jego zatamowanie jest prawie niemożliwe.

– Upadek, ukłucie albo uderzenie, nawet zadrażnienie na kolanie, mogą go zabić. Ostatniej zimy potknął się o stół, przez co leżał w łóżku przez całą wiosnę z powodu silnych krwotoków wewnętrznych – wyjaśnił Siergiej.

– *Cara mia, mia cara*, jakie to smutne – wzdycha Siergiej, przesuając opuszkami palców po jej policzkach i czole. Leżąc przy niej, woli rozmawiać na inne tematy. Jest tak zachłyśnięty życiem, że nie chce nawet przez chwilę myśleć o śmierci.

Gdy Aleksy spotyka po raz pierwszy Annę Marię Francescę di Biondi, ma trzy lata, a więc jest o pięćdziesiąt lat młodszy od Siergieja. Pomimo różnicy wieku i wszelkich innych różnic, które z tym się wiążą, jego serce przepelniają te same uczucia co serce Siergieja i już tydzień po ich pierwszym spotkaniu siedzi na kolanach Anny Marii z głową opartą na jej piersi, a ona czyta mu na głos o małym chłopcu, którego nos rósł, kiedy kłamał.

Czytając, Anna Maria tłumaczy na rosyjski, wplata włoskie słowa, wyjaśnia ich znaczenie, pokazuje i objaśnia rysunki. Gdy bajka dobiega końca, ostrożnie przesuwa palcem po nosie Aleksego, a on uśmiecha się i wtula w jej ciepłe ciało. W jej miękkie, ciepłe ciało, które tak przyjemnie pachnie.

Aleksy jest odmieniony. Przestał się bawić w jazdę na łyżwach po wypolerowanych podłogach, nie biega już po korytarzach i salach, nie dbając o to, co by się stało, gdyby się przewrócił, nie wspina się już na drzewa w parku. Na te wszystkie drzewa, z których nawet najmniejsza brzoza mogłaby pozbawić życia zarówno chłopca, jak i jego ochroniarza, gdyby carewicz z niej spadł.

Siedzi cicho na kolanach czytającej Anny Marii, siedzi przejęty obok niej przy fortepianie, a ona pomaga mu trafić we właściwe klawisze i razem wybuchają śmiechem za każdym razem, gdy się pomylą. Mały Aleksy jest odmieniony, a jego ojciec, car Mikołaj II, patrzy na to z zadowoleniem. Oczywiście z odpowiedniej odległości, z odległego okna, tak by mógł ich oglądać, a oni nie mogli widzieć jego.

Każdy nowy dzień to nie tylko dar od życia, to również obietnica, że jego syn przeżyje dzieciństwo, które w każdej chwili może się skończyć. Liczy się każdy dzień, każda godzina do chwili, gdy będzie na tyle dojrzały, żeby zrozumieć zagrożenie, z jakim żyje. I na tyle dorosły, by przejąć panowanie nad Rosją, które odziedziczy po swoim ojcu.

Czy to właśnie muzyka, piosenki i bajki mają uratować jego ukochany kraj? – zastanawia się Mikołaj. Byłoby to naprawdę dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, co ratowało naród rosyjski na przestrzeni ostatnich pięciuset lat. Ci wszyscy żołnierze, a wśród nich generał, dziadek Włoszki siedzącej teraz na obitym aksamitem taborecie przed fortepianem w wielkim pokoju muzycznym w Pałacu Aleksandryjskim i uczącej jego małego syna grać na bałałajce.

Oczywiście myśli też i o jej pradziadku. Stary generał, który służył jego dziadkowi, Aleksandrowi I. Bohater znad Berezyny, walczący na czele carskiego regimentu dragonów, dosiadający czarnego rumaka, z obnażoną szablą. Dokładnie tak jak na malowidle batalistycznym wiszącym w galerii na drugim piętrze.

Być może właśnie o tym myślał tamtego popołudnia, kilka miesięcy wcześniej, gdy wrócił z konnej przejażdżki po parku. Gdy stanął w wejściu do wielkiej marmurowej sali na parterze

pałacu, ujrzał swoją kuzynkę Marię Pawłówną siedzącą na srebrnej tacy na najwyższym stopniu stromych schodów. Na jej kolanach siedział jego jedyny syn, przysły car Aleksy. Zobaczył jeszcze, jak Maria łapie za stopień i odpycha się, a potem zjeżdżają. Widział, jak taca uderza o każdy kolejny stopień, coraz głośniej i głośniej, coraz szybciej i szybciej. I słyszał, jak Maria Pawłówna i Aleksy piszczą z zachwytu.

Tym razem się udało, choć ochroniarze z założonymi rękami stali z boku i tylko się przyglądali. On sam zamarł w bezruchu i nawet nie drgnął ani nie wydusił słowa, żeby powstrzymać to, co działo się na jego oczach. Tym razem się udało, choć najwyraźniej nie mógł ufać bliskiej krewnej, nawet jeśli wydawała się dorosłą kobietą, która wiosną kończyła osiemnaście lat i planowała wyjść za mąż za szwedzkiego księcia.

Dopiero potem coś się zmieniło. Gdy muzyka, pieśni i opowieści stały się tak ważną częścią życia jego dzieci. Nierozzerwalnie związane z ich włoską opiekunką i nauczycielką Anną Marią. Właśnie wtedy przyszedł mu do głowy pomysł na wielkanocny prezent dla Aleksego. Racjonalny i zupełnie oczywisty pomysł, jeśli wziąć pod uwagę to, co działo się wokół niego i w jego głowie. Prezent wart tyle samo, co bogato inkrustowane diamentami jajo ze złota, które tradycyjnie dawał swojej żonie i matce na okoliczność ważnych dorocznych świąt. Prezent, który po głębszym namyśle należało uznać za bezcenny, skoro mógł zabezpieczyć sukcesję carskiego tronu i uratować jego Rosję.

– Pewnie się zastanawiasz, co to było? – zapytał GeGurra i spojrzał wyczekująco na swojego towarzysza. – Prezent, który car chciał dać swojemu choremu na hemofilię synowi.

– Cóż, nie mogę się doczekać – westchnął Bäckström i spojrzał na zegarek. Ostatni kieliszek koniaku i dam sobie spokój, pomyślał.

– Pozytywka – odpowiedział GeGurra. – Choć nie jakaś tam pierwsza lepsza pozytywka, bo drugiej takiej świat nie widział.

Pozytywka, pomyślał Bäckström. Chyba gdzieś to już słyszałem?

Pozytywka, choć nie jakaś tam pierwsza lepsza pozytywka, bo drugiej takiej świat nie widział. Wyglądało na to, że GeGurra wiedział na jej temat wszystko, co warte było uwagi. Potrzebował dłuższej chwili i kilku dygresji, zanim dotarł do samej pozytywki.

Bäckström dał za wygraną. Wziął kolejny łyk koniaku, odchylił się w krześle i próbował nie słuchać. Nie miał wyboru. Nie mógł ot tak po prostu włożyć ręki do aktówki GeGurry, wyciągnąć z niej koperty i zwać.

– Słucham – powiedział.

Carl Fabergé był jubilerem w Petersburgu. Zaopatrywał cały carski dwór, ale jego największym klientem był car z rodziną. Jego zakład produkował w zasadzie wszystko, co można było wytworzyć z metali i kamieni szlachetnych, a że ich klienci wybierali to, co najlepsze, powstawały dla nich głównie przedmioty ze złota i diamentów.

– Wszelkie możliwe ozdoby, ale również zegary, tabakiery, sztućce, zastawy stołowe, ramki na zdjęcia, ozdoby i miniaturki. Wszystko, co da się zrobić ze złota, srebra i szlachetnych kamieni. Jednak największą sławę przyniosły Fabergému jego jaja wielkanocne. Łącznie pięćdziesiąt siedem sztuk, które car zwykł dawać w prezencie carowej, a z czasem również swojej matce. Dzięki tym jajom ze złota, diamentów i emalii Carl Fabergé zajął w historii sztuki miejsce porównywalne z późnym Cellinim – podsumował GeGurra.

– Ach tak. Ten Cellini – powtórzył Bäckström, bo miał wrażenie, że już słyszał to imię i że mogło to mieć coś wspólnego z jego pracą. – Co on ma wspólnego z tą historią? – To pewnie jakiś makaroniarz, na takich trzeba uważać, pomyślał.

– Co z tą historią ma wspólnego Cellini? – zdziwił się GeGurra. – Nic a nic.

– Jak możesz być tego taki pewien? – zapytał Bäckström.

– Benvenuto Cellini zmarł w tysiąc pięćset siedemdziesiątym

pierwszym roku. Uznawany jest za największego jubilera w historii sztuki. On również pochodził z Florencji. Wspomniałem o nim głównie po to, żebyś uświadomił sobie klasę Fabergégo.

– Ach tak – powiedział Bäckström. – Może jednak mógłbyś opowiedzieć coś więcej o tej pozytywce? Co prawda nie mam nic zaplanowanego na ten wieczór, a jest jeszcze całkiem wcześnie, ale...

– Bracie – przerwał GeGurra i znów poklepał go po ramieniu. – Zaraz do tego dojdę.

– Pozytywka – powtórzył Bäckström. – Chciałbym się dowiedzieć o niej czegoś więcej.

– To bardzo dziwna historia – powiedział GeGurra. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, czym wcześniej zajmował się Fabergé. Choć wyrabiał wszelkie możliwe przedmioty, w tym zegary stołowe i zegarki kieszonkowe, nigdy jeszcze nie skonstruował pozytywki.

– Tym razem jednak było inaczej – wtrącił Bäckström. Nareszcie, pomyślał.

– Rzeczywiście, tym razem było inaczej – stwierdził GeGurra. – Chociaż potem miał wszystkiemu zaprzeczyć. Być może to nieco dziwne, zważywszy na to, że ta pozytywka nie ma odpowiednika w historii sztuki.

– Co było w niej takiego dziwnego? – zapytał Bäckström. Pewnie droga, pomyślał. Wreszcie przechodzimy do rzeczy.

Pozytywka stworzona przez Fabergégo była naprawdę wyjątkowa. W odróżnieniu od zwykłych mechanicznych pozytywek, w których melodię uzyskiwało się dzięki metalowym krzywkom, wahadłom, ciężnom, drążkom i wałkom wprowadzanym w ruch przez sprężynę, ta jedna była skonstruowana zgodnie z zasadą działania fletu, a jej pomysłodawcą był kompozytor, który jednocześnie napisał dwudziestojednosekundową linię melodyczną do pozytywki Fabergégo.

– Nikołaj Rimski-Korsakow. Z pewnością znasz to nazwisko – powiedział GeGurra i westchnął zadowolony. – Światowej sławy kompozytor, dyrygent i profesor w konserwatorium

muzycznym w Petersburgu. To on podjął się całego zadania i bardzo się w nie zaangażował. Melodia skomponowana na flet, zaczynająca się w tonacji durowej, a kończąca w molowej. Dla niego było to oczywiste, zważywszy na okoliczności, jakie miała ilustrować.

– Flet – powiedział Bäckström. – W czym problem? Trudno chyba o prostszy instrument? – Prostszy był już tylko trójkąt, który dostawał od nauczycielki, kiedy inne dzieci grały na flecie prostym.

Problemy techniczne były nadzwyczajne, stwierdził GeGurra, ale mając na względzie osobę zamawiającego i wyjątkową konstrukcję pozytywki, Carl Fabergé nie zasypiał gruszek w popiele.

Do zbudowania mechanizmu zaangażował najwybitniejszego zegarmistrza tamtych czasów, Antona Hügla, który na co dzień pracował dla Patek Philippe w Genewie i w bliskiej współpracy z Rimskim-Korsakowem rozwiązał w końcu zagadnienia techniczne.

– Dalej nie rozumiem – wtrącił Bäckström. – Co jest skomplikowanego we flecie?

– Otóż to – powiedział GeGurra. – Gdy grasz na flecie, wdmuchujesz powietrze przez wąską szczelinę do rurki, z której powietrze uchodzi przez otwory o różnej wielkości i położeniu. Dźwięki i całą melodię wydobywasz dzięki odpowiedniemu ustawieniu palców. Otwierasz i zamykasz otwory palcami. Jednak w tym wypadku to nos Pinokia był fletem, z oczywistych względów było jednak wykluczone, żeby miał na nim grać palcami, choć pewnie byłoby to prostsze do rozwiązania z czysto technicznego punktu widzenia. Sztukę budowania pozytywek z licznymi ruchomymi elementami opanowano pod koniec osiemnastego wieku.

– Dlaczego? – powiedział Bäckström. Dlaczego nie mógł dotykać swojego nosa? Ludzie zawsze tak robią, kiedy kłamią, pomyślał.

– Pinokio kłamie, gdy gra muzyka – powiedział GeGurra. – Tak to zostało pomyślane. Jego nos zaczyna rosnąć i robi się coraz dłuższy do chwili, gdy pozytywka zamilknie – wtedy

przestaje rosnać. Z jednej strony działa więc jak flet, jednak trudno grać na nim palcami, bo ciągle się rusza. Zresztą tak właśnie jest w bajce o Pinokiu – nie wie, że nos mu rośnie, gdy kłamie.

– I jak to rozwiązali? – zapytał Bäckström. Flet w kształcie nosa, pomyślał. Rzadka sprawa, nawet dla kogoś takiego jak GeGurra.

– Na kilka sposobów – stwierdził GeGurra. – Sama pozytywka przedstawiająca Pinokia miała trzydzieści jeden i pół centymetra. Zrobiono ją ze złota, ale pokryto wielobarwną emalią. Wewnętrzny mechanizm był napędzany mocną sprężyną, którą nakręcało się specjalnym kluczem wprowadzanym od spodu pozytywki, co jednocześnie powodowało napełnianie powietrzem niewielkiego miecha znajdującego się wewnątrz pozytywki. Gdy sprężyna była już nakręcona, a miech wypełniony powietrzem, pozytywka była gotowa do działania.

Powietrze płynęło wzdłuż metalowego języka i wydostawało się przez otwór w górnej części i przez szereg otworów w dolnej części rosnącego nosa – otwory te były zamykane i otwierane przez rurkę poruszającą się w przód i w tył wewnątrz nosa, co w rezultacie wytwarzało dźwięki układające się w skomponowaną melodię. Gdy melodia się skończyła, a nos urósł do końca, sprężyna miała jeszcze na tyle siły, żeby po czterech sekundach przerwy szybko wciągnąć go z powrotem do początkowej długości.

– Abrakadabra – ucieszył się GeGurra, tak jak pewnie sto lat przed nim Rimski-Korsakow i Anton Hügel, gdy dokończyli swoje zadanie.

– Pewnie kiedy skończyła grać, trzeba ją było nakręcić na nowo? – zapytał Bäckström.

– Rzeczywiście – powiedział GeGurra i spojrzał zniesmaczony na swojego gościa. – Jeśli brakuje ci tu małego elektrycznego silniczka na baterie, to niestety w tamtych czasach takie nie istniały. Zamiast tego skonstruowano bardzo skomplikowany mechanizm sprężynowy, który napełnia powietrzem balon z mocnego jedwabiu i zmienia nos we flet.

Mamy tu do czynienia z rzemieślniczym arcydziełem, przyjacielu, drugiego takiego nie znajdziesz.

– Wspominałeś, że był ze złota – Bäckström zawiesił głos, usiłując zmobilizować swoją pamięć roboczą, choć trochę przeszkadzał mu w tym wyborny koniak.

– Dla Carla Fabergégo i jego wyjątkowego klienta tylko najlepsze było wystarczająco dobre – stwierdził GeGurra.

– Pozytywka wykonana jest ze złota, ale pokryta wielobarwną emalią. Pinokio ma czerwoną czapkę, żółtą kurtkę i zielone spodnie, a całość waży prawie kilogram. A jeśli już jesteśmy przy opisie pozytywki, nie możemy zapominać o kluczyku ani pudełku, w którym jest przechowywana.

– Mów – powiedział Bäckström. To mi zaczyna coś przypominać, pomyślał, bo działanie koniaku właśnie zelżało, a pamięć robocza działała zupełnie sprawnie. Tamta figurka w czerwonej czapce najwyraźniej nie była zwykłą karafką na whisky, pomyślał.

– Nawet kluczyk, którym nakręca się tę pozytywkę, wykonano ze złota, białego złota – powiedział GeGurra.

– Wysadzany jest dwunastoma brylantami o łącznej masie trzydziestu dwóch karatów. Pudełko, w którym przechowywana jest pozytywka, zrobiono z hebanu i jakarandy, natomiast okucia i zawiasy – ze złota. Do tego mamy jeszcze inkrustację z onyksu na kłódce przedstawiającą carskiego dwugłowego orła. Tak jak już ci mówiłem, Bäckström, Carl Fabergé nie uznawał półśrodków.

Nareszcie, pomyślał Bäckström i pokiwał głową. Teraz pełna koncentracja. Byle tylko niepotrzebnie nie odkrywać kart. GeGurra jest typem człowieka, który będzie chciał całą rękę, jeśli dam mu palec, pomyślał.

84

Na szczęście dla Bäckströma, który potrzebował chwili na refleksję, GeGurra nie zajął się tematem pieniędzy, lecz kontynuował opowieść.

– Pozytywka była gotowa niedługo przed Wielkanocą roku

tysiąc dziewięćset ósmego, a zgodnie ze zwyczajem prezenty rozdano wszystkim w wielkanocny wieczór. W tamtych czasach Wielkanoc była hucznie obchodzonym świętem. Matka i babka Aleksego dostały swoje wielkanocne jajka, Maria Pawłowna, kuzynka cara, wychowywana od dziecka w carskiej rodzinie, otrzymała biżuterię balową z okazji nadchodzącego ślubu, bransoletkę, naszyjnik, kolczyki i tiarę, wszystko z białego złota, wysadzone brylantami i szafirami. Nie oszczędzali, że się tak wyrażę – powiedział GeGurra i uśmiechnął się zadowolony.

– Wiadomo – zgodził się Bäckström, również zadowolony. Raczej nie pierwsza lepsza z portalu randkowego.

– Najbardziej ucieszył się mały Aleksy – powiedział GeGurra. – Pozytywka była zdecydowanie najpiękniejszym prezentem, jaki kiedykolwiek dostał. Uruchamiał ją codziennie i za każdym razem tak samo się cieszył na widok rosnącego nosa Pinokia. Zapewne towarzyszyła mu przy tym jego ukochana nauczycielka muzyki, Anna Maria.

Musiał być też nieco przygłupi, pomyślał Bäckström i tylko mruknął w odpowiedzi. Co zresztą nie byłoby takie dziwne, biorąc pod uwagę chów wsobny, tak popularny w tych kręgach.

– Radość skończyła się jakiś tydzień przed wielkim weselem Marii Pawłownej i księcia Wilhelma – westchnął GeGurra.

– Co się stało? – zapytał Bäckström.

– Omal nie doszło do nieszczęścia – odpowiedział GeGurra. – Ukochana pozytywka Aleksego o mało co nie pozbawiła go życia.

– Co ty mówisz? – zdziwił się Bäckström i z jakiegoś powodu przypomniał mu się nagle mały Edvin. – Jak do tego doszło?

– Zapewne wsadził sobie nos Pinokia do buzi – powiedział GeGurra. – Dzieci często tak robią, wkładają do buzi różne rzeczy...

– Mów – powiedział Bäckström. Robi się ciekawie, pomyślał.

Osiem dni przed wielkim weselem omal nie doszło do nieszczęścia. Ulubiona pozytywka Aleksego była co noc wkładana do szafy stojącej w garderobie obok jego sypialni, ale tej nocy chłopiec najwyraźniej się obudził i ją stamtąd wyjął. Dwóch strażników, którzy mieli nieustannie nad nim czuwać

i chronić jego życie, musiało spać bardzo głęboko, bo nie obudziły ich nawet dźwięki grającej pozytywki.

Aleksy leży w łóżku i bawi się pozytywką – do dziś nie wiadomo, czy chłopiec sam włożył sobie do buzi nos Pinokia, czy też nos wsunął się mu do ust, gdy carewicz spał. Na podniebieniu, języku i w gardle powstały głębokie rany, a gdy strażnicy wreszcie się obudzili na odgłos charczących gardłowych dźwięków, chłopiec dusił się własną krwią.

– Obrażenia ciała Aleksego spowodowały ostre krawędzie dziurek na spodniej stronie nosa, dziurek, dzięki którym nos Pinokia działał jak flet – wyjaśnił GeGurra. – Ich krawędzie były bardzo ostre, ponieważ ani Hügel, ani Rimski-Korsakow nie wiedzieli o jego chorobie i nie wzięli jej pod uwagę podczas konstruowania pozytywki. Gdyby wiedzieli, z pewnością zbudowałiby zwykłą, tradycyjną pozytywkę.

Mały Aleksy walczył o życie przez kilka dni. Car Mikołaj był zrozpaczony, jego żona Aleksandra nie potrafiła go pocieszyć. Leżała przykuta do łóżka i gdyby stało się najgorsze, nie mogłaby mu dać kolejnego następcy tronu. Choroba krwi była jej rodzinną ułomnością, którą przekazała dynastii Romanowów. Dlatego ostatnią nadzieję pokładano w Rasputinie.

– Rasputin – GeGurra pokiwał głową. – Na pewno o nim słyszałeś, Bäckström.

– Nazwisko obilo mi się o uszy – Bäckström wzruszył ramionami. To chyba był ten dawny rosyjski seryjny morderca, pomyślał.

– Grigorij Rasputin zjawiał się na dworze cara trzy lata wcześniej. Był synem chłopca, mnichem i mistykiem, a na dworze cara zjawiał się również jako uzdrowiciel i – zgodnie z tym, co sam utrzymywał – cudotwórca. Wielokrotnie leczył już Aleksego, u którego udawało mu się zatrzymać krwawienie za pomocą samych rąk i hipnozy. Nie wiadomo, co dokładnie robił, ale był skuteczny, zresztą tym razem też mu się udało. Ciężki stan Aleksego ustąpił już dwa dni przed ślubem. Oczywiście przeleżał w łóżku kilka kolejnych tygodni, dlatego też nie ma go na fotografiach rodzinnych ze ślubu Marii

Pawłownej, ale ostatecznie wyzdrowiał i przeżył, a pozycja Rasputina na dworze carskim stała się silniejsza niż kiedykolwiek. Choć na dobrą sprawę był wyjątkowo prymitywnym człowiekiem.

– Prymitywnym? W jakim sensie?

– Nazwisko Rasputin było przybrane. Tak naprawdę nazywał się Grigorij Nowych. Po rosyjsku *rasputin* oznacza osobę lubieżną i rozwiązłą – niewątpliwie zasłużył na taki przydomek. O, żebyś wiedział. Był z niego niewiarygodny pies na baby, wódę i inne używki, a także na kasę. Rok przed rewolucją, w tysiąc dziewięćset szesnastym, został zamordowany na dworze cara przez kilku przedstawicieli rosyjskiej elity. Niektórzy mieli go już po prostu dosyć. Podobno żeby go zabić, potrzeba było całej serii strażaków i pchnięć nożem.

– Przykra sprawa – Bäckström pokiwał głową. Szkoda chłopaka, pomyślał. Pewnie nie spodobało im się to, że robił minetę ich kobietom, pomyślał.

– W kontekście śmiertelnego zagrożenia, jakie nos Pinokia sprowadził na małego Aleksa, wątkiem zapewne najbardziej interesującym jest polityka cara w tym czasie. Aktualny stan badań nad dziejami dynastii Romanowów prezentuje się bardzo interesująco. I mam tu na myśli aspekty polityczne.

– Mógłbyś powiedzieć coś więcej na ten temat? – Bäckström potrzebował jeszcze trochę czasu na zebranie myśli, dlatego pozwolił GeGurrze mówić.

– Naturalnie – zapewnił GeGurra, z trudem kryjąc zdziwienie. – To żadna tajemnica. Historycy utrzymują, że gdyby Aleksy zmarł, car najprawdopodobniej zdecydowałby się abdykować. Ówczesne siły liberalne działające w społeczeństwie rosyjskim miałyby duże szanse na przejęcie władzy i wiele przemawia za tym, że wówczas w ogóle nie byłoby rewolucji. Bolszewicy nie doszliby do władzy, jak to miało miejsce podczas rewolucji tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, a Lenin – zamiast stać się twórcą największej dyktatury w dziejach świata – zostałby zepchnięty na margines.

– To ciekawe, co mówisz – powiedział Bäckström, kiwając

głową z zainteresowaniem.

– To akurat nie ja wymyśliłem – zaproponował GeGurra. – To wnioski wysnuwane przez wielu znaczących rosyjskich historyków. W kwestiach politycznych jestem tylko przeciętnym zjadaczem chleba, jednak to, o czym przeczytałem, rzeczywiście zrobiło na mnie ogromne wrażenie.

Bäckström znów pokiwał głową, co najwyraźniej wystarczyło jego towarzyszkowi, by uznał, że może kontynuować opowieść.

Tym razem nie wdawał się w polityczne dywagacje w stylu „co by było gdyby”. Zamiast tego zreferował współczesne badania historyczne, które z jakiegoś powodu zaczęły powstawać dopiero po wyswobodzeniu się Rosji z komunistycznego jarzma. „Kiedy wreszcie przestali szukać prawdy w politycznym nachrapniku”, jak podsumował GeGurra.

W czasie gdy doszło do wypadku z pozytywką, którą podarował swojemu synowi, cara Mikołaja dręczyły wątpliwości natury politycznej. Naród rosyjski cierpiał. Podziały społeczne były wyraźne i ciągle się pogłębiały. Wielu przedstawicieli klasy średniej i wielu czołowych przedstawicieli świata akademickiego stało wobec niego w jawnej opozycji. Po nieudanej wojnie z Japonią zrozumiał również, że nie może już nawet zaufać własnym żołnierzom. W wielu regimentach i oddziałach armii i floty narastał zbrojny opór. W trakcie rewolucji w 1905 przypuszczono szturm na Pałac Zimowy w Petersburgu, ponieważ zakładano, że w środku jest cała carska rodzina. Mógł zostać wzięty w niewolę, odsunięty od władzy, kto wie, może nawet zabity razem z najbliższymi.

To, co się dzieje wokół niego, co widzi na własne oczy i słyszy na własne uszy, ma jednocześnie niewiele wspólnego z radami jego najbliższych współpracowników. Rosyjskich arystokratów, wojskowych i właścicieli dóbr ziemskich o wielkości dorównującej niektórym krajom Europy, ludzi niewrażliwych, nieugiętych, niechętnych jakimkolwiek poświęceniom, przeciwnym podaniu ludowi choćby palca, nie mówiąc już o wyciągnięciu dłoni.

Wówczas dochodzi do wypadku jego ukochanego syna,

a przyczyną dramatu jest podarunek, który sam mu dał i który o mało co nie spowodował jego śmierci. Car Mikołaj wpada w rozpacz i w noc po wypadku spowiada się u swojego osobistego spowiednika. Jeśli jego syn umrze, potraktuje to jako znak od Boga, że on, Mikołaj, nie ma już od niego wsparcia. Pozostanie mu wówczas usunąć się i przekazać władzę ludziom, którzy najwyraźniej przeciwstawili się jemu i jego koncepcji rządzenia Rosją, ale z którymi wciąż dało się rozmawiać.

– Tak się jednak nie stało – stwierdził GeGurra. – Aleksy przeżył i zdaniem doradców cara Pan nie mógł mu dać bardziej wyraźnego znaku. Wszystko ma zostać po staremu, działać tak jak dawniej. A dziewięć lat później rewolucja bolszewicka stała się faktem. Z pewnością przyspieszają ją ogromne straty po stronie rosyjskiej w czasie pierwszej wojny światowej. – GeGurra pokiwał zamyślony głową, jak to się czasem zdarza mądralom.

– Co się stało z pozytywką? Po tym, jak już chłopaczek odzyskał przytomność? – zapytał Bäckström, który pilnował tematu i chciał jak najszybciej powrócić do kwestii ekonomicznych.

Car podarował pozytywkę Marii Pawłownej. Pod warunkiem, że weźmie ją ze sobą do Szwecji, żeby nie musiał na nią więcej patrzeć i pamiętać o tym, co się wydarzyło.

– Podobno sama go o to poprosiła – powiedział GeGurra. – Gdyby nie to, pewnie trafiłaby z powrotem do Fabergégo.

– Ale tak się nie stało – powiedział Bäckström. Nie zapominajmy o prowizji, pomyślał.

– Nie – zapewnił GeGurra. – Usunięto ją natomiast z ksiąg zamówień. Choroba Aleksego była co prawda tajemnicą państwową, ale ludzie bez przerwy gadają, więc pewnie się domyślili, że wydarzyło się coś nieprzyjemnego. Również dla firmy jubilerskiej Carla Fabergégo. Nie ma jednak wątpliwości, że została wykonana na zamówienie cara.

– Jesteś tego pewien? – zapytał Bäckström. – Na sto procent?

– Na sto procent. Komuniści przejęli firmę w tysiąc

dziewięćset osiemnastym. Dane klientów, stany magazynowe i wszystko inne. Najbardziej interesowały ich informacje dotyczące klientów, ponieważ zamierzali odebrać im to, co – jak uważali – klienci Fabergégo zabrali ludowi rosyjskiemu. Fabergé i jego pracownicy nie byli jednak głupi i zdążyli zatrzeć ślady, które prowadziły do najbardziej zagrożonych osób i ich najbliższego otoczenia. Nigdy nie dostali zamówienia od cara na pozytywkę. Tak w każdym razie wynikało z książki zamówień i rejestrów klientów.

Współcześni historycy przeszukiwali stare dokumenty Fabergégo, a są ich tony, i gdy wreszcie na początku lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku otwarto archiwa, znaleziono rysunki Hügla, opisy techniczne, zamówienia na materiały, kosztorysy, jak również obszerną korespondencję z Rimskim-Korsakowem. I jeszcze osobiste notatki dotyczące postępu prac. Nie ma wątpliwości, że Carl Fabergé zrobił pozytywkę w kształcie Pinokia.

Nawet jestem skłonny się z tobą zgodzić, bo trzymałem ją w rękę, pomyślał Bäckström i pokiwał głową.

Nie ma wątpliwości, że pozytywka naprawdę została skonstruowana. Wszystko inne skrywają mroki historii z powodu rewolucyjnej zawieruchy, nie bez znaczenia jest również fakt, że niemal wszyscy występujący w tej historii stracili życie.

– Car wraz z rodziną, nie wyłączając Aleksego, giną z rąk komunistów latem tysiąc dziewięćset osiemnastego. Ten sam los spotyka setki innych członków rosyjskiej arystokracji i rodu Romanowów.

– Co się stało z tą Włoszką? Przecież ten cały Pinokio to od początku był jej pomysł, prawda?

– Dla niej i Siergieja ta historia kończy się szczęśliwie. Wyjeżdżają z Rosji zaledwie parę miesięcy po ślubie Marii Pawłownej z księciem Wilhelmem. Siergiej był co prawda kiepskim, ale jednocześnie przebiegłym Rosjaninem, więc zwinął się w odpowiednim momencie i przewiózł większość swojego dobytku do Europy. Po ślubie przeprowadzili się do Włoch, dzieląc czas między życie pałacowe we Florencji,

wypoczynek na francuskiej Riwierze, gdzie kazali zbudować wspaniałą willę na Cap Ferrat, i podróże po Europie i reszcie świata. Piękna Anna Maria Francesca di Biondi rodzi Siergiejowi siedmioro dzieci. Umiera w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat. Jej małżonek również dożywa sędziwego wieku. Co prawda był od niej o dwadzieścia osiem lat starszy, ale również on opuścił ziemski padół po dziewięćdziesiątce.

– Okej – powiedział Bäckström, rozkładając ręce. – W czym mogę ci pomóc?

– W kilku kwestiach – powiedział GeGurra i pokiwał przyjaźnie głową.

– Słucham – odpowiedział Bäckström.

– Po pierwsze możesz mi pomóc w znalezieniu jedenastu ikon i pozytywki. Z tego, co wiem, adwokat Eriksson został zamordowany w swoim domu w Alsten.

– Zgadza się. To żadna tajemnica.

– Jak cię znam, drogi przyjacielu, wiesz już wszystko na temat sytuacji na miejscu zdarzenia.

– O to możesz być spokojny. Niestety muszę cię zmartwić, nie znaleźliśmy żadnych ikon ani pozytywki.

– Niedobrze – powiedział GeGurra i pokręcił zmartwiony głową. – Co prawda mógł je zostawić na przechowanie w jakimś magazynie sztuki. Może mógłbyś to przy okazji sprawdzić, skoro już wiesz, czego szukać?

– Jasne – odpowiedział Bäckström. – Jednocześnie istnieją przesłanki przemawiające za tym, że nie ma to sensu, lecz muszą one pozostać między nami.

– To znaczy?

– Zeznania świadków – powiedział Bäckström i ciężko pokiwał głową. – Świadkowie, z którymi rozmawialiśmy, widziały, jak dwie osoby, najprawdopodobniej sprawcy, wynosiły z domu dwa białe kartony tuż po tym, jak Eriksson został zamordowany. Gdyby w miejscu zdarzenia znajdowały się jakieś rosyjskie malowidła, na pewno nie uszłyby naszej uwagi. Zapewniam cię, że niczego takiego nie znaleźliśmy.

– Zasmuciłeś mnie, naprawdę – powiedział GeGurra i sądząc

po jego minie, nie chodziło mu o adwokata Erikssona.

– Wszystko się ułoży – Bäckström wzruszył ramionami.

– Czy mogę ci w czymś jeszcze pomóc?

– Być może jeszcze w dwóch kwestiach. Po pierwsze chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że obraz Wersjagina znalazł się wśród tych wszystkich przedmiotów. To naprawdę zagadkowa sprawa. Pomijając to, że wyszedł spod pędzla rosyjskiego artysty, zupełnie nie pasuje do reszty. Nigdy nie należał do Marii Pawłownej ani do księcia Wilhelma. Został wystawiony na aukcji w Londynie pod koniec drugiej wojny światowej, a potem dopiero po siedemdziesięciu latach. Nic tu nie pasuje.

– A ta druga kwestia? – zapytał Bäckström. – Co to jest?

– Prędzej czy później wszystko zaczyna pasować, pomyślał Bäckström. Wiedział to z doświadczenia.

– Ustalenie dalszej proveniencji – wyjaśnił GeGurra.

– Najpierw jest Maria Pawłowna, potem książę Wilhelm, do tego momentu wszystko jest jasne. Chciałbym wiedzieć coś więcej o tym, gdzie później trafiają te rzeczy. Niewykluczone, że odziedziczył je syn Wilhelma, Lennart, który przez większość życia mieszka za granicą, a przecież wszystko przemawia za tym, że te przedmioty nigdy nie opuściły Szwecji.

– Chciałbyś wiedzieć, kto polecił Erikssonowi sprzedać kolekcję – powiedział Bäckström. – Zdaje się, że powiedziałeś, że spadnę z krzesła, kiedy usłyszę, kto to jest.

– Wszystko przemawia za tym, że to musi być jakiś krewny księcia Wilhelma. Kiedy zapytałem o to Erikssona, powiedział tylko, że zbiory były w rękach jednej rodziny od trzech pokoleń, ale jest wielu Bernadotte'ów do wyboru. Sam niestety nie zaszedłem daleko w moich poszukiwaniach, jednak jeżeli Eriksson – jak sam twierdził – reprezentował jakiegoś klienta, powinny się zachować choćby pełnomocnictwa. Pełnomocnictwa dla Erikssona od jego klienta, ma się rozumieć.

– Może chodzi o króla? – zapytał Bäckström.

– Z uwagi na proveniencję, byłby to rzeczywiście dar z nieba – powiedział GeGurra i uśmiechnął się zadowolony. – Szczerze

mówiąc jednak, nie wydaje mi się, żebyśmy mieli szukać w tym kierunku. Z tego, co wiem, Jego Królewska Mość nigdy nie sprzedał niczego ze swoich prywatnych zbiorów, nie sądzę też, żeby potrzebował gotówki. Nawet jeśli dopuścimy taką ewentualność, to i tak trudno mi będzie uwierzyć, żeby miał się z tym zwrócić do adwokata Erikssona i barona von Comera.

– Ma sporo dzieciaków – podsunął Bäckström. Trzeba by może sprawdzić tego krasnala z Ockelbo, pomyślał. Zanim został księciem, był podobno właścicielem jakiejś starej siłowni, a w tej branży roi się przecież od oszustów.

– Tak jak mówiłem, ród Bernadotte’ów jest bardzo liczny i wszystko przemawia za tym, że to któryś z jego członków – zgodził się GeGurra. – Gdybym mógł sobie czegoś życzyć – mówił dalej – to oczywiście tego, żebyś znalazł tę pozytywkę, o której ci mówiłem. W końcu jest to dzieło sztuki o wyjątkowej wartości historycznej. W porównaniu z nim wszystko inne wydaje się mało interesujące.

– Naturalnie – powiedział Bäckström i przesunął palcem po nosie. – Na razie nie rzucamy ręcznika – obiecuję ci, że ostro wezmę się do poszukiwań. Nie masz czasem zdjęcia tej pozytywki, żebyś wiedział, czego szukać?

– Jak najbardziej – powiedział GeGurra, otworzył brązową teczkę, wybrał dwa zdjęcia i podał je Bäckströmowi.

Tu cię mam, pomyślał Bäckström. Ta sama czerwona czapeczka, żółta kurtka i zielone spodnie jak na figurce, którą tak ostrożnie potrząsał, myśląc, że to emaliowana karafka wypełniona niebywale drogą whisky. Jedno zdjęcie z nosem wsuniętym, a drugie – z wysuniętym. Do pełnej długości, kiedy to Pinokio już wystarczająco się nakłamał.

– Pozwól, że zapytam z ciekawości – powiedział Bäckström. – Ile kosztuje ta pozytywka?

– Ile tylko chcesz – powiedział GeGurra. – Ile tylko chcesz – powtórzył, rozkładając ręce.

– Może mógłbyś być nieco bardziej konkretny – powiedział Bäckström. Cholerne skapiradło, pomyślał.

– Gdybyś znalazł odpowiedniego kupca... najlepiej któregoś z tych rosyjskich oligarchów... to może jakieś dwieście

milionów, przeliczając na korony szwedzkie.

Co ten koleś, kurwa, wygaduje, pomyślał Bäckström.

– Dwieście milionów – powtórzył GeGurra i na wszelki wypadek skinął raz jeszcze głową.

Dwieście milionów, pomyślał Evert Bäckström. I co ja teraz, kurwa, zrobię.

85

Po kolacji Bäckström pojechał taksówką prosto do domu, do swojego przytulnego mieszkanca na Kungsholmen. Zrezygnował z pomysłu, żeby zakończyć wieczór w towarzystwie któregoś z samotnych kobiecych serc zebranych w jego internetowym fanklubie. Będą musiały stać cierpliwie w stale rosnącej kolejce do supersalami i po prostu poczekać na lepszy moment. Miał na głowie zbyt ważne sprawy natury ekonomicznej i jedyne, czego potrzebował, to odosobnienie, samotność i spokój do refleksji.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, natychmiast zrzucił ubrania i włożył szlafrok, a następnie sporządził chłodnego drinka z wódki i toniku, aby splukać opary koniaku, które zaćmiewały mu umysł. Nadszedł czas, żeby się głęboko zastanowić, a by nie tracić czasu, nie przeliczył nawet zawartości brązowej koperty, którą GeGurra włożył mu do ręki, gdy się rozstawali. Sprawdził tylko nominały, ścisnął między kciukiem i palcem wskazującym, żeby dokonać szybkiej oceny. Ćwiczenie czyni mistrza, doszedł do takiej wprawy, że mylił się najwyżej o kilka tysięcy, a biorąc pod uwagę wartość małego Pinokia i jego nosa, było to jak pierdnięcie przed fabryką siarki. Na dokładniejsze rachunki przyjdzie jeszcze czas, pomyślał Bäckström, chowając kopertę do sekretnego schowka, gdzie miała poczekać na przerzut do pralni pieniędzy prowadzonej przez dyskretnego ojca małego Edvina.

Teraz trzeba się skupić, pomyślał i na wszelki wypadek położył się do łóżka, wyjął swój czarny notesik i długopis, żeby nic mu nie umknęło. Głęboka i dokładna refleksja wymagała umiejętności oddzielania rzeczy dużych od małych, a w tym

konkretnym przypadku – zabezpieczenia wszystkich drobnych dodatkowych przychodów przed poświęceniem się sprawie Pinokia i naprawdę dużych pieniędzy.

Ziarnko do ziarnka, pomyślał Bäckström i cmoknął zadowolony, a tym, o kim w tej chwili pomyślał, był baron Hans Ulrik von Comer i jego dalece prawdopodobny udział w zabójstwie adwokata Thomasa Erikssona. Motyw był oczywisty. Baron próbował oszukać adwokata na co najmniej milion przy okazji sprzedaży obrazu. Został jednak nakryty przez przyszłą ofiarę morderstwa, która zabrała ze sobą wszystkie obrazy i małego Pinokia. A potem postanowił się zemścić. Wynajął osiłków i naszedł adwokata, aby ustalić bardziej sprawiedliwy podział wspólnego łupu. W trakcie spotkania, tak jak to zwykle bywa, wszystko wymknęło się spod kontroli. Adwokat zaczął strzelać na oślep, baron zrobił w gacie, a najemne zbóje zatłukły mecenasa na śmierć, kiedy ten próbował się dodzwonić na telefon alarmowy po pomoc. Potem zabrali łup i zbiegli z miejsca zbrodni. W całym tym zamieszaniu zapomnieli o pozytywce, którego to błędu Bäckström nie zamierzał powtórzyć. Na wszelki wypadek zanotował wszystko w swoim czarnym notesie.

Zostało już tylko kilka kwestii praktycznych, pomyślał. Po pierwsze należało dopilnować, aby wielmożny pan i jego pomagierzy trafili do aresztu, a następnie skontaktować się ze znajomym dziennikarzem w celu wypracowania odpowiednich warunków do przekazania kolejnej brązowej koperty przez większą z dwóch głównych wieczerówek. „Baron zatrzymany za zabójstwo znanego adwokata”, co najmniej pięciocyfrowa kwota w brązowej kopercie, pomyślał Bäckström pożądliwie i pokrzepił się porządnym łykiem chłodnego drinka.

Z drugiej strony pojawiła się nadzieja na dużo więcej, ponieważ najwidoczniej von Comer mieszkał po sąsiedzku z królem w domu należącym do państwa. Był nie tylko szlachcicem, lecz najprawdopodobniej również jednym z kumpli króla. Gdyby było inaczej, dlaczego król miałby załatwiać mu mieszkanie? Może nawet najlepszym kumplem króla, jeśli już wdawać się w swobodniejsze spekulacje.

„Najlepszy kumpel króla zatrzymany za zabójstwo znanego adwokata mafii”, pomyślał Bäckström i poczuł, jak przesywa go dreszcz podniecenia.

Co najmniej sześciocyfrowa, zdecydowanie sześciocyfrowa kwota, pomyślał. Do tego wszystkie inne koperty z odpowiednią zawartością, na które będzie mógł liczyć, gdy się okaże, że nawet Jego Wysokość był zamieszany w podejrzone interesy stanowiące tło dla zabójstwa Erikssona. W dodatku w charakterze niewinnej ofiary, co otwierało drogę wieczorowej prasie o zasięgu międzynarodowym i zwalniało pole dla koperty z siedmiocyfrową zawartością, która – jeśli dobrze rozumiał – była standardowym elementem pracy dziennikarstwa śledczego.

Może być naprawdę wesoło, pomyślał inspektor Evert Bäckström, który już widział, jak nadchodzący sezon ogórkowy nagle ustępuje niepowstrzymanemu potokowi medialnych rewelacji i doniesień dotyczących szwedzkiej głowy państwa i jego najbliższego otoczenia. Zabrnawszy myślami bardzo daleko, nagle zasnął, a kiedy po ośmiu godzinach otworzył oczy, był całkiem rozbudzony, skoncentrowany i gotów, aby zająć się różnymi przyziemnymi problemami, które wciąż należało rozwiązać.

86

Gdy tylko Bäckström się obudził, spuścił ciśnienie z poprzedniego dnia i wszedł pod prysznic. Stojąc pod prysznicem i polewając swoje ciało strumieniem ciepłej wody, dziękował Stwórcy za to, że jego mózg umie pracować na wysokich obrotach nawet podczas snu. Teraz musiał działać ostrożnie. Nie budzić ze snu drzemiących niedźwiedzi i jak najszybciej się upewnić, że dzięki tej małej pozytywce w jednej chwili stanie się najbogatszym policjantem w historii Szwecji. Być może równie bogatym jak jego kolumbijscy i meksykańscy koledzy, pomyślał. Lub jeden z tych licznych milionerów w mundurach walczących z przestępczością po drugiej stronie Bałtyku.

Jedząc pożywne śniadanie, analizował wszystko po kolei, potem chwycił tajny telefon komórkowy i zadzwonił do swojego czynnego kolegi GeGurra, żeby się upewnić, jaką ma podjąć decyzję. GeGurra miał zaskakująco rześki głos, co pewnie wynikało z tego, że dosyć mało wypił. Choć czas naglił, mówił rozwleknie jak zawsze. Zaczął dopytywać się o zdrowie i wygadywać wszystkie te brednie, na które mają czas tylko baby i emeryci.

– Wybacz, ale mam sporo roboty – przerwał Bäckström.

– Mam też pewne życzenie i kilka pytań, na które chciałbym, żebyś mi odpowiedział.

– Słucham – odpowiedział GeGurra.

– Dobra – powiedział krótko Bäckström, żeby zapobiec kolejnemu potokowi słów. – Potrzebuję twojej pomocy w następujących kwestiach. Po pierwsze: czy mógłbyś mi dać jakieś materiały wyjściowe dotyczące tego, o czym rozmawialiśmy wczoraj? Zdjęcia tych przedmiotów, kiedy zostały sprzedane i tak dalej.

– Oczywiście – odpowiedział GeGurra. – W ciągu godziny będziesz je mieć w skrzynce. Bez nadawcy. I zakładam, że wszystko, o czym rozmawialiśmy, zostanie między nami.

– Za kogo mnie masz? – parsknął Bäckström. – W tym murze nie ma spękań – zapewnił.

– Miałeś też jakieś pytania – przypomniał GeGurra.

– Konkretnie trzy – stwierdził Bäckström. – Po pierwsze jestem ciekaw, czy Eriksson mógł wiedzieć, ile warta była pozytywka.

– Zgodnie z informacją od tego fagasa von Comera mógł liczyć najwyżej na kilka tysięcy – westchnął GeGurra. – Poza tym nasz baron z jakiegoś powodu najwyraźniej ubzdurał sobie, że pozytywka została wyprodukowana w Niemczech.

– GeGurra znów westchnął.

– Nie sądzisz, że Eriksson powiedział tak tylko po to, żeby cię sprawdzić? – zapytał Bäckström.

– Nie – powiedział GeGurra. – Niestety to von Comer, jak już wiele razy wcześniej, wszystko poplątał. Gdyby widział pieczęcie Fabergégo, na pewno by zareagował, ale wydaje mi

się, że zwyczajnie ich nie zauważył. Podobno znajdują się wewnątrz pozytywki i jeśli nie wie się, gdzie ich szukać, trudno je znaleźć.

– Ty też nie powiedziałeś Erikssonowi, ile jest warta?

– Mówiłem jak najmniej, z wiadomych względów – powiedział GeGurra. – Zaproponowałem, że obejrzę pozytywkę i resztę kolekcji i przygotuję wycenę. Ponieważ liczyłem na to, że będę mógł się zająć sprzedażą, powiedziałem również, że mam pewne wątpliwości co do wyceny zrobionej przez von Comera. Że pozytywka może być warta znacznie więcej, ale że jeszcze muszę się jej przyjrzeć, zanim powiem coś więcej na ten temat.

– Jak na to zareagował?

– Z zainteresowaniem, ponieważ chwilę wcześniej powiedziałem mu, ile jest wart obraz Wersjagina.

– Ale nie wspominałeś nic o dwustu milionach?

– Nie, skąd – powiedział GeGurra z naciskiem. – Cieszę się, że o to pytasz.

– To prowadzi do następnego pytania – dodał Bäckström.

– Wspominałeś coś o tym, że jakiś twój stary znajomy dał ci cynk na temat tego obrazu z grubym mnichem. Że ma zostać sprzedany na aukcji.

– W takim razie źle mnie zrozumiałeś – powiedział GeGurra.

– Wiedziałem, że ma zostać wystawiony na aukcji w Sotheby's. Co najmniej połowę mojego czasu poświęcam obserwacji rynku aukcyjnego. Nie, to on zadzwonił do mnie i wyraził swoje zainteresowanie obrazem. To było kilka dni po tym, jak zobaczyłem go w katalogu. Znałem obraz Wersjagina i pamiętam, jak się zdziwiłem, kiedy nagle pojawił się po tych wszystkich latach. To jednak było jeszcze, zanim odezwał się do mnie mój znajomy.

– Chciał, żebyś go dla niego kupił?

– Nie. Domyśliłem się jednak, że jest nim zainteresowany.

– Miał pojęcie, ile jest wart?

– Mniej więcej. Cena wywoławcza widniała w katalogu. Co prawda został sprzedany za ponad dwukrotność ceny wywoławczej, ale pamiętam, że wspomniałem mu, że może

osiągnąć znacznie wyższą cenę.

– Nie zlecił ci jednak, żebyś go kupił?

– Nie. Ale pozwól, że zapytam z ciekawości, dlaczego pytasz?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Pomyślałem tylko, że to ciekawy zbieg okoliczności – skłamał Bäckström. – Mógłbyś mi powiedzieć, jak się nazywa ten twój znajomy?

– Wolałbym nie – odpowiedział GeGurra. – Jeśli chcesz przetrwać w mojej branży, szybko się uczysz, że o takich rzeczach się nie mówi. Ci, którzy o tym nie pamiętają, umierają z głodu.

– Dobra, zastanów się nad tym jeszcze – powiedział Bäckström. – To nic ważnego.

– Miałeś jeszcze jakieś pytanie – przypomniał GeGurra.

– Rzeczywiście – odpowiedział Bäckström. – Chciałem zapytać, w jakim stopniu nasz obecny król jest spokrewniony z księciem Wilhelmem?

– Pozwól, że się zastanowię – odpowiedział GeGurra.

– Księżę Wilhelm był synem Gustawa V, co by oznaczało, że był stryjem ojca obecnego króla. Tak, właśnie tak.

– Okej – powiedział Bäckström. – Stryj ojca króla. – To daje jakieś trzy pokolenia, pomyślał. Trzy pokolenia w tej samej rodzinie. Czy nie właśnie o tym mówił Eriksson?

– Chciałbyś jeszcze o coś spytać, bracie? – zapytał GeGurra.

– Nie, to już wszystko. Nie zapomnij tylko o tych materiałach, które mi obiecałeś – powiedział Bäckström. Dwa celowe pytania i jedno dla odwrócenia uwagi na razie wystarczą, pomyślał.

– Już do ciebie idą – powiedział GeGurra. – Za kwadrans dostaniesz wszystko do skrzynki.

GeGurra chyba złapał przynętę, pomyślał Bäckström, odkładając słuchawkę. Ciekawe, ile wzięłoby ode mnie za pomoc w sprzedaży? O dwudziestu procentach może zapomnieć.

Pół godziny później Bäckström siedział już w taksówce w drodze do komendy i przeglądał plik papierów, które

anonimowy kurier GeGurry włożył mu do skrzynki kwadrans wcześniej. Na siedzeniu obok niego stała jego stara, dobra służbowa aktówka, którą odziedziczył po swoim mentorze, inspektorze Zapitym Łbie. W głowie miał już szczegółowy plan dalszego działania. Musiał jeszcze tylko znaleźć jakiegoś wystarczająco ograniczonego kolegę, który pojechałby z nim dla alibi.

Nie tylko głupi, ale i leniwi, pomyślał, przyglądając się nielicznym członkom zespołu, którzy niemrawo stukali w klawiatury swoich komputerów w sali głównej. Oczywiście z wyjątkiem Anniki Carlsson, która zdawała się w ogóle nie wychodzić z roboty. Pewnie całe szczęście, zważywszy na to, czym zajmowała się poza godzinami pracy, pomyślał Bäckström i gdy na nią spojrział, nagle dotarło do niego, jak rozwiąże ten drobny problem, który mu jeszcze pozostał. Annika Carlsson nie ma sobie równych, naczelną pinda komendy w Solnie, pomyślał.

– Bäckström – odezwała się Annika, rozkładając ręce. – Co ty tu robisz? Wiesz chyba, że jest sobota?

– Gdzie są wszyscy? – zapytał Bäckström, pokazując głową na puste biurka.

– Nadgodziny, niektórzy pracują w terenie – odpowiedziała. – A ty co tu robisz?

– Przyszedłem po klucze od domu Erikssona. Dotarły do mnie ciekawe informacje. Muszę coś sprawdzić.

– Teraz to mnie zaciekawiłeś – powiedziała z uśmiechem.

– Kiedy ostatnio przyszedłeś tu w weekend, sprawa rozwiązała się następnego dnia.

– Potrzebuję kogoś do towarzystwa – powiedział Bäckström.

– Zgłaszam się na ochotniczkę – powiedziała Annika.

– Chętnie się stąd wyrwę, siedzę tu już od siódmej.

– To naprawdę miło z twojej strony, ale nie chcę cię...

– Spróbuj mnie zatrzymać – powiedziała Annika i znów się uśmiechnęła.

– To naprawdę miło z twojej strony – powtórzył Bäckström.

– Załatw klucze od chałupy Erikssona i jakiś wóz, zobaczymy się za kwadrans w garażu. Wydrukuję tylko kilka kartek, które

musimy wziąć ze sobą.

Jak po maśle, pomyślał Bäckström, drukując zdjęcia pomieszczeń, które Niemi i jego ludzie z pionu techniki kryminalistycznej zrobili na miejscu zdarzenia. Schował plik zdjęć do brązowej teczki i zaniósł je do swojego pokoju, żeby raz jeszcze wszystko na spokojnie sprawdzić.

Dobra robota, pomyślał Bäckström i wyjął listę, którą spisał przed wyjściem do pracy. Bardzo dobra robota, pomyślał pięć minut później, kiedy odhaczył wszystkie punkty z wyjątkiem dwóch na długiej liście w swoim czarnym notesiku. Następnie włożył go do szuflady biurka, tej samej, w której trzymał swoją wyborną rosyjską wódkę, przez chwilę nawet się nad nią zastanawiał, ale uznał, że akurat to z powodzeniem mogło poczekać. Zamknął szufladę, schował kluczyk do schowka i zjechał windą na parking podziemny.

– Opowiadaj – powiedziała Annika Carlsson, gdy już usiadł obok niej na miejscu pasażera.

– Dostałem cynk – powiedział Bäckström, otworzył szeroko brązową teczkę i podał jej zdjęcia wszystkich piętnastu ikon, które dostał od GeGurry. Tymczasem zdjęcie Pinokia leżało sobie spokojnie w wewnętrznej kieszonce jego marynarki.

– Co to jest? – zapytała Annika Carlsson i pokręciła głową.

– Anonimowy informator – powiedział Bäckström. – Choć akurat ten wie, co mówi. To może być motyw.

– Sterta starych obrazów – Annika pokręciła głową, przeglądając zdjęcia. – Żadnego z nich nie widziałam. Chcesz powiedzieć, że były w domu Erikssona?

– Nie zaszkodzi sprawdzić – powiedział Bäckström, wzruszając ramionami. – Choć obawiam się, że trafiły do tych białych kartonów, które według naszych świadków ktoś wynosił z domu. Obrazy, które widzisz na zdjęciach, to stare rosyjskie ikony, które Eriksson miał sprzedać na zlecenie jakiegoś klienta. Niektóre z nich są podobno bardzo cenne. Informator twierdzi, że chodzi tu o miliony koron – wyjaśnił Bäckström.

– Sądzisz, że zapomnieli któregoś z nich i wrócili po niego w nocy – powiedziała Annika Carlsson i wyraźnie się ożywiła.

– Teraz już rozumiem, szefie. Przychodzą do niego jacyś znajomi, którzy wiedzą, że ma w domu obrazy, a potem go okradają. Nie zabierają jednak wszystkiego, po co przyszli. Dlatego wracają w nocy. To by wiele tłumaczyło.

– Nie zaskodzi sprawdzić – powtórzył Bäckström, bo siedząca u jego boku pinda właśnie połknęła przynętę, haczyk, szałwik i żyłkę.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – powiedziała Annika energicznie. – Jedziemy.

– Jeszcze jedno – powiedział Bäckström, gdy wyjechali na ulicę. – Przejedziemy jeszcze przez Solna Centrum. Właśnie sobie przypominałem, że muszę kupić butelkę whisky.

– Whisky – powtórzyła Annika i spojrzała na niego zaskoczona. – Brakuje ci w domu alkoholu?

– Nie, to na prezent. Kumpel z komendy głównej kończy pięćdziesiątkę. Idę do niego po południu. Lubi słodową, pomyślałem więc, że kupię mu butelkę.

– Okej – powiedziała Annika. – Nie ma sprawy.

Gdy wysiadł z samochodu przed monopolowym, specjalnie zostawił teczkę – dobrze znał tę pindę i wiedział, że dokładnie przejrzy zawartość, gdy tylko będzie miała okazję. W sklepie znalazł butelkę dwunastoletniej whisky w czarnym kartonie. Powinno być okej, pomyślał Bäckström i na wszelki wypadek jeszcze raz spojrzał na zdjęcia, które jego koledzy z pionu technicznego zrobili butelkom stojącym na stoliku barowym Erikssona na piętrze. Mimo wszystko było to upokarzające, że uczciwy i ciężko pracujący policjant musiał zanosić wartą kilkaset koron butelkę whisky do grobu adwokata Erikssona.

– No dobra – powiedział Bäckström, wsiadając do samochodu. – Jedziemy.

Następnie wyjął czarne ozdobne opakowanie i włożył je do teczki. Zieloną reklamówkę z monopolowego zwinął i rzucił na podłogę przed siedzeniem pasażera, choć wcale nie planował tego robić.

– Droga rzecz, hojny jesteś, Bäckström – stwierdziła Annika Carlsson i kwadrans później zaparkowała przed domem, w którym jeszcze tydzień wcześniej mieszkał adwokat Eriksson.

– Okej – powiedział Bäckström, gdy znaleźli się w holu na parterze. – Zrobimy tak. Ty zaczniesz od piwnicy, ja od piętra. Potem spotkamy się tu na dole i podzielimy robotą.

– Właśnie to chciałam zaproponować – zgodziła się Annika Carlsson. – Jak robimy z protokołem?

– Oczywiście musimy mieć protokół – powiedział Bäckström. – Spiszmy wszystkie swoje spostrzeżenia, a jak znajdziemy coś ciekawego, zadzwonimy do kolegów od techniki kryminalistycznej, żeby się tym zajęli. Pewnie będą to Niemi i Hernandez.

Gdy Annika Carlsson zniknęła w piwnicy, Bäckström poszedł na piętro, postawił teczkę na biurku Erikssona, rozejrzał się szybko dookoła i sprawdził, czy nic się nie zmieniło. Kamery nie były włączone, alarm wyłączył osobiście, żadnych dziwnych postaci lypiących na niego z ukrycia, jednak na wszelki wypadek schylił się jeszcze i zajrzał pod łóżko Erikssona.

Pusto, pomyślał i głęboko odetchnął, prostując plecy. Potem zabrał się za to, co było właściwym celem jego wizyty. Otworzył teczkę, wyjął z niej czarny karton z butelką whisky i podmienił na dwukrotnie cięższą drewnianą szkatułkę mieszczącą niezmiernie drogą pozytywkę, którą postawił przed sobą na podłodze pod biurkiem.

Starannie ustawił butelkę whisky, wyjął zdjęcia zrobione przez techników i stanął w miejscu, z którego były robione. Sprytnie, pomyślał Bäckström. Nawet Peter Niemi ze swoim szkłem powiększającym nie dostrzeże różnicy.

Potem oparł się o biurko i otworzył ciemną, drewnianą szkatułkę. Wyjął ze środka figurkę ubraną w czerwoną spiczastą czapkę, poobrał ją w dłoniach i postawił na biurku. Kluczyk znalazł przypadkiem. Gdy ostrożnie badał palcami wnętrze szkatułki, jej spód nagle odskoczył z dyskretnym kliknięciem – kluczyk znajdował się z tyłu. Złoto i brylanty ważące trzydzieści dwa karaty, tak przynajmniej twierdził GeGurra, a on zazwyczaj wiedział, o czym mówi, zwłaszcza jeśli

chodzi o takie przedmioty jak ten, który właśnie trzymał w ręku.

Z muzyką jeszcze zaczekamy, pomyślał Bäckström. Następnie schował z powrotem kluczyk i małego Pinokia do szkatułki z ciemnego drewna, a potem włożył je do swojej starej brązowej teczki. Witaj w domu, chłopcze, pomyślał Bäckström.

– Pusto – poinformował zatroskany Annikę, gdy godzinę później spotkali się w holu na parterze.

– U mnie też nic – zgodziła się Annika. – Jednak gdybyśmy nie sprawdzili, oznaczałoby to niedopełnienie obowiązków – dodała i poklepała go po ramieniu na pocieszenie.

– Coś mi przyszło do głowy – powiedziała, gdy wsiadali do samochodu w drodze powrotnej do komendy.

– Słucham – powiedział Bäckström.

– Zauważyłam, że wiele z tych ikon nie miało ram – powiedziała Annika. – Większość namalowano na desce, ale przynajmniej dwie – na płótnie. I jeszcze pomyślałam o tym mężczyźnie, którego nasz młody taksówkarz o mały włos nie potrafił.

– Angel Garcia Gomez – Bäckström pokiwał głową. Robi się coraz ciekawiej, pomyślał, bo chyba wiedział, do czego zmierza.

– No tak, to oczywiste, że o niego tu chodzi – powiedziała Annika Carlsson. – Czułam to, gdy tylko zobaczyłam ten portret pamięciowy, a teraz gdy jeszcze mamy jego DNA zdjęte z drzwi tarasu, jestem tego pewna. Nie ma wątpliwości, że to on zabił Erikssona i jego psiaka.

– Nie Erikssona – Bäckström pokręcił głową. – Na moment śmierci Erikssona ma alibi, jest wtedy na turnieju sztuk walki. Jestem jednak niemal pewien, że to on zjawia się u Erikssona w nocy, roztrzaskuje mu czaszkę i podryzyna gardło jego psu. Za to jego przyjaciel Åkare mógł być na miejscu zarówno w chwili zabójstwa, jak i później, w środku nocy.

– W takim wypadku to on wiozłby Garcia Gomeza – powiedziała Annika i skinęła głową. – To kupuję. A co powiesz na to? Załóżmy, że Garcia Gomez zdjął malowidło z blejtramu – czego nie zrobił w czasie pierwszej wizyty – zwinął płótno i schował je pod kurtkę. Co o tym myślisz?

– Zdecydowanie – zgodził się Bäckström. – Zawsze wygodniej w ten sposób, niż biegać po ulicy z obrazem pod ramieniem w środku nocy.

– A co z blejtramem? Tym, na którym rozpięte było płótno. Co z nim zrobił?

– Pewnie go złamał, a płótno owinął na nim – powiedział Bäckström.

– Też mi się tak wydaje – powiedziała Annika z przejęciem. – Byłby idiotą, gdyby wziął ze sobą płótno, a zostawił blejtram. Alm od razu zacząłby się nad tym zastanawiać. Gdy znajdujesz coś takiego na miejscu zbrodni, od razu zapala ci się czerwona lampka. Połamana rama pozbawiona obrazu.

– Z innej beczki – wtrącił Bäckström. – Przypomniał mi się nasz świadek, ten taksówkarz. Znalazł się już?

– Niestety – powiedziała Annika. – Ulotnił się jak kamfora. Mam złe przeczucia. Nie podoba mi się też to, że Åkare i Garcia Gomez najwyraźniej zapadli się pod ziemię. Nie ma po nich śladu, ale i tak jest już decyzja o ich aresztowaniu. Miejmy nadzieję, że naszemu świadkowi nic się nie stało.

A kogo to obchodzi? – pomyślał Bäckström i tylko pokiwał głową.

89

Weekend upłynął Bäckströmowi inaczej niż zwykle. Najpierw sprawdził kilkakrotnie, czy zamknął drzwi, i dopiero potem zrobił sobie coś do zjedzenia, wychylił zimne piwo, a na koniec jeszcze większego drinka.

Usiadł przy stole w kuchni, zjadł i dopiero po kolejnych dwóch wzmacniających drinkach i zwyczajowym kieliszku na koniec poczuł, że znów jest sobą. Opanował najgorszy strach przed tym, że zaraz zostanie okradziony, co mogło spotkać nawet prawdziwego funkcjonariusza policji, takiego jak on. Pomyślał, że wyłączy telefon i spędzi wieczór w domu na oglądaniu starych filmów z Clintem, które ściągnął z sieci. Zupełnie jak kiedyś, kiedy już tydzień po wypłacie portfel zionął pustką. Teraz są inne czasy, pomyślał Bäckström i gdy

wreszcie udało mu się dotrzeć do prawdy, która kryła się na dnie litrowej butelki wódki, zasnął wycieńczony na swojej kanapie.

W niedzielę podjął poważną próbę, żeby mimo wszystko się pozbierać. Zadzwoił do Nadi i umówił się z nią na spotkanie w pracy. Spędził tam pół popołudnia, opowiadając jej to, co powiedział mu GeGurra. Nie było to proste, bo nie mógł pisać ani słowa na temat małego Pinokia i jego nosa, chociaż to właśnie wokół niego kręciło się w tej chwili jego życie.

Następnie wrócił do domu. Zjadł obiad w swojej ulubionej lokalnej knajpie i chociaż jego fińska kelnerka zachowywała się tak jak zwykle, tego dnia ledwo miał siłę jej słuchać.

– Zaczynam się o ciebie martwić, Bäckström – powiedziała i poklepała go po ramieniu. – Na pewno dobrze się czujesz?

– Coś mnie chyba bierze – skłamał Bäckström, głównie po to, żeby zmienić temat i jak najszybciej wyjść.

Zaraz po powrocie do domu położył się spać. Po chwili zasnął, a gdy się obudził, była szósta rano. Dwie godziny później siedział już za biurkiem w swoim gabinecie. Czuł się nieporównanie lepiej niż poprzedniego dnia. To pewnie przez te wszystkie pieniądze, pomyślał. Dwieście milionów koron, które tkwiły mu w głowie jak złota strzała od ponad doby.

CZEŚĆ V

Ciąg dalszy dochodzenia w sprawie zabójstwa adwokata Thomasa Erikssona.

90

Poniedziałkową naradę zespołu dochodzeniowego Bäckström rozpoczął od krótkiej pogadanki. Najwyższa pora na jakiś przełom. Jak może wszyscy zgromadzeni w tym pokoju rozumieli, prawdopodobieństwo rozwiązania tego typu sprawy malało dramatycznie wraz z upływem tygodnia od momentu zabójstwa, i jeśli dobrze liczył, czas ten upłynął poprzedniego wieczoru. Do tej pory dostał tylko kilka luźnych tropów. Wciąż nieodnaleziony srebrny mercedes, świadek, który nagle zniknął, dwie podejrzane osoby, które najwyraźniej również zapadły się pod ziemię, i jeszcze obiecany od tygodnia protokół z obdukcji, którego wciąż nie można było dołączyć do materiałów postępowania przygotowawczego.

– Czekam na jakieś dobre wiadomości – powiedział i spojrzał na swoich ludzi.

– Jedną mogę ci przekazać – powiedział Peter Niemi, wertując swoje papiery.

Zaledwie kwadrans wcześniej dostał telefon z CLK z informacją, że ślad DNA z próbki krwi zabezpieczonej na drzwiach prowadzących na taras domu Erikssona odpowiadał danym Angela Garcii Gomeza.

– W DNA Garcii Gomeza znaleziono natomiast element obcego DNA, które pochodzi od psa – powiedział Niemi. – Rottweilera Erikssona, lepiej więc być nie może. Co prawda ma alibi na czas zabójstwa Erikssona, ale jeśli chodzi o to, co

dzieje się później w nocy, wydaje się, że mógł wtedy zabić psiaka i spłaszczyć czaszkę jego martwego już wtedy właściciela.

– Dziękuję – powiedział Bäckström.

– Jeśli chodzi o srebrnego mercedesa, zostało nam jeszcze jakieś pięćdziesiąt pojazdów – stwierdziła Nadja Högborg.

– Niestety zajmie nam to jeszcze kilka dni.

– Okej – powiedział Bäckström. – Coś jeszcze?

– Świadek Dosti zostanie przesłuchany bez uprzedniego zawiadomienia – powiedziała Lisa Lamm. – Gdy tylko go znajdziemy, natychmiast doprowadzimy na przesłuchanie. Jeśli chodzi o naszych dwóch podejrzanych, Garcię Gomeza i Åkarego, wydaliśmy nakaz ich aresztowania. Po tym, co opowiedział Peter, jestem skłonna wydać nakaz jego zatrzymania. Na wszelki wypadek możemy też za nimi wysłać międzynarodowy list gończy.

– Tak zrobimy – powiedział Bäckström. – Przed zachodem słońca chcę, żeby obaj byli tu u nas w areszcie. – Sprawna replika, pomyślał. Przed zachodem słońca, zanim pogalopuje dalej w noc. Do następnego miasta, które chcieli przejąć bandyci.

– Co do tego jesteście zgodni – powiedziała Lisa Lamm i uśmiechnęła się przyjaźnie do Bäckströma. – Jeśli chodzi o obiecany protokół z obdukcji, przed spotkaniem rozmawiałam z naszym lekarzem sądowym.

– I co mówi? – zapytała Annika Carlsson. – Wyrobi się z tym do świąt?

– Najpóźniej w połowie tego tygodnia, jak zapewnił mnie godzinę temu. Czekaj jeszcze na opinię swojego kolegi. Na razie musi nam wystarczyć jego wstępna opinia. Jeśli chcecie wiedzieć, co myślę, to wydaje mi się, że coś ich naprawdę martwi.

– Co oni, kurwa, odstawiają? – zapytała Annika Carlsson, z trudem kryjąc irytację.

– Kręć się w kółko – powiedział Bäckström i wzruszył wymownie ramionami. – Jeśli nikt nie ma już nic więcej do powiedzenia, chciałbym dodać coś od siebie. Jak chce się

zrobić omlet, trzeba rozbić jajka – dodał po chwili. – Czas już, żebyśmy zaczęli rozbijać jajka, i chciałbym teraz prosić Nadję, żeby wyjaśniła, co mam na myśli. Najpierw jednak przerwa na rozprostowanie nóg – zakończył Bäckström i wstał.

91

Upłynął cenny czas zwyczajowo przeznaczony dla funkcjonariuszy policji na rozprostowanie kończyn, a najbardziej wytrzymała palaczka wślizgnęła się do sali narad po szesnastu minutach z pełnym skruchy uśmiechem na twarzy. Bäckström spojrział na nią wściekle i postukał palcem w zegarek.

– W weekend dostałem cynk od jednego z moich informatorów i poprosiłem Nadję, żeby zajęła się tym wątkiem. Jeśli wszystko się ułoży, będziemy mieć motyw zabójstwa Erikssona. Pamiętacie sprawę tego barona von Comera, który podobno dostał w pysk przed teatrem Drottningholm? Anonimowe zgłoszenie zostawione w recepcji, które Jenny znalazła czternaście dni temu. Do pobicia miało dojść w niedzielę wieczorem dziewiętnastego maja.

– Czy chodzi o tego, który zaprzeczał, jakoby ktokolwiek na niego nastawał? – zapytała Annika Carlsson i spojrzała z wyrzutem na młodszą koleżankę, Jenny Rogersson.

– Dokładnie – powiedział Bäckström. – Ten sam informator odezwał się ponownie przed weekendem i twierdzi, że osobą, która spuściła lanie baronowi, był Eriksson. Anonimowy informator rozpoznał podobno zdjęcia Erikssona publikowane w prasie po jego śmierci. O szczegóły możecie pytać Jenny.

– Skoro tak, to dlaczego zaprzeczył, że dostał w zęby? – zapytał Stigson.

– Zaraz do tego dojdę – powiedział Bäckström. – Mój informator twierdzi, że chodzi tu o różne kręactwa związane z transakcją na rynku dzieł sztuki. Eriksson dostał zlecenie od swojego klienta, żeby sprzedać kilka obrazów, i zatrudnił von Comera, by ten zajął się kwestiami praktycznymi. Baron chciał wyrolować Erikssona, ale ten zorientował się, co się święci.

Spuścił mu lanie, odebrał obrazy i pieniądze, na które go oszukano. Dziewięćset sześćdziesiąt dwa tysiące koron, jak twierdzi mój informator, i przyznacie, że to ciekawy zbieg okoliczności, jeśli wziąć pod uwagę pliki banknotów, które znaleźliśmy w biurku Erikssona. I kartony przewodzkowe, które Eriksson wniósł do domu przed ostatnim weekendem swojego życia, a które sprawca wyniósł parę dni później.

– Sugerujesz, że von Comer zabrał obrazy z powrotem? – zapytała Lisa Lamm, kiwając głową z zadowoleniem. – Że wziął ze sobą Åkarego i kogoś jeszcze, żeby nie oberwać i tym razem. I że Garcia Gomez wkracza do akcji dopiero wtedy, gdy wracają na miejsce zbrodni, bo zapomnieli czegoś zabrać w czasie pierwszej wizyty?

– Jako hipoteza brzmi to całkiem zgrabnie – powiedział Bäckström.

– Czekał – wtrącił Alm z drugiego końca długiego stołu. – Dlaczego w takim razie zostawili pieniądze? Milion koron, taką kwotę powinni raczej zabrać ze sobą.

– Jedyne wytłumaczenie jest chyba takie, że o nich zapomnieli w ogólnym bałaganie, jaki zapanował, gdy Eriksson zaczął strzelać na oślep i gdy niedługo potem sam został zabity – powiedział Bäckström. A masz, pomyślał. – Kundel wpada w szal. Strzelanina, krzyki, ktoś po nas dzwoni, możliwe, że nawet wyjątkowo się pojawiaemy. Odpowiadając na twoje pytanie – dodał i zmierzył Alma wściekłym spojrzeniem – zwykle właśnie w takich sytuacjach ludzie zapominają o tym i o owym.

– Słyszę, co mówisz, Bäckström – powiedział Alm. – Przyznam jednak, że jakoś trudno mi uwierzyć, że ktoś taki jak baron miałby mieć coś wspólnego z Fredrikiem Åkarem i Angelem Garcią Gomezem. Naprawdę trudno.

– Gorsze rzeczy się zdarzają. Nie wiedziałem, że znasz von Comera – powiedział Bäckström, wbijając wzrok w Alma.

– Co ty na to, Nadja? – wtrąciła Annika Carlsson. Jak dzieci, pomyślała.

– Zgadzam się z Bäckströmem, i to z trzech powodów – stwierdziła Nadja Högberg.

Trzy powody według Nadji. Po pierwsze ta hipoteza wyjaśniała znaczenie tajemniczej notatki, którą Eriksson sporządził na swoim komputerze tydzień przed śmiercią.

– Zgodnie z tym, co Eriksson napisał na swoim komputerze, Fankoman – tak nazywa von Comera – mały cwaniaczek, próbował go naciągnąć na blisko milion koron. Cytuję: „Fankoman chciał mnie wyrolować na prawie bańkę”, koniec cytatu. I to jest pierwszy powód.

– A drugi? – zapytała Lisa Lamm.

Drugim powodem były obliczenia, które Eriksson zapisał na tej samej stronie. Pokazywały różnicę między płatnością w funtach i płatnością w koronach przy sprzedaży poszczególnych malowideł. Na czysto dziewięćset sześćdziesiąt dwa tysiące koron po odliczeniu podatku i prowizji.

– Wczoraj po południu, po rozmowie z szefem, zadzwoniłam do starego znajomego, który mieszka w Londynie i zajmuje się fałszerstwami na rynku dzieł sztuki – powiedziała Nadja. – Jeszcze tego samego wieczoru skontaktował się ze swoim znajomym z Sotheby’s, a dziś rano przesłał mailem kopię rachunku w funtach brytyjskich wysłanego do von Comera przez pracownika domu aukcyjnego. Von Comer sfalszował ten rachunek i zamienił funty na szwedzkie korony, co spowodowało, że wyparowało dziewięćset sześćdziesiąt dwa tysiące.

– A ten rachunek wyrażony w szwedzkich koronach, który von Comer jakoby dał Erikssonowi...

– Znalazłam go już wczoraj – przerwała Nadja i skinęła głową do Lisy Lamm. – Leżał w jednej z teczek, które wzięliśmy ze sobą z gabinetu Erikssona.

– Wiesz, kto był zleceniodawcą Erikssona? – zapytała Lisa Lamm.

– Nie – odpowiedziała Nadja. – Byłoby najłatwiej, gdybyśmy jeszcze raz przesłuchali jego kolegę, adwokata Danielssona. Jeśli Eriksson rzeczywiście dostał takie zlecenie, w kancelarii adwokackiej musi znajdować się pełnomocnictwo. I może jeszcze jakieś inne rachunki. Choćby faktury z wynagrodzeniem dla kancelarii.

– W porządku – powiedziała Lisa Lamm. – Przesłuchamy jeszcze raz Danielssona w tej sprawie. I pozostałych pracowników kancelarii, którzy mogą wiedzieć coś więcej na ten temat.

– Zapisałam – powiedziała Annika Carlsson i skinęła głową.

– Zgadzam się również z Bäckströmem co do zawartości białych kartonów – mówiła dalej Nadja. – Mówimy tu o łącznie jedenastu ikonach z początkowych piętnastu, ich wymiary ustaliłam z pomocą szefa. Do ich przeniesienia potrzeba było przynajmniej dwóch kartonów przewodzkowych. To trzeci powód, dla którego zgadzam się z Bäckströmem. Łączna wartość tych obrazów wynosi w każdym razie jakieś trzy miliony. Bardzo prawdopodobny motyw – zakończyła Nadja i z jakiegoś powodu skinęła w stronę Alma.

Całkiem w porządku jest ta Rosjanka, pomyślał Bäckström. I jeszcze zna się na wódce. Szkoda tylko, że tak fatalnie wygląda. Brakuje jej tylko sztucznej szczęki ze stali nierdzewnej. Może dam jej w prezencie na kolejne okrągłe urodziny, pomyślał.

– Ciekawe – powiedziała Lisa Lamm i rzeczywiście wyglądała, jakby ją to zaciekawilo. – Biorąc pod uwagę twoją relację, całkiem sporo zdaje się przemawiać za tym, że von Comer jest winien przynajmniej usiłowania poważnego oszustwa. Można mieć co do tego uzasadnione podejrzenia.

– Powinniśmy porozmawiać z jego bankiem – powiedziała Nadja. – Dowiedzieć się, czy w ostatnim czasie podejmował milion w gotówce. Poza tym chciałabym, żebyśmy przejęli jego komputer, żeby sprawdzić, czy mógł fałszować rachunki. I czy nie wymyślił jeszcze czegoś. Kto wie? Może jeśli będziemy mieć szczęście, znajdziemy te obrazy w jego domu, schowane gdzieś w piwnicy. Takie rzeczy już się zdarzały.

– Zgadzam się z tobą – powiedziała Lisa Lamm. – Od czego chcesz, żebyśmy zaczęli, Bäckström?

– Zaczniemy od banku – powiedział Bäckström. – Zrobimy to natychmiast. Jutro rano pojedziemy po von Comera i jednocześnie zrobimy u niego w domu przeszukanie. Zabierzemy jego komputer i sprawdzimy wszystko, o czym

przed chwilą mówiła Nadja. Z podejrzeniem zabójstwa możemy poczekać, aż go tu przywieziemy i usłyszymy, co ma do powiedzenia.

– Zatrzymanie – powiedziała Lisa Lamm z wyraźnym zadowoleniem.

– Dokładnie – powiedział Bäckström. – Żeby zrobić omelet, trzeba najpierw rozbić kilka jajek. Muszę zadzwonić do mojego reportera, żeby zrobił jakieś dobre zdjęcia z przeszukania, najlepiej z pałacem Drottningholm w tle. – To będzie wiadomość warta sześciocyfrowej kwoty, pomyślał.

Najlepszy kumpel króla...

92

Pozostaje kwestia praktyczna, pomyślał Bäckström, gdy wszedł do swojego gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Żeby tylko ten arystokrata nie zaczął gadać o Pinokiu i jego długim nosie. Najprościej byłoby, gdybym sam go przesłuchał, wtedy uda się jakoś ominąć ten temat. Aż wszystko z niego wycisnę, pomyślał. Tak zrobię, pomyślał Bäckström i w tej samej chwili jak zwykle rozległo się pukanie do drzwi.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Rosita? – zapytał Bäckström. Niedobrze. Niemal fatalnie, pomyślał Bäckström, bo choć wyglądała ponuro jak zawsze, tym razem wydawała się nieco podekscytowana. Niestety nie wróżyło to niczego dobrego.

– Powinieneś raczej zapytać, co ja mogę zrobić dla ciebie – powiedziała Rosita Andersson-Trygg, uśmiechnęła się i zamachała w powietrzu portretem pamięciowym Garcii Gomeza.

– Niech zgadnę – powiedział Bäckström, rozparł się w fotelu i splótł dłonie na brzuchu. – Rano pokazałaś portret pamięciowy Angela Garcii Gomeza swoim kolegom z wydziału do spraw królików i chomików.

– Tak – powiedziała Rosita Andersson-Trygg. – Skąd wiesz...

– Z jego kartotek wynika, że jest podejrzewany o organizowanie tak zwanych walk psów, więc domyślałam się, że poszłaś tym tropem.

– Aha, okej. W takim razie rozumiesz, dlaczego chciałam rozmawiać z naszymi kolegami z wydziału do spraw zwierząt.

– Problem w tym, że teraz możesz już sobie odpuścić – powiedział Bäckström i uśmiechnął się wesoło. – Zajęliśmy się tym sami w zeszłym tygodniu. Podczas twojej nieobecności, jeśli chcesz wiedzieć.

– Wzięłam urlop za wolne dni – odpowiedziała Andersson-Trygg urażona. – Jeśli chcesz wiedzieć.

– Wszystko jedno, za jakie – powiedział Bäckström. – Zakładam, że dopilnujesz, żeby policyjny oddział Przyjaciół Zwierząt trzymał łapy z daleka od mojego dochodzenia.

– Z formalnego punktu widzenia nie ma przeszkód, żeby rozpoczęli własne dochodzenie, biorąc pod uwagę, że jest podejrzewany o znęcanie się nad zwierzętami – zaprotestowała Andersson-Trygg.

– Sranie w banię – powiedział Bäckström. – Gdyby przyszło im to do głowy, osobiście wyślę was razem na odrobaczenie.

– Teraz to już naprawdę...

– Jeszcze nie skończyłem – przerwał Bäckström, unosząc dłoń. – O posadzie policjantki do spraw zwierząt też będziesz mogła zapomnieć, jeśli nie będziesz się mnie słuchać. Masz do wyboru trzy możliwości, nad którymi powinnaś się zastanowić. Najlepiej jak najszybciej, bo zamierzałem załatwić ten szczegół już dzisiaj.

– Jakie trzy możliwości? – zdziwiła się Rosita Andersson-Trygg.

– Możesz pomóc chłopakom w myciu samochodów tu u nas w garażu albo zacząć w biurze rzeczy znalezionej na Kungsholmen. Albo na parkingu w Västberdze. Wybieraj – powiedział Bäckström, licząc na palcach do trzech.

Widocznie potrzebuje jeszcze chwili na zastanowienie, pomyślał Bäckström, gdy Rosita Andersson-Trygg zrobiła obrót na pięcie i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Pewnie też wpadła prosto na kolejnego interesanta, jak można było sądzić po pukaniu, które rozległo się dosłownie po chwili.

– Wejść – ryknął Bäckström. To się nigdy nie skończy, pomyślał.

Zaraz po poniedziałkowej naradzie zespołu dochodzeniowego Annika Carlsson spotkała się z inspektorem Toivonenem, szefem wydziału kryminalnego komendy w Västerort i bezpośrednim przełożonym Bäckströma.

– Siadaj, proszę, Annika – powiedział. – Opowiadaj. Co tym razem wymyślił nasz tłuścioszek?

– Choć jak zwykle mówił do rzeczy, najwyraźniej nie wpadł na nic konkretnego – stwierdziła Annika Carlsson. A jednak w jakiś tajemniczy sposób – niezrozumiały ani dla niej, ani dla kogokolwiek z zespołu – popychał dochodzenie do przodu.

– Czyli chcesz, żeby dostał wielką złotą odznakę policyjną – skrzywił się Toivonen. – Niestety aż za dobrze pamiętam, kiedy ostatnio pojawił się ten temat. Pamiętam też, że skończyło się na kryształowym wazonie od komendanta.

– Podobno wyrzucił go na śmietnik albo sprzedał na jakiejś aukcji w internecie. Są różne wersje – powiedziała Annika Carlsson i pokręciła głową.

– Mów, kobieto – powiedział Toivonen. – Widzę, że coś cię martwi, i chciałbym wiedzieć, co to jest.

– Okej – powiedziała Annika. – Może zacznę od tego, co martwi mnie najbardziej.

I opowiedziała o ich zaginionym świadku. O tym, że ktoś najwyraźniej próbował się dowiedzieć, kim on jest, i że prawdopodobnie mu się to udało. Potem opowiedziała o dwóch głównych podejrzanych, Fredriku Åkarem i jego kumplu Angelu Garcii Gomezie, którzy najwyraźniej zapadli się pod ziemię w tym samym czasie, kiedy zniknął ich świadek. W skrócie właśnie to martwiło ją najbardziej.

– Co na to Bäckström? – zapytał Toivonen.

– Mówi, że świadek pewnie powiedział jakiejś gazecie o Garcii Gomezie. Gazeta mu zapłaciła, a on prysnął za granicę do czasu, kiedy wszystko się tu uspokoi. Mówi też, że Åkare i Garcia Gomez zabrali z domu Erikssona kolekcję starych obrazów wartych kilka milionów, które najpewniej zrabowali

adwokatowi. Dlatego postanowili siedzieć cicho.

– Cały Bäckström – parsknął Toivonen. – Pamiętam, jak ostatnio był w akcji. Zapach prochu czuć było w całej Solnie. Coś mi mówi, że tym razem też będzie gorąco.

– Co robimy? – zapytała Annika Carlsson.

– To, co zwykle – odpowiedział Toivonen. – Ściągnę tu więcej ludzi, żebyśmy mogli znaleźć najbliższych ofiary, zanim sami się znajdą. Będę się modlić do tego tam na górze, żeby jeszcze żyli, a jeśli chodzi o formalności, zrozumiałem, że pani prokurator już się tym zajęła.

– Tak, planowała wydać nakaz zatrzymania Åkarego i Garcii Gomeza. Właśnie go przygotowuje.

– Okej – powiedział Toivonen z krzywym uśmiechem. Mała Lisa nie jest taka łagodna, jak by sugerowało jej nazwisko.

– Czy powinienem jeszcze coś wiedzieć?

– Niestety tak – powiedziała Annika Carlsson. – Jest jeszcze coś. Potem opowiedziała o baronie von Comerze. O podejrzeniach wobec niego, o tym, że nazajutrz miał zostać zatrzymany i że planowali przeszukać jego mieszkanie. Opowiedziała o nim krótko Toivonenowi i w kilku słowach scharakteryzowała jego zaplecze społeczne.

– Rozumiem – westchnął Toivonen. – Problem z Bäckströmem polega na tym, że w jego przypadku prawdopodobieństwo trafienia jest zawsze fifty-fifty. Ten człowiek nie zna granic. Do dziś pamiętam, jak próbował forsować tak zwany trop seksualny w dochodzeniu w sprawie zabójstwa Palmego. Twierdził, że Palme mógł być członkiem jakiejś tajnej sekty seksoholików i że to dlatego został zastrzelony. To wtedy trafił do psychiatryka. Na nieszczęście już skurczybyka wypuścili, chciałbym więc wiedzieć, co ty myślisz o całej tej historii. Z tym szlachcicem.

– Przykro mi, ale jestem tego samego zdania co Bäckström – powiedziała Annika Carlsson. – Przynajmniej w zasadniczych kwestiach, zresztą cała reszta i tak sama się rozwiązuje, kiedy już zaczynamy działać.

– Niech Bóg ma króla w swojej opiece – powiedział inspektor Toivonen. Pokręcił zrezygnowany głową i głęboko westchnął.

– Usiądź proszę, Jenny – powiedział Bäckström i pokazał ręką na krzesło dla gości.

Niebieska koszulka, równie obcisła jak pozostałe, poza kolorem w niczym nie przypominała służbowego uniformu, zauważył Bäckström. Ponieważ dziewczyna zdawała się równie podekscytowana jak poprzednio, wyjął swój czarny notesik i położył go przed sobą na biurku.

– Słucham – powiedział Bäckström i na wszelki wypadek zastukał długopisem w okładkę czarnego notesu.

– Prawda, że miałam rację? W sprawie von Comera? – powiedziała Jenny i pochyliła się nad stołem, podciągając lekko dekolt.

– Miałas rację – przyznał Bäckström i odchylił się nieco, żeby lepiej widzieć to, na co patrzył.

Jenny skontaktowała się z CLK i na szczęście okazało się, że nie zdążyli jeszcze wyrzucić próbki DNA, którą pobrali z katalogu aukcyjnego, mimo że sprawa została zamknięta. Po chwili przekonywania uzyskała też zapewnienie, że zajmą się nią w trybie natychmiastowym. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, mogli liczyć na szybką odpowiedź, kiedy już dostarczy materiał porównawczy.

– Czyli gdy tylko pobierzemy próbkę od von Comera – wyjaśniła Jenny. – Wyjaśniłam im, że zostanie na niego wydany nakaz aresztowania i dlatego bardzo nam się spieszy.

Gada jak jakiś podręcznik, pomyślał Bäckström i pokiwał zachęcająco głową.

– Poza tym zastanawiałam się jeszcze nad całą sprawą i jestem przekonana, że von Comer był w to wszystko zamieszany.

– Co masz na myśli? – zapytał Bäckström i kiwnął znów głową. Będzie wesoło, pomyślał.

Jenny Rogersson była przekonana, że za zabójstwem Erikssona stał von Comer. Podobnie zresztą jak za wszystkim innym.

– Za wszystkim innym?

– Ta starsza pani i jej królik, ten królik, którego zabrano jej zimą. I pogróżki pod adresem tej Fridensdal. Wygląda na to, że to ten sam człowiek, który zamordował psa Erikssona. Ten obrzydliwy Chilijczyk, co się nazywa jak ten aktor. Rozmawiałam o tym z Anniką, jeśli jesteś ciekaw...

– Aktor? – wtrącił Bäckström. – Który aktor?

– No, ten Andy Garcia, co grał w trzeciej części *Ojca chrzestnego*.

– A tak, już wiem – potwierdził Bäckström.

– Właśnie. Jestem pewna, że stoi za tym von Comer. Za tym wszystkim, od początku do końca – zakończyła i pokiwała z przekonaniem głową.

– Jeśli to prawda, to nic tylko się cieszyć – powiedział Bäckström. – Dorobiliśmy się w Solnie naszego własnego Lexa Luthora. Z naszego punktu widzenia lepiej być nie może. Ten sam człowiek stoi za dosłownie wszystkim.

– Lex Luthor?

– No, wiesz, ten złoczyńca z *Supermana*.

– Ja nie żartuję – powiedziała Jenny, poprawiła tasiemkę swojego topu i poprawiła się na krześle.

– Tylko jaki miał motyw? Dlaczego von Comer miałby zrobić to wszystko?

– Wydaje mi się, że mógł mieć kilka motywów – powiedziała Jenny. – Po pierwsze pieniądze, no wiesz, korzyść majątkowa, jeśli chodzi o te malowidła. Po drugie pewnie też chciał się zemścić, przecież Eriksson go pobił.

– No dobra, a ta stara baba z całym tym swoim zwierzyńcem? Albo ta wariatka Fridensdal? Nie czuję tu zapachu pieniędzy.

– Może chodzić o motyw seksualny.

– Co takiego?

– Wydaje mi się, że może tu chodzić o motyw seksualny. Coś podświadomego.

– Pieniądze, seks, zemsta – powiedział Bäckström. Jeden sprawca we wszystkich przypadkach, lepiej być nie może, pomyślał Bäckström. Dziwne, że nie ma echa, kiedy mówi,

pomyślał.

– Mam też pewną propozycję – dodała po chwili Jenny.

– Propozycję. Chętnie posłucham – powiedział Bäckström, który w ten sposób myślał już od pewnego czasu.

– Mogę przesłuchać von Comera, kiedy go tu jutro przywieziemy. Jestem niemal pewna, że zaczynam go rozumieć. Że zaczynam rozumieć, kim tak naprawdę jest.

– Nie – Bäckström pokręcił głową. – Zrobię to sam. Ale jeśli mi obiecasz, że będziesz siedzieć cicho, możesz sobie posłuchać w pokoju technicznym.

– Nie potrzebujesz pomocy? Mogłabym siedzieć obok. Z całym szacunkiem, ale wydaje mi się, że to ja wiem o nim najwięcej i że...

– Nie – uciął Bäckström. – Doceniam jednak twoją propozycję.

95

Dwie godziny przed spotkaniem Bäckströma z jego zespołem dochodzeniowym Lisa Mattei widziała się z jednym ze swoich współpracowników, któremu trzy dni wcześniej powierzyła zadanie zrobienia „wszystkiego tego, co zwykle”. Inspektorem z pionu wywiadowczego Säpo, szefem sekcji zajmującej się sprawami ochrony najważniejszych osób w kraju, a w tym konkretnym przypadku ochroną głowy państwa, Jego Wysokości Króla, Karola XVI Gustawa.

Raport, który od niego otrzymała, był podzielony na cztery osobne punkty, a błękitnym motywem przewodnim była osoba Hansa Ulrika von Comera. Pierwszy punkt dotyczył potencjalnych związków von Comera z Fredrikiem Åkarem i Angelem Garcią Gomezem. Nie znaleziono żadnych dowodów na to, żeby kiedykolwiek wcześniej utrzymywali ze sobą kontakt. Żadnych danych wywiadowczych w kartotekach Säpo ani informacji w ogólnodostępnych źródłach. Żadnych rezultatów nie dała też kontrola jego połączeń telefonicznych, faksu i łącznie trzech komputerów, które znajdowały się w jego mieszkaniu i biurze. Jedyne, co wskazywało na jakiegokolwiek

relacje między tymi panami, były zdjęcia, które Sandra Kovac zrobiła w poprzednim tygodniu.

Inspektor dał je do obejrzenia jednej z analityczek zatrudnionych w pionie wywiadowczym. Była psychologiem i socjologiem, a zadał jej pytanie o to, czy z języka ciała trzech mężczyzn widocznych na zdjęciach można było coś wynioskować na temat łączących ich relacji.

– I co ona na to? – zapytała Mattei, która uwielbiała takie dywagacje.

– Zasadniczo te same uwagi i zastrzeżenia, co zawsze – odpowiedział inspektor z krzywym uśmiechem. – Jeśli już musiałyby powiedzieć coś konkretnego, uznałyby to za spotkanie, które nie zostało wcześniej umówione. Wygląda też na to, że ci trzej nigdy wcześniej się nie spotkali. A zatem było to pierwsze spotkanie, przebiegało spokojnie i dotyczyło spraw biznesowych lub praktycznych, a nie osobistych. W każdym razie nie widać tu zabarwienia emocjonalnego.

– A jednak składają mu wizytę w domu, a patrząc na zdjęcia, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w tamtej chwili właśnie od niego wychodzą. Że właśnie wychodzą z jego mieszkania. Że byli w środku. To mi się nie podoba. To mi się nawet bardzo nie podoba, że ktoś taki jak von Comer stoi na progu swojego domu i wyciąga rękę do tych dwóch.

– Fakt, mnie też to martwi – zgodził się jej gość.

– Okej – powiedziała Lisa Mattei. – Czy jest coś, co by wskazywało na to, że ich spotkanie ma związek z zabójstwem Erikssona?

– Nie – odpowiedział inspektor i pokręcił głową. – Nie ma żadnych bezpośrednich ani jednoznacznych powiązań. Martwi mnie jednak informacja od kolegi, że jeden ze świadków znajdujących się w pobliżu miejsca zbrodni mniej więcej w czasie popełnienia przestępstwa widział osobę, którą możemy utożsamiać z von Comerem. Poza tym wiele wskazuje na to, że zarówno Åkare, jak i Garcia Gomez zapadli się pod ziemię po zabójstwie adwokata.

– Rozumiem – powiedziała Lisa Mattei, nie wyjaśniając, w jaki sposób jej się to udało. – To prowadzi nas do drugiego

punktu z listy, którą mi dałeś.

– Że ma to coś wspólnego z zabójstwem Erikssona? Czy dobrze cię zrozumiałem?

– Tak – powiedziała Mattei.

– Tak w każdym razie na dzień dzisiejszy uważa zespół dochodzeniowy komendy w Solnie. Przedwczoraj wydano nakaz ich zatrzymania, są podejrzani o dokonanie zabójstwa. W przypadku Åkarego jest to podejrzenie zabójstwa lub udziału w zabójstwie. Garcia ma alibi na czas popełnienia przestępstwa, ale mamy świadków i poszlaki wskazujące na jego obecność na miejscu zbrodni niedługo potem. Jeśli dobrze rozumiem, z tego właśnie powodu prokurator zdecydował się wydać nakaz aresztowania pod zarzutem udziału w zabójstwie. Z oczywistych względów ich nazwiska figurują na początku listy potencjalnych sprawców, w każdym razie na tym etapie.

Lisa Mattei pokiwała głową i odhaczyła drugi punkt na leżącej przed nią na biurku kartce. Został jeszcze punkt trzeci, pomyślała. Ten, który tłumaczył jej osobiste zaangażowanie w tę przykrą historię.

– Co wiemy na temat znajomości von Comera z królem?
– zapytała Mattei.

Co do kontaktów głowy państwa z von Comerem i jego rodziną, miały one dwojaki charakter – z jednej strony oficjalny, a z drugiej – prywatny.

– Jeśli chodzi o ich oficjalne relacje, nie ma w nich nic zastanawiającego – podsumował współpracownik Mattei. – Von Comer utrzymywał takie kontakty, jakich można by się spodziewać po człowieku, który zajmował się królewskimi zbiorami dzieł sztuki, był zaangażowany w działalność teatru Drottningholm i różne inne podobne projekty. On i jego żona w ciągu ostatnich pięciu lat byli dwukrotnie proszeni na oficjalne kolacje na dworze królewskim i mieli bezpośrednią styczność z parą królewską przy okazji kilkunastu oficjalnych wydarzeń i przedsięwzięć.

– Pomyśleć, że sama byłam na balu w zamku. Ale kto by się przejmował balami na zamku? – stwierdziła Mattei i uśmiechnęła się łagodnie.

– Ja też nie bardzo – przytaknął jej gość. – Choć u mnie bierze się to raczej z tego, że nie należę do wybranych.

– A relacje prywatne? – zapytała Mattei. – Co wiemy na temat prywatnych kontaktów von Comera z królem i jego rodziną?

Według rozmówcy Lisy Mattei również w tym zakresie nie stwierdzono nic, co by odbiegało od normy. Po analizie królewskiego kalendarza i rozmowie z kilkoma osobami z otoczenia króla ustalono, że w ciągu ostatnich trzech lat monarcha spotkał von Comera około dwudziestu razy. Najczęściej spotykali się podczas wspólnych polowań, lunchów i obiadów. W niemal wszystkich przypadkach powodem spotkania było to, że jeden z najstarszych i najlepszych przyjaciół króla był szwagrem von Comera.

– Gdyby nie szwagier, okazji nie byłoby tak wiele – podsumował inspektor.

– Okej – powiedziała Mattei. – Zmieńmy na chwilę punkt widzenia. Załóżmy, że jesteś dziennikarzem i wiesz mniej więcej to, co teraz. Czy redakcji, dla której pracujesz, przedstawiłbyś von Comera jako jednego z tak zwanych znajomych króla?

– Na pewno – stwierdził inspektor i uśmiechnął się. – W końcu ma ich teraz setki, jeśli wierzyć gazetom.

– A jako jego najlepszego kumpla?

– Może nawet tak. Pod warunkiem, że walczymy o nakład, a nie o prawdę, i że nie skomentuje tego rzecznik prasowy dworu królewskiego.

– Rozumiem, że dysponujemy zdjęciami, na których występują wspólnie król i von Comer.

– W dowolnej liczbie – potwierdził inspektor. – W prasie plotkarskiej, wieczorówkach, ale też w poważnych tytułach.

– Jakich na przykład? – zapytała Mattei.

– Między innymi w dużym reportażu opublikowanym na łamach „Dagens Industri”, a dotyczącym pewnego projektu organizacji charytatywnej, w której zarządzie zasiada von Comer. Król i królowa są na zdjęciu z von Comerem i wszyscy troje zdają się dobrze razem bawić.

– Co z kolei każe nam przejść do trzeciego punktu na liście – powiedziała Lisa Mattei.

– Na froncie medialnym jest całkiem spokojnie – stwierdził inspektor. – W mediach publicznych nie ma ani słowa na temat całej tej sprawy. W internetowych serwisach plotkarskich von Comer jest w ogóle nieobecny.

– I nic nie sugeruje, że miałyby się to zmienić? – zapytała Mattei.

– Rozmawiałem z ludźmi z działu prasowego. Na razie jest spokojnie. Nikt o nic nie podpytuje, dziennikarze nie czają się za rogiem, przynajmniej na razie.

– A więc jest spokojnie? – podsumowała Mattei.

– Tak, zupełnie spokojnie. – Inspektor pokiwał zdecydowanie głową.

Gdyby nie ten żaloszny grubasek Evert Bäckström, pomyślała Lisa Mattei, która nie czuła się ani trochę spokojna.

96

Ponieważ Bäckström nie miał pojęcia, co takiego chodziło po głowie Lisie Mattei, był w doskonałym humorze, gdyby jednak to wiedział, czułby się nawet jeszcze lepiej. Bäckström miał do rozwiązania ważniejsze kwestie. Nadeszła pora na porządną lunch i załatwienie kilku wymiernych ekonomicznie spraw. W całej tej sprawie dawało się zatłuc dwie muchy za jednym uderzeniem w stół. W dodatku istniała szansa, że byłby to stół Lisy Mattei, jednak Bäckström o tym nie wiedział. Ale gdyby wiedział, z pewnością potraktowałby to jako zasłużoną premię.

Gdy zadzwonił do swojego znajomego pracującego w większej z dwóch największych wieczorówek w kraju, ten miał głos głęboko urażony i zapytał nawet, czy Bäckström dzwoni, żeby porozmawiać o rewelacjach właśnie opublikowanych w sieci przez ich konkurencję. Na przykład o portrecie pamięciowym Garcii Gomeza i informacjach od „wysoko postawionego pracownika policji”, który twierdził, że został wystawiony nakaz aresztowania mężczyzny z portretu, jako podejrzanego o zabójstwo adwokata Thomasa Erikssona.

Czyli wszystko to, o czym już tydzień wcześniej zdecydował się nie pisać, biorąc za dobrą monetę rady Bäckströma.

– Olej to – powiedział Bäckström. – Dobrze zrobiłeś. Zastanów się. Rób zawsze, co ci mówię. Zobaczymy się za pół godziny tam, gdzie zawsze, żebym mógł ci wyjaśnić, o co w tym tak naprawdę chodzi?

– *It better be good* – odpowiedział wciąż obrażony reporter.

– Jest lepiej, niż myślisz – zapewnił Bäckström. – Na twoim miejscu opóźniłbym druk. Widzimy się za pół godziny, bądź na miejscu. – Sam tego chciałeś, pomyślał.

– Okej – powiedział Bäckström, siadając przy stoliku, przy którym dziennikarz już na niego czekał. – Trzy sprawy – dodał i skinął głową na barmana, który stał za odległym o dziesięć metrów barem i z pytającą miną uniósł do góry butelkę wódki. – Trzy sprawy – powtórzył.

– Okej – powiedział reporter. – Słucham.

– Po pierwsze – powiedział Bäckström, unosząc pierwszy palec – nie przejmuj się tym, co ten szmatławiec wypisuje w sieci. Wrobili ich w to debile z działu opieki nad zwierzętami. Sranie w banię. Garcia Gomez nie zabił Erikssona. Pojawił się wprawdzie u niego kilka godzin później i poderżnął gardło jego psu, o tym detalu możemy jednak pogadać później.

– Dobra, dobra – powiedział reporter.

– Po drugie zaraz ci powiem, o co w tym tak naprawdę chodzi. Ta sprawa wywróci do góry nogami wszystkie kioski z gazetami w kraju, będziesz mógł ją wałkować przez całe lato, a nawet do Bożego Narodzenia, gdybyś tylko miał ochotę.

– Gdzie jest haczyk? Dlaczego mam wrażenie, że gdzieś musi być?

– Po trzecie – powiedział Bäckström – jak się pewnie domyślasz, ta informacja nie jest gratis. Mówię o kwocie sześciocyfrowej, a jeżeli jesteś tym zainteresowany, musiałbym ci zająć jakąś godzinę, żeby się upewnić, że jesteś w stanie zapanować nad sytuacją. Tym razem każdy przecinek musi być na swoim miejscu.

– Mówimy zatem o stówce – powiedział reporter. – W takim razie potrzebuję czegoś na zachętę, żebym wiedział, o co

chodzi.

– Jutro rano zapuszczujemy kolesia, który jest głęboko umoczony w sprawie zabójstwa Erikssona. Prokurator postanowił już o jego aresztowaniu, a powodem, dla którego pozwolimy mu spędzić dzisiejszą noc we własnym łóżku, jest to, że po prostu potrzebujemy trochę czasu, żeby sobie wszystko na spokojnie poukładać. To nie jest jakiś tam zwykły zbój.

– Kto to jest? – zapytał reporter. – Sam chyba rozumiesz, że stowa to poważna kwota...

– Owszem – odpowiedział Bäckström. – Jak na zaliczkę, bardzo poważna.

– Kto to jest? – powtórzył jego gospodarz. – O kogo chodzi?

– Chodzi o najlepszego kumpla króla – powiedział Bäckström.

– Wchodzę w to – powiedział reporter, wyciągając dłoń.

Przez kolejne dwie godziny inspektor kryminalny Evert Bäckström jadł golonkę z hutspotem – klasyczne szwedzkie danie letnie – wypijając do tego trzy duże piwa i trzy drinki, i jednocześnie opowiadał całą historię prowadzonych przez Erikssona i von Comera mglistych interesów obejmujących handel malowidłami i antykami wartymi wiele milionów koron.

Co ciekawe, udało mu się nawet przy tym nie zająknąć na temat Pinokia i jego nosa. A co jeszcze ciekawsze, nie powiedział nawet słowa o tym, kogo prawdopodobnie ominęły te wszystkie pieniądze. W kwestii Pinokia postanowił milczeć aż po grób, jeśli będzie trzeba, a co do króla, miał zamiar omijać ten wątek aż do momentu, gdy otrzyma kolejną transzę wynagrodzenia. Ziarnko do ziarnka, pomyślał Bäckström. Dla zamożnego przedsiębiorcy, który zerował na ludzkim nieszczęściu, kluczowe znaczenie miał odpowiedni timing.

Po spotkaniu z reporterem Bäckström pojechał do domu, żeby w spokoju ułożyć sobie wszystkie detale przed jutrzejszym

uderzeniem. W pierwszej kolejności włożył szlafrok i skomponował porządnego drinka. Następnie wyjął swój czarny notesik i zrobił listę spraw do załatwienia. Dopiero potem wybrał numer telefonu swojej najbliższej współpracownicy, Anniki Carlsson.

– Chciałbym, żebyś coś dla mnie załatwiła przed jutrzejszym dniem – zaczął Bäckström, bo nie zamierzał tracić czasu na uprzejmości.

– A, dziękuję, wszystko u mnie w porządku. A u ciebie? – odpowiedziała Annika.

– Daj spokój – przerwał Bäckström. – Zgarniamy barona jutro rano o szóstej.

– Trochę wcześniej – zauważyła Annika. – Skąd ten pośpiech, jeśli można wiedzieć?

– Chciałbym, żeby wypocił się przez parę godzin, zanim zaczniemy go przesłuchiwać – skłamał Bäckström, bo nie miał zamiaru ujawniać, że była to prośba redakcji, która potrzebowała czasu na wydrukowanie dodatkowego numeru przed lunchem.

– Zanotowałam – westchnęła Annika.

– Pomyślałem, że przesłucham go osobiście, jak chcesz, możesz siedzieć obok. Pomyślałem też, że zrobimy to według klasycznego scenariusza.

– Którego konkretnie?

– Zły policjant i jeszcze gorszy policjant.

– Nie ma sprawy. Coś jeszcze?

– Chciałbym, żeby się posrał ze strachu, gdy go zgarniemy. Wyślij po niego jakichś naprawdę ponurych funkcjonariuszy, niech go wyciągną za łachy z łóżka. Mają się nie odzywać ani słowem przez całą drogę niezależnie od tego, jak bardzo będzie jęczeć i wierzgać. Zaraz po wejściu do budynku macie go przeszukać i pobrać od niego wymaz. Zabierzcie mu sznurowadła, pasek i tak dalej. Zdjęcia, odciski palców, DNA, co tylko się da. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Rozumiem aż za dobrze – westchnęła Annika. – Czy pan inspektor ma jakieś szczególne życzenia odnośnie do przeszukania jego mieszkania?

– Tylko tyle, żeby mu wszystko wywrócili do góry nogami. Szczegóły możesz omówić z Nadją.

– Zapisałam. Wywrócić dom do góry nogami. Czegoś jeszcze sobie życzysz?

– Jeszcze jednego – powiedział Bäckström. – Dopilnuj, żeby ci, co przyjadą pierwsi na miejsce, dokładnie zapisali, co powiedział i tak dalej.

– O to możesz być spokojny. Zajmę się zatrzymaniem. A ty kiedy wpadniesz? Przed czy po lunchu?

– Będę, kiedy będę – uciał Bäckström. Czas na małą drzemkę przed posiłkiem, pomyślał, gdy odłożył słuchawkę.

Gdy Bäckström obudził się po kilku godzinach głębokiego snu, wszedł pod prysznic. Następnie zadzwonił do swojego osobistego reportera i przekazał mu ostatnie instrukcje. Włożył czyste ubrania i udał się na odpowiednio długi spacer do swojej ulubionej knajpy, w której zjadł prostą kolację, a jego ulubiona fińska kelnerka podawała mu do stołu.

Jedząc, rozmyślał nad życiem i płynącym czasem. Prostem, mieszczańskim życiem, w którym właśnie zapanował nad przepływami pieniężnymi we własnym gospodarstwie domowym w oczekiwaniu na naprawdę duży przyływ gotówki. Ziarno do ziarnka, pomyślał Bäckström, westchnął zadowolony i wypił za swoje zdrowie. Następnie zamówił kawę z koniakiem, poprosił o rachunek i zakończył wieczór. Gdy już znalazł się w domu, przebrał się w coś wygodniejszego, a potem przyrządził obowiązkowego wieczornego drinka. Czegoś tu brakuje, pomyślał Bäckström, sącząc napój. Muzyka, pomyślał. Pora na wieczorną rozrywkę przy muzyce.

Następnie wydobył Pinokia z jego bezpiecznej kryjówki. Wyjął pozytywkę ze szkatułki, wyciągnął klucz z sekretnej szufladki, nakręcił, postawił przed sobą na stole i odchylił się na kanapie, żeby posłuchać.

Brzmi po prostu beznadziejnie, pomyślał Bäckström i pokręcił głową. Ten mały pacjent musiał też być głuchy, pomyślał.

Po jakichś dwudziestu sekundach wszystko na szczęście się skończyło. Nagle zrobiło się cicho, a nos przestał rosnać. Mały

Pinokio najwyraźniej wystarczająco się nakłamał. Gdy minęło kolejnych kilka sekund, zgodnie z tym, co obiecał GeGurra, nos zaczął się składać i wjeżdżać z powrotem do środka głowy Pinokia. Na koniec był znów normalnym, lekko zadartym nosem, jak u jego sąsiada, małego Edvina. Bäckström schował Pinokia z powrotem do czarnej szkatułki.

Przed zaśnięciem leżał jeszcze przez chwilę w łóżku, żeby z pomocą kartki i długopisu uporządkować kluczowe zagadnienia dotyczące prowizji.

Nie było to proste, bo zrobiło się już dosyć późno i musiał przymknąć jedno oko, żeby widzieć, co pisze.

„Prowizja”, napisał na górze strony i na wszelki wypadek podkreślił słowo podwójną linią, bo przypomniał mu się ten reżyser i cena, za jaką sprzedano jego kaptcie z foczej skóry.

„Poprzedni właściciele”, napisał Bäckström, i na wszelki wypadek podkreślił również ten wiersz. Najpierw Mikołaj II, następnie Aleksy i Maria Pawłowna. Na koniec książe Wilhelm. Następnie nadał im numery od jednego do czterech, dopisał daty, które znalazł w dokumentach od GeGurry, i na wszelki wypadek dodał jeszcze kilka uzupełniających informacji, które mogły się okazać przydatne dla osób nieobeznanych z historią powszechną. „Ostatni car Rosji” przy Mikołaju, „chory na hemofilię i prawdopodobnie również opóźniony w rozwoju z przyczyn genetycznych” przy Aleksym, „najbogatsza baba na świecie” przy Marii Pawłownej i „między innymi oficer torpedowca” przy księciu Wilhelmie. I wszystko jasne. Pozostawała mniej więcej pięćdziesięcioletnia luka dzieląca śmierć księcia Wilhelma latem 1965 roku od jego własnej, zakończonej sukcesem ekspedycji zaledwie dwa dni wcześniej.

To oczywiście, że pozytywkę dostał syn księcia Willego, gdy ten odłożył wiosła. W końcu był stryjem jego ojca, czyli jak by to było, zastanowił się Bäckström i wziął duży łyk swojego wieczornego drinka, zamykając listę właścicieli nazwiskiem prawdopodobnego piątego właściciela. „Jego Królewska Mość, król Szwecji, Karol XVI Gustaw”, napisał i zakończył tym samym część historyczną swojej pracy.

Pozostała jeszcze jedna kwestia, z jego punktu widzenia

najważniejsza. „Obecny właściciel inspektor kryminalny Evert Bäckström”, napisał. Odłożył długopis i czarny notesik na nocny stoliczek, westchnął głęboko na myśl o stosie banknotów, który widział oczami wyobraźni, splótł dłonie na brzuchu i chwilę później zapadł w sen bez snów.

98

We wtorek Annika Carlsson obudziła się o wpół do piątej rano. Słońce wisiało już wysoko na niebie, termometr wskazywał piętnaście stopni i jak na razie wszystko wskazywało na to, że będzie to prawdziwie letni dzień. Baron Hans Ulrik von Comer ma przynajmniej szczęście do pogody, pomyślała Annika i pokręciła głową.

Następnie oddała się porannym rytuałom, które dawały jej poczucie bezpieczeństwa i spokój, tak potrzebne, żeby dać sobie radę z pracą. Jak chociażby w dzień taki jak ten, który z pewnością spełni wszelkie oczekiwania jej szefa Everta Bäckströma.

Najpierw sesja jogi, rozgrzanie mięśni i ścięgien, uspokojenie myśli, wprowadzenie ciała i duszy w stan równowagi. Potem prysznic, porządne śniadanie, na którym nigdy nie oszczędzała. Czyste, wygodne ubrania, które w jej przypadku oznaczały dżinsy, cienki T-shirt, letnią kurtkę wystarczająco długą, żeby nie musiała na siłę zakrywać kabury z bronią, którą zabrała ze sobą do domu już poprzedniego wieczoru. Ostatnie spojrzenie w lustro w przedpokoju. Gotowa do wyjścia, nie ma co kręcić nosem, pomyślała Annika Carlsson i uśmiechnęła się krzywo.

Gdy wyszła na ulicę, przy radiowozie już czekało na nią dwóch kolegów z prewencji i po piętnastu minutach wszyscy zatrzymali się pod domem von Comera położonym zaledwie kilkaset metrów od pałacu Drottningholm. Było za pięć szósta, a Nadja Högberg wraz z dwójką swoich współpracowników z wydziału techniki kryminalistycznej była już na miejscu. Cywilny samochód zaparkowali dyskretnie po drugiej stronie ulicy, w oczekiwaniu, aż Annika Carlsson upora się z czynnościami wstępnymi.

Niestety mamy towarzystwo, pomyślała Annika, bo zdążyła już zauważyć pierwszego fotografa kucającego przy wjeździe do garażu trzy domy dalej.

– Okej – powiedziała Annika, wysiadając z samochodu.
– Przypilnujcie, żeby te sępy się za bardzo nie zbliżyły, potrzebujemy choć trochę spokoju. Zadzwońcie po jakiś patrol na wszelki wypadek.

Następnie otworzyła furtkę do ogrodu, podeszła prosto do drzwi i zadzwoniła. Co prawda cztery minuty przed czasem, ale zważywszy na to, że naliczyła już co najmniej dwóch fotografów i jedną dziennikarkę, bo ta wyjątkowo nie miała aparatu, nie było to jej największe zmartwienie.

Lokator zbyt szybko się nie spieszył. Dopiero po pięciu minutach von Comer otworzył drzwi. Elegancko ubrany w szlafrok i czerwoną jedwabną piżamę, której nogawki wystawały spod spodu. Starannie uczesany, z ironicznym uśmiechem na twarzy. Wszystko, co mówił i robił, pograżało go już od samego początku. A powinien był przecież zauważyć samochód policyjny zaparkowany tuż przed jego własną skrzynką na listy.

– O co chodzi? – zapytał von Comer i spojrzał na nią, unosząc brwi. Jego skoncentrowane i jasne spojrzenie nie dodawało mu wiarygodności.

– Annika Carlsson z wydziału kryminalnego w Solnie – powiedziała Annika, pokazując legitymację. – Chciałabym z panem porozmawiać. Czy możemy wejść?

– Byłoby lepiej, gdyby pani funkcjonariusz zadzwoniła i umówiła się na wizytę, zamiast budzić ludzi w środku nocy – odpowiedział von Comer.

– Czy możemy wejść, żeby porozmawiać? – powtórzyła Annika, uśmiechnęła się przyjaźnie i skinęła głową.

– Nie, to wykluczone – powiedział von Comer, próbując zamknąć drzwi, czym wytrącił jej z ręki wszelkie argumenty.

Najpierw zablokowała drzwi stopą, następnie mocno złapała go za lewe ramię i popchnęła przed sobą, wypychając do przedpokoju, i w tym momencie wszystko wymknęło się spod kontroli.

– Co też pani wyprawia! – krzyknął von Comer

i jednocześnie wolną prawą ręką wymierzył jej siarczysty policzek.

– Spokojnie – powiedziała Annika Carlsson, choć już czuła smak krwi w ustach. Następnie podcięła go kopniakiem, przewróciła na jego własny dywan, ściągnęła mu ręce do tyłu i założyła kajdanki.

– Co też pani robi, co to za nazistowskie metody! – wrzasnął von Comer.

– Wykonuję swoją pracę – wyjaśniła Annika. – Ja robię, co do mnie należy, a tobie wystarczy, jeśli się zamkniesz.

99

We wtorek Lisa Mattei planowała przyjść do pracy dopiero około dziewiątej. Tego dnia przypadała jej kolej, żeby odprowadzić córeczkę do przedszkola, co troszeczkę łagodziło jej matczyne wyrzuty sumienia. Leniwy poranek, głośne czytanie, śniadanie tylko dla niej i dla Elin, a potem spacer do przedszkola. Przechadzka, podczas której miały czas tylko dla siebie – żeby pogłaskać różne miłe pieski, wszystko dokładnie obejrzeć i pomówić o czymkolwiek, co mogło przyjść do głowy trzyletniej dziewczynce.

Tego wtorkowego poranka to było najważniejsze, znajdowało się na szczycie listy jej priorytetów, a wszystko inne nie miało znaczenia. Przynajmniej rano, zanim znowu rzuci się w wir powszednich spraw związanych z jej wysokim stanowiskiem dyrektora w strukturze Säpo.

Wpół do siódmej, pomyślała Lisa Mattei, gdy obudził ją dzwonek telefonu. Jeszcze zanim odebrała, wiedziała, o co chodzi. Żaden zamachowiec samobójca w porannych godzinach komunikacyjnego szczytu, żadne uprowadzenie samolotu na Arlandzie ani nawet nowe pogrożki wobec premiera. Bäckström, jęknęła w duchu Lisa Mattei.

Dzwonił dyżurny z Säpo, żeby przekazać jej informacje na temat jednej ze spraw, która od kilku dni znajdowała się wysoko na jego liście bieżących tematów i przy której nazwisko Mattei zostało wskazane do kontaktu w przypadku zaistnienia

takiej konieczności. Piętnaście minut temu odezwał się jeden z ich nieumundurowanych strażników pilnujących Drottningholm i przekazał informację, że policja najwyraźniej podjęła jakieś czynności wewnątrz i w najbliższej okolicy mieszkania von Comera przy pałacu Drottningholm.

– Słucham – westchnęła Mattei. To musi być sprawka tego grubasa Bäckströma, pomyślała.

Istny cyrk, jak stwierdził dyżurny. Pół tuzina dziennikarzy i fotografów z największej popołudniówki, sądząc po naklejkach na samochodach. I jeszcze kilku, którzy stali za ogrodzeniem pałacu.

– Rozmawiałem z kolegami z Solny – wyjaśnił dyżurny. – Wygląda na to, że zabrali von Comera na przesłuchanie. Podobno został zatrzymany. Planują przeszukać jego mieszkanie.

– Zatrzymany? Za co? – zapytała Mattei. Za zabójstwo adwokata Erikssona, pomyślała i w myślach głośno westchnęła.

– Za próbę poważnego oszustwa, względnie za poważne oszustwo – stwierdził dyżurny, a w tle dało się słyszeć szelest kartek. – Trochę to zagadkowe, zważywszy na fakt, że nakaz zatrzymania podpisał prokurator Lamm. Przecież to ona prowadzi postępowanie przygotowawcze w sprawie zabójstwa tego adwokata.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy my nie mamy podpisanego porozumienia z Solną, że będą nas informować zawczasu, jeśli planują tego typu akcje?

– Owszem – odpowiedział dyżurny. – Ktoś najwyraźniej o tym zapomniał.

Leniwy poranek i głośne czytanie z drobnymi utrudnieniami. Po godzinie zadzwonił do niej Dan Andersson, żeby powiedzieć, że jest już na miejscu przy pałacu Drottningholm i że rozmawiał z kolegami z Solny. Przeszukanie, zatrzymanie podejrzanego, a jeśli chce wiedzieć coś więcej, powinien porozmawiać z prowadzącą wstępne dochodzenie prokurator Lisą Lamm.

– Czy oprócz von Comera zgarnęli kogoś jeszcze? – zapytała Mattei.

– Nie – odpowiedział Dan Andersson. – Podobno odjechali z nim już godzinę temu. Był w kajdankach i z marynarką narzuconą na głowę.

– Matko, a to dlaczego? – Brzmi jak z telewizyjnego serialu policyjnego, pomyślała Mattei.

– Podobno przyłożył Annice Carlsson, tej koleżance Annice Carlsson od ciężkich przestępstw w Solnie, wiesz, tej umięśnionej...

– Wiem – ucięła Mattei. – Masz coś jeszcze...

– Może lepiej potem – zaproponował Dan Andersson.

– Nie – odpowiedziała Lisa Mattei i pokręciła głową, choć rozmawiali przez telefon. – Teraz.

– Dzwonił rzecznik prasowy króla. Z tego, co mówił, jest gorąco, dziennikarze walą drzwiami i oknami, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Do tego co najmniej dwudziestu przed chatą von Comera. Na miejscu jest TV4 i telewizja publiczna. Wszyscy pytają...

– Dziękuję, zrozumiałam – powiedziała Lisa Mattei, która już wiedziała, co się święci. – Widzimy się za godzinę w moim gabinecie. – I co teraz? – pomyślała, odkładając słuchawkę. Zadzwoń do Anny, pomyślała. Anny Holt, jednej z jej najlepszych przyjaciółek, chrzestnej jej jedyne dziecko i na dobrą sprawę szefowej policji w Västerort.

100

Osiem godzin regenerującego snu, porządne śniadanie i co najmniej pół godziny na higienę osobistą i wybór odpowiedniego stroju. Nie warto oszczędzać, gdy wychodzi się w teren, pomyślał Evert Bäckström, gdy tuż przed dziewiątą rano wyszedł ze swojego mieszkania na Kungsholmen do czekającej na niego taksówki, która miała go zawieźć do komendy w Solnie na szczerą rozmowę z najlepszym kumplem króla.

Już w taksówce odezwał się pierwszy głos powitalnego chóru. Na jego prywatny numer telefonu dzwonił znajomy reporter. Szczęśliwy człowiek, bardzo szczęśliwy człowiek, pomyślał

Bäckström.

– Bäckström, Bäckström – jęknął reporter. – Nie wiem, jak to powiedzieć, ale to może być kapitalna sprawa.

– Pogadamy potem – uciał Bäckström. – Nie dzwoń do mnie, ja do ciebie zadzwonię. – A czego innego się, kurwa, spodziewał, pomyślał.

Potem potoczyło się już na całego. Wszystko, absolutnie wszystko szło jak po maśle. Pierwszą osobą, którą napotkał, gdy wszedł do biura, była koleżanka Carlsson. Wesoła i pogodna jak zawsze, pomyślał Bäckström, bo od razu zauważył, że jest wściekła.

– Niech zgadnę – powiedział. – Na hasło, że jesteś z policji, pobladł i zapytał, czy coś się stało jego żonie i dzieciom.

– Nie – Annika pokręciła głową. – Zapytał, o co chodzi, a ponieważ nie chciałam powiedzieć, próbował mi zamknąć drzwi przed nosem.

– Aj, aj, aj. Co za ponury typ – skrzywił się Bäckström.

– A potem normalnie mnie spoliczkował – dodała i pokazała prawym palcem wskazującym na zaczerwienienie pod lewym okiem.

– Doskonale – odpowiedział Bäckström. – A więc ci przyłożył. Lepiej być nie mogło. Ruszyliśmy z piskiem opon.

– Jeśli chcesz znać szczegóły, możesz sobie zajrzeć do któregoś ze szmatławców – stwierdziła Annika. – Nie wiem, jak to się stało, ale kiedy przyjechaliśmy, na miejscu czekały już tłumy dziennikarzy.

– Co ty, kurwa, mówisz? – zdziwił się Bäckström. – Ta buda przecieka jak sito. To bardzo smutne, jeśli mam być szczerą.

– Fakt. Wciąż chcesz, żebym była na przesłuchaniu?

– Jasne. Czemu miałbym nie chcieć?

– Pierwsze, co zrobił, gdy tu przyszliśmy, to złożył na mnie donos o nadużycie przemocy. Dlatego pytam.

– Jasne, że powinnaś.

– Zapomnij. Rozmawiałam już z Lisą Lamm i jesteśmy w tej kwestii zupełnie zgodne.

A to ciekawostka, pomyślał Bäckström. Z jej spojrzenia wywnioskował jednak, że nie ma o czym dyskutować. Może

kiedyś, ale nie dzisiaj. Z czystego, błękitnego nieba na komendę w Solnie i na wszystkich pracujących w niej funkcjonariuszy policji spływały jasne promienie porannego słońca.

101

Z protokołu, który niebawem miał się znaleźć w aktach postępowania przygotowawczego przeciwko baronowi Hansowi Ulrikowi von Comerowi, wynikało, że pierwsze przesłuchanie barona rozpoczęło się o godzinie 9.15 w komendzie w Solnie. Prowadził je inspektor kryminalny Evert Bäckström, wspierany przez komisarza kryminalnego Johana Eka w obecności prokurator Lisy Lamm.

Opis z grubsza zgodny z rzeczywistością, choć jeśli chodzi o godzinę rozpoczęcia przesłuchania, nie była to do końca prawda, ponieważ strony spędziły dziesięć minut przed przesłuchaniem na szczerzej rozmowie. Lub raczej na monologu, ponieważ Bäckström ograniczył się do kilku uśmiechów, Ek nie odezwał się ani słowem, a Lisa Lamm wyjaśniła jedynie, że powodem, dla którego von Comer się tu znalazł, było to, że istniały wobec niego uzasadnione podejrzenia usiłowania popełnienia poważnego oszustwa względnie popełnienia poważnego oszustwa i że prowadzący przesłuchanie inspektor Evert Bäckström omówi za chwilę wszystkie szczegóły.

Baron był wściekły, prawie oszalał ze złości. Krzyczał o napaści, o szwedzkim państwie wysługującym się zbrojami, którzy w środku nocy wtargnęli do jego mieszkania, a gdy wreszcie odzyskał oddech, oznajmił, że nie odezwie się ani słowem, jeśli wcześniej nie umożliwią mu rozmowy z jego adwokatem.

– Jasne – powiedziała Lisa Lamm. – Do którego adwokata zadzwonić?

– Adwokat Peter Danielsson – powiedział von Comer.

– Pracuje w kancelarii adwokackiej Eriksson i Partnerzy.

– Obawiam się, że może być z tym problem – powiedziała Lisa Lamm.

– Jaki problem? – parsknął von Comer. – Mam przecież prawo do adwokata.

– Niestety obawiam się, że pański adwokat w niczym tu już nie pomoże – powiedziała Lisa Lamm. – Do szczegółów możemy powrócić później, podczas przesłuchania.

– To może znajdziemy kogoś innego – zaproponował Bäckström łagodnym głosem. – Mam pewną propozycję, jeśli tylko pan baron zechce jej wysłuchać.

– Jaką?

– Dopóki pan baron nie zdecyduje, jakiego wybrać adwokata, pomyślałem, że mógłbym wyjaśnić, dlaczego tak bardzo zależy nam na rozmowie z panem baronem.

– Nie mogę się doczekać.

– Otóż są trzy sprawy, które zastanawiają mnie i moich kolegów – westchnął Bäckström.

– Trzy sprawy? Niby jakie?

– Po pierwsze adwokat Eriksson pobił pana barona na parkingu przed pałacem Drottningholm w niedzielę wieczorem dziewiętnastego maja. Zaledwie czternaście dni przed tym, jak został zamordowany.

– Przecież to jakaś bzdura – zaprotestował von Comer. – Kilka tygodni temu zadzwoniła jakaś młoda kobieta, która podawała się za policjantkę i której szczegółowo opowiedziałem, jak było. A konkretnie, że wraz z żoną złożyliśmy wizytę naszym dobrym znajomym na Södermalmie. To, że mnie pobito, jest czystą fantasmagorią.

– Problem w tym – powiedział Bäckström – że wiele przeczy temu, co pan właśnie raczył powiedzieć. Jednocześnie jednak jest to w tej chwili problem najmniejszy.

– Fantasmagorie – powtórzył von Comer i pokręcił głową. – A ta druga sprawa?

– Otóż Eriksson pobił pana, ponieważ zorientował się, że oszukał go pan na milion koron przy okazji sprzedaży obrazów.

– Co to ma być? Kto panu nagadał takich bzdur?

– Problem w tym, że dysponujemy informacjami, które to potwierdzają – powiedział Bäckström. – Jednocześnie muszę stwierdzić, że to i tak nic w porównaniu z trzecim problemem.

– Ponieważ i tak już odpadają mi uszy, mogę posłuchać o waszym trzecim problemie. To jakiś obłąd.

– Tym, co naprawdę mnie martwi, jest moje podejrzenie, że spotyka się pan z najgorszymi przestępcami w kraju. Z dwoma członkami Hells Angels, Fredrikiem Åkarem i Angelem Garcia Gomezem, a powodem, dla którego tak bardzo się nimi obecnie interesujemy, jest fakt, że obecna tu pani prokurator wydała nakaz ich aresztowania w związku z zabójstwem adwokata Thomasa Erikssona.

– Chwileczkę – przerwał von Comer, unosząc obie ręce w niemal błagalnym geście. – To oni do mnie przyszli, do mojego mieszkania, bez zapowiedzi. Wcześniej nigdy nawet o nich nie słyszałem. Nigdy w życiu.

– Otóż to – zgodził się Bäckström. – Słyszę, co pan mówi, a ponieważ już od dawna wiem, że nie wszystko jest takie, na jakie wygląda, pomyślałem, żeby dać panu szansę wyjaśnić, jak naprawdę było. – Ciekawe, że też dał się na to nabrać, pomyślał.

– Nie mogę się doczekać – powiedział von Comer i spojrzał na Bäckströma. – Nie mogę się doczekać.

– Doskonale – powiedział Bäckström, włączając dyktafon. – Przesłuchanie barona Hansa Ulrika von Comera. Prowadzący przesłuchanie inspektor kryminalny Evert Bäckström...

Jest fenomenalny, pomyślała Lisa Lamm.

– Pomyślałem, że zaczniemy od rozmowy o ostatnim punkcie – powiedział Evert Bäckström pół minuty później, gdy już dopełnił formalności, odchrząknął dyskretnie i włożył miętówkę do ust. – Jak doszło do pańskiego spotkania z Åkarem i Garcia Gomezem w pańskim mieszkaniu?

– Chwileczkę...

– Przepraszam, proszę mi wybaczyć – powiedział Bäckström, podając torebkę miętówek ofierze swojego przesłuchania.

– Zapomniałem spytać, czy...

– Nie, nie, dziękuję – powiedział von Comer. – Być może wydają się zagubiony, ale...

– Zamieniam się w słuch – powiedział Bäckström i wykonał niemal zapraszający gest, kładąc jednocześnie torebkę

miętówek na biurku.

– A więc to było tak – dodał po chwili von Comer. – To znaczy z tymi, o których wspomniał pan inspektor...

Zamieniam się w słuch, pomyślał Bäckström i pokiwał na zachętę głową. Choć nos masz już na pół pokoju.

Rewelacyjny, pomyślała Lisa Lamm. Do tego przypomina mi kogoś, kogo znam z telewizji z czasów dzieciństwa. Tego policjanta, który bez przerwy drapał się po głowie i mówił, jakby myślał na głos.

102

Nie chcąc niepotrzebnie wystraszyć podejrzanego, Annika Carlsson usiadła w pokoju technicznym, który znajdował się w tym samym korytarzu co pokój, w którym prowadzone było przesłuchanie. Na ekranie wiszącym na ścianie można było zarówno wysłuchać tego, co mówił przesłuchiwany, jak też obserwować sposób, w jaki się wypowiadał. O tym, że jest oglądany, nie miał oczywiście pojęcia. Baron von Comer był niewątpliwie ulubieńcem publiczności. Gdy weszła do pokoju, wszystkie krzesła były już zajęte.

– Nie masz ważniejszych rzeczy do roboty? – zapytała Annika i łypnęła na Jenny Rogersson, która jak zwykle z długopisem w ręku przyjęła pochyloną pozycję nad notesem leżącym na jej kolanach.

– Polecenie szefa – uśmiechnęła się Jenny. – Prosił, żebym scharakteryzowała język ciała von Comera.

– Przynieś jeszcze jedno krzesło – ucięła Annika Carlsson, wbijając w nią wzrok. Głupia gęś, pomyślała.

– Nie ma sprawy – zaświergotała Jenny, wstała i zniknęła w korytarzu. Głupia pinda, pomyślała.

Ten człowiek nie zna granic, pomyślała Annika Carlsson kwadrans później, gdy Bäckström odgrywał zyczliwego i rozkojarzonego policjanta, dzięki czemu przesłuchiwany mówił nie to, co planował. W tym człowieku nie ma ani krzty prawdy, pomyślała i w tej samej chwili dostała esemesa od swojej przełożonej Anny Holt, która chciała się z nią

natychmiast spotkać. Dobrze, że już się rozgrzałam, pomyślała Annika, bo domyślała się, o czym Holt chce z nią rozmawiać.

Gdy weszła, Anna Holt siedziała za swoim wielkim biurkiem, a na jednym z dwóch krzeseł siedziała blada i elegancko ubrana blondynka. Szczupła, wysportowana, w trudnym do określenia wieku między trzydziestką a czterdziestką.

– Jak się czujesz? – zapytała Holt z zatroskanym uśmiechem. – Słyszałam, że baron Dracula z pałacu Drottningholm próbował cię powalić.

– Uderzył mnie – Annika wzruszyła ramionami. – Wszystkie papiery są już gotowe, więc spokojnie.

– Ani trochę się nie denerwuję – zapewniła Holt. – To nie dlatego chciałam z tobą rozmawiać. Nie wiem, czy się znacie, to jest Lisa, Lisa Mattei, pracuje w Säpo. Jesteśmy przyjaciółkami od wielu lat i od lat ze sobą pracujemy. Jestem też chrzestną jej córeczki.

– Słyszałam o tobie – powiedziała Annika Carlsson i skinęła do Mattei. – Ale chyba nigdy się nie spotkałyśmy. – Ulubienica legendarnego Larsa Martina Johanssona, głupia raczej nie jest, pomyślała.

– Miło cię poznać, Annika – powiedziała Lisa Mattei z łagodnym uśmiechem, otworzyła cienką skórzaną teczkę leżącą przed nią na biurku, wyjęła z niej kartkę i podała ją Annice. – Mam do ciebie kilka pytań, najpierw jednak chciałabym, żebyś to przeczytała. I podpisała, kiedy już skończysz – dodała, kładąc jednocześnie długopis na biurku.

Nie jakieś tam zwykłe zobowiązanie do zachowania poufności, pomyślała Annika Carlsson, czytając. W świetle szwedzkiego prawa, w dzisiejszej Szwecji, kompletnie bez sensu, pomyślała.

– Pozwól, że zapytam – powiedziała Annika, gdy już podpisała dokument, który Lisa Mattei natychmiast zabrała i schowała do teczki.

– Tak – powiedziała Lisa Mattei. – Chętnie odpowiem, jeśli tylko będę mogła.

– Co by się stało, gdybym zadzwoniła do gazety i powiedziała im o tym, co przed chwilą podpisałam.

– Cóż...

– Co by się ze mną stało?

– Bylibyśmy wówczas zmuszeni podjąć środki, o których cię poinformowałam w podpisanym właśnie przez siebie dokumencie – stwierdziła Lisa Mattei. – Jestem jednak pewna, że nie będzie to konieczne. Sprawiasz wrażenie zarówno rozsądnej, jak i uczciwej i dlatego to ja siedzę tu z wami, a nie ty u mnie.

– A Holt? Dlaczego jej wolno tu być?

– Tak się składa, że przed twoim przyjściem podpisała ten sam dokument – wyjaśniła Mattei.

– O czym naturalnie nie mogę rozmawiać – powiedziała Anna Holt zachwycona.

– Przecież to jakieś szaleństwo – powiedziała Annika Carlsson i pokręciła głową.

– Nie przyszedłam tu dlatego, że Säpo planuje przejąć dochodzenie w sprawie zabójstwa, nad którym pracujecie ty i twoi koledzy. Chciałam z tobą porozmawiać z całkiem innego powodu. Po pierwsze chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej na temat podejrzeń wobec von Comera. Jak mocne mają podstawy. Po drugie obawiam się, że informacje z waszego dochodzenia przeciekają do mediów w sposób pozwalający przypuszczać, że ktoś tu nie panuje nad sytuacją albo że zwyczajnie chce zarobić. Po trzecie mam konkretne pytanie. Który lub którzy z twoich kolegów są źródłem przecieków?

– Co się stało z ochroną źródeł informacji? – zapytała Annika Carlsson. – Popraw mnie, jeśli się mylę, ale wydawało mi się, że jest zapisana w konstytucji.

– Tak, jest to zapisane równie wyraźnie co wyjątek znoszący tę ochronę w sytuacji zagrożenia bezpieczeństwa narodowego. To też jest w dokumencie, który właśnie podpisałaś.

– A gdybym to była ja? Gdybym to ja puściła farbę?

– Nie – Lisa Mattei pokręciła głową. – To nie ty. To kolejny powód, dla którego tu siedzę i z tobą rozmawiam.

– To znaczy, że wiesz? Na pewno?

– Tak – odpowiedziała Mattei bez cienia uśmiechu. – Wiem to. Widzę to w twoich oczach, jeśli już koniecznie chcesz

wiedzieć. Nie podsłuchiwaaliśmy twoich rozmów ani nie bawiliśmy się w żadne techniczne czary-mary.

– Okej – powiedziała Annika Carlsson i wzruszyła ramionami. – Skoro tak, powiem ci, co myślę. – Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś tak okropnego, ty dziwko z wyższych sfer, pomyślała.

Skończyła po dwudziestu minutach. Podejrzenia wobec von Comera? To, że próbował oszukać Erikssona przy okazji handlu dziełami sztuki, wydawało się oczywiste. To, że brał udział w zabójstwie lub je zlecił, nie było już takie pewne. Dało się to jednak sprawdzić, zważywszy na materiał dowodowy, jakim dysponowali. To, że sam zabił Erikssona, było wykluczone, Annika Carlsson była o tym przekonana.

– Jest na to zwyczajnie za słaby. Poza tym wydaje mi się, że niedługo się okaże, w jakim stopniu jest zamieszany w to zabójstwo – podsumowała Annika Carlsson. – W najgorszym razie mogło być tak, że chciał odzyskać obrazy i wziął ze sobą Åkarego albo kogoś innego, kto miał mu pomóc w kwestiach technicznych. Był w domu Erikssona, kiedy to się stało. Ale żeby to on uderzył go w głowę? Wykluczone. Nie dysponuje niczym, czego potrzeba, by zrobić coś takiego i w taki sposób. Uwierz mi.

– Okej – powiedziała Lisa Mattei. – W takim razie co powiesz o wycieku do mediów?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – powiedziała Annika Carlsson i pokręciła głową. – Jeśli chodzi o to, co się stało dzisiaj, nie widziałam jeszcze żadnej z dzisiejszych publikacji. Widziałam tylko, że kiedy przyjechaliśmy, na miejscu byli już reporterzy, ale potem do południa miałam mnóstwo innej roboty. Poza tym nie orientuję się w sposobie działania mediów. Wolałabym więc pominąć to pytanie.

– A portret pamięciowy Garcii Gomeza? Ten, który powstał w zeszłym tygodniu i który pojawił się w jednym z serwisów internetowych wczoraj rano? Zastanawiałaś się, jak mógł do nich trafić?

– Jestem niemal na sto procent pewna, że to nie Bäckström – powiedziała Annika Carlsson.

- Dlaczego tak myślisz?
- Dlatego, że wściekł się, kiedy się o tym dowiedział. I dlatego, że chyba wiem, jak do tego doszło.
- No to jak do tego doszło?
- Nasza koleżanka Andersson-Trygg ubzduriała sobie, że koledzy z wydziału do spraw zwierząt będą nam w stanie pomóc zidentyfikować tego człowieka na zdjęciu. Ktoś z nich widocznie dał cynk mediom, gdy go im pokazała. Mylne podejrzenia i chore ambicje, nikt nie dostał za to pieniędzy od tych wydawców. Takie rzeczy się zdarzają.
- A co sądzisz o tym, co stało się dzisiaj?
- Chcesz wiedzieć, czy to Bäckström puścił farbę?
- powiedziała Annika Carlsson i spojrzała Mattei prosto w oczy.
- Tak. Co myślisz?
- Przyznam, że nie wiem – powiedziała Annika Carlsson.
- Gdyby jednak tak było, to już mi go szkoda.
- Szkoda? Nie rozumiem?
- No tak, mam na myśli ciebie i dokument, który właśnie podpisałam.
- No to jak, dziewczyny? – powiedziała Anna Holt wymijająco. – Dalej chyba nie zajdziemy. Dacie się zaprosić na lunch?
- Niestety nie dam rady – powiedziała Annika Carlsson.
- Mam za dużo roboty.
- A ja chętnie zjem z tobą lunch – powiedziała Lisa Mattei z uśmiechem. – Rano tak się spieszyłam, że nie zdążyłam zjeść śniadania. Byłabym zapomniała, Elin cię pozdrawia.
- Czy właśnie to się czuje, gdy spotyka się kogoś, kogo nigdy wcześniej się nie spotkało? – pomyślała Annika Carlsson, gdy wróciła do pokoju sąsiadującego z pokojem przesłuchań, żeby zobaczyć, jak Bäckström z typową dla siebie lekkością maltretuje barona Hansa Ulrika von Comera. Przynajmniej nikt nie odważył się zabrać mi krzesła, zawsze coś.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy inspektor kryminalny Evert Bäckström utarł nosa von Comerowi – jak określił przesłuchanie w rozmowie ze swoim osobistym reporterem jeszcze tego samego wieczoru – jego koledzy komisarze kryminalni Per Bladh i Lars Alm przesłuchiwali adwokata Petera Danielssona w kancelarii adwokackiej Eriksson i Partnerzy.

Kolejne przesłuchanie, kolejna stanowcza rozmowa, której ambicją było znalezienie prawdy lub przynajmniej jakiejś formy potwierdzenia, ale której efekty jak zwykle były zupełnie inne. Dialog składający się z pytań i odpowiedzi, niejasnych w zestawieniu z wcześniejszymi wypowiedziami i z rewelacjami pochodzącymi od anonimowego informatora, którego nazwisko znał tylko Bäckström. Jeśli adwokat Thomas Eriksson miał sprzedać kolekcję dzieł sztuki na zlecenie wciąż jeszcze anonimowego klienta, w jego kancelarii powinny się znajdować odpowiednie dokumenty.

Peter Danielsson niczego takiego nie potwierdził. W kancelarii nie było żadnych upoważnień, raportów, rachunków ani zestawień kosztów, dlatego twierdził, że ich przypuszczenia są bezpodstawne. Jego świętej pamięci kolega nie pracował nad takim zleceniem. Prowadzący przesłuchanie był jednak innego zdania, dlatego rozmowa szybko potoczyła się w kierunku potencjalnych dodatkowych zleceń Erikssona, które miałby realizować na boku. Być może właśnie to zlecenie miało bardziej prywatny charakter.

– Naturalnie nie można tego wykluczyć – zgodził się Danielsson. – Zdarza się, że adwokaci wyświadczają przysługi przyjaciołom lub dobrym znajomym. Pod tym względem jesteśmy jak lekarze – dodał po chwili. – Otaczają nas przyjaciele i znajomi, którzy proszą nas o radę i pomoc.

Kiedy o tym rozmawiali, poczuł się wyraźnie swobodniej, jak zauważyli Alm i Bladh. Po skończonym przesłuchaniu uzgodnili, że Danielsson i jego współpracownicy raz jeszcze to wszystko sprawdzą, na tak zwany wszelki wypadek. Na

odchodne Bladh dał Danielssonowi dobrą radę:

– Jeśli coś pana martwi w związku z działalnością Erikssona, to wydaje mi się, że w interesie pana i pańskiej kancelarii leży opowiedzenie nam o tych zmartwieniach.

– Jasne – powiedział Danielsson. – Jednak szczerze mówiąc, tak między nami, to ja i moi koledzy nigdy nie mieliśmy powodu, by w ten sposób myśleć o Thomasie i jego pracy.

Szczerze mówiąc, tak między nami. Gdzie ja to już słyszałem? – pomyślał Bladh i tylko pokiwał głową.

Jego kolega Alm wyraził się bardziej dobitnie.

– Ja i mój kolega uważamy, że jednak powinniście. Proponuję więc, żeby się pan nad tym zastanowił.

104

Po pierwszej godzinie przesłuchania Bäckström zarządził krótką przerwę. zaproponował von Comerowi kawę, wodę mineralną albo kanapkę, przerwę na rozprostowanie nóg albo na papierosa w palarni. Krótko mówiąc, czego dusza zapagnie, żeby pokazać, że ma dobre zamiary.

Von Comer podziękował za możliwość wyjścia do palarni, pozostałe propozycje jednak przyjął. W oczekiwaniu na kawę wyszli na korytarz, gdzie Bäckström wziął go na bok, pokazując dyskretnie głową na prokurator, która stała kawalek dalej i prowadziła szeptem rozmowę z kolegą Ekiem. Czas na odrobinę męskiej solidarności i Bäckström zaczął od propozycji, żeby przeszli na ty. Z całym szacunkiem oczywiście, ale po co niepotrzebnie tracić czas, zwłaszcza że jemu też nie podobała się ta historia.

– Jestem śledczym zajmującym się zabójstwami – powiedział Bäckström i wzruszył ramionami – i tego rodzaju niuanse, mówiąc między nami, mnie nie interesują. Czego nie można powiedzieć o niektórych prokuratorach – powiedział i raz jeszcze wymownie pokazał głową w stronę Lisy Lamm.

Naturalnie, mogą przejść na ty, zgodził się von Comer. Nie tylko z uwagi na oszczędność czasu, ale również dlatego, że właśnie spotkał policjanta, który naprawdę chce go wysłuchać.

Takiego, który nie ferował pochopnych wyroków. W tej kwestii byli zgodni.

Kwadrans później przesłuchanie zostało wznowione. Na stole zjawily się kawa i woda mineralna dla wszystkich oraz dwie kanapki z serem i szynką dla von Comera.

– Jeśli cię dobrze rozumiałem, tych dwóch przychodzi do ciebie z niezapowiedzianą wizytą – powiedział Bäckström do przesłuchiwanego, zajętego wycieraniem ust chusteczką po posiłku. – Nie znasz ani jednego, ani drugiego – dodał.

– Tak jak mówiłem przed przerwą. W życiu ich nie widziałem.

– Dlaczego chcieli się z tobą spotkać?

Przyszli po obrazy i inne dzieła sztuki, w których sprzedaży von Comer obiecał pomóc Erikssonowi.

– Byli uprzejmi i mili, nie było żadnych napięć – powiedział von Comer. – Przedstawili się, a ten wysoki – chyba nazywał się Åkare – podał mi swoją wizytówkę już w drzwiach.

– I co się potem stało?

– Zaprosiłem ich do środka, a potem wyjaśniłem sytuację. Mianowicie, że musiało zajść nieporozumienie, ponieważ Eriksson osobiście odebrał zbiory kilka godzin wcześniej.

– Pomyślałeś, że przyszli w imieniu Erikssona?

– Tak, kto inny miałby ich wysłać do mnie do domu?

– zapytał von Comer i spojrzał zaskoczony na Bäckströma. – Uznałem, że przez jakieś nieporozumienie zwyczajnie się minęli.

– Rozumiem – powiedział Bäckström. – Co potem zrobiłeś?

– Poszedłem po rachunek podpisany przez Erikssona. Wynikało z niego, że odebrał obrazy.

– Jak na to zareagowali?

– Nie było problemu. Wydaje mi się nawet, że dałem im kopię tego rachunku. Miałem wrażenie, że się zrozumieliśmy. Że musiało dojść do jakiegoś nieporozumienia między nimi a Erikssonem.

– Nie powiedzieli jednak, że to Eriksson ich wysłał?

– Nie, ale kto inny miałby to zrobić?

– To bardzo dobre pytanie – powiedział Bäckström i uśmiechnął się przyjaźnie. W tym momencie do drzwi

zastukała Nadja Högberg i zajrzała ostrożnie do pokoju.
– Przesłuchanie przerwane o godzinie dziesiątej trzydzięci jeden – powiedział Bäckström, zerkając na zegarek.

– W czym mogę ci pomóc, Nadjo? – zapytał.

– Czy mogę cię prosić na słowo? – odpowiedziała.

– Tak. Daj mi minutę, za chwilę dokończymy – powiedział do von Comera.

– Jak wam idzie? – zapytała, gdy wyszli na korytarz, a Bäckström zamknął za sobą drzwi.

– Do przodu – odpowiedział, wzruszając ramionami.
– A tobie?

– Co prawda ma w domu wiele obrazów, ale żadnego z tych, których szukamy. Udało nam się za to znaleźć rachunek podpisany przez Erikssona, na którym potwierdza odbiór rzeczy. Jest na nim data i miejsce: piątek trzydziestego pierwszego maja, adres von Comera.

– Coś jeszcze?

– Ta wizytówka – odpowiedziała, podając mu wizytówkę w plastikowej koszulce. – Zdaje się, że to wizytówka Åkarego. Frederik Åkerström, dyrektor zarządzający w Åkerström Security. Nie wiedziałam, że Fredrik Åkare ma własną agencję ochrony – uśmiechnęła się Nadja. – Rachunek za obrazy masz tutaj – dodała i podała mu kolejną koszulkę.

– Okej – powiedział Bäckström. – Jak ci idzie z jego komputerem? I z bankiem?

– Pracujemy pełną parą – zapewniła Nadja.

– Podejmujemy przesłuchanie na nowo, jest godzina dziesiąta trzydzięci pięć – powiedział Bäckström i włączył dyktafon, rozsiadając się wygodnie na krześle. – Powiedziałeś, że jeden z twoich gości dał ci wizytówkę. Czy to ta?

– Tak – odpowiedział von Comer. – Tak, to ta. Jestem pewien.

– Dla porządku powiem, że właśnie pokazałem wizytówkę Hansowi Ulrikowi von Comerowi, na której znajduje się imię i nazwisko Fredrika Åkerströma i nazwa jego firmy, Åkerström Security – stwierdził Bäckström.

– To na pewno ta sama wizytówka – wtrącił von Comer.

– Doskonale – powiedział Bäckström. – Mam tu też

rachunek, który zamierzałem ci pokazać, a na którym Thomas Eriksson potwierdza odbiór łącznie dwunastu dzieł sztuki, które miał od ciebie odebrać w piątek trzydziestego pierwszego maja. Jedenaście obrazów i jakaś emaliowana figurka. Czy to ten sam rachunek, o którym wcześniej wspominałeś?

– Zdecydowanie – powiedział von Comer. – Jestem tego pewien.

– Aha, rozumiem – powiedział Bäckström, westchnął zadowolony i odchylił się na krześle. Spojrzał na Lamm i Eka. – Tak, to mi wystarczy, a jeśli nie macie pytań, chciałbym przejść dalej i porozmawiać o czymś zupełnie innym, mianowicie o pańskiej znajomości z adwokatem Thomasem Erikssonem.

– Od czego chcesz, żebym zaczął? – zapytał von Comer, wyraźnie rozluźniony.

– Proponuję, żebyś zaczął od początku – powiedział Bäckström, uśmiechając się równie przyjaźnie jak poprzednio. – Tak jest zwykle najlepiej. Zacznij od waszego pierwszego spotkania.

– Doskonały pomysł – zgodził się von Comer.

A potem sobie porozmawiamy o tym, jak siedziałeś na jego kanapie i zrobiłeś w spodnie, kiedy obok uszu świsnęła ci kula, pomyślał Bäckström.

Do pierwszego spotkania von Comera i Erikssona doszło na polowaniu w Skanii u ich wspólnego znajomego budowlańca. Nie pamiętał dokładnie, w którym to było roku, ale musiało to być kilkanaście lat temu.

A od czasu pierwszego spotkania? Łącznie dziesięć, może dwadzieścia razy. Przypadkowe towarzyskie spotkania, w mieście, w knajpie, na polowaniach i kolacjach u wspólnych przyjaciół i znajomych. To wszystko, stwierdził von Comer.

– Zrozumiałem, że był u ciebie w domu – powiedział Bäckström. – Gdy odbierał obrazy, o których rozmawialiśmy.

– Tak, nawet kilka razy. Na kilku większych przyjęciach, które zorganizowaliśmy z żoną. Pamiętam, że kiedyś był też u nas na lunchu.

– A czy ty byłeś w domu Erikssona na Ålstensgatan?

– Nie, przyznam, że nie – powiedział von Comer.
– Pamiętam, że zaprosił mnie i żonę na kolację, ale byliśmy już umówieni, więc nic z tego nie wyszło.

– Przepraszam, jeśli się powtarzam – powiedział Bäckström.
– To znaczy, że nigdy nie byłeś w domu u adwokata Erikssona?

– Nie, nigdy – odpowiedział von Comer. – Wiem co prawda, gdzie mieszka, ale nigdy nie przekroczyłem progu jego domu. Dlaczego pytasz?

– Zboczenie zawodowe – powiedział Bäckström niemal wesołym tonem. – Nie mam powodu, żeby ci nie wierzyć. Zapytam jednak dla porządku, ryzykując, że uznasz mnie za marudę. Nie byłeś nigdy w domu Erikssona na Ålstensgatan sto dwadzieścia siedem?

– Nie, nigdy, za to byłem u niego w biurze. Dwa razy, jakiś rok temu. Poprosił, żebym mu pomógł ze sprzedażą kolekcji, o której rozmawialiśmy. Najpierw dokonałem wyceny poszczególnych przedmiotów. Miał je wszystkie w swoim gabinecie. Tę wizytę na pewno może potwierdzić wielu pracowników kancelarii. Pamiętam, że Peter, to znaczy pan adwokat Danielsson, również przyszedł, żeby obejrzeć obrazy.

– Aha – powiedział Bäckström. – A ta druga wizyta?

– Potem Thomas zadzwonił do mnie i dwa dni później spotkaliśmy się, również w jego biurze, podpisaliśmy umowę i uzgodniliśmy wysokość mojej prowizji. Kolekcja została wysłana do mnie do domu, mam u siebie biuro, zajęła się tym firma transportowa.

– Z tego, co mówisz, wnioskuję, że nie byliście bliskimi przyjaciółmi, ale też nie byliście wrogami. Raczej znajomymi. I że przez jakiś czas łączyły was związki zawodowe, od chwili gdy Eriksson poprosił cię o pomoc w sprzedaży obrazów.

– Tak – przyznał von Comer. – Tak rzeczywiście było. To by było najwłaściwsze określenie.

– Co z kolei każe mi myśleć o incydencie przed pałacem Drottningholm. Naturalnie można uważać, że policji nic do tego, bo to prywatne sprawy, ale biorąc pod uwagę to, co potem przydarzyło się Erikssonowi, zapewne rozumiesz, że nie możemy o to nie zapytać.

– Rozumiem – powiedział von Comer. – Przyznaję, że źle zrobiłem, ale pomyślałem dokładnie tak, jak powiedziałaś. Mianowicie, że doszło tu do nieporozumienia, które nie powinno interesować policji i które z Erikssonem już sobie wyjaśniliśmy. Dla mnie i Erikssona temat był zakończony.

– Dla porządku wolałbym jednak, żebyś sam opowiedział, co takiego naprawdę się wydarzyło – powiedział Bäckström.

Eriksson zadzwonił do niego na komórkę, gdy był na wieczornym spacerze, a że już wtedy się wydierał i najwyraźniej był w drodze do jego domu, von Comer zaproponował, żeby spotkali się na parkingu przed teatrem. Eriksson był zdenerwowany, krzyczał i wymachiwał katalogiem aukcyjnym, którym w pewnym momencie uderzył von Comera w twarz, co spowodowało u niego krwotok z nosa.

– Chyba właśnie wtedy pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli sobie stamtąd po prostu pójdę – powiedział von Comer. – Nie dało się z nim rozmawiać, był bardzo niemiły. Dlatego odszedłem.

– Dlaczego był zdenerwowany? – zapytał Bäckström.

– To było zwykłe nieporozumienie przy okazji sprzedaży jednego z obrazów. Częściowo był to, niestety, mój błąd, zrobiłem przeliczenie w złej walucie, wskutek czego Eriksson dostał za mało pieniędzy. Gdy tylko się zorientowałem, co się stało, naturalnie wszystko wyprostowałem. Na to też mam oczywiście rachunek. Gdy o tym rozmawialiśmy, wyjaśniłem, że w związku z zaistniałą sytuacją wolałbym zrezygnować z powierzonego mi zadania.

– To zrozumiałe – powiedział Bäckström. – Jak to przyjął?

– Nie miał żadnych uwag, przeprosił i powiedział, że szanuje moją decyzję.

– Jeszcze jedno pytanie, zanim zrobimy przerwę na lunch – powiedział Bäckström. – Czy Eriksson powiedział ci, kto zlecił mu sprzedaż tych obrazów? To znaczy, kto był ich właścicielem?

– Nie – odpowiedział von Comer. – Co prawda zapytałem go o to, ale odpowiedział, że nie wolno mu ujawniać, kim jest jego klient. Co nie jest dziwne w tej branży. Zapewniał jednak, że nie ma wątpliwości co do proveniencji. Żadnych niespo-

dzianek.

– A ty?

– Nie rozumiem?

– Słyszałem, że jesteś wybitnym znawcą sztuki – powiedział Bäckström. – Pomyślałem, że może rozpoznałeś te przedmioty i domyśliłeś się, do kogo należą.

– Nie – odpowiedział von Comer. – Oczywiście przeprowadziłem rutynową kwerendę w bazach dzieł sztuki i dawnych katalogach aukcyjnych, ale niczego nie dała. Nie twierdzą, że prosił mnie o sprzedaż jakichś śmieci, ale nie było to też nic wyjątkowego, że tak powiem. Jeśli chodzi o proveniencję sztuki rosyjskiej z dwudziestego wieku, sprawa jest dosyć skomplikowana. Nie zapominajmy, że w ciągu ubiegłego wieku Rosja przeszła rewolucję i dwie wojny światowe, w czasie których zginęły miliony ludzi, a ich majątek przepadł.

– Skoro tak, nie mam więcej pytań – powiedział Bäckström i spojrzał pytająco na Lisę Lamm i Johana Eka, którzy odpowiedzieli mu, jednocześnie przytakując.

– Może chciałbyś o coś zapytać? – powiedział i skinął do von Comera. – Coś jeszcze dodać, coś, o czym zapomniałeś albo nad czym się zastanawiasz?

– Nie – odpowiedział von Comer. – Zastanawiam się tylko, jak długo mam tu jeszcze siedzieć. Mam sporo roboty w domu.

– Zapewniam, że nie spędzisz tu ani minuty dłużej, niż potrzeba, a jeśli nie ma więcej pytań, uznaję przesłuchanie za zamknięte. Jest godzina jedenasta pięćdziesiąt – dodał Bäckström i wyłączył dyktafon.

105

Po wstępnym przesłuchaniu Lisa Lamm udała się z Bäckströmem do jego pokoju, ponieważ chciała z nim omówić kilka spraw w cztery oczy.

– Okej – powiedział Bäckström, gdy usiadł. – Co mogę zrobić dla pani prokurator? – Zanim umrę z głodu, pomyślał.

– Na początek chciałabym, byś przyjął ode mnie wyrazy

uznania – powiedziała Lisa Lamm. – Nie wiedziałam, że potrafisz być taki empatyczny.

– Chodzi tylko o oszczędność czasu – Bäckström wzruszył ramionami. – Jeśli ktoś taki jak von Comer się zatnie, mijają lata, zanim udaje się go wsadzić do pudła.

– Dzięki tobie przyznał się, że Eriksson go pobił – powiedziała Lisa Lamm.

– No tak, ale za to raczej nie trafia się do aresztu. Na razie jest tylko poszkodowanym.

– Jest to jednak potencjalny motyw, zawsze jakiś punkt wyjścia. Moim zdaniem jesteś zbyt skromny, Bäckström. Poza tym potwierdził, że spotkał się z Åkarem i Garcią Gomezem zaledwie dwa dni przed zabójstwem, i to u siebie w domu. Do tej pory nie mieliśmy o tym pojęcia.

– Lepiej tak, niż gdyby nam to powiedział któryś z jego sąsiadów, a my musielibyśmy zapisać na jego koncie kłamstwo – powiedział Bäckström. – Prawdopodobieństwo, że któryś z nich zauważył Åkarego i Garcję Gomezę, jest mimo wszystko całkiem spore, oględnie mówiąc. Moim zdaniem powiedział jedną rzecz, która ma dla mnie jakąś wartość. I która jednocześnie mnie niepokoi.

– Co takiego? – zapytała Lisa Lamm.

– Zaprzecza, jakoby był u Erikssona. Twierdzi, że nigdy nie przekroczył progu jego domu. Założmy, że zrobił w gacie na kanapie Erikssona, kiedy ten próbował odstrzelić mu głowę, i że wtedy któryś z jego pomocników zabił Erikssona.

– Czy byłby wówczas tak nierozważny i zaprzeczał, jakoby kiedykolwiek był u niego w domu? – dokończyła Lamm. – Rozumiem, co masz na myśli.

– Na jego miejscu powiedziałbym pewnie, że... owszem... byłem tam dwa dni wcześniej... kiedy świętowaliśmy to, że znów jesteśmy przyjaciółmi... a że wypiliśmy to i owo... niechący pozwoliłem sobie na puszczenie bąka, który okazał się dużo bardziej mokry, niż się spodziewałem. – Nawet najlepszym się zdarza, pomyślał Bäckström.

– Zgadzam się – powiedziała Lisa Lamm. – Jeśli okaże się, że to jego DNA jest na tej kanapie, czego dowiemy się najpóźniej

jutro, obiecuję, że zatrzymam go jako podejrzanego o zabójstwo Erikssona.

– A co, jeśli nie?

– Próba poważnego oszustwa, względnie dokonanie poważnego oszustwa. Nie wykręci się z tego.

– Też mi się tak zdaje – Bäckström wzruszył ramionami.

– Problem w tym, że jestem śledczym od zabójstw i że to dla mnie marne pocieszenie. Dlatego też chciałem cię prosić o dwie rzeczy.

– Tak?

– Po pierwsze chciałbym, żeby został tu do czasu, kiedy będziemy mieć odpowiedź z CKL w kwestii kupy na kanapie Erikssona.

– Oczywiście – powiedziała Lisa Lamm. – Nie mam nic przeciwko temu. A ta druga?

– Chciałbym, żebyście ty i Ek przejęli przesłuchanie po lunchu. Może moglibyście jeszcze wziąć Nadję, jeśli ma coś ciekawego. Przesłuchajcie go pod kątem oszustwa, a jeśli jesteś ciekawa, dlaczego nie mam zamiaru trzymać nad jego głową miecza, to po prostu mam teraz ważniejsze sprawy na głowie.

– Myślisz, że zaprzeczy?

– Na mur-beton. Najpierw będzie wszystkiemu zaprzeczać. Potem zacznie się stawiać. Kompletnie się zatnie i nie będzie chciał z wami rozmawiać. Nie odezwie się ani słowem, dopóki nie zjawi się tu jego adwokat. Potem będzie już z góry. Będziesz musiała się z nim ciągać aż do Sądu Najwyższego. A jeśli oni go oszczędzą, zawieziesz wszystko przed Trybunał Europejski.

– A gdybyś to ty poprowadził przesłuchanie?

– Byłoby dokładnie tak samo. Tacy jak on już tak mają.

Lisa Lamm i Johan Ek spotkali się z Nadją Högberg, a to, co od niej usłyszeli, wprawiło ich w doskonały humor przed przesłuchaniem von Comera, które mieli dalej prowadzić po lunchu. Zgodnie z informacjami, jakie otrzymała z banku, von

Comer w ciągu dziesięciu dni, od poniedziałku dwudziestego maja do czwartku trzydziestego maja, dokonał trzech wypłat na łączną sumę miliona koron. W rozmowie z przedstawicielem banku potwierdził nawet, że potrzebuje tych pieniędzy, by dokończyć transakcję obejmującą dzieła sztuki z nabywcą, który chciał zapłaci gotówką w szwedzkiej walucie.

Przeszukanie jego komputera dowiodło ponad wszelką wątpliwość, że ktoś, kto miał dostęp do jego komputera, edytował oryginalną fakturę wystawioną w funtach i za pomocą szeregu różnych operacji zamienił ją na fakturę opiewającą na taką samą sumę, lecz wyrażoną w szwedzkich koronach. Różnica wartości wyniosła dziewięćset sześćdziesiąt dwa tysiące koron, a więc tyle, ile znaleziono w biurku Erikssona. Owa zmieniona faktura została następnie przesłana mailem do adwokata Erikssona z tego samego komputera, a czternaście dni później z konta firmowego von Comera na konto Erikssona wyszedł przelew w wysokości około stu tysięcy szwedzkich koron.

Oryginalny rachunek opiewający na sumę blisko miliona koron, przesłany pocztą z Sotheby's w Londynie, znaleziono w jednej z teczek w gabinecie von Comera. Przelew z Sotheby's dotarł na jego konto firmowe w SEB. Dzień po tym, jak dostał pieniądze z Wielkiej Brytanii, suma widoczna na rachunku wyrażonym w szwedzkich koronach została przelana na konto Erikssona. Różnica blisko miliona szwedzkich koron została na koncie von Comera. Kwota ta była wyraźnie widoczna na koncie von Comera i stanowiła jego pełną zawartość przez cały miesiąc.

– Nie zapominajmy, że z zapisków Erikssona w jego komputerze wynika, że to on nakrył von Comera. Na trop naprowadził go prawdopodobnie anonimowy informator Bäckströma – powiedziała Nadja Högborg.

Gotowa do zadawania pytań i pełna optymizmu prokurator Lisa Lamm postanowiła, że rozpocznie przesłuchanie von Comera od zagrania w otwarte karty. Odsłoniła je przed podejrzanym wszystkie za jednym zamachem. Zareagował dokładnie tak, jak przewidział Bäckström.

Na początek wyjaśnił, że to zwykle nieporozumienie i że to on pierwszy się zorientował i czym prędzej naprawił swój błąd. Przykre nieporozumienie, to wszystko. Lisa Lamm nie potrafiła się z tym zgodzić. Według niej mieli tu do czynienia z dobrze przygotowaną próbą poważnego oszustwa. Sytuacja rozwinęła się zgodnie z przewidywaniami Bäckströma.

– Przecież to jakiś absurd – wybuchnął von Comer. – Ta rozmowa nie ma sensu, nie powiem nic więcej, dopóki nie porozumiem się z moim adwokatem.

– Bardzo słusznie – zgodziła się Lisa Lamm. – Właśnie podjęłam decyzję o aresztowaniu pana w związku z uzasadnionymi podejrzeniami o popełnienie przestępstwa, co nastąpi już dziś po południu. Zważywszy na pańską postawę, obawiam się, że wyjaśnienie sprawy zajmie nieco czasu. – Witaj na ziemi, mądrało, pomyślała prokurator Lisa Lamm.

107

Gdy Bäckström wyszedł z komendy, reszta jego dnia mogła być już tylko lepsza. W czasie gdy von Comer siedział w swojej celi w areszcie w Solnie i delektował się smakiem gotowanej parówki z chrzanem i obieranych maszynowo ziemniaków, Bäckström zamówił lekki lunch na werandzie Operakällaren, placki ziemniaczane zikrą z sielawy, grillowane kotlety jagnięce, parfait z malin i liczne napoje, których nie mogło zabraknąć w tym zestawieniu. Na koniec wypił lampkę koniaku na dobre trawienie i udał się taksówką do domu na Kungsholmen, żeby uciąć sobie poobiednią drzemkę.

Po drodze kazał się kierowcy zatrzymać i kupić egzemplarz największej popołudniówki w kraju. Patrząc na nagłówki, z których można by wnosić, że zbliża się wojna, Bäckström zrozumiał, że ten dzień niewątpliwie przejdzie do historii szwedzkiej prasy. Szwedzkim dziennikarzom śledczym udało się połączyć osobę Jego Wysokości z zabójstwem znanego adwokata. Ewidentne powiązania osoby króla ze światem zorganizowanej przestępczości i wielomilionowymi oszustwami na rynku sztuki były w tym kontekście w zasadzie jedynie

dodatkiem.

Po wejściu do mieszkania wyłączył telefon, włożył szlafrok, przyrządził chłodnego drinka, idealnego o tej porze roku, położył się na kanapie i spędził całą godzinę na lekturze gazety. Zaczął od komentarza wprowadzającego autorstwa komentatora politycznego, który grzmiał na szwedzką bananową monarchię i na zapaść władzy królewskiej, a skończył na ostatniej rubryce, w której redakcyjny dziennikarz zajmujący się sprawami dworu opowiadał o bliskiej przyjaźni króla z baronem Hansem Ulrikim von Comerem i wynikających z tego problemach konstytucyjnych.

W środku wydania głos zabrali również redaktor naczelny gazety i wydawca. Wyłącznym powodem, dla którego zdecydowano się ujawnić nazwisko naśladowcy barona Anckarströma, było oczywiście to, że ciążyło na nim podejrzenie o popełnienie najgorszego przestępstwa uznawane przez szwedzkie prawo karne: zabójstwo jednego z najbardziej znanych adwokatów w kraju.

Pomiędzy te najważniejsze artykuły udało się jeszcze wcisnąć kilkanaście stron reportażu na ten sam temat. Bogato ilustrowanych zdjęciami wszystkich osób występujących w kontekście tego wydarzenia. Jego Królewska Mość w mundurze admirała, we fraku z błękitną wstęgą Orderu Serafinów, w białym smokingu i z kieliszkiem szampana w dłoni, ze sztucerem na łosie i w zielonym płaszczu myśliwskim, podobnie wyposażony baron von Comer, a także adwokat Eriksson w prążkowanym garniturze, jak również Åkare i Garcia Gomez w motocyklowych kaskach i skórzanych kamizelkach z logo Hells Angels. Czyli wszyscy biorący udział w tym przedstawieniu, przy czym jeden leżał trupem na blacie lekarza sądowego w Solnie już od ponad tygodnia, jeden siedział w areszcie, na dwóch wydano nakaz aresztowania, a piąty polecał z wizytą państwową do Turcji.

W siedzibie gazety zespół redakcyjny strzelił przez ostatnią dobę hat-tricka, natomiast biuro prasowe dworu nie poradziło sobie zbyt dobrze. Między innymi zaprzeczyło bliższym kontaktom z czarnym charakterem tej historii. A nawet

– wyparło się go. Baron Hans Ulrik von Comer był co najwyżej dalekim znajomym króla i jego rodziny, a znajomość ta wynikała tylko i wyłącznie z tego, że dostał kilka drobniejszych zleceń dotyczących opieki nad zbiorami sztuki. Nic nieznaczące zlecenia, które właśnie dobiegły końca. Z wypowiedzi sekretarza prasowego można było wyciągnąć wniosek, że do zadań von Comera należało co najwyżej wycieranie kurzu z mebli i trzepanie dywaników.

W odpowiedzi na to stanowisko redakcja gazety rozłożyła istny dywan bomb ze zdjęć króla w towarzystwie von Comera w różnych okolicznościach. W mundurze i fraku, smokingu i ciemnym garniturze, czapce skautowskiej, płaszczu myśliwskim, spodniach do golfa, butach do konnej jazdy i w dziewięciu na dziesięć przypadków z kieliszkiem w dłoni. Jak również fotografie z Riwiery przedstawiające obu panów ubranych jedynie w kąpielówki, z wesołymi minami i plażowymi drinkami w dłoniach.

Nieźle się zapowiada, pomyślał Bäckström i westchnął z zadowoleniem, po czym zalogował się do komputera, żeby obejrzeć zamieszczone na stronie gazety nagranie z „brutalnego zatrzymania bliskiego przyjaciela króla”, podczas którego doszło do „pobicia jednej z policjantek”.

Reporterowi gazety udało się uchwycić to, co najważniejsze. Na rozedrganym nagraniu zrobionym jednym ujęciem z ręki widać było, jak von Comer w szlafroku i jedwabnych czerwonych spodniach od piżamy próbuje zatrzaskać drzwi przed nosem Anniki Carlsson, która chwyta go za ramię, wpycha do środka, dostaje od niego prosto w twarz, podstawia mu nogę i powala go na ziemię, a potem siada na nim okrakiem, wygina mu ręce do tyłu i zakłada kajdanki. Towarzyszyły temu jęki i krzyki, inwektywy i przekleństwa, odgłos uderzenia w twarz, a nawet szczęk zakładanych kajdanek. I żeby nie było wątpliwości, nagranie na wszelki wypadek uzupełniono o informacje tekstowe w dolnym pasku ekranu dla niedosłyszących widzów.

Fantastyczne, westchnął Bäckström i spojrział z wdzięcznością w kierunku wiszącego nad nim żyrandola. Oddelegowanie

Anniki do przeprowadzenia zatrzymania było genialnym posunięciem, pomyślał. Dla porządku powinien dostać przynajmniej kilka marnych procent prowizji za film, który z pewnością już teraz nabijał gazecie miliony.

Po kilku godzinach regenerującego snu zadzwonił do Lisy Lamm, żeby zapytać, jak rozwinęła się sytuacja. Von Comer zachował się dokładnie tak, jak to przewidział Bäckström. Ona sama wypełniała jedynie obowiązki prokuratora. Nakazała jego aresztowanie w związku z uzasadnionymi podejrzeniami próby popełnienia poważnego oszustwa. Rozpoczęła przeciwko niemu postępowanie przygotowawcze w związku z użyciem przez niego przemocy wobec funkcjonariusza, natomiast w zakresie podejrzenia zabójstwa postanowiła poczekać, aż dostaną odpowiedź z CLK. Niezależnie od tego, czy będzie pozytywna, czy negatywna, planowała zatrzymać go w areszcie przez weekend. Ambitna kobieta. Pewnie próbuje wbić się do kolejki, bo słyszała już o supersalami, pomyślał.

Jeszcze tylko jedna służbowa rozmowa i będzie mógł na spokojnie zaplanować wieczór. Wyjął prywatną komórkę i wybrał numer swojego osobistego reportera pracującego dla największej z dwóch popołudniówek w kraju, żeby zdać mu raport z rozwoju wydarzeń.

– Fantastycznie, Bäckström – ucieszył się reporter. – Mówisz, że zostanie aresztowany i spędzi w areszcie cały weekend? A co z podejrzeniem zabójstwa?

– Sprawa jest w toku – stwierdził Bäckström. – Spodziewam się, że jutro dostaniemy odpowiedź z CLK. Naturalnie będę cię informować na bieżąco. A wy co jutro planujecie?

Działo się bardzo dużo. Reakcja czytelników przeszła wszelkie oczekiwania, zalała ich prawdziwa fala informacji, rozmiarem przypominająca tsunami. Musieli teraz to wszystko uporządkować. Zwykle przy opracowywaniu newsów trzeba było zrobić z pióra kureę, teraz jednak problem polegał na czym innym.

– Nie rozumiem? – zdziwił się Bäckström. O czym ten skurczybyk gada? – pomyślał.

– Nie możemy przecież zrobić piórka z pięknej i tłustej kury

tylko dlatego, że nie mamy dla niej miejsca w gazecie – wyjaśnił reporter.

– Okej – powiedział Bäckström. – Czy wydarzyło się coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

Nic specjalnego, stwierdził reporter. W dziale informacji postanowili podrażnić temat zabójstwa adwokata Erikssona i licznych oszustw na rynku dzieł sztuki, które z pewnością musiały stanowić motyw zbrodni. Oczywiście przyglądano się również związkom łączącym bliskich przyjaciół króla z głównymi przedstawicielami świata przestępczości zorganizowanej.

Dział polityczny zmobilizował około pięćdziesięciu parlamentarzystek ze wszystkich partii politycznych, które następnego dnia miały wyrazić poparcie dla koleżanki Bäckströma, komisarz kryminalnej Anniki Carlsson. Minister do spraw równouprawnienia udzieliła długiego wywiadu, w którym chwaliła policjantkę Carlsson. Nareszcie jakaś kobieta powiedziała stop przemocy mężczyźn wobec kobiet i miała na tyle odwagi, żeby się odwinąć. Po wywiadzie minister od razu wystąpiła o członkostwo w stowarzyszeniu republikanów. Dopiero teraz dotarło do niej, jak głęboka jest nienawiść do kobiet w otoczeniu króla.

– Pewnie lesba – stwierdził Bäckström.

– A Dolly Parton śpi na plecach? – westchnął reporter. – W tej chwili próbujemy zaaranżować wywiad z królową i dowiedzieć się czegoś o poglądach króla na temat kobiet. Jutro mamy nadzieję dostać jakąś notę od dworskiego sekretarza prasowego. Jeśli dobrze pójdzie, może puścimy to w weekend. Poza tym to, co zwykle. Zbieranie nazwisk, danych i tak dalej – podsumował reporter. – Dział sportowy planuje przygotować reportaż, w którym bokserki, przestępczynie i mistrzynie sztuk walki radzą kobietom, jak powalić mężczyznę.

– Ciekawe – powiedział Bäckström. Ciekawe, jak się obronić przed kimś takim jak Annika Carlsson, pomyślał.

– A, jeszcze jedno – powiedział reporter, jakby rzeczywiście coś mu się przypomniało.

– Słucham – powiedział Bäckström.

– Dzwoniła jakaś kobieta, która twierdzi, że widziała w gazecie zdjęcie jednego ze swoich obrazów. Chodzi o obraz z tym księdzem, którego zdjęcie dostałem od ciebie. Tym tłściochem, który wyciąga rękę w stronę tacy z datkami. Twierdzi, że obraz należy do niej.

– Przedstawiła się? – Pewnie to ten, który kupił GeGurra, pomyślał Bäckström.

– Naturalnie zapytałem, ale powiedziała, że ani jej się śni przedstawiać komuś takiemu jak ja. Jeśli chcesz wiedzieć, była wyjątkowo arogancka.

– Co na to powiedziałaś?

– Zaproponowałem, żeby zadzwoniła do ciebie. No wiesz, skoro tak trudno jej rozmawiać z kimś takim jak ja. Może mogłaby się podzielić jakimiś informacjami.

– I co ona na to?

– Powiedziała, że to zrobi, ale że chwilowo nie ma czasu. Wychodzi za mąż i planuje podróż poślubną. Zadzwoni do ciebie po powrocie.

– Zadzwoni do mnie?

– Tak, powiedziała, że cię zna i że zadzwoni do ciebie po powrocie z podróży poślubnej.

Zna mnie? Następna, pomyślał Bäckström. To się nigdy nie skończy.

108

Annika Carlsson musiała wyłączyć telefon. Dziennikarze dzwoniли przez cały dzień bez przerwy. W większości były to dziennikarki albo „siostry”, jak kilka z nich wołało o sobie mówić, a wszystkie prosiły o jedno i to samo. Chciały, żeby opowiedziała im o tym, co dokładnie poczuła w chwili, gdy powaliła na ziemię najlepszego kumpla króla i zakuła go w kajdanki. Dopiero wieczorem w samochodzie, w drodze do swojego niewielkiego mieszkania w Bergshamrze, zorientowała się, że ma pięć nagranych wiadomości od wystraszonej Isabelli Norén, która prosiła o telefon.

– Przepraszam, że dzwonię dopiero teraz, ale miałam

wyłączony telefon – powiedziała Annika. – Czy mogę ci w czymś pomóc? – Dziewczyna jest wykończona, pomyślała. Coś się stało.

– Grożono mi – przyznała Isabella. – Byli tu jacyś naprawdę niemili goście. Pojawili się, gdy wróciłam z pracy. Musisz mi pomóc.

– Okej – powiedziała Annika. – Zaraz u ciebie będę. Nie rozłączaj się... weź głęboki oddech... będziemy rozmawiać przez całą drogę... podaj mi kod do klatki... będę za dziesięć minut...

Annika Carlsson dotrzymała obietnicy. Po dziesięciu minutach weszła do przedpokoju mieszkania Isabelli na Östermalmie. Kobieta miała zaczerwienione oczy, była wyraźnie roztrzęsiona. Pięć minut później usiadły na kanapie w salonie.

– Opowiadaj – powiedziała Annika Carlsson. Pochyliła się w jej stronę, kiwnęła przyjaźnie głową i uśmiechnęła po siostrzanemu.

Isabella wyszła z kancelarii tuż przed siódmą wieczorem. Poszła do domu spacerem, po drodze kupiła gazety i coś do jedzenia – do mieszkania weszła jakieś pół godziny po wyjściu z pracy.

Gdy stanęła w przedpokoju i odłożyła jedną siatkę, drugą ciągle trzymając w ręku, ktoś zadzwonił do drzwi, a ponieważ pomyślała, że to sąsiadka, otworzyła bez zastanowienia.

– To bardzo miła starsza pani, czasem mam wrażenie, że czeka, aż wrócę do domu.

– Rozumiem. – Annika skinęła głową na znak, żeby mówiła dalej.

– To był Omar Parisafar. Na pewno wiesz, kto to jest.

– Tak. Wiem dobrze.

– Główny klient Thomasa – odpowiedziała Isabella z wymuszonym uśmiechem. – On i jego kumple. Nie sam, było z nim jeszcze dwóch, w kancelarii mówimy na nich Ali i Ali. Jak chcesz, mogę sprawdzić ich nazwiska. Dwóch naprawdę ponurych typów, którzy nic nie mówią, tylko się na ciebie gapią, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Nigdy nic nie mówią, nawet gdy się z nimi witasz.

– Czego chciał Omar?

– Porozmawiać. Nie był agresywny ani nic takiego, ale też nie dał mi większego wyboru. No więc się zgodziłam, ale pod warunkiem, że to nie zajmie dużo czasu, bo za pół godziny jestem umówiona z moim chłopakiem na kolację.

– Zmyśliłaś to?

– Jasne. I chłopaka, i kolację. No więc usiedliśmy tu, w pokoju, żeby porozmawiać, a tych dwóch ponurych typów zostało w korytarzu. Chciał ze mną pogadać o Thomasie.

– O Thomasie? Dlaczego właśnie z tobą?

– Powiedział to już na samym wstępie. Chciał ze mną rozmawiać, bo byłam jego dziewczyną.

– Dlaczego tak twierdził?

– Kilka miesięcy temu byłam z Thomasem w klubie. Spędziliśmy miły wieczór. Siedzieliśmy w rogu sali i piliśmy wino, gdy nagle zjawił się Omar Parisafar. Przez chwilę ze sobą rozmawiali, jakieś pięć minut, na temat jakiegoś kumpla, który wpadł w kłopoty i potrzebował pomocy, a potem Omar sobie poszedł. Pewnie się domyślił, dlaczego byliśmy tam razem.

– Skąd miał twój adres?

– Na pewno nie ode mnie. No ale to pewnie nie takie trudne dowiedzieć się, gdzie mieszkam.

– Czego chciał?

Omar Parisafar chciał porozmawiać o pieniądzach. O pieniądzach, które Thomas Eriksson był mu winien. Dużych pieniądzach, które miał zamiar odzyskać z powrotem.

– Ponieważ byłam dziewczyną Thomasa, mam mu w tym pomóc. Powiedziałam mu, jak jest naprawdę, że nie mam pojęcia o sprawach finansowych, o tym, ile Thomas ma pieniędzy i gdzie je trzyma. Jeśli w ogóle jakieś ma.

– Jak na to zareagował?

– Powiedział, że nawet jeśli to prawda, to zawsze przecież mogę się dowiedzieć. Że razem z resztą pracowników kancelarii jesteśmy odpowiedzialni za ten dług na równi z Thomasem. Oczywiście nic na to nie odpowiedziałam.

– No jasne.

– Wczoraj był też w kancelarii i rozmawiał z Peterem. To on

zajmuje się sprawą spadku po Thomasie. Gadali co najmniej godzinę. Byli z nim Ali i Ali, i jeszcze jakiś koleś, którego wcześniej nie widziałam. Sprawiał wrażenie dużo sympatyczniejszego. Nawet się uśmiechnął, ale się nie przedstawił. Peter siedział z nimi co najmniej przez godzinę.

– Wiesz może, o czym rozmawiali?

– Nie – Isabella Norén pokręciła głową. – Na pewno jednak nie była to miła rozmowa, bo chyba jeszcze nigdy nie widziałam Petera tak roztrzęsionego. Wrócił bez słowa do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Czy Omar wspominał, o jaką sumę chodzi?

– Zapytałam go o to. Powiedział, że gdyby dostał dwadzieścia milionów, mógłby machnąć na to ręką.

– Okej. Jeśli nie masz nic przeciwko, spiszemy doniesienie. Groźby karalne.

– Jasne. Co prawda przed wyjściem powiedział, że ma nadzieję, że ta rozmowa zostanie między nami, ale mam to gdzieś. Nigdy w życiu tak się nie bałam.

– I słusznie – powiedziała Annika. – Chcę również, żebyś powiedziała o tym swojemu szefowi. Wyjaśnij mu, że jako twój pracodawca odpowiada za twoje bezpieczeństwo. Zresztą zaraz sama z nim porozmawiam. Małego Omara się nie bój. Postaram się, żeby zajął się czym innym niż nękaniami ciebie.

– Nie wątpię – Isabella nagle poweselała. – Przez pół dnia oglądaliśmy w pracy to nagranie, które krąży w sieci. Nie myślałaś kiedyś, żeby wziąć udział w tym programie w telewizji? No wiesz, w *Gladiatorach*?

– Nie – Annika pokręciła głową. – Nigdy.

– Dlaczego nie? Rozłożyłabyś ich wszystkich na łopatki.

– Właśnie dlatego – odpowiedziała Annika Carlsson. – Nie umiem się bić na niby.

Na początku było trzech braci Parisafarów. Najstarszy Samir, starszy od niego o pięć lat i Nasir, o pięć lat od niego młodszy. Najstarszy brat zginął z rąk policji. Policjanci to źli ludzie,

a ten, co zamordował jego brata, był najgorszy ze wszystkich. Był inspektorem i nazywał się Evert Bäckström. Zastrzelił Samira, śmiertelnie go postrzelił, a kiedy ten walczył w szpitalu o życie, jakiś inny policjant wypchnął go przez okno z jego pokoju. Samir zginął, a wszystkiemu winien był inspektor Evert Bäckström. To on wszystko zaplanował. To on sprawił, że stało się to, co się stało.

Młodszy brat Nasir zginął z rąk Hells Angels. Byli równie źli jak ci chrześcijańscy wojownicy spod znaku krzyża, którzy już tysiąc lat temu próbowali wybić w pień wszystkich prawowiernych, takich jak on. Młodszego brata zamordował Fredrik Åkare. Zamordował jego młodszego brata w taki sposób, że nawet modlitwy Omara nie przyniosą mu spokoju. Fredrik Åkare był najgorszy ze wszystkich, którzy przyczynili się do zabójstwa Nasira.

Byli przyjaciele i byli wrogowie, a w życiu prawego człowieka chodziło przede wszystkim o to, żeby umieć ich odróżnić. Być przyjacielem swoich przyjaciół i wrogiem swoich wrogów. A jeśli los chciał, żeby pozbył się jedynie dwóch swoich wrogów, sprawa była oczywista, a on sam gotów był zginąć, by zgładzić Bäckströma i Åkarego.

Byli też przyjaciele. Miał ich wielu, a za kilku z nich gotów był oddać życie. Jego wierni wojownicy, bracia, którzy wybrali to samo życie co on i chcieli je przeżyć razem z nim. Miał też spadek po starszym bracie Samirze, który miał za zadanie przekazywać dalej ku sławie brata i jego samego, i jak na razie mu się to udawało. Przyjaciele go szanowali, a wrogowie drżeli przed nim i jego ludźmi. Bractwo stworzone przez Samira, któremu teraz on przewodził, Bractwo Parisafarów.

Istnieli też ludzie, którzy nie byli jak on i jego żołnierze, ale którzy mimo wszystko zdecydowali się go wspomagać, oddając mu ogromne przysługi. Byli nieocenieni, ponieważ żył w Szwecji, a jedną ze szczególnie ważnych dla niego osób był adwokat Thomas Eriksson. Jego pomoc okazała się tak wartościowa, że stał się dla niego równie ważny jak rodzeni bracia. Nie ma potrzeby wspominać, jak dobrze był wynagradzany i że podobnie jak wszyscy jego pokroju domagał

się zapłaty w gotówce, a nie w niebie.

Teraz ktoś go zamordował i wszyscy, którzy mieli jakiegokolwiek rozeznanie, wiedzieli, że zrobił to Åkare i jego krzyżowcy, a wyznaczenie przez policję inspektora Bäckströma do odnalezienia i ukarania sprawców dowodziło tylko, że od początku byli ze sobą w zмовie.

Wszystko ma swój czas. Teraz nadszedł czas zemsty. Czas, żeby się zemścić, zanim jego wrogowie dojdą do wniosku, że on, Omar Parisafar, jest słaby niczym kobieta i nie zasłużył na to, żeby kontynuować dzieło Samira.

110

Przed dziesięcioma dniami zmieniło się jego życie. Wtedy to poszedł na policję, żeby opowiedzieć o mężczyźnie, którego podejrzewali o to, że zamordował znanego adwokata. Teraz to on uciekał z obawy o życie i gdyby nie jego kumpel ze szkoły, Omar Ben Kader, pewnie już by nie żył. Tak przynajmniej twierdził Omar.

Niecały tydzień temu wyszedł ze swojego mieszkania w Kiście, zostawił pracę, nawet telefon wyrzucił. Omar załatwił mu mieszkanie we Flemingsbergu na południe od Sztokholmu, gdzie był wśród swoich i mógł się czuć bezpiecznie. Omar dał mu też więcej pieniędzy, niż Ara kiedykolwiek widział w swoim życiu. Nie wiedział tylko, do czego miałyby mu się przydać, bo Omar poradził mu, żeby lepiej nie wychodził z mieszkania – ani na zakupy, ani do kawiarni, ani nawet na zwykły spacer.

Co prawda niczego mu nie brakowało. Mieszkanie, w którym mieszkał z Omarem, było trzy razy większe od jego własnego. Było w nim wszystko, o czym mógł tylko marzyć: telewizory plazmowe z setkami kanałów, sprzęt nagłaśniający, ogromne, miękkie skórzane kanapy, a nawet jacuzzi i sauna w większej z dwóch łazienek. Jedzenia i picia miał w bród. Omar potrafił załatwić wszystko. Wystarczyło, by poprosił – dziewczyny, alkohol, trawa, nawet Szwedki i mocniejszy towar, jeśli miałby takie życzenie. Tak naprawdę jednak chciał już tylko jak najszybciej stąd wyjechać.

Z początku planował wyjechać za granicę i poczekać, aż wszystko się uspokoi. Do Tajlandii, na kilka miesięcy, żeby w spokoju odpocząć i zastanowić się, co robi, gdy już wreszcie wróci do swojego dawnego życia. Teraz to było niemożliwe. Szukali go nie tylko zabójcy adwokata, lecz także policja. Omar twierdził, że znalazł się na listach poszukiwanych i gdyby tylko próbował wsiąść do samolotu lecącego poza granice kraju, zaraz wylądowałby w celi w komendzie w Solnie. Musiał czekać, aż Omar załatwi mu nowy paszport. Dobry paszport, szwedzki. Omar potrzebował jeszcze kilku dni, żeby wszystko dograć i żeby Ara mógł bezpiecznie wyjechać ze Szwecji. Wyrobienie dobrego szwedzkiego paszportu wymagało czasu, wyjaśnił Omar. Zresztą proszę bardzo, jeśli chce lecieć jak pierwszy lepszy czarnuch, Omar może go zawieźć na lotnisko nawet za godzinę.

Ara pokiwał głową. Omar miał sporo racji. Musiał się zadowolić tym, co dostał w zamian za swoje dawne życie. Przestronne i drogie mieszkanie zamiast klitki ze wstawionym łóżkiem, siedzenie beczynnie w domu zamiast pracy. Nowy telefon, który pewnie kosztował wiele tysięcy koron i na którym mógł robić wszystko to, co do tej pory robił na komputerze. Pod warunkiem, że nie będzie z niego dzwonić do znajomych na pogaduszki. Nigdy w życiu nie miał tylu pieniędzy. Z których i tak nie mógł zrobić żadnego użytku. Których nie musiał wydawać, bo Omar i tak za wszystko płacił.

Wiele rozmyślał o swoim starym kumplu Omarze. O jego uczynności, a także o tym, że zdawał się wiedzieć więcej o nim i jego życiu niż on sam. Nie wytrzymał i go o to zapytał. Na przykład skąd Omar wiedział, że skontaktował się z policją, żeby powiedzieć, co widział tamtej nocy, kiedy o mało co nie przejechał taksówką zabójcy.

Omar odpowiedział, że dowiedział się o tym od Kemala, zresztą nie musiał go nawet o to pytać, bo ten kłapał jadaczką na prawo i lewo. Ich dawny znajomy Kemal, który też jeździł taksówką i który zrobił zdjęcia napadu na konwój komórka, sprzedał je redakcji popołudniówki i dostał za to furę kasy. Za każdym razem, kiedy o tym opowiadał, wymieniał coraz

większą sumę, stwierdził Omar i uśmiechnął się pod nosem. Przecież Ara też do niego zadzwonił z prośbą o poradę, gdy chciał sprzedać informację o tym, czego sam był świadkiem.

Omar miał na wszystko odpowiedź. Nawet lepszą od niego samego, choć przecież to o niego chodziło. Czasem miał wrażenie, że znów chodzą razem do szkoły w Smalandii. Omar zawsze wiedział najlepiej, Omar zawsze doprowadzał sprawy do końca. Omar, który nawet nie potrafił się wściec jak każdy normalny człowiek. W końcu więc zdobył się na odwagę i zapytał go o to, co go najbardziej zastanawiało. Jak to się stało, że policja miała jego zdjęcia? Dlaczego zdjęcie Omara znajdowało się w tej samej bazie co tego niebezpiecznego osobnika, którego przez przypadek zobaczył.

Omar i na to miał gotową odpowiedź. I to dobrą odpowiedź. Prawdę mówiąc, Omar nie trafił tam z własnej winy, ale przez ojca, a że wszyscy, którzy chodzili do szkoły w Smalandii, gadali więcej o ojcu Omara niż o wszystkich innych ojcach razem wziętych, Ara uwierzył również i w to. Choć nikt nigdy nie spotkał ojca Omara, tylko czytali o nim w gazetach i widzieli go w telewizji, najczęściej w *Poszukiwanych*, programie, który oglądali wszyscy równi goście z ich szkoły. Ojciec Omara, Abdul Ben Kader, człowiek, który – jak głosiła plotka – stał za wszystkimi najpoważniejszymi przestępstwami w kraju w czasach, gdy Omar i Ara chodzili razem do szkoły.

– Możesz sobie wyobrazić, co gliny zaczęły sobie myśleć, kiedy dotarło do nich, że ja, Omar Ben Kader, jestem synem Abdula Ben Kadera. No wiesz, zwykły student politechniki, który twierdzi, że chce zostać inżynierem chemii. Myślisz, że któryś w to uwierzył? Nigdy byś nie zgadł, ile mi dawali za to, żeby donosił na własnego ojca.

– I co z tym zrobiłeś? – zapytał Ara. Ja sam dostałem dwie pięćsetki za jedno życie, moje życie, pomyślał.

– Próbowałem tłumaczyć im, jak jest – powiedział Omar i wzruszył ramionami. – Że sam nie wiem, ile dzieciaków ma mój ojciec. Że żon miał więcej niż sam Prorok. Że gliny na pewno rozmawiały z nim częściej niż ja, a jeśli mi nie wierzą, mogą o tym pogadać z moją matką. Bo z ojcem przecież nie

mogli. Piętnaście lat temu zwiął do Maroka, gdzie dorobił się podobno fortuny i cieszy się szacunkiem, a gdyby szwedzcy gliniarze zdecydowali się tam pojechać i z nim porozmawiać, tamtejszy szeryf wsadziłby ich do więzienia, kiedy tylko ich stopy dotknęłyby marokańskiej ziemi.

– Ale ciebie nigdy nie przyskrzynili? – zapytał Ara.

– Nigdy – zapewnił Omar, unosząc w górę ręce. – Nie dostałem nawet mandatu za szybką jazdę. Jeśli mi nie wierzysz, możesz sprawdzić moją kartotekę. Jest czysta. Omar Ben Kader, obywatel szwedzki, inżynier chemii, niekarany. Urodzony i wychowany w Gnosjö w Smalandii, z dyplomem politechniki w Sztokholmie. Wbrew temu, co twierdzą, nigdy nawet nie miałem kontaktu z przestępczym światkiem. Jadłem chleb z niejednego pieca, ale kiedy go jadłem, był jeszcze dobry.

– Czyli tak jak ja – powiedział Ara, który zanim zaczął jeździć w korporacji, na życzenie pracodawcy poprosił o taki sam wyciąg z kartoteki. Niekarany, pomyślał Ara. Z tej prostej przyczyny, że nigdy nie popełnił żadnego wykroczenia, może z wyjątkiem przekroczenia prędkości przy tej czy innej okazji.

– Tacy właśnie jesteśmy – stwierdził Omar i wzruszył ramionami. – Gliny nie chcą nas słuchać, nic z tym nie zrobimy, ich to nie obchodzi.

– A wszystkie twoje kontakty, cała ta kasa? Wystarczy, że pstrykniesz palcami, a już zjawiają się jacyś kolesie gotowi zrobić dla ciebie wszystko. Jak to możliwe? – drażył Ara.

– To dlatego, że jestem synem Abdula Ben Kadera – powiedział Omar. – Nie z powodu tego, co robię, ale z powodu tego, kim jestem. Nie masz pojęcia, ilu ludzi jest mi gotowych pomóc w nadziei, że załatwię im spotkanie z moim ojcem.

– Rozumiem – Ara skinął głową. Nie za to, kim jesteś, ale za to, kim myślą, że jesteś, pomyślał.

Następnego dnia obudził go Omar. Wszedł do pokoju i położył dłoń na jego ramieniu. Ostrożnie, żeby go nie wystraszyć, spojrzął na niego z tym samym co zawsze przyjaznym uśmiechem, jakby chciał go zapewnić, że nie ma się czego obawiać.

– Ruszyło się – powiedział Omar i skinął głową. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, możesz wyjechać już jutro rano.

– Jutro rano? – Nareszcie, pomyślał Ara.

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – powtórzył Omar.

– Najpierw jednak musimy się przenieść. Mam miejscówkę pod Nyköping, dziesięć kilometrów od Skavsty. Polecisz ze Skavsty. To dużo bezpieczniejsze lotnisko od Arlandy. Więcej braci i siostr pilnuje tam granicy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli – powiedział Omar i uśmiechnął się szeroko.

– Rozumiem doskonale – powiedział Ara.

– Pierwszy samolot do Londynu odlatuje o szóstej rano. Co prawda Ryanair, ale musisz to jakoś wytrzymać, potem będzie już lepiej. Okej?

– Okej – odpowiedział Ara.

– Masz zarezerwowany lot z Londynu bezpośrednio do Bangkoku jutro po lunchu. Thai Air, pierwsza klasa. Niedługo skończy się twoje cierpienie, przyjacielu – dodał z uśmiechem.

111

To był długi wieczór dla komisarz kryminalnej Anniki Carlsson. Zaraz po wyjściu od Isabelli Norén pojechała z powrotem do pracy, żeby się przygotować przed jutrzejszym dniem. Najpierw zadzwoniła do Lisy Lamm, żeby opowiedzieć o groźbach Omara Parisafara pod adresem Isabelli i o jego wizycie z jego żoną u adwokata Danielssona poprzedniego dnia. Rozmowa zajęła zaledwie kwadrans, zresztą od początku były wyjątkowo zgodne.

Powinni raz jeszcze przesłuchać Norén i Danielssona, najlepiej jutro rano, jeszcze przed naradą zespołu dochodzeniowego. Następnie przygotować treść zgłoszenia dotyczącego gróźb karalnych wobec Norén i spróbować za jednym zamachem załatwić sprawę jej szefa, adwokata Danielssona. Zgarnąć Omara i jego ludzi najszybciej, jak to tylko możliwe. Zidentyfikować ich na podstawie zdjęć, przedstawić zarzuty, przesłuchać i – najlepiej – wsadzić ich do

aresztu.

Gdy Annika Carlsson zbierała zdjęcia Omara Parisafara i około trzydziestu znanych członków „stowarzyszenia na rzecz muzułmanów w Szwecji”, jak sam określił on Bractwo Parisafarów – The Brotherhood of the Parisafars – w głośnym wywiadzie dla pisma „Oszust”, Lisa Lamm zadzwoniła do adwokata Petera Danielssona na komórkę.

Koniec cackania się, ty mała gnido, pomyślała Lisa Lamm, i być może dało się to wyczytać z jej głosu, ponieważ adwokat już po dziesięciu minutach rozmowy obiecał, że stawi się na komendzie w Solnie o ósmej rano na przesłuchanie w sprawie gróźb Omara Parisafara wobec jednej ze swoich współpracowniczek, Isabelli Norén.

Przesłuchania Norén i Danielssona rozpoczęły się w środę o godzinie ósmej rano i to, które prowadziła Annika Carlsson, poszło jak z płatka. Na początek Norén wskazała czterech mężczyzn, którzy odwiedzili kancelarię w poniedziałek: Omara Parisafara, Alego Parisafara, Alego Issę i Omara Ben Kadera. Trzech z nich zjawilo się u niej w domu następnego dnia – Omar Parisafar, Ali Parisafar i Ali Issa. Tym razem nie było z nimi Omara Ben Kadera, tego była pewna.

– Prawie mi go brakowało – powiedziała Isabella i pokręciła głową. – On jeden wydawał się normalny, kiedy przyszli do kancelarii. Pomyślałam nawet, że jest miły.

– Tak, jest z tego znany – powiedziała Annika Carlsson. – Mówi się, że Omar jest zawsze uprzejmy i miły.

– Co on takiego zrobił? – zapytała Isabella. – Jak to możliwe, że zadaje się z takimi typami?

– Dobra – powiedziała Annika. – Jeśli obiecasz, że to, co powiem, zostanie między nami, to powiem ci, że nigdy nie był karany. Tak przynajmniej wynika z naszych kartotek. Natomiast moi koledzy, którzy zajmują się tylko takimi kolesiami jak on, nazywają go najbliższym człowiekiem Omara, ale nawet oni nie są w tej kwestii zgodni.

– To znaczy?

– Część kolegów uważa, że Omar już teraz o wszystkim decyduje i tylko jego szef Omar jeszcze się w tym nie połapał.

Przesłuchanie Isabelli Norén skończyło się już po godzinie. Najpierw zdjęcia i wskazanie właściwych osób, potem spisanie zgłoszenia ze wskazaniem Omara, Alego Parisafara i Alego Issy, na koniec ogólnikowa i przyjazna rozmowa, zwyczajowo kończąca większość tych przesłuchań, które poszły jak z płatka. Na koniec Isabella poprosiła jeszcze Annikę o radę.

– Zastanawiam się, czy nie złożyć wymówienia – powiedziała Isabella.

– Ja bym tak zrobiła – stwierdziła Annika Carlsson.

Przesłuchanie adwokata Danielssona nie poszło tak sprawnie jak to, które komisarze kryminalni Bladh i Alm przeprowadzili w jego gabinecie dwa dni wcześniej i które teraz planowali uzupełnić w obecności prokurator Lisy Lamm, ponieważ pojawiły się nowe okoliczności mające wpływ na przebieg śledztwa.

– Rozumiem, że pani prokurator poinformowała już pana o groźbach pod adresem jednej z pańskich pracownic, Isabelli Norén – zaczął Bladh.

– Tak, to straszne – przytaknął adwokat. – Rozmawiałem z nią zaraz potem i mogę państwu zapewnić, że firma przedsięwzięła już wszystkie dostępne środki ostrożności.

– To bardzo dobrze – powiedział Bladh i rozłożył przed Danielssonem trzy zdjęcia. – Wskazała tych trzech – powiedział Bladh. – Omar Parisafar, Ali Issa i krewny Omara Ali Parisafar. Nie miała najmniejszych wątpliwości, ponieważ, jak mówi, widziała ich już kilkakrotnie w kancelarii...

– Tak, gdy tylko będę miał okazję, porozmawiam z pozostałymi współnikami, czy możemy ich dalej reprezentować, biorąc pod uwagę, że...

– Nie to mnie teraz najbardziej interesuje – przerwał Bladh. – Chcielibyśmy wiedzieć, jakie groźby usłyszał pan na dzień przed ich wizytą w domu Norén.

– W tej kwestii nie mam nic do powiedzenia, z pewnością pan to zrozumie – Danielsson pokręcił głową. – Jako adwokat jestem zobligowany do zachowania poufności.

– Rozumiem – nie odpuszczał Bladh. – Z tego, co słyszałem, nie była to miła rozmowa. Poza tym odwiedził pana ktoś

jeszcze. Łącznie cztery osoby, można powiedzieć, mała delegacja. Czwarty mężczyzna nazywa się Omar Ben Kader, gdyby był pan ciekaw – dodał Bladh i położył czwarte zdjęcie przed Danielssonem.

– Bez komentarza – powtórzył Danielsson. – Poza tym się nie przedstawił.

– Proszę zaspokoić naszą ciekawość – powiedział Bladh. – Skoro już się zgadzamy co do tego, że ci panowie siedzieli u pana w gabinecie przez mniej więcej godzinę, co akurat wiemy od innych.

– Tak jak już mówiłem, nie skomentuję tego, ponieważ byłoby to niezgodne z zasadami, jakie obowiązują mnie jako adwokata.

– Cieszę się, że pan to powiedział – wtrąciła Lisa Lamm. – Trudno mi się jednak z panem zgodzić.

– Tak jak już mówiłem...

– Proszę mi nie przerywać – powiedziała Lisa Lamm. – Mamy uzasadnione powody, by sądzić, że pański były kolega przyjął od Omara Parisafara blisko dwadzieścia milionów koron nieudokumentowanego wynagrodzenia za różnego rodzaju porady prawne i konsultacje. Pieniądze, których adwokat w ogóle nie powinien przyjmować.

– Jak już mówiłem... Nie mogę tego w żaden sposób...

– Niech się pan zastanowi, Danielsson – ostrzegła Lamm.

– Bez komentarza – nie odpuszczał Danielsson, i żeby nie było wątpliwości, pokręcił jeszcze głową.

– Nie daje mi pan wyboru, Danielsson – powiedziała Lisa Lamm, wzruszając ramionami. – Słyszałam, że ma pan przed południem proces w Attundzie.

– Tak – odpowiedział zaskoczony i na wszelki wypadek spojrzął na zegarek. – Mam jeszcze najwyżej pół godziny, potem będę musiał...

– Proszę się nie martwić – powiedziała Lisa Lamm. – Zadzwoń i z nimi pogadam.

– Nie rozumiem – powiedział Danielsson, jakby rzeczywiście niczego nie rozumiał.

– Właśnie podjęłam decyzję o pańskim zatrzymaniu

- oznajmiła Lisa Lamm. – Biorąc pod uwagę okoliczności...
- Chwileczkę, chwileczkę – powiedział Danielsson i uniół ręce w niemal błagalnym geście. – Porozmawiajmy jak dorośli ludzie.
- W takim razie spróbuję ostatni raz – powiedziała Lisa Lamm, odchyliła się na krześle i skrzyżowała ręce na piersiach.
- Ostatni raz – dodała i pokiwała wyczekująco głową.
- Że też tak trudno mu było to z siebie wydusić, pomyślała Lisa Lamm pół godziny później, gdy komisarz kryminalny Bladh zakończył przesłuchanie adwokata Petera Danielssona.
- Zamówić panu taksówkę? – zapytał komisarz kryminalny Alm, gdy blady i spocony Danielsson wyszedł z pokoju.
- Nie trzeba – odpowiedział, kręcąc głową. – Dam sobie radę.
- A to dobrze – powiedział Alm. – Właśnie wyładowała mi się bateria.
- Pozwoli pan, że coś panu powiem, panie Danielsson
- powiedział Bladh, kiedy odprowadzał go do wyjścia.
- A powiem to z troski o pana i pańską rodzinę.
- Słucham?
- Omar Parisafar jest zdolny do wszystkiego – Bladh spojrzał na niego z powagą. – Proszę mi wierzyć. Do wszystkiego.
- Dziękuję – powiedział Danielsson. – Zanotowałem. Wierzę panu.
- To dobrze – powiedział Bladh. – Proszę na siebie uważać.

112

Naczelnik wydziału kryminalnego inspektor Toivonen był człowiekiem zadaniowym i żeby sobie ułatwić codzienną pracę, zapisywał wszystko na białej tablicy, która wisiała na ścianie za jego biurkiem. Tak się składało, że od czterech dni zamiast długiej listy złożonej z wielu punktów na jego tablicy widniał tylko jeden.

„Znaleźć Å, GG i szofera” – zapisał skrótem, ponieważ nie mógł wykluczyć, że ktoś niepowołany wejdzie pod jego nieobecność do pokoju. Najprościej rzecz ujmując, chodziło

o to, żeby znaleźć Åkarego i Garcję Gomeza, zatrzymać ich i doprowadzić do ich wsadzenia do aresztu w komendzie w Solnie, zanim znajdą świadka, którego szuka Bäckström ze swoim zespołem dochodzeniowym.

Zadanie dla całego zastępu kolegów, którzy, miał nadzieję, urabiali się po łokcie, żeby Toivonen mógł zetrzeć tablicę i wrócić do codziennych obowiązków. Cztery dni bez najmniejszego śladu, choć Fredrik Åkare miał dwa metry wzrostu, sto pięćdziesiąt kilo mięśni i kości oraz jasny kucyk sięgający mu do połowy pleców. Niewątpliwie stanowił dla policji wdzięczny obiekt obserwacji.

Tak upłynęły cztery doby, aż w końcu zadzwonił jego stary kumpel, inspektor Honkamäki, żeby porozmawiać w zaufaniu, jak Fin z Finem. Honkamäki był dawniej dowódcą sił specjalnych przy wydziale interwencyjnym w Sztokholmie, ale od kilku lat zajmował się najbardziej drażliwymi elementami działań śledczych i wywiadowczych komendy głównej policji. Tymi, o których nigdy się nie rozmawiało. No może poza kręgiem fińskich krajanów, którzy tak jak on byli szwedzkimi policjantami.

– Co tam słyhać u ciebie? – zapytał Honkamäki. – Podobno szukasz Åkarego i tego jego pacholka Garcii Gomeza, i jakiegoś taksówkarza, który miga się od spełnienia obywatelskiego obowiązku. Dobrze słyszałem?

– Mów – powiedział Toivonen. Nareszcie, pomyślał, bo Honkamäki traktował swoją pracę równie poważnie jak on sam i nie traciłby czasu na nikomu niepotrzebne słowa pocieszenia.

– Najpierw cię o coś spytam – powiedział Honkamäki. – Na ile jesteście pewni, że ktoś sprzątnął Erikssona za piętnaście dziesiąta wieczorem?

– Na sto procent – powiedział Toivonen. – Wiem to od Niemiego, nie od Bäckströma.

– Uderzenie tępym przedmiotem w głowę? Od tego zginął?

– Tak – odpowiedział Toivonen.

– W takim razie to nie mógł być Åkare – powiedział Honkamäki. – Zapomnij. Ma alibi równie mocne jak Garcia Gomez. Albo i lepsze, gdybym miał wybierać.

– Na jak długo?

– Na cały wieczór, od ósmej wieczorem w niedzielę drugiego czerwca. Przynajmniej do północy – dodał Honkamäki.

– W takim razie chętnie się z tobą spotkam.

– Za pół godziny, tam gdzie zawsze – zaproponował Honkamäki.

– Tam gdzie zawsze – potwierdził Toivonen.

Tak też się stało. „Tam gdzie zawsze” oznaczało angielski pub kilka przecznic od budynku policji na Kungsholmen. Gdy tylko rozluźniło się po porze lunchu, w lokalu znów zapanowała atmosfera sprzyjająca poufnym rozmowom. O tej porze przy barze siedziało już tylko kilku stałych klientów, zajętych rozmową z barmanem. Jeśli się wybrało stolik na parterze w głębi lokalu, do najbliższego niepowołanego ucha było co najmniej dziesięć metrów. Dyskretne oświetlenie, czarna dębowa boazeria, wykładziny – czego chcieć więcej? Być może jeszcze dużego piwa, zwłaszcza że było już po drugiej po południu i wreszcie zaczęło się lato.

– Zdrowie – powiedział Toivonen, unosząc kufel.

– I twoje, bracie – powiedział Honkamäki i uniósł swój.

– Dawaj – powiedział Toivonen.

Niestety Honkamäki nie mógł zbyt wiele powiedzieć. Wynikało to z charakteru działań, za które aktualnie był odpowiedzialny, ale ponieważ chodziło o Toivonena, to nawet bez tego, czego nie mógł powiedzieć, jego przekaz powinien być dla niego jasny. Fredrik Åkare miał alibi od ósmej wieczorem w niedzielę drugiego czerwca do północy z niedzieli na poniedziałek trzeciego czerwca. Alibi wykute w kamieniu i całkowicie pewne, ponieważ sam trzymał zarówno młotek, jak i dłuto.

Gdyby rzeczywiście chodziło o Åkarego i Garcję Gomeza, mógłby wsadzić ich do aresztu w ciągu godziny. Problem w tym, że on i cała reszta podległego mu wydziału woleli ich mieć na wolności. Przynajmniej na razie. Åkare i jego kumple planowali coś dużego, dlatego Honkamäki i jego ludzie chcieli dać im szansę doprowadzić to do końca, żeby materiał dowodowy choć raz wystarczył do wydania wyroku

skazującego.

– Tym razem mamy na nich haka – stwierdził Honkamäki.
– Nie ma to nic wspólnego z zabójstwem tego adwokata, ale i tak dostaną wyroki dwucyfrowe. Åkare, Garcia Gomez i jeszcze przynajmniej kilku.

– Okej – powiedział Toivonen. – Skoro tak, być może powinieneś o czymś wiedzieć.

– Gadaj – powiedział Honkamäki.

Następnie Toivonen przekazał mu informację, którą podzielił się z nim Stigson trzy dni wcześniej, a mianowicie, że Åkare najwyraźniej spotyka się z nową panienką, co jednak nie pojawiło się jeszcze w żadnej z baz danych, do których miał dostęp Toivonen. Prawdopodobnie zresztą w żadnej innej też nie.

– Podobno to Dunka – powiedział Toivonen. – Wszystko wskazuje na to, że przyjechała tu z rekomendacją od duńskich braci Åkarego. Kolega dostał cynk od naszego byłego kolegi, który zna wszystkie liczące się postaci, i to po obu stronach barykady.

– Rolle Stålhammar – roześmiał się Honkamäki. – Co u niego słyhać? Widuję go praktycznie co tydzień na wyścigach w Valli, ale dawno już nie rozmawialiśmy.

– *Still going*, z tego, co wiem – powiedział Toivonen i wzruszył ramionami. – Jeśli ostatnia dziunia Fredrika jest jedną z naszych, może warto ją tu do nas ściągnąć. Ludzie gadają – dodał.

– W czym jeszcze mogę ci pomóc?

– Jeszcze w jednym – stwierdził Toivonen. – Mógłbyś mi pomóc w wyjaśnieniu zagadkowego pojawienia się Garcii Gomeza na miejscu zdarzenia jakieś cztery godziny po śmierci Erikssona. Podczas tej wizyty Gomez poderżnął gardło psu Erikssona, a wychodząc, spłaszczyl jeszcze głowę jego nieżyjącemu panu. I o mało co nie wpadł pod taksówkę, kiedy wyszedł na ulicę. Garcia Gomez jest co prawda szalony, ale nie wiedziałem, że aż tak. Co on tam, kurwa, robił? Nie zauważyłem, żeby przed drzwiami Erikssona stał automat z numerkami.

– Obawiam się, że w tym ci nie pomogę – powiedział Honkamäki i pokręcił z żalem głową. – Wiem tyle co ty, mogę tylko zgadywać. Być może chciał zamienić kilka żołnierskich słów z Erikssonem, ale nie wiedział, że ktoś zdążył wysłać go na tamten świat kilka godzin przed tym, zanim on sam zjawił się u niego w domu.

– Też o tym pomyślałem – przyznał Toivonen. – Biorąc pod uwagę, że prawdopodobieństwo jest bliskie zera, dałem sobie z tym spokój. Doceniam jednak twoje starania, dzięki.

– Nie ma za co – odpowiedział Honkamäki, sącząc piwo. – Mógłbym ci jeszcze pewnie pomóc w kwestii numeru rejestracyjnego srebrnego mercedesa, którego szukacie.

– Kiedy? – Nareszcie, pomyślał Toivonen i skinął głową.

– Bez zbędnej zwłoki – odpowiedział Honkamäki. – Myślę nad tym.

113

Wszystko, co się teraz z nim działo, wiązało się właściwie nie z jego osobą, lecz z Omarem, myślał Ara. Od tygodnia jego życie było w rękach Omara i za każdym razem, gdy miało się wydarzyć coś nowego, zaczynało się zawsze w ten sam sposób. Najpierw dzwonił jeden z telefonów Omara. Wyglądało na to, że ma po jednym w każdej kieszeni, każdy z innym dzwonkiem. Zawsze gdy odbierał, wydawał z siebie charakterystyczne, krótkie mruknięcie. Od razu też przechodził na arabski, z którego Ara ledwo co rozumiał, i po zaledwie minucie kończył rozmowę. Potem od razu coś się działo. Tak jak teraz.

– Jedziemy – powiedział Omar z uśmiechem. – Wygląda na to, że wszystko gotowe.

Przed domem czekało już na nich kolejnych dwóch ludzi Omara. Ara nie widział ich nigdy wcześniej, ale sądząc po ich zachowaniu, miało to być pewnie ich pierwsze i ostatnie spotkanie. Nie żeby byli dla niego niemili, ale coś w ich oczach mówiło mu, że nie przyszli tu na pogaduszki.

– Przedstawiam ci Alego i Alego – powiedział Omar i uśmiechnął się szeroko. – Ali i Ali, prawda, jakie to

praktyczne? Odwiozą nas do ostatniego postoju przed twoim wylotem. Mają dla ciebie paszport.

Wsiadli do dwóch samochodów. Ali numer jeden jechał sam pierwszym samochodem, a jakiś kilometr za nim podążali Ali numer dwa z Omarem i Arą na tylnym siedzeniu.

– Wyglądacie jak syjamscy bracia – roześmiał się Omar zachwycony i podał Arze jego nowy paszport. – Zobacz, niezły jest. Musisz się tylko nauczyć swojego nazwiska i trochę o sobie. Potem się tym zajmiemy.

Wystarczy, żeby siedzący na granicy Szwed nie zauważył różnicy, pomyślał Ara i skinął głową.

– Samir – powiedział Ara i skinął głową. Obywatel szwedzki, zupełnie jak on, i sądząc po nazwisku, również o irańskich korzeniach. Powinno wystarczyć, pomyślał.

– Możesz być spokojny, przyjacielu – zapewnił Omar. – Nie znaleźliśmy go na ulicy. To nasz brat, zawsze możemy liczyć na jego pomoc.

– Co z biletami, hotelem i całą resztą?

– Załatwione – odpowiedział Omar z uśmiechem.

– Spokojnie, człowieku.

Po godzinie zatrzymali się przed domem, w którym miał spędzić ostatnią noc w Szwecji przed wyjazdem na wystarczająco długi czas, by zdążyło się uspokoić i by mógł wrócić do domu. Czerwony dom z białymi listewkami, przeszkloną werandą i małym jeziorkiem z pomostem jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

– Nie najgorzej, co? – roześmiał się Omar. – Który Szwed o tym nie marzy.

– Jak to znalazłeś? – zapytał Ara.

– Kolejny brat – powiedział Omar i machnął ręką. – Zaufany – dodał.

Dom na wsi, marzenie każdego Szweda, pomyślał Ara i pokiwał głową. Zaledwie pół godziny drogi od lotniska w Skavście, ale co najmniej kilometr do najbliższego sąsiada. Nie można było zarzucić Omarowi, że nie dbał o szczegóły. Tu policja nie będzie ich szukać.

Ali i Ali wnieśli bagaże. Skinęli do Omara, wsiadli do

samochodu i odjechali. Zostawili drugi samochód, żeby Omar mógł go jutro odwieźć na lotnisko.

– Nareszcie sami – powiedział Omar i uśmiechnął się szeroko. – Na co masz ochotę? Zagramy w karty, pooglądamy telewizję, coś zjemy?

– Ty decyduj – odpowiedział Ara, wzruszając ramionami.

– A może pójdziemy na ryby? – zapytał Omar, pokazując głową na pomost. – Zawsze lubiłeś wędkować. Pamiętasz, jak chodziliśmy do szkoły? Posiedzimy sobie na pomoście i pogadamy o życiu.

– Dobra – zgodził się Ara. Nic się od tamtych czasów nie zmieniło, pomyślał.

Nic się od tamtych czasów nie zmieniło, pomyślał Ara dwie godziny później, gdy stali przy kuchni, zajęci gotowaniem. Omar złapał sześć okoni, a on jedną płoć. Czuł się, jakby znów chodzili do szkoły, choć minęło już dwadzieścia lat. Z tą tylko różnicą, że tym razem nie musieli chodzić na wagary, żeby połowić ryby i pogadać o życiu.

Potem zadzwoniła komórka Omara. Najpierw zwyczajowe mruknięcie, po chwili szeroki uśmiech. Jak zwykle przepraszające skinienie głową w kierunku Ary, bo mówił po arabsku, którego Ara nie rozumiał.

– Spokojnie, wszystko zgodnie z planem. Koziołek już uwiązany do drzewa – powiedział Omar i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Skinął głową i puścił oko do Ary, który nie zrozumiał z tego wszystkiego ani słowa.

Koziołek już uwiązany do drzewa, pomyślał Omar Parisafar i schował telefon do kieszeni. Czy to nie jego starszy brat Samir wspominał mu kiedyś, że tak właśnie mówił ojciec Omara, wielki Abdul Ben Kader, kiedy snuł opowieści o polowaniach, w jakich brał udział za młodu w wysokich górach nad Morzem Śródziemnym? O tym, jak przywiązywał małą kózkę do drzewa, żeby zwabić wilki, które inaczej napadłyby na ich owce i kozy?

Jaki ojciec, taki syn, pomyślał Omar i pokiwał głową.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał Bäckström i pokazał głową na resztki tego, co jeszcze kilka dni temu było zespołem prowadzącym śledztwo w sprawie zabójstwa z prawdziwego zdarzenia.

– Bladh, Alm i Lisa Lamm przesłuchują adwokata Danielssona – wyjaśniła Annika Carlsson. – Rosita jest na chorobowym, a reszta w terenie, szukają Åkarego, Garcii Gomeza i naszego taksówkarza.

– Rosita jest na chorobowym – powtórzył Bäckström. – Mam nadzieję, że to nic poważnego?

– Nie wiem – powiedziała Annika Carlsson i pokręciła głową. – Jest na zwolnieniu do odwołania. – Pod warunkiem, że ta szczupła blondynka nie wsadziła jej już do samolotu do Guantanamo Bay, pomyślała Annika. W towarzystwie amerykańskiej załogi, odurzonej narkotykami, związanej taśmami, w czerwonych kombinezonach i z kajdankami na rękach i nogach, pomyślała.

– Miejmy nadzieję, że z tego szybko wyjdzie – powiedział z łagodnym uśmiechem i zatroskanym wyrazem twarzy.

– No tak... – odpowiedziała Annika Carlsson. Lepiej uważaj, grubasku.

– Okej – powiedział Bäckström i skinął do Niemiego. – Czy mamy już jakąś odpowiedź z CLK?

– Wygląda na to, że w Linköping coś wreszcie ruszyło – powiedział Niemi, przeglądając kartki. – Jeśli chodzi o von Comera, który siedzi teraz w areszcie, to sytuacja wygląda następująco...

– Słucham – powiedział Bäckström i rozsiadł się wygodnie na krześle.

– Na katalogu aukcyjnym jest jego krew. W tej kwestii nie ma już zresztą wątpliwości, jak na pewno wiesz...

Wielkie dzięki, pomyślał Bäckström. W końcu to moja zasługa.

– Natomiast to nie jego DNA znajdowało się na poduszce na kanapie. Nieznany dawca, nie występuje w bazie.

– Szkoda – powiedział Bäckström i naprawdę wyglądał,

jakby tak myślał.

– Obawiam się, że jest gorzej – dodał Niemi. – Nie znaleźliśmy niczego, co by pozwoliło nam powiązać osobę von Comera z domem Erikssona. To po pierwsze. Po drugie chodzi o tego świadka, sąsiada, który rzekomo widział starszego, siwowłosego mężczyznę siedzącego na schodach prowadzących do domu Erikssona. Pamiętacie go? – Wszyscy przytakują, pomyślał Niemi. – Zorganizowaliśmy wideokonferencję ze świadkiem. To nie von Comera widział.

– Na ile jest pewien? – zapytała Annika Carlsson.

– Na sto dwadzieścia procent – powiedział Niemi i uśmiechnął się pod nosem. – Tak się składa, że świadek zna osobiście von Comera. Należą do tego samego klubu golfowego na Värmdö.

– Wyobrażam sobie – westchnął Bäckström. – A może chce pomóc koledze od golfa w potrzebie?

– Nie sądzę. Świadek twierdzi, że von Comer dopuścił się znacznie gorszych wykroczeń niż zwykle oszustwa w handlu sztuką.

– To znaczy? – zapytał Bäckström.

– Podobno oszukał świadka podczas rundy golfa.

– Typowe. Masz coś jeszcze, Peter?

Drobny szczegół, to prawda, choć być może nie bez znaczenia dla kogoś, kto chciał uporządkować przebieg wydarzeń towarzyszących badanej właśnie zbrodni.

– Lekarz sądowy znalazł sierść w czaszce Erikssona – powiedział Niemi. – Należy do jego psa i zważywszy na miejsce, w którym utkwiała, raczej nie znalazła się tam przez to, że pogłaskał swojego pupilka, a potem podrapał się po głowie. Sierść tkwi głęboko w pęknięciach czaszki.

– Garcia Gomez wychodzi więc najpierw na taras i wali psa po zadzie. Siada na nim okrakiem i podrzyna mu gardło – podsunął Bäckström.

– Potem wraca do domu i kiedy mijają Erikssona, wali go w głowę tym samym przedmiotem, którym uderzył psa. Może jest po prostu wściekły, bo pies dziabnął go w nogę – dodał Niemi.

– Jasne, jasne – zgodził się Bäckström. – Sierść psa przyklejona do tępego przedmiotu zostaje na głowie Erikssona, do tego momentu się zgadzam. Tylko nadal nie rozumiem, co on tam, kurwa, robi? Dlaczego zjawia się u Erikssona w środku nocy? Zważywszy na ich wcześniejsze relacje, Eriksson powinien się rzucić na przycisk alarmu, gdy tylko Garcia Gomez dzwoni do jego drzwi.

– Nie sądzisz, że mogło być tak, że ten, kto zabił Erikssona, wcześniej tego samego wieczoru zadzwonił do niego i dał Gomezowi cynk, a ten wszedł do środka bez żadnych przeszkód i zostawił na odchodnym list pożegnalny? – wtrącił Stigson.

– To było pytanie? – zapytał Bäckström, wpatrując się w młodszego kolegę.

– Tak. Co o tym sądzisz?

– Wykluczone – Bäckström pokręcił głową. – Nawet Garcia Gomez nie jest aż tak szalony. Z innej beczki – dodał. – Czy mamy coś w kwestii oszustwa? Jak ci idzie, Nadja?

– Nic się nie martw – powiedziała Nadja. – Co prawda zaprzecza, ale niewiele mu to pomoże. Lisa twierdzi, że możemy mu postawić zarzuty już jutro.

– Okej – powiedział Bäckström. – Ma jakieś alibi na czas zabójstwa Erikssona?

– W każdym razie nic, co dałyby mu osoby trzecie. W tej chwili odmawia odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. Żona zeznała, że od soboty do poniedziałku była poza miastem. Żadnych rozmów, w komputerze czysto, żadnego sąsiada, który mógłby zaświadczyć, że był w tym czasie w domu.

– Nie spieszmy się niepotrzebnie – westchnął Bäckström. – Może był w mieście i włożył swoją czerwoną różę do niewłaściwego wazonu.

– Nie bardzo rozumiem? – powiedziała Nadja. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– To taka metafora. Potem ci wyjaśnię – powiedział i wzruszył ramionami. – Proponuję, żebyśmy go raz jeszcze przesłuchali. Wyjaśnimy mu, jak się sprawy mają, a jak nie będzie chciał powiedzieć, gdzie i z kim był, niech sobie siedzi dalej w areszcie. Gazety będą miały o czym pisać – stwierdził

Bäckström.

– Okej – powiedziała Annika, przyglądając się Bäckströmowi. – Co jeszcze mamy? Co z tą chusteczką do nosa? Udało się na niej coś znaleźć?

– Krew Erikssona, smarki i prawdopodobnie ślina kolejnego nieznanego dawcy, którego nie mamy w bazie – powiedział Niemi.

– Słucham? – odezwał się Stigson, który wyglądał, jakby właśnie stracił wątek. – Kolejnego? Co chcesz przez to powiedzieć, Peter?

– Nie tego, który narobił na kanapę – wyjaśnił Bäckström. Ten koleś ma IQ równe numerowi swojego buta, pomyślał.

– A, już rozumiem – ucieszył się Stigson.

– Niestety niewiele mamy – stwierdził Niemi. – Nie możemy połączyć von Comera z miejscem zbrodni. Åkarego też nie. Zostaje jeszcze Garcia Gomez i tych dwóch nowych. Dwie osoby, których nie ma w naszych bazach. Zdaje się, że wracamy do punktu wyjścia.

– Zgadzam się z tobą – odezwała się Annika Carlsson.

– Odpada Omar Parisafar i jego koledzy, jeśli mielibyśmy sobie pozwolić na spekulacje.

– Czekał – wtrącił Bäckström, bo właśnie przyszło mu coś do głowy. – A ten Omar Ben Kader?

– Masz rację, Bäckström – powiedziała Nadja. – Omarowi Ben Kaderowi nigdy nie pobrano wymazu. Mamy za to jego zdjęcie w rejestrze śledczym. To pewnie jego zdjęcie z paszportu.

– Okej – powiedział Bäckström. – W takim razie wykombinuj, jak pobrać od niego wymaz.

Już działamy, stwierdziła Annika Carlsson. Od godziny szukali nie tylko Åkarego, Garcii Gomeza i Ary, lecz także kolejnych czterech osób: Omara Parisafara, Ali Parisafara, Ali Issy i Omara Ben Kadera.

– Wszyscy zapadli się pod ziemię – podsumowała Annika i pokręciła głową.

– Zrób coś z tym – burknął Bäckström i wstał. – Podatnicy płacą, a areszty stoją puste.

Po spotkaniu Lisa Lamm wysłała do wszystkich wiadomość na temat aktualnego stanu śledztwa.

Baron Hans Ulrik von Comer miał pozostać w areszcie, ponieważ dochodzenie w jego sprawie było dalekie od zakończenia. Zgodnie z tym, czego się dowiedzieli podczas przesłuchania adwokata Petera Danielssona, jego były kolega Thomas Eriksson pożyczył prawie dwadzieścia milionów koron z banku na Cyprze. Pożyczkę żyrował Omar Parisafar, a pieniądze wypłacono pięć lat temu, miesiąc przed kupieniem przez Erikssona domu na Ålstensgatan.

Pięć dni po zabójstwie Erikssona Omar Parisafar dostał od banku zlecenie przekazania kancelarii żądania spłaty długu Erikssona. Wręczył Danielssonowi zarówno kopię zlecenia banku, jak i kopię rachunku będącego podstawą żądania, opiewającego na blisko dwadzieścia milionów i ponad milion należnych odsetek.

Kopie tych dokumentów zostały przesłane wszystkim śledczym do wiadomości, a Lisa Lamm nie omieszkała się z nimi podzielić paroma osobistymi refleksjami.

„Moim zdaniem sprawa jest prosta: pieniądze pożyczył mu Parisafar i po prostu przepuścili je przez bank. Zapytałam o to Danielssona, zdaje się, że przyjął to do wiadomości. Poza tym mam przyjemność poinformować was, że lekarz sądowy obiecał przyjść na jutrzejszą naradę. Na wszelki wypadek przyprowadzi koleżankę, która podobno jest światowym ekspertem w dziedzinie śmiertelnych uderzeń tępym przedmiotem. Umieram z ciekawości. Do zobaczenia. Lisa”.

Złota dziewczyna, pomyślał Evert Bäckström i wyjął sekretny telefon, żeby zadzwonić do swojego osobistego dziennikarza i umówić się na krótkie spotkanie w czasie lunchu w jakimś dyskretnym lokalu, w którym przyszedł milioner nie będzie ryzykował, że zostanie podstępnie otruty.

– Bäckström, Bäckström, złoty człowiek z ciebie – westchnął reporter godzinę później, gdy Bäckström skończył prelekcję

dotyczącą „jakichś dwudziestu milionów”, które świętej pamięci adwokat Eriksson przyjął od jednego z czołowych przedstawicieli zorganizowanych struktur przestępczych w kraju.

– Wszystko zdaje się zmierzać w dobrym kierunku – zgodził się Bäckström, racząc się zasłużonym, głęboko schłodzonym piwem, i pokazał głową na aktualny egzemplarz największej popołudniówki w kraju, leżący przed nim na stoliku. – I co, udało wam się zrobić wywiad z królową? Zgodziła się?

– Pracujemy nad tym, w tej chwili jednak nawet dla niej nie mamy miejsca. Gdy tylko wrócę do redakcji, muszę przeorganizować układ numeru, żebyśmy mogli napisać o tych dwudziestu milionach, które Eriksson dostał od Omara. To będzie nasza jutrzejsza jedynka.

– Cieszę się – powiedział Bäckström i uniósł pierwszy tego dnia kieliszek wódki. – Uważam, że społeczeństwo powinno o tym wiedzieć. To ważne dla demokracji. Zwykli, porządni obywatele powinni wiedzieć, czym zajmują się tacy jak Eriksson.

– Złoto, Bäckström, czyste złoto – westchnął jego towarzysz.

116

Po spotkaniu z Honkamäkim Toivonen wrócił do komendy w Solnie, gdzie w zasadzie natychmiast pograżył się w rozmyślaniach, zapominając o stertach kartek piętrzących się na biurku.

Z jednej strony jego przyjaciel Honkamäki i jego anonimowi koledzy, którzy najwyraźniej doskonale wiedzieli, gdzie w tej chwili przebywali Åkare i Garcia Gomez i co takiego robili, ponieważ udało im się zainstalować informatora w ich bezpośrednim otoczeniu.

Z drugiej strony on sam i jego ludzie, którzy od blisko tygodnia biegali w kółko, próbując ich znaleźć, ponieważ nie mieli dostępu do informacji, na których siedzieli ich koledzy. A przecież wszyscy pracowali w tej samej szwedzkiej organizacji policyjnej.

Toivonen spędził za biurkiem jeszcze dłuższą chwilę, wzdychając i kręcąc głową, ponieważ jednak i tak nie mógł nic zrobić z sytuacją, w której się znalazł, postanowił, że przejdzie się do domu spacerem. Co prawda do Spångi było prawie dziesięć kilometrów, co oznaczało ponad godzinę szybkiego marszu, ale nie martwiło go to, ruch na świeżym powietrzu wydawał się dobrym sposobem na poukładanie myśli, które krążyły mu po głowie.

W drodze do domu zatrzymał się w małej włoskiej knajpce. Jego żona wyjechała do rodziców do Norrland, a ponieważ gotowanie znajdowało się na samym dole jego listy zainteresowań, pomyślał, że przynajmniej ten szczegół będzie miał z głowy. Skorzystał też z okazji, żeby dać sobie nagrodę w postaci drugiego wypitego tego dnia piwa.

Gdy tylko wszedł do mieszkania, nastawił saunę i obejrzał wiadomości w telewizji z kolejnym piwem w ręku. Zadzwoniła żona i przez chwilę rozmawiali o tym wszystkim, o czym się rozmawia po dwudziestu latach małżeńskiego pożycia.

– Jutro wracam – powiedziała. – Uważaj na siebie, skarbie, i nie pij za dużo piwa.

Inspektor Toivonen obiecał, że będzie grzeczny, już tęsknił, buziaczki, jedź ostrożnie.

Następnie przez prawie godzinę siedział w saunie, jak na Fina przystało. Wypił kolejne zimne piwo, starając się nie myśleć o tym, co powiedziała żona.

Tuż po dziesiątej zajął z powrotem miejsce przed telewizorem, żeby obejrzeć zawody konne na jednym z kanałów sportowych, ledwie jednak zdążył umościć się na kanapie, ktoś zadzwonił do jego drzwi. Honkamäki, pomyślał Toivonen, bo mieli umówiony sygnał na domowe odwiedziny.

Honkamäki był ubrany do wyjścia w teren: kombinezon, buty i kamizelka kuloodporna, a na ulicy stał zaparkowany jeden z nieoznakowanych radiowozów należących do pionu interwencyjnego, za którego ciemnymi szybami siedziało pewnie jeszcze więcej tak samo ubranych kolegów.

– Piwko? – zapytał Toivonen i pokazał na puszkę piwa, którą trzymał w ręku.

– Dzięki – powiedział Honkamäki i pokręcił głową.
– Przejeżdżałem akurat z chłopakami i pomyślałem, że wpadnę podrzucić ci numery samochodu, o którym rozmawialiśmy.

– Dobra, czyli masz pięć minut – westchnął Toivonen i wzruszył ramionami. Weszli do salonu i usiedli przed telewizorem. Toivonen wyłączył dźwięk, ale zostawił obraz, bo miał wykupiony zakład, a zbliżało się już piąte okrażenie.

W niedzielę wieczorem drugiego czerwca Fredrik Åkare zjawił się w domu u swojej nowej dziewczyny i robili to, co zwykle robi się w podobnych sytuacjach, a potem leżeli w jej łóżku przez kilka godzin, do momentu gdy zadzwonił jego telefon, a on odebrał z obowiązkowym mruknięciem, którym tacy jak on mieli w zwyczaju zaczynać rozmowę.

Ciągle mrucząc coś do słuchawki, wstał z łóżka i zaczął się ubierać. Dochodziła północ, a ponieważ wcześniej obiecał swojej dziewczynie, że zjedzą razem śniadanie, domyśliła się, że coś się stało, coś niezaplanowanego i ważnego.

– Naturalnie go o to zapytała – powiedział Honkamäki.
– Åkare powiedział, że on i Angel mają do załatwienia jakąś pilną sprawę. Oczywiście udała obrażoną, a wtedy Åkare powiedział jej, że musi na chwilę wyskoczyć, żeby przemówić do rozumu jakiemuś adwokatowi, który wcześniej tego wieczoru brzydtko się zachował w stosunku do jednego z jego dawnych przyjaciół.

– Tak to określiła?

– Tak, a nie jest to pierwsza lepsza dziunia, myślę, że możemy to kupić – powiedział Honkamäki.

– Dobrze zrozumiałem, że Garcia Gomez zadzwonił i powiedział, że Eriksson zachował się nieładnie wobec jednego z dawnych kumpli Åkarego?

– Odpowiedź brzmi: tak – odpowiedział Honkamäki. – Co z kolei może oznaczać, że ani Åkare, ani Garcia Gomez, ani dawny kumpel Åkarego nie mogli mieć pojęcia, że Eriksson już kilka godzin wcześniej zdążył odłożyć wiosła.

– A ten, który zadzwonił do Garcii Gomeza, żeby się poskarżyć na Erikssona? – powiedział Toivonen. – Nie wiesz czasem, kto to może być?

– Odpowiedź brzmi: nie – powiedział Honkamäki. – Jeśli to cię jakoś pocieszy, nawet nie próbowaliśmy się tego dowiedzieć. Mamy, że tak powiem, ważniejsze sprawy na głowie. Sam wiesz, jak to jest z takimi jak Åkare. Zawsze ma kilka piłeczek w powietrzu, ale szybko się zorientowaliśmy, że akurat ta piłeczka nas nie interesuje.

– Jasne – powiedział Toivonen i skinął głową. – A ten numer rejestracyjny?

– Åkare wskakuje z powrotem w spodnie, buzi na do widzenia, na zewnątrz czeka już na niego srebrny mercedes. Z samochodu wysiada Garcia Gomez, rozmawiają, oczywiście dziewczyna nie słyszy, o czym, następnie Åkare siada za kierownicą i odjeżdżają. Ten samochód pojawia się w naszych dochodzeniach po raz pierwszy. I zresztą, jak na razie, po raz ostatni. Åkare wraca około trzeciej nad ranem, ale już taksówką.

– Mercedes? – przypomniał Toivonen.

– Właśnie – powiedział Honkamäki. – Ma tak zwany spersonalizowany numer rejestracyjny, co jest nawet zabawne, zważywszy na okoliczności, szczególnie że to Åkare jeździł po mieście takim właśnie samochodem. Na tablicy rejestracyjnej jest najpewniej nazwa firmy, do której należy samochód, GENCO, czyli Genco Spółka Akcyjna. Od wielu lat obecni na rynku, mają swoją siedzibę w Malmö. Nie można im niczego zarzucić. Płacą podatki i tak dalej.

– Czym się zajmują? – zapytał Toivonen.

– Wszystkim, czym się da, między innymi prowadzą działalność leasingową, co pewnie wszystko tłumaczy. Pewnie po prostu im go wypożyczyli. Na pewno da się to sprawdzić.

– Na pewno – zgodził się Toivonen. Poproszę Nadję, pomyślał.

Potem Toivonen odprowadził swojego kumpla do drzwi, pokazał głową na granatowy bus i nie musiał nawet zadawać pytania, żeby dostać na nie odpowiedź.

– Czekamy – wyjaśnił Honkamäki. – Mamy informacje, że Åkare i jego kumple mają zamiar się ruszyć, więc razem z chłopakami krążymy wokół nich.

– Obiecay, że będziecie na siebie uważać – powiedział Toivonen i popukał lekko w kamizelkę kuloodporną kolegi.

– Może by tak pan inspektor wskoczył w portki i pojechał z nami – zaproponował Honkamäki i uśmiechnął się krzywo.

– Mamy jedno wolne miejsce w busie, wszystko inne ci pożyczymy.

– Może innym razem – powiedział Toivonen. – Oglądam wyścigi.

Co prawda nie trafił z V75, ale i tak miał sześć trafionych, i nagle wzbogacił się o kwotę odpowiadającą miesięcznej pensji, co postanowił uczcić, wypijając przed telewizorem kolejne dwa piwa. Przez chwilę pomyślał nawet, że zadzwoni do żony, ale było po północy, a on zdążył już wypić sześć dużych piw.

O piątej rano obudził go telefon. Dzwonił Honkamäki, zresztą domyślił się tego, jeszcze zanim spojrział na telefon.

– Coś się stało? – zapytał Toivonen, choć wiedział, że odpowiedź na to pytanie może być tylko twierdząca.

– Niestety tak – powiedział Honkamäki.

– Coś przykrego?

– Tak.

– Gadaj.

117

Również Ara oglądał telewizję, choć następnego dnia miał wstać o wpół do piątej rano. Siedzieli z Omarem zdecydowanie za długo. Jego kolega był rozsądniejszy; w połowie filmu ziewnął szeroko, wzruszył ramionami i uśmiechnął się przepraszająco.

– Muszę się położyć – powiedział. – Zawsze mam problem z porannym wstawaniem.

– Nastawię budzik – powiedział Ara. Na dworze wciąż było jasno, a godzina w tę czy w tamtą nie miała przecież znaczenia dla kogoś, kto w ciągu ostatnich lat spędził setki nocy na jeźdźeniu taksówką. Poza tym film był na tyle dobry, że chciał wiedzieć, jak się skończy.

– Niech cię wyściskam, bracie – powiedział Omar z uśmiechem. – To przecież twoja ostatnia noc w Szwecji.

– Ostatnia noc w Szwecji – powtórzył Ara i uścisnął go tak jak wtedy, gdy jeszcze w czasach szkolnych zrobili razem coś, po czym nawet prawdziwy mężczyzna mógł przytulić drugiego mężczyznę. Drugiego prawdziwego mężczyznę, pomyślał Ara.

Było już po północy, kiedy zabrał się do mycia zębów w małej łazience na parterze. Na zewnątrz było ciemno, miał nadzieję, że z łatwością zaśnie, gdy tylko naciągnie kołdrę na głowę.

Kiedy szedł po omacku przez korytarz, było ciemno jak w grobie, najwyraźniej zaczęło też padać, bo słyszał, jak krople uderzają o dach szklanej werandy.

Jutro nareszcie sobie odpoczniesz, pomyślał Ara i w tej samej chwili ktoś założył mu ramię na szyję i przycisnął tak mocno, że pociemniało mu w oczach. Popchnął go w kierunku ściany, zmienił chwyt, złapał go za włosy i wykręcił mu głowę do tyłu.

– Musimy pogadać, Ara – powiedział Angel Garcia Gomez, zrobił szybki ruch prawą ręką i nagle przyłożył mu nóż do gardła.

Ara poczuł kompletną pustkę w środku. Nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa, choć Garcia Gomez mówił ściszym głosem, niemal przyjaznym. Skinął więc tylko, próbując nie poruszać zbyt mocno głową, bo czuł na skórze ostrze noża.

– Jedno mnie martwi – powiedział Garcia Gomez. – Za dużo gadasz. Chciałem dać ci szansę przekonania mnie, że będziesz trzymać język za zębami.

Ara znów skinął głową. Nie był w stanie wydać nawet najmniejszego dźwięku.

– Słucham – powiedział Garcia Gomez i w tej samej chwili ktoś najwyraźniej rozświetlił otaczające ich ciemności. Błysk, a potem ogłuszający huk, który w jednej chwili odebrał Arze słuch. Garcia Gomez odchylił bezładnie głowę, puścił jego szyję, wypuścił z ręki nóż i runął do tyłu na białą wykładzinę. Leżał na plecach, ręce i nogi mu dygotały, a krew lała mu się z głowy i z ust.

– Cholera jasna! – krzyknął Ara. – Ja pierdołę! Co się dzieje?

– Spokojnie – powiedział Omar. Wyszedł z ciemności,

w których musiał najwyraźniej stać od samego początku, bo przecież wcześniej w ogóle go nie słyszał. – Spokojnie – powtórzył Omar i uśmiechnął się tak jak zawsze. – Spójrz na mnie, nie patrz na niego, zaraz się tym zajmę. Nie denerwuj się – powiedział Omar i chwycił go mocno za ramię.

– Przecież on nie żyje – wrzasnął Ara i odsunął się, bo stał już w kałuży krwi rozlewającej się szybko po podłodze. Widział, jak biała wykładzina nasiąka czerwienią, i czuł jakiś zapach, to musiał być zapach krwi.

– Zajmę się tym – powiedział Omar. Potem chwycił Arę za ramię, tym razem nieco mocniej, i spojrzał mu prosto w oczy. – Posłuchaj mnie. Posłuchaj Omara, twojego najlepszego kumpla. Wszystkim się zajmę. Teraz masz myśleć tylko o swojej podróży. Za sześć godzin będziesz siedział w samolocie. Wszystko inne to przeszłość.

O czym on, kurwa, mówi, pomyślał Ara.

– O czym ty, kurwa, mówisz? Jaka, kurwa, podróż? Po tym, co tu się stało? – krzyknął Ara, pokazując na mężczyznę leżącego na ziemi. Wreszcie odzyskałem głos, pomyślał.

Omar uśmiechnął się do niego, ten sam miły uśmiech, tym razem trochę nieobecny, jakby próbował przemówić do rozumu niegrzecznemu dziecku.

– Szczęśliwej podróży, Ara – powiedział Omar. – Szczęśliwej podróży, bracie – powtórzył, poklepał go po ramieniu, uśmiechnął się ciepło, uniósł pistolet i strzelił swojemu najlepszemu szkolnemu kumplowi prosto w głowę.

CZEŚĆ VI

Nieoczekiwany zwrot w dochodzeniu w sprawie zabójstwa adwokata Thomasa Erikssona.

118

Czwartkową naradę zespołu dochodzeniowego Bäckström rozpoczął, zwracając się do Anniki Carlsson z pytaniem, czy coś się wydarzyło. W końcu to do niej należały prostsze kwestie praktyczne, żeby on mógł w spokoju zająć się bardziej wymagającymi intelektualnie zadaniami. Zdaniem Anniki nie wydarzyło się nic szczególnego. Åkare, Garcia Gomez i ich świadek zniknęli bez śladu. Podobnie czterech członków Bractwa Parisafarów, których aresztowania dzień wcześniej zażądała prokurator.

– Cała siódemka zapadła się pod ziemię – stwierdziła Annika Carlsson.

– Gdzie indziej mieliby się podziać – przytaknął Bäckström.

– Coś nowego w temacie samochodu? – dodał i skinął głową w kierunku Nadji.

Nie lepiej, stwierdziła Nadja. Co prawda zostało im już tylko do sprawdzenia kilkanaście pojazdów, ale biorąc pod uwagę setki, które zdążyli już odhaczyć, nie wyglądało to obiecująco.

Z braku innego zajęcia zaczęli się zastanawiać, czy to możliwe, że jest aż tak źle, że wszystko od początku źle zrozumieli i znaleźli się z powrotem w punkcie wyjścia. Kolega Alm chciał w każdym razie zainicjować dyskusję i wiele osób z zespołu pokiwało ze zrozumieniem głowami, a nawet podsunęło własne propozycje, jak mogło być naprawdę. Niezadowoleni klienci, przeciwnicy, dawne dziewczyny, psychicznie chorzy, a nawet sąsiedzi ofiary.

– Nie zapominajmy o sąsiadach Erikssona – odezwał się

Stigson. – Nie przypominam sobie obchodu, podczas którego sąsiedzi mówiliby aż tak źle o ofierze.

– Słyszę, co mówisz – wtrącił Bäckström. – Nie wiem tylko, jak chcesz powiązać jego sąsiadów z samochodem, kartonami i jeszcze tą dwójką, której wciąż jeszcze nie zidentyfikowaliśmy. Tego, co się zesrał na kanapie Erikssona, i jego towarzysza, który zostawił w miejscu zdarzenia zasmarkaną chusteczkę.

– Być może to wszystko nie miało nic wspólnego z zabójstwem – nie odpuszczał Stigson. – Może po prostu podążamy złym tropem, że tak powiem.

– Nie pieprz głupot – powiedział Bäckström i pokręcił głową. – Sąsiedzi Erikssona mówią o nim źle tylko dlatego, że był wyjątkowym dupkiem, a do tego miał niebezpiecznego kundla. Aż tak trudno to zrozumieć?

– Masz rację, Bäckström – odezwała się Annika Carlsson. – Moim zdaniem chodzi tu o trzy rzeczy. Po pierwsze o Erikssona i jego podejrzone interesy. Po drugie o to, że zarówno Åkare, Garcia Gomez, jak i von Comer są w nich umoczeni. I jeśli chcecie znać moje zdanie, tkwią w nich po same uszy. Po trzecie o to, żeby znaleźć tych dwóch, którzy gadają z Erikssonem, kiedy około wpół do dziesiątej wieczorem rozpętuje się piekło. Coś musi łączyć człowieka z kanapy i człowieka z chusteczką z tą trójką, i jeśli tylko uda nam się to ustalić, będziemy w domu.

– Miło to słyszeć – powiedział Bäckström i na wszelki wypadek zerknął na zegarek. – W ramach nagrody za błyskotliwe wnioski, do których właśnie doszliśmy, ogłaszam piętnastominutową przerwę na rozprostowanie nóg. Potem wszyscy, którzy tu siedzimy, będziemy mogli wreszcie się zapoznać z najświeższymi ustaleniami przedstawicieli dyscypliny określanej mianem medycyny sądowej.

Lekarz sądowy, który odpowiadał za badanie zwłok adwokata Thomasa Erikssona, w komendzie w Solnie znany był przede wszystkim z racji przydomka nadanego mu przez policjantów,

choć nie miało ono odniesienia ani do jego aparycji, ani do sposobu, w jaki wykonywał swoje zadania. Doktor Lidberg² był niskim, szczupłym i rzadko owłosionym mężczyzną, a w pracy – człowiekiem zarówno dokładnym, jak i rozważnym, który zawsze sumiennie wywiązywał się ze swoich zadań. Był przy tym doskonałym pedagogiem, który w przystępnym języku potrafił wyjaśnić policjantom i innym laikom, co takiego udało mu się ustalić.

Tego dnia przyprowadził ze sobą znamienite wsparcie. Zaprzyjaźnioną profesorkę, szefową stacji medycyny sądowej w Linköping i światowej sławy autorytet z dziedziny obrażeń powstałych na skutek silnych uderzeń tępymi przedmiotami, a także kopniaków i innych ciosów. Była to kobieta w średnim wieku, niska i pękata, z wypiekami na policzkach, a że miała na nazwisko Hansson, ominęły ją policyjne żarty, których ofiarą padł jej kolega doktor Lidberg.

Po zwyczajowym wstępie obejmującym serię znaczących pochrząkiwań i przekartkowanie dokumentów Lidberg wyraził ubolewanie, że musieli tak długo czekać na jego opinię. O powodach tej zwłoki miał zamiar powiedzieć za chwilę, a jeśli chodzi o samą treść opinii, poprosił swoją sekretarkę, żeby przesłała ją mailem zespołowi dochodzeniowemu, gdy już skończy mówić. Zarówno on, jak i jego koleżanka woleli utrzymywać prostą strukturę wykładu przez wzgląd na klarowność wyводу. Akurat w tym przypadku – jeśli chodzi o akt agresji, którego ofiarą padł adwokat Eriksson – istniały dodatkowe silne argumenty, żeby przyjąć właśnie taką metodę. Z punktu widzenia medycyny sądowej Eriksson stanowił bowiem bardzo osobliwy przypadek.

– Na początek zacznę może od obrażeń na głowie i szyi Erikssona. Otóż pojawiły się one w dwóch różnych momentach. Częściowo przed jego śmiercią około dziesiątej wieczorem, a częściowo w nocy, gdy nie żył już od kilku godzin, a stężenie pośmiertne na jego twarzy i szyi było już bardzo zaawansowane – stwierdził doktor Lidberg z ostrożnym chrząknięciem.

2 Może chodzić o skojarzenie ze słowami *lik* (trup) i *berg* (góra), czyli góra trupów (przyp. tłum.).

Wyjaśnienie tej kwestii zajęło najwięcej czasu. Skomplikowana układanka składająca się z pęknięć, fragmentów kości różnych rozmiarów, odłamków o różnej długości, uszkodzeń rozciągających się w różnych kierunkach, którą trzeba było odpowiednio powiązać z lokalizacją źródeł krwawienia, opuchnięć, ran, zdraśnień i zwykłych siniaków. Mówiąc kolokwialnie.

– Niestety właśnie tutaj sprawa naprawdę się komplikuje, przede wszystkim pod względem prawnym – westchnął doktor Lidberg. – Obrażenia, które powstały tuż po śmierci, są wyjątkowo rozległe. Mówiąc najprościej, można powiedzieć, że ktoś rozbił mu głowę drewnianym przedmiotem o średnicy około dziesięciu centymetrów, prawdopodobnie kijem bejsbolowym starszego typu lub też tak zwanym tłuczkiem o podobnej budowie. Naliczyliśmy ślady około dziesięciu uderzeń.

– Przepraszam, ale na czym polega komplikacja pod względem prawnym? – zapytała Lisa Lamm i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Obrażenia, których doznał jeszcze za życia, zostały mu wyrządzone gołymi rękoma, co do tego jesteśmy z koleżanką całkowicie zgodni: dwa, najwyżej trzy mocne uderzenia pięścią.

– Proszę nie sądzić, że jestem ograniczona – powiedziała Lisa Lamm i uśmiechnęła się jeszcze przyjaźniej – ale dalej nie rozumiem...

– Problem w tym, że te uderzenia nie mogły być śmiertelne – wtrąciła profesor Hansson, wbijając wzrok w Lisę Lamm. – Dostaje pięścią w nos, a potem w prawy policzek. Pęknięcie kości nosowej i silny krwotok. Po kilku godzinach miałyby porządnego siniaka, gdyby nie to, że zmarł w ciągu najwyżej trzydziestu minut. To wszystko, śmierci nie mogło spowodować uderzenie – podsumowała jedyna obecna w sali światowej sławy ekspert z zakresu tego rodzaju przyczyn ludzkiej śmierci.

– Co w takim razie było przyczyną śmierci? – spytała Lisa Lamm z miną prokuratora, który właśnie stwierdził problem natury prawnej.

– Eriksson zmarł na zawał serca – odpowiedział doktor

Lidberg, głęboko nabierając powietrza.

O czym on, kurwa, gada. Jaki zawał? Za słaby był, i tyle, pomyślał Bäckström.

Głos zabrała profesor Hansson. Uderzenie pięścią w nos, pęknięcie kości nosowej i obfity krwotok z nosa, co jednak nie było powodem śmierci. Kolejne uderzenie w prawy policzek, silne krwawienie, ale nie powinno to nawet spowodować utraty przytomności. I jeszcze jedno uszkodzenie. Pęknięcie prawego nadgarstka, które powstało, gdy ktoś wykręcił mu rękę i pociągnął ją w dół. Niewątpliwie było to wyjątkowo bolesne, ale od tego też się nie umiera.

Eriksson zmarł za to na rozległy zawał serca, do którego doszło chwilę później. O jego słabym sercu sporo było w jego dokumentacji medycznej. Pierwsze problemy zdiagnozowano dziesięć lat wcześniej. Lekarz wypisał mu odpowiednie lekarstwa, ale podobnie jak wielu innych pacjentów nie zastosował się do tych wskazówek ani nie zmienił sposobu życia. Pił, niezdrowo się odżywił, za mało się ruszał, za dużo pracował i narażał na większy stres, niż jego ciało było w stanie wytrzymać.

Zaledwie trzy lata przed śmiercią doznał pierwszego zawału, i to w czasie prowadzonej rozprawy. Trafił na oddział ratunkowy w szpitalu Karolinska i został tam przez kolejnych kilka dni. Podczas całościowego badania lekarskiego stwierdzono występowanie wszystkich nieprawidłowości i zaburzeń charakteryzujących organizm chorego na serce. Mimo to adwokat po powrocie do pracy natychmiast wrócił do dawnego stylu życia, który w każdej chwili mógł doprowadzić go do śmierci.

– Niewątpliwie przemoc, jakiej doświadczył, w połączeniu z towarzyszącym jej silnym stresem doprowadziły do zawału i w konsekwencji do zgonu – stwierdziła profesor Hansson.

– Konsekwencje natury prawnej możecie ocenić lepiej niż ja – dodała, zwracając się bezpośrednio do Lisy Lamm.

– Pobicie ze skutkiem śmiertelnym – Lisa Lamm skinęła potakująco głową.

– Tak, w ten właśnie sposób sądy zwykły to określać

w podobnych sprawach – powiedziała Hansson. – Przynajmniej podczas tych procesów, w których uczestniczyłam.

Pięć minut później goście pożegnali Lisę Lamm i jej zespół dochodzeniowy. Gdyby mogli pomóc w czymś jeszcze, wystarczy, że dadzą znać, a tak poza tym życzyli im powodzenia w poszukiwaniu sprawcy. Mieli nadzieję, że zobaczą się niedługo na procesie.

– Aha – powiedziała Lisa Lamm, gdy ich goście zamknęli za sobą drzwi. – Pomóżcie mi. Co teraz robimy?

– To, co zwykle – powiedział Bäckström i kiwnął ciężką głową. – Zrobimy wszystko, żeby znaleźć tego, co dał Erikssonowi po głębie. Jak już będziemy mieli ten szczegół z głowy, zajmiemy się naukowymi dywagacjami.

– Dobrze wiedzieć, że się zgadzamy – powiedziała Lisa Lamm i w tej samej chwili do środka bez pukania wszedł Toivonen.

Gdy już wreszcie udało nam się pozbyć tych szalonych doktorków, zjawia się Fin, pomyślał Bäckström.

– Poza tym musimy zgarnąć Åkarego, Garcię Gomeza i naszego świadka – powiedziała Annika Carlsson. – Choćby po to, by zapobiec kolejnym nieprzyjemnościom. Witaj, Toivonen – dodała i uśmiechnęła się do kolejnego gościa. – Ominęło cię wydarzenie dnia, wykład z medycyny sądowej.

– Wiem – powiedział Toivonen. – Nie z tym przychodzę. Niestety obawiam się, że może być gorzej – dodał, siadając przy stole.

120

O godzinie 01.23.20 pilot opóźnionego o trzy godziny samolotu linii Ryanair nadał sygnał alarmowy do wieży kontroli lotów na lotnisku Skavsta. Jego samolot znajdował się na północnej ścieżce podejścia, na wysokości około trzystu metrów, i miał wylądować za mniej więcej dwie minuty. W odległości dokładnie sześciu metrów na północ od pasa startowego zauważył dwa samochody płonące na leśnej drodze,

która prowadziła do położonego w głębi lasu domu. Chciał się więc upewnić, że na płycie lotniska nie dzieje się nic, od czego powinien się trzymać z daleka.

Kontroler lotów zapewnił go, że wszystko jest w najlepszym porządku, a jego kolega zawiadomił policję i straż pożarną w Nyköping. Tak się szczęśliwie złożyło, że najbliższy wóz strażacki znajdował się dwa kilometry od płonących w lesie samochodów. Niecałą godzinę wcześniej otrzymano fałszywy alarm pożarowy z trafostacji położonej dziesięć kilometrów na zachód od Skavsty, a kolejny alarm zastał ekipę ratowniczą w drodze powrotnej do stacji w Nyköping.

Po trzech minutach byli już na miejscu. Z samochodami nie dało się nic zrobić, już teraz płonęły jak stosy chrustu. Za to ogień nie objął pobliskiego domu, typowego szwedzkiego domku letniego.

W normalnej sytuacji dom spaliłby się do fundamentów, co najwyżej zostałyby po nim komin, tym razem jednak było inaczej. Pół godziny wcześniej przez okolicę przeszła ulewa, dzięki której jadąca z niedaleka straż pożarna zdążyła ugasić pożar, zanim ogień ogarnął konstrukcję. Trudno to było oczywiście nazwać idealnie zachowanym miejscem zdarzenia. Silnym uszkodzeniem uległa konstrukcja parteru, dym i sadza dotarły na piętro i strych, a zanim udało się stłumić ogień, straż zalała dom tonami wody. Z samochodami było gorzej, zostały z nich tylko dwa wypalone i powykręcane kawałki blachy i spalonej gumy.

Toivonen rozmawiał z kolegami, którzy znajdowali się na miejscu, i z oficerem straży pożarnej. Dziesięć metrów od pierwszego wraku znaleziono pierwsze ciało. W domu znaleziono kolejne dwa, z których żadne nie uległo całkowitemu spaleni.

– Pierwszego znaleziono Åkarego, już zidentyfikowan zwłoki. Został zastrzelony i zasztyletowany, a na wszelki wypadek najpierw zarzucono mu metalową linę wokół szyi i zawieszono na pobliskim drzewie. Pomijając to, że nie żyje, jest w całkiem niezłym stanie i bliższe oględziny lekarza sądowego na pewno pomogą uporządkować informacje o tym, co przeszedł.

– Czy to on leżał obok wraku samochodu, który stał przy wjeździe sto metrów od domu? – zapytała Annika Carlsson.

– Tak – odpowiedział Toivonen. – Jeśli chodzi o tych dwóch, których znaleziono w domu, prawdopodobnie jest to Garcia Gomez i nasz świadek, kierowca taksówki, w każdym razie, niestety, wiele za tym przemawia – stwierdził Toivonen i zerknął na swojego kolegę Everta Bäckströma.

– Jaka była przyczyna śmierci? – zapytał Alm.

– Raczej nie naturalna – stwierdził Toivonen. – Pół godziny temu rozmawiałem z technikami, którzy są na miejscu od czwartej rano – wygląda na to, że obie ofiary postrzelono w głowę. Jeszcze zanim zaczęło się palić, jeśli was to interesuje. Lekarz sądowy też był na miejscu i już to oglądał, więc pewnie wszystko się wyjaśni – powiedział Toivonen, wzruszając wymownie ramionami.

– To się nie zgadza – wtrąciła Annika Carlsson i pokręciła głową. – Nie Garcia Gomez i kierowca w tym samym miejscu. – Ostrzegałam go, pomyślała. Gdyby mnie posłuchał, nie leżałby teraz martwy.

– Myślę, że jednak się zgadza – powiedział Toivonen. – Problem raczej w tym, że nie wiemy jeszcze, jak do tego doszło. Gdy już się dowiemy, wszystko się poukłada.

– Kto się zajmie dochodzeniem? – zapytała Lisa Lamm.

– Na szczęście nie Solna – powiedział Toivonen, zerkając ze złością w kierunku Bäckströma. – Komenda wojewódzka Södermanlandu przy wsparciu komendy wojewódzkiej w Sztokholmie i kolegów z wydziału kryminalnego komendy głównej. Tak przynajmniej wynika z ostatniej rozpiski, którą otrzymałem.

– A to świetnie – powiedział Bäckström z wesołym uśmiechem. – Te porachunki w świecie zorganizowanej przestępczości są czasami naprawdę trudne do ogarnięcia. Zaczyna się od tego, że ktoś eliminuje jednego z naszych znajomych motocyklistów, a może się skończyć wyrżnięciem połowy braci muzułmańskiej.

– Nie martw się – powiedział Toivonen. – Ta sprawa na pewno nie trafi na twoje biurko. Poza tym mogę cię uspokoić

w jeszcze jednej kwestii.

– Wspaniale – powiedział Bäckström. – Nie mogę się doczekać.

– To nie Åkare spuścił lanie Erikssonowi.

– Skąd wiesz?

– Jestem tego tak samo pewien jak tego, że to Åkare i Garcia Gomez zjawili się u niego później w nocy. Gdy Garcia Gomez maltretuje ciało i podrzyna gardło psu, Åkare siedzi w samochodzie stojącym na ulicy, w tym mercu, którym przyjechali.

– Pozwolisz, że zapytam – powiedział Bäckström – skąd to wiesz?

– Po prostu wiem – powiedział Toivonen. – Nie chcę o tym potem czytać w gazetach, to wszystko.

– Słyszę, co mówisz – powiedział Bäckström i wzruszył ramionami. Pajac stracił nad sobą panowanie, pomyślał. Pewnie pół nocy spędził w saunie, zalewając robaka, pomyślał.

121

Po wyjściu Toivonena Bäckström zakończył naradę i zaprosił swoich najbliższych współpracowników do gabinetu, żeby się zorientować w bieżącej sytuacji. Lepiej mieć to jak najszybciej z głowy, zanim padnę z głodu, pomyślał.

– Aha – zaczął Bäckström, gdy Lisa Lamm i Annika usiadły po drugiej stronie jego biurka. – Może zaczniesz, Lisa? Przedstaw aktualną sytuację w świetle prawnym, żebyśmy to objęli naszymi prostymi umysłami.

Z tej punktu widzenia w żadnym wypadku nie znaleźli się w sytuacji kryzysowej. Teraz musiała już tylko uzupełnić ich początkowe zgłoszenie zabójstwa lub pobicia ze skutkiem śmiertelnym.

– Jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby wykluczyć oskarżenie ich o morderstwo czy o napaść. Jeśli pobili Erikssona, choć wiedzieli o stanie jego zdrowia, i pozwolili mu umrzeć, na pewno tak tego nie zostawię – podsumowała Lisa Lamm.

– A to, że możemy wykluczyć winę Åkarego? – powiedział

Bäckström. – Co wie nasz fiński kolega, czego nie wiemy my?

– Widocznie obserwowali Åkarego tamtego wieczoru, kiedy zginął Eriksson. Do nas, zwykłych funkcjonariuszy, nie docierają tego typu informacje – powiedziała Carlsson.

– Możliwe – powiedział Bäckström, bo też mu to przyszło do głowy.

– No dobra – powiedziała Lisa Lamm. – Działamy jak zwykle. Pomyślałam, że można by zacząć od lunchu, a jeśli zechcielibyście mi towarzyszyć, byłoby miło.

– Niestety – powiedział Bäckström i pokręcił przepraszająco głową. – Chętnie, ale mam spotkanie i dziś muszę przełożyć lunch.

– Poświęć mi kwadrans – powiedziała Annika Carlsson. – Spotkamy się w stołówce.

Gdy wychodził z biura do czekającej na zewnątrz taksówki, by udać się na swój mocno już spóźniony lunch, zatrzymała go Nadja.

– Lepiej, żeby to było cholernie ważne – powiedział Bäckström, bo już czuł, jak kiszki skręcają mu się z głodu.

– Przed chwilą rozmawiałam z Toivonenem. Dał mi cynk na temat tego srebrnego mercedesa.

– I co, da się coś z tym zrobić? – zapytał Bäckström.

– Dopiero do tego siadłam – powiedziała Nadja. – Nie ma go na liście samochodów, które sprawdzaliśmy. Jest zarejestrowany w Malmö. Jego właścicielem jest tamtejsza firma, nie napotkałam jednak żadnych nieprawidłowości, które należałoby sprawdzić.

– Masz jego numer rejestracyjny – stwierdził Bäckström.

– Tak – odpowiedziała Nadja. – Właśnie dlatego mam wątpliwości. To tak zwana spersonalizowana tablica rejestracyjna. Jakoś trudno mi uwierzyć, żeby Åkare jeździł czymś takim. Poza tym nie widzę żadnych powiązań między Åkarem i spółką, do której należy samochód.

– Co było napisane na tablicy?

– Genco.

– Genco – powtórzył Bäckström i pokręcił głową. Gdzie ja to już, kurwa, słyszałem, zastanowił się.

Wreszcie się pozbyłam tego małego tłuściocha, pomyślała Annika Carlsson, gdy Bäckström zniknął za drzwiami na korytarz. Usiadła obok Nadji, żeby podzielić się z nią tym, o czym rozmyślała od ponad godziny, to znaczy od chwili, gdy Toivonen powiedział, że ich świadek najwyraźniej został zamordowany.

– Straszne – powiedziała Annika. – Przecież mówiłam mu, żeby się nie wychylał.

– Opowiadaj – powiedziała Nadja i poklepała ją pocieszająco po ramieniu. Annika naprawdę się przejmuje, pomyślała. Do tego ma w sobie coś takiego, co pociąga i jednocześnie przeraża kolegów, przez co niektórzy pewnie nie śpią nocami, choć nigdy by się do tego nie przyznali.

– Ponad tydzień temu pokazywałam mu zdjęcia – powiedziała Annika – powiedział wtedy coś, co mnie zaskoczyło. Na jednym z nich rozpoznał Omara Ben Kadera. Nie dlatego, że to jego o mało co nie potracił przed domem Erikssona, ale dlatego, że jak twierdził, byli kolegami z dzieciństwa. Podobno chodzili razem do szkoły.

– Omar Ben Kader. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy to nie jest najbliższy człowiek Omara Parisafara, jego doradca? – zapytała Nadja.

– Owszem – powiedziała Annika. – Mogłabyś sprawdzić, czy rzeczywiście chodzili razem do szkoły? To było w Gnosjö jakieś piętnaście, dwadzieścia lat temu.

– Jasne. Bułka z masłem. Spróbuję jeszcze dzisiaj.

– Pewnie się zastanawiasz, dlaczego...

– Rozumiem – przerwała Nadja. – Jeśli Omar Parisafar i Omar Ben Kader wykorzystali dawnego kolegę ze szkoły Omara Ben Kadera, żeby zwabić do siebie Åkarego i Garcję Gomeza, byłoby niedopełnieniem obowiązków zawodowych nie poinformować o tym kolegów z Södermanlandu.

– Wiesz może, kto od nich prowadzi dochodzenie? – zapytała Annika.

– Z tego, co słyszałam, Lewin z wydziału kryminalnego komendy głównej – powiedziała Nadja. – Tak chciał komendant wojewódzki z Södermanlandu.

– Jan Lewin. Mąż naszej szefowej.

– We własnej osobie.

Jan Lewin, mąż Anny Holt. Jaki ten świat mały, pomyślała Annika Carlsson i tylko pokiwała głową.

123

Na początek Bäckström przygotował porządny lunch, żeby sobie przywrócić właściwe stężenie cukru we krwi, które o tej porze spadało do poziomu jego ręcznie szytych butów. Smażona wieprzowina z kaszanką i świeżymi borówkami, dwa zimne piwa i dwa porządne drinki. Potem zapadł się w swojej kanapie z filiżanką zasłużonej kawy i małym koniaczkiem i zadzwonił do swojego osobistego reportera z największej popołudniówki, by przekazać mu najnowsze informacje na temat zabójstwa najbardziej znanego mafijnego adwokata, które nie schodziło z nagłówek wydań we wszystkich mediach. Warte co najmniej sześciocyfrowej kwoty, do której mógłby jeszcze doliczyć bonus w postaci lekcji zasad dla jego tak zwanego kolegi, fińskiego pijaczyny Toivonena, ze świętego prawa ochrony źródeł informacji i zasad wolności słowa w demokratycznym państwie prawa.

W ciągu kolejnej godziny poinformował swojego osobistego reportera o ostatnich wydarzeniach na froncie regularnej wojny gangów, jaka wybuchła wraz ze śmiercią adwokata, który przez wiele lat był doradcą najbardziej brutalnego ugrupowania w historii szwedzkiej przestępczości zorganizowanej, The Brotherhood of the Parisafars. Tego samego, które w ciągu zaledwie kilku ostatnich lat „wypłaciło co najmniej dwadzieścia milionów koron swojemu prawnikowi, adwokatowi Thomasowi Erikssonowi”.

– Cztery zabójstwa w zaledwie tydzień – podsumował Bäckström. – Najpierw ginie Eriksson. Potem Parisafar i jego ludzie mszczą się, zabijając Åkarego i Garcję Gomeza, i na

wszelki wypadek pozbywają się również świadka, który mógł mieć kluczowe znaczenie dla dochodzenia – podsumował Bäckström.

– Bäckström, Bäckström – westchnął reporter, któremu brakowało już słów.

– Wierz mi – powiedział Bäckström. – To dopiero początek. Jak wiesz, przemoc rodzi przemoc. Jeszcze przed końcem lata po obu stronach będzie znacznie więcej ofiar zabójstw, tortur i okaleczeń. Nie zapominajmy, że nawet zupełnie niewinni ludzie są w niebezpieczeństwie. Nie tylko świadkowie próbujący spełnić swój obywatelski obowiązek, ale również ci członkowie społeczeństwa, którzy najzwyczajniej w świecie znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

– Jak chcesz, żebyśmy cię nazwali? – zapytał reporter. – Pasuje ci nadal „wysoko postawione źródło w kierownictwie policji”?

– „Mające pełny wgląd w śledztwo” – uzupełnił Bäckström. Żeby ten fiński pijaczyna mógł skosztować nieco tego gówna, którym chciał go obrzucić, pomyślał.

– W takim razie do jutra – zakończył reporter, bo musiał już uciekać, jeśli miał zdążyć z przygotowaniem jutrzejszego wydania poświęconego prawdziwej masakrze, jaką właśnie urządził przestępczy półświatek.

– Okej – powiedział Bäckström. – A, jeszcze jedno... – dodał, bo przyszła mu do głowy myśl, która przeleciała mu przez głowę już wcześniej, kiedy Nadja opowiadała o tablicy rejestracyjnej mercedesa, którego szukali. – Masz tam kogoś w gazecie, kto się zna na filmach?

– Ronny, nasz reporter filmowy.

– Ronny?

– No tak, Ronny Szpula. Tak się podpisuje na swoim blogu i Twitterze, na którym poleca różne dziwne produkcje. Ronny Szpula, no wiesz, szpula filmowa.

– Mówisz, że zna się na filmach?

– Czy zna się na filmach? To światowa liga, Bäckström. Jeśli Ronny nie zna odpowiedzi na jakieś pytanie, to znaczy, że to, o co pytasz, nigdy się nie znalazło na taśmie filmowej. Potrafi

cytować z pamięci napisy końcowe. Na pewno widziałeś go w naszym kanale telewizyjnym. Ronny Szpula przedstawi. Wielki, postawny koleś w hawajskiej koszuli. Jesteście nawet do siebie trochę podobni. To znaczy z wyglądu.

– Nie masz przypadkiem jego numeru? – zapytał Bäckström. Fajny koleś, pomyślał Bäckström, który chodził tak ubrany zawsze, gdy tylko pozwalała na to pogoda.

– Jasne – odpowiedział reporter. – Dam ci jego prywatny, jeśli nie zdradzisz, od kogo go dostałeś. O co chcesz go zapytać? Czy to jest coś, o czym powinniśmy napisać w gazecie?

– Jeśli tak będzie, dowiesz się o tym jako pierwszy – powiedział Bäckström.

Po skończonej rozmowie Bäckström zadzwonił do Ronny'ego Szpuli i nagrał się na jego sekretarkę.

– Z tej strony Bäckström. Jestem z policji, wydaje mi się, że może mi pan pomóc w pewnej sprawie.

Czas na poobiednią drzemkę, pomyślał, bo jego ulubiona fińska kelnerka obiecała, że wpadnie do niego, żeby posprzątać, pozmywać i generalnie ogarnąć mieszkanie przed nocną zmianą w jego ulubionej lokalnej knajpie.

Muszę chwilę odpocząć, pomyślał, i w tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi.

124

W pierwszej chwili pomyślał, że to Finka przyszła trzy godziny wcześniej, bo nie mogła się już doczekać, ale okazało się, że za drzwiami stoi jego sąsiad, mały Edvin z poważną miną i eleganckim przedziałkiem na wysokości szpary na listy. Przyszedł powiedzieć, że Izaak w końcu odleciał na drugą stronę, pomyślał i szybko otworzył drzwi.

– Wejdz, Edvin, wejdz, proszę. Czy coś się stało? – zapytał, udając zaniepokojonego.

Mały Edvin zachowywał się jak zawsze. Mały, poważny człowieczek na początek wyraził nadzieję, że nie przeszkadza panu inspektorowi. Zanim zadzwonił do drzwi, przyłożył ucho do szpary na listy, tak jak nauczył go Bäckström, i miał

wrażenie, że Bäckström jest w domu, ale nigdy nie można mieć pewności.

– Spokojnie. Nic się nie martw, mały – powiedział Bäckström i poklepał go po głowie. – Przyszedłeś pewnie, żeby mi coś powiedzieć. – Dobrze, że nie wślizgnął się po prostu przez szparę na listy, pomyślał.

– Mam dla pana inspektora dobre wieści – powiedział Edvin i skinął głową.

Nareszcie, pomyślał Bäckström, spoglądając z nadzieją ku górze.

Edvin przyszedł, żeby powiedzieć, że Izaak wyzdrowiał i ma się dobrze. Co prawda wciąż jest lekko przybity, ale dostał zgodę na opuszczenie szpitala jeszcze przed weekendem. Edvin zdecydował się zaczekać prawie tydzień z tą radosną nowiną z dwóch powodów. Po pierwsze, jak zrozumiał z gazet, pan inspektor był zajęty prowadzeniem dochodzenia w sprawie zabójstwa i w związku z tym być może nie był w stanie zagwarantować Izaakowi należytej opieki. Po drugie wolał zaczekać do czasu, aż Izaak całkowicie wyzdrowieje, żeby nie dawać Bäckströmowi płonnej nadziei.

– Gdzie on teraz jest? – wydusił Bäckström. O czym, kurwa, ten okularnik gada, pomyślał.

Ostatni tydzień rekonwalescencji Izaak spędził w pokoju Edvina. Miał doskonałą opiekę i chociaż ciągle był pod wpływem traumy, istniała nadzieja, że już wkrótce będzie taki jak dawniej. Edvin przyszedł tylko zapytać, czy ma jeszcze przez chwilę zatrzymać go u siebie, mając na względzie ilość obowiązków Bäckströma.

Gówniarz nie jest całkiem stracony, pomyślał Bäckström, i nie miał na myśli Izaaka, tylko Edvina.

– Porozmawiajmy – zaproponował Bäckström. – Chcesz się czegoś napić? Może soku?

– Dziękuję – odpowiedział Edvin. – Z przyjemnością napiję się soku.

Bäckström wyszedł do kuchni, żeby przeszukać lodówkę i szafki, nagle jednak dotarło do niego, że żaden normalny dorosły mężczyzna nie ma w domu soku. Zamiast tego wziął

puszkę coca-coli dla Edvina i butelkę zimnego piwa dla siebie.

– Sok niestety się skończył – skłamał Bäckström. – Może być coca-cola?

Jego gość uznał coca-colę za świetną propozycję. Zarówno jego mama Dusanka, jak i jego tata Slobodan pili coca-colę z dużych szklanek, gdy wieczorami oglądali telewizję, i Edwin rozumiał, że picie coca-coli sprawia ludziom przyjemność. Nawet jeśli on sam wołał sok malinowy.

– To co robimy, inspektorze? – powiedział Edwin i spojrzał na niego zza grubych szkieł. – Czy mam zatrzymać Izaaka jeszcze przez jakiś czas, czy woli pan inspektor, żebym go oddał już teraz? Mogę zapisać jego lekarstwa na kartce. Żeby ułatwić leczenie.

Niestety z uwagi na obłożenie pracą Bäckström musiał na razie przystać na pierwszą opcję, choć bardzo już tęsknił za swoim małym Izaakiem.

– Słuszna decyzja, panie inspektorze – zgodził się Edwin. – W takim razie ustalamy, że zostanie u mnie jeszcze przez jakiś czas, a pan inspektor da znać, gdy tylko rozluźni się u pana w pracy.

Zanim Edwin wyszedł, Bäckström wyłuskał z kieszeni stosowną liczbę banknotów i włożył do jego małej rączki.

– Będziesz miał na jedzenie i co tam jeszcze potrzeba.

– To stanowczo za dużo – zaprotestował Edwin, otwierając szeroko oczy na widok banknotów w jego dłoni.

– Dużo, ale leki dla papug raczej nie są gratis – powiedział Bäckström i poklepał Edvina po głowie. – Daj znać, gdybyś potrzebował więcej. – Tyle chyba zrozumie, pomyślał.

Zanim Bäckström zapadł w poobiednią drzemkę, myślał o swoim małym sąsiedzie, i to wyłącznie dobrze. Odpowiednio użyty, mały Edwin mógłby się nawet przydać do pracy w policji, pomyślał. Cienki jak nić dentystyczna, wysoki na długość przedramienia i zwinny jak wąż. Do przeszukiwania ciasnych pomieszczeń mały Edwin byłby lepszy od niejednego psa policyjnego, pomyślał Bäckström w chwili, gdy Piaskowy Dziadek położył swą dłoń na jego ciężkich powiekach.

Wieczorem, gdy wrócił z kolacji w swojej lokalnej knajpie,

zadzwoił GeGurra, żeby spytać, jak mu idą poszukiwania Pinokia.

Bäckström wyraził swój ostrożny optymizm i zanim zakończyli krótką rozmowę, ustalili, że spotkają się następnego wieczoru, żeby szczegółowo omówić dalsze prace.

– Może spotkamy się u mnie i coś razem zjemy? – zaproponował GeGurra. – Będziemy przynajmniej mieli spokój. Znam świetną firmę cateringową, która wszystkim się zajmie, o nic się, bracie, nie martw.

Biorąc pod uwagę, że cała robota w zasadzie była już wykonana i że – jakkolwiek na to spojrzeć – chodziło o dwa miliony, Bäckström nie miał żadnych uwag.

– Doskonale – powiedział GeGurra. – W takim razie widzimy się u mnie na Norr Mälarstrand o ósmej.

125

Choć nastał późny wieczór, Bäckström siedział przed komputerem jeszcze do północy, co zrekompensował sobie następnego ranka, dzwoniąc do pracy zaraz po przebudzeniu, żeby odwołać poranną naradę zespołu dochodzeniowego. Kiedy wszedł do biura, pierwszą osobą, którą napotkał, była Annika Carlsson, tak wściekła, że wołał porozmawiać z nią w swoim gabinecie i najchętniej o czymś innym niż o odwołanych naradach z przygłupimi kolegami, którzy lepiej zajęliby się swoimi sprawami i dali mu wreszcie święty spokój.

– Masz jakieś wiadomości od Rosity? – zapytał Bäckström, gładko rozpoczynając rozmowę od uniku. – Powinienem się martwić?

Z jakiegoś powodu Annika nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Z tego, co się orientowała, wiele przemawiało za tym, że koleżanka Rosita Andersson-Trygg będzie na zwolnieniu jeszcze przez dłuższy czas.

– Nie zaraziła się przypadkiem ptasią grypą albo jakimś innym badziewiem?

– Nie, dlaczego pytasz? – odpowiedziała Annika Carlsson, z trudem kryjąc zaskoczenie.

– No wiesz, wydawało mi się, że bardzo interesuje się zwierzętami, a one mogą przenosić na ludzi wiele różnych chorób. Liszajec, wścieklizna, pryszczycza, choroba papuzia, no wiesz – Bäckström wzruszył ramionami. A nawet tularemia, pomyślał. Wszystko przez te zwierzęta.

– Pogadaj o tym z Holt – powiedziała Annika. – Moim zdaniem to się raczej wiąże z tym, o czym pisały gazety. Pewnie źle się stało, że ten portret pamięciowy trafił do mediów. Biorąc pod uwagę, co się przydarzyło naszemu świadkowi, nie możemy przecież wykluczyć, że Åkare i Garcia Gomez potrafią czytać.

– Dziennikarze to hieny – westchnął Bäckström.
– Przestałem już w ogóle czytać gazety.

– No tak, po co by ci to zresztą było – z jakiegoś powodu odpowiedziała Carlsson. – A teraz wybacz, mam trochę roboty.

Pewnie ma okres, nic to, trzeba się wziąć do roboty, pomyślał Bäckström i westchnął zadowolony na myśl o czekających go atrakcjach. Na lunch będzie tapas, pomyślał. Potem Panna Piątek, poobiednia drzemka i porządna kolacja u GeGurry na zakończenie pracowitego tygodnia.

Taksówka, pomyślał. Zerwał się z krzesła i wybrał numer Taxi Stockholm.

Gdy inspektor Evert Bäckström jechał taksówką na lunch, jego koleżanka komisarz kryminalna Annika Carlsson próbowała się skontaktować z Janem Lewinem z zespołu do spraw zabójstw, który prowadził dochodzenie w sprawie potrójnego zabójstwa w Södermanlandzie. Lewin na początek przeprosił, że nie odezwał się pierwszy, ale miał zwyczajnie za dużo na głowie, jak to się z reguły działo we wstępnej fazie dochodzenia w sprawie zabójstwa. Zwłaszcza jeśli było to dochodzenie o takiej skali.

Następnie podziękował za informację, którą dostał od niej i jej kolegów z Solny. Podobnie jak ona uważał, że wiele wskazywało na to, że ich świadek, taksówkarz, był ogniwem łączącym obie ofiary – Åkarego i Garcję Gomeza – z prawdopodobnym sprawcą morderstwa, Omarem Parisafarem i jego świtą. Motywem zbrodni był ciągnący się od

lat krwawy konflikt między HA i Bractwem Parisafarów. A bezpośrednim impulsem – zabójstwo adwokata Thomasa Erikssona, prawnika pracującego dla Omara Parisafara.

– Wiele wskazuje na to, że przede wszystkim chcieli dopaść Ākarego – stwierdził Lewin. – Zdaniem lekarza sądowego wygląda na to, że powiesili go na pętli z metalowego drutu i gdy jeszcze żył, zabawiali się, strzelając do niego, popychając go i tnąc nożem.

– A Garcia Gomez i taksówkarz? Udało wam się ustalić coś więcej?

– Leżą w przedpokoju na parterze domu. Dostali po kulce w głowę, jeden za drugim, *execution style*, jak mówią nasi amerykańscy koledzy. Wygląda na to, że pierwszy oberwał Garcia Gomez. Taksówkarz Ara jest cały w jego krwi, więc pewnie Garcia Gomez zginął w chwili, gdy próbował się dostać do Ary. Zaraz potem zginął Ara.

– Z tej samej broni?

– Na to wygląda – powiedział Lewin. – Dziewięć milimetrów, łuski wskazują na nabój grzybkujący, dokładne informacje będziemy mieć po południu. Wyślę ci mailem.

– Masz coś jeszcze?

– Tylko tyle, że się z tobą zgadzam – powiedział Lewin. – Użyli waszego świadka, żeby zwabić do siebie Ākarego i Garcję Gomeza, a kiedy z nimi skończyli, posłali go na tamten świat razem z nimi, dla towarzystwa. Po tym, co się stało, nie mieli wyboru.

Miły chłopak z tego Omara Ben Kadera. Prawdziwy przyjaciel, na śmierć i życie, pomyślała.

126

Na początek tapas na Flemingatan, gdzie wypił koniak na strzeżennego w pełnym słońcu na tarasie.

Następnie Panna Piątek, dla której przygotował małą niespodziankę. Najpierw strzelił jej minetę, potem dał jej do spróbowania niebiańskiej ambrozji, a na koniec zaprosił na wspólne rodeo.

Po wszystkim przeszedł się spokojnym krokiem do swojego przytulnego mieszkanka i szerokiego łóżka z Hästens. Gdy zamykał drzwi, zadzwonił telefon.

– Słucham – warknął do słuchawki.

– Czy to inspektor Bäckström? – odezwał się głos na drugim końcu linii.

– Zależy – odpowiedział. – Kto mówi?

– Ronny – powiedział Ronny aka Ronny Szpula. – Nagrał mi się pan na pocztę. Podobno potrzebuje pan mojej pomocy.

– Świetnie – powiedział Bäckström. – Pod warunkiem, że to zostanie między nami.

– Wiadomo – powiedział Ronny. – Dyskrecja przede wszystkim – dodał.

– Jakbym powiedział: Genco. Co byś pomyślał?

– Najlepszy film w historii kina – stwierdził Ronny. – Miał premierę w Szwecji dwudziestego ósmego lipca siedemdziesiątego piątego. Wszedł tego samego dnia do Rigoletto, Draken i Spegeln w Sztokholmie. Premiera w USA dwunastego grudnia, rok wcześniej. W Nowym Jorku.

– Coś jeszcze? – powiedział Bäckström. O czym on gada, pomyślał.

– Genco Olive Oil, import and export. To była pierwsza spółka Vito Corleone, którą założył po emigracji do Stanów. Urodził się jako Vito Andolini we wsi Corleone na Sycylii, a najlepszy film na świecie mówi o jego życiu.

– *Ojciec chrzestny* – powiedział Bäckström i poczuł, jakby nagle go oświeciło.

– *Ojciec chrzestny 2* – poprawił go Ronny.

– Bardzo dziękuję – powiedział Bäckström. W szkole pewnie był dyżurnym, pomyślał.

– Czy mogę spytać, skąd to pytanie?

– Naturalnie – powiedział Bäckström. – Proszę jednak nie spodziewać się, że odpowiem. Co jeszcze mogę dla pana zrobić?

– Może ta hawajska koszula, którą tak często pan nosił w letniej serii *Poszukiwany* – powiedział Ronny.

– Oczywiście – powiedział Bäckström. – Na jaki adres ją wysłać?

– Na moje nazwisko, adres redakcji – powiedział Ronny.

– Dostanie pan pocztą – skłamał Bäckström, bo nawet ktoś taki jak Ronny Szpula powinien wiedzieć, że w tych czasach listonosze kradli jak sroki i że tego typu przesyłka zniknęłaby w tej samej chwili, w której znalazłaby się w skrzynce na listy.

– Dzięki, naprawdę dzięki – powiedział Ronny takim tonem, jakby rzeczywiście w to uwierzył.

– Nie ma za co – powiedział Bäckström. Chyba nie załapał, pomyślał, kończąc rozmowę.

Kolacja u GeGurry była naprawdę przyjemnym zakończeniem dnia. Najpierw uraczyli się lżejszymi napojami i mieszanką ciepłych i zimnych przekąsek. Następnie zjedli tradycyjny trzydaniowy obiad w jadalni GeGurry, a na koniec usiedli w bibliotece z kawą i koniakiem, żeby omówić swój ostatni wspólny interes.

– Jak ci idą poszukiwania Pinokia i jego nosa? – zapytał niecierpliwie GeGurra.

– Do przodu – odpowiedział Bäckström i skinął ociężale głową. – Choć jeszcze zbyt wcześnie, by mówić o przełomie w śledztwie.

– Z tego, co piszą w gazetach, ślady prowadzą na dwór królewski i do samego króla – nie odpuszczał GeGurra. – Choć osobiście trudno mi się pogodzić z myślą, że Jego Królewska Wysokość miałby mieć coś wspólnego z kimś takim jak Eriksson.

– Oczywiście, to jasne – zapewnił Bäckström. – Niestety zwykle, kiedy ma się do załatwienia trudniejszy temat, trafia się na takich jak Eriksson. Nie musisz się więc obawiać o prowizję. Problem w tym, że trop urywa nam się w domu tego nieszczęśnika Erikssona.

– Miejmy nadzieję, że nie jest aż tak źle – powiedział GeGurra i wyglądał, jakby rzeczywiście miał to na myśli. – To byłaby wielka strata dla świata historii sztuki.

– Tak źle chyba nie będzie – powiedział Bäckström i pogładził się po zaokrąglonym nosie. – Być może jednak mógłbyś mi w czymś pomóc.

– Zamieniam się w słuch.

– Nazwisko twojego znajomego. Tego, który interesował się portretem tego grubego mnicha.

– Chodzi o obraz świętego Teodora pędzla Aleksandra Wersjagina?

– Dokładnie – powiedział Bäckström.

– Całkowita dyskrecja?

– Naturalnie – powiedział Bäckström i pokiwał zachęcająco głową.

– Skoro tak – westchnął GeGurra i wzruszył lekko ramionami. – Skoro tak, mogę zrobić wyjątek od moich zasad. Zresztą wydaje mi się, że jego nazwisko nie jest ci obce. Podobno jest legendą w twoim rejonie.

– Jak się nazywa? – zapytał Bäckström.

– Mario Grimaldi, Ojciec Chrzestny, no wiesz.

127

Przez większość weekendu Bäckström zastanawiał się nad smutnymi okolicznościami zejścia adwokata Thomasa Erikssona i zawilościami prawnymi, które zresztą z przyjemnością przekazał Lisie Lamm. Co innego go interesowało. Poza tym zjadł, wypił i zażył ruchu na świeżym powietrzu. „W zdrowym ciele, zdrowy duch” stało się jego nowym mottem życiowym i nie wyobrażał sobie, żeby mógł choćby w małym stopniu z niego zrezygnować.

Resztę czasu spędził na skracaniu niekończącej się kolejki stęsknionych kobiet, które ustawiły się do jego supersalami. Dołączyły do nich dwie nowe, o jak do tej pory niesprawdzonych umiejętnościach. W sobotę po południu spotkał się z dwudziestopięcioletnią stylistką paznokci, która sądząc po zdjęciach, jakie zrobiła sobie kamerką internetową, w czysto fizycznym sensie zapowiadała się naprawdę interesująco, jednak gdy doszło do spotkania, okazała się zwykłą oszustką.

Słaba czwórka, najwyżej słaba czwórka, pomyślał Bäckström, kiedy wreszcie było po wszystkim i mógł ją odesłać do domu, na brzydkie przedmieścia, gdzie pewnie mieszkała.

Zapowiadaną kolację musiał niestety odwołać, ponieważ właśnie dostał pilny telefon służbowy i musiał jechać na miejsce zabójstwa, do którego doszło w Rinkeby.

– Boże, to straszne – powiedziała stylistka paznokci, zbierając się do wyjścia. – Na szczęście są tacy jak ty. Obiecaj mi, że jeszcze się spotkamy.

– Naturalnie – skłamał Bäckström. – Musimy to powtórzyć.

Przez resztę dnia oddawał się rutynowym czynnościom, a wieczór zakończył kolacją w Operakällaren w swoim własnym towarzystwie.

Niedziela była bardziej udana, dużo bardziej udana. Zjadł lunch w towarzystwie trzydziestopięcioletniej księgowej z własną firmą i kiedy doszli do sedna sprawy, okazało się, że trafił na pozbawioną wszelkich zahamowań seksoholiczkę, której w życiu nie powierzyłby żadnych dokumentów ani pieniędzy. Ciekawe zresztą, do czego potrzebna jej była firma, skoro posiadała tego rodzaju kwalifikacje. Mocna ósemka, może nawet słaba dziewiątka, co powinno zapewnić jej pierwsze miejsce wśród wszystkich księgowych na świecie, pomyślał Bäckström. Wyobraził ją sobie nawet na podium po mistrzostwach świata w seksie dla księgowych. Widział, jak stoi tam z gołym tyłkiem, ciężkimi piersiami bez stanika i zaparowanymi okularami na czubku nosa.

– Obiecaj, że niedługo znów się spotkamy – powiedziała, gdy już stała w korytarzu

– Możesz być spokojna – powiedział Bäckström, bo zdążył ją już dodać do książki adresowej w swoim telefonie.

Następnie położył się do łóżka i tak jak wiele razy wcześniej prawda spłynęła na niego we śnie bez najmniejszego wysiłku z jego strony. Pewnie tak właśnie mieli wybrani, którzy jak on dostali dar widzenia rzeczy takimi, jakie są, a nie takimi, jakie się tylko wydają. Biorąc pod uwagę, kim była jego tak zwana ofiara zabójstwa, nie mógłby zresztą wymyślić lepszego zakończenia całej tej historii.

Gdy w poniedziałek rano siedział na tylnym siedzeniu taksówki w drodze do komendy w Solnie, wiedział już prawie na pewno, jaki był przebieg zdarzeń, które doprowadziły do

zabójstwa. Musiał jeszcze tylko ustalić kilka szczegółów, a potem będzie już mógł się zająć najważniejszym. Chciał w sposób możliwie najbardziej dyskretny upewnić się, że mały Pinokio i jego długi nos zostaną u swojego nowego właściciela, inspektora kryminalnego Everta Bäckströma.

CZEŚĆ VII

Prokurator zamyka dochodzenie w sprawie zabójstwa Thomasa Erikssona.

128

Kolejny tydzień Bäckström rozpoczął od rozmowy z Nadją.

– Co wiemy na temat spółki, do której należy ten mercedes? – zapytał.

– Całkiem sporo – stwierdziła Nadja. – Genco spółka akcyjna powstała w styczniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego, dokładnie pół roku przed wejściem *Ojca chrzestnego 2* do szwedzkich kin. Zajmowała się przede wszystkim importem i sprzedażą włoskich delikatesowych produktów spożywczych – oliwy z oliwek, makaronów, win, kiełbas, szynki i serów. Wydaje się, że był to trafiony i dochodowy interes.

Hurtownia spożywcza, biuro i magazyn pod Malmö, dziesiątka zatrudnionych. W ciągu blisko czterdziestu lat prowadzenia działalności ani razu nie wykazała straty, ani nie miała żadnych problemów z urzędami. Płacili na czas zaliczki na podatek dochodowy i wszystko działało u nich bez zarzutu. W ostatnich latach wykazywali obrót na poziomie około dwudziestu milionów rocznie.

– Oczywiście to nic wyjątkowego, jednak dawniej było to około miliona rocznie – podsumowała Nadja.

– Dlaczego wypożyczają swoje samochody? – zapytał Bäckström.

Zdaniem Nadji była to raczej zaszłość historyczna z czasów, kiedy ich działalność była bardziej zdywersyfikowana. Wówczas to spółka zajmowała się między innymi prowadzeniem restauracji i jadalni, cateringiem oraz organizacją imprez. W pewnym momencie przejęła mniejszą

spółkę, która zajmowała się wynajmem samochodów. Tę gałąź biznesu zlikwidowano, a jedynym, co pozostało z tamtych czasów, jest wspomniany mercedes.

– Czteroletni, w momencie zakupu kosztował około miliona netto. Dzisiaj byłby wart jakieś pół miliona – stwierdziła Nadja.

– Wygląda mi to na zwykłą pralnię pieniędzy – zauważył Bäckström.

Nadji również przyszło to do głowy, choć nie była pewna, czy tak rzeczywiście było.

– Może rzeczywiście robią to, co twierdzą, że robią. Przecież są już na rynku od wielu lat i ani policja, ani urząd podatkowy najwyraźniej się ich nie czepiali.

– Do kogo należy spółka? – zapytał Bäckström.

– Zdaje się, że właścicielką jest jakaś wystrzałowa babka – Nadja uśmiechnęła się pod nosem. – Andrea Andolini, dziewięćdziesiąt dwa lata. Od pięćdziesięciu lat mieszka w Malmö, od tego też czasu jest obywatelką Szwecji. Przez całe życie pracowała w branży restauracyjnej i pewnie trafiła tu wraz z pierwszą falą emigracji zarobkowej w latach sześćdziesiątych. Nigdy nie wyszła za mąż, nie ma dzieci, dziś jest prezesem zarządu spółki.

– Taa, podejrzone typy ci makaroniarze – westchnął Bäckström.

– Pewnie się zastanawiasz, czy jest spokrewniona z Ojcem Chrzestnym – powiedziała Nadja. – Wyobraź sobie, że ja też czasem oglądam filmy – dodała, widząc jego zaskoczenie.

– Słucham – powiedział Bäckström. Ostra jak brzytwa, pomyślał.

– Zwróciłam uwagę na nazwę spółki, całą resztę znalazłam w sieci. Andrea Andolini jest ciotką Ojca Chrzestnego. Choć nie tego Vito Corleone, z domu Andolini, tylko naszego lokalnego Ojca Chrzestnego, z Solny. Mario Grimaldi, który tak na marginesie pochodzi z Neapolu, a nie z Sycylii.

– Domyślałam się.

– Naturalnie. Prawda, jak to się czasem dziwnie składa? – zauważyła Nadja.

– Znajdź jakieś dobre zdjęcia Grimaldiego, to przejdziemy się

z nimi po sąsiadach Erikssona. Zdaje się, że jakiś świadek widział siwego starucha siedzącego na schodach do domu Erikssona. Czy to nie było wtedy, kiedy umarł Eriksson?

– Już się tym zajęłam. Felicia miała z nim porozmawiać dziś rano.

129

Poważnie uszczuplony zespół dochodzeniowy nie wydawał się pałać entuzjazmem. Był poniedziałek rano, a dwoje lekarzy sądowych prawdopodobnie pozbawiło ich mordercę możliwości spędzenia reszty życia za kratkami, w najgorszym razie skracając wyrok do marnych kilku lat.

– Cieszę się, widząc wasz entuzjazm – stwierdził Bäckström i spojrzął z wyrzutem na zebranych.

– Nie dziw się, nie po tym, co powiedzieli nam lekarze sądowi o tym, co się stało w Nyköping z Åkarem, Garcją Gomezem i naszym świadkiem – stwierdziła Annika Carlsson.

– Mów za siebie – wtrącił Bäckström. – Ja nie zamierzam tak tego zostawić. Dorwę tego chwilowo anonimowego sprawcę, który tak przywalił Erikssonowi, że nie wytrzymało mu serce. To po pierwsze.

– Zanotowałam – powiedziała Annika Carlsson.

– Nie przerywaj. Chcę też dorwać jego równie anonimowego współnika, który narobił na kanapę Erikssona, a jeśli zrobił to tylko po to, żeby się z nas ponabijać, zostanie mu postawiony zarzut wyrządzenia umyślnej szkody. To po drugie. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

– Jak najbardziej – przyznała Annika Carlsson. – Co jeszcze możemy zrobić dla szefa?

– Ustalcie, co tak naprawdę wydarzyło się tego wieczoru w domu Erikssona. Dlaczego zwykła sprzeczka o kilka obrazów zamieniła się w wojnę gangów. To po trzecie.

– Oczywiście, szefie. Czy coś jeszcze?

– Wszystkie techniczne szczegóły i sprawy papierkowe z przyjemnością powierzam tobie – powiedział Bäckström.

– Przekaż wszystko, co mamy na temat Åkarego, Garcii

Gomez a i Omara Parisafara kolegom z Södermanlandu. Nie zapomnij ich spytać, czy nie mogą też przejąć spraw grózb pod adresem Danielssona i tej dziewczyny, która pracuje u niego w kancelarii.

– Już to zrobiłam – powiedziała Annika Carlsson.

– Dobra – powiedział Bäckström. – Godzinę jutrzejszego spotkania poznacie jeszcze dzisiaj. Rozumiem, że są już wszyscy i możemy wreszcie zakończyć tę smutną historię. Róbcie, co wam mówię. To chyba nic trudnego?

130

Felicia z czegoś się cieszy, pomyślał Bäckström, gdy wyszedł z narady i zobaczył, jak koleżanka uśmiecha się i macha do niego.

– Do mojego pokoju – powiedział, pokazując otwartą dłoń.

Świadek od razu wskazał go na zdjęciach. Nie miał najmniejszych wątpliwości i mógł dać głowę za to, co mówi, choć starszy mężczyzna, którego widział siedzącego na schodach Erikssona i trzymającego się za siwą głowę, w żadnym wypadku nie przypominał typowego mordercy.

– Zresztą z tego, co zrozumiałam, wcale nim nie jest – powiedziała Felicia.

– Nie, ale jest coś jeszcze – powiedział Bäckström.

– Chciałbym cię o coś prosić, tylko niech to na razie zostanie między nami. Chciałbym, żebyś porozmawiała z tym człowiekiem – powiedział Bäckström.

Zapisał nazwisko, adres i numer komórki na pustej kartce w swoim czarnym notesie, wyrwał ją i podał Felicii.

– Zapytaj go, czy zje ze mną lunch – powiedział Bäckström.

– W tej knajpie w Miasteczku Filmowym, gdzie on i jego kumple piją piwo, kiedy AIK gra mecz.

– Alphyddan?

– Właśnie – powiedział Bäckström. – Jeśli zastanawiasz się, dlaczego nie mogę sam do niego zadzwonić, to powiem ci, że najpewniej rzuciłby słuchawką. Jedź do niego do domu, przekonaj go o moich pokojowych zamiarach, dopilnuj, żeby

już na miejscu dostał piwo i porządnego drinka. Zależy mi, żeby był w dobrym nastroju. Potem zadzwoń do mnie, przyjadę w ciągu dziesięciu minut.

– Szeł sądzi, że to ten drugi, którego chcemy złapać?
– zapytała Felicia i zamachała karteczką.

– Oglądasz czasem Kaczora Donalda w święta?

– Zawsze – uśmiechnęła się Felicia. – To znaczy, od kiedy przyjechałam do Szwecji.

– No to znasz Chipa i Dale’a, wiesz, te wiewiórki. Te, co wkurzają Myszkę Miki, kiedy chce ubrać choinkę.

– Jasne, i jeszcze tego psa, Pluto – ucieszyła się Felicia.

– Wyobrażasz sobie Chipa bez Dale’a?

– Nie – Felicia i pokręciła głową.

– Ja też nie.

131

Chwilę po wyjściu Felicii zadzwoniła do niego na komórkę Lisa Lamm z pytaniem, czy mogą się spotkać, żeby pogadać. Potrzebowała co najmniej kwadransa jego cennego czasu.

– Myślałem, że jeszcze tu jesteś – zdziwił się. – To znaczy w komendzie.

– Bo jestem – odpowiedziała Lisa Lamm. – Wolałam się upewnić, czy nie będę przeszkadzać.

– Jestem u siebie. Wpadaj, nie ma problemu – zapewnił Bäckström.

Nasza pani prokurator nie przypomina ani trochę koleżanki Carlsson, pomyślał Bäckström i pokręcił głową.

Z tego, co powiedział Bäckström podczas narady, Lisa Lamm wywnioskowała, że sprawa dobiega końca. I że być może już wkrótce przyjdzie czas posprzątać biurko i przejść do innych zadań. Z uwagi na swoją rolę w całej tej sprawie ucieszyłaby się oczywiście, gdyby Bäckström zaspokoił jej ciekawość. To był pierwszy powód, dla którego chciała się z nim spotkać.

Drugi powód był bardziej oczywisty. Mając na względzie zakres obowiązków Bäckströma, chciała go jak najszybciej poinformować o najbardziej aktualnych okolicznościach

formalnych zaistniałych w ich wspólnej sprawie.

Bäckström na początku przeprosił. Zapewnił, że w żadnym wypadku nie było tak, że chciał coś ukryć przed osobą prowadzącą postępowanie przygotowawcze. Przeciwnie, chciał udzielić jej wszystkich niezbędnych informacji zaraz po ich spotkaniu, to znaczy gdy tylko upora się z najpilniejszymi sprawami. Czyli teraz.

– Wystarczy, że otworzysz pierwszą lepszą gazetę, a zrozumiesz, o co mi chodzi – powiedział i spojrział na nią z powagą. – Śledztwo przecieka jak sito – dodał.

– Mam nadzieję, że to nie mnie podejrzewasz – powiedziała Lisa Lamm.

– W żadnym wypadku – powiedział Bäckström i pokręcił energicznie okrągłą głową. – Podejrzewam kogoś innego. Zespół dochodzeniowy ma trzydziestu członków i jeszcze co najmniej trzydziestu tu, w komendzie, którzy w pewnym stopniu wiedzą, czym się zajmujemy. Niestety jest wśród nich kilka osób, które nie potrafią trzymać języka za zębami. Co możemy z tym zrobić? No wiesz, ty i ja? Nic a nic – podsumował Bäckström, który aż poczerwieniał na twarzy i najwyraźniej miał kłopot z opanowaniem swojego wzburzenia.

Lisa Lamm w pełni zgadzała się z Bäckströmem. To smutne. Szczególnie dla dochodzenia, którego materia, z punktu widzenia relacji z mediami, była tak delikatna. I jednocześnie oboje jakoś musieli z tym żyć.

– Słyszę, co mówisz – powiedział Bäckström. – Mój problem polega na tym, że wystarczy jeden bezmyślny kolega, żeby nieopatrzny gadaniem wysadzić dobrze rokujące dochodzenie.

– Trudna sytuacja – powiedziała Lisa Lamm i pokiwała ze zrozumieniem głową. – Kto zacznie, ja czy ty?

– Zacznij ty – powiedział Bäckström.

Lisa Lamm zamierzała wypuścić von Comera z aresztu już po lunchu. Zarzut poważnego oszustwa został już udowodniony, pozostały tylko drobiazgi. Jak choćby to, kim był zleceniodawca Erikssona i kogo właściwie należało zatrzymać.

Bäckström nie miał żadnych uwag.

Omar Parisafar i Omar Ben Kader odezwali się przez swoich adwokatów. Dotarło do nich, że najwyraźniej są poszukiwani w związku z podejrzeniami o stosowanie przez nich gróźb karalnych. Naturalnie zaprzeczali, jakoby coś takiego miało miejsce, i obaj stwierdzali, że najprostszym rozwiązaniem byłoby zaproponowanie przez policję terminu, w którym mogliby się stawić w komendzie i o tym porozmawiać.

– Rozmawiałam już o tym z Lewinem, obiecał, że się tym zajmie. Chce, żeby jego śledczy przeprowadził przesłuchanie u nas w komendzie, żeby ich niepotrzebnie nie wystraszyć.

– Słusznie. I tak nie postawisz im tych zarzutów.

Lisa Lamm zgodziła się również w tej kwestii. Dzwonił już do niej adwokat Danielsson, żeby powiedzieć, że nie zamierza składać doniesienia na temat tego, co wydarzyło się w jego kancelarii. Nikt mu niczym nie groził. Momentami dyskusja była może gorętsza, ale zarówno on, jak i pani prokurator zdawali sobie doskonale sprawę, że szwedzki kodeks karny nie obejmował takich sytuacji.

– A ta dziewczyna, która tam pracuje? – zapytał Bäckström.

– Ta, którą odwiedziłaś w domu. Nie sądzisz, że coś ją łączyło z Erikssonem?

– Pracowała – poprawiła go Lisa Lamm. – Odeszła jeszcze tego samego dnia, w którym była u nas na przesłuchaniu. Potem zdaje się, że wyjechała za granicę na dłuższe wakacje. Nie bardzo wiadomo dokąd. Jeśli chodzi o jej relacje z byłym szefem, myślę to co ty.

Bäckström westchnął, a potem pokiwał głową. Gdzieś już to słyszałem, pomyślał.

– Miał nam jeszcze coś do powiedzenia?

– Dwie kwestie – powiedziała Lisa Lamm. – Po pierwsze, że Eriksson i Partnerzy w przyszłości nie będą już reprezentować Omara Parisafara ani jego kumpli. Po drugie, że zrezygnował z prowadzenia sprawy spadkowej Erikssona. Mam wrażenie, że istnieje pewien związek między tą decyzją a interesami, jakie Eriksson prowadził z Omarem.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał Bäckström.

– Teraz już się nie wywiniesz, Bäckström – powiedziała Lisa Lamm i poprawiła się na krześle.

– W takim razie ja również mam dwie rzeczy do przekazania – powiedział Bäckström. – Jeśli chodzi o tych dwóch, których szukamy, jestem niemal pewien, że ich znalazłem. Zważywszy na ślady, które po sobie pozostawili, powinno być łatwo sprawdzić, czy mam rację, czy nie.

– Z tego wnoszę, że jesteś całkowicie pewien.

– Niczego nie można wiedzieć na pewno – powiedział Bäckström i wzruszył ramionami. – Ja też czasem się mylę.

– Jak często?

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Ostatnio zdarzyło mi się to tak dawno temu, że zapomniałem. Wstrzymaj się jeszcze kilka godzin. Chciałbym sprawdzić kilka rzeczy.

– To dochodzenie to jakaś udręka – powiedziała Lisa Lamm.

– Obawiam się, że z tego tak zwanego morderstwa zostanie całkiem niepozorna, smutna historia i w tej kwestii chciałbym wykorzystać twoją prawniczą wiedzę. Wybacz, że będzie to jedynie hipotetyczna wersja wydarzeń.

– No to dawaj – powiedziała Lisa Lamm. Rany, ale emocje, pomyślała.

– Tuż przed dziewiątą ktoś dzwoni do drzwi Erikssona – zaczął Bäckström, osuwając się lekko na krześle. – Są umówieni na spotkanie, ale goście mają ukryty cel, którego Eriksson się nie domyśla, więc wpuszcza ich do środka.

– Co ty na to? – zapytał Bäckström kwadrans później, gdy już postawił końcową kropkę w swojej jedynie hipotetycznej wersji wydarzeń. – Konkretnie pytanie. W którym momencie została popełniona zbrodnia?

– Nie została – powiedziała Lisa Lamm i pokręciła głową. – Jeśli było tak, jak mówisz, nie zrobiono niczego, co podlegałoby karze. Z Erikssonem to co innego, ale ponieważ nie żyje...

– Tak też właśnie podejrzewałem – powiedział Bäckström i w tej samej chwili zadzwoniła jego komórka. – Bäckström – powiedział do słuchawki, bo domyślił się, kto dzwoni.

– Felicia. – Jej głos brzmiał równie wesoło jak godzinę

wcześniej. – Jesteśmy na miejscu.

– Będę za kwadrans – powiedział Bäckström. – Pani prokurator wybaczy – powiedział, podnosząc się z krzesła. – Zadzwoń za dwie godziny.

– Czas wziąć byka za rogi – powiedziała Lisa Lamm i zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Racja – powiedział Bäckström. Nawet nie wiesz, jak bardzo, pomyślał.

Dziwny koleś, pomyślała Lisa Lamm, patrząc za wychodzącym z pokoju Bäckströmem.

Niebrzydka, pomyślał Bäckström, gdy wyszedł na ulicę do czekającej na niego taksówki.

132

W drzwiach czekała na niego Felicia. Powiedziała, że znajomy Bäckströma jest już w środku w towarzystwie dużego mocnego piwa i kieliszka whisky.

– W jakim jest nastroju?

– Chyba jest zadowolony. Kiedy powiedziałam mu, o co chodzi, z początku bardzo się zdziwił, ale potem się zgodził. I tak wybierał się na lunch.

– Myślisz, że domyśla się, dlaczego chcę się z nim spotkać?

– Tak – Felicia skinęła głową. – Powiedział nawet, że chętnie opowie szefowi, jak to naprawdę było. Zdziwił się nawet, że szef odezwał się dopiero teraz.

– Coś jeszcze?

– Fajny jest – powiedziała Felicia, wywracając oczami. – Nie dziwne, że został legendą. Gdyby był pięćdziesiąt lat młodszy, wskoczyłabym przez okno do jego sypialni. Chce szef, żebym została?

– Bądź w pobliżu – powiedział Bäckström. Brazylijki, pomyślał. Tylko jedno im w głowie.

– Inspektor Bäckström – powiedział Rolle Stålhammar. – Felicia wspominała, że chcesz mnie zaprosić na lunch. Przyjąłeś święcenia czy co?

– Muszę z tobą o czymś pogadać – wyjaśnił Bäckström. Nie

interesuj się, pomyślał.

– Dobra, tyle akurat zrozumiałem, choć cholernie długo się nie odzywałeś.

– Co zjesz? – zapytał Bäckström wymijająco.

– Stek z cebulą – odpowiedział Rolle. – Co do napojów, może być to co do tej pory.

– Stek z cebulą, to ja też – przytaknął Bäckström i skinął na kelnera, który właśnie wszedł do sali. – Do picia to co zwykle.

– Zanim zaczniemy jeść – wtrącił Rolle Stålhammar. – Jeśli znów ubzdurałeś sobie, że to ja zabiłem Erikssona, możemy od razu wstać od stołu.

– Skąd – odpowiedział Bäckström. – Zaprosiłem cię tu z zupełnie innego powodu. Pomyślałem, że powiesz mi, jak było naprawdę, żebym mógł wreszcie zamknąć tę sprawę.

– Dobrze to słyszeć – powiedział Rolle i sprawiał wrażenie, że rzeczywiście tak myśli. – Choć szczerze mówiąc, ja z tego nic nie rozumiem – dodał i pokręcił głową.

– Słucham – powiedział Bäckström, unosząc kieliszek.

– Kiedy żegnałem się z Erikssonem, nie wyglądał, jakby coś mu dolegało. Co prawda wrzeszczał wniebogłosy i w ogóle był nieuprzejmy, nawet pociekła mu krew z nosa, ale od tego się raczej nie umiera. Zwłaszcza jeśli jest się adwokatem mafii, jak on. Na pewno się od tego nie umiera.

A jednak, pomyślał Bäckström i skinął głową.

– Słucham – powiedział.

133

Smutna sprawa, do tego tajemnicza, stwierdził Rolle Stålhammar. Biorąc pod uwagę to, co się stało, żałował, że w ogóle się w to mieszał. Mimo że chodziło o jego najbliższego przyjaciela, czyli o to, co najważniejsze w życiu.

– Dywagacje, co jest złe, a co dobre, nie mają znaczenia, kiedy chodzi o twojego najlepszego kumpla – wyjaśnił Rolle Stålhammar.

W tym konkretnym przypadku adwokat – „zwykły gangster, wyjątkowy dupek” – chciał oszukać jego najlepszego

przyjaciela przy sprzedaży kolekcji dzieł sztuki, która kosztowała kupę kasy, i gdy Mario się zorientował, postanowił, że natychmiast mu ją zabierze. Ponieważ potrzebował pomocy w kwestiach praktycznych, skontaktował się ze starym znajomym, właścicielem agencji ochrony, która od czasu do czasu podejmowała się podobnych zleceń. Fredrik Åkare i Åkare Security, z którego usług Mario już wielokrotnie korzystał w podobnych sprawach.

– Mario powiedział mi, że skontaktował się z Åkarem i jego kumplami. Kiedy to usłyszałem, pokręciłem tylko głową. Po pierwsze to było bardzo ryzykowne brać ich do domu Erikssona, poza tym było wykluczone, żeby Eriksson wpuścił Maria w towarzystwie Åkarego i Garcii Gomeza. Od razu podniósłby swój most zwodzony i zadzwonił do talibskich kumpli, pan inspektor miałby sporo roboty. Zapewniam – powiedział Rolle i wzmocnił się kilkoma łykami piwa.

– Zaproponowałeś, że sam z nim pójdziesz – powiedział Bäckström.

– Właśnie – powiedział Rolle. – A ty co byś zrobił na moim miejscu?

– Gdyby chodziło o kumpla, to wiadomo – skłamał Bäckström. Jeśli jesteś wystarczająco głupi, to w to uwierzysz, pomyślał.

– No tak, choć tym razem nie poszło najlepiej – westchnął Rolle.

– Pozwól, że zapytam – powiedział Bäckström. – Jak to możliwe, że Eriksson zgodził się spotkać z Mariem?

– To chyba nie takie dziwne – powiedział Rolle, z trudem kryjąc zdumienie. – Jak Mario mówi, że chce się z kimś spotkać, to się spotyka. Kropka. Mariowi się nie odmawia. Choć jestem pewien, że nie powiedział Erikssonowi, o co tak naprawdę chodzi. Wydaje mi się, że sprzedał mu jakąś bajeczkę o interesach. Że coś mogą kupić, coś sprzedać, wiesz, mydło i powidło – powiedział Rolle Stålhammar, wyginając teatralnie swoją olbrzymią dłoń.

Rolle Stålhammar zjawił się w domu u Maria Grimaldiego około wpół do dziewiątej wieczorem. Mario nie ma prawa

jazdy, dlatego za kierownicą usiadł Rolle. Tuż przed dziewiątą zadzwonili do drzwi. Otworzył Eriksson i przywitał się z nimi. Zero problemów. Usiedli w gabinecie Erikssona na piętrze. Obrazy, po które przyszli, stały oparte o ścianę pokoju, w którym siedzieli.

– Wydaje mi się, że stały tam przez przypadek. Eriksson nie mógł wiedzieć, że Mario po nie przyszedł.

– Co się potem stało?

– Eriksson zaproponował Mariowi whisky. Sam też nalał sobie porządnego kielicha, a swoją drogą wydaje mi się, że dał już sobie nieźle w szyję, zanim przyszedliśmy. Nie żeby chwiał się na nogach, ale widać było, że wypił już jednego albo i dwa. Odmówiłem. W końcu to ja prowadziłem. No tak, tak – powiedział Rolle, westchnął głęboko i wzruszył szerokimi ramionami. – Przez pierwsze pięć minut wszystko szło dobrze. Pogadaliśmy sobie o tym i owym, ale gdy Eriksson zorientował się, po co przyszedliśmy, atmosfera wyraźnie się popsuła.

– Jak się domyślił?

– Mario wyjął upoważnienie, które dostał Eriksson. Wyjaśnił, że tym samym wygasło i że przyszedliśmy zabrać obrazy.

– Jak na to zareagował?

– Wściekł się, zaczął się wydzierać, za to Mario był spokojny jak zawsze. Wyjaśnił, że decyzja zapadła i nic już tego nie zmieni. I tyle.

– A ty?

– Zabrałem się do wkładania obrazów do kartonów, które stały w rogu pokoju. Takie zwykłe, białe kartony przeprowadzkowe. Nie zamierzałem się włączać w ich dyskusje. Nie moja sprawa. Miałem przywieźć Maria, a potem odwieźć go do domu. Wynieść rzeczy. To wszystko. Eriksson chyba oszalał. Kto się sprzeciwia Mariowi? Lepiej skrócić sobie cierpienie i od razu poderżnąć sobie gardło.

– Eriksson nie chciał słuchać?

– Żartujesz? Wpadł w szal. Kiedy Mario powiedział, żeby się podpisał pod upoważnieniem, na potwierdzenie, że właśnie został zwolniony, wyjął nagle z biurka rewolwer i zaczął nim wymachiwać w powietrzu. Darł się, żebyśmy zesłi mu z oczu.

– Co zrobiłeś?

Rolle Stålhammar zareagował instynktownie. Ten sam instynkt uczynił z niego legendę w szeregach policji we wszystkich obozach wroga. Gdy Eriksson zaczął wymachiwać w powietrzu rewolwerem, Rolle postawił na ziemi karton z obrazami, który właśnie zamierzał znieść na parter, podszedł do Erikssona i powiedział mu, głośno i wyraźnie, żeby odłożył broń.

– Wiesz, co ten skurczybyk zrobił? – zapytał Rolle.
– Podchodzę do niego, mówię, żeby odłożył spluwę, tylko spokojnie.

– I co?

– Ten celuje prosto we mnie, podnosi lewą rękę jak jakiś cholerny znak, unosi rewolwer nad głowę i krzyczy do mnie: *Halt! Halt*, bo będę strzelać!

– *Halt*, bo będę strzelać?

– *Halt*, bo będę strzelać – powtórzył Rolle i pokręcił zrezygnowany głową. – Że co niby, kurwa? Myślał, że ma wartę przed Pałacem Królewskim czy co?

– Co zrobiłeś?

Legenda policji pozwolił działać instynktowi. Rzucił się na adwokata, złapał go za prawe ramię i spróbował mu wyrwać broń z ręki. Eriksson oddał strzał w sufit. Rolle zdzielił go po twarzy. Z otwartej dłoni, prosto w nos. Eriksson w ogóle się tym nie przejął. Oddał kolejny strzał.

– Przyznam, że wtedy się wściekłem i posłałem mu kilka porządnych prawych sierpowych w twarz, wykręciłem rękę i zabrałem spluwę. Schowałem ją do kieszeni kurtki. Potem posadziłem go na krześle przy biurku i wyjaśniłem, jak się sprawy mają.

– A jak się miały?

– Powiedziałem, że ma być grzeczny, jeśli nie chce, żebym mu połamał kości.

– I co, posłuchał? – Dziwne, że Eriksson też nie zrobił w spodnie, pomyślał Bäckström.

– Tak, choć jak się nad tym teraz zastanawiam, wydaje mi się, że zostawiłem mu jeszcze jedną pamiątkę.

- Pamiątkę?
 - Wykręciłem skurczybykowi nos. Na zdrowie! – zawołał Rolle, unosząc kufel.
 - Czyli że tak to było?
 - Z grubsza, z tego, co pamiętam. Coś ci nie pasuje?
- Owszem, pomyślał Bäckström. Na przykład to, że chyba właśnie zapewniłeś sobie miejsce w celi, w której wcale cię nie chce. W każdym razie nie tym razem, pomyślał.
- Może coś zjemy? – zapytał Bäckström.
 - Jasne – powiedział Rolle. – Jeszcze po piwku i dwa mocniejsze na trawienie.

134

Stek z cebulą i smażonymi ziemniakami, kolejne duże piwo i mała wódka, najgorszy głód został opanowany i przyszedł czas, żeby uporządkować historię Rollego Stålhammara, skoro i tak już wszystko, niestety, wskazywało na to, że była prawdziwa.

Bäckström omówił wszystko po kolei, przybierając ton nauczycielski. Z grubsza był gotów uwierzyć w wersję wydarzeń Rollego, być może z wyjątkiem kilku szczegółów, które Rolle najwyraźniej pomieszał. Z całym szacunkiem oczywiście, w końcu było gorąco, zrobił się chaos i tak dalej.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Rolle i wyglądał zupełnie tak, jak wyglądają uczciwi ludzie, gdy nie wiedzą, o czym jest mowa.

Niektóre detale nie zgadzały się z tym, co powiedzieli Niemi i jego ludzie, a także lekarz sądowy. Nie odpowiadały również przemyśleniom Bäckströma na temat tego, co się wydarzyło. Wszystko bowiem wskazywało na to, że w którymś momencie Eriksson chwycił za broń i wymierzył w siedzącego na kanapie Maria z zamiarem trafienia go w głowę. I że tak naprawdę od tego wszystko się zaczęło. Nagle jakby strzelił piorun z jasnego nieba.

Następnie Rolle, ryzykując własne życie, próbował odebrać Erikssonowi broń, a ten, siłując się z nim, przez przypadek

oddał kolejny strzał w sufit, zanim Rollemu udało się go wreszcie rozbroić. Przy okazji Rolle wymierzył cios rozpraszający z otwartej dłoni, którą trafił Erikssona w nos i policzek, zanim wyrwał mu wreszcie broń z ręki. Nie wierzył też w to, że Rolle – gdy już było po wszystkim – wykręcił Erikssonowi nos. Zdaniem lekarza nic nie wskazywało na tego typu działanie.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć – powiedział Rolle, skinął głową i wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Wiesz, czasem łatwo jest pomieszać szczegóły – wyjaśnił Bäckström.

– Rzeczywiście, mogło być tak, jak mówisz – powiedział Superman, wyraźnie poweselał i uniósł kufel. – Im dłużej się zastanawiam, tym bardziej jestem pewien, że tak właśnie było. Twoje zdrowie, Bäckström.

– Zdrowie, Rolle. – Nareszcie, pomyślał.

Przy kawie i koniaku Bäckström i Rolle Stålhammar dobrnęli wreszcie do końca tej smutnej historii. Co więcej, ustalili kilka istotnych szczegółów, między innymi co stało się po tym, jak Rolle rozbroił Erikssona i razem z Mariem wyszli z domu.

Niewiele, zdaniem Rollego. Najpierw pomógł Mariowi zejść ze schodów i wyjść z budynku. Zostawił go siedzącego na schodach. Mario źle się poczuł. Powtarzał, że kula przeleciała mu tuż obok ucha. Niestety zsikał się i zrobił przy tym w spodnie. Rolle wrócił na piętro po kartony z obrazami, które przyjechali odebrać.

– Jeśli chciałbyś wiedzieć, Eriksson wyglądał zupełnie normalnie. Pocięło mu co prawda trochę krwi z nosa, więc pożyczyłem mu chusteczkę, ale kiedy zapytałem, czy wszystko w porządku, wydarł się na mnie, żebym spieprzał.

– Co zrobiłeś?

– Wszedłem. A co miałem zrobić? Na schodach przypomniało mi się, że mam w kieszeni kurtki rewolwer sukinsyna. No to wszedłem do garderoby i wrzuciłem go do jakiegoś starego wazonu. Jakoś nie bardzo miałem ochotę oddawać go Erikssonowi, sam rozumiesz.

– Co było potem?

Najpierw pomógł Mariowi wsiąść do samochodu. Położył go na tylnym siedzeniu, włożył kartony z obrazami do bagażnika i pojechali do domu Maria. Pomógł mu wejść do środka i wniósł kartony z obrazami. Upewnił się, że już z nim lepiej. Pożegnał się i wrócił piechotą do siebie.

– O której godzinie ruszyliście spod domu Erikssona?

– O wpół do dziesiątej. Jeśli zastanawiasz się, skąd to wiem, to dlatego, że planowałem obejrzeć program o dawnych mistrzach świata w boksie, z czasów kiedy sam trenowałem, który miał się rozpocząć o jedenastej. Sporo się, że tak powiem, wydarzyło i wolałem się upewnić, czy go nie przegapię. Właśnie dlatego spojrzałem na zegarek, kiedy odjeżdżaliśmy spod domu Erikssona.

– O której dotarłeś do domu?

– O wpół do jedenastej. Przyniosłem z kuchni coś do jedzenia, usiadłem na kanapie i włączyłem pudło.

– Niczego nie pominęliśmy? – zapytał Bäckström.

– Może jeszcze mały koniaczek, zanim pojedziemy do komendy, żeby wypełnić te wszystkie papiery?

– Zróbmy to jutro – powiedział Bäckström. – Poproszę Annikę, żeby się tym zajęła. Pani prokurator pewnie też będzie chciała zamienić z tobą kilka słów. Chciałbym również, żebyś pogadał z Mariem. Wytlumacz mu, że musimy go przesłuchać. Chyba nie powinno być z tym problemu, w końcu jesteście najlepszymi kumplami.

– Nie ma sprawy – powiedział Rolle, choć trudno mu było ukryć zdziwienie.

– Tak sobie jeszcze pomyślałem... – zaczął Bäckström.

– Dajesz, Bäckström.

– Nie wiedziałem, że Mario interesuje się sztuką?

– Ja też nie – przyznał Rolle. – Mario to porządny człowiek, całkowicie normalny. Lubi zjeść i wypić, lubi kobiety i wszystko inne. Boks, konie, piłkę nożną i hokej. I tu masz rację. Sztuka? Kto normalny zajmowałby się takim chłamedem? Tylko baby i pedały.

– A mimo to miał kolekcję sztuki rosyjskiej – drążył Bäckström. – Skąd ją miał?

– Pewnie kupił – Rolle wzruszył ramionami. – Mario handluje, czym się da. Zresztą sam go o to zapytaj.

– Nie odniosłem wrażenia, że tak łatwo z nim porozmawiać. Zgodnie z wynikami badań lekarskich, które widziałem zarówno ja, jak i wielu moich kolegów, choruje na alzheimera.

– Niewykluczone – uśmiechnął się krzywo Rolle. – Moim zdaniem sprawa jest znacznie prostsza. Mario rozmawia tylko z tymi, z którymi chce rozmawiać, i tylko o tym, o czym chce rozmawiać. Problem nie leży w tym, że Mariowi poprzestawiało się w głowie. Jest sprytniejszy niż wszyscy mieszkańcy tego kraju razem wzięci. No ale to już nie jego problem. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Naturalnie. Jaki on jest? Jakim jest człowiekiem?

– Mario i ja znamy się od takiego małego – powiedział Rolle Stålhammar i odmierzył jakieś dziesięć centymetrów między prawym kciukiem i palcem wskazującym. – Mario jest przyjacielem swoich przyjaciół i wrogiem swoich wrogów. Ponieważ od kołyski byliśmy najlepszymi kumplami, ten problem nigdy mnie specjalnie nie dotyczył.

– A jego wrogowie?

– Powiem tak. Jeśli jest na tym świecie ktoś, komu lepiej nie podpaść, to niewątpliwie jest to Mario Grimaldi. Nie czepiaj się tego, że się posikał, kiedy Eriksson chciał mu zrobić kulka przedziałek na głowie. Najlepszym się zdarza. A tym bardziej starszemu człowiekowi. Zresztą nawet mi się zdarzyło.

– Tobie?

– Czterdzieści lat temu. Mieliśmy z kolegą zabrać psychicznie chorą dziewczynę, która zwała z Långbro. Wróciła do matki, a ta od razu do nas zadzwoniła z prośbą, żebyśmy ją zabrali z powrotem. Drobną, szczupłą dziewczyną, góra dwadzieścia lat, wyglądała jeszcze młodziej, nic nie mówiła, stała tylko i patrzyła na mnie tymi swoimi niebieskimi oczami. W takich chwilach człowiek traci koncentrację. No więc kiedy wyjąłem legitymację, żeby się przedstawić, ta wbija mi nóż prosto w brzuch. Gdyby wbiła go parę centymetrów na prawo, przecięłaby mi tętnicę.

– Zrobiłeś w gacie?

– Tak. Nie pamiętam tylko, czy to się stało, kiedy mnie dźgnęła, czy gdy już leżałem w karetce.

– Zdrowie – powiedział Bäckström. Co mam, kurwa, powiedzieć, pomyślał.

Po jednym czy dwóch kieliszkach koniaku na zakończenie Bäckström zamówił taksówkę i dopilnował, żeby jego towarzysz w całości dotarł do domu. Rolle Stålhammar przed odjazdem pozwolił sobie nawet objąć go w męskim uścisku. I dał mu dobrą radę na najbliższą przyszłość.

– Coś sobie przypomniałem – powiedział Rolle.

– Słucham.

– Może lepiej nie pytaj Maria o to, dlaczego interesuje się sztuką. Wiesz, on nie lubi odpowiadać na pytania.

– Co proponujesz?

– Lepiej pogadaj z Pyttan.

– Pyttan?

– No, Pyttan. Wielka miłość Maria. Poznałeś ją. Wtedy, kiedy dawałeś wykład w tej, no, firmie budowlanej. Kilka tygodni temu. Wysoka, ładna babka. Cholernie fajna, choć to taka babka z wyższych sfer. Hrabina.

– A, już pamiętam – powiedział Bäckström. Ta z brylantami wielkości orzechów laskowych, pomyślał.

– Dam ci jej numer – powiedział Rolle. – Pogadaj z Pyttan. Trzyma go na smyczy. Facet je kobiecie z ręki. Jest w niej zabujany po uszy.

Zabujany po uszy Ojciec Chrzestny, hrabina, która daje jeść z ręki staremu kataryniarzowi, ten kraj jest stracony, pomyślał Bäckström, kiedy siedział w taksówce w drodze do domu.

135

Po powrocie do domu Bäckström od razu zajął się kwestiami praktycznymi. Zadzwoił do Anniki Carlsson, żeby przekazać jej potrzebne informacje i udzielić instrukcji przed jutrzejszym dniem. Mieli przeprowadzić poważne przesłuchania Rollego Stålhammara i Maria Grimaldiego. Mieli pobrać im wymazy, sprawdzić pamięć GPS w ich mercedesie i porozmawiać

z lekarzem sądowym i Niemim, żeby zweryfikować ich zeznania. Niech Annika dopilnuje, żeby Lisa Lamm nie zaczęła się stawiać, tylko jak najszybciej zamknęła temat.

– Przykra sprawa, zwłaszcza ze względu na to, co się stało z naszym świadkiem – powiedziała Annika Carlsson.

– No tak – powiedział Bäckström. – Tylko co z tym możemy zrobić?

– Nic. Co z jutrzejszą naradą?

– Odwołaj w cholere. Tort wjedzie, gdy już wypełnią wszystkie papiery. Przekaż im ode mnie pozdrowienia.

– A ty co planujesz?

– Wolne. – Zresztą mam na głowie ważniejsze sprawy, pomyślał.

Bäckström spędził wieczór i pół nocy pogrążony w ponurych myślach. A co, jeśli Mario Grimaldi był właścicielem całej kolekcji? Gorzej. Co by było, gdyby on i jego rodzina byli przez cały czas w jej posiadaniu tylko dlatego, że jacyś mafiosi ze starszego pokolenia rodziny Grimaldi włamali się do księcia Wilhelma i Marii Pawłownej, do ich pałacyku na Djurgården, i wynieśli wszystko, co byli w stanie udźwignąć? W tej historii jest stanowczo za dużo kataryniarzy, pomyślał Bäckström, wychylając kolejny kieliszek.

Swoje nadzieje wiązał z Jego Wysokością królem Szwecji lub przynajmniej którymś z tych wszystkich książąt lub księżniczek z jego otoczenia. Nawet ten kulturysta z Ockelbo byłby jak dar z nieba w porównaniu z Mariem Ojcem Chrzesnym Grimaldim, bo przecież on sam zbyt późno stał się właścicielem, żeby pozytywnie wpłynąć na cenę.

Jak przystało na znawcę sztuki, który pierwsze szlify zdobył w policyjnym magazynie rzeczy znalezionych, Bäckström doskonale zdawał sobie sprawę, jak prowizja wpływa na cenę danego przedmiotu. Ciekawe, ile dostaliby spadkobiercy tego starego rybaka za jego kaptcie z foczej skóry na zwykłym targu staroci, gdzie na pewno by trafiły, gdyby reżyser nie włożył do nich swoich przemarzniętych stóp? Najwyżej pięć koron od prezesa związku fetyszystów stóp, pomyślał Bäckström i wreszcie zasnął.

We wtorek o ósmej rano komisarze kryminalni Annika Carlsson i Johan Ek przeprowadzili przesłuchanie byłego komisarza kryminalnego Rolanda Stålhammara na temat jego wizyty w domu adwokata Thomasa Erikssona wieczorem drugiego czerwca. Przesłuchanie zostało przeprowadzone w celu zebrania informacji, a z pokoju za ścianą przysłuchiwali mu się prokurator Lisa Lamm, inspektor kryminalny Peter Niemi i lekarz sądowy docent Sven Olof Lidberg.

Przesłuchanie zakończyło się po ponad godzinie i zaden z przesłuchujących nie miał zastrzeżeń co do słów wezwanego. Również na ostatnie pytanie miał całkiem logiczną odpowiedź. Dlaczego nie skontaktował się z policją, gdy tylko dowiedział się, co się stało? Przecież był kiedyś policjantem.

– Nic mu nie było, kiedy od niego wychodziliśmy – powiedział Rolle Stålhammar. – Skoro już pytasz, to czy możecie mi powiedzieć, co mu się w końcu stało?

– Mimo to wydaje mi się dziwne, że nie przyszedłeś, żeby nam powiedzieć, co się tam wydarzyło – wtrąciła Annika Carlsson.

– Mogę to wytłumaczyć, ale pod warunkiem, że wyłączysz dyktafon – powiedział Rolle. – Inaczej nie ma mowy. Tu nie chodzi o mnie, ale o Maria.

– Okej – powiedziała Annika, ponieważ głośnik w pokoju obok wciąż był włączony i w razie czego zarówno ona, jak i kolega Ek mogli poświadczyć to, co usłyszeli.

– Próbował odstrzelić Mariowi głowę – powiedział Rolle Stålhammar. – Mario jest już starym człowiekiem. Mógł zginąć. Zapytałem go już następnego dnia, czy nie powinniśmy złożyć skargi na Erikssona, ale poprosił, żebyśmy dali z tym spokój, no to posłuchałem.

– Dlaczego cię o to prosił?

– Nie rozumiecie? Narobił w gacie. Nie mógł tego przeżyć.

– Rozumiem – powiedziała Annika Carlsson.

– Dobra – powiedział Rolle Stålhammar. – Ale jeśli usłyszę

choć słowo z tego, co tu przed chwilą powiedziałem, zobaczysz, że rozwałę ten budynek gołymi rękami.

– Nie będzie takiej potrzeby – powiedziała Annika z uśmiechem. – Dziękuję, że przyszedłeś, a to, co przed chwilą powiedziałeś, zostanie w tym pokoju.

– Co wy na to? – zapytała Lisa Lamm kwadrans później.

– Nie mam uwag – odezwał się lekarz sądowy. – Zeznanie Stålhammara potwierdza wyniki badania sądowego.

– Ja też – powiedział Peter Niemi. – Poza tym tak się dobrze składa, że będziemy mogli porównać jego zeznanie z wynikami badania technicznego. Nie spodziewam się tu żadnych niespodzianek.

– Dla mnie też okej – zgodziła się Annika Carlsson, a Johan Ek pokiwał tylko głową.

– Skoro tak – powiedziała Lisa Lamm – to biorąc pod uwagę okoliczności, stwierdzam, że przemoc, jakiej Stålhammar dopuścił się w stosunku do adwokata, mieści się w ramach obrony koniecznej. Dodam, że ze sporym marginesem. Nie widzę przeszkód, żeby to zamknąć. Potrzebuję tylko odpowiedzi z CLK, próbki DNA z tej chusteczki i poduszki z kanapy.

– Nie uwierzycie, ale mamy je dostać już jutro – powiedział Peter Niemi. – Zasługa mediów. Zawieziemy je samochodem, gdy tylko przesłuchamy i pobierzemy próbkę od Grimaldiego.

– Przy okazji oddamy Stålhammarowi chusteczkę – powiedziała Lisa Lamm. – Fajnie coś komuś czasem oddać.

– Co by było, gdyby Eriksson przeżył? Co byś wtedy zrobiła? – zapytała Annika Carlsson.

– Wówczas prawdopodobnie oskarżyłabym go o próbę zabójstwa, względnie zabójstwo – stwierdziła Lisa Lamm.

Trzy godziny później Carlsson i Ek zakończyli przesłuchanie wyjątkowo rozmownego Maria Grimaldiego, który przyprowadził ze sobą adwokata. Zajęło trzydzieści pięć minut, a wszyscy przysłuchujący się rozmowie wyciągnęli te same wnioski co po przesłuchaniu Rolanda Stålhammara, choć nie chciał odpowiedzieć na pytanie, do kogo należały obrazy, które przyjechał odebrać.

Stwierdził tylko, że do kogoś bliskiego, jednak zanim poda nazwisko, potrzebuje jego zgody. Ponieważ przyniósł również upoważnienie, które Eriksson otrzymał wraz ze zleceniem sprzedaży obrazów, policja musiała zrozumieć, że Mario ma do tego pełne prawo. Jego adwokat mógł to potwierdzić. To on napisał wypowiedzenie upoważnienia Erikssona i dopilnował, żeby mieli świadków. Powodem wypowiedzenia był fakt, że Eriksson próbował oszukać swojego zleceniodawcę. Do kwestii roszczeń wobec firmy Erikssona i do jego majątku jeszcze wróca.

Mario Grimaldi zaczął od tego, że jest starym człowiekiem, ale to, co wydarzyło się tego wieczoru w domu adwokata, było niewątpliwie najgorszą rzeczą, jaka przytrafiła mu się w ciągu całego życia. I to nawet w porównaniu z potwornościami, jakich doświadczył w swojej ojczyźnie, we Włoszech, pod koniec drugiej wojny światowej, kiedy był jeszcze małym chłopcem.

– Nagle kompletnie oszalał – powiedział Mario. – Chwycił za pistolet i wymierzył mi prosto w twarz. Kula przeleciała mi tuż obok twarzy i gdyby Rolle nie rzucił się na niego i nie odebrał mu broni, nie siedziałbym tu dzisiaj z wami.

– Ktoś chyba w nocy pożyczył od pana samochód – powiedział Johan Ek w ramach ostatniego pytania w czasie przesłuchania. – Da się to wyczytać z GPS-u. Czy mógłby pan to jakoś skomentować?

Bez komentarza. Samochód przestał prowadzić dwadzieścia lat temu, a dziesięć lat temu oddał prawo jazdy. Z własnej woli, za namową lekarza. Czasem rzeczywiście pożyczał samochód różnym znajomym, między innymi takiemu miłemu chłopakowi z Chile, który pracował jako rzemieślnik i ostatnio pomógł mu zawiesić nowe firanki w kuchni. Chyba właśnie wtedy pożyczył mu kluczyki, to znaczy te zapasowe. Był niemal pewien, że ma dodatkowy komplet kluczyków w mieszkaniu.

– Ma na imię Angel – powiedział Mario. – To znaczy anioł – dodał. – Nie pamiętam, jak się nazywa, ale to takie typowe latynoskie nazwisko. Jego matka pracowała u mnie przed laty, kiedy jeszcze prowadził restaurację w Solnie. Wyjątkowo miła

i porządna kobieta. Jakiś czas temu Rolle powiedział mi, że już od dawna nie żyje. Wszystkich nas to czeka – westchnął Ojciec Chrzestny.

Po południu odbyło się jeszcze przesłuchanie Omara Bena Kadera i Omara Parisafara, którzy stawili się w towarzystwie swoich adwokatów.

Omar Ben Kader wyszedł z komendy w ciągu pół godziny jako wolny człowiek. Od początku przesłuchania był niezmiennie miły i zaskoczony, że chcieli z nim rozmawiać. To, że z racji powierzonej mu funkcji doradcy finansowego Omara Parisafara poszedł z nim na spotkanie z adwokatem Peterem Danielssonem w kancelarii adwokackiej Eriksson i Partnerzy, nie było w żadnym wypadku tajemnicą. Powinno to wynikać z listy gości, a jeśli ktoś czegoś nie dopilnował, mógł to sam potwierdzić. Osobiście umówił ich na spotkanie z Danielssonem, nie zamierzał jednak ujawnić konkretnego powodu wizyty. Przed wyjściem zostawił jeszcze wizytówkę i powiedział, że policja może naturalnie do niego zadzwonić, jeśli miałyby jeszcze jakieś pytania.

Wykapany tatuś, pomyślał Jan Lewin, który przyglądał mu się z pokoju obok.

Jego pracodawca Omar Parisafar spędził w pokoju przesłuchań ponad godzinę. Powodem jego wizyty u Isabelli Norén była prośba Thomasa Erikssona, żeby porozmawiał z nią, gdyby coś mu się stało. Zgodnie z tym, co powiedział mu Eriksson, od kilku lat łączyła go z nią bliska relacja, dzięki czemu mogła mu pomóc w sprawach, w których nie mogli mu pomóc koledzy z kancelarii.

W tym wypadku chodziło o pomoc w odzyskaniu pieniędzy pożyczonych przez Erikssona z cypryjskiego banku, który teraz domagał się ich zwrotu. Wizyta była wyjątkowo krótka, trwała najwyżej dziesięć minut, nie wydarzyło się nic nieodpowiedniego. Jeśli Norén twierdziła coś innego, był naturalnie gotów stawić się na przesłuchanie krzyżowe.

Jeśli chodzi o jego dwóch pracowników, Alego Parisafara i Alego Isę, niestety nie miał zbyt wiele do dodania. Parisafar musiał wrócić do Iranu, ponieważ jego ojciec nagle zachorował.

Kiedy rozmawiał z nim przez telefon poprzedniego dnia, Parisafar powiedział, że będzie musiał zostać jeszcze co najmniej miesiąc, żeby zająć się matką i resztą rodziny.

Ali Issa wyjechał z dziewczyną na zagraniczne wakacje jakiś tydzień temu. Na które zresztą w pełni sobie zasłużył, ponieważ ciężko pracował przez całą zimę i wiosnę przy otwarciu restauracji, której właścicielem była spółka Omara. Gdy tylko się odezwie, Omar naturalnie przekaze mu, że policja chce z nim rozmawiać.

– No, Jan. Co takiego udało ci się wyciągnąć z tej wizyty?
– zapytała Lisa Lamm.

– Mam nadzieję, że moi koledzy zrobili kilka dobrych zdjęć Omarowi Parisafarowi i Omarowi Ben Kaderowi – powiedział Jan Lewin z przyjaznym uśmiechem. – Wszystko inne odbyło się tak, jak się tego spodziewałem.

– Jeśli nie chcesz przejąć ode mnie sprawy donosu dotyczącego gróźb karalnych, zamierzałam zrobić jego odpis.

– Słusznie – zgodził się Jan Lewin.

– Jak wam idzie w Nyköping? Możesz powiedzieć coś więcej?

– Kiepsko – przyznał Jan Lewin. – W tej chwili mamy nadzieję, że wszyscy zamieszani w tę sprawę popętnią w najbliższym czasie jakąś głupotę. Nie powiem, żebym czuł się z tym najlepiej.

– I tak źle, i tak niedobrze – powiedziała Lisa Lamm.

– Coś w tym rodzaju – powiedział Jan Lewin i wzruszył ramionami.

137

W czasie gdy jego koledzy prowadzili przesłuchania, Bäckström musiał się zająć ważniejszymi sprawami. Czekало go między innymi spotkanie kryzysowe z GeGurą w jego biurze na Starym Mieście, na którym mieli omówić wpływ proveniencji na cenę przedmiotu.

– W czym mogę ci pomóc, bracie? – zapytał jak zwykle uprzejmy GeGurra.

– Zastanawiałem się właśnie, jakie znaczenie ma w tym

wypadku prowincja? Chodzi mi o tę pozytywkę.

– Jakie znaczenie ma w tym wypadku proveniencja – powtórzył GeGurra, próbując wymówić wszystkie cztery sylaby, nie robiąc tego zbyt ostentacyjnie.

– Właśnie, proveniencja – powtórzył Bäckström. – Nie tak powiedziałem? – Dlaczego wszystkie cioty muszą zawsze zadziierać nosa, pomyślał. Zwłaszcza cioty zajmujące się sztuką, pomyślał.

– Co dokładnie masz na myśli? – zapytał GeGurra, składając palce w piramidkę i opierając łokcie o swoje wyjątkowo drogie rokokowe biurko.

Bäckström chciał omówić z GeGurra pewien scenariusz wydarzeń. Co prawda była to tylko hipoteza, niemniej jednak do pewnego stopnia oparta na jego dotychczasowych bezowocnych poszukiwaniach. Załóżmy, że król ani żaden inny bliski mu członek domu Bernadotte'ów nigdy nie był właścicielem tej pozytywki. Załóżmy, że właścicielem kolekcji był Grimaldi i że nigdy już nie dojdą, w jaki sposób wszedł w jej posiadanie. Jeśli dobrze zrozumiał, byłaby to katastrofa z punktu widzenia wartości Pinokia i jego nosa.

– Przypomniało mi się, co mówiłeś o reżyserze i jego kapciach – powiedział Bäckström. – Jeśli dobrze zrozumiałem, coś takiego oznaczałoby drastyczny spadek ceny.

GeGurra z przyjemnością ustosunkował się do pytania Bäckströma i jego scenariusza wydarzeń. Naturalnie zamiana trzech pokoleń dynastii królewskiej na Maria Grimaldiego i jego przodków nie była bez znaczenia. Zwłaszcza jeśli weszli w posiadanie tych przedmiotów w sposób niezgodny z prawem.

– Katastrofa to może zbyt mocne słowo – powiedział GeGurra, wzruszając teatralnie ramionami. – W najgorszym razie spadek wartości o połowę. Naturalnie trudniej też byłoby znaleźć kupca. Wiele instytucji i muzeów położy uszy po sobie.

– Serio? – zapytał Bäckström i zrobił minę, jakby właśnie go okradziono z połowy majątku.

– Cóż, to nie katastrofa, choć oczywiście nie ma się z czego cieszyć.

– Coś jeszcze – powiedział Bäckström. – Może mógłbyś mi

pożyczyć portret tego mnicha? – Trzeba ratować, co się da, pomyślał.

– Naturalnie – powiedział GeGurra. – Nie będziesz miał mi za złe, jeśli zapytam dlaczego?

– Zastanawiam się, czy go od ciebie nie kupić. Chciałem sprawdzić, jak będzie wyglądał nad moją kanapą.

– Naturalnie – odpowiedział GeGurra zaskoczony. – Poproszę sekretarkę, żeby go przyniosła, stoi w magazynie.

Bäckström pojechał więc ze świętym Teodorem taksówką do domu, gdzie zjadł lunch, patrząc na tłustego greckiego prałata opartego o zlew kilka metrów dalej. Fasola z wieprzowiną i dwa głębsze, przez tych wszystkich chciwych księży i makaroniarzy, którzy robili ludziom na kanapy i nie cofnęliby się przed tym, żeby napaść na porządnego i zapracowanego policjanta takiego jak on.

Z zasłużonej drzemki zbudził go dzwonek do drzwi i kiedy wreszcie udało mu się włożyć szlafrok i otworzyć, zrozumiał, że właśnie zadano mu śmiertelny cios i bezpowrotnie utracił spokój domowego zacisza, który cenił sobie ponad wszystko.

138

W drzwiach stała Dusanka, mama Edvina. Przyniosła ze sobą Izaaka, który, jeśli można było wnioskować po rozmiarze klatki, trafił do papuziego odpowiednika izolatki. Co gorsza wydawał się „przygnębiony”, jak to ujął jego niewysoki opiekun zastępczy podczas ostatniej wizyty u Bäckströma.

Dusanka nie zamierzała mu zająć dużo czasu. Pomimo protestów Edvina przyszła, żeby zwrócić Izaaka prawowitemu właścicielowi. Nie byli dla siebie odpowiednim towarzystwem, a wczoraj na zakończeniu roku szkolnego niestety zrobili z siebie i z rodziców Edvina, Slobodana i Dusanki, pośmiewisko.

– Wejdz proszę, usiądziemy i porozmawiamy – zaproponował Bäckström, wskazując na skórzaną kanapę w salonie. – Czego się napijesz? – dodał, omiatając szerokim gestem wypełniony po brzegi kredens, gdzie przechowywał lwią

część swojej kolekcji mocniejszych trunków.

Dusanka dla kurażu poprosiła o rum z colą, z dużą ilością lodu i ćwiartką cytryny. Bäckström pobiegł do kuchni, żeby spełnić jej życzenie, i na wszelki wypadek uzbroił się w duże czeskie piwo i wódkę w rosyjskim rozmiarze.

– Słucham – powiedział i zmarszczył brwi w sposób wyrażający zaangażowanie i zrozumienie.

Podczas wczorajszych uroczystości kończących rok szkolny klasa Edvina miała występy, w czasie których miała opowiedzieć o swoich zainteresowaniach, a ponieważ Edvin chodził do „szkoły społecznej dla wyjątkowo uzdolnionych dzieci”, na każde dziecko przypadało średnio troje rodziców i co najmniej jeden nauczyciel na każde sześcioro uczniów. Gdy przyszła kolej na końcowy punkt programu, w którym to Edvin miał zaprezentować przed publicznością, jak się uczy papugę mówić, emocje sięgnęły zenitu.

Zaczął od rozgrzewki. Na początek kazał Izaakowi przywitać się z publicznością. Izaak powiedział „cześć”. Edvin pochwalił go słowami „Mądra papużka”, stwierdził, że „Będzie nagroda”, jednym słowem wywołał falę śmiechu i oklasków, aż do wyczekiwanego finału, który zaczął od słów, że można nauczyć papugę mówić zdania do ośmiu sylab, a nawet dłuższe, jeśli ktoś naprawdę się postara.

Następnie poprosił o chwilę ciszy, pstryknął w palce i spojrzał wyczekująco na swojego niebiesko-żółtego kompana.

Izaak natychmiast zareagował potokiem skrzekliwych dźwięków, co do znaczenia których trudno było mieć wątpliwości.

– To było straszne – westchnęła Dusanka, zrobiła znak krzyża i wychyliła kilka porządných łyków rumu z colą.

– Co powiedział? – zapytał Bäckström. Osiem sylab? Ciekawe.

– Mały wacek siedzi w cipce – wydusiła Dusanka.

– Rzeczywiście niezbyt szczęśliwe – stwierdził Bäckström i wychylił pół kieliszka wódki. Chłopak daleko zajdzie, pomyślał. Osiem sylab, pomyślał rozszalony. Więcej niż te pięć, które sam wykrzykiwał, kiedy pod osłoną nocy zakradał się za

swoją katechetką podążającą samotnie ze szkoły ludowej do domu zgromadzeń. – Co się potem stało? – zapytał Bäckström z poważną miną. Daleko zajdzie, nie ma wątpliwości, pomyślał.

Dzieci były oczywiście zachwycone. Rozbiegły się po klasie, piszcząc z zachwytu, a z ich zachowania można było się domyślić, że numer był zaplanowany. Rodzice, nauczyciele i dyrekcja nie byli już tak uradowani i gdy tylko udało im się wynieść Izaaka do sąsiedniej sali i uspokoić dzieci, odśpiewali obowiązkową *Piosenkę Idy* autorstwa słynnej pisarki Astrid Lindgren i rozdali świadectwa, dyrektor zakończył wydarzenie, zwołując wszystkich rodziców na dodatkowe zebranie z nauczycielami i dyrekcją szkoły w tygodniu.

– Myśleliśmy, że Edvin zostanie relegowany – westchnęła Dusanka – ale Slobodan rozmawiał z dyrektorem, który obiecał, że nasz syn będzie mógł wrócić do szkoły jesienią. Na razie na próbę.

Relegowany? Co za bufonada, pomyślał Bäckström. Gdyby do tego doszło, mógłby dać chłopakowi trochę kasy ze sprzedaży pozytywki i posłać go do Lundsberg, żeby choć przez chwilę mógł się poczuć jak każdy normalny chłopak w tym wieku.

– Aha – powiedział Bäckström. – Co w takim razie robimy?

Rozwiązanie tego problemu Dusanka z przyjemnością przekazała właścicielowi Izaaka. Dla Edvina i jego rodziców ten rozdział właśnie się zakończył. Bäckström stwierdził, że w tej sytuacji pewnie najprościej byłoby przetrącić Izaakowi kark. Slobodanowi również przyszło to do głowy, ale Edvin nigdy by mu tego nie wybaczył. Dlatego woleli, żeby zajął się tym prawowity właściciel Izaaka.

I co ja teraz, kurwa, zrobię, pomyślał Bäckström, gdy Dusanka wyszła po kolejnej szklance rumu z colą.

Bäckström spędził kilka godzin przed komputerem, daremnie próbując znaleźć dyskretnego i kompetentnego zabójcę papug. Tymczasem Izaak najwyraźniej zrozumiał powagę chwili i zamknął dziób.

Potem Bäckström przełożył go do jego klatki, włożył czyste ubrania sportowe i przeszedł się do swojej lokalnej knajpy,

żeby wrzucić coś na ruszt i w spokoju przemyśleć podbramkową sytuację, w której nagle się znalazł. Gdy wrócił tuż przed północą, w mieszkaniu panowała cisza i dopiero o czwartej nad ranem zbudziły go dźwięki świadczące o tym, że Izaak znów był sobą.

139

O godzinie dziesiątej rano w środę odbyła się ostatnia narada zespołu dochodzeniowego zajmującego się sprawą zabójstwa adwokata Thomasa Erikssona. Prowadząca postępowanie przygotowawcze prokurator Lisa Lamm zaprosiła wszystkich na kawę i tort i podziękowała za dobrze wykonaną pracę. To, co w pierwszej chwili wydawało się wyjątkowo brutalnym zabójstwem, po dokładniejszym zbadaniu okazało się niekaralnym użyciem siły, które w myśl obowiązującego orzecznictwa z powodzeniem mogło zostać zakwalifikowane jako obrona konieczna.

Jeśli kogoś można było winić za to, co się stało, to najwyżej samego zmarłego, adwokata Thomasa Erikssona. Gdyby przeżył, Lisa Lamm nie zawahałaby się go oskarżyć o usiłowanie zabójstwa, względnie o napaść, ale ponieważ Eriksson zmarł, zgadnienie stało się bezprzedmiotowe.

Po rozmowie ze swoim szefem, prokuratorem generalnym w Sztokholmie, jak również szefem policji Västerort komendant Anną Holt Lisa Lamm postanowiła, że już następnego dnia rano zamknie dochodzenie z uzasadnieniem „nie doszło do popełnienia przestępstwa”, co było najmocniejszym argumentem, jakim dysponowała. Z uwagi na ogromne zainteresowanie mediów sprawą postanowiła zwołać konferencję prasową i upublicznić swoje postanowienie.

Pozostawało kilka spraw formalnych stanowiących właściwie detale na tle całości. Doniesienie Isabelli Norén w sprawie gróźb karalnych, względnie napaści na adwokata przez Omara Parisafara, Alego Parisafara i Alego Issę również zdecydowała się opisać jako „wykroczenie nieudowodnione”.

Podejrzenia dotyczące nieprawidłowości o charakterze

finansowym związanych z działalnością byłego adwokata Thomasa Erikssona i barona Hansa Ulrika von Comera zostały przekazane do wydziału przestępstw gospodarczych. Dochodzenie w sprawie potrójnego morderstwa Fredrika Åkerströma, Angela Garcii Gomeza i Ary Dostiego przejęła policja i prokuratura w Södermanlandzie. Zostały jeszcze zarzuty wobec Hansa Ulrika von Comera o napaść na funkcjonariusza, którą to sprawę prowadziła jej młodsza koleżanka.

Ona sama planowała przyszłość, bogatsza o ciekawe doświadczenie. W najbliższym czasie zamierzała wykorzystać swój urlop. Sądząc po radosnych minach zebranych wokół stołu, rozumiała, że nie tylko ona zamierzała w ten sposób rozpocząć lato. Na koniec – *last but not least* – chciała również wystosować specjalne podziękowania do swojego najbliższego współpracownika za wzorowe poprowadzenie dochodzenia.

– Inspektor kryminalny Evert Bäckström, człowiek legenda – powiedziała Lisa Lamm i uśmiechnęła się szeroko do osoby, której te słowa dotyczyły.

Bäckström sprawiał wrażenie dziwnie nieobecnego. Podziękował pani prokurator, wszystkim swoim drogim kolegom i powiedział, że to było ciężkie dochodzenie, również dla niego, z powodów osobistych, na temat których nie chciał się rozwodzić. Jednocześnie stwierdził, że można się było spodziewać gorszych rzeczy, i kiedy następnie przeprosił, tłumacząc, że ma zaplanowane ważne spotkanie, wielu kolegów naprawdę zaniepokoiło się jego stanem.

Za to Izaak zachowywał się tak jak zawsze i w najgorszej chwili Bäckström zaczął na poważnie rozważać, czy nie opuścić swojego mieszkania, nie wynająć pokoju w jakimś wygodnym pobliskim hotelu i nie poczekać, aż cholera powoli zdechnie z głodu w samotności. Gdy to pomyślał, Izaak nagle zamilkł. Siedział jak gdyby nigdy nic na swoim patyku, patrząc tępym wzrokiem na Bäckströma. W porównaniu z tym, co działo się zaledwie chwilę wcześniej, ta nagła, absolutna cisza była niemal nie do wytrzymania.

Na domiar złego zadzwonił jego osobisty reporter. Dotarli do

niego plotki, że dochodzenie w sprawie zabójstwa adwokata Erikssona miało zostać zamknięte. Dwór zbroił się, jakby szedł na drugą bitwę pod Połtawą. Redaktora naczelnego zaczęły dręczyć stany lękowe. Biegał po korytarzach tam i z powrotem jak niespokojny duch, bez przerwy domagając się informacji, co się naprawdę dzieje.

– Co robimy, Bäckström? – zapytał jego osobisty reporter.

– Mnie się pytasz? – odpowiedział Bäckström. – Czy to ja wydaję ten twój szmatławiec? – Nie mógł przecież wiedzieć, jak od tygodnia wygląda sytuacja w największej popołudniówce w kraju.

– Może mógłbyś mi coś doradzić? – wystękał jego osobisty reporter.

– Okej – powiedział Bäckström, bo w końcu podjął decyzję.

– O szóstej w Grand Hotelu. Weź kartkę i długopis.

Następnie spakował do torby najpotrzebniejsze rzeczy, zostawił Izaaka na pastwę losu, a sam zszedł z pola bitwy, z nadzieją na lepsze jutro.

140

W czwartek przed południem odbyła się konferencja prasowa w komendzie w Solnie. Prokurator Lisa Lamm rozpoczęła od informacji o tym, że postępowanie przygotowawcze w sprawie zabójstwa adwokata Thomasa Erikssona zostało zamknięte. Następnie przedstawiła wyczerpujący opis wydarzeń. Adwokat Thomas Eriksson zmarł na skutek jednoczesnego wystąpienia szeregu czynników: efektów własnej agresji, całkowicie uzasadnionego aktu obrony osobistej i niewydolności słabego serca.

Konferencja okazała się zresztą zbędna, bo o wszystkim, co zostało na niej powiedziane, można było przeczytać w największej popołudniówce w kraju. Jeszcze przed rozpoczęciem konferencji w aktualnym numerze największej gazety popołudniowej przedstawiono zarówno to, co Lisa Lamm miała powiedzieć godzinę później, jak i znacznie bardziej dramatyczną i szczegółową historię, wyraźnie

przypominając zeznania Rollego i Maria z przesłuchania, które policja przeprowadziła dwa dni wcześniej.

Artykuł nosił tytuł *Próba zamordowania emeryta przez zrozpaczonego adwokata mafii*. Największa gazeta w kraju po raz kolejny zmiotła konkurencję, a rzucająca się w oczy nieobecność na konferencji legendarnego inspektora Bäckströma nie mogła być przypadkowa.

CZEŚĆ VIII

Prawdziwa historia nosa Pinokia. Część II.

141

Rano Bäckström obudził się w apartamencie w Grand Hotelu w doskonałym humorze. Zamówił śniadanie do łóżka i kiedy jadł jajecnicę i parówki z boczkiem, w myślach wyobrażał sobie skręcającego się już pewnie z głodu Izaaka.

Następnie zadzwonił do Pyttan, dziewczyny Maria, z propozycją spotkania. Chciał jej zadać kilka pytań na temat pewnej kolekcji sztuki rosyjskiej, o której być może czytała w gazetach.

Najwyraźniej również Pyttan była w doskonałym humorze. Serdecznie zapraszała pana inspektora Bäckströma, mogą się spotkać choćby za godzinę w ich nowym mieszkaniu przy Karlbergskanalen, gdzie od jakiegoś czasu zajęta była doglądaniem ostatnich szczegółów wystroju wnętrz.

Bäckström spakował potrzebne rzeczy do starej teczki Zapitego Łba i zamówił taksówkę do przypominającego bardziej pałac budynku przy Karlbergskanalen, stanowiącego część oferty jego znajomego budowlańca – najbezpieczniejszych mieszkań w kraju przeznaczonych dla wybranej garstki leciwych mieszczan – gdzie najwyraźniej Ojciec Chrzestny i Pyttan zajęli całe ostatnie piętro. „Hamilton-Grimaldi”, przeczytał na dużej złoconej tabliczce na drzwiach. Co musiało oznaczać, że Pyttan była spokrewniona z tym superszpiegiem Carlem Hamiltonem z książek jedyne go godnego uwagi pisarza w tym kraju, pomyślał Bäckström. Choć

dochodziły go informacje, że autor ów ostatnio zabrał się do pisania gejowskich powieści. Czy mogły być wiarygodne? Pewnie w takim samym stopniu jak informacje, że papież udziela komunii w zielonym kapeluszu myśliwego, pomyślał Bäckström, pokręcił głową i zadzwonił do drzwi.

Pyttan była jak zawsze urocza, opalona, obwieszona brylantami. Po zaledwie pięćdziesięciu metrach spaceru dotarli z Bäckströmem do wielkiego kompleksu wypoczynkowego z widokiem na zamek i kanał w dole. Postawił dyktafon na szklanym stoliku, przy którym siedzieli, i zapytał, czy może nagrywać rozmowę. Od pewnego czasu obserwował u siebie kłopoty z pamięcią.

Pyttan świetnie go rozumiała. Bywały takie dni, że dopiero w porze lunchu przypominała sobie, jak Mario ma na imię. Jakież to ekscytujące – powiedziała Pyttan, błyskając oczami i zębami, pierścionkami i naszyjnikami. Nareszcie prawdziwe przesłuchanie, i na dodatek z jednym z jej największych idoli.

– *Shoot, detective* – powiedziała, zapaliła papierosa, skrzyżowała długie nogi i odchyliła się w stylowym krześle.

Na początek Bäckström pokazał jej zdjęcia ikon, resztek serwisu z motywami myśliwskimi, dwóch zestawów sreber stołowych i starej złożonej zapalniczki. Brakowało wśród nich jedynie zdjęcia Pinokia z długim nosem, które planował ukrywać do ostatniej chwili, a najchętniej na zawsze zachować dla siebie. Pierwsze pytanie narzucało się samo. Czy wie, do kogo należały obrazy i przedmioty ze zdjęć?

– Naturalnie – powiedziała Pyttan. – Do mnie. Dostałam je w spadku po ojcu, Archiem. Dostał je od swojej mamy Ebby, czyli mojej babci, która z kolei dostała je od tej Rosjanki, Marii Pawłownej, kiedy ta rozwiodła się z księciem Wilhelmem.

– Możesz powiedzieć coś więcej na ten temat? – powiedział Bäckström i uśmiechnął się przyjaźnie. Jakoś to będzie, pomyślał. Nie miała wprawdzie w rodzinie królów ani królowych, królewiczów ani królewien, tylko zwykłych książąt i baronów, ale i tak było to nie do pogardzenia w tym kontekście. Cokolwiek by mówić, byli milion razy lepsi od tych wszystkich uszmkowanych brylanciarzy mieszanego,

południowego pochodzenia.

– Możesz powiedzieć coś więcej na ten temat? – powtórzył Bäckström, bo nagle zauważył, że Pyttan chyba znalazła się w lepszym, dawno minionym świecie.

– Naturalnie – odpowiedziała. W tym zakresie jej pamięć była niezawodna. Kalendarz szlachty potrafiła cytować z pamięci wprzód i w tył, nawet obudzona w środku nocy, ponieważ była spokrewniona w zasadzie ze wszystkimi tam wymienionymi, a wielu z nich spotkała osobiście. Jej babcia, urodzona w 1880 roku, z domu Lewenhaupt, była hrabiną z krwi i kości i w wieku dwudziestu lat wyszła za mąż za dwukrotnie starszego hrabię Gustafa Gilberta Hamiltona. Głową znamienitego rodu Hamiltonów, posiadacza ziemskiego, rycerza, myśliwego, dworzanina i jednocześnie przyjaciela Oskara II i Gustawa V.

– Mój dziadek był szalenie przystojnym mężczyzną – stwierdziła Pyttan. – Miał typowo hamiltonowski wygląd, jak to mówimy w rodzinie. Niestety miał również typowo hamiltonowski umysł, babcia Ebba nie miała lekko.

– I co zrobiła Ebba?

– Pewnie to, co zrobiłby każdy na jej miejscu – odpowiedziała zaskoczona. – Spotykała się ze wszystkimi innymi, z którymi dało się w tamtych czasach rozmawiać. Pojawiła się na dworze królewskim, gdy Gustaw V przejął tron po Oskarze. Weszła do świty jego małżonki, królowej Wiktorii, choć była znacznie młodsza od pozostałych dam dworu. Pewnie dlatego trafiła do księcia Wilhelma i Marii. Maria Pawłowna była przecież jeszcze młodsza od babci. Poza tym Ebba miała już trójkę dzieci i mogła służyć Marii dobrą radą, gdyby pojawiły się maluszki. Mój tata Archie był najstarszy. Urodził się w tysiąc dziewięćset pierwszym roku, jestem tego pewna. Łatwo zapamiętać.

– Czy w tysiąc dziewięćset pierwszym wydarzyło się coś szczególnego w waszej rodzinie? – zapytał Bäckström.

– Nie, dlaczego? – zdziwiła się Pyttan.

– Powiedziałeś, że łatwo zapamiętać ten rok, dlatego pytam.

– Zawsze łatwiej zapamiętać rok, który jest na początku

– wyjaśniła Pyttan. – Rok tysiąc dziewięćset pierwszy jest na samym początku. Gdybyś mnie zapytał, w którym roku zmarł mój tatuś, nie wiedziałabym. Wiem, że to musiało być gdzieś w latach siedemdziesiątych, ale kiedy dokładnie – nie pamiętam. Ta data nie stanowi przecież żadnego początku, jeśli pan inspektor rozumie, co mam na myśli.

– Rozumiem – zapewnił Bäckström, który w jednej kwestii miał już jasność: również Pyttan rozumowała w typowy dla Hamiltonów sposób. – Z tego, co zrozumiałem, twoja babcia Ebba i Maria Pawłowna bardzo się przyjaźniły – dodał Bäckström, który nie miał zamiaru dać się złapać w hamiltonowskie schematy prowadzenia rozmowy.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Widzę te wszystkie podarunki, które dostała od Marii, kiedy ta wróciła do Rosji – powiedział Bäckström i pokazał na leżące przed nimi na stoliku zdjęcia.

Zdaniem Pyttan nie było to nic szczególnego. W większości były to stare graty, które Maria zostawiła, bo pewnie nie chciało jej się tego wszystkiego wozic z powrotem do Rosji. Ebba i Maria Pawłowna nigdy nie były bliskimi przyjaciółkami.

Hamiltonowie i Lewenhauptowie nie przepadali za Rosjanami. Z powodów czysto osobistych, ponieważ na przestrzeni minionych trzech stuleci spotykali się prawie wyłącznie przy okazji bitew i pewnie w ramach tych spotkań życie straciło jakiś tyś tysięcy Pyttan.

Najwyraźniej nie nawiązali żadnych głębszych relacji osobistych. Co prawda na początku pobytu Marii w Szwecji urządzały sobie razem konkursy w zjeżdżaniu na srebrnej tacy ze schodów w holu głównym Oakhill, ale po tym, jak babcia Ebba wygrała trzy razy z rzędu, Maria się znużyła i zmieniła jej towarzystwo na towarzystwo innej swojej damy, która tak się bała, że jeździła tyłem, a kiedy spadała, zasłaniała ręką oczy.

Babcia Pyttan była wyjątkowo zdolną dziewczyną, wybijała się zarówno zwinnością, jak i ubiorem. Bardzo też dbała o swoje zdrowie. Ebba nie paliła ani nie piła, za to Maria paliła jak smok i piła jak wszyscy mężczyźni członkowie domu Romanowów.

– Chociażby ta zapalniczka – powiedziała Pyttan. – Załóżę się, że dała ją babci, żeby jej dokuczyć, bo wiedziała, że nie pali.

– A ten serwis? – nie odpuszczał Bäckström.

W tym wypadku sprawa była prosta, ponieważ babcia dostała go od księcia Wilhelma, a nie od Marii. W dokumentach rodzinnych był nawet jakiś list, który to potwierdzał. Księżę Wilhelm był wyjątkowo eleganckim i wrażliwym młodym człowiekiem, o kilka lat młodszym od babci Ebby. Rozwód z Marią był dla niego bardzo bolesny. Nie wyobrażał sobie, żeby jeść z serwisu, który jego była żona podarowała mu w prezencie ślubnym.

– Biedak niczego by nie przełknął z tych naczyń – westchnęła Pyttan. – Dał go więc Ebbie, która podobała mu się dużo bardziej, niż miał odwagę przyznać. I tak serwis znalazł się w pomieszczeniu na porcelanę w majątku w Västergötlandzie. Talerz, z którego jesz, nigdy nie był największym zmartwieniem Hamiltonów.

Czas zmienić wątek, pomyślał Bäckström i przeszedł do pytań dotyczących adwokata Erikssona. Jak to się stało, że zleciła mu sprzedaż swojej kolekcji? I jak umiejscowiłaby to w kontekście wszystkich przykrych wydarzeń, do których potem doszło?

Gdyby Pyttan miała obarczać kogoś winą, byliby to jej ojciec i dziadek. Hamiltonowie zawsze byli bitni, a do walki używali armat, dział, pistoletów, mieczy, szabl i rapierów. Gdy jednak chodziło o dokumenty lub pieniądze, sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej. Do tej walki potrzebni byli zupełnie inni żołnierze.

– Dziadek Gustaf był pod tym względem wyjątkowo skrupulatny. Gdy chodziło o dokumenty i pieniądze, brał tylko żydowskich adwokatów, a my korzystaliśmy zawsze z usług kancelarii Goldmanów. Najpierw stary Albert, a potem jego syn Joakim. Wspaniali ludzie. Wystarczy, że zatrudnisz Żyda, i twój przeciwnik jest bezbronny. Dlatego właśnie zwróciłam się do Thomasa Erikssona i poprosiłam go, żeby sprzedał dla mnie te rzeczy. Przeprowadziłam się z dużego domu do małego pięciopokojowego mieszkania z kuchnią. Nie miałam miejsca

nawet na strychu. Poprosiłam więc Thomasa, żeby je dla mnie sprzedał.

– To znaczy, że Thomas Eriksson był Żydem? – Typowe, pomyślał Bäckström.

– Nie, bynajmniej – powiedziała Pyttan. – Gdyby to było takie proste.

Zgodnie z tym, co mówiło się w rodzinie Hamiltonów, Thomas Eriksson był nieślubnym dzieckiem adwokata Joakima Goldmana. Co by tłumaczyło, dlaczego zaczynał w kancelarii Goldmana jako młody, nieopierzony prawnik. Gdy po śmierci starego Goldmana zmienił nazwę firmy, wszyscy odebrali to jako wyraz buntu przeciwko ojcu.

– Niestety było znacznie gorzej – stwierdziła Pyttan. – Mały Eriksson nie miał kropli krwi żydowskiej, bo gdyby tak było, nigdy nie znalazłabym się w tak oplakanej sytuacji. Eriksson był zwykłym szwedzkim oszustem i złodziejem, to Mario go nakrył. Podejrzewam, że sam rozpuścił plotkę, że adwokat Goldman był jego ojcem. Nie muszę chyba mówić panu inspektorowi – dodała – że z takimi jak Eriksson trzeba naprawdę uważać. Z takimi jak Andersson, Eriksson, Svensson, Persson i inni o podobnych nazwiskach. My, Hamiltonowie, zawsze walczyliśmy z otwartą przyłbicą.

Mario Ojciec Chrzestny Grimaldi chyba dobrze trafił, pomyślał Bäckström i tylko pokiwał głową.

– Aha, coś sobie przypomniałam – powiedziała Pyttan, wskazując prosto w powietrze swoim długim i wypielęgowanym palcem. – Chodzi o portret grubego greckiego księdza, dzięki któremu Mario nakrył tego łotrzyka Erikssona. Dostałam go od swojego taty, Archiego. Kupił go na aukcji w Christie's w Londynie. Mieszkał tam przez parę lat pod koniec wojny. Pracował jako attaché wojskowy w szwedzkiej ambasadzie.

– Chętnie posłucham – powiedział Bäckström, odchylił się na kanapie i splótł swoje pulchne dłonie na okrągłym brzuchu. Kolejny element układanki wskoczył na miejsce, pomyślał.

Ojciec Pyttan, hrabia Archibald „Archie” Hamilton, urodził się w 1901, dzięki czemu łatwo było to zapamiętać. Podobnie jak inni członkowie jego rodu dorastał w majątku rodzinnym w Västergötlandzie. Następnie zdał maturę w Lundsberg w 1920 roku i kontynuował naukę w królewskiej szkole marynarki wojennej, gdzie kształcił się na oficera szwedzkiej floty, podobnie jak wielu Hamiltonów przed nim. Nie wszyscy, ale wielu.

Na początku drugiej wojny światowej mianowano go komandorem i głównodowodzącym flotylli torpedowców stacjonującej w Göteborgu i całkiem szybko zaangażował się w przemyt łożysk kulowych z göteborskiej Szwedzkiej Fabryki Łożysk do Anglii. Trudno było sobie wyobrazić kogoś bardziej odpowiedniego do tej roli od ojca Pyttan.

Hamiltonowie byli po stronie Anglików. Wynikało to z historii ich rodziny, mającej wielu krewnych i bliskich przyjaciół w Anglii od tysiąca lat. Dziadek Gustaf siedział w zarządzie Szwedzkiej Fabryki Łożysk i jeśli wziąć pod uwagę wszystkie te ładunki, które przewoził jego syn, w świetle typowo hamiltonowskiego podejścia nie było to kłopotem, lecz niemal warunkiem sukcesu. Nocne wypadły przez wzburzone, lodowate wody Morza Północnego z pełnym obciążeniem i ze zgaszonymi światłami, żeby uniknąć niemieckich krążowników, niszczycieli i łodzi podwodnych mających za zadanie ich zatopić, by nie dopuścić Anglików do szwedzkich łożysk, na których toczyła się ich machina wojenna.

– Niech mówią, co chcą, o moim ojcu, ale nie był tchórzem. *Archie was a daredevil* i gdyby moja mama nie zaprotestowała, pewnie stałby na mostku kapitańskim przez całą wojnę – powiedziała Pyttan z dumą.

– Ale twoja mama pragnęła czegoś zupełnie innego – powiedział Bäckström.

– Miała trójkę dzieci – powiedziała Pyttan. – Kiedy to wszystko się zaczęło, byłam najmłodsza. Do końca wojny była nas już szóstka – tata pewnie był częściej w domu, cała

filozofia.

– Wspominałaś, że twój ojciec pracował w ambasadzie w Londynie – powiedział Bäckström. – Jak tam trafił?

Zorganizował to dziadek ze strony mamy Pyttan. Tak się składało, że był nie tylko hrabią, lecz także generałem w sztabie generalnym w Sztokholmie. Najpierw dopilnował, by jego zięcia awansowano do stopnia komandora i oderwano od poręczy mostka kapitańskiego łodzi torpedowej, do której niemal się przyspawał. By chronić go przed depresją, zapewnił mu stanowisko tajnego attaché wojskowego przy ambasadzie w Londynie odpowiedzialnego za transporty szwedzkich łożysk. Dostatecznie blisko wydarzeń wojennych, które nadawały sens jego życiu, i dostatecznie daleko, by go przy tym życiu utrzymać. Nie chciał, by jego córka została wdową i matką pół tuzina półsierot. I tyle. A tak na marginesie: jeśli chodzi o zakup portretu grubego księdza i całej reszty, jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Powodem, dla którego hrabia i komandor Archie Hamilton kupił na londyńskiej aukcji portret świętego Teodora pędzla Wersjagina, było to, że Teodor był wyjątkowo podobny do wikarego w ich rodzinnej wiosce w Västergötlandzie, gdzie mieli swój majątek. Hrabia i komandor nie dogadywał się z wikarym, zdaniem Archiego był hipokrytą i oszustem. Nie umiał polować, co było warunkiem niemal koniecznym, jeśli chcieli się budować kościoły na ziemiach Hamiltonów, a sto funtów było znośną ceną dla hrabiego, który chciał zadrwić ze służi bożego w jego pięćdziesiąte urodziny.

Wikary się nie ucieszył. Natychmiast zwrócił prezent i dołączył do niego płomienny liścik, w którym wzywał ojca Pyttan, by ten niezwłocznie zwołał radę kościelną, żeby przeprowadziła kontrolę, jeśli rzeczywiście podejrzewał go o to, że kradnie z tacy.

– Rzeczywiście kradł z tacy? – zapytał Bäckström.

– O, jestem o tym przekonana – parsknęła Pyttan. – Oni wszyscy to robią. Przecież sto funtów to nic takiego. Ojciec dostał obraz z powrotem, a list wikarego czytał nam czasem na głos, kiedy chciał się pośmiać. To była jedna z jego ulubionych

historyjek.

– Coś mi jeszcze przyszło do głowy – powiedział Bäckström.
– Czy twój ojciec mógł ucierpieć wskutek jakiegoś bombardowania, kiedy mieszkał w Londynie?

– Na pewno – powiedziała Pyttan. – Wszyscy cierpieli. Ale o czymś takim raczej nie opowiada się dzieciom.

– Pomyślałem, że może wtedy potłukł się ten serwis – powiedział Bäckström, któremu właśnie wskoczył na miejsce kolejny element układanki.

Żałosne resztki tego, co dawniej było zastawą z motywami myśliwskimi używaną na statkach morskich złożoną ze 148 elementów, pochodzącą z carskiej fabryki porcelany w Petersburgu, i co w stanie oryginalnym mogło być warte ponad dziesięć milionów.

– O wiele można oskarżać Hitlera – powiedziała Pyttan i pokręciła głową – ale jeśli chodzi o ten serwis, jest całkowicie niewinny. Obawiam się, że było znacznie gorzej. Jeśli pan inspektor chce znaleźć winnego, radzę zacząć od mojego brata Iana.

Serwis myśliwski był przechowywany w czterech dużych skrzyniach oznakowanych herbami rodziny Romanowów. Gdy tylko opuściły dom Wilhelma w Oakhill, trafiły do jednej z piwnic w majątku w Västergötlandzie i tam leżały spakowane aż do dnia, w którym wybuchł pożar.

Brat Pyttan przyjechał do domu na Wielkanoc, z Lundsberg. Pożyczył urządzenie do pędzenia bimbru od jednego z chłopów i urządził sobie w piwnicy warzelnię. Planował produkcję bimbru, którą chciał zabrać ze sobą, kiedy wróci do szkoły, ale przy okazji spowodował mały pożar, w którym większość spośród 148 elementów serwisu przepadła.

Tata Archie podszedł do tego ze spokojem. W pożarze nie ucierpiał dom ani jego piwniczka z winami, a on i tak wolał jeść z rodzinnej porcelany. Resztki serwisu dostały do zabawy dzieci i od razu urządziły sobie urodzinowe przyjęcie. Pyttan kąpała swoje lalki w jednej z waz na zupe, a raz jej bracia zorganizowali nawet konkurs bicia porcelany.

Przy okazji podziału majątku po ojcu zebrali wszystko razem

i spakowali do jednej z oryginalnych czterech skrzyń. Pyttan dostała zastawę od swojego brata. Nie chciał jej. Twierdził, że przynosi nieszczęście, tęsknił za ojcem, po prostu źle mu się kojarzyła.

143

– Smutna historia – Pyttan wzruszyła ramionami. – Z tego, co mówił mi Mario, zrozumiałam, że kupił go jakiś nowobogacki Rosjanin. I dobrze się stało. Szwecja nie była miejscem dla tej zastawy, jeśli pan inspektor chce znać moje zdanie. Może się pan czegoś napije? Chyba ominął nas lunch, może jednak wypilibyśmy po kieliszku szampana?

– Z przyjemnością – powiedział Bäckström, bo zależało mu na dobrych relacjach z Pyttan, nawet za cenę kieliszka szampana o dziesiątej rano.

Może powiesiła zegar do góry nogami, pomyślał.

Nie mieli służby, ale Mario obiecał zająć się tym szczegółem, gdy tylko się urządzi, dlatego na razie goście musieli zaakceptować fakt, że to Pyttan pełniła obowiązki pokojowej. Po kwadransie wróciła z tacą, na której stał kubek z lodem wypełniony butelkami i kieliszkami w różnych kształtach.

Bäckström zerwał się z miejsca, żeby jej pomóc, ale Pyttan stanowczo pokręciła głową. U niej w domu goście byli gośćmi.

– Whisky i wódka dla pana inspektora – powiedziała. – Ja piję szampana, ale pana inspektora o to nie podejrzewam.

– Czasem mi się zdarza – skłamał Bäckström – ale jeśli mogę wybrać, wolę wódkę.

– Bardzo słusznie – powiedziała Pyttan. – Mój tata pił whisky, ale to pewnie dlatego, że uwielbiał statki. Whisky smakuje jak świeżo wysmołowana dębina. Do jedzenia pił czystą wódkę.

Pyttan naląła im obojgu, nie żałując Bäckströmowi. Prawdziwy chłop musi porządnie wypić – tak twierdził jej ojciec, a ona nie widziała powodu, żeby nie podzielać tej opinii.

– Tak – powiedziała Pyttan. – W czym jeszcze mogę pomóc panu inspektorowi?

– Tak się jeszcze nad czymś zastanawiam – powiedział Bäckström. – Na tej liście, którą widziałem, jest też coś o pozytywce. Czy przypomina pani sobie coś na ten temat?

– Pieniądze – powiedziała Pyttan, najwyraźniej błędząca myślami gdzie indziej. – Oprócz pieniędzy, które ukradł mi ten tchórz Eriksson, który próbował zastrzelić Maria. Mario obiecał, że się tym zajmie. Zawsze gdy pojawia się jakiś przyziemny problem, muszę prosić Maria, żeby się tym zajął.

Domyślałam się, pomyślał Bäckström.

– O pieniądze nie musi się pani martwić. Moi koledzy, którzy się tym zajmują, twierdzą, że Eriksson oszukał panią na jakiś milion koron.

– No proszę – powiedziała Pyttan i dołała szampana. – Milion. Kto by pomyślał.

– Proszę się nie martwić o pieniądze – powtórzył Bäckström. – Dostanie je pani z powrotem, kiedy już policzymy, jaka dokładnie powinna to być suma.

– Bez pośpiechu, do pierwszego mi starcza – powiedziała Pyttan. – Znam osoby, które potrzebują pieniędzy bardziej ode mnie.

Na przykład mały Mario, pomyślał Bäckström.

– Czy to już wszystko? – zapytała Pyttan, wciąż jakby trochę nieobecna.

– Jeszcze ta pozytywka – przypomniał Bäckström. – Nie przypomina jej sobie pani? Ze spisu, który widziałem, wynika, że raczej nie ma żadnej wartości, ale jak sama pani rozumie, wolelibyśmy mieć porządek w papierach.

– Pozytywka, pozytywka – zastanowiła się Pyttan, która przy drugim kieliszku szampana zaczynała najwyraźniej myśleć na głos.

Szczerze mówiąc, nie przypominała sobie żadnej pozytywki. Pamiętała za to jak przez mgłę jakiegoś małego emaliowanego krasnala w czerwonej czapce na głowie. Był za ciężki, żeby wieszać go na choince, ale mogła to być figurka ozdobna, którą stawiało się w domu na święta.

– A pozytywka?

– Rzeczywiście, tata opowiadał mi o jakiejś pozytywce, którą

dostał od matki, kiedy był mały – powiedziała Pyttan. – Zdaje się, że miał ich kilka. Jedną z nich dał chyba komuś w prezencie, kiedy podczas wojny był w Londynie.

– Nie wie pani, jak się nazywał obdarowany?

– Nazwiska – Pyttan zawiesiła głos, a po chwili się wzdrygnęła. – Jak by było wygodnie, gdyby wszyscy mieli to samo nazwisko. Zdaje się, że to był ten polityk. Ten niski grubas, co bez przerwy palił cygara. Ten, co ma inicjały jak toaleta.

– Toaleta?

– No tak, WC, wie pan.

– Winston Churchill?

– Otóż to, właśnie tak się nazywał. Tak na marginesie – łączyły nas więzy rodzinne. Siostra mojej babci wyszła za męża za jego kuzyna. Tacy jak my zawsze ze sobą trzymają.

– Czyli że pani ojciec podarował pozytywkę Winstonowi Churchillowi? – To musiała być jakaś inna pozytywka, pomyślał.

– Tak, ale Churchill chyba ją ojcu oddał. Podobna historia jak z wikarym. Pan inspektor wybaczy, ale nie pamiętam. Wiem, że tata spotykał się z Churchillem kilkakrotnie, gdy mieszkał w Anglii. Głównie prywatnie. Pisał o tym w swoich dziennikach, tak mi się zdaje. Potem jeszcze pewien brytyjski historyk napisał książkę o Churchillu i w niej też jest wzmianka o moim ojcu. Proszę mi przypomnieć przed wyjściem, to ją znajdę. Widziałam ją w którymś kartonie w bibliotece – powiedziała Pyttan. – Chyba całkiem niedawno.

– To miło z pani strony – powiedział Bäckström.

Pół godziny później, po tym, jak Pyttan zdążyła już wypić trzeci kieliszek szampana i naląła go również Bäckströmowi, inspektor zdecydował się pożegnać. Wychodząc, wziął ze sobą cztery dzienniki jej ojca spisane w zwykłych zeszytach i oprawione w czarne woskowane okładki oraz biografię Winstona Churchilla autorstwa brytyjskiego historyka. Było bardzo miło, stwierdziła Pyttan. Gdy tylko razem z Mariem jakoś się zorganizują, inspektor Beck musi ich jeszcze odwiedzić. Chwilowo mieli urwanie głowy, ale niedługo

wszystko się na pewno uspokoi. Kiedy już przyjadą meble, a Mario zatrudni kogoś, kto zajmie się kwestiami praktycznymi.

Ona sama myślała, żeby sprawić sobie jakieś zwierzątko, by nie siedzieć samotnie w domu, kiedy Mario będzie podróżował. Może psa. Pyttan uwielbiała zwierzęta. Od czasów dzieciństwa zawsze otaczały ją zwierzęta. W gospodarstwie w Västergötlandzie, gdzie dorastała, zwierząt było więcej niż ludzi. Konie i krowy, świnie i kury, koty i psy... i oczywiście wszystko inne. To znaczy różne mniejsze zwierzaki.

Bäckström doskonale rozumiał, co miała na myśli. On również bardzo lubił zwierzęta. Od wielu lat ze szczególną troską zajmował się papugami. Teraz też miał ich kilka, trudno o lepsze towarzystwo. Co więcej, można było z nimi rozmawiać, dodał. Można albo nie można, pomyślał.

Pyttan nigdy nie miała papugi, tylko kanarki i papużki faliste. Nigdy nie miała papugi, która potrafiłaby mówić. Raz tylko trzymała oswojonego kruka, którego dostała od braci, ale wciąż tylko krakał i szybko zdechł.

– Gadająca papuga, to fantastyczne! – zawołała Pyttan i naprawdę wyglądała, jakby tak myślała.

Wszystko się ułoży, pomyślał Bäckström, gdy siedział w taksówce w drodze do komendy w Solnie.

144

Zaraz po przyjeździe do pracy Bäckström rozmawiał z Nadją. Miała mu do przekazania kilka nowych informacji na temat Maria Grimaldiego i jego nowej kobiety, Astrid Elisabeth Hamilton, urodzonej w 1940, używającej imienia Elisabeth, a przez rodzinę i przyjaciół nazywanej Pyttan. Z domu hrabiny, co było nie bez znaczenia w tym kontekście – zresztą Bäckström pewnie i tak wszystko to już wiedział.

– Czeg w takim razie jeszcze nie wiem?

Być może nie wiedział jeszcze, że można ją było znaleźć w kartotece pod nazwiskiem Astrid Elisabeth Linderoth. Linderoth po byłym mężu, który zmarł pięć lat temu.

Szanowanym i cenionym lekarzu i profesorze medycyny wewnętrznej w Instytucie Karolinska.

– Czekaj – powiedział Bäckström, unosząc dłoń. – Astrid Linderoth? To nie ta stara wariatka, która rzekomo znęcała się nad zwierzętami?

We własnej osobie, stwierdziła Nadja. Miesiąc temu Astrid Elisabeth Linderoth wróciła do swojego panieńskiego nazwiska Hamilton. Wraz z Mariem Grimaldim wystąpili o zaświadczenie o braku przeszkód do zawarcia związku małżeńskiego. Jak na razie nie stwierdzono żadnych przeciwwskazań, które uniemożliwiałyby jej zmianę imienia, tytułu i stanu cywilnego.

– Jutro biorą ślub, w noc świętojańską. W ambasadzie Szwecji w Rzymie.

– Aha – powiedział Bäckström. Skąd niby mieliśmy o tym wiedzieć, pomyślał.

– To sporo wyjaśnia. Na pewno wyjaśnia okoliczności wizyty, którą jej sąsiadce Fridensdal złożył Garcia Gomez.

– Co z tym zrobimy? – zapytał Bäckström. Uprzejmy, młody człowiek, który pomógł Mariowi powiesić firanki w kuchni, choć ten, zdaniem Pyttan, był zawsze wyjątkowo pomocny, pomyślał.

Nic, stwierdziła Nadja. Wszystkie zgłoszenia zostały wycofane. Garcia Gomez nie żył, a z Grimaldim nie dało się rozmawiać. Jego przyszła żona z pewnością nie wiedziała o pomocy, której jej udzielił. Choć oczywiście dobrze było poznać odpowiedź na kolejne pytanie.

Nadja nie daje sobie dmuchać w kaszę, pomyślał Bäckström. Ktoś ją tylko powinien przekonać, żeby wymieniła złote zęby na zwykłe, porcelanowe. Inaczej ktoś może na nią napaść – równie dobrze mogłaby chodzić z plikiem banknotów w ustach. W tej samej chwili wpadł mu do głowy świetny pomysł i postanowił natychmiast wziąć się do roboty. Lepiej kuć żelazo, póki gorące, zresztą staruszka pewnie i tak już zapomniała, że jutro ma jechać do Rzymu, żeby wziąć ślub, pomyślał Bäckström. Spakował teczkę, zadzwonił po taksówkę i pospiesznie wyszedł z komendy w Solnie.

Najpierw pojechał do biura GeGurry i zostawił książki od Pyttan jego sekretarce. Poprosił, żeby mu przekazała, że poszukiwania trwają, a proveniencja została ustalona. Z tym zastrzeżeniem, że musieli zrezygnować z trzech pokoleń Bernadotte'ów na rzecz dwóch hrabin i jednego hrabiego z rodu Hamiltonów.

Następnie pojechał do domu, po drodze zadzwonił do Pyttan, żeby spytać, czy może wpaść do niej z prezentem. Pyttan bardzo się ucieszyła. Nie mogła się doczekać spotkania z inspektorem.

Izaak nie sprawiał wrażenia równie podekscytowanego. Siedział i łypał spode łba ze swojej klatki, gdy Bäckström stawiał ją na tylnym siedzeniu taksówki, która miała zawieźć ptaka do jego nowego domu.

– Jaka śliczna ptaszynka – ucieszyła się Pyttan, z radości klaszcząc w ręce. – I jakie ma piękne kolory. Pan inspektor jest pewien, że chce ją oddać?

Ponieważ Bäckström miał kilka papug, nie widział w tym najmniejszego problemu. Ten konkretny egzemplarz należał do najbardziej utalentowanych pod względem umiejętności werbalnych.

– Jak ma na imię? – zapytała Pyttan.

– Izaak – odpowiedział Bäckström. – Myślę jednak, że się nie obrazi, jeśli dasz mu nowe imię.

Pyttan nie miała zamiaru zmieniać ptaszkowi imienia. Jej zdaniem pasowało doskonale. Od razu było widać, dlaczego Izaak ma na imię Izaak. Poza tym – wypisz, wymaluj stary adwokat Goldman.

Na obronę Izaaka należy powiedzieć, że zachowywał się wzorowo. W krytycznym momencie, kiedy włożyła rękę do klatki, żeby go podrapać, przechylił tylko główkę i zagulgotał zadowolony. Kiedy podała mu orzeszek, otworzył dziób i spożył go tak, jak należało się spodziewać po zwierzęciu takim jak on. – Całuję rączki – powiedział Izaak, potrząsnął głową i zamruczał do swojej nowej pani.

– Ależ to fantastyczny prezent – powiedziała Pyttan, a jej oczy zaświeciły jak brylanty. – Jak mogę się odwdziżyć panu

inspektorowi?

– Drobiazg, to nic takiego – powiedział Bäckström. Chyba że chcesz mi dać tę pozytywkę, której i tak już nie pamiętasz, pomyślał.

Bäckström wolał zostawić ich samych, zanim Izaak znów stanie się sobą. Zjadł porządny lunch, uciał sobie poobiednią drzemkę i obudził go dopiero telefon GeGurry, który po pierwsze chciał mu podziękować za to, że dzięki niemu poczuł na twarzy wiatr historii. Po drugie chciał się z nim jak najszybciej spotkać, najlepiej o ósmej w Operakällaren. W prywatnej części, ponieważ mieli mówić o sprawach, które miały kluczowe znaczenie dla historii Zachodu.

145

Wieczorem Bäckström i GeGurra zjedli kolację w prywatnej restauracji w budynku Opery. Ponieważ był środek tygodnia, złożyli proste zamówienie. Na przystawkę Bäckström zamówił podsmażane na głębokim oleju łakocie i zamiast antrykotu z cielęciny wybrał polędwicę nadziewaną śliwkami, natomiast GeGurra poszedł o krok dalej i zamówił grillowaną solę z sałatką, co graniczyło już z ascezą.

Czekał ich pracowity wieczór, co można było poznać po tym, że obaj mieli ze sobą teczki. Teczka Bäckströma była znacznie grubsza od teczki GeGurry, co miało swoje uzasadnienie: zawierała przedmiot, który był powodem ich spotkania.

Po pierwszym toaście GeGurra wyraził ogromną wdzięczność za wkład Bäckströma w sprawę. Gdy zadzwoniła do niego sekretarka, żeby powiedzieć mu o wizycie Bäckströma u Pyttan, rzucił wszystko i pędem pojechał do biura, a potem spędził resztę dnia na czytaniu dzienników barona Archiego Hamiltona z czasów, gdy ten był tajnym posłem w szwedzkiej ambasadzie w Londynie.

– Cudowne – westchnął GeGurra. – Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek słyszał o czymś takim, Bäckström.

Teraz chyba nie mam wyboru, pomyślał Bäckström i tylko pokiwał głową.

Baron Hamilton spędził w Londynie ponad rok, od wiosny 1944 roku do lata 1945, i w tym czasie spotkał się z Winstonem Churchillem sześć razy. Każde spotkanie miało prywatny charakter, nawet jeśli rozmawiali o wojnie lub nawet o dostawach łożysk ze Szwecji. W ciągu tych spotkań Churchill dopytywał, jak szły potajemne działania, za które odpowiadał Hamilton.

Hamilton i Churchill szczycili się swoim szlacheckim pochodzeniem. Ich rodziny łączyły się ze sobą przez trzy stulecia. Na płaszczyźnie osobistej darzyły się głębokim, obustronnym szacunkiem. Wspólne wartości, więzi rodzinne, szacunek. Czyli wszystko to, co liczyło się dla takich jak oni.

Hamilton podziwiał Churchilla za to, jaki był i co robił. Darzył go szacunkiem, jakim tylko młodszy mężczyzna może darzyć mężczyznę starszego o dwadzieścia lat. Którego traktuje trochę tak jak starszego brata albo młodego ojca. Dla Churchilla sprawa była prostsza. Lubił Archiego Hamiltona za to, że był zawadiaką i naturalnym kandydatem na każdy mostek kapitański, gdy szykowano flotę do bitwy. Pewnie również dlatego, że przypominał mu jego samego sprzed trzydziestu lat, kiedy został mianowany Pierwszym Lordem Morskim. Było to pierwsze w jego życiu wysokie stanowisko polityczne, które do końca życia najbardziej sobie cenił.

Pod koniec grudnia 1944 roku, kilka dni przed świętami, zjedli razem kolację w Blenheim Palace pod Oksfordem. Pod koniec wieczoru Churchill, Hamilton i jeszcze kilku gości odłączyli się od reszty towarzystwa, żeby porozmawiać o tym, co nie było przeznaczone dla uszu innych osób, zapalić ostatnie cygaro i wypić strzemiennego.

Churchill był w kiepskim nastroju, na granicy depresji. Ofensywa w Ardenach zapoczątkowana kilka dni wcześniej przez aliantów posuwała się bardzo szybko. Lecz Niemcy przygotowywali się do kontrataku i nic nie zapowiadało zwycięskiego marszu, jaki obiecywali mu jego generałowie. Co prawda nie obawiał się jeszcze o wynik końcowy, ale z każdym dniem zawężało się jego pole manewru na rozmowach podczas konferencji w Jałcie, na której w ciągu najbliższych miesięcy

miał się spotkać ze swoimi dwoma sprzymierzeńcami, prezydentem Stanów Zjednoczonych Franklinem D. Rooseveltem i rosyjskim przywódcą Józefem Stalinem, żeby nakreślić nową mapę Europy i omówić szczegóły polityki mającej obowiązywać w przyszłej Europie.

Problemem Churchilla nie był prezydent Stanów Zjednoczonych. Był nim jego rosyjski sprzymierzeniec Józef Stalin – co do tego nikt z towarzystwa nie miał wątpliwości. Z Rosjanami sprawa była prosta. Nie można im było ufać. Prawdopodobnie właśnie wtedy baron Archie Hamilton wpadł na pomysł, jak rozweselić Winstona i przygotować go na spotkanie ze Stalinem, człowiekiem z zupełnie innego świata niż oni. Któremu, co więcej, nie można było ufać.

Tak w każdym razie Hamilton opisuje tło wydarzeń w swoim dzienniku, w którym opowiada, jak tuż po Nowym Roku wysłał adiutanta do siedziby głównej Churchilla, żeby podarować mu pozytywkę z załączonymi pozdrowieniami dla szanownego obdarowanego. Było to przypomnienie zasad obowiązujących przy spotkaniach z ludźmi spoza ich sfery. I wyrażenie nadziei, że Stalin ma taki sam nos jak Pinokio.

Tydzień później Hamilton dostał swój prezent z powrotem, z dołączonym do niego uprzejmym osobistym listem, w którym Churchill dziękował za podarunek i za słowa ostrzeżenia i w którym jednocześnie wyjaśniał, dlaczego nie może go przyjąć. Powodem była pewna historia wiążąca się z pozytywką Fabergégo.

Dzienniki Hamiltona, jego własnoręcznie spisana kopia listu, który wysłał do Winstona Churchilla, odpowiedź Churchilla dla Hamiltona. Oryginał napisany na maszynie do pisania, na papierze listowym premiera, podpisany przez Churchilla i włożony do koperty z kancelarii premiera, którą wysłano do Hamiltona. Teraz wszystko znajdowało się w jednej kopercie z herbem Hamiltonów włożonej do książki, którą Pyttan dała Bäckströmowi, z nadzieją, że może on znajdzie tam coś, czego ona nie miała już siły wyczytać. Prawdopodobnie kopertę włożył tam jej ojciec hrabia. Człowiek, który bardziej dbał o swoje działa niż o dokumenty.

– Coś fantastycznego – powiedział GeGurra, unosząc książkę, którą Pyttan podarowała Bäckströmowi. – To niesamowite, jak łatwo coś znaleźć, kiedy już wiesz, gdzie szukać.

– Wiem – odpowiedział Bäckström, bo przecież przez całe życie był policjantem.

– Podejrzewam, że nie zdążyłeś jeszcze przeczytać książki?

– Nie. Miałem trochę innych rzeczy na głowie.

– W takim razie wszystko ci opowiem, bracie. Nieprawdopodobna historia.

A mam jakiś wybór? – pomyślał Bäckström i dał sygnał kelnerowi, żeby dolał mu do kieliszka.

Autor książki, Robert Amos, później lord Amos, był znanym brytyjskim historykiem, który dożył swoich dni na stanowisku profesora historii w Balliol College w Oksfordzie. Podczas drugiej wojny światowej Amos znalazł się w sztabie Churchilla, a pod koniec wojny przy kilku okazjach służył mu jako osobisty doradca. Dwadzieścia lat po wojnie wydał książkę o swoim dawnym szefie zatytułowaną *Winston Churchill, polityk, retor i strateg*, w której zwrócił uwagę na często pomijany talent Churchilla do myślenia strategicznego. Istotnie, Churchill był jednym z najbardziej znanych mówców w historii, lecz przy tym również niezwykle zręcznym politykiem, i to nawet w kwestiach wydawałoby się tak mało istotnych jak przyjmowanie подарunków.

Za przykład posłużyła autorowi pozytywka, którą dostał od szwedzkiego barona i oficera marynarki wojennej. Człowieka, który narażając własne życie, wyświadczył olbrzymie zasługi dla Anglii i Anglików w być może najtrudniejszym okresie w długiej historii imperium. Co więcej, dalekiego krewnego i przyjaciela, który w żadnym wypadku nie mógł zostać posądzony o złe intencje. Mimo to Churchill nie mógł przyjąć od niego prezentu – ze względu na jego proveniencję, dalsze losy, jak również przesłanie stojące za takim podarunkiem w kontekście politycznych zależności między Churchilllem a Stalinem. Krótko mówiąc, był to doskonały przykład zdolności Churchilla do strategicznego, politycznego myślenia.

– Wiadomości z pierwszej ręki – stwierdził GeGurra. – Lord

Amos był wówczas na tej kolacji w Blenheim. To on napisał szkic listu Churchilla, w którym ten odmówił przyjęcia prezentu. Spędził z Churchillem godzinę na omówieniu tej sprawy, choć przez większość doby byli zajęci przygotowaniami do konferencji jałtańskiej.

– Naprawdę odesłał pozytywkę? – Kompletnie zwariował, pomyślał Bäckström.

– Naprawdę. Ku radości przyszłych pokoleń i dzięki twojej niezwyklej intuicji, bracie, udało się wreszcie poznać szczegóły tego wycinka najnowszej historii. Pozostało nam już tylko ją odnaleźć – powiedział GeGurra i z jakiegoś powodu zerknął na teczkę Bäckströma, która stała obok niego na kanapie.

– Nie musisz już szukać – powiedział Bäckström, otworzył teczkę, wyjął z niej szkatułkę z ciemnego drewna i postawił na stoliku.

146

Resztę wieczoru spędzili na negocjacjach, które już wkrótce zepchnęły na drugi plan zarówno jedzenie, jak i picie, i skutecznie popsują panującą dotychczas dobrą atmosferę.

GeGurra włożył białe bawełniane rękawiczki, a potem ostrożnie, ze szkłem powiększającym w rękę, przyświecając sobie lampką do czytania, którą przyniósł mu kelner, zabrał się do oglądania Pinokia. Gdy skończył, westchnął głęboko, tak jak wzdycha człowiek trudniący się handlem dziełami sztuki, gdy doświadcza głębokiej ulgi.

– Ani jednej rysy – dodał po chwili.

– Bądź spokojny – zapewnił Bäckström. – Działa bez zarzutu.

– Skąd wiesz? – GeGurra spojrział na niego zaskoczony.

– Bo go włączyłem. Okropny dźwięk, ale wysuwa się i chowa z powrotem jak należy.

GeGurra schował Pinokia z powrotem do szkatułki. Poprosił kelnera o przyniesienie dużej płóciennej serwetki, ostrożnie zawinął w nią szkatułkę i położył ją na stole.

– Czekam na twoją propozycję – powiedział Bäckström.

Biorąc pod uwagę okoliczności, jak również fakt, że jego drogi

przyjaciel właśnie wyświadczył olbrzymią przysługę światowej historii sztuki, GeGurra pierwszy raz w swoim długim życiu zawodowym zdecydował się porzucić zasadę, której nie porzucał nawet w najśmielszych snach.

– Jestem gotów podzielić się z tobą moją prowizją. Po połowie.

– O jakiej kwocie mówimy? – Zapomnij, pomyślał Bäckström.

Biorąc pod uwagę dokumentację, jaką udało im się zdobyć, i mając na względzie osobę Winstona Churchilla, mówili o cenie rynkowej na poziomie ćwierci miliarda koron i prowizji w wysokości pięćdziesięciu milionów koron. Czyli po dwadzieścia pięć milionów dla każdego.

– W takim razie mam lepszą propozycję – powiedział Bäckström.

– Słucham – odpowiedział GeGurra.

Pyttan Hamilton nie miała pojęcia ani o pozytywce, ani o tym, na jakich pieniądzech siedziała. Miała pamięć krótkotrwałą na poziomie bardzo małego dziecka, a co do jej zdolności intelektualnych to nie był pewien, czy zna się na zegarku.

Najprościej byłoby, gdyby GeGurra znalazł któregoś z tych kolekcjonerów sztuki, którzy byliby skłonni kupić Pinokia od ręki, schować go do sejfu, a potem aż do śmierci oglądać go godzinami w samotności. Komuś takiemu byłby nawet skłonny dać rabat. Zadowoliliby się dwustoma milionami do podziału, z czego GeGurra mógłby zatrzymać całe dwadzieścia procent, a Bäckström chętnie przyjąłby pozostałe osiemdziesiąt. Biorąc pod uwagę ich wkład pracy, był to w pełni sprawiedliwy podział.

GeGurra miał jednak inny pogląd na tę sprawę. Problemy wiążące się ze zorganizowaniem takiej transakcji były porównywalne z trudnościami, jakimi byłaby obarczona sprzedaż malowidła z Kaplicy Sykstyńskiej na aukcji w internecie. Zresztą było to w tym kontekście równie mało ciekawe jak potencjał intelektualny Pyttan Hamilton.

– Dlaczego? – zdziwił się Bäckström.

– Jutro wychodzi za mąż za mojego starego znajomego Maria Grimaldiego. Dzwonił do mnie wczoraj, żeby mi o tym powiedzieć. Twierdzi, że to miłość jego życia, a że Mario nigdy nie kłamie, to tak właśnie musi być.

– Wiem, że biorą ślub – Bäckström wzruszył ramionami. Miejmy nadzieję, że mały Izaak dopilnuje, by trafili do wariatkowa w ciągu tygodnia, pomyślał.

– Nie wiesz natomiast, że to on poprosił mnie, żebym ci zlecił znalezienie pozytywki. Już w poniedziałek trzeciego czerwca, kiedy rozpoczęłeś dochodzenie. Przeoczyli ją, kiedy wynosili resztę rzeczy. Podejrzewali, że trafią na nią technicy badający miejsce zdarzenia. Gdyby tak się jednak nie stało, miałem porozmawiać z tobą i przekonać cię, żebyś ją dla nas znalazł. Zależało mu na tym, żeby gdzieś się nie zapodziała przy zamieszaniu związanym z rozdysponowaniem majątku po Erikssonie.

– Rozumiem – powiedział Bäckström. – W takim razie znajdę kogoś innego, kto będzie mógł mi pomóc.

Jeśli Bäckström zdecydowałby się tak uczynić, GeGurra byłby tą decyzją głęboko zmartwiony. I to nie tylko dlatego, że obiecał Mariowi, że zadzwoni do niego zaraz po spotkaniu, by opowiedzieć, jak poszło. Igdyby próbował go teraz wyprowadzić w pole, Mario i tak domyśli się prawdy. GeGurra podpisałby na siebie wyrok śmierci i nie było w tym nic z metafory, a ponieważ bardzo lubił swoje życie, musiał o nie dbać.

– Nie martw się, że na ciebie doniesie – zapewnił GeGurra.

– Nie martwię się. Z tego, co mówisz, rozumiem, że by mnie zabił.

– Naturalnie – odpowiedział GeGurra. – Ale i o to nie musisz się martwić.

– A o co?

– O to, jak to zrobi. Naprawdę, nie chcesz tego słuchać. Mario Grimaldi to nie jest zabawny staruszek, za jakiego macie go ty i twoi koledzy. On i jego bracia należą do neapolitańskiej mafii i jeśli przez kogoś ich sycylijscy bracia nie śpią nocami, to właśnie przez Maria.

– Co w takim razie powinienem zrobić?

– Zanim się rozstaniemy, dostaniesz ode mnie kwit na potwierdzenie, że otrzymałem od ciebie pozytywkę Carla Fabergégo przedstawiającą Pinokia. Dałeś mi ją wraz ze zleceniem ustalenia, czy jest identyczna z pozytywką znajdującą się na liście przedmiotów, które były adwokat Thomas Eriksson miał za zadanie sprzedać w imieniu hrabiny Elisabeth Hamilton. Jestem przekonany, że bez problemu załatwisz wszystkie papiery na czas. Teraz się rozstaniemy, a ja zabiorę ze sobą pozytywkę i osobiście zajmę się transakcją. Liczę na to, że już wkrótce dostaniesz dwadzieścia pięć milionów koron za swój wkład w tę sprawę. Poza tym obiecuję ci pomoc w kwestiach praktycznych, żebyś nie musiał tym kłopotać urzędu podatkowego i swojego pracodawcy.

CZEŚĆ IX

Czy wiesz, jak naprawdę było z nosem Pinokia?

147

Obchody nocy świętojańskiej Bäckström rozpoczął w pracy. Powypełniał wszystkie protokoły z aresztowań i inne dokumenty, żeby w najgorszym przypadku – gdyby ktoś czepiał się tego, że tak długo zajęło mu zarejestrowanie tego, co właśnie zarejestrował – móc zrzucić winę na nieludzki nadmiar pracy. Robiąc to, przeklinał tych wszystkich drani, którzy trafili do jego zespołu. Na koniec zadzwonił do Nadji, jedynej osoby, którą darzył zaufaniem, z prośbą, by sprawdziła, czy niczego nie przeoczył. Następnie wrócił do domu i podjął próbę powrotu do swoich dawnych rytuałów. Chciał znów zacząć godnie żyć.

Lunch przebiegł jak zwykle. Potem jednak spadał na niego jeden cios za drugim, jeden nawet w plecy, a nad ranem przydarzyło mu się coś, co omal nie zburzyło jego obrazu świata.

Gdy po krótkim, zwawym spacerze stanął przed drzwiami gabinetu rehabilitacyjnego Panny Piątek, w drzwiach zobaczył kartkę, z której wynikało, że gabinet jest nieczynny do odwołania. Nie wiedział, kto tę kartkę napisał i dlaczego, ale ponieważ mógł sobie wyobrazić, że była to osoba, której nie miał ochoty spotkać, odszedł bez słowa.

Z braku pomysłu wrócił do domu. Szukając ukojenia, za dużo wypił i w końcu zasnął na kanapie. Gdy się obudził, była ósma wieczorem, a potrzeba stała się jeszcze bardziej nagląca. Na szczęście przyszedł mu do głowy doskonały pomysł i zadzwonił do księgowej, którą spotkał w ubiegłym tygodniu.

Nie mógł się nawet nagrać na jej sekretarkę. Wybrany numer nie istniał i w tej sytuacji pozostawała mu już tylko wizyta na stronie jego internetowego fanklubu.

W najgorszym razie zamówię taksówkę i ściągnę tu pierwszą lepszą, pomyślał Bäckström, sprawdzając ostatnie wpisy.

Jeden z nich się wyróżniał. Podpisany przez księżową, która znała już Bäckströmowe supersalami z autopsji i chciała się na jego temat wypowiedzieć na forum publicznym, w imię rozwoju świadomości konsumenckiej i siostrzanej solidarności. Do parametrów fizycznych nie miała specjalnych zastrzeżeń. Pomijając jednak typową męską skłonność do przesady, właściciel supersalami był zwykłym dupkiem. I właściwie małym dupkiem, szczególnie jeśli chodzi o dolne partie ciała.

Problem w tym, że nie było to jedyne podobieństwo do salami. Wybór między mężczyzną obdarowanym supersalami i odpowiednim produktem wędliniarskim był oczywisty. Wiedziała to z własnego doświadczenia i gdyby dzisiaj miała wybierać, zdecydowałaby się na to drugie, szczególnie że nie musiałyby mieć do czynienia z jego właścicielem. Jego poglądów na temat kobiet wolała nie komentować. Na tle jego poglądów na temat ludzi w ogóle był to jedynie drobny szczegół.

Godzinę później Bäckström siedział już w jednym z pływających barów przy Norr Mälarstrand. Zamówił zimne piwo, porządnego drinka i kanapki na ciepło, żeby nie paść z głodu i pragnienia. Na wszelki wypadek założył swoje ciemne okulary, żeby nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi.

Gdy po kolejnych kilku godzinach wyszedł z lokalu, ledwo trafił na mostek prowadzący na brzeg, a kiedy wreszcie wymacał pod stopami stały łąd, poczuł irytujące kołysanie. Nie udało mu się złapać taksówki, a gdy z pewnym wysiłkiem i na chwiejnych nogach podszedł kawałek ulicą, sprawy potoczyły się w naprawdę złym kierunku. W pewnej odległości w dole ulicy ujrzał wielkiego czarnoskórego mężczyznę, który wrzeszcząc, szedł w jego stronę. Czarny jak noc, wielki jak dąb, szybki jak gazela i wiedziony wyraźnym zamiarem napadnięcia na niego. Gdy Bäckström schylił się, żeby skorzystać z pomocy małego Siggego, stało się tak, że usiadł na trotuarze.

Siedział tak przez najbliższych kilka sekund, do chwili gdy czarny napastnik podszedł do niego, podniósł go z ziemi, otrzepał, podał mu jego portfel, który najwyraźniej zostawił w barze, i zapytał, czy ma zadzwonić po karetkę, czy wystarczy mu taksówka.

Resztę weekendu Bäckström spędził w łóżku. Próbował jakoś poukładać myśli, które przelatywały jak błyskawice przez jego obolałą głowę, ale niespecjalnie mu się to udawało. Przeprowadził nawet pewien eksperyment, w ramach którego wniósł portret świętego Teodora do łazienki, założył ciemne okulary i zgasił światło, chcąc sprawdzić, czy w kompletnych ciemnościach biała skóra świętego zmieni kolor. Przecież jego nocny wybawca okazał się zwyczajnym Szwedem, a on sam najwyraźniej padł ofiarą złudzenia optycznego.

Teodor świecił w ciemnościach jak świeca.

Niepojęte, pomyślał Bäckström, pokręcił głową i wrócił do łóżka.

W niedzielę zadzwonił do niego jego osobisty reporter z prośbą o pomoc. Dział prasowy dworu królewskiego wszedł na wojenną ścieżkę z jego gazetą. Zaprzeczył, jakoby król miał cokolwiek wspólnego z przestępczością zorganizowaną, rosyjskimi dziełami sztuki i byłym konsultantem i ekspertem w dziedzinie sztuki zatrudnionym na godziny.

Nieoczekiwanego wsparcia udzieliła głowie państwa pozostawiona daleko z tyłu medialna konkurencja, która nagle zmieniła front, nabrała wiatru w żagle i zapełniła wydanie reportażami utrzymanymi w dawnym, przyjaznym tonie.

– Co teraz zrobimy? – zapytał reporter.

– Mnie o to nie pytaj – odpowiedział Bäckström. – Nie jestem dziennikarzem, tylko policjantem.

Gdy przyszedł do pracy w poniedziałek, od progu spotkała go przykrość. Ktoś napisał na niego donos. Pismo czekało w jego przegródce na pocztę. Nadawcą był wydział do spraw zwierząt w City, który niniejszym informował go, że jest podejrzany

o znęcanie się nad zwierzętami. Jak twierdził anonimowy informator, Bäckström od dwóch miesięcy „zaniedbywał i dręczył” papugę, której był właścicielem. Z tego powodu żądano od niego, aby jak najszybciej odezwał się do prowadzącej sprawę inspektor kryminalnej Rosity Andersson-Trygg w celu umówienia się na oględziny miejsca zdarzenia, czyli jego mieszkania przy Inedalsgatan w Sztokholmie, jak również na przesłuchanie.

To na pewno mały Edvin, pomyślał Bäckström, który po ostatnim weekendzie miał już wyraźny obraz otaczającego go ze wszystkich stron zła. Po moim trupie, pomyślał, zadzwonił do Anniki Carlsson i poprosił, żeby zajrzała do jego pokoju.

– Co chcesz, żebym z tym zrobiła? – zapytała.

– Zadzwon do nich, przekaz im ode mnie pozdrowienia, wyjaśnij, że nie mam żadnej papugi, i każ im sobie wsadzić to ogłoszenie w tyłek.

– Dobra. To wszystko? Może chcesz jeszcze, żebym im połamała kości?

– Proszę cię bardzo – odpowiedział.

Ledwo zamknęła za sobą drzwi, a już rozległo się kolejne pukanie. Przyszła Jenny Rogersson, ubrana jak zwykle, żeby porozmawiać z nim o ich ostatniej sprawie. Jakiej sprawie? – pomyślał Bäckström i pokazał ręką na krzesło. Czas już zrobić coś dla małej Jenny, zanim wyjedzie na wakacje, gdzie czyha na nią tyle niebezpieczeństw, pomyślał.

– Prawda, że miałam rację?

– To znaczy?

– Z tą naszą sprawą. Szczerze mówiąc, miałam rację od samego początku. Z tym, że coś łączy starszą panią Linderoth-Hamilton, von Comera i Erikssona. Za wszystkim stał Ojciec Chrzestny. Rozmawiałam z tatusiem. Pogratulował mi i prosił, żeby cię pozdrowić. Może wyjdziemy gdzieś to uczcić? No wiesz, tak po cichu.

– Niech pomyślę – powiedział Bäckström. Czy naprawdę można mieć więcej niż dziesięć punktów na dziesięciopunktowej skali? I jak tu się nie wpakować w kłopoty, łądując w łóżku z córką Rogerssona, pomyślał. – Też go ode

mnie pozdrów – odpowiedział Bäckström. – A tak na marginesie, nie obraż się, ale jesteś pewna, że to twój ojciec? Nie jesteście zbyt podobni.

Jenny zdążyła się już przyzwyczaić do tego typu pytań. Za pierwszym razem miała zaledwie dziesięć lat. Jej ojciec nagle odmówił płacenia alimentów, kierowany właśnie takimi wątpliwościami. Wówczas jej mama Gunsan pozwała go do sądu, zmusiła do poddania się badaniu i udowodniła jego ojcostwo testem DNA.

– I co było potem? – zapytał Bäckström, który wciąż miał nadzieję, że świat nie jest taki zły, jaki się wydaje. Ale znał już odpowiedź.

Nie było żadnych wątpliwości. Prawdopodobieństwo, że ojcem mógł być ktoś inny, wynosiło równe zero procent.

– Rozumiem jednak, dlaczego pytasz – powiedziała Jenny. – Może pójdziemy coś zjeść? W weekend jadę na wakacje.

– Byłoby miło, ale niestety nie tym razem. Mam sporo do roboty. – Będzie trzeba powtórzyć ten test DNA. W końcu technika cały czas idzie do przodu, pomyślał.

Po południu zadzwonili do niego z drugiej co do wielkości popołudniówki w kraju z pytaniem, czy nie zechciałby udzielić im wywiadu. Z tego, co słyszeli, Bäckström rozpracował fałszywe zarzuty skierowane pod adresem króla.

– Dobrze pan trafił – powiedział Bäckström. Czas już zmienić front, pomyślał.

Wieczorem zadzwonił GeGurra, wyraźnie podekscytowany, charcząc coś niezrozumiałego o tym, że „koło się zamknęło”. Był w tej chwili w Petersburgu, gdzie właśnie dobił najszybszego targu w historii sztuki. O szczegółach wołał porozmawiać w cztery oczy.

– Nie rozumiem? – zapytał Bäckström. Koło się zamknęło? – pomyślał. Jakie koło?

– Od ostatniego cara Mikołaja II do nowego ojca wszystkich Rosjan – wyjaśnił GeGurra. – Rozumiesz?

– Jasne – powiedział Bäckström, choć nie miał zielonego pojęcia, o czym GeGurra gada.

– Może zjemy jutro lunch? No wiesz, zjemy, uczymy

zwycięstwo, dogadamy szczegóły.

– Dobra – powiedział Bäckström. Żeby tylko ktoś go wcześniej nie napadł, pomyślał, odkładając słuchawkę.

149

We wtorek nazwisko Bäckströma pojawiło się w nagłówku drugiej co do wielkości popołudniówki w kraju. W czterostronicowym ekskluzywnym wywiadzie „najbardziej znany śledczy w kraju” szczegółowo wyjaśnił okoliczności towarzyszące oszustwom na rynku sztuki, w które był zamieszany „niezjący już adwokat celebryta”. Bez jakichkolwiek nawiązań do osoby króla i jego rodziny. Wspomniane dzieła sztuki należały od pokoleń do rodziny szwedzkiej emerytki, która jednak chciała zachować anonimowość, więc Bäckström nie mógł ujawnić jej personaliów.

Pod koniec wywiadu Bäckström pozwolił sobie na kilka uwag odnośnie do uwarunkowań, w których funkcjonowała i rozwijała się wolna prasa w demokratycznym kraju, jakim była Szwecja.

Osobiście uważał wolność prasy za rzecz świętą, a ochronę źródeł informacji za jej fundamentalny element. Jednocześnie ubolewał nad tym, że poparte niesprawdzonymi informacjami doniesienia prasowe wyrządzają krzywdę pojedynczym, konkretnym osobom. Jako wierny sympatyk szwedzkiej monarchii z głębokim smutkiem stwierdzał, że dotyczyło to nawet szwedzkiego króla, Karola XVI Gustawa.

Gdy szwedzcy czytelnicy chłonili mądrości płynące z ust Bäckströma, on sam jadł już lunch z GeGurra, który opowiedział mu o interesie, jaki poprzedniego dnia udało mu się ubić w Petersburgu z przedstawicielem wysoko postawionego rosyjskiego kupca, który na razie wolał pozostać anonimowy.

Potem przeszedł do kwestii finansowych: po trudnych negocjacjach ustalili w końcu cenę sprzedaży na kwotę dwustu pięćdziesięciu milionów koron. Gdy tylko GeGurra upora się z najważniejszymi zagadnieniami natury praktycznej,

naturalnie dopilnuje, żeby Bäckström dostał dwadzieścia pięć milionów, na które się umówili. Żeby do tego czasu nie musiał głodować, GeGurra postarał się o drobną wypłatę w gotówce w wysokości miliona koron. To dlatego brązowa koperta, która leżała przed nim, była znacznie grubsza niż zwykle.

– Koło się zamknęło – stwierdził GeGurra, mrugnął okiem i uniósł kieliszek.

Nowy kupiec, ojciec wszystkich Rosjan, nie zamierzał chować małego Pinokia do sekretnego skarbcza. Co więcej, planował pokazać go osobiście wielbicielom sztuki z całego świata na specjalnie zorganizowanej wystawie w petersburskim Ermitażu, na którą Bäckström miał zostać zaproszony jako gość honorowy.

– Chciałbyś może o coś zapytać? – zapytał GeGurra, ponieważ Bäckström nie odezwał się nawet słowem.

– Nie – odpowiedział Bäckström i pokręcił głową. Niby o co?

150

W czasie gdy Bäckström jadł lunch w towarzystwie swojego starego znajomego GeGurry, Lisa Mattei czytała najnowsze wydanie drugiej co do wielkości popołudniówki w kraju i nagle poczuła, jak zalewa ją krew. Ten człowiek jest nieobliczalny, pomyślała, zerwała się z krzesła, chwyciła gazetę i pomaszerowała prosto do gabinetu swojego najwyższego przełożonego.

– Usiądź, proszę, Liso – powiedział dyrektor generalny i uśmiechnął się przyjaźnie. – Jeśli chcesz zapytać, czy czytałem dzisiejszą gazetę, to odpowiedź brzmi: tak.

– Co robimy?

– Nic – odpowiedział dyrektor generalny i pokręcił głową.
– Nie umniejszajmy zasług inspektora Bäckströma. Gdybyś zapytała mnie prywatnie, mógłbym odpowiedzieć, że facet jest nawet zabawny. Chociażby na tym zdjęciu, na którym stoi na moście na Lovön, z pałacem Drottningholm w tle, i wyciąga przed siebie rękę, jakby chciał powstrzymać fotografa. Normalnie jak jakiś funkcjonariusz drogowki sprzed lat, który

broni niepowołanym przejścia przez most.

– Widziałam – powiedziała Lisa Mattei. – Zresztą trudno było nie zauważyć.

– Albo nawet współczesny Sven Dufva stający w obronie tronu – stwierdził dyrektor generalny i roześmiał się zadowolony. – Powinnaś o czymś wiedzieć, ale niech to na razie zostanie między nami.

– Słucham – powiedziała Lisa Mattei.

Kilka godzin temu ich kontakt w Moskwie odezwał się z wiadomością, że krążą plotki o tym, jakoby prezydent Rosji Władimir Putin zamierzał jeszcze tego lata przyznać inspektorowi Evertowi Bäckströmowi Medal Puszkina.

– Medal Puszkina?

– Medal Puszkina to najwyższe odznaczenie, jakie Rosja może przyznać obywatelowi zagranicznemu.

– Bäckströmowi? Za co?

– Medal Puszkina przyznawany jest osobom, które w znaczący sposób przyczyniły się do rozwoju sztuki, kultury i nauk humanistycznych. W rachubę wchodzi jedynie działania mające kluczowe znaczenie dla Rosji i Rosjan. Do tej pory przyznano go jedynie parokrotnie i pierwszy raz otrzyma go obywatel zagraniczny. Co więcej, będzie to pierwszy raz, kiedy prezydent wręczy go osobiście. Władimir Putin wręczy medal Evertowi Bäckströmowi. Można byłoby się zastanawiać dlaczego?

– Putin wręczy medal Bäckströmowi?

– Tak.

Lub też na odwrót, pomyślała Lisa Mattei, ale skinęła tylko głową.

Gdy w środę rano, wychodząc do pracy, Bäckström otworzył drzwi swojego mieszkania, zauważył, że ktoś powiesił na kłance reklamówkę. Torebka była biała i bez nadruku, a w środku znajdował się biały karton po butach, również bez nadruku. Gdyby w środku leżała bomba wyzwalana

najprostszym detonatorem, Bäckström już by nie żył.

Tym razem zwyciężyła ciekawość: wziął ostrożnie torbę do ręki, a następnie wniósł ją do mieszkania, postawił na stoliku w przedpokoju i uniósł wieczko pudełka. W środku leżał mały Izaak. Leżał sobie spokojnie na plecach, z językiem wystającym spod zakrzywionego dzioba i z metalową linką mocno zawiązaną wokół szyi, z doczepioną do niej starannie wypisaną karteczką.

Parlava troppo, przeczytał.

Schował reklamówkę, karton i Izaaka do tej samej teczki, w której przez ostatnie lata nosił inne delikatne przedmioty. Poprosił Nadję, żeby przyszła do niego do gabinetu. Otworzył przy niej karton i zapytał, czy mogłaby mu pomóc w rozszyfrowaniu wiadomości zapisanej na karteczce.

Naturalnie, odpowiedziała. *Parlava troppo* to znane powiedzenie neapolitańskiej mafii.

– To po włosku – wyjaśniła. – Znaczy mniej więcej: za dużo gadał.

Bäckström dostał wiadomość od kogoś, kto prawdopodobnie wiedział, nad czym pracuje. Jeśli chciałoby się na to spojrzeć optymistycznie, to przynajmniej nie on leżał w środku. Było to zapewne tylko przyjacielskie ostrzeżenie; oczekiwano od niego, że będzie trzymał dziób na kłódkę.

– Chcesz, żebyśmy spisali zgłoszenie? – zapytała Nadja.

– Nie – odpowiedział, kręcąc głową. – Chcę, żebyś pozbyła się ciała.

– Nie mogłeś lepiej trafić.

– Nie rozumiem?

– Jestem Rosjanką, zapomniałeś? – odpowiedziała z uśmiechem. – Zrobię to po rosyjsku. Za pięć minut nie będzie tu ani papugi, ani kartonu, ani nawet reklamówki, a ta rozmowa nigdy nie miała miejsca.

– Dziękuję – powiedział Bäckström.

– Ale pod jednym warunkiem – powiedziała Nadja.

– Słucham – powiedział Bäckström.

– *Non parlerai troppo*.

– Obiecuję – powiedział Bäckström.

Resztę dnia Bäckström spędził za szczelnie zabarykadowanymi drzwiami.

Zjadł lunch, a potem obiad w towarzystwie małego Siggego, próbując zapanować nad nową sytuacją ekonomiczną, w której się znalazł. Na wszelki wypadek wziął do ręki kartkę i ołówek, żeby sporządzić listę praktycznych kwestii, które miały odtąd wypełniać dzień powszedni multimilionera. Jego nowa spółka, w której prowadzeniu GeGurra obiecał mu pomoc, propozycja Slobodana, żeby został nieoficjalnym współwłaścicielem dochodowego salonu gier, może nawet nowe zęby dla Nadji.

Siedział tak przez dłuższą chwilę, lista się wydłużała, przerwał mu dopiero telefon Anniki Carlsson.

– Jesteś w domu? – zapytała. – Musimy o czymś pogadać.

– Nie, właśnie wychodzę do knajpy na kolację – skłamał Bäckström, gdyż wciąż budził się w środku nocy złany zimnym potem, bo śniła mu się jej ostatnia wizyta u niego w domu.

– W takim razie widzimy się na miejscu – powiedziała Annika i od razu się rozłączyła, więc trudno mu się było dalej wykręcać.

Bäckström niemal natychmiast zmiotł wszystko z talerza i gdy Annika zjawiała się godzinę później, przemógł się i postawił jej duże piwo.

– Co z tym zgłoszeniem z wydziału do spraw królików? – zapytał.

– Już po wszystkim – odpowiedziała. – Donos wycofano.

– Jak to załatwiłaś?

– Wyjaśniłam im, że pozbyłeś się tego skurczybyka. Poza tym powiedziałam im parę słów na odchodnym, więc nie sądzę, żeby to się powtórzyło.

– Bardzo ci dziękuję. Daj znać, gdybym mógł coś dla ciebie zrobić.

– Cóż – powiedziała i skinęła głową. – Po to przyszłam.

– Mów – powiedział Bäckström i odchylił się do tyłu, sącząc podany mu przed chwilą koniak.

Annika Carlsson zamierzała się przeprowadzić. Nie lubiła swojego ciasnego, dwupokojowego mieszkania w Bergshamrze, a kilka dni temu jej znajomy, któremu właśnie urodziło się dziecko, zapytał, czy nie zechciałaby kupić jego mieszkania w Miasteczku Filmowym w Solnie. Dwa razy większe od tego, w którym w tej chwili mieszkała, wysokie piętro, własny balkon, prawie jak nowe, blisko do pracy i za jedyne trzy miliony.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego mi o tym mówisz?
– zdziwił się Bäckström. Trzy miliony, pomyślał.

– Pomyślałam, że może mógłbyś mi trochę pożyczyć
– powiedziała Annika.

– Aha, pomyślałaś. Pozwól, że o coś zapytam. Na jaki procent?

– Zero – odpowiedziała i uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

– Zero – powtórzył Bäckström. – Niby dlaczego miałbym to zrobić?

– Czy wiesz, jak naprawdę było z nosem Pinokia? – zapytała Annika Carlsson.



VIRTUALO
Księgarnia Internetowa

empik



lesiojot